



FIONA BULLEN



PRZERWANE LATO

Przekład EWA WOJTCZAK

Rozdział pierwszy

Zatoka Repulse, Hongkong Rok 1969

Klaudia intensywnie przekopywała nadmorski piasek małymi pulchnymi paluszkami, cicho coś do siebie mrużąc. Kiedy natrafiła na muszelkę, ostrożnie zeszkrobała z niej piasek, obmyła ją w wodzie i podniosła w górę, aby obejrzeć znalezisko ze wszystkich stron. Obok dziewczynki na piętach przykucnął Harry, chłopiec o ciemnych jedwabistych włosach, opadających na gładką, wyłożoną słońcem buzię, i zapatrzył się w znaleziony przedmiocik.

- Ma za dużo dziur, Liddie - oświadczył po chwili milczenia, a Klaudia westchnęła i wrzuciła lśniącą muszelkę w zielone wody zatoki. Z trzech stron nad taflą górowały wysokie szczyty porośnięte gęstymi pasami zieleni. Z miejsca, w którym znajdowały się dzieci, widać było mnóstwo palm i jeden samotny budynek. Dzięki otoczeniu zatoka wyglądała jak migocząca zawartością misa. Samotny jastrząb pikował w pustce zasłanego chmurami nieba, zataczał kręgi unoszony falą ciepłych wiatrów i co chwila łagodnie opadał ku spokojnej, migoczącej powierzchni Morza Południowochińskiego. Był upał mimo lekkiej mgiełki przesłaniającej słońce; dzieci pocily się w kąpielowych kostiumach, ale mimo to kucaly blisko siebie na brzegu; były zgarbione i całkowicie pochłonięte swoim zajęciem.

Obok nich krążył luzem puszczonego Wolf. Pies wesoło rył mokry piasek i co chwilę rzucał w stronę chłopca i dziewczynki bystre wilcze spojrzenia. Od czasu do czasu któreś z dzieci podnosiło głowę i bez specjalnego entuzjazmu odrzucało daleko kij, a pies radośnie i szybko biegał po niego, zawsze potem wracając i kładąc go im przy nogach.

Był późny sierpień. Harry kończył tego dnia dziewięć lat. Rano matka, ubrana w biało-czarny uniform służącej i niedbale narzucony na ramiona sweter, wcisnęła mu w rękę nowe tenisówki, za które zapłaciła większą część swojej miesięcznej pensji. Surowo nakazała chłopcu, aby ich nie zabrudził, a dopiero potem wypuściła go z kuchni i pozwoliła iść się bawić. Harry w milczeniu zaniósł prezent do sypialni, którą dzielił z matką, wdychając słodki, mdlący aromat kadzideł i szczególnie zapach matki, a raczej lakieru i balsamów do włosów, które przynosiła od lokalnego zielarza albo z kramiku z chińskimi lekami.

Przez chwilę stał niezdecydowanie obok swego łóżeczka, rozejrzał się po maleńkim pokoiku. Zerknął na pokrytą linoleum podłogę, a potem na umieszczone wysoko w górze okratowane okienko. Następnie ruszył na

poszukiwanie Klaudii. Dziewczynce udało się ubłagać matkę, aby zgodziła się zabrać Harry'ego na plażę. Tak nalegała i tłumaczyła, że są to urodziny chłopca, że jej matka, Lucilie Babcock, myśląc podczas rozmowy z córką o czymś zupełnie innym, niespodziewanie się zgodziła.

Jednakże teraz, siedząc na plaży w cieniu licznych sękatych drzew, Lucilie obserwowała dwoje dzieci zwięzonymi oczyma. Kiedy Harry wstał z kucek i roześmiał się, trzymając w górze muszelkę o idealnym kształcie, matka Klaudii zacisnęła usta z dezaprobatą. Pomyślała, że jej córka spędza naprawdę zbyt wiele czasu z synem ich służącej. Klaudia miała już przecież siedem lat i była wystarczająco duża, aby dostrzegać różnicę między nimi i wiedzieć, jak powinna się zachowywać dziewczynka w jej wieku. Było tu przecież tak wiele innych dzieci, dzieci z przyzwoitych europejskich i amerykańskich domów. Na miłość boską, co sprawia, że Klaudia aż tak bardzo interesuje się tym euroazjatyckim służącym, zastanawiała się z niepokojem Lucilie. Zupełnie tak samo jak jej ojciec, ta mała zupełnie nie rozumie, jakie zachowanie jest właściwe. Zniecierpliwiona, obróciła się w stronę grupki kobiet, ale usta miała ciągle zacięte z irytacji. Zaczęła się powoli wachlować.

- Spójrz, Liddie, spójrz! Tu jest jedna cała. - Harry z dumą pokazał muszelkę i Klaudia ukłękła przy nim, biorąc w dłoń kruchy skarb. Twarz dziewczynki wyrażała wielkie zainteresowanie, szeroko otwarte oczy wręcz chłoneły delikatną zdobycz. Aby lepiej widzieć, odgarnęła proste, ciemne włosy za uszy. Muszelka była cieniutka, wyglądała jak maleńki opłatek różowego granitu, a kiedy Klaudia uniosła ją do światła, dostrzegła przez nią zarys swoich palców. Aż westchnęła z zadowolenia.

- Mógłbyś znaleźć dla mnie taką samą, Harry? Czy jest ich jeszcze więcej?

Ostrożnie oddała mu muszlę i wpatrzyła się w zagłębienie w piasku. W miejscu, gdzie kończyło się wycięcie jednoczęściowego opalacza, plecy dziewczynki miały kolor jasnobrazowy, a kręgosłup odznaczał się łańcuszkiem małych sterczących guzków. Przez moment Harry milczał, wpatrując się w muszelkę.

- Nie. Nie sędzę. Ale... weź ją, Liddie. Weź. To dla ciebie - dodał szeptem po krótkiej walce z samym sobą. Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz, kiedy jego mała przyjaciółka zaklaskała w dłonie i z różowym skarbem w ręce wspięła się na wydmnę, aby pokazać muszelkę matce. W tym czasie nad brzegiem pojawił się drugi chłopiec, wyższy, z włosami barwy ciemnoblonde i naburmuszoną, ładną twarzą. Kroczył lekko, ledwie muskając stopami piasek; idąc

odrzucał go szerokim łukiem do wody. Najwyraźniej lekceważył Harry'ego, ale ten obserwował go z uwagą.

Kiedy Klaudia wróciła, jej pozornie obojętna twarzyczka zdradzała, że coś ukrywa. Oddała muszelkę Harry'emu.

- Wiesz, nie mogę jej przyjąć. To są przecież twoje urodziny. Zatrzymaj ją, Harry. Znajdę sobie drugą.

Odwróciła się szybko, żeby jej towarzysz nie mógł zobaczyć smutku na drgających ustach ani gniewu w oczach. Dlaczego matka zabroniła jej przyjmować prezenty od Harry'ego? Klaudia zupełnie nie mogła tego zrozumieć.

Zamyślona, zapatrzyła się ponuro na oślepiająco białe ściany domku ratownika, nad którym powiewała flaga, poruszana łagodną bryzą, a potem spojrzała na wielki posąg Tin Hau, tkwiący nieruchomo przed budynkiem. Stłumiła w sobie skryte pragnienie, aby być również Chinką. Wtedy mogłaby się modlić do Bogini Niebios i wolno by jej było się bawić, z kim zechce. Przez chwilę czuła się jakaś gorsza i jakby matka coś jej odebrała.

Jasnowłosy chłopiec, który dotąd zapamiętał kopał w przybrzeżnym piasku, wydał nagle okrzyk radości. Jego palce szukały czegoś z zapamiętaniem, podczas gdy morze zalewało wykopywaną dziurę. Wolf kręcił się obok, poszczekując wesoło. W końcu chłopiec podniósł w górę swoją zdobycz. Wspaniała rozgwiazda. Uśmiechnął się szeroko. Klaudia podeszła bliżej i popatrzyła z zazdrością na skarb w rękach chłopca, głęboko wdychając poruszany wiatrem zapach morskiej wody i roślinności, ciepłego mulistego piasku i gorących olejków.

- Ojej, Tony! Jakie to piękne - szeptała, wahając się chwilę, zanim zdecydowała się wyciągnąć palec i lekko dotknąć tego dziwnego kształtu. - Co to jest?

Tony roześmiał się, dumnie wypinając pierś.

- To rozgwiazda, głupia! Nie dotykaj jej w taki sposób. Przecież cię nie ugryzie, droga Liddie. No masz, weź - powiedział aroganckim tonem jedenastolatka i wcisnął morską gwiazdę w wyciągniętą prosząco dłoń dziewczynki, śmiejąc się, gdy mała zmieszała się i chwilę stała z wyprostowaną ręką.

- Patrz, Harry! Rozgwiazda! - Klaudia obróciła się, aby pokazać skarb młodszemu chłopcu, który stał ze spuszczoną głową, zaciskając mocno muszelkę w dłoni. Niechętnie podniósł oczy i wyciągnął rękę, aby dotknąć to dziwaczne żyjątko, które najwyraźniej zainteresowało Liddie bardziej niż jego

muszelka. Spojrzał z tajoną urazą na drugiego chłopca, który nagle pochwycił rozgwiazdę, usiłując ją wyrwać z rąk dziewczynki.

- Hej, Liddie! Nie powiedziałem, że możesz ją obnosić po całej plaży. Oddawaj.

Tony złapał rozgwiazdę, zanim Klaudia zdążyła ją pokazać Harry'emu, i teraz trzymał w dłoniach swoją własność, mierząc wzrokiem drugiego chłopca. Na dziecinnych twarzach pojawiła się wzajemna niechęć, dotąd może niezupełnie uświadomiana, ale nagle całkowicie oczywista. Obaj chcieli przyciągnąć uwagę Klaudii. Dziewczynka przez moment patrzyła na Tony'ego, najpierw z zaskoczeniem i zmieszaniem, a potem z całkowitą obojętnością.

- Więc weź ją sobie, zobacz, ile mnie obchodzi. Głupia, stara rozgwiazda! I tak nie chciałam jej oglądać. Chodź, Harry. - Oddaliła się od Tony'ego, biegnąc na płytką wodę i krzycząc radośnie, kiedy chłodne krople rozprysnęły się na jej rozgrzanym ciele. Piasek był sypki, woda chlupotała pod stopami. Klaudia znowu wesoło krzyknęła.

Harry ruszył za nią dopiero po dłuższej chwili. Najpierw przypatrzył się chłopcu z rozgwiazdą. Nie znał go. Nie znał zresztą wielu spośród przyjaciół Liddie, nie widywał również znajomych jej brata czy siostry. Chodzili do innych szkół i na inne przyjęcia. Inne? Prawdę powiedziawszy, Harry nie bywał na żadnych przyjęciach, ani na europejskich, ani na chińskich. A nie istniało nic pośredniego. Starszy chłopiec także przez moment wpatrywał się w niego - chłodno, butnie i z pogardliwą wyższością. Nagle Harry uśmiechnął się i pobiegł do wody.

- Poczekaj, Liddie. Już pędzę. - Harry nie pływał zbyt dobrze, ponieważ rzadko miał okazję ćwiczyć. Niezdarnie rozchlapując wodę, przesuwał się powoli do miejsca, gdzie Klaudia podskakiwała i brykała przez fale, raz nurkując, a potem się na nie rzucając. Jej opalone ciało połyskiwało jak rybie łuski. Przez jakiś czas bawili się i głośno śmiali, kiedy fale uderzały ich w twarz albo gdy przewracali się, ciągnąc się wzajemnie za nogi. Tony obserwował ich z brzegu z wyrazem bólu na twarzy.

Odwrócił się i chciał się pochylić nad małą chińską dziewczynką, która kopła w piasku łopatką, ale jej opiekunka szybko wyciągnęła rękę i na wszelki wypadek położyła ją opiekuńczo na główce małej. Tony uśmiechnął się niepewnie, a służąca zmarszczyła brwi.

Nagle westchnął z ulgą, gdyż zauważył dwóch kolegów. W następnej chwili wydał z siebie okrzyk wojenny i pobiegł w górę po piaszczystej plaży, aby ich

dopaść i zaciągnąć do wody. Na piasku, w miejscu, gdzie Tony ją porzucił, leżała nikomu już niepotrzebna rozgwiazda.

- Czy to nie jest córka Reginalda Hsu, ta mała tam? - spytała matka Tony'ego, Joanna Ingram, sadowiac się wygodniej na leżaku i ścierając strużkę potu z pleców. Rzuciła spojrzenie krótkowidza w dół plaży, zastanawiając się, czy może zaryzykować szybkie włożenie okularów. Ale nie, przecież Reginald mógł być gdzieś w pobliżu. Co by się stało, gdyby ją w nich zobaczył? Mógłby nagle uznać, że jest tak samo brzydka jak ta straszna Lucilie Babcock. Joanna rozsmarowała olejek na ramionach i rękach, przesuwając dłonią po miękkiej pulchności, która wystawała z dekoltu cętkowanego kostiumu bikini w kolorach morskiego błękitu i bieli. Jej palce wyginały się, rytmicznie masując skórę. Włosy koloru blond, tak jak włosy syna, zakrywała szeroka opaska, podkreślając wystające kości policzkowe i duże niebieskie oczy. Uśmiechnęła się do dziecka w oddali.

- Porcja. Czy tak ma właśnie na imię? Tak, hmm... nieco teatralnie... Porcja Hsu? Zastanawiam się, czy jej rodzice są tutaj? - dodała i usłyszała, jak jej mąż chrząka niechętnie pod „South China Morning Post”, którą rozłożył sobie na twarzy. - Bill? Bill! Słyszałeś, co mówię?

- Co się stało? - wymamrotał niewyraźnie i Joanna westchnęła.

- Ta okropna kobieta jest znowu tutaj - mruknęła do męża cichym głosem. - Ta Babcock. Właśnie zrobiła Klaudii awanturę o to, że mała przyjęła muszelkę od małego Azjaty. Wyobrażasz sobie? Ta baba doprawdy przesadza. Nie mogę jej znieść! Zresztą nikt z nas nie może z nią wytrzymać.

- Dlaczego? - Spod gazety wychylił się zaczerwieniony i zniecierpliwiony Bill Ingram. Strzelił palcami i natychmiast przybiegł jego kierowca, pocąc się z gorąca w ciężkich butach i długich skarpetach.

- Och, wiesz, to okropna wieśniaczka z jakiejś pipidowy na Południu Stanów, a w dodatku wiecznie taka zadowolona z siebie, ze swojego mężusia, swojego stylu życia i przyjaciół... Zastanawiam się, jak bardzo by się ucieszyła, gdyby się dowiedziała, że drogi stary Frank ma chińską kochankę? - Joanna roześmiała się; jej śmiech był głęboki i gardłowy. - Pewnie natychmiast pobiegłaby do „toalety”, jak lubi ją nazywać! Zdaje się, że ta pani wyciera ręce za każdym razem, kiedy podaje rękę Chińczykowi, a jej małżonek po prostu pieprzy jedną z nich! Niech to cholera, niezłego dostanie ataku, gdy się dowie!

- Nie przeklinaj, kochanie, to takie pospolite. - Bill spojrzał na nieruchomą twarz kierowcy. - Poza tym, ja tę Lucilie właściwie nawet dość lubię. Ma w sobie jakąś ukrytą siłę. - Przyjął gin z tonikiem, który podał mu kierowca,

dziękując krótkim skinieniem głowy, i czekał, aż mężczyzna odejdzie. - A poza tym ona ma w gruncie rzeczy rację. Nasze dzieci nie powinny się z nimi zbyt... hm, spoufalać. Nie jestem rasistą, ale powiedzmy sobie szczerze, taka przyjaźń jest niemożliwa. Burzy ustalony porządek i drażni wszystkich wokół. Należymy przecież do zupełnie innych kultur... - Mężczyzna milczał przez chwilę, a potem dodał: - Jej mąż jest głupcem. Ona kiedyś w końcu się dowie, a wtedy Frank straci i ją, i dzieci. A wiem, że do szaleństwa kocha najmłodszą.

- Klaudię? Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę pozostałą dwójkę. Cholerne bachory! Chłopak jest złośliwy i dokuczliwy, a co do starszej dziewczynki... Ma zaledwie jedenaście lat, a już chłopcy latają za nią, jak za suką w rui. Będą z nią problemy. Tak, tak. Muszę w przyszłości trzymać Tony'ego z dala od niej. Bóg wie, skąd Frankowi i Lucille mogło się wziąć takie miłe dziecko jak Klaudia. - Na moment się zamyśliła. - A Frank? No cóż, spodziewam się, że łatwo się ponownie przystosuje do stanu kawalerskiego. Zdziwiające, jak dobrze sobie radzą niektórzy ojcowie - zamyśliła się. - Matki zresztą także, jestem pewna. - Jej ton był kwaśny i Bill nie raczył skomentować tego, co powiedziała. Wiedział, że jest to aluzja do jego groźby. Powiedział jej kiedyś, że zabierze jej dzieci, jeśli nie przestanie na prawo i lewo romansować. Teraz zastanawiał się, czy Reginald Hsu jest również kochankiem jego żony? Nagle chrząknął i, porzuciwszy przykre myśli, zaczął małymi łydkami popijać gin z tonikiem. Boże, jakie to smaczne!

- Czy dla mnie również zamówiłeś drinka? - spytała napastliwie Joanna, z góry znając odpowiedź. I rzeczywiście mąż potrząsnął przecząco głową.

- Za chwilę jedziemy. Słońce za mocno praży. Nie wiem, jak mogliśmy tu przyjechać w sierpniową niedzielę. To straszne miejsce. Trzeba było pojechać nad Zatokę Południową albo Środkową, tak jak proponowałem. A najlepiej było nie wyjeżdżać w ogóle. - Jego twarz nabrała różowego odcienia; tylko piegowata angielska skóra może się opalić na taki właśnie kolor. - Zawołaj Tony'ego i dziewczynki, dobrze?

- Och, kochanie, miałam nadzieję, że przed odjazdem wypijemy najpierw drinka na górze w hotelu. - Wskazała na „Hotel nad Zatoką Repulse”, który po przeciwnej stronie krętej drogi górował spokojnie nad plażą wśród palm i bugenwili, jak gdyby nigdy nie był świadkiem żadnych wojennych okropności.

Ojciec Billa Ingrama przebywał na tych terenach podczas wojny. Znajdował się tu wtedy brytyjski sztab dowodzący obroną drogi między Stanley i Aberdeen. Po trzech dniach walk zdobyli tę kwaterę Japończycy i trochę wyżej

na wzgórzu, przy Eucliffe Mansion, niektórych więźniów stracono. I teraz, ponieważ, Joanna przypomniała sobie, że ojciec Billa znalazł się wśród skazanych, nie była więc zaskoczona, że mąż nie zareagował na jej sugestię.

- Tony! - krzyknęła Joanna. Jej głos był wysoki i ostry. - Tony, weź dziewczynki i chodź tu zaraz. Wracamy do domu.

Ale chłopiec także ją zlekceważył. Podniecony, pobiegł rozchlapując fale, oblewając jakiegoś kolegę, który odwzajemnił mu się tym samym.

- Och, doprawdy! Dlaczego musimy jechać? Czy nie mógłbyś raz się do czegoś zmusić, Bill? - mruknęła zirytowana Joanna. Ale gdy podniosła oczy, napotkała spojrzenie ojca Porcji i natychmiast się uśmiechnęła. Jakież to przystojny mężczyzna! - No tak, przypuszczam, że naprawdę musimy już jechać - dodała, po czym lekko podniosła się z leżaka i poprawiła włosy gestem, który od razu poinformował Billa, zanim jeszcze zobaczył Reginalda, kto znajduje się w pobliżu. Więc tylko westchnął z rezygnacją i znowu położył sobie gazetę na twarz.

Siedząca w cieniu drzew Lucille uderzyła dłonią komara, a potem nałożyła więcej kremu na swoją bladą skórę. Nigdy nie siadała na słońcu i nigdy nie pływała. Tym, którzy pytali, odpowiadała, że ze względu na karnację nie mogłaby sobie na to pozwalać i wskazywała na swoje rude włosy.

- Zaryzykowałabym, gdybym uważała, że z opalenizną jest mi do twarzy, ale wyglądam jak stara wiedźma, jeśli choć na sekundę wystawię się na słońce. Nie mam pojęcia, jak wy wszyscy sobie z tym radzicie -dodała, śmiejąc się nieszczerze. Kobieta, do której się zwracała, uśmiechnęła się nieznacznie.

- A gdzie Frank? Czyżby znowu pracował?

Fran Clements, Amerykanka niedawno przybyła z Bostonu, którą już zdążyło zirytować zachowanie Lucille Babcock, podniosła brwi. Wszyscy wiedzieli o Franku. Wszyscy z wyjątkiem Lucille.

- Niestety, obawiam się, że chyba tak. To taki straszny pracoholik. Nie mogę go zmusić, aby choć na chwilę się zrelaksował. Ale przypuszczam, że skoro pełni tak ważną funkcję... - Lucille westchnęła i wruszyła ramionami. Nagle jej oczy stały się wielkie i wyraziste, kiedy ze złością i szybko przegoniła jakiegoś kulisa, który przyniósł talerze z makaronem. Twarz Chińczyka błyszczała nad parującym jedzeniem.

- Nie tutaj. Nie zamawiałyśmy tego. To nie dla nas. Mhahh, mgoi' - krzyczała gniewnie, uciekając się do łamanej chińszczyzny. Pozostałe dwie kobiety popatrzyły na tę scenę w milczeniu i mrugnęły do siebie.

Gdy Cecylia Hsu ujrzała nadchodzącą Joannę, uśmiechnęła się i zamachała ręką szybko i zbyt entuzjastycznie, jak dziecko, które zobaczyło swoją najlepszą przyjaciółkę. Joanna wymusiła uśmiech na twarzy i zatrzymała się, aby okazać sympatię. Naprawdę lubiła Cecylię, chociaż było to takie głupiutkie stworzenie. Jej zachowanie można było tak łatwo przewidzieć. Cóż, z drugiej strony może takiej właśnie żony potrzebował Reginald, może jej obecność stanowiła antidotum na nieustanne towarzystwo „barbarzyńców” w interesach Chińczyka, może była miłym balsamem na skołatane pracą nerwy? W końcu prowadzenie jednego z największych chińskich przedsiębiorstw handlowych nie jest łatwe.

- Witaj, Cecylio. Cóż za niespodzianka. Myślałam, że w weekendy zawsze wyjeżdżasz na swoją dżonkę. Ta plaża wygląda zupełnie jak spęd bydła. Co cię tu sprowadza? - Cmoknęła w powietrze przy twarzy Chinki. Podziwiała okiem znawczyni seledynowy jednoczęściowy kostium, nie dając po sobie poznać, że w ogóle go dostrzega. Mogła się założyć, że nieźle kosztował. Ale państwo Hsu nie musieli się przecież martwić o pieniądze. Czyż takie życie nie jest miłe, pomyślała z lekką zawiścią Joanna.

- Reginald nalegał. Nie mam pojęcia, dlaczego. Jak się masz? Wyglądasz pięknie! Jaki śliczny kostium. Gdzie go kupiłaś? - Cecylia najwidoczniej szczerze się ucieszyła ze spotkania z Joanną.

- Co, ten? - Joanna udawała zaskoczoną. - Och, znalazłam go na rynku w Stanley, grzebiąc w ciuchach. Kochana jesteś. Jak się ma Reginald? Ach, tu jesteś! - Obróciła się, w swoim obrzydliwie kosztownym bikini, kupionym w eleganckim butik w handlowej części Centralu i szeroko otworzyła oczy na mężczyznę, który stał za nią z lekko przechyloną głową i zmęczonym uśmiechem na twarzy. Stale nosi okulary, nawet na plaży, pomyślała Joanna, i zawsze wygląda tak wspaniale. Naprawdę cudownie; chociaż kiedyś uważała, że jego usta są zbyt duże, brwi za gęste, a pieprzyk na górnej wardze zbyt wydatny. Musi mieć w sobie nieco krwi północnochińskiej, osądziła, kiedy Reginald schylał się, nieco się garbiąc, aby pocałować ją w policzek. Poczowała woń kosztownej wody toaletowej i westchnęła głęboko.

- Och, Joanno. Oszłamiająca jak zwykle. Jak znosisz to miejsce? - Rzadko tracił powagę, ale teraz uśmiechnął się szeroko. W metalowych oprawkach okularów odbiło się słońce.

- Czyż nie jest straszne? - odparła Joanna. - Gdyby dzieci nie domagały się tak hałaśliwie, nigdy nie przywiozłabym ich tu na weekend. Tak gorąco, tyle piasku, tyle hałasu! I pomyśleć, że Zatoka Repulse była taka miła jeszcze kilka

lat temu. Teraz przyjeżdżają na tę plażę prawie wszyscy... Nie udało nam się wynająć dżonki na sobotę. A cóż cię tu przyniosło?

Rozmawiająca para odsunęła się od Cecylii, ich ramiona zetknęły się, odgradzając młodą Chinkę. Patrzyli na śliczny łuk zatoki, na wznoszące się tarasy zieleni, na połyskujące morze upstrzone plamkami żaglówek i wodnych narciarzy. W tle grzmiały tysiące radioodbiorników, a chińscy kulisi głośno zachwalali swoje towary. Cecylia przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

- Nie wiesz? - Reginald pochylił się, a jego oczy wydały się nienormalnie wielkie za soczewkami okularów. Zupełnie nie było po nim widać, że na dworze jest tak gorąco; idealnie zaczesane do tyłu włosy doskonale harmonizowały z bladą, inteligentną twarzą, kraciaste spodenki kąpielowe wyglądały prawie jak świeżo wykrochmalone. Jak gdyby właśnie wchodził na posiedzenie zarządu przedsiębiorstwa, pomyślała nagle Joanna. Otaczała go jakaś nieuchwytna aura siły i władzy, która nie opuszczała go nigdy. Cicho się roześmiała.

- Och, pochlebca! - Wdzięczyła się do niego, co chwilę przyglądając dłonią włosy. Nie zauważyła, że dokoła niej wiele osób wymieniało złośliwe, przemądrałe uśmiešky. Czy celem ich szyderstw była znowu Joanna Ingram? Nie? Na pewno nie? Nie, wskazywali na ukrytego za gazetą Billa i podśmiewali się ironicznie.

Lucille Babcock natomiast nie była tak dyskretna.

- Mój Boże, jak biedny stary Bill to znosi? Gdyby chociaż była piękna, ale gdzież tam. Jej uroda jest raczej krzykliwa i pretensjonalna, nie sądzicie? - Prychnęła, a jej długi cienki nos jak zwykle okazał się wprost idealny, gdy trzeba było okazać pogardę. Dzięki wieloletniej diecie Lucille miała szczupłe, ładne i jeszcze dość młode ciało, ale ukrywała je pod dobrze skrojonym kwiecistym kostiumem kąpielowym, który, jak sugerowali niektórzy, potrafiłby stać sam, gdyby go zdjęła i postawiła obok. Wzruszali też ramionami na jej pojęcie „tego, co jest właściwe”. Może to jest przyjęte w małym prowincjonalnym miasteczku na amerykańskim Południu, śmiali się, ale w Hongkongu stanowczo okazywało się nie na miejscu. Jednak Lucille, zupełnie nieświadoma tego, co się o niej mówi, majestatycznym ruchem poprawiała słomkowy kapelusz i rzucała niezadowolone spojrzenia na Joannę.

- Bill jest taki słaby - dodała. - Nie powinien jej pozwalać na publiczne flirty. Założę się, że wszyscy, łącznie z gubernatorem, wiedzą o tym. To chyba nie może mu pomóc w karierze, prawda?

- Może, jeśli J.E. również podziwia jego żonę - zażartowała od dawna mieszkająca w Hongkongu Sally Freeman. Lubiła bowiem i Joannę, i gubernatora, żartobliwie nazywając go J.E. czyli Jego Ekscelencją. Każdy żyje jak lubi, pomyślała i w symbolicznym ruchu zaprezentowała Lucille niezupełnie białe zęby. Szczerba na jej lewym przednim zębie dodawała pikanterii jej komentarzom, których Lucille ze swoim idealnym uzębieniem nigdy nie rozumiała.

- A tak właśnie jest - dodała.

- Cóż, nigdy nie pozwoliłabym się w ten sposób wystawić na pośmiewisko. Czy ten Bill nie ma w ogóle dumy? - Policzki Lucille zaczerwieniły się z oburzenia.

- Bill bardzo dobrze wie, jak sobie radzić z własnym życiem. On i Joanna żyją po prostu w taki właśnie sposób, ale w gruncie rzeczy bardzo się lubią. Czego nie można powiedzieć o wielu innych małżeństwach - odpowiedziała Sally złośliwie. Choć zwykle była bardzo łagodna i spokojna, teraz zirytowała się upałem i hałasem.

- Nie umiałabym tego znieść - odpowiedziała Lucille uparcie. - Natychmiast odeszłabym od mężczyzny, który by mnie oszukał. - Wachlowała się, z trudem znosząc upał letniego dnia.

- Jesteś tego taka pewna, Lucille? - spytała Frań Clements.

Rysy jej pociągłej twarzy ożywiła rozkoszna świadomość ukrywanej tajemnicy. Trąciła łokciami obie towarzyszki, które podniosły oczy i zapatrzyły się gdzieś w górę, ponad głowę Lucille. Nagle wszystkie poruszyły się naraz jak rząd drzewek, omiecionych nagłym powiewem delikatnego wietrzyku. Na ich twarzach pojawiły się konsternacja, rozbawienie i zainteresowanie. Lucille zmarszczyła brwi.

- Pewna czego? - zapytała. Niezdarnie pochyliła się do przodu na leżaku i dźwignęła się, aby zobaczyć to, na co patrzyli wszyscy inni.

Stał tam jej mąż Frank, ze swoją dużą, życzliwą twarzą z krótko przyciętymi włosami, na której w tej chwili malowało się przygnębienie. Obok niego, obejmując go w pasie, stała jego kochanka.

Joanna przerwała flirt z Reginalden) Hsu, gdy Tony zaczął natarczywie szarpać jej rękę. Zwykle pogodna buzia jej syna była teraz zacięta i uparta.

- Myślałem, że jedziemy - mruknął natarczywie.

- Cóż, mieliśmy jechać, kochanie, ale potem twój tatuś znowu zasnął i... - mówiła, przeciągając sylaby i spojrzała na miejsce, w którym zostawiła męża.

Nie było go tam. Potrząsnęła głową. - Znasz pana Hsu, prawda, Tony? Och, i panią Hsu?

Poniewczasie Joanna przypomniała sobie o Cecylii i odwróciła się, aby włączyć ją ponownie do rozmowy, ale Cecylia znajdowała się teraz nad brzegiem, gdzie oglądała zamek z piasku zbudowany przez Porcję, więc Joanna obróciła się do syna z przemiłym, pogodnym uśmiechem.

- Tak, cześć, proszę pana - Tony wyciągnął rękę i Reginald mrugnął do Joanny, kiedy oficjalnie witał się z jej synem. Chłopak zachowywał się sztywno i niezgrabnie, był najwyraźniej bardzo skrępowany. Rzadko się zdarzało, by jego manierom tak stanowczo brakowało wdzięku. Gdy spojrzał najpierw na matkę, potem na jej towarzysza, z oczu tego dziecka można było odgadnąć, że wie zbyt dużo. Najpewniej słyszał już plotki, rozsiewane przez innych chłopców, i jego zachowanie to potwierdzało.

- Tatuś poszedł pomóc pani Babcock - dodał Tony, jak gdyby to mogło przekonać matkę, że naprawdę powinni już iść. - Coś tam się stało.

Wszyscy troje odwrócili się, aby spojrzeć na gromadzący się pod drzewami tłumek.

Klaudia siedziała zanurzona z głową w zimnej, kryształowej wodzie i rozglądała się dokoła. Widziała wiele par nóg, dziwnie białych w tym niezwykłym falującym świetle, i całe akry jasnego piasku, podnoszące się i opadające w podwodnych wydmach przypominających pustynię. Dziewczynka wydmuchnęła sznureczek bąbelków i pożałowała, że Harry tego nie widzi. Jednak nie mogła go przekonać, aby włożył głowę pod wodę, a gdy próbowała go wciągnąć na siłę, walczył z nią rozwścieczony. Teraz połaskotała najbliższej stojące stopy i zdziwiło ją, gdy podskoczyły. I nagle ujrzała jakąś zaciekawioną twarz.

Klaudia wynurzyła się z wody. Była zakłopotana.

- Przepraszam. Myślałam, że to Harry - wyjaśniła, a jej policzki płonęły różowo, podobnie jak twarz speszzonego Tony'ego. Włosy chłopca ociekały wodą.

- Twój przyjaciel wrócił na plażę. A ciebie szuka mama. Przyszedłem cię do niej zabrać. - Wyglądała jakoś osobliwie, pomyślała Klaudia. Tony był najwyraźniej zakłopotany i rozzłoszczony, ale chyba nie na nią. Dziewczynka skinęła głową, a chłopiec głęboko zaczerpnął powietrza i mówił dalej: - Jest tam trochę zamieszania... Coś się stało między twoją mamą a tatą. Nie zdenerwujesz się, prawda?

Wziął ją pod ramię, wyprowadził z wody i powiódł przez tłumy hałaśliwych, zawziętych i poirytowanych plażowiczów do drzewa, pod którym stała matka małej. Kobiecie towarzyszył ojciec Tony'ego.

Klaudia nigdy przedtem nie widziała, by matka płakała. Teraz nie była zresztą wcale pewna, czy to jest rzeczywiście płacz, ponieważ matka nie wyglądała jak większość płaczących ludzi. Jej twarz była bardzo blada i pokryta ciemnymi różowymi plamami. Dziewczynka zauważyła jednak ślady łez i nabrzmiały nos. Pomyślała, że matka wygląda dziwnie. Klaudia posłusznie chwyciła wyciągniętą dłoń; była zaskoczona siłą, z jaką matka ją trzymała, pociągając ku sobie.

- Dobrze się przypatrz, Frank. - Głos Lucille był wysoki i chrapliwy. Kobieta wyteżała go, starając się, by jej słowa były zrozumiałe mimo łez i chwyającego ją za gardło poczucia wstydu. - Widzisz Liddie ostatni raz w życiu.

Słyszając to Klaudia podniosła oczy i dostrzegła wśród tłumu swojego ojca. Wyglądał na nieszczęśliwego i zakłopotanego. Uśmiechnęła się do niego wesoło.

- Cześć, tatku - szepnęła Frank obrócił wzrok.

- Musisz się tylko trochę uspokoić, Lucille. Pojedźmy do domu i porozmawiajmy o tym w cztery oczy, dobrze, kochanie? Nie trzeba, aby inni ludzie roztrząsali nasze sprawy.

Próbował się do niej uśmiechnąć, ale Lucille tylko dziwnie się roześmiała. Był to szaleńczy, gorzki dźwięk, który sprawił, że i tak już zażenowani, niechętni uczestnicy tej szczególnej sceny pożałowali, że nie znajdują się o setki mil stąd. Kilka osób, między innymi Fran Clements i Sally Freeman, z opuszczonymi głowami zaczęło się oddalać ku brzegowi zatoki.

- Wszyscy i tak już wiedzą o nas wszystko, Frank. Sam się przekonaj.

O niczym innym się tutaj nie mówi. A tak à propos, gdzie się podziała ta twoja mała dziwka? - Rozejrzała się wokół z wściekłością i ponownie szarpnęła Klaudię za rękę. Nie zwróciła uwagi na twarz Harry'ego, wypatrującego wśród tłoczących się wysokich białych ciał. Na twarzy chłopca rysowała się obojętność, zmieszanie i zakłopotanie. Nikt nie zauważył przyciskającego się z tyłu do nóg Harry'ego psa Wolfa, którego czarna przepalana sierść wyglądała jak posiwiałe włosy starca. Oczy zwierzęcia utkwione były w Harry'ego.

- Wysłałem ją do domu. A teraz chodź, Lucille. Jesteśmy dorośli. Możemy to załatwić w spokoju. Wiem, że to jest dla ciebie wstrząs...

Lucille rzuciła głośne przekleństwo, szokując tym męża, który nawet nie podejrzewał jej o znajomość takich słów. Potem pociągnęła Klaudię i równocześnie pospiesznie zarzuciła na ramię koszyk.

- Nie pojedziemy razem do domu, Frank. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć. Zostaw mnie, Bill, wiem, co robię. Pozwólcie mi tylko stąd odjechać. - Była blada i zawzięta, gdy przepychała się przez tłum i ciągnęła za sobą Klaudię, małą dziewczynkę, która zaczęła płakać z rozpacz, widząc, że jej ojciec nagle odchodzi w przeciwnym kierunku. Nie była pewna, co się dzieje, ale wiedziała, że musi to być coś złego, naprawdę złego, i była całkowicie przekonana, że zapamięta ten dzień do końca życia. Harry niepewnie podążył za nimi.

Były już prawie przy samochodzie, kiedy pędem podbiegł do nich Tony. Chłopiec niezdarnie i z zakłopotaniem wsunął coś w dłonie Klaudii. Dziewczynka rozejrzała się, szukając wzrokiem czegoś, a może kogoś. Jej głos załamał się, gdy zawołała: „Haarryy!”, kończąc wysokim piskiem. Tony stał w milczeniu i obserwował, jak Lucille wpycha do samochodu szlochającą córkę. Kierowca ruszył natychmiast i po sekundzie samochód zaczął się oddalać, stając się coraz mniejszą białą plamką wśród drzew, aż w końcu zupełnie zniknął za zakrętem.

Tony odwrócił się i nagle zatrzymał. Poczul ucisk w gardle, gdy zobaczył chłopca, z którym bawiła się na brzegu Klaudia. Stał smutny.

patrzył w ślad za samochodem, a krok za swoim panem czekał cierpliwie pies. Chłopcy popatrzyli na siebie w milczeniu, a potem twarz młodszego skrzywiła się; zacisnął powieki, aby powstrzymać łzy.

- Zostawiły mnie? - spytał, a Tony zacisnął usta i skępowany pokiwał głową, w obliczu ogromu tej zdrady zapominając o całej wcześniejszej urazie.

- Zdaje się, że zapomniały. Chodź - dodał, kładąc rękę na ramieniu chłopca. - Odwieziemy cię do domu. - Ale tamten ze złością strząsnął rękę białego chłopca. W oczach błyszczały mu łzy. I zanim Tony zdołał go zatrzymać, zniknął w tłumie, a pies przez chwilę rozglądał się z przerażeniem, po czym skowycząc zaczął biegać szaleńczo w kółko, szukając znajomej twarzy.

Tony poczul, jak ten skowyt przeszywa mu serce, uklęknął i odezwał się do niego łagodnie. Zwierzę ostrożnie zbliżyło się do niego, a wtedy schwycił je za kark, przemawiając do niego uspokajająco i głaszcząc je, aby przestało drzeć ze strachu.

- Cii, dobry piesek, kochany pies, wszystko będzie dobrze, pojedziesz z nami do domu. Będzie dobrze. - Z zaciętymi ustami Tony poprowadził psa powoli do miejsca, gdzie czekali rodzice.

A w samochodzie jadącym w kierunku Zatoki Repulse ciągle szlochająca Klaudia oglądała to, co dał jej Tony. W rękę trzymała rozgwiazdę.

- Dobry Boże, nie sądziłam, że ona mówi serio! Nigdy bym jej nie sprowokowała, gdyby przyszło mi to do głowy. Wszyscy tu śpią ze wszystkimi, tyle że, oczywiście... no, są na ogół bardziej dyskretni niż Frank...
- wypowiadając te słowa skonsternowana Fran Clements odgarnęła z twarzy włosy, które rozwiewał leniwy morski wietrzyk. Szła powoli ku brzegowi, dotrzymując kroku Sally Freeman.

- Mówisz o Joannie? Może masz rację, ale przecież i tak wszyscy wiedzą, z kim się włóczy, niezależnie od tego, jak bardzo stara się być dyskretna. Hongkong to zbyt plotkarskie miejsce, aby na dłuższą metę można tu było cokolwiek ukryć. Poza tym pamiętaj, że Lucille Babcock pochodzi z małego miasteczka. Jej poglądy na moralność są nieco inne niż obyczajowość Franka. Och, co za głupiec z tego faceta! No, sama powiedz, jak mógł przywieźć tę dziewczynę do Zatoki Repulse! I to w niedzielę! Co chciał przez to osiągnąć? Zaprezentować ją całemu światu? - Sally była wściekła jak nigdy, czując się winna, że nie zapobiegła jakoś całej aferze.

- To właśnie zrobił, Sally. Chciał ją pokazać wszystkim swoim kumplom, powiedzieć: „Popatrzcie na nią, czyż nie jest wspaniała, widzicie, jaki ze mnie ogier”? Ale dlaczego nie pomyślał, że Lucille może tu być...

- Ona nie lubi plaży, pamiętasz? Pewnie sądził, że jego żona siedzi z dziećmi w domu. Boże, to jej spojrzenie... Miałam wrażenie, że ona za chwilę zamieni się w kamień albo że przynajmniej mu dosunie. Biedna kobieta! Hmm, ciekawe, co ma zamiar teraz zrobić?

- A co Frank zamierza? - Fran Clements wyjrzała na ostatnich surferów na coraz mniejszych wieczornych falach.

- Może wprowadzi do swego domu kochankę, aby zastąpiła Lucille - odparła cierpko Sally. - Czy nie tak postępują tu wszyscy mężczyźni? A reszta będzie żyć tak samo jak dotąd, Joanna pójdzie do łóżka z tym, nie da się ukryć, dość przystojnym Reginaldem...

- Och, na pewno nie. Nie teraz! Nie po tym, co widziała dzisiaj. Nigdy nie zaryzykowałyby utraty Billa i dzieci.

- Ależ tak będzie, zobaczysz. Joanna należy do osób, które zawsze myślą, że mogą robić wszystko, na co mają ochotę. I, ogólnie rzecz biorąc, rzeczywiście robi, co chce. Już od jakiegoś czasu nie spuszcza oka z Reginalda Hsu, a, powiedzmy sobie szczerze, jest to człowiek majątny i liczy się na tutejszym rynku... Tyle że czasami robi wrażenie, jakby się uważał... no, nie wiem, za

kogoś, kto stanowi sam dla siebie prawo lub nawet jest ponad prawem. Cóż, mogę zrozumieć, że jest pod wieloma względami atrakcyjny. - Sally wymówiła wszystkie te słowa niedbale, a jednocześnie niemal prowokująco.

- Czy to był główny powód, dla którego Joanna poślubiła Billa? - spytała Fran, przerywając Sally.

- Och! Więc nie tylko mnie się zdaje, że w Billu Ingramie jest coś więcej niż się powszechnie uważa? - Sally roześmiała się lekko, rzucając Fran wszechwiedzące spojrzenie. - Mimo że nie pasuje do mojego wyobrażenia pracownika administracji państwowej, nie byłabym jednak wcale zaskoczona, gdyby zajmował się sprawami, które rzadko trafiają na łamy prasy.

Błysnęła szczerbatymi zębami, posyłając swej towarzyszce figlarny uśmiezek. Brwi Fran uniosły się ze zdziwienia.

- Chcesz powiedzieć, że jest...?

- Szpiegiem? Mój Boże, czy to słowo nie brzmi zabawnie, gdy się je wymówi głośno? Może czasem rzeczywiście wykonuje jakieś zadanie dla wywiadu. Może i tak... - Sally zadumała się, a potem wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek znał prawdę. Pewnie nie poznamy jej nigdy.

Zrobiło się późno, kiedy Harry nareszcie wrócił do domu. Podwiózł go stary chiński farmer drewnianym wozem, który na krętej drodze prowadzącej do Centralu kołysał się, podczas gdy w klatkach z tyłu przez cały czas trzepotały skrzydłami i gęgały gęsi. Chłop wysadził

Harry'ego przy Zachodnich Dokach, a stamtąd chłopiec tak długo szedł stokiem góry Victoria, aż dotarł do dzielnicy Mid-Levels, gdzie mieszkali Babcockowie. A w domu trafił w sam środek zamieszania.

Wszędzie na podłodze największego pokoju stały porozstawiane walizki i pudła, a matka Harry'ego na klęczkach zawijała w bibułę rzeźbę, która zawsze stała na stoliku przy wejściu od frontu. Kobieta podniosła oczy na syna, kiedy chłopiec nieśmiało wsunął głowę przez drzwi, i na jej twarzy na moment pojawiła się ulga, a z ust wydobył się krótki pomruk zadowolenia. Skinęła mu głową i gestem odesłała go do służbówki. Harry niechętnie odwrócił się i odszedł.

Znalazł Klaudię i jej brata Marka w kuchni. Siedzieli razem na podłodze, ręka chłopca otaczała ramię dziewczynki. Kiedy drzwi się otworzyły, oboje spojrzeli w górę. Miny mieli posępne.

- Harry! Jak dobrze, że trafiłeś do domu! Cały czas mówiłam mamie, że cię zostawiliśmy, ale nie chciała mnie słuchać... - W tej chwili Klaudia

przypomniała sobie, dlaczego matka nie słuchała, i rozplakała się, na nowo odczuwając smutek. - Wyjeżdżamy, Harry - dodała. - Mama zabiera nas do Ameryki.

- Nie mnie... mnie nie zabierze! - Mark zgrzytnął przez mocno zaciśnięte zęby. Strząsnął z oczu jasne włosy i głęboko zaczerpnął powietrza. - Nie jadę. Zostaję tutaj z tatą.

- Ale mama mówi... - zaczęła się cicho spierać Klaudia.

- Mama nie może mnie zmusić. A tato na pewno zechce zatrzymać mnie przy sobie. - Mark był uparty i zdecydowany. Przez chwilę patrzył na młodszą siostrę, jak gdyby się nad czymś zastanawiał, a potem potrząsnął głową i dodał: - Ty jesteś dziewczyną, więc musisz jechać z mamą. Peggy też. Ale ja jestem chłopcem. Zostanę z tatą.

- A co z Harrym? - klóciła się dalej Klaudia. - Jest chłopcem, a został ze swoją mamą. - Spojrzała na Harry'ego, który przykucnął na podłodze obok nich i próbował zrozumieć, co się dzieje z jego światem.

- To co innego. Jego tato go nie chciał - odparł brutalnie Mark i Harry aż się wzdrygnął.

- Czy Harry i Ah Lin też jadą z nami? - spytała nagle Klaudia, jej usta otworzyły się szeroko, jak gdyby nagły, potworny strach wyssał jej całe powietrze z płuc.

Patrzyła na brata szeroko otwartymi, czujnymi oczyma.

- Nie bądź głupia, Liddie. Harry i jego matka są Chińczykami. Zostają tutaj. - Mark spojrzał na Harry'ego i zobaczył, że wątłe ciało chłopca zaczyna drżeć, a w skośnych oczach widać coraz większy ból. Zakłopotany, chrząknął. - Ale Ah Lin powiedziała, że nie zostanie tutaj. Nie z tatą, jeśli on sprowadzi tę swoją dziewczynę. Więc Harry pojedzie do innego domu, gdzieś, może... Nie wiem. - Mark wzruszył ramionami, jak gdyby było mu to zupełnie obojętne. A potem nagle wstał, patrząc spode łba, gdy odsuwał od siebie Klaudię. - Muszę wyjść - oświadczył i Klaudia zobaczyła, jak ze złością przejechał ręką po twarzy, jakby ścierał niewidoczne pajęczyny.

- Przecież mama powiedziała, żebyśmy nigdzie nie wychodzili, Mark - głos Klaudii podniósł się, kiedy jej brat nadal szedł w stronę kuchennych drzwi. - Wścieknie się, jeśli nie znajdzie cię tutaj, kiedy będziemy wyjeżdżać.

- Powiedz jej, że nie jadę, Liddie - przerwał siostrze Mark, potem chwilę milczał odwrócony do niej plecami, a kiedy się odezwał, jego głos był bardzo spięty i piskliwie wysoki. - Powiedz jej, że nie chcę, aby była dłużej moją mamą, skoro opuszcza tatę. Nie chcę i już!

Wypadł za drzwi, które zatrzasnęły się za nim gwałtownie.

Harry i Klaudia siedzieli skuleni na podłodze pod kuchennym stołem. Ich twarze wykrzywił żal, którego do końca nie rozumieli, ale wiedzieli, że w porównaniu z nim, ich dotychczasowe dziecięce smutki są niczym. A kiedy Lucille weszła do kuchni, szukając Klaudii, Harry chwycił dziewczynkę mocno i nie chciał się ruszyć z miejsca. Dopiero gdy Ah Lin odciągnęła wrywającego się jej, szlochającego chłopca, Lucille zdołała podnieść Klaudię i wynieść ją z pomieszczenia.

Przez całą drogę do taksówki Klaudia słyszała głos Harry'ego, który wołał za nią z korytarza:

- Nie opuszczaj mnie, Liddie, proszę! Błagam, Liddie, nie jeeedź!

RS

Rozdział drugi

Wioska Tai Chau, Nowe Terytoria Rok 1972

Hany wsunął kilka kawałków wieprzowiny zawiniętych w grube winogronowe liście w szczelinę przy kamiennym lwie, do którego się zwykle modlił, i pospiesznie odsunął się o krok od figury. Spojrzał za siebie, ale na szczęście w zasięgu wzroku nie było nikogo. Cicho westchnął z ulgą, a potem szybko się pokłonił lwu. Z kieszeni wyjął laseczkę kadzidła i pudełko zapalek i jeszcze raz jednym susem zbliżył się do szczeliny. Włożył w nią laseczkę i zapalił. Cieniutka wstążeczka słodko pachnącego dymu zachwiała się i zaczęła się przesuwac obok kamiennego nosa, aż zniknęła w migoczącej fali rozpalonego żaru. Harry z pomrukiem zadowolenia zaczął schodzić dróżką, od czasu do czasu spoglądając za siebie na lwa siedzącego wśród drzew. Nie dostrzegał tam żadnego ruchu.

Dotarł do wioski tuż po zmroku. Światła rybackich łódek kołysały się na falach zatoki. Na betonowe ściany kanału padały długie cienie: nad paczkami suszonych ryb pochylały się psy. Całe powietrze pachniało tu rybami. Gdyby się miało otwarte usta, można by było je poczuć na swoim języku. Harry przyspieszył kroku.

- Ho Li? Czy to ty? - Nadali mu tutaj takie imię, ponieważ jego dźwięk wydawał im się najbardziej podobny do europejskiego imienia Harry'ego. Stara kobieta, która kuciała w cieniu pod oknem, grzebiąc w prymitywnych kosзовych ulach, była pokręcona przez reumatyzm. Ule zwisały z okapu, a stara zręcznie wyjmowała z nich plastry miodu. Chłopiec podszedł do niej, starając się nie zbliżać zbyt do bzyczących z oburzeniem pszczół. Dokoła głowy babki dostrzegł obwiązany siatką i okutany chiński kapelusz kuliski.

- Tak babciu, to ja. Popatrz, przyniosłem trochę gałęzi. - Podniósł w rękach pęk odartych z kory krótkich gałęzek z sosnowych drzewek rosnących na wzgórzu w pobliżu figury kamiennego lwa i pokazał kobiecie, która aż zarechotała z zadowolenia.

- Tak, tak, ale nie stój tak z nimi. Idź i szybko je schowaj w magazynie. Tylko pamiętaj, dobrze ukryj. Nie chcemy przecież płacić kary! - Wszyscy kradli gałęzie na opał dla swoich piecyków i lokalny policjant dobrze o tym wiedział, ale musiał udawać, że robi coś w tej sprawie i rzeczywiście, co jakiś czas, obarczał grzywną kogoś, kto lekceważył prawo zbyt bezczelnie. Harry skinął głową i, przeskakując po kilka stopni, wszedł po drewnianych schodkach do sklepiku osady.

Gdy znalazł się w środku, ucichło bzyczenie pszczół, ale hałas dochodzący ze sklepu był jeszcze głośniejszy. Wszędzie znajdowali się ludzie, którzy rozmawiali, grali w mah-jonga lub słuchali radia; nawet jakieś nagie dziecko spało na workach z ryżem. Kilka osób tłoczyło się wokół stosów towarów, wybierając artykuły żywnościowe, zapasowe sieci, mydła, baterie do latarek i słodkie biskwity, grzebało wśród stojących donic i wiszących pojemników, spychało ze swej drogi słomiane i wiklinowe kosze, chcąc dotrzeć do jakiejś szczególnie potrzebnej i nieuchwytniej rzeczy. Harry minął trzyletnie chyba dziecko, które wymachiwało pieniędzmi i coś wykrzykiwało, kręcąc się między nogami dorosłych zebranych przy ladzie, po czym dotarł do drzwi składziku i zatrzymał się przed nimi na chwilę, rozglądając się dokoła.

Grupki ludzi rozmawiały mieszaniną dialektów hakka i punti, zwanym w miastach dialektem kantońskim, i Harry słuchał ich chętnie, mając nadzieję, że usłyszy, co się dzieje po przeciwnej stronie zatoki, na wyspie Hongkong, a zwłaszcza dowie się czegoś o matce. Jednakże tematem tych rozmów były tylko przypyływy i odpływy morza, pogoda oraz zbiór ryżu. Przede wszystkim ludzie użalali się nad sobą, że uprawa zupełnie się nie opłaca, ponieważ ryż przywożony z Tajlandii i Chin jest dużo tańszy. Harry westchnął, odwrócił się i nagle się wzdrygnął, przestraszony widokiem mieszkańca łodzi niewiele starszego od niego. Chłopak roześmiał się szyderczo.

Harry przebywał u rodziny matki w Tai Chau od trzech lat. A więc tyle właśnie czasu upłynęło, odkąd Babcockowie wyjechali, a jego matka poszła na służbę do innej rodziny. Trzy lata, jak go od siebie odesłała... Przechodząc kopnął drzwi, trochę po to, aby pokazać chłopcu z łodzi, że wcale się go nie wystraszył, a trochę dlatego, że był sfrustrowany faktem, iż ciągle się znajduje w tej wiosce, mimo żarliwych codziennych modlitw kierowanych do kamiennego lwa.

Nie podobało mu się chłopskie, wiejskie życie. Szkołę zamknięto, ponieważ osada nie mogła znaleźć nowego nauczyciela, a do któregoś z większych miast było zbyt daleko. Działał w wiosce tylko jeden sklep, właśnie ten sklepik jego wuja, nie było tu kin, tramwajów ani łodów. Żadnych przyjemności, żadnych rozrywek. Nie było nawet elektryczności! Zamiast tego była praca... nie kończąca się praca - uprawa warzyw: kapusty, bakłażanów, pieprzowców chili, kukurydzy, porów, rukwi wodnej i innych. A poza tym Harry musiał pomagać ciotce w sklepie, babce w gotowaniu, wujowi przy naprawie sieci i ustawianiu towarów na półkach i tak dalej...

Była praca i nie było Liddie, której pomoc z pewnością bardzo przyspieszałyby wykonanie każdej czynności, Liddie, z którą mógłby się pośmiać i której mógłby się wyzalić, gdyby życie stało się w pewnej chwili już naprawdę nie do zniesienia. Westchnął, usiadł na worku ze zbożem i oparł się o ścianę, a potem zamknął oczy, aby choć przez moment zobaczyć oczyma wyobraźni tę ciemnowłosą dziewczynkę. Uśmiechała się do niego z figlarnie przekrzywioną główką. Jednak wizja szybko zbladła, stała się niewyraźna i nie mógł jej na nowo przywrócić. Znowu westchnął.

Może tym razem jego modlitwy zostaną wysłuchane? Może jego matka zechce go wkrótce mieć z powrotem przy sobie?

Na szczęście dawno temu przestali z niego szydzić tutejsi chłopcy. Zaakceptowali go jako swojego, mimo że ojciec Harry'ego był Portugalczykiem. Ale chłopcu z pewnego powodu akceptacja otoczenia bardziej chyba nawet doskwierała niż wcześniejszy ostracyzm. Wcale nie pragnął być uznawany za jednego spośród nich. To było zbyt przerażające, bał się, że rzeczywiście stanie się, będzie jednym z nich. A on nie chciał mieszkać w miejscu, całkowicie obcym dla kogoś takiego jak Liddie, prowadzić życie, którego jego przyjaciółka nigdy nie zechciałaby z nim dzielić. Nie miał ochoty na to, nie zamierzał przecież zostać chińskim wieśniakiem!

Jednakże gdy o tym myślał, zawsze pojawiał się w nim stary, palący strach, szarpał nim, kazał się zastanawiać, kazał myśleć. Czy rzeczywiście ośmieliłby się spróbować być kimś innym? W jego żyłach płynęła krew białego człowieka, był tylko półkrwi Chińczykiem. Połówką tego i połówką tamtego. Niczym całym. Europejczyk przezierający spod skóry Chińczyka. Nie, Europejczykiem na pewno nie był. Uderzył ręką płasko o drewniane deski. Nie, nie, niestety nie jestem taki jak mój ojciec, który nas opuścił zaraz po moim urodzeniu, pomyślał ponuro.

W magazynie było ciemno i duszno, pachniało suchymi konopiami i zbożem, ostrą wonią przypraw i starymi sieciami moczonymi w mieszance z kory drzewa mangrowego i świńskiej krwi. Nienawidził tego smrodu, ale składzik stanowił jedyne miejsce, w którym mógł się schować przed wszystkimi, gdzie mógł być z dala od nich, od ich natrętnych głosów i wścibskich oczu. Wiecznie czuł na sobie ich wzrok, stale gapili się na niego i szeptali coś do siebie albo kiwali głowami. Tak, tak, starzy ludzie wiedzieli. Wiedzieli, że on tu nie pasuje. Harry przycisnął do nosa jodłowe gałęzie i wdychał głęboko ich ostry, drażniący gardło zapach.

Zbliżał się czas żniw i ciotka będzie na niego wściekła, jeśli zacznie go szukać i nie znajdzie tam, gdzie być powinien: przy kamiennym nabrzeżu albo na plaży, ganiającego się z innymi chłopcami i psami. Nigdy nie rozumiała, dlaczego ciągle chciał być sam. Nie rozumiał też tego wuj, mały człowieczek o krzywych, kabłąkowatych nogach i olbrzymich uszach, które odstawały z boków głowy, nadając mu wygląd dobrodusznego trolla.

Ciotka miała nalaną twarz' i była wyższa od męża. Niezmiennie ubierała się w ciemne kimonowe, podobne do piżamy siam-fu, a twarz ukrywała pod falującą czarną woalką, która przykrywała typowy dla kulisów kapelusz. Jej drewniane pantofle klekotały głośno, gdy chodziła po podłodze. W polu pracowała na bosaka, jak wszyscy, ale do sklepu zawsze wkładała te buty, przybierając ponury, zacięty wyraz twarzy.

Całą wieś zamieszkiwał jeden klan - Tangowie, więc Harry mógł liczyć swoich kuzynów i krewnych na dziesiątki. To była mała, biedna osada, zabudowana przeważnie jednopiętrowymi chałupami skleconymi z błota i cegły. W tych domach wszystkie framugi drzwi, ościeżnice wejściowe i nadproża wykonano z czerwonej dachówki, zamiast podłogi była ubita ziemia albo, jak w przypadku wioskowego sklepiku, surowe drewniane deski.

Na chodniki i ulice osady wylano chropowaty beton lub ubito po prostu ziemię. Wycinano w nich kanaliki, którymi ze stojących przy ulicach domów mogła odpływać do strumienia woda. To właśnie nad nim zbudowano większość z tych bielonych wapnem chat, otoczonych uprawianymi jedynie za pomocą własnych rąk polami w kolorze pięknej soczystej zieleni. Przed wiatrem i kurzem chronił wioskę wielki gaj drzewek bananowych, pod którymi każdego dnia zwabieni ciepłem zasiadali starcy, godzinami tocząc nie kończące się rozgrywki w mah-jonga.

Ściany domów oraz kapliczki przodków porastały barwne bugenwille. Ich ostry zapach mieszał się ze słodką wonią dymu z kadzideł i aromatem kwiatów, które składano ku czci zmarłych. Kapliczki maleńkie, zdolne pomieścić zaledwie cztery osoby naraz, znajdowały się przed progiem każdego mieszkalnego budynku. W oczy rzucały się połyskujące jaskrawą czerwienią i złotem obrusy, a często również portret zmarłego dziadka lub babki ustawiony w widocznym miejscu. Pożłota zwykle już dawno się zniszczyła, a drewno było poroższczepiane od wilgoci.

W cieniu leżały dziesiątki kundli z zakręconymi ku górze ogonami i łypiąc oczyma wdychały wypełniającą powietrze woń gorącego tłustego jedzenia.

Klan Tangów pochodził od imigrantów z głębi Chin, narodu Hakka, przybyłego jakieś trzysta lat temu, natomiast ich sąsiedzi mieszkający w pobliżu na łodziach pochodzili z ludu Tanka. Nazywano ich „ludźmi jajowymi”, ponieważ kiedyś podatki płacili w naturze: jajkami zamiast pieniędzmi. Przymierze między tymi dwiema grupami było słabe i wątpliwe, ale trwało w tej formie, odkąd pamiętali je najstarsi. Tanka żyli w zatoce na małych, szybkich sampanach i dżonkach, stanowiąc wiecznie falującą społeczność, skupioną blisko siebie w labiryncie pomostów prowadzących z jednej łodzi na drugą; zwykle trzymali się z dala od mieszkańców kamiennych domków.

Harry zewsząd słyszał opowieści o Tankach, którzy mieli po sześć palców u każdej stopy i spożywali dziwne jedzenie, a wszystkie tego typu opowieści powodowały, że drżał z uprzedzenia i strachu. Tamci nie chodzili do świątyń ani kapliczek, mieli swoich własnych bogów, nazywanych tai wong ye, których czcili w innych okolicach wybrzeża. Kiedyś zakazywano im wstępu do cesarskiej służby państwowej, żenić się z ludźmi z lądu, a nawet na nim żyć. Babka Harry'ego, o pachnącym anyżem oddechu i obwisłych ciężkich płatach pomarszczonych policzków, wspierając się na ramieniu chłopca, często szeptała mu wstrętne słowa o Tankach, słowa, które sprawiały, że Harry trząsał się ze strachu, kiedy w nocy musiał wychodzić na dwór, aby wypakować kosze. Dzięki opowieściom babki trzymał się więc z dala od obcych, nawet kiedy przychodzili na brzeg, aby odwiedzić sklep.

Jego wuj jednak najwyraźniej nie miał nic przeciwko nim i nawet nie pobierał od nich opłat za składowanie zimowych ubrań albo zapasowych sieci czy lin, przeciwnie niż cała osada, która kazała Tankom płacić za wszystko: za trawę lub drewno zbierane na wzgórzu na podpałkę, a nawet za oczyszczanie łodzi skrobanych dwa razy w miesiącu na plaży. Wuj Harry'ego mawiał, że tak postępować się nie godzi, ale nikt go nie słuchał, ponieważ wszyscy wiedzieli, że jest za miękki i bez końca pozwala klientom kupować na kredyt.

Wraz z kuzynami Harry często szpiegował Tanków, próbując zliczyć palce u ich stóp, kiedy kręcili się po sklepie, oglądając sznury i haki, szklane kule i powłoki na boje. Kiedy jakiś Tanka odkrywał jego obecność, uciekał co sił w nogach, krzycząc ze strachu i podniecenia.

Mieszkające na łodziach dzieci w jego wieku albo nawet młodsze umiały naśladować te dziwaczne ruchy wioślarskie nazywane yu loh. Płynąc między brzegiem a swoimi wodnymi domami, Tankowie wyginali się i przesuwali w przód i w tył, a obiema rękami władali z nadzwyczajną zręcznością i łatwością.

Harry i jego kuzyni obserwowali te dzieciaki niespokojnie, ze złościwością i nieufnością wpojoną im przez babkę.

Teraz Harry położył się na plecach na worku z ziarnem i zaczął sobie przypominać chłopca z łodzi, którego widział przed chwilą. Butny, arogancki, brzydki chłopak, wyższy od niego o jakieś cztery cale. Miał szerokie dłonie i stopy oraz wydatny, bulwiasty nos. Leżąc w bezpiecznym mroku Harry wyobrażał sobie dowcipne i obraźliwe słowa, które mógł tamtemu powiedzieć, a które z pewnością powie następnym razem. Nagle, wbrew sobie, zadygotał.

Leżał bez ruchu jeszcze przez jakiś czas, myśląc, jak to będzie przyjemnie, kiedy wreszcie wróci do Victorii, ekskluzywnej dzielnicy Hongkongu. Godzinami będzie gawędził z matką, pójdzie do szkoły i będzie się uczył, aby zostać kimś ważnym, jak jego ojciec. A te wszystkie rzeczy, które zawsze pragnął mieć, kupi sobie w sklepach Wanchai i przy Causeway Bay. Nie przyszło mu do głowy, nawet w marzeniach, że mógłby robić zakupy w Centralu, dzielnicy handlowej z kosztownymi butikami dla Europejczyków i miejscowych milionerów.

Nie, o tym nie pomyślał, ale marzył sobie, że chodzi po alejkach Wanchai, ogląda wszystkie możliwe towary, przymierza ubrania, próbuje jedzenia sprzedawanego na straganach dai pai dong, obserwuje ptaki śpiewające wysoko w małych bambusowych klatkach... i marzył, że towarzyszy mu Liddie, która wróciła do Hongkongu specjalnie dla niego... Och, byłoby tak wspaniale!

- Ho Li? Hoo-lii! - zawołał czyjś daleki głos, stłumiony przez ściany składziku. Harry zeszywniał i usiadł prosto, wstrzymując oddech. Głos się przybliżał, stawał się coraz bardziej piskliwy i nagle drzwi się otworzyły. Na worki i drewniane deski padło żółte światło. - Ho Li! Co tu robisz? Nie słyszałeś, że cię wołam? - Usłyszał ciężkie westchnienie ciotki. - Potrzebuję twojej pomocy. Wychodź natychmiast. Kobieta mówiła ostrym, poirytowanym głosem. Teraz wyciągnęła do chłopca mocną rękę. Siłę tej ręki Harry znał bardzo dobrze, gdyż już kilka razy poczuł ją na swoich pośladkach, toteż szybko zaczął wstawać.

- Przepraszam, ciociu. Ja tylko się zamyśliłem...

- Ciągłe o czymś myślisz. Jaki z tego pożytek, może mi powiesz... Nie ma nikogo do pomocy w sklepie, a twój wuj wyjechał, aby doręczyć zamówione zakupy. Sama nie dam rady, wiesz przecież. Twoja babka powiedziała, że nie czuje się dobrze, a ja muszę jeszcze zrobić kolację i posprzątać... Twój kuzyni cały czas pomagają wujowi, a ty sobie siedzisz i marzysz.

- Przepraszam, ciociu - powtórzył potulnie Harry, nie próbując się z nią dłużej spierać. Wyszedł ze składziku za ciotką i zanurzył się w zgiełk i zamieszanie panujące w sklepie.

Dwa dni później znowu spotkał tego samego młodego mieszkańca łodzi, ale niestety nie mógł mu wtedy powiedzieć tych wszystkich złośliwości, tych odważnych i ciętych słów, które sobie przygotował. Jedyne, co mógł wyrazić, to podziękowanie, ponieważ mały Tanka uratował go właśnie tego dnia przed utonięciem.

Harry przechodził przez potok w zarośniętym drzewami miejscu, na wzgórzach za wioską i swoją doliną. Wracał właśnie od kamiennego lwa, do którego jak co dzień się modlił o to, aby matka zabrała go do siebie i wyzwoliła z tego wiejskiego życia, gdy nagle się poślizgnął na kępce mokrego mchu i upadł, uderzając głową o ostre kamienie, ułożone na strumyku zamiast kładki. Woda natychmiast zaczęła chłopca ciągnąć coraz bardziej w dół, a on popadł w jakieś półodrętwienie i z pewnością utonąłby jak nie chciane szczenię, gdyby nie mały Tanka, który znalazł się tam, gdzie z pewnością być nie powinien.

Wyłowił Harry'ego za pomocą długiej gałęzi i wyciągnął go na brzeg, a potem kilka razy klepnął lekko w twarz, próbując go ocucić. Harry zakaszłał i zwymiotował, czując w ustach krew. Odwrócił głowę przed ciosami, zakaszłał jeszcze raz i znowu zwymiotował rzadką rozwodnioną żółcią. Poprzez krew i splątane włosy opadające mu na oczy spojrzał w górę, a wtedy zobaczył szeroką twarz o spłaszczonym nosie ze swoich nocnych koszmarów i, ku swego wielkiemu zaskoczeniu, rozbawienie w małych ciemnych oczkach, które na niego patrzyły. Mały Tanka pociągnął nosem i przestał uderzać Harry'ego.

- Nie umiesz pływać? - spytał wyniośle, ale i ze współczuciem, i umiejętności pływania dla ludzi z łodzi zapewne oznaczała to samo, co chodzenie dla ludu Hakka. Dla Tanki z pewnością było nie do pomyślenia, że ktoś może nie czuć się w wodzie jak ryba. Harry skupił się, aby zrozumieć zniekształconą wersję dialektu Hakka, po czym potrząsnął głową.

- Poślizgnąłem się i uderzyłem w głowę - dodał, jak gdyby to tłumaczyło jego nieumiejętność pływania.

Chłopak chrząknął.

- Jesteś synem P'u Ch'iha, prawda? Z wiejskiego sklepiku. - „Stuk-stuk, lewa stopa”, jak nazywano wuja Harry'ego z powodu kalectwa, był z pewnością dobrze znany Tankom. Harry zakaszłał ponownie.

- Nie. Jego siostrzeńcem. Jestem Euroazjata - oświadczył szybko. Nie był przecież jakimś ciemnym synem sklepikarza. Jego ojciec był prawnikiem, co najmniej prawnikiem... A może nawet lekarzem. Nie był pewien, ale, rzecz jasna, pan Braga musiał być kimś ważnym. Harry był o tym święcie przekonany. Mały Tanka uśmiechnął się, jego oczy zmarszczyły się w wąskie szparki, a nos podniósł się i rozciągnął na całą twarz. To był bystry, drwiący uśmiezek.

- Ach, tak! Eurazjata! Twój ojciec to pong-pan - mruknął chłopiec. Harry zaczerwienił się. Określenie pong-pan oznaczało człowieka białego, urodzonego w Hongkongu, który poślubił Chinę i mówił potocznym językiem chińskim. Ogólnie mówiąc, kogoś na kierowniczym stanowisku, ale podlegającego władzy prawdziwego szefa, którym był tai-pan. Harry gwałtownie zaprzeczył.

- Nie! Mój ojciec jest ważnym człowiekiem. Bardzo ważnym. To portugalski dżentelmen, ale musiał... hmm, wyjechać stąd. Wrócił do domu, do Portugalii.

- Ach! Do domu? Twój dom jest tutaj, mała rybo, i musisz się jak najszybciej nauczyć pływać. Wiesz, ja również nie mam ojca. Zginął na morzu podczas sztormu. Wiele lat temu. Mamy więc z sobą coś wspólnego. Ja muszę dobrze się nauczyć mówić w punti, a ty musisz się nauczyć pływać w nasz chiński sposób. - Chłopiec znowu zmarszczył nos.

- Co to znaczy chiński sposób? Pływanie to pływanie - odezwał się szorstko Harry.

Ale mały Tanka potrząsnął głową i palcem wskazał świątynię.

- Istnieją różne rodzaje pływania. Ty musisz zacząć pływać z prądem, nie przeciwko niemu. Jesteś Hakka, mówisz w dialekcie hakka, żyjesz z tym ludem i musisz się nauczyć być Hakką albo, w przeciwnym razie, będziesz musiał stąd odejść i nauczyć się być kimś innym, może kimś lepszym? - Chłopiec uśmiechnął się, szczerząc brzydkie połamane zęby w szerokim grymasie.

- Jestem półkrwi Europejczykiem. - Oddech Harry'ego był zastanawiająco płytki, coraz płytszy i Harry nagle poczuł dziwny strach. Jego słowa były ledwie słyszalne, gubiły się w braku tchu.

- Połowa to, niestety, nigdy nie jest całość. Pół nie wystarczy, nie wiesz o tym? Musisz być czymś całym. Może całym Chińczykiem? Nie Hakką, nie Punti albo Tanką, ale po prostu Chińczykiem. Może... - Chłopiec obserwował Harry'ego z głową przekrzywioną na bok. Nagle wzruszył ramionami.

- A co z tobą? Kim ty jesteś? Tylko Tanką! - mruknął pogardliwie Harry.

Uśmiech chłopca zniknął.

- Jestem sobą. To wystarczy. Ty jesteś tym, za kogo uważają cię inni ludzie, a ja jestem sobą.

Dumnie wyprostował się, wypiął pierś i popatrzył Harry'emu prosto w oczy. Ten zarumienił się i odwrócił wzrok, a wtedy chłopiec Tanka się roześmiał.

W tej samej chwili nieoczekiwanie spośród mrocznych, przyćmionych, ledwie widocznych w porannej mgłę i rosie drzew wyłonili się trzech chłopcy. Byli to kuzyni Harry'ego. Wszyscy trzech naraz zatrzymali się i zawahali przez chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, kim są stojące przed nimi postaci. Później, gdy podeszli bliżej i zobaczyli krew płynącą po twarzy Harry'ego, a obok niego zaśmiewającego się do rozpuku chłopca Tanke, ich decyzja mogła być tylko jedna: ruszyli z pomocą swemu krewniakowi. Harry nie widział, jak się zbliżali, ponieważ był zbyt zajęty rozważaniem słów właśnie wypowiedzianych przez swego młodego wybawiciela: „Jestem sobą”. To mu wystarczało, to wystarczało temu chłopcu... Ciekawe!

Z wściekłością i gniewem trzech młodych przedstawicieli klanu Tangów natarło na małego Tankę i zaczęło go kopać i bić po głowie i ramionach bambusowymi drągami, które służyły im zwykle do zrównoważenia noszonych ładunków drewna. Ich oburzone krzyki były coraz bardziej radosne, przechodząc powoli w wesołe pomruki. Młody rybak upadł na ziemię, skulił się jak embrion, podciągając pod siebie nogi, i wielkimi dłońmi osłaniał głowę. Wyglądał jak gliniana figurka małpy, a kopniaki chłopców stawały się coraz mocniejsze, coraz śmielsze. Tymi kopniakami przekazywali część wpojonej im przez babkę nienawiści.

- Nie, nie! Puście go! Nie róbcie mu krzywdy! - krzyczał ochrypłym błagalnym głosem Harry, odpychając kuzynów, poszturchiwany przez nich niechcący w ferworze walki. Oczy łzawiły mu od zalewającej je krwi i bólu spowodowanego uderzeniem w głowę. - Przestańcie! Dość tego! - zawył.

Trzej chłopcy niechętnie przerwali bicie i spojrzeli zakłopotani na kuzyna. Dlaczego broni Tanki? Przecież Tankowie to ludzie nic nie warci! Dyszeli ciężko, z ich ust wydobywała się para, osnuwając ich mgiełką, sapali wydając z siebie dźwięki przypominające stłumione, tępe łomotanie serc. Ofiara początkowo głucho milczała.

Potem powoli Tanka zaczął się podnosić, patrząc w górę na pochylone nad nim twarze, na nienawiść i strach widniejące na twarzach trzech chłopców i konsternację malującą się na czwartym obliczu. Stali nad nim w półmroku wszyscy czterej, groźni, ponieważ było ich tak wielu, a on był sam. Powieki

małego Tanki opadły; chłopiec zamknął oczy, skrywając swe myśli. Próbował wstać, przewrócił się na bok i jeden z tych czterech, chłopiec, na którego wołano Ho Li, wyciągnął rękę, aby mu pomóc. Tanka wiedział, że tamten zrobił to bezwiednie, wiedział, że gdyby Ho Li miał czas zastanowić się nad swoim czynem, nawet by się nie poruszył.

Chwilę stali twarzą w twarz, zaciekawieni mierzyli się wzrokiem, aż nagle chłopiec z łodzi zrobił coś bardzo dziwnego. Zamoczył palec we krwi spływającej z własnych skaleczeń, a następnie dotknął nim twarzy Harry'ego, w miejscu, gdzie krew ciągle jeszcze ciekła po policzku. Zrobiwszy to, uśmiechnął się, a wtedy jego wydatny nos jakby się unióśł i rozciągnął na całą buzię, niemal zasłaniając małe inteligentne oczka.

- Nazywam się Yee Fong Lo - przedstawił się oficjalnie. - Jeśli masz ochotę, zapamiętaj, co ci mówiłem. Musisz się nauczyć pływać.

Chłopiec nie powiedział nic więcej, a jednak te słowa były jakoś znaczące i kuzyni Harry'ego zaniepokoiłi się jeszcze bardziej. Stali niespokojnie szurając nogami, drepcząc w miejscu, przestępując z nogi na nogę. Podejrzliwie patrzyli na małego Tankę.

- A ja nazywam się Harry Braga. Dziękuję, że nie pozwoliłeś mi się utopić. - Nie przedstawił się jako Tang Ho Li, chociaż tak nazywano go w wiosce, ale użył nazwiska „Harry Braga”, zatajając prawdziwe pochodzenie. Dwaj młodzieńcy uśmiechnęli się do siebie skrupowani i zakłopotani, a później chłopiec Tanka odwrócił się, splunął pod nogi swym trzem napastnikom i powoli, kuśtykając, zaczął schodzić po zboczu, z powrotem w kierunku swego terytorium - świata wody.

Kuzyni Harry'ego stali przez długą chwilę w gniewnym milczeniu, ponieważ nie mogli się zemścić, skoro Harry kazał im zostawić tamtego w spokoju. Cicho szeptali o czymś między sobą i przypominało im się, że na początku sztydzili z małego Euroazjaty, ponieważ nie był jednym z nich. A teraz ich kuzyn w dodatku obcuje z ludźmi z łodzi, spotykając się z nimi w odludnych miejscach. Usta trzech chłopców z rodu Tangów zacisnęły się na tę myśl, a ich twarze stwardniały.

Od tamtego dnia patrzyli na Harry'ego z tą samą nieufnością, z jaką poprzednio traktowali tylko Tanków. Harry reagował jednak na ich spojrzenia ze spokojem. Czuł ulgę. Wiedział, że nie jest synem sklepikarza, że nie jest chińskim wieśniakiem. Był lepszy niż kuzyni, ponieważ budził w nich lęk. Pomyślał, że przyjemnie jest, gdy ludzie się ciebie boją.

Yee Fong Lo także lubił to uczucie. Nie dlatego, że czuł się mądrzejszy i lepszy od innych chłopców z wioski, ale dlatego, że wiedział, iż nim pogardzają i że go przeklinają. Ich strach przed nim był jego jedyną pociechą. Był przekonany, że pewnego dnia będzie czuło przed nim lęk bardzo wielu ludzi, że będą się go bali, szanowali i słuchali. Takie miał marzenie. Spędzał wiele miesięcy wyjaśniając to Harry'emu, ucząc euroazjatyckiego chłopca, czym jest strach i siła, mówiąc mu, że to strach, a nie dobra praca sprawia, iż ludzie cię szanują. „Eee”, mówił z pogardą Yee, „dobra praca jest tylko dla starych kobiet”!

On sam zdobędzie poważanie, ponieważ przyłączy się do jednej z triad, mówił Harry'emu. Powtarzał to w kółko, aż słowa te stały się czymś w rodzaju pieśni dźwięczącej w ciemnościach, towarzyszącej nocnym rozmowom dwóch chłopców, którzy wymykali się z domów, aby się z sobą spotykać.

- Precz z Mingami, niech żyją Ch'ingowie - mawiał Yee. - Dla Harry'ego racja istnienia triad nie miała większego znaczenia, ale obaj chłopcy ciągle powtarzali z patosem to hasło, zaokrąglając usta przy wymawianiu kolejnych sylab, bawiąc się śpiewną intonacją frazy. Siedzieli w kryjówce o ostrej woni - oczyszczanej właśnie łodzi. Unosząca się w powietrzu sól szczypała ich w oczy, a oni szeptali jeden drugiemu swe pomysły na życie, opowiadali o własnych marzeniach i ambicjach.

Yee pragnął się udać do Koulunu, starego, otoczonego murami miasta i tam przyłączyć się do jednej z triad. Może do odłamu o nazwie „14K”, marzył młody Tanka. Albo do Wo On Lok - ci byli bardzo eleganccy! Mówiło się, że zajmują się zakrojonym na wielką skalę szantażem i kidnappingiem, że interesują ich przestępstwa finansowe oraz „opieka” nad tajskimi i malajskimi prostytutkami w Wanchai.

Yee zaśmiał się i szturchnął łokciem w bok Harry'ego. Jego twarz wyrażała pewność siebie i radość. Przyjaciel natomiast uśmiechał się niepewnie, gdy tamten rozsnuwał przed nim swoje marzenia na przyszłość. Może powinien się udać od razu do Wanchai? Albo najlepiej, przyłączyć się do Sun Yee On. No, to byłoby coś! Nosiłby szykowne stroje, a ludzie ze strachem schodziliby mu z drogi i kłaniali się w pas. Byłby naprawdę kimś!

Yee nalegał, aby Harry uciekł razem z nim. Co mamy do stracenia, kuś! Jakiego rodzaju życie czeka nas tutaj? Przecież twoja matka nigdy nie wróci, aby cię stąd zabrać, prawda, mówił. Więc dlaczego nie? Ale Harry wahał się, niespokojny, niezupełnie pewny, czy pragnie być członkiem triady. Chciał postępować rozważnie, pragnął dobrze się zastanowić nad tą decyzją i nad całą

swoją przyszłością, aż tu nagle, niespodziewanie, pewnego dnia Yee odszedł niemal bez słowa. Po prostu zniknął, mszył w noc. Zamierzał się dostać autostopem do Koulunu.

Stamtąd można by złapać prom do Hongkongu, myślał Harry, siedząc samotnie którejs nocy i zastanawiając się, co Yee robi w tym właśnie momencie. Czy już przechodzi wstępną ceremonię wtajemniczenia, bez której nie można było wstąpić do triady? A może mu się nie udało, może śpi w jakimś tekturowym pudle na jednej z bocznych alejek prowadzących do doków w Zachodniej Dzielnicy. Czy tęskni za Harrym tak bardzo, jak Harry tęskni za nim? Prawdopodobnie nie. Yee należał do ludzi, którzy parli do przodu, nigdy nie oglądając się za siebie. Uświadomiwszy sobie tę prawdę, Harry ciężko westchnął.

Przez wiele długich, samotnych miesięcy, aż do jego czternastych urodzin, nic się nie zmieniało w życiu Harry'ego. Nadal pogardzali nim kuzyni i terroryzowała go ciotka. Szczute przez chłopców psy nie raz pokąsały mu pięty, a starzy ludzie syczeli na jego widok i pokrzykiwali, wiedząc, że nie jest jednym z nich. Była to kara za jego przyjaźń z Yee Fong Lo. Z drugiej strony także pobratymcy jego przyjaciela, Tankowie, szydzili z niego za to, że tak się dawał poniżać. Tylko wuj nie przestawał obdarzać go swoim wiecznie roztargnionym uśmiechem - ale wuja nikt w wiosce nie považał. I wtedy Harry ostatecznie zrozumiał, że nie można żyć tak, jak żył dotąd, że trzeba należeć do jakiejś grupy, inaczej jest się nikim. Nikim.

Poczuł więc wielką ulgę, kiedy jego matka wreszcie przyjechała, aby się o niego upomnieć. Nawet jeśli teraz oboje byli zupełnie innymi ludźmi, niż się pamiętali sprzed lat, ciągle jednak była to jego matka. W żyłach obojga płynęła ta sama krew. Ale wyjazd z matką tak naprawdę niewiele zmienił w jego egzystencji - życie w Mid-Levels, zamożnej części wyspy Hongkong, luksusowe domy na niższych stokach góry Victoria, gdzie mieszkali bogaci Chińczycy, pozostały nadal tylko w sferze marzeń i snów.

Jego matka bowiem porzuciła pracę służącej i wyszła ponownie za mąż. Wraz z mężem mieli się teraz przeprowadzić, ale nie do Hongkongu. Zamiast tego przenieśli się na małą wysepkę o nazwie Cheung Chau, leżącą między większymi wyspami Lantau i Lamma. Znajdowała się tam jedynie mała wioska rybacka zamieszkała przez kilku rzemieślników, którzy lubili sobie wyobrazać, że mieszkają tu, bo chcieli uciec z szalonego i ruchliwego Hongkongu. Dla Harry'ego miejsce to okazało się jednak kolejnym ślepym zaułkiem.

Matka w tym czasie traktowała go szorstko i obcesowo, ponieważ z dnia na dzień coraz bardziej irytowała ją niezdarność syna, jego niedouczenie, brak wykształcenia i nieumiejętność wypowiedzania się, drażnił ją unoszący się wokół niego zapach ryb i ryżowych pól. A Harry wiecznie chodził ponury i markotny, zasmucony nowym małżeństwem swej matki, które dla niego było właściwie jej pierwszym. Denerwowało go przede wszystkim to, że jego ojczym, ślamazarny, jakby sflaczały i zwiotczały łysiejący Anglik, cudzoziemiec i biały, tak zwany gweilo, jak się mawiało na Nowych Terytoriach, zupełnie nie pasował do wyobrażeń Harry'ego o własnym ojcu. Tak, tak! Coraz częściej zastanawiał się, czy mimo wszystko nie powinien odszukać Yee i przyłączyć się do triad. Odejść stąd, aby nauczyć się tajemnych misteriów tego bractwa, aby wypróbować siebie, aby sprawdzić, jaką siłą jest się w stanie wykazać w obliczu barbarzyństwa tego zawodu. Odejść, aby wywiesić błękitną latarnię...

RS

Rozdział trzeci

Hrabstwo Devonshire, południowo-zachodnia Anglia

Rok 1973

Morze było niemal nieruchome i ospale połyskiwało pod szarym niebem, a rozciągając się w dal, wyglądało jak mokra płaska równina. Jedynie tuż przy brzegu woda wykazywała jakąś ruchliwość. Fale zwijały się w długie warkocze, na sekundę zawisając wbrew prawom grawitacji, potem niechętnie się załamywały i gładki jedwab zmieniał się w spienione bryzgi, wyrzucane szerokim pasmem, po czym woda cofała się znowu. Tony Ingram klęczał na brzegu, kopiąc łopatką w mokrym przybrzeżnym piasku. Co jakiś czas wyciągał mięczaka, opłukiwał go w pianie i dokładał do kupki innych w stojącym obok drucianym koszyku.

Koszula chłopca powiewała na wietrze. W pewnej chwili Tony przerwał pracę i wciągnął gruby sweter, którym był przewiązany w pasie. Mimo że tego roku Wielkanoc była nadszpiewanie piękna, nad samym morzem było chłodno i wiatr stawał się coraz bardziej lodowaty, tak mroźny, że po chwili chłopiec musiał wstać z klęczek. Gdy zaczął podskakiwać w miejscu, podwinięte nogawki spodni zsunęły mu się znad kolan i natychmiast zjawiała się Otter, czarna suka rasy labrador. Dotąd kontrolowała pracę Plum, ale widząc ruchy Tony'ego, przybiegła pędem i zaczęła radośnie skakać wokół swego pana na brzegu.

- Skończyłyście już? - krzyknął poprzez wiatr Tony, ułożywszy przy ustach dłonie w kształt lejka. Wichura potargała włosy chłopca, prawie stawiając je na sztorc. Plum wstała i pomachała bratu łopatką, a siedząca dalej Hattie przestała udawać, że pracuje, i pospieszyła ku rodzeństwu. Byli na brzegu sami, tylko we trójkę.

- O rany, ale się nagle zrobiło zimno. Wracajmy, dobrze? Mama mówiła, że ten jej znajomy artysta przychodzi na herbatę. Zdaje się, że już dochodzi piąta - powiedziała Hattie. Ręce miała zaczerwienione i spierzchnięte od chłodu. Włożyła je teraz w kieszenie spodni.

- Gdzie są twoje mięczaki? - spytał Tony, a wtedy Plum popatrzyła na małą surowo i powiedziała ostro:

- Nie ubierałaś żadnych, co? Przez cały ten czas ani jednego!? Powiem ci tylko tyle, że naszych nie dostaniesz, nie licz na to!

Odwrócili się i ruszyli w drogę powrotną po piaszczystej wydmie, ścieżką, która prowadziła do zatoczki, gdzie w dole kulił się przed wiatrem ich mały domek. Okna chatki połyskiwały zapraszająco w gęstniejącym mroku.

- Zobaczcie, mama już zapaliła lampy. Założę się, że tato jeszcze nie wrócił. Jest zbyt skąpy, nigdy nie pozwoliłby jej tak wcześnie włączyć światła. Pewnie rozpała również w kominku. Boże, żeby tylko nie chciała nam już więcej czytać tych bzdur Arthura Ransome'a!

Cała trójka roześmiała się i zadrżała na myśl, co jeszcze może się zdarzyć tego dnia. Co jakiś czas uśmiechali się do siebie, ześlizgując się po trawiastym zboczu, a potem wdrapując po skałach otaczających domek na łodzie. Otter biegała po płyciźnie rozchlapując wodę, a później zatrzymywała się przy dzieciach i otrząsała, spryskując całą trójkę mokrymi, zimnymi kroplami.

- Zdaje się, że go sobie naprawdę upodobała - zauważyła Hattie, kiedy zbliżali się do furki ogrodowej. Pozostali zatrzymali się i spojrzeli na nią.

- Kogo? Artystę? Chyba żartujesz. Przecież on ma brodę! - zadrwiła Plum. Tony z zakłopotaniem spojrział na siostrę.

- Cóż, nie jest bogaty - dodał znacząco i obie dziewczynki skinęły głowami.

- Tak, to prawda, ale ma tytuł. Coś się dzieje, jestem pewna. Przyłapałem ją któregoś dnia, jak pozowała przed lustrem w dużym plażowym kapeluszu na głowie. Mówiła do siebie głupawo „moja Lady Joanna” i kręciła biodrami.

- Ależ wcale nie mówiono by na nią Lady Joanna, co i tak brzmi zupełnie niemądrze. Byłaby Lady Staves. Takie jest jego nazwisko, prawda? Terence Staves? Ona się prawdopodobnie zupełnie na tym nie zna - oświadczyła kwaśno Plum i cała trójka znów się roześmiała.

- Czy tato o tym wie? - spytał Tony, ale Hattie potrząsnęła głową i zasznurowała usta.

- Nie, nic nie wie, biedaczek. Sądzi, że te wakacje są wspaniałe i niczym się nie różnią od wszystkich poprzednich. Nawet chce, aby ten Staves namalował mamę.

- Nago, bez wątpienia, jeśli będzie mogła sama o tym zdecydować. Najstarsza z rodzeństwa szesnastoletnia Plum była dla matki bezlitosna. Tony westchnął.

- Wiecie co, pokażmy mu, jak bardzo potrafimy być okropni. Może wtedy dwa razy się zastanowi, zanim się zajmie mamą.

- Nie musimy tego robić, Tony. Tato i tak nigdy by jej nie pozwolił nas zabrać. Zresztą, mama pewnie wcale by nas nie chciała. W każdym razie dręczy ją sam fakt, że jesteśmy już tacy duzi. Postarzamy ją. Byłaby

szczęśliwa, gdyby się nas pozbyła. Poza tym, przez większość czasu i tak jesteśmy daleko od rodziców, w szkołach, więc będzie miała doskonałą wymówkę - oświadczyła najmłodsza z rodzeństwa, czternastoletnia Hattie, która przechodziła właśnie okres dojrzewania, co u niej łączyło się z brutalnością i szczerością.

Na jej słowa piętnastolatek poczuł chwilę ponurego strachu. Dziewczynki czuły do matki swego rodzaju odrazę, a ponieważ jak one była kobietą, uważały, że należy ją oskarżać, Tony natomiast ciągle kochał swą matkę i zawsze jej wybaczwał wszelkie momenty słabości. Czyżby tym razem naprawdę zamierzała ich opuścić?

Teraz przyspieszył kroku i wybiegł przed siostry. Kiedy tak pędził, o nogi obijał mu się koszyk z mięczakami, a Otter okrążała go podskakując przed nim, raz z jednej, raz z drugiej strony. Jej głupiutka, ale miła psia morda natychmiast się ożywiła, spodziewając się zabawy, Tony jednak oburknął płaczącą mu się pod nogami sukę.

Kiedy dzieci wpadły do chaty, uderzyła je i zaskoczyła panująca tam cisza. Lampy były zapalone, ogień płonął, ale nic nie przypominało codziennej radosnej krzątaniny późnych popołudni, brakowało kręcących się po pokojach ludzi, gwizdającego czajnika, leżących na kraciastej ceracie kanapek i ciasteczek. Nie było kolejnych opowieści o Jaskółkach i Amazonkach, które rozpoczynały się tak często ku jawnie okazywanemu znużeniu dziewczynek i ukrywanej radości Tony'ego. Zamiast tego wszystkiego przy kominku w wielkim fotelu z wygodnymi wysokimi podpórkami na łokcie siedział samotnie ich ojciec i patrzył tępo w ogień. Zaciskał mocno długie, piękne dłonie, które wszyscy tak bardzo podziwiali i których niestety nie odziedziczył po nim syn. Gdy troje nastolatków weszło do salonu, Bill Ingram nawet na nich nie spojrzał, tylko jakoś się skurczył w sobie.

Otter wyhamowała na dywanie i dopadła do jego rąk; merdała ogonem na prawo i lewo, podniecona całym minionym dniem i uradowana widokiem swego pana. Bill powoli pieścił uszy suki.

- Dobra dziewczynka, cii, już dobrze, tak, tak, dobry piesek. - Ojciec uspokoił psa, a potem bez słowa spojrzał na swą gromadkę.

- Gdzie jest mama? - spytała bez ogródek Hattie.

Dwoje starszych dzieci uciekło na bok wzrokiem. Bill westchnął, z trudem wydobywając głos.

- Obawiam się, że odeszła, moi drodzy. To jest... trochę trudne. Rozumiecie, postanowiła zostać żoną artysty. Poczwała tęsknotę, aby się trochę otrzeć o

cyganerię, jak sędzę. Tak mi przykro... ale pomyślałem, że lepiej od razu powiedzieć wam prawdę. - Przerwał, jakby nie chciał już nic więcej dodać, ale po chwili zapanował nad sobą i stwierdził: - Cóż, spodziewam się, że będziecie musieli się do tego przyzwyczaić. Jakoś sobie z tym poradzicie, prawda? Staniecie się po prostu bardziej samodzielni... Zresztą, od czasu do czasu zobaczycie swoją matkę. Będzie przyjeżdżać... Co jakiś czas.

We troje stali dokoła niego. Wyglądali głupio i czuli się głupio, jak gdyby w jakiś sposób sobie na tę nieprzyjemną niespodziankę zasłużyli, jak gdyby w tym, że ich opuszczono, było nieco ich własnej winy.

- Czy nadal będziemy wyjeżdżać z tobą do Chinoli na letnie wakacje? - spytała Plum i zobaczyła, jak twarz jej ojca rozjaśnia się na tę myśl. Poczowała falę palącej nienawiści do matki.

- Oczywiście, że tak, moi kochani. I na Wielkanoc także, jeśli zechcecie. Tutaj jest niekiedy trochę zimno, prawda?

Ojciec po raz pierwszy w życiu dał dzieciom do zrozumienia, że wcale nie bawią go tak bardzo, jak myśleli, ich nadmorskie wakacje w hrabstwie Devon.

- Boże Narodzenie spędzicie oczywiście z babcią, jak zwykle. Zde-nerwowałaby się, gdybyście nie przyjechali. A waszą matkę będziecie prawdopodobnie widywać często podczas roku szkolnego... Długie weekendy i tak dalej...

Tak bardzo się dla nas stara, pomyślała Hattie. Spojrzała na Plum, jej oczy odbijały tłumioną wściekłość. Tylko Tony wyglądał na całkowicie pogrążonego w smutku. Innych podtrzymywał na duchu gniew albo zraniona duma, chłopiec natomiast czuł tylko stratę.

- Czy ona wyjdzie za niego za męża? Za tego Stavesa? - spytał i usiłował nie patrzeć ojcu w oczy.

- Tak powiedziała, Tony. Ale musimy poczekać, aby się dowiedzieć. Rozwody to brudne sprawy i wymagają sporo czasu.

Bill będzie musiał oddać się swoim zajęciom i spróbować zapomnieć. Dzięki Bogu, że miał taką pracę, która pochłaniała go bez reszty i nie zostawiała czasu na rozmyślanie, na dumanie...

- Wiecie co? Wypijmy razem herbatę, dobrze? Wasza mama mówiła, że w zielonej puszcze jest jeszcze trochę kruchych ciasteczek. - Uświadomił sobie ze zdumieniem, że były to właściwie ostatnie słowa jego żony. - Wiecie, gdzie jest ta puszcza?

Wstał zdecydowanie, jak gdyby wcześniej zaplanował sobie wszystko i teraz postanowił konsekwentnie to wykonać, chociaż, w gruncie rzeczy, pamiętał

jedynie, że należy włączyć gaz pod czajnikiem i napełnić imbryczek przed wsypaniem herbaty. Ale Hattie i Plum odpędziły go na bok i same zajęły się przygotowaniami, toteż Bill usiadł ciężko przy stole i zapatrzył się na leżące w misce jabłka. Tony przysiadł się do ojca.

I wtedy na chwilę mignęła mu w pamięci scena, która rozegrała się przed jego oczyma wiele lat przedtem w Zatoce Repulse. Przypomniawszy sobie wyraz twarzy pewnej małej dziewczynki. Malowała się na niej tragedia i głęboka wiedza, którą zdobyło mimo swego młodziutkiego wieku to dziecko, wiedza, że to, co się zdarzyło, jest nieodwracalne i że nigdy nic nie będzie już takie samo jak przedtem. Liddie. Tak miała na imię. I był jeszcze tamten chłopiec, syn służącej. Został zapomniany i -z kolei - sam zapomniał o swoim psie. Tony'emu przyszło do głowy, że tylko to zwierzę przetrwało tamten dzień bez szwanku. Tylko Wolf znalazł wówczas dom.

Chłopiec poczuł teraz gdzieś głęboko w gardle jakąś twardą grudę i z trudnością przełknął ślinę. Tak postępują wobec ciebie ludzie, którym ufasz, pomyślał z goryczą. Którym ufasz i których kochasz. Znał dobrze swoją matkę, znał jej wady, ale mimo to ją kochał. A ona go zdradziła. To się zdarza wszędzie i przez cały czas; wystarczy tylko się rozejrzeć, aby to dostrzec. Więc - co właśnie sobie uświadomił - wcale się nie różnił od innych ludzi.

A jednak czuł się inny. Czuł się tak, jak gdyby był jedynym na całym świecie naprawdę mocno zranionym człowiekiem, a w dodatku nie wypadało mu płakać, ponieważ jego siostry nie płakały. Poza tym nie mógł tego zrobić, ponieważ zdenerwowałyby to i wytrąciło z równowagi jego ojca. Aby więc jakoś zapomnieć o bólu, tak mocno ścisnął łyżeczkę, położoną przed nim do herbaty przez jedną z sióstr, że wyrzeźbiony na sztućcu wzorek w kształcie perełki odcisnął mu się na dłoni jak rana.

Rozdział czwarty

Judson, Teksas Wrzesień 1973 roku

Większość mieszkańców Judson, zwłaszcza ludzie mieszkający w pobliżu Ridge, bez końca komentowało powrót Babcocków do domu. Naprawdę niewiele rodzin kiedykolwiek wyjechało z tego małego teksaskiego miasteczka, a jeszcze mniej wróciło tak zhańbionych rozwodem. Lucille Babcock i jej dwie córki stały się więc natychmiast po przyjeździe przedmiotem powszechnego zainteresowania i plotek. One od nas odstają, mówili ludzie, nie pasują tu i, na dodatek, wcale nie próbują się dostosować. A Judson nie było miłe dla osób, które się czymś wyróżniały od innych.

Być może miasto traktowałoby Lucille Babcock inaczej, z większym zrozumieniem i współczuciem, gdyby kiedykolwiek otworzyła przed mieszkańcami swe serce i opowiedziała im o czarnej rozpacz, która pogłębiała się w niej z miesiąca na miesiąc. Zwłaszcza że alimenty, które obowiązany był płacić jej były mąż Frank, nie przychodziły. Może ocenialiby ją mniej surowo, gdyby podzieliła się z nimi swym bólem, ukrywanym tak dzielnie za sztywną, zimną maską nieustępliwości i dumy. Niektórzy zaczęli jej jednak żałować, nawet wbrew niej samej, ale dopiero z powodu zachowania jej starszej córki, Peggy. Taka dziewczyna, mawiali, to coś naprawdę upokarzającego dla każdej matki, a co dopiero dla tak dumnej kobiety jak Lucille.

Zanim jednak zaczęli się nad nią litować, każda rozmowa o Babcockach w końcu schodziła na temat chłopca, którego Lucille nie przywiozła z sobą do domu. A to było naprawdę wielkie wydarzenie w takim małym miasteczku jak Judson. Wielu mieszkańców dziwiło się, że chłopca nie ma tutaj, że mieszka w tym obcym, dalekim kraju. Dzieci przecież zawsze zostają z matkami, niezależnie od tego, co się dzieje, szeptali do siebie niektórzy; szczególnie jeśli ojciec dziecka znajduje się gdzieś za granicą, wśród zacofanych pogan, dodawali inni. Bóg jeden wie, co z niego wyrośnie. Będzie przede wszystkim bardzo chiński, oświadczaali miejscowi „znawcy”. A wszystkich denerwowało, że matka najwyraźniej wcale się nie przejmuje faktem, że opuściła jedno ze swych dzieci, że zostawiła swego jedyne syna tam, w tym bezbożnym kraju, i jak gdyby nigdy nic chodzi sobie po mieście taka sztywno wyprostowana i dumna, z nosem wysoko zadartym w górę. Z takim faktem większość ludzi nie mogłaby się pogodzić, twierdzili, potrząsając głowami z ponurym zadowoleniem.

Istnieli tacy, którzy zacierali ręce, gdy Lucille musiała się przenieść z lepszej części miasta do Ridge. „To jest wyrok - mówiła zjadliwie cnotliwa społeczność Judson - i kara: za rozwód, za opuszczenie syna, za to, że urodziła taką córkę jak Peggy"... Plotki w Ridge nie miały końca, Lucille tylko sztywniała i ignorowała je, Peggy niczym się nie przejmowała, a Klaudia była za mała, aby rozumieć, co się naprawdę o nich mówi. W każdym razie do czasu...

Zapadał spokojny, kojący wieczór. Zewsząd dochodziły odgłosy rozpryskujących wodę obrotowych polewaczek, wraz z trelami cykad, tłumiąc okrzyki bawiących się dzieci i wołających je matek. Klaudia szła przed siebie, błędząc gdzieś myślami, nieświadoma, że ze wszystkich stron zza koronkowych firanek łypią na nią ludzie, aby móc później dumać i dyskutować na jej temat. Dziewczynka była zbyt pochłonięta myślami; zastanawiała się właśnie, co może w tej szczególnej chwili porabiać Harry. Która tam może być godzina? Trzydzieści godzin później? Czy rzeczywiście? Jeśli tak, to jest tam około ósmej rano, pomyślała, i jej chiński przyjaciel jest prawdopodobnie w szkole, otoczony typowym dla Hongkongu wiecznym rwetesem i krzątaniem. Klaudia rozejrzała się wokół, oceniła cichą, martwą nieruchawość miejscowego wieczoru i westchnęła ciężko.

Judson było miasteczkiem średniej wielkości jak na Teksas. Gości wjeżdżających od strony leżącego na zachodzie Hill Country, wśród dębów, karłowatych cedrów i porośniętych mimozowatymi krzewami łagodnych zboczy wapiennych łączących się sporadycznie w pasma wzgórz, witał napis informujący, że mieszka tu dwanaście tysięcy dziewięćset siedem osób, natomiast według drogowskazu, który witał cię, jeśli wjeżdżałeś ze wchodu - od czarnoziemnej farmerskiej krainy bawełny i sorga - dwanaście tysięcy dziewięćset osiem. Nikt nie wiedział, który napis mówi prawdę, mało tego, nie było wiadomo, czy należy w ogóle w któryś z nich wierzyć, jako że nigdy nie zmieniano liczby z racji kolejnych narodzin i zgonów, które z normalną częstotliwością pojawiały się w Kronice miasta Judson.

Samo miasteczko leżało w pobliżu rzeki Colorado, choć nie nad samym jej brzegiem. Jego centrum stanowiła zbudowana w drobnomieszczańskim, federalnym stylu dzielnica staromiejska, której najważniejszym miejscem był rynek. Tu natychmiast rzucały się w oczy dwie ustawione naprzeciwko siebie budowle: zwieńczony białą wieżyczką gmach sądu z czerwonej cegły oraz biblioteka. Ze wszystkich stron otaczały je rzędy innych budynków - oszalowane, ceglane fronty sklepowe, nad którymi wisiały rzucające na

wejście cień balkony, nieśmiałe, jakby zażenowane odwagą swych kolorowych, amatorsko wykonanych tynków.

W kierunku północnym i wschodnim od głównej ulicy - Main Street - rozciągała się nowsza część miasta. Na zadbanych, krzyżujących się z wręcz matematyczną precyzją uliczkach i gładkich, czystych betonowych podjazdach puszyły się w równych szeregach podmiejskie jednopiętrowe domki. Na południu i zachodzie znajdowały się dzielnice o lepszej reputacji, zaludnione przez stare, dość zamożne rodziny judsońskie. Tam też mieszkali Babcockowie, zanim wyjechali do Hongkongu. Natomiast poza nie zabudowanymi terenami znajdowało się Haskell Ridge, które stanowiło linię graniczną oddzielającą białych mieszkańców od czarnych, czarnych od latynosów, średnią klasę od rozpaczliwie biednej, Babcocków od ich dawnego, lepszego życia. Tu właśnie musiała się przeprowadzić Lucille po powrocie z Dalekiego Wschodu.

Klaudia przyspieszyła kroku, uświadamiając sobie, że matka już od dawna na nią czeka. Nie miała czasu zwrócić uwagi na piękno zmierzchu i na cienki jak papier księżyc jaśniejący w wilgotnym świetle mroku, zauważyła jedynie, że zbliża się noc. Na pewno się spóźni. Przeskoczyła kałuże brudnej wody, które spłynęły po stromym podjeździe z mytego wcześniej samochodu, i nagle zatrzymała się, bowiem zobaczyła wyłaniającą się zza któregoś z domów siostrę wraz z przyjaciółką, Elly.

Obie dziewczyny chichotały radośnie i piszczwały, a kiedy zbiegały przez ogród na chodnik, ich pośladki poruszały się rytmicznie w obcisłych dżinsach. Klaudia dostrzegła, że włosy Peggy są jaśniejsze niż zwykle, opromienione aureolą ulicznych świateł. Widoczne też były ciemne odrosty, które wyglądały jak szrama na środku głowy.

Klaudia wlokła się teraz za nimi, coraz bardziej pragnąc, by szły szybciej. Było już całkiem ciemno i wiedziała, że obie siostry będą miały kłopoty, kiedy dotrą do domu. Ale dziewczętom idącym przed Klaudią najwyraźniej zupełnie się nie spieszyło. Szły powoli, oglądały świeżo pomalowane paznokcie u nóg wyzierające z sandałów, krzykliwie omawiały ich kolor i hałaśliwie śmiały się, omawiając poranne wydarzenia w szkole.

- ...i wszyscy buczeli tak cicho, że panna Pickering nie mogła stwierdzić, skąd dochodzi ten odgłos! Boże, ciągle się kręciła w kółko jak bąk, próbując dojść, kto wydaje te pomruki. To ją doprowadzało do szału i myślałam, że wybuchnę, tak się powstrzymywałam od śmiechu.

Obie zapiszczały z radości, a potem Peggy, łypnąwszy za siebie, dostrzegła siostrę i wesołość zniknęła z jej twarzy.

- Co tu robisz, mała małpo? Podkradasz się i szpiegujesz nas!?! Pewnie zamierzasz powiedzieć o wszystkim mamie, pleciuchu jeden? Usłyszałaś może coś interesującego? - Jej głos był donośny i ostry, ale była w nim też nutka strachu, która zastanowiła Klaudię. Niechętnie dogoniła dwie starsze dziewczyny.

- Ja tylko szłam do domu, a wy pojawiłyście się nagle przede mną. Co miałam zrobić? Odwrócić się i wracać przez stadion? To nie jest przecież wasza prywatna droga.

- Nie musiałaś się podkradać jak złodziej. Mogłaś zawołać albo inaczej dać nam do zrozumienia, że tu jesteś, jak każda normalna osoba... Boże, Elly, sama powiedz, można by sądzić, że mam wystarczająco dużo kłopotów z matką, ale nie, muszę sobie jeszcze radzić z Liddie.

Przyjaciółka Peggy roześmiała się i zignorowała Klaudię, która szła teraz przed nimi sztywno wyprostowana i zaciskała zęby.

Czyste, równo ustawione domki powoli zaczęły znikać, a zamiast nich pojawiało się coraz więcej brzydkich i zaniedbanych budowli, betonowe podjazdy zaczęły „zdobić” chwasty i szczeliny. Ulica również pełna była pęknięć, w których rosła kępami trawa, i wybojów, niewidocznych, póki się o nie nie potknęło, ponieważ wszystkie uliczne światła były tu potłuczone. Klaudia pomachała ręką siedzącej na werandzie rodzinie Jimenezów; nozdrza dziewczynki zaatakował ostry zapach aromatycznych fajitas, wiszący nad chodnikiem jak chmura. Latynosi właśnie jedli i grali w bingo, co chwila zaśmiewając się z czegoś i wykrzykując swoje numery głośnymi podekscytowanymi głosami.

Szła szybko w ciepłej purpurowej mgielce zachodzącego słońca. Na skórze czuła krople wilgoci, ciążyło jej ubranie. Poczowała smród benzyny zmieszanej z zapachem parującej roślinności i wody ze ścieków. Odetchnęła głęboko, smakując dziwne odcienie tego zapachu, i dotknęła językiem do warg w miejscu, gdzie posmak był najsilniejszy. Światło na ganku ich domu było włączone, dostrzegła to i natychmiast jeszcze bardziej przyspieszyła kroku.

Matka była w kuchni. Siedziała przy małym stoliku ze sztucznego tworzywa, gdzie zwykle jadały kolację we trzy, chociaż zapewne byłby on zbyt mały, gdyby miały gości. Tyle że niemal nikt ich nigdy nie odwiedzał, skoro matka najwyraźniej nie lubiła tego rodzaju ludzi, którzy żyli wokół nich. Natomiast tych, których lubiła, jej dawnych przyjaciół jeszcze z czasów, kiedy mieszkała

w lepszej dzielnicy, nie zapraszała, ponieważ nie chciała, aby musieli przemierzać całą tę drogę do Haskell Ridge. A już na pewno nie wieczorem.

- Spóźniłaś się. Siedzę tu od pół godziny i szaleję z niepokoju o ciebie. Gdzie byłaś, Klaudio? - Usta Lucille zacisnęły się, jej twarz była szara i nieruchoma i Klaudia pomyślała, że jeszcze nigdy jej matka nie wyglądała tak staro. Trzymała w ręku zamkniętą kopertę i Klaudia poznała, że kolejny list wrócił nie otwarty z Hongkongu. Znowu! Głęboko westchnęła, gdy uświadomiła sobie, że ojciec i w tym miesiącu nie pomoże im zapłacić rachunków, po czym ze smutkiem odwróciła oczy.

- Przepraszam, mamó. Byłam w bibliotece, zasiedziałam się i zupełnie nie zauważyłam, że zrobiło się tak ciemno. Szłam do domu tak szybko, jak tylko mogłam. Naprawdę nic się nie stało, Peggy też już właśnie wraca. Widziałam ją przy przecznicy. - Zobaczyła w jednej chwili rozkwitającą na twarzy matki ulgę i poczuła się winna, że tyle sprawiła jej niepokoju.

- Tylko to potrafisz robić, przesiadujesz w bibliotece jak jakiś kret, a przecież dziś był taki cudowny dzień. Powinnaś więcej przebywać na powietrzu i bawić się ze swoimi przyjaciółmi, Klaudio. Przyjdzie czas na ciężką pracę i studiowanie, kiedy będziesz trochę starsza. A co do Peggy... - Ale kiedy matka już, już miała powiedzieć coś na temat swojej starszej córki, ugryzła się w język i zamiast tego spojrzała na zegar.

- Będziesz musiała sama przygotować sobie kolację. Za dwadzieścia minut rozpoczyna się mój kurs księgowości, a pewnie i tak się przez ciebie spóźnię. Dziękuję ci bardzo, moja droga - zakończyła z ironią Lucille.

Na sekundę zamknęła oczy i głośno westchnęła, a potem podniosła się z krzesła i wzięła torbę i prochowiec, mimo że wieczór był piękny i nie zanosilo się na deszcz.

- Przepraszam, mamó. - Twarz Klaudii posmutniała jeszcze bardziej. - W przyszłości będę wracać do domu na czas, obiecuję. Czy mogę ci zrobić kanapkę albo coś innego, żebyś mogła zabrać z sobą?

- Nie, jest już za późno i muszę się obyć bez jedzenia. Wiem, że ci przykro, ale przeprosiny nic nie pomogą, kiedy przesiaduję tutaj i nie mogę się opędzić od myśli, że zdarzyło się najgorsze. To nie jest bezpieczna okolica, Liddie, sama rozumiesz. Powtarzam ci to w kółko, więc dobrze wiesz, dlaczego chcę, abyście obie były w domu przed zmrokiem.

Potrząsnęła głową, jak gdyby Klaudia nigdy jej nie słuchała, jakby stale lekceważyła jej ostrzeżenia, a przecież spóźniła się po raz pierwszy od pół roku.

- No dobrze, sprawdź, czy odrobiłaś wszystkie lekcje i zobacz, czy Peggy gdzieś się nie kręci. Powiesz mi, jeśli coś zauważysz, dobrze, Klaudio? Chcę wiedzieć, co porabia... Boże, spójrz tylko, która godzina! Nie dość, że przez cały dzień wiecznie się spieszę, to teraz jeszcze coś takiego. Zatrzasnęła za sobą drzwi i Klaudia została sama. Usiadła przy stoliku, zagryzła wargi i nerwowo machała nogami pod krzesłem.

Jak gdyby kiedyś ośmieliła się donieść na Peggy! Co ta mama sobie wyobraża? Zaczęła sprzątać pozostałe po śniadaniu talerze, ale nagle zauważyła książkę, którą czytała rano, ciągle otwartą na właściwej stronie. Niemal nieświadomie usiadła wyprostowana i pogрузzyła się w lekturze.

Odgłos uruchamianego i zjeżdżającego z podjazdu samochodu matki uspokoił Klaudię. Usadowiła się wygodniej na krześle, westchnęła i z rozkoszą zanurzyła się w fantastyczny świat elfów i hobbitów, w świat Golluma i Mordora. Jednakże samochód nagle się zatrzymał i do uszu dziewczynki dotarły dźwięki podniesionych w rozdrażnieniu dwóch kobiecych głosów. Padały takie słowa jak „egoistka” i „jędza”, wykrzykiwane takim tonem, że w piersi Klaudii niemal zamarło serce. Potem auto z piskiem opon oddaliło się od ich podjazdu i jak wybuch trzasnęły zamykane siatkowe drzwi.

Do kuchni weszła Peggy. Jej twarz wykrzywiła wściekłość, dziwnie się jednak spieszyła na widok siostry.

- Co tu robisz, panno porządnicka? Co nagadałaś o mnie matce? - Jej głos był jadowity, ale Klaudia spojrzała na nią obojętnie.

- Nic. Powiedziałam, że zaraz przyjdiesz. Po prostu miała zły nastrój, ponieważ była spóźniona, to wszystko.

- Cóż, to nic nowego, prawda? Co się stało tym razem? Tatuś się znowu spóźnia z alimentami? A może właśnie w ogóle zrezygnował z ich płacenia? - Peggy zmarszczyła brwi na tę myśl. - Boże, ale jestem głodna. Co jest na kolację? - Rzuciła torbę na stół, a Klaudia głośno westchnęła; chęć, aby zakopać się z powrotem w książkę była tak silna, że mówienie niemal sprawiało jej wysiłek.

- Kanapki, jak sądzę. Może puszka zupy. Nie wiem. A co byś chciała?

- Och, cokolwiek! Nie każ mi decydować o wszystkim, na litość boską, dobrze? Pomyśl raz o czymś sama, Liddie. Dla odmiany. Muszę jeszcze odrobić lekcje. Masz szczęście, że nie jesteś w dziewiątej klasie, wierz mi. To tylko bezsensowna harówka, bez końca. I nic z tego nie przydaje się na dłuższą metę. Elly zamierza się zapisać na kursy fryzjersko-kosmetyczne w przyszłym

roku i będzie zarabiać fortunę w pół roku po ich skończeniu. Dlaczego mama nalega, żebym skończyła tę głupią szkołę? To cholernie kretyński pomysł!

Peggy wypadła z pomieszczenia, drzwi odbiły się od ściany i zamknęły z powrotem, a Klaudia wzruszyła ramionami, zastanawiając się, czy tamta nie ma przypadkiem racji. Matka i siostra spierały się o tę kwestię już wiele razy i żadna najwyraźniej ani na jotę nie zmieniała swego zdania. Ale według Peggy i Elly szkoła była jedynie stratą czasu, a matka martwiła się tylko o to, co pomyślą ludzie, jeśli jej córka przerwie naukę. Matka nie myślała o samej Peggy. Nie chciała stanąć oko w oko z prawdą. A prawda była taka, że siostra Klaudii zajmowała tylko miejsce innym.

Klaudia wstała i poszła do spiżarni. Z niewielkim zainteresowaniem zajrzała do środka i wpatrzyła się w rzędy puszek. Pomidory, warzywa, kurczak i kukurydza. Wzięła pomidory i zabrała się za przygotowanie kolacji.

RS

Rozdział piąty

Wyspa Cheung Chau Rok 1975

Matka Harry'ego wniosła do małego saloniku parującą wazę z zupą i postawiła ją na stole. Harry siedział zgarbiony przed telewizorem. Matka wytarła ręce o fartuch i krzyknęła ostro: - Harry! Kolacja gotowa. Wyłącz ten przeklęty telewizor. -Wypowiedziała te słowa szorstkim, gburowatym tonem. Była zniecierpliwiona. Najwyraźniej żałowała, że jej syn zamieszkał z nią, bo przeszkadzał jej się cieszyć nowym życiem z nowym mężczyzną u boku. Harry stał się dla niej już tylko jakimś prawie obcym chłopakiem, prostackim i pozbawionym oglądy, małym niewdzięcznikiem, który mimo że prawie szesnastoletni, raczej zawadzał w domu niż pomagał. Nie chciała na niego patrzeć, ponieważ jego rysy za bardzo kojarzyły jej się z postacią ojca chłopca, mężczyzny, którego wspomnienie było zbyt bolesne, aby chciała o nim pamiętać. Mężczyzny, którego dawno już pogrzebała w swojej pamięci.

Ale chłopiec był jej synem i nie mogła się go wyrzec. Cmoknęła przez zęby i znowu pożałowała - jak tysiące razy wcześniej, nie, jak setki tysięcy razy przedtem - że w ogóle poznała ojca Harry'ego, że poczuła moc tych tak przerażających uczuć: miłości, wiary, nadziei, że tak cierpiała z powodu jego uwodzicielskiego uśmiechu. Z powodu uczuć, które cię osłabiają, które zawsze cię upokarzają, powiedziała sobie w myślach. Odkąd z jej życia zniknął pan Braga, nigdy już ich nie doznawała. Do nikogo.

- Gdzie Jeremy? Na dachu? - spytała, kiedy Harry niechętnie wstał i wyłączył telewizor. W odpowiedzi chłopiec tylko wzruszył ramionami.

- Idź zobaczyć, dobrze? I poproś swoich przyjaciół, żeby poszli już do domu. Na pewno matki czekają na nich z kolacją. Do domu!

Kobieta podniosła głos, patrząc wrogo na dwóch chłopców, jednego białego, jednego Chińczyka. Obaj młodzi mężczyźni uśmiechnęli się nieznacznie, ich uśmieшки były zuchwałe.

- Idźcie do domu, zanim wasze matki zaczną tu wydzwaniać. Harry -obróciła się, zniżyła głos i sekretnym, choć ciągle dobrze słyszalnym tonem dodała: - Wiesz, że Jeremy nie lubi tych chłopaków. Nie przyprowadzaj ich tu więcej.

Harry zapłonął ze wstydu, w jego żyłach rozlało się gorąco. Zgarbił się i wykonał nagły gest kciukiem, wskazując kolegom drzwi.

- Zobaczymy się później. Może koło jedenastej przy nabrzeżu, dobra? - Chłopcy jeden za drugim wyszli z pokoju, a Harry obrócił się i spojrzął na matkę przez na wpół zamknięte powieki.

- Jeremy uczył tych koleśków. Kontakt z dawnymi uczniami powinien mu sprawiać przyjemność - zadrwił i zobaczył, jak matka sztywnieje i patrzy mu prosto w oczy. Jej twarz była stara.

- A ja ci mówię, że nie będą tu więcej przychodzić. I w ogóle zabraniam ci się z nimi widywać. To są złe, wstrętne, nieokrzesane chłopaczyska... zbiry, rozrabiaki! - Przerwała, nie mogąc sobie przypomnieć gorszej zniewagi. - Trzymaj się od nich z dala.

- Pracują przecież ze mną w fabryce. Jak mam się trzymać z dala od nich? Nie bądź niemądra.

- W takim razie znajdź sobie inną pracę. Lepszą, lepiej płatną. Jesteś taki bystry. Jeremy nauczył cię wszystkiego, czego potrzeba, aby otrzymać inną pracę.

- Przecież nie mam żadnych kwalifikacji. Rozmawialiśmy już o tym wcześniej.

- Więc zdobądź jakieś. Ucz się pilnie i zdaj egzaminy.

- Jak mogę zdać egzaminy, jeśli nie ukończyłem szkoły? Nie mam nic, zaledwie cztery klasy. I to nie z mojej winy! - Harry z irytacją klepnął dłonią w udo, po czym odwrócił się i ruszył schodami na dach. Jego ojczym, Jeremy Law, ubrany w wyblakłe szorty i wąski podkoszulek, pielęgnował swój ogród, jak zwykle obojętny na podniesione głosy, które dobiegały go z dołu. Nigdy się nie wtrącał. Tak było prościej.

- Kolacja. Mama się piekli. Lepiej chodź szybko - jednym tchem oznajmił beznamiętnie Harry, patrząc na zgiętą, pomarszczoną postać ojczyma. Poczł dreszcz wstrętu do starego Anglika.

- Zaraz przyjdę, Harry. Proszę, powiedz o tym matce. - Pięknie, precyzyjnie zaokrąglane samogłoski i ostro, wyraźnie wymawiane spółgłoski nie zaskakiwały. Jeremy Law od pierwszej chwili sprawiał wrażenie człowieka o świetnych manierach, który wprawdzie już dawno utracił należne sobie miejsce w społeczeństwie, ale był wystarczająco szczęśliwy, ponieważ sam wybrał sobie życie, na jakie zawsze miał ochotę. Spojrzał teraz z ukosa na swego pasierba, wciągnął powietrze w drobne, jakby wyrzeźbione nozdrza, po czym je wypuścił i dodał: -Daj jej to, dobrze? Do stołu. - Podał chłopcu kilka świeżo ściętych gałązek dendrobium. Ich zapach był intensywny aż do przesady. - A o co się właściwie złości twoja matka?

- O mnie. O moich przyjaciół, o moją pracę, mój brak perspektyw, moje lenistwo i moją niewdzięczność.

- Chyba nic nowego, prawda? Harry się roześmiał.

- Tak. Możesz się czuć bezpieczny. Oczywiście, jeśli zaraz przyjdiesz... - Z dołu dobiegł ich komentujący głos i obaj mężczyźni wzdrygnęli się. - Zaraz! - powtórzył znacząco Harry.

- Powinieneś pojechać do Hongkongu. Znaleźć tam pracę. Tu rzeczywiście nie ma dla ciebie perspektyw. To tylko mała rybacka wysepka... - Jeremy rozejrzał się wokół, patrząc na otaczające ich dom dziesiątki płaskich dachów, które wyglądały jak pstrokate pola, tyle że były twarde i betonowe. Znajdowały się na nich stłoczone w kojcach kurczaki, krzyczące dzieci, bambusowe maty poruszające się w powiewach silnie pachnącego wieczornego wiatru. - Tu nie ma przyszłości. Ktoś taki jak ty powinien zejść dalej.

- Może rzeczywiście. Może powinienem zostać maklerem dla bogaczy na giełdzie w Jardines. Obracać dla nich akcjami. Co o tym sądzisz? - Harry uśmiechnął się drwiąco.

- Mógłbyś zostać nawet maklerem, gdybyś spróbował. Praca jest dla ciebie jedyną możliwością społecznego awansu. Zaczynaj jako goniec. Masz zupełnie odpowiedni wygląd i wiedzę. Brakuje ci tylko kilku papierków. Mógłbyś się łatwo piąć w górę.

- Nie potrzebuję twojej pomocy, Jeremy. Mogę to zrobić sam. I nie zaczynaj mówić jak matka.

- Rób, jak uważasz.

Mężczyzna odwrócił się i szybko ni to musnął, ni to klepnął Harry'ego po głowie. Był to stary gest nauczyciela, zupełnie niewidoczny dla osób postronnych, który jednocześnie ranił i upokarzał krnąbrnego ucznia. Oczy chłopca i mężczyzny spotkały się na moment, a potem Jeremy zgarbił się i jego oblicze znalazło się o cal od twarzy Harry'ego. Uśmiechnął się i odezwał się do pasierba łagodnym tonem, a gdy mówił, Harry poczuł jego słodki i jakoś odrażający oddech.

- Nie doceniasz tego, co posiadasz, Harry. Ale ja to widzę, Bóg mi świadkiem, ja to doceniam! Masz tak wiele możliwości, tak wiele... Nie chcę widzieć, jak je marnujesz. - A potem, nie mogąc się powstrzymać, musnął ustami wargi chłopca.

Harry rzucił się do tyłu z oburzeniem i wstrętem. Skóra mu ścierpła od dotyku obcego ciała.

Przesunął grzbietem dłoni po wargach, patrząc na ojczyrna.

- Odpieprz się! Po prostu odpieprz się ode mnie! - Harry wyrzucił te słowa, jak gdyby wypluwał całą odrazę i wściekłość. Potem zbiegł po schodach

szybkimi susami i wypadł na zewnątrz przez frontowe drzwi. Matka popatrzyła za nim, stojąc z rękami na biodrach.

- Gdzie on znowu poleciał? - zapytała, kiedy jej mąż zszedł z werwą po betonowych schodkach.

- Do piekła, prawdopodobnie. Nie obchodzi mnie to. - Jednakże w jego zimnych oczach czaił się smutek i tęsknota. - Wróci - dodał cicho.

RS

Rozdział szósty

Hongkong Sierpień 1975 roku

Bill Ingram zajmował teraz mieszkanie przy Old Peak Road w dzielnicy Peak.

- Mam stąd blisko do pracy - tłumaczył się, kiedy znajomi krytycznie przyglądali się odpadającym tynkom albo zachwaszczonym ogrodom. - Stąd jest naprawdę tylko kilka kroków do Pałacu Gubernatora - dodawał, gdy z niedowierzaniem podnosili brwi, widząc ściany upstrzone pleśnią jak trompe l'oeil*. Wszyscy w gruncie rzeczy bardzo lubili Billa, toteż tak naprawdę nikomu nie przeszkadzał jego tryb życia, no, może z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy służąca nagle się buntowała przeciwko panującym w kuchni warunkom i wyjeżdżała, aby spędzić choć tydzień ze swoją córką, albo gdy wysiadała w mieszkaniu klimatyzacja i wentylatory zaczynały się obracać leniwie jak muchy w smole. Wtedy, zamiast odwiedzać, znajomi zapraszali go po prostu do siebie na jakiś czas, a podczas jego nieobecności w mieszkaniu wszystko jakoś samo się układało. „W życiu, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz” - stwierdzał potem Bill i uśmiechał się do siebie dwuznacznie.

Ma przecież tak dużo oszczędności, mawiali znajomi. Nie była to jednak prawda. Po odejściu Joanny - która zabrała z sobą wszystkie rodzinne klejnoty, żądając w dodatku odszkodowania - Bill zaczął oszczędzać na emeryturę. Wiedział, że po takim skandalu i zamieszaniu raczej nie otrzyma już awansu w służbie państwowej, niedługo będzie musiał odejść, a więc za kilka lat znajdzie się na zasłużonym odpoczynku w domu.

franc: iluzjonistyczne malarstwo; przyp. red.

Miał świadomość tego, co ludzie o nim mówią, ale z sobie tylko znanych powodów (może było mu to obojętne, może po prostu się zawzjął, a może z jakichś zupełnie innych przyczyn) nadal mieszkał w rozpadającym się mieszkaniu wraz z zaludniającymi ogród zaprzyjaźnionymi małymi jaszczurkami i papugą arą oraz z czarnym labradorem imieniem Otter. Była to inna suka niż towarzyska życia jego teściowej w Anglii, ale ta okazywała mu równie wielkie przywiązanie. Wolf - pies przyprorowadzony kiedyś z plaży przez Tony'ego - zdechł już parę lat temu, co wywołało powszechny smutek w całym domu; jedynie służąca odczuła ulgę, ponieważ, jak mawiała, „nigdy w życiu nie zaufałaby kundlowi”.

Zresztą Bill, w gruncie rzeczy, nie potrzebował ani nawet nie chciał, aby ludzie wiedzieli, czym się naprawdę zajmuje. Miał tego rodzaju zawód, w

którym im mniej się mówi, tym lepiej. Jeśli jego znajomi sądzą, myślał sobie, że jest urzędnikiem administracji państwowej tuż przed emeryturą, niech sobie tak myślą. I jeżeli uważają, że Joanna zachowała się jak pijawka, cóż, ich sprawa, nie zamierzał zmieniać tych opinii. A dzięki swej pracy mógł sobie pozwolić, by dwa razy do roku zaprosić do siebie wszystkie swoje dzieci i stać go było na płacenie za ich naukę w dobrych angielskich szkołach. To nie jest najgorsza wymiana, myślał Bill.

Tony mógłby jednak przyjechać tu na dłużej. Bill zastanowił się nad tym, patrząc teraz na młodego człowieka siedzącego w fotelu przy otwartych szklanych drzwiach. Chłopak zmarszczył czoło, brwi miał lekko uniesione. Czyżby myślał o czymś bardzo intensywnie? A może po prostu rozważał, dokąd pójdzie dzisiejszego wieczoru na kolację? W przypadku Tony'ego nigdy niczego nie można było być pewnym. Przy nim ostryga jest miła w dotyku, towarzyska i rozmowna, pomyślał Bill z uśmiechem, patrząc na tego zamkniętego w sobie, poważnego syna, który starannie ukrywał wszystkie swoje myśli i nigdy nie mówił o sobie zbyt wiele.

Lekki wietrzyk igrał teraz włosami Tony'ego, rozwiewając pojedyncze kosmyki, jak gdyby chcąc je uczesać. Chociaż niewiele jest tu do czesania, po tym jak fryzjerzy w koszarach Sandhurst krótko mu je obcięli, pomyślał z rozbawieniem Bill.

- Zdecydowałeś już, co będziesz robił dziś wieczorem? Możesz pójść z Plum i ze mną, jeśli tylko zechcesz. Sally cię uwielbia. Zawsze narzeka, że nie widuje cię dostatecznie często.

- Sally Freeman? Mówi tak tylko dlatego, że jej brzydka córka właśnie przyjechała do niej na wakacje, tato. Dobrze o tym wiesz. Nie, dziękuję. Pójdę raczej zobaczyć, co się dzieje w Wanchai albo może wyskoczę do Koulunu. Słyszałem, że na wschodniej Tsim Sha Tsui jest kilka niezłych nocnych klubów. - Tony rzucił ojcu uśmieszek i przeciągnął się, wyginając plecy w łuk.

- Zrobisz, co zechcesz. Ale słyszałem, że u Sally będzie dziś całkiem spore stadko prawdziwych piękności, wśród nich śliczna młodziutka Sylwia...

- Sylwia...? Czy to nie ta pół-Francuzeczka? Myślałem, że rodzice zamknęli ją w klasztorze, a klucz wyrzucili do morza? - Chłopak okazał pierwsze tego dnia objawy zainteresowania.

- Zdaje się, że rzeczywiście żyje zamknięta w pewnej wieży z kości słońskiej, ale czasem z niej schodzi na przyzwoite oficjalne wieczorki. Dotarło do mnie również, że ma na nią oko Mark Babcock - dodał ironicznie Bill.

- Mark? Ależ on ma zaledwie szesnaście lat! - zaprotestował Tony. Dziwne, pomyślał. Sam miał prawie osiemnaście, skończył nareszcie szkołę i miał właśnie zacząć służbę w Sandhurst. Na pewno zrobi na dziewczętach większe wrażenie niż szesnastolatek, który zapewne nawet jeszcze nie zaczął się golić.

- Ale jest bardzo dojrzały, jak na swój wiek, nie sądzisz? - zadrwił ojciec Tony'ego. - A Sylwia ma w końcu tylko piętnaście. Może bardziej woli chłopców od mężczyzn. - Skrzywił się i chociaż powiedział to pobłaźliwie, to jednak w jego słowach i spojrzeniu było coś z szyderstwa. Tony uśmiechnął się na tę myśl, a wtedy Bill dodał: - Więc cóż, chciałbyś pójść?

Tony zawahał się.

- Kto tam jeszcze będzie?

- Hmm, nie jestem pewien, ale zdaje mi się, że Sally wspominała, że będą dwa odrębne stoliki, jeden dla młodych i drugi dla nas, starych przyków. Więc zaprosiła chyba dość sporo osób, które znasz. Będzie Aidan Lockhart... Wiesz, że zaczął dla mnie pracować? - Ojciec i syn patrzyli przez chwilę na siebie z powagą i Tony pokiwał głową.

- Nie, właściwie nic nie wiedziałem. Słyszałem, że zamierza pracować w dyplomacji.

Uśmiechnął się, powoli coś sobie uświadamiając, a jego ojciec lekko zakaszłał i odchrząknął, speszony słowami syna. Potem niechętnie również się uśmiechnął.

- Tak, dokładnie. To właśnie powiedziałem. - Nie dodał nic więcej, tylko patrzył na Tony'ego, a Tony zrozumiał, że ta dziwnie kłopotliwa chwila, moment, kiedy miał nadzieję, że ojciec może mu się zacząć zwierzać, minął. Bill Ingram kontynuował spokojnie: - Plum jest niezwykle podekscytowana, zdaje mi się, że bardzo się cieszy na dzisiejszy wieczór. - Była to spontaniczna obserwacja, która miała jeszcze bardziej pobudzić zainteresowanie syna. - Może ją powinieneś spytać, kto tam jeszcze będzie? Szkoda, że naszą drogą Hattie musi ominąć to wydarzenie, ale jak sądzę, Makau też ma swoje plusy.

Hattie została zaproszona przez swoją najlepszą przyjaciółkę do spędzenia weekendu w Makau. Roztropnie się zgodziła i teraz mieszkała w legendarnym Hotelu Lisboa. Tony znowu się uśmiechnął.

- Hattie zapewne tylko by zgorszyła wszystkie starsze panie, gdyby zaczęła im serwować swoje poglądy na temat seksu i wyzwolenia kobiet. Mam nadzieję, że wkrótce z tego wyrośnie. A w dodatku teraz jest tak cholernie brzydka.

Było to jednocześnie prawdziwe i krzywdzące, pomyślał Bill. Hattie zanudzała wszystkich na ten temat, ale jej brzydota była tylko przejściowa, spowodowana wiekiem dojrzewania; jego córka z pewnością stanie się - jeśli Bill wiedział cokolwiek na temat kobiet (a raczej wyobrażał sobie, że wie) - prawdziwą piękną za rok czy dwa. Podejrzywał także, że zaraźliwe skłonności feministyczne nieco się przytłumiają, gdy uroda dziewczyny rozkwitnie.

Tony natomiast był niemal zbyt przystojny jak na swój wiek. Rozsądny, poważny młody człowiek. Smukłe, wysportowane ciało, twarz o wyraźnych, regularnych rysach, ciemnoblonde włosy, lekko brązowiejące w niektórych miejscach. Największą jednak ozdobą chłopca były jego szare oczy, mieniające się jak pstrokato cętkowane łuski pstrąga. Jakimś sposobem potrafiły robić wrażenie jednocześnie przyjaznych i chłodnych. Bill pomyślał, że jego syn wygląda na osobnika sympatycznego i zdecydowanego, ale z pewnością nie na człowieka towarzyskiego. Stanowczo nie był to typ uroczego gawędziarza. Być może któregoś dnia zdecyduje się wybrać bardziej wyjątkową karierę niż wojsko, zastanowił się Bill. Nie był pewien, czy chce, aby syn poszedł w jego ślady, ale nie zależało to przecież tylko od niego. Zdecydować musi on sam.

W tym, że Tony był odludkiem, Bill nie widział nic złego. Zresztą, zapowiadał się świetnie. Właściwie cała trójka jego pociech świetnie się zapowiadała i Ingram był z tego faktu niezwykle dumny. Jego dzieci były takie rozsądne i praktyczne. Wszystkie stały bardzo mocno nogami na ziemi. Uśmiechnął się na tę myśl.

Plum już pracowała w Londynie jako nieźle opłacany szef kuchni, przygotowujący obiady dla różnych dyrektorów. Spotykała się z pewnym statecznym i poważnym, choć raczej nudnym młodym człowiekiem, który pracował w City. Hattie także robiła wrażenie bardzo mądrej dziewczyny, jak na swoje lata. Biorąc pod uwagę, jak niewiele Bill się zajmował dziećmi, miał być za co losowi wdzięczny.

- Cóż, odpowiedz mi w ciągu godziny, jeśli zechcesz z nami pojechać, Tony. Muszę powiadomić Sally, chociaż uprzejmie powiedziała, że możesz się po prostu zjawić nie zapowiedziany, jeśli najdzie cię ochota. Zamierzam wziąć teraz Otter na przechadzkę po ogrodach... Może chciałbyś pójść? - Zobaczył odmowę w oczach chłopca, nawet zanim Tony potrząsnął głową przeproszająco, choć stanowczo. Taki właśnie jest ten mój syn, pomyślał Bill, dotykając palcami sierści psa. Przeproszający, ale stanowczy. Jego charakter ukształtowało z pewnością odejście matki. Od tego czasu zamknął się w sobie i

zaczął żyć w swego rodzaju izolacji. Ach, i tak dobrze, że dwojgu jego dzieciom spośród tej trójki udało się wyjść wtedy bez szwanku. To już było coś.

Przyjęcie u Freemanów odbywało się na świeżym powietrzu w ich posiadłości na zboczu Victoria Peak. Przed starym piętrowym domem w stylu kolonialnym służba dyskretnie usługiwała gościom. Stoły ustawiono na płytach kamiennych pod krzakami begonii i drzewkami magnolii. Nocny wiaterek szarpał i powiewał niebiesko-białymi, ręcznie zdobionymi obrusami, zastawionymi ciężką włoską porcelaną i srebrami, które Sally przywiozła z sobą do Hongkongu wiele lat temu. Ku grupce zgromadzonej na tarasie niósł się intensywny zapach róż. Zaproszeni goście rozmawiali, pili i kręcili się, przechodząc od jednej grupki do drugiej. Wszyscy podziwiali kryształowe wazy pełne intensywnie różowych piwonii i barwnych jaskrów, które olśniewająco płonęły wszystkimi kolorami tęczy w blasku świec palących się równo, gdyż przed wiatrem chroniły je szklane klosze.

Plum pomyślała z bólem, który krył w sobie mieszaninę zazdrości i irytacji na siebie samą za tę zazdrość, że przyjęcie nie było wystawne, ale wydawało się niezwykle eleganckie i piękne. Sally Freeman miała jakiś wrodzony talent i smak, dzięki któremu wszystko, co stworzyła, zawsze robiło wrażenie kompozycji zadziwiająco świeżej i nowoczesnej, nawet kiedy po raz kolejny wykorzystywała stare pomysły. Mimo że miała wystarczająco dużo lat, aby być matką Plum (w gruncie rzeczy była dobrą przyjaciółką jej matki) wydawało się, że jest raczej w wieku dziewczyny. A sama Plum, obserwując teraz to wszystko, zdecydowała, że musi się tego od niej nauczyć.

Stojący obok siostry Tony był prawie całkowicie nieświadom swego otoczenia. Od niechcienia popatrywał wokół siebie, ale w gruncie rzeczy szukał wzrokiem tylko jednej osoby. Nagle zmrużył oczy, popatrzył z uwagą i wypuścił powietrze głęboko z płuc. W ten sposób zareagował na widok Sylwii Batesman, której uroda wydała mu się oszałamiająca. Ramię stojącego przed Tonym mężczyzny przesłaniało mu niemal całkowicie burzę ciemnych gęstych włosów, ale w następnej sekundzie mężczyzna odsunął się lekko i oczom chłopca ukazał się prześliczny profil dziewczyny.

Tony poczuł, że coś się z nim dzieje, że zaczyna mu brakować tchu, a w piersiach coś go dławi. Odwrócił wzrok.

Głosy dokoła niego podnosiły się i opadały w wybuchach śmiechu i ożywienia, cedząc powitania...

- Wyglądasz wspaniale! Jak tam nasz stary dom? Ciągle stoi?

- ...najlepsze wakacje od lat. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zawsze wyjeżdżaliśmy z domu na lato i kręciliśmy się po tych wzgórzach. Czuję się tak, jak gdybym przeżyła od nowa całe moje dzieciństwo...

- Nie, nie, nazywa się Saki! Es, a, ka, i! Saki!

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- Ależ on jest przecież mężczyzną!

- ...Wrócił do Singapuru. Pracuje dla Jardines, sam rozumiesz. Dzieci zaczną naukę w Tanglin Trust, ale prawdopodobnie wrócą raczej do domu niż pójdą na Uniwersytet Południowochiński. Ma nienajlepszą opinię, jak słyszałam...

- ...wolenia Kobiet. Nie, nie, to bardzo rozsądne. Poproś swoją córkę, aby wysłała ci jakieś...

Tony odwrócił się, wszedł do domu i ruszył w kierunku łazienki. Czuł śledzące go zielone oczy, wbijające się w jego plecy i ledwie mógł iść, tak niepewne i chwiejne były jego nogi. Potem nagle obejrzał się za siebie, ale Sylwia zdążyła już odwrócić wzrok i patrzyła teraz na mężczyznę, z którym rozmawiała.

- Jest zbyt młoda dla ciebie, nie sądzisz? - odezwał się jakiś głos tuż przy jego ramieniu i Tony zatrzymał się i odwrócił, niemal zderzając się z Markiem Babcockiem. Tamten uśmiechnął się sztywno, zaciskając usta na poły ironicznie, na poły z irytacją.

- Kto?

- Och, daj spokój, obaj wiemy kto, Tony. Sylwia i ja prowadzamy się, wiesz przecież o tym.

- Prowadzacie się? - Tony uniósł brwi i lekko wykrzywił policzek, powstrzymując śmiech. - Musi was to bardzo męczyć.

- Chciałem powiedzieć, że chodzimy z sobą... czy nie tak mówią Brytyjczycy? - Mark wyraźnie szydził. Tony, badając go wzrokiem, uznał że tamten niewiele się rozwinął przez ostatni rok. Stał się mocny w gębie, pomyślał Tony, i próbuje pokryć niepewność drwiącą brawurą. Nie robiło to sympatycznego wrażenia.

- Rozumiem, że Sylwia jako pół-Angielka tak to określa. Czy nie tak?

- Sylwia nie interesuje się tobą.

- Dziękuję ci za tę informację.

- Słuchaj, możesz uważać, że jesteś nie wiadomo kim...

- Dorośnij wreszcie, Mark. Sylwia ujawni w odpowiednim czasie, kto ją interesuje i z kim się zamierza spotykać. Do tej chwili powinienes się wstrzymać z tego typu oświadczeniami, nie sądzisz? - Tony już miał się

odwrócić od swego rozmówcy, gdy nagle uderzyła go pewna myśl. -Słuchaj, tak przy okazji, jak się miewa twoja siostra?

- Co? - Mark spojrział na niego oszołomiony nagłą zmianą tematu. Potem zmarszczył brwi. - Peggy? Nie twój cholerny inte...

- Nie, nie, nie chodzi mi o Peggy. Chciałbym wiedzieć, co słyhać u Liddie... u Klaudii. - Nastąpiła cisza, w czasie której Mark intensywnie się zastanawiał, dlaczego Tony interesuje się jego siostrą, której on sam nie widział i z którą nie rozmawiał od lat.

- Lubisz takie młode, co? - roześmiał się w końcu, a Tony tylko potrząsnął głową, odwrócił się i odszedł. Przez chwilę Mark wahał się, po czym zawołał za nim gniewnie: - U niej wszystko dobrze, a dlaczego pytasz?

Nie było to właściwie pytanie. Mark zażądał raczej od Tony'ego odpowiedzi. Tony wzruszył ramionami.

- Bez powodu. Przekaż jej... pozdrów ją ode mnie w następnym liście. - A potem ruszył korytarzem, dziwiąc się sobie, że zapytał o tę dziewczynę. Do tego czasu pewnie stała się już drugą Peggy albo, co gorsza, upodobniła się do swego mówiącego donośnym głosem i zadzierającego nosa brata. Ale Tony nie umiał całkiem stłumić zainteresowania Klaudią, co jakiś czas zastanawiając się, co u niej słyhać, jak sobie radzi w życiu. Miała teraz, hmm, ile?... Chyba prawie piętnaście lat, pomyślał. Była więc w tym samym wieku co Sylwia. Myśl ta wstrząsnęła Tonym, ponieważ zawsze wyobrażał sobie Liddie jako siedmioletnie dziecko. Przez moment znowu zobaczył jej wykrzywioną cierpieniem twarzyczkę. Jednak teraz wszystko mogło się zmienić. To stare czasy. Wzruszył ramionami.

Kiedy wrócił na przyjęcie, zobaczył, że Mark zupełnie zawładnął Sylwią. Gdy tak się śmiał i flirtował, robił wrażenie kogoś, kogo bardzo łatwo zranić. Obserwując chłopca, Tony doszedł do wniosku, że w tej długiej kościstej twarzy okolonej zaczesanymi do tyłu jasnymi włosami jest jakiś czar. Jasnobłękitne oczy nie patrzyły już wyzywająco, raczej próbowały nawiązać kontakt. Był w nich wdzięk, a nawet inteligencja. A może przede wszystkim inteligencja.

Nie była to jednak miła twarz. Ani miła, ani współczująca. Chociaż zapewne mogła się podobać kobietom ze względu na coś w niej delikatnego. Tony patrzył przez chwilę na rozmawiającą parę obserwując, jak Sylwia unosi śmiejąc się powieki, jak trzepocą jej długie rzęsy, rzucając cień na policzki, jak odyma wargi, gdy coś mówi. A potem dziewczynka obróciła się nieco i dostrzegła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się.

- Gdybym była tobą, nie maczałabym paluchów w tym stawie - odezwała się cierpko Plum. - Wiesz? Mogą zostać odgryzione.

Kiedy brat przeniósł na nią wzrok i podniósł brwi, wręczyła mu małą kruchą kuleczkę nabitą na wykałaczkę.

- Spróbuj tego i powiedz mi, co twoim zdaniem jest w środku. - Zawsze wszystkim kazała zgadywać, z czego składa się jakieś danie.

Zainteresowania kulinarne przewyższały jej niechęć do pokazania po sobie, że coś jej smakuje na tyle, aby poprosić o przepis.

- Krewetki, jak sądzę. Dlaczego mają zostać odgryzione?

- Jesteś bezużyteczny. Stanowczo są w tym kraby. Ale jak przyprawione? Chodzi mi o zioła. - Popatrzyła na niego z roztargnieniem.

- Mówiłaś o paluchach - podpowiedział jej Tony.

- Albo łapy, albo jakakolwiek inna część ciała, jeśli o to pytasz. - Posłała bratu łobuzerski uśmieszek. Był to tego rodzaju uśmiech, jaki starsza siostra rezerwuje wyłącznie dla swego młodszego rodzeństwa. - To jest pirania, Tony, nie widzisz tego? Piękna, smukła i występna. Niebezpieczna. Nie pozwolisz jej chyba zniszczyć swego życia, co?

- Plum! Podle jest mówić takie rzeczy, nie sądzisz? - odciął się Tony. - Skąd masz takie doświadczenie?

- Chodziłam przed laty do szkoły z Sylwią. Ona była w młodszej klasie. Spytaj Hattie, zna ją lepiej. Ale wiem, że ta dziewczyna nie ma uczuć. Ugryzie sobie to tu, to tam, próbuje wszystkich, ale nigdy nie posuwa się dalej...

- Ależ ona ma zaledwie piętnaście lat!

- A zachowuje się jak trzydziestolatka... Słuchaj, wszystko zależy tylko od ciebie, ja dam ci po prostu siostrzane rady. Nie próbuję wcale powiedzieć, że powinna się posuwać dalej... Oczywiście, że nie... po prostu nie powinna tak lekko i bezmyślnie prowokować mężczyzn. Ona nie czuje nic, zrozum to. Słyszałam, że jest trochę... dziwaczna. Wiesz, kuku na muniu... to znaczy, miewa ataki nerwowe. Od czasu do czasu wysyłają ją do kliniki.

Plum wyrysowała coś palcem w powietrzu, co przypominało nieforemny łuk. Sylwia, widząc jej ruch, zaczerwieniła się, a potem przeniosła wzrok ponownie na rozanieloną twarz Marka.

- Co za bzdury! Boże, Plum! Zawsze twierdziłaś, że nienawidzisz plotek...

- Dobrze, już dobrze! Nic nie powiedziałam. Zrobisz, co zechcesz. Tylko nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy ta mała puści cię kantem, to wszystko.

Plum zagryzła usta, uświadamiając sobie, że Tony nigdy nie przyszedłby do niej, niezależnie od tego, jak strasznie zostałby zraniony. Jej brat bowiem nie

miał zwyczaju mówić komukolwiek o swoich kłopotach czy niedolach. Patrzyła za nim z niepokojem, kiedy odchodził, aby wziąć sobie kolejnego drinka, ale potem zagadnęła ją któraś ze starych przyjaciółek i cała sprawa wyleciała jej z głowy.

Bill stał w cieniu, w towarzystwie jeszcze mniej widocznej osoby. Obserwował całą grupę z wystudiowaną obojętnością. Pomyślał, jak łatwo ich wszystkich przejrzeć. Nawet jego własne dzieci. Przezroczyść otaczających go ludzi często niezwykle ułatwiała mu pracę, ponieważ natychmiast wychwytywał osoby nie pasujące do grupy. Na przykład ten młody Mark Babcock, znajdujący się obecnie na rozdrożu. Warto by mu się przyjrzeć. A co do Reginalda Hsu... cóż, ten już wybrał i szedł teraz prosto wybraną przez siebie drogą. No bo skąd, w końcu, pochodziły te jego wszystkie pieniądze?

Obserwując wysokiego mężczyznę w okularach przybyłego do Hongkongu z Szanghaju, który właśnie flirtował z Sally Freeman, Bill uświadomił sobie, że sam prawdopodobnie przyczynił się bezwiednie do nawiązania romansu jego żony Joanny z Chińczykiem kilka lat wcześniej. Ale teraz nie mógł sobie pozwolić na gniew. Musiał traktować Hsu jedynie jako przedmiot obserwacji. Ostatecznie to właśnie umiał robić najlepiej. Teraz mruknął coś do towarzyszącego mu młodego mężczyzny, który ze zrozumieniem się uśmiechnął.

Całe towarzystwo zasiadało właśnie do kolacji. Młodzież została umieszczona przy oddzielnym stoliku według wieku. Pierwsza siedziała najmłodsza, zaledwie jedenastoletnia Porcja Hsu, dziewczynka o długich ciemnych jedwabistych włosach, opadających falami na plecy. Ubrana w krochmaloną sukienkę z filipińskiej koronki, panienska o bystrych brązowych oczach, błyszczących z podniecenia, patrzyła na siedzącą naprzeciwko parę, najstarszych w tej grupie młodzieży, ludzi mających około dwudziestu dwóch albo trzech lat. Tony'ego rozbawił fakt, że Sylwię i Marka rozdzielono o całą długość stołu, natomiast on sam znalazł się niespodziewanie naprzeciw dziewczyny. Zastanowił się, czy Sally Freeman zrobiła to świadomie, i spojrział na drugi stół, a wtedy dostrzegł, że gospodyni powoli mrugnęła do niego. Podniósł w jej kierunku szklaneczkę, niezdolny powstrzymać rozbawienia.

Sylwia jednak nie była w nastroju do śmiechu. Widziała zakreślający kółko palec siostry Tony'ego, wiedziała, co oznaczał ten gest i serce niemal przestało jej bić w piersi, zamierając przez chwilę, aż poczuła się tak słaba, że musiała się wesprzeć na ramieniu Marka i pozwolić mu na poprowadzenie jej do krzesła. Myślała, że plotki na jej temat już się skończyły. Przecież teraz bardzo

rzadko miewała lekkie ataki nerwowe i lekarze od pewnego już czasu całkowicie nad nimi panowali. Co ta straszna Plum powiedziała Tony'emu? Sylwia widziała, jak chłopiec zareagował na słowa siostry, jak stężała mu twarz. Dostrzegła na niej gniew i nie miała odwagi, aby spojrzeć w oczy młodemu Anglikowi. Mark niczego nie zauważył, ale i tak nie miałoby to dla niego znaczenia. To właśnie ich ze sobą łączyło. Nieprzystosowanie, dziwaczne podejście do ludzi, pewnego rodzaju dzikość.

Sylwia rozejrzała się wokół siebie, jej zielone oczy zaświeciły jak głęboka woda w nocy. Kiedy Tony się uśmiechnął, ponownie odwróciła wzrok.

W czasie posiłku Sylwia i Tony byli skrepowani, wykonywali niezdarne ruchy, niewiele jedli, a gdy ich spojrzenia się krzyżowały, rumienili się, uciekali wzrokiem i natychmiast udawali, że są bardzo zajęci rozmową z towarzyszami przy stole po lewej i prawej stronie. Tony zdawał sobie sprawę, że swymi roztargnionymi odpowiedziami i mało konkretnymi pytaniami rozczarowuje dziewczyny siedzące obok niego, ale nie potrafił się skupić. Zauważyła to również Plum i pomyślała, że było to zupełnie niepodobne do jej brata. Zazwyczaj wszyscy lubili jego towarzystwo, gdyż był uprzejmy, interesujący i dowcipny. Jego zachowanie intrygowało. A dziś wieczorem, uświadomiła sobie ze smutkiem dziewczyna, zachowuje się jak skończony idiota.

- Do jakiego regimentu zamierzasz wstąpić. Tony? - wtrącił w pewnej chwili młodzieniec siedzący po prawej stronie Sylwii, słysząc wzmiankę na temat Sandhurst. Był kilka lat starszy od Ingrama i dopiero co ukończył Oxford. Tony podniósł oczy, szybko przeżuł i przełknął resztki świeżych chińskich śliwek liczi, które miał w ustach. Smak owoców stał się nieco kwaśny, kiedy Tony dostrzegł wzrok Sylwii.

- Nie jestem jeszcze do końca pewien, Aidanie. Ojciec należał do kawalerii Gwardii Królewskiej, ale mnie konnica raczej nie bardzo interesuje. Szczerze mówiąc, podoba mi się piechota. - Zobaczył zdumienie na twarzy tamtego i uparcie je zignorował.

- Niewielka szansa na karierę, to chciałeś powiedzieć? Jeśli koniecznie chcesz służyć w piechocie, lepiej wstąp do którejś z tych szybkich jednostek. Co powiesz na Lekką Dywizję? - Chłopak uśmiechnął się chytrze, a ciężkie worki pod dolnymi powiekami zmieniły jego oczy niemal w szparki. Tony wzruszył ramionami.

- Zbyt wcześnie o tym mówić. Nie zależy mi szczególnie, by zostać generałem i wątpię, czy w ogóle mnie awansują. Szczerze mówiąc, najchętniej

wróciłbym stamtąd jak najszybciej do Hongkongu, zanim będzie za późno. Znalazłbym tu sobie jakiś cichy kącik, przeczekałbym... Ty też wracasz, jak słyszałem. Tak się mówi na mieście. - Uśmiechnął się i nie przejął się zbytnio, gdy Aidan łagodnie rzucił w niego kulką z chleba.

- O czym wy dwaj rozmawiacie? Na jakim mieście? - spytała Sylwia, chcąc wreszcie zrozumieć, o czym oni mówią. Dlaczego nigdy nie mogła pojąć tych szybkich angielskich ripost? Być może była zbyt podobna do swej matki, zbyt francuska w głębi duszy.

- Aidan wstępuje w szeregi administracji państwowej, Sylwio. Możesz go sobie wyobrazić z własnym kierowcą, gładko przylizanymi włosami i zapiętym parasolem?

Tony drażnił się z przyjacielem. Aidan rzucił w niego kolejną kulkę.

- Dopiero zaczynam, Sylwio, i na razie będę się raczej przemieszczał tramwajem.

- Och, nie z twoimi koneksjami, Aidanie.

Tony ze śmiechem podniósł szklanę i poczuł ulgę, gdy zobaczył, że twarz Aidana odpręża się, a jego dość nieładne wargi zaciskają się na brzegu kieliszka. Aidan jednym łykiem wysączył płyn. Pije jak ryba wodę, pomyślał Tony. Musi mieć w swoich genach jakieś pozostałości po wszystkich tych przodkach piratach, którzy zbili fortunę Lockhartów i pili na umór, walcząc w ten sposób z zarazą. Aidan stanowi po prostu ich łagodniejszą wersję.

- Druciarz, krawiec... - Aidan wykrzywił się zabawnie.

Ach, tak, pomyślał Tony. Druciarz, krawiec, żołnierz... urzędnik państwowy. Co za miły eufemizm. Pupilek Billa Ingrama, jego ojca. Dwaj młodzi mężczyźni uśmiechnęli się do siebie, idealnie się rozumiejąc.

Sylwia natomiast milczała niepewnie, nie do końca pojmując, z czego tamci się śmieją. Spojrzała w bok i dostrzegła twarz Marka, szczupłą i pociągłą. W jego oczach dostrzegła gniew i agresję. Westchnęła i zobaczyła, jak jego twarz powoli łagodnieje. Zaczął się pojawiać na niej fałszywy, wyrozumiały uśmiezek.

- Myślimy, żeby się przenieść do „Złotej Kopuły”. Może któreś z was chciałoby pójść... - zawołała nagle wyraźnym głosem Plum. Otaczali ją wielbiciel, każdy skupiony na swoim zadaniu: jeden przytrzymał krzesło, gdy wstawiała od stołu, drugi pomagał jej narzucić na ramiona żakiet, trzeci trzymał w ręku maleńką wieczorową torebkę dziewczyny. Starsi goście, zgromadzeni przy swoim stoliku, dowcipkowali na temat tego najnowszego lokalu z danciem, porównując go do pleksiglasowego kulistego akwarium.

Sally krzyknęła do córki, aby nie wracała zbyt późno, i na ten znak aprobaty udzielonej przez gospodynię, połowa młodszego stolika podniosła się i, wykrzykując wszem i wobec pożegnania i podziękowania, ruszyła do samochodów. Kierowcy pospiesznie przerywali mahjonga, w którego grali na trawie, i zbliżali się do aut.

Nastąpiła długa, przewlekła dyskusja, ile samochodów jest potrzebnych, aby podwieźć ich do przystani promu Star Ferry i kto powinien jechać w którym samochodzie. Mark stał spokojnie z boku, nie wtrącając się. Towarzyszyła mu Sylwia. Rozmawiali o czymś cicho. Nad głową dziewczyny błyskały punkciki światła, jak robaczki świętojańskie na pasie czarnego jedwabiu.

Wtedy o ciszę poprosił Tony. Spokojnym, lecz zdecydowanym głosem podzielił zebranych na dwie grupy, po pięć osób. Sylwię i Marka umieścił w drugim aucie. W spojrzeniu młodego Babcocka dostrzegł rozbawioną pogardę, gdy niefrasobliwie szeptał do swej towarzyski: „Tak, tak, jesteśmy w wojsku...”. Mark powiedział to z wystudiowaną obojętnością, chociaż było jasne, że na moment poczuł porywającą go falę ślepego gniewu, który miotał nim bardziej niż chęć zrobienia Tony'emu na złość. Sylwia zachowywała się, jak gdyby tkwiła w jakimś świecie marzeń i nawet nie spojrzała na Ingrama, odchodząc szybkim krokiem w kierunku wskazanego samochodu.

Już po chwili oba auta pędziły wśród mgły przez ciemną, obsadzoną drzewami drogę. Reflektory wyławiały z ciemności krzaki, które przyciągały wzrok i ostrzegały przed tym, co znajdowało się za nimi: stromymi przepaściami. Zjeżdżali w dół, ku migoczącym świadom miasta, z których każde coś oznaczało, ale były tak liczne, że wybuchały nagle przed jadącymi jak ławice gwiazd, z dziwnych powodów tkwiące pod nimi, a nie nad ich głowami. To był ciepły wilgotny wieczór, przepojony niezwykle intensywnymi słodkimi zapachami gnijącej roślinności, płynącego powoli dymu i podniecenia. Tony wdychał głęboko w płuca te zapachy wraz z wiatrem wpadającym falami przez przednie okno przy siedzeniu obok kierowcy, które zajmował. Zamknął oczy i poczuł ciszę tego pędu przez mrok, a także - kotłującą się w jego wnętrzu - osobliwą mieszaninę strachu i oczekiwania na to, co miało się wydarzyć, wrażeń, które zawsze na nim sprawiał Hongkong. Uśmiechnął się, bardzo z siebie zadowolony.

Kierowca spojrzał w tylne lusterko na samochód, jadący za nim, i nagle zeszywniał. Zacisnął mocniej ręce na kierownicy, nie wiadomo czy bardziej zainteresowany, czy rozgniewany. Tony początkowo nie zauważył reakcji Chińczyka, ale gdy mężczyzna zaczął mruzczyć pod nosem ciche przekleństwa

w śpiewnym dialekcie kantońskim, otworzył oczy, spojrzął na niego i obrócił się, aby spojrzeć przez tylne okienko.

Na dachu jadącego za nimi mercedesa balansował na czworakach Mark Babcock. Rozczapierzył palce, ręce, ramiona i nogi, aby lepiej przylgnęły do gładkiego metalu. Jego twarz wyrażała dziką, nieopanowaną egzaltację i wielkie zadowolenie z siebie. Szeroko otworzył usta. Poły jego koszuli wściekle trzepotały na wietrze. Najwyraźniej chłopiec odczuwał niesamowitą radość. Tony'ego zaskoczył jego wyczyn, tym bardziej, że, jego zdaniem, zupełnie nie pasował do Marka.

Kierowca drugiego samochodu ostrożnie zwalniał, a jego twarz była wykrzywiona i czerwona z wściekłości. Ingram wiedział z doświadczenia, że złość ta - jak u wszystkich Chińczyków - wkrótce przerodzi się w posępny nastrój i niechęć do jakiegokolwiek pomocy. Wreszcie auto zatrzymało się i Tony dał znak kierowcy swojego samochodu, aby również stanął.

- Niezbyt dobrze tutaj. Bardzo zła droga tutaj. Lepiej szybko odjechać - zwierzył się Tony'emu Chińczyk. Młodzieniec warknął na niego, aby przestał jęczeć. Dostrzegł, że z drugiego auta wysiada dwóch mężczyzn. Próbowali ściągnąć Marka w dół, ale ten się opierał, kopiąc ich stopami, klnąc i śmiejąc się, jak gdyby był bardzo pijany. Plum mocno się wychyliła z samochodu i Tony dostrzegł jej sylwetkę na tle reflektorów mercedesa. Ciągłe znajdowali się wysoko; choć minęli już masę pętli i zakrętów tej górskiej drogi, wiele pozostało jeszcze przed nimi. Nie było czasu do stracenia, Tony wiedział, że musi reagować szybko. Stąd nie było innej drogi, tylko ta wąska górską ścieżka, a pod nimi znajdowała się ciemna przepaść.

Wyskoczył więc z samochodu i popędził do tyłu, wspiał się na maskę i chwycił Marka za kark, a cała ta akcja zajęła mu zaledwie ułamek sekundy. Jednym ruchem ściągnął chłopaka w dół i wepchnął w czekające już na niego ramiona, które wciągnęły go szybko z powrotem do samochodu, mimo protestu i gwałtownego oporu młodego Babcocka. Z jego ust wydobywało się dziwne rechotanie - śmiech, który niepokoił całą grupę. Tony schylił się do środka, chwycił kołnierz koszuli Marka i przyciągnął chłopaka do okna. W jego twarzy dojrzał obojętność i pustkę, w błękitnych oczach śmiertelne zmęczenie. Odebrało to Tony'emu chęć działania i jednocześnie go rozwścieczyło.

- Zrób to jeszcze raz, a osobiście wyrzucę cię na drogę i dalej pójdziesz pieszo. A teraz siadaj! - Poczul oddech Marka na swoim policzku. Odepchnął go, a Mark gwałtownie szarpnął głową i bezwolnie osunął się na siedzenie. Tony dał znak kierowcy i wrócił szybko do swojego samochodu, wsiadł i

błyskawicznie zatrzasnął drzwi. Jego kierowca ruszył natychmiast i przez jakiś czas oba auta kontynuowały jazdę. W samochodzie Tony'ego przez długi czas panowało pełne napięcia milczenie, które wreszcie przerwał Aidan:

- Ci litościwi Amerykanie nie ufają szkołom z internatem. Dają swoim synom wszystko, czego dzieciaki pragną, i uważają je za pępki świata... Zrozumiałbym surfing na dachu jakiejś anonimowej taksówki, ale żeby się wspinać na samochód swojego gospodarza... Raczej osobliwe zachowanie - dorzucił w ciemność.

Tony, nie odwracając się, skrzywił się lekko. Mark był rzeczywiście osobnikiem dziwnym, ale czasami, choć niezwykle rzadko, Tony'emu zdawało się, że go rozumie, że pojmuje ten charakterek wiecznego autsajdera, ciągłego widza, czujnego obserwatora. Obaj byli przecież bardzo zamknięci w sobie, obaj zatrzymywali dla siebie swoje uczucia i Tony czuł, że nie powinien potępiać Marka za jego sporadyczne wyskoki.

- Zdaje mi się, że Mark czuje swego rodzaju dziwną żądzę śmierci... - oznajmiła pewnym siebie głosem jedna z dziewcząt. - Zawsze robi coś tak szalonego jak dziś. Jego ojciec pozwala mu niemal na wszystko. Pewnych rzeczy nawet nie zauważa, jak mówi moja mama. Jej zdaniem Mark narobi sobie jeszcze kiedyś strasznych kłopotów.

Po tym słowach rozmowa znów się urwała, a niezwykła, osobliwie spuchnięta twarz Aidana dziwnie zamarła. Najwyraźniej młodzieniec intensywnie nad czymś rozmyślał. Tony dostrzegł ten fakt, kiedy spojrzał w boczne lustro. Kontemplujący Aidan, pomyślał, to bardzo, bardzo ciekawe.

Zajechali pod ogrodzenie przystani Star Feny i zatrzymali się przed pochylnią prowadzącą na prom. Wsiadali z samochodów hałaśliwie; wszystkich ogarnął inny nastrój i byli bardzo ożywieni. Już po chwili Plum zaczęła na nich kiwać przy przejściu, wymachując przed kontrolerem biletów dolarowym banknotem. Prom miał odpłynąć lada chwila, toteż bez zastanowienia pobiegli pędem po betonowym nabrzeżu do doku. Śmiali się i brakowało im tchu. Podeszwy ich butów głośno stukały, oznajmiając całemu światu jak bardzo ich właściciele się spieszą. Dopadli promu w ostatniej chwili - kulisi już zaczęli podnosić trap z drewnianych listew. Gdy wpadli na pokład, zaczęli się przeciskać między ludźmi, podążając ku dziobowi, gdzie zgromadzili się ponownie całą grupą. Mały, jednopiętrowy stateczek ruszył i pieniać wodę obracającymi się łopatkami, zaczął się oddalać od betonowego doku.

Chwilę trwała cisza. Prom płynął szybko przez port, rozpylając wokół siebie zapach soli i kadzideł, który mieszał się ze świeżością nocnego powietrza. Mijał wiele statków zakotwiczonych na redzie, czarująco oświetlonych i trwających w wieczornym lenistwie. I wtedy właśnie Tony, rozglądając się wokół siebie, spytał niedbałym tonem:

- A gdzie się podzieli Mark i Sylwia? Nie popłynęli z nami? - Pozostali poczuli się odwracać i przeszukiwać wzrokiem gęsty tłum chińskich, filipińskich i białych twarzy, reagujących obojętnością i spokojem na pokonywaną któryś raz z rzędu drogę po ciemnych, oleiście zanieczyszczonych smarem wodach. Na promie najwyraźniej nie było śladu zaginionej pary. Niektórzy z grupki ze zdziwieniem wzruszyli ramionami, potem popatrzyli po sobie. Na wielu twarzach pojawiła się zdecydowana ulga.

- Może mieli inne plany? - zasugerował ktoś i nieładna twarz córki Sally Freeman wydała się Tony'emu jeszcze brzydsza. Zacisnął mocno usta i głęboko wciągnął w płuca zapach nocy, odrywając się myślą od przyjaciół i ich wesołego paplania.

Przez długi czas rozkoszował się pięknem ciemnej, mieniącej się setkami barw wody, bajecznymi światłami poruszających się dzonek i zakotwiczonych na brzegu statków. Podobała mu się wprawa, z jaką prom ominął mały sampan, który pojawił mu się przed dziobem. Przy rumplu łódeczki siedziała stara kobieta, obojętna i nieruchomo wpatrzona w ich duży statek. Na sekundę podniosła oczy i Tony dostrzegł jej pomarszczoną, opaloną twarz pod czarną przepaską wciśniętą za uszy. Potem otuliła się ściśle puchową kurtką. Tony podniósł ku niej dłoń, a kobieta odpowiedziała mu podobnym gestem, przy czym jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Potem sampan podniósł się na fali dziobowej i pospieszył dalej swoją drogą. Opanowana i zamknięta w sobie, pomyślał, ale wcale nie nieuprzejma. Po prostu Tony był jej obojętny. Zupełnie tak samo jak Sylwii.

Nagle gdzieś zniknęło ożywienie wywołane wieczorem, a równocześnie Tony przestał odczuwać również strach i oczekiwanie, które towarzyszyły mu wiele minut temu, gdy samochód zjeżdżał krętą drogą w dół. Pojawiło się natomiast zniecierpliwienie. Żałował, że zgodził się z nimi pojechać i czuł rozdrażnienie, że ten wieczór tak długo trwa. Jednak, aby teraz im uciec, musiałby wymyślić jakąś przyzwoitą wymówkę, a to nie było takie proste. Nie miał więc wyjścia, musiał im towarzyszyć. Zgarbił się nieco, oparł podbródek na dłoniach, pochylił się na lakierowanym relingu i z rezygnacją wsłuchiwał w gwar pobliskiego Koulunu.

Koulun nigdy nie zasypiał, a przynajmniej nie zasypiał oświetlony neonami obszar między Salisbury Road, Nathan Road i południową Chat-ham Road. W tej dzielnicy, zwanej Tsim Sha Tsui lub „szczytem Koulunu”, znajdowało się więcej stłoczonych blisko siebie barów, nocnych klubów i salonów masażu niż w całym Londynie. „Złota Kopuła” była restauracją stosunkowo nową i należała do handlowego syndykatu, który zaczął rozszerzać swoje imperium, wliczając do niego przemysł rozrywkowy. Lokal był wtłoczony między kawiarenkę hotelową i sklepik krawiecki. Z góry widoczne było tylko wejście, właściwa restauracja bowiem znajdowała się w podziemiach. Dokoła frontowych drzwi migotały obramowane pleksiglasem światła, a pod nimi znajdowały się pokryte czerwonym dywanem złożone schody, które nieco zaszokowały Tony'ego, klóćąc się z jego aktualnym kwaśnym nastrojem. Każdej innej nocy z pewnością rozbawiłaby go ich rażąca, krzykliwa wulgarność.

Podążył tymi schodami w dół za resztą towarzystwa, która zlekceważyła portiera, niepewnego, czy powinien poprosić Europejczyków, by uiścili zapłatę za wstęp. Wieczór był spokojny.

- Jak zwykle będziemy się dobrze bawić - mruknął do niego uspokajającym tonem Aidan. Czerwony plusz chodnika doprowadził ich na dół, do długiego mahoniowego stołu barowego. Siedziało przy nim wiele tajskich dziewcząt, krzyżując nogi na wysokich stołkach, dzięki czemu dyskretnie rozchyłały się rozcięcia w ich sarongach. Egzotyczne piękności obracały się i uśmiechały na powitanie, ale tylko do czasu, kiedy zobaczyły Plum i pozostałe dziewczyny w grupie, wtedy bowiem ostentacyjnie odwróciły się z powrotem w stronę baru.

Małe stoliczki w tylnej sali ustawione były dokoła parkietu do tańców, wykonanego z przezroczystego pleksiglasu, pod którym - zgodnie z wcześniejszymi zapewnieniami rodziców młodych ludzi - pływał ogromny karp koy, połyskując kolorami w odcieniach od bursztynu i złota po czystą biel.

Tony zastanawiał się, czy ta ryba ma pełnić funkcję tradycyjnej złotej rybki, która znajdowała się w każdym chińskim domu, zgodnie z teorią, że wchodzący w domostwo pech zaatakuje najpierw złotą rybkę i w ten sposób ominie jej właściciela. Pomyślał z ironią, że pech musiałby być naprawdę potężny, aby zabić rybę tak wielką jak ten karp.

Nad pływającą rybą tańczyło w takt muzyki disco kilka znudzonych par. Ich wirujące sylwetki odbijały się we wklęsłej powierzchni złotego sufitu w kształcie kopuły. Ależ szkaradne, pomyślał Tony, absolutnie szkaradne. A jednak przyciągało wzrok i robiło wrażenie.

Cała grupa usiadła i zamówiła drinki. Zrezygnowany Tony wyprostował się na krześle o zbyt niskim oparciu. Uświadomił sobie po raz kolejny, że musi tu zostać i tańczyć z dziewczętami przez co najmniej godzinę albo i dwie, inaczej będzie za mało mężczyzn. Perspektywa ta bynajmniej nie poprawiała mu humoru.

- Czy nie do tego się właśnie palisz, Tony? Żeby tu wrócić i zasilić szeregi bogatych i wiecznie znudzonych młodych ludzi, stale szukających nowych miejsc w naszych knajpkach, innych niż w poprzednim tygodniu? Mnie się naprawdę podoba ta ryba, a tobie nie? - Aidan szydził zarówno z siebie, jak z Tony'ego, który zdał sobie natychmiast z tego sprawę, więc się wcale nie obraził.

- Tak, to naprawdę piękna rzecz. Nie mam pojęcia, jak radziły sobie nocne kluby przedtem. - Ingram uniósł powieki w rozbawieniu, reszta twarzy jednak nadal pozostała ponura. Wzruszył ramionami, kiedy Aidan ziewnął i dał mu znak, aby pochylił się do przodu.

- Będę zadowolony, gdy się już zestarzeję i ożenię. Nie będę musiał więcej polować na dziewczyny... - mruknął cicho Aidan z zaskakującą goryczą w głosie. - To jest obecnie zbyt, cholera, wyczerpujące i trzeba mieć do tego niezwykle talent, który został dany jedynie nielicznym spośród nas.

Tony nie był pewien, czy słowa Aidana mają się odnosić do Plum, która była już prawie zaręczona ze swoim chłopakiem w Londynie, o czym głosiła wszem i wobec, czy może do Sylwii... ale Tony nie chciał już więcej myśleć o Sylwii. Powiedział więc ostro, zmuszając się, aby zabrzmiało to przekonywająco:

- Och, daj spokój, Aidanie! Na Hongkong nie składa się tylko to, o czym mówisz, i sam dobrze o tym wiesz. Obaj zrzedzimy po prostu dlatego, że dziś wieczorem musimy wypełniać nasze obowiązki. - Zaakcentował ostatnie słowo, obracając całą wypowiedź w żart, chociaż nie było mu wcale do śmiechu. - Jutro możemy pojechać dalej: do Shek O, na Big Wave Beach albo pożeglować, zjeść obiad na jednej z wysepek, wieczorem wpaść do Hash. - Na moment przerwał, grymas na twarzy Aidana bowiem przywołał u niego wspomnienia różnych niecek i szczytów Hongkongu... - I zakończyć kolacją w jakiejś wiosce po drugiej stronie wyspy z wielką ilością piwa i w dobrym towarzystwie. Ale dziś wieczorem, skoro dziewczyny koniecznie chcą tańczyć... - Poruszył się, dostrzegając jakieś zamieszanie przy barze, gdzie dwóch Chińczyków poszturchiwało kelnera, u którego grupka właśnie przed chwilą zamówiła drinki. Widząc zaabsorbowanie Tony'ego, Aidan obrócił się na swoim siedzeniu i również spojrzał w tamtym kierunku.

Młodzi ludzie nadal popychali kelnera, którego twarz aż zeszywniała ze strachu. Dawał desperackie znaki stojącym przy drzwiach wykidajłom, ale ci w żaden sposób nie zareagowali i jego dwaj prześladowcy uśmiechnęli się do siebie, a ich wyzywające, złośliwe twarze zbliżały się do twarzy ofiary. Kelner cofał się powoli ku butelkom, aż wreszcie przycisnął się do nich plecami. Tajskie dziewczęta jedna po drugiej zaczęły pospiesznie zsiadać ze stołków i wymykać się na tyły klubu.

- Chryste, co tu się dzieje? - spytał Tony i podniósł się, aby pójść na pomoc kelnerowi, Aidan jednak ścisnął go silnie za ramię i pociągnął z powrotem na krzesło.

- To wygląda na sprawę którejś z triad. Te zbiry przysłano tu, aby trochę postraszyły niektóre osoby i narobiły małego zamieszania. Może nowi właściciele nie chcą płacić haraczu... trzeba więc nieco poturbować im pracowników. Nie wtrącaj się w to, Tony. Nic nie możesz zrobić - ostrzegł na koniec przyjaciela. Muzyka stała się głośniejsza i większość gości ciągle nie zdawała sobie sprawy z nieprzyjemnej sceny rozgrywającej się za barem. Jeden z dwóch młodych chińskich prześladowców stłukł przed sekundą butelkę i zakończoną ostro szyjkę trzymał teraz przy twarzy kelnera. Przesuwał nią powoli z boku na bok, a oczy przerażonego mężczyzny z rozpaczą podążały za szklistą krawędzią. Tony uwolnił rękę z uścisku Aidana i wstał.

- Nie rób tego, Tony! Ciebie też pobiją. Ci faceci wiedzą, co robią. To zawodowcy. - Aidan również podniósł się z krzesła, ale Tony już zmierzał w kierunku trójki za barem. Wziął jakąś butelkę i nawet nie przystając, bez zastanowienia uderzył nią mocno w tył głowy starszego z dwóch napastników, dokładnie w chwili, gdy trzymana przez niego roztrzaskana butelka właśnie dotykała twarzy kelnera. Z przeciętej skóry głowy popłynęła krew. Drugi z mężczyzn obrócił się, zaskoczony i wściekły. Rysy jego twarzy zmienionej agresją wydały się w jakiś niezrozumiały sposób znajome Ingramowi i Tony zawahał się, gapiąc się na niego przez sekundę. Wtedy chłopak, który nie mógł mieć więcej niż szesnaście, siedemnaście lat, uderzył go płasko grzbietem dłoni. Tony zgiął się i obraz sali zaczął mu się nagle zacierać przed oczyma.

Zewsząd dały się słyszeć jakieś szmery i pochrząkiwania, a gdy Tony nieco oprzytomniał i podniósł wzrok, dwóch młodych ludzi znajdowało się już w połowie schodów prowadzących w górę. Młodszy podtrzymywał starszego pod ramiona. Aidan westchnął i pochylił się nad Tonym.

- Dobrze się czujesz? - spytał, wyjmując papierosa z paczki i wkładając go sobie w usta. Zapalił, podczas gdy oszołomiony Tony potrząsał głową i

usiłował wstać. Dostrzegł, że w Aidanie, opierającym się o bar z papierosem zwisającym z ust, była jakaś sztuczna, jakby wystudiowana równowaga i spokój. Tony z trudem powstrzymywał gotujący się w nim na ten widok śmiech. Sięgnął po papierosa przyjaciela, włożył go sobie w usta i głęboko się zaciągnął.

- Cieszę się, że uważasz to za zabawne. Może jednak, mimo wszystko, wojsko jest rzeczywiście właściwym dla ciebie miejscem. Tam zawsze się znajdzie paru dumnych bohaterów - wycodził Aidan, zapalając kolejnego papierosa. Spojrzał uważnie na kelnera, który przykładał do twarzy chusteczkę.

- Dlaczego się zawahałeś? - spytał z zaciekawieniem Tony'ego. - Mogłeś powalić ich obu.

Tony zamyślił się, wypuszczając wielką chmurę dymu; zmrużył oczy, szukając czegoś w pamięci.

- Wydał mi się znajomy. Ten drugi. Skądś go znam... tylko nie mogę sobie... - Przerwał, a po chwili na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. - Mój Boże, to był Harry!

- Harry? - Wzrok Aidana wyostrzył się z zainteresowania. - Jaki Harry?

- Syn służącej Babcocków... Harry. Co on, do cholery, robi wśród bandytów z triady? - dodał skonsternowany, pytając sam siebie.

- Uczy się, jak zostać Wielkim Bratem, nie sądzisz? - Aidan uspokajająco pokiwał dziewczętom, które czujnie wpatrywały się w nich z drugiego końca zaciemnionego pomieszczenia. - Już dobrze, chodźmy powiedzieć paniąkom, że jesteś cały.

- A co z Harrym?

- Harry to nie twój problem, prawda?

Rozdział siódmy

Judson, Teksas Czerwiec 1976 roku

Dzień był upalny, obłoki unosiły się nad ziemią jak zbędny balast. Chmury pyłu wirowały wokół betonowego placu zabaw, wiatr dotykał liści i gałęzi i przypierał je do płotu z drucianej siatki otaczającego Haskell Ridge High. Gina Fratelli starła rękawem słoną wilgoć, która zebrała się na jej górnej wardze. Próbowwała nie patrzeć na koszulę swego towarzysza, gęsto pokrytą wielkimi, wilgotnymi plamami potu. Chłopiec najwyraźniej zupełnie się nimi nie przejmował, skoro pochylał się do swej rozmówczyni tak blisko. Mówił jakby przez nos, przeciągle cedząc słowa, z silnym akcentem charakterystycznym dla amerykańskiego Południa.

- Nie możesz im czegoś powiedzieć? Niszczą naszą średnią. Wszystkich nas przez to ocenią za ledwie na dostateczny - skarżył się Ginie Tommy Bering. Wzruszyła ramionami. Średnia, ciągle ta średnia... Po co w ogóle wymyślono coś takiego? Wyniki egzaminów klasyfikowano w grupy, a potem - jeśli ktoś uznał to za konieczne - podnoszono albo obniżano niektóre oceny, aby osiągnąć mniej więcej przeciętną średnią. Tak przynajmniej sądzili uczniowie. Najzdolniejsi, jak Klaudia czy Paul, psuli wszystko, ponieważ ich stopnie ledwo mieściły się w średniej skali. Gina rozumiała punkt widzenia Tommy'ego Beringa, ale wcale nie zamierzała się do tego przyznawać.

- Nie możesz oczekiwać, że obleją tylko dlatego, że ty nie zdasz. Poza tym nauczyciele wcale nie chcą, abyśmy źle wypadli. Ich akta nie wyglądałyby wtedy najlepiej. Sądzę, że po prostu automatycznie dadzą Liddie i Paulowi oceny celujące, a potem resztę z nas posortują, w ogóle nie biorąc tamtych dwojga pod uwagę. W przeciwnym razie, w jaki sposób któreś z nas mogłoby otrzymać pozytywny stopień? - Gina uważała, że jej wywód brzmi rozsądnie. - Sądzę, że nauczyciele już to sobie przemyśleli - dodała z przekonaniem, ale Tommy potrząsnął sceptycznie głową.

- Nie wiem. Mam ochotę wepchnąć tę parkę pod autobus albo coś w tym rodzaju. Paul wygląda jak karzeł w tych okrągłych okularkach i z tą swoją pokrzywioną twarzą. Przypomina mi susła albo coś... A ta Klaudia to taka chuda szara mysz, która zawsze tylko bacznie obserwuje wszystko w milczeniu. Nie mówi ani słowa, ale wiesz, po prostu wiesz, że cały czas naprawdę intensywnie myśli. Czy nie mogłaby być taka jak jej siostra, co? No powiedz sama? - Roześmiał się, przypominając sobie, co któryś ze znajomych chłopaków powiedział mu kiedyś na temat Peggy.

Ponownie spojrzął na Ginę, myśląc, że też nie jest zbyt ładna z tą ziemistą, niezdrowo wyglądającą cerą i ciężkimi krzaczastymi brwiami, które sterczały nad krowimi oczyma, nic więc dziwnego, że jest przyjaciółką tych dwojga. Cała trójka to dziwadła, ocenił Tommy, i pewnie dlatego trzymają się razem.

Chłopiec na koniec westchnął z oburzeniem i popędził na boisko koszykarskie akurat w odpowiednim momencie, by otrzymać piłkę do kontrataku. Dryblując przebiegł z nią przez pół boiska, po czym podskoczył i wpakował piłkę do kosza. Osunęła się po wewnętrznej stronie siatki. Bering obracał się dokoła z uśmiechem, klepiąc podniesioną dłonią wyciągnięte ręce kolegów z zespołu; wszystkie myśli na temat zbliżających się egzaminów w jednej chwili wyleciały mu z głowy.

W przeciwnym końcu boiska trenowały młodziutki fanki Kowbojów z Dallas, zwane wodzirejkami: Kathy Toreno, Missy Hatchard i Clarice Sturming: kołysały się lekko, obracały wdzięcznie i tańczyły. Ich opalone na bursztynowo ramiona i złote włosy zafalowały naraz radośnie w uznaniu dla zdobytych przez drużynę punktów.

Gina zgarbiła się, odczytując myśli w jasnoniebieskich oczach Tommy'ego i niepokieszona ruszyła w kierunku drzewa, pod którym siedzieli Paul i Klaudia. Czytali właśnie o Rewolucji Francuskiej. Usiadła ciężko obok nich i obserwowała ich w milczeniu. Miała nadzieję, że podniosą oczy znad książki i zauważą jej obecność, i po chwili rzeczywiście tak się stało. Gina ucieszyła się.

- Cześć, Gina - zagaił Paul, unosząc na moment okulary, aby lepiej się przyjrzeć dziewczynie. Prawie natychmiast opuścił je z powrotem na nos. - Chcesz się do nas przyłączyć? - W jego głosie można było dosłyszeć skrywaną niechęć. Wiedział, że gdyby Gina zaczęła się z nimi uczyć, bardzo by spowolniła ich tempo pracy. Poczul więc ulgę, gdy tamta potrząsnęła głową.

- Nie, nie zaczęłam jeszcze tego rozdziału. Mam zamiar pouczyć się dopiero dziś wieczorem. Tak sędzę... Wiecie, Tommy się denerwuje, że bardzo zawyżacie średnią i wszyscy inni obleją egzaminy.

- Też bym się martwiła, że nie zdam, gdybym była Tommym Beringiem - zauważyła Liddie z jakąś ostrością w tonie i Gina się roześmiała. Jej pulchna twarzyczka zatrzęsała się przy tym radośnie i dziewczynka odczuła przyjemność, że i ona może sobie drwić z Beringa.

- To wszystko fizole! - oświadczył kpiąco Paul. - Wyobraź sobie, że my się skarżymy na to, jak źle przy nich wypadniemy z wychowania fizycznego. Paczka weekendowych kowbojów z bożej łaski - dodał z najwyższą pogardą i Gina znowu się uśmiechnęła. Starła się wymyślić jeszcze jakieś określenie

ośmieszające grupkę tych wysportowanych przystojniaczków i pustogłowych ślicznotek, grupkę, która uwielbiała obracać życie takich dzieciaków, jak ci troje, w piekło. Po lekcjach wsiadali do swoich pickapów, kręcili się po okolicy, wyśmiewając się i gwizdząc na dzieciaki, które nie były popularne i nie należały do ich paczki. Dlaczego musiałam się urodzić w takim hrabstwie (i stanie), w którym każdy chłopak powinien być rozgrywającym w drużynie piłkarskiej, a dziewczyna wodzirejką, myślała. Sport jest tu najwyraźniej ważniejszy niż zdawanie egzaminów. Dlaczego? Z tą myślą dziewczynka usadowiła się wygodniej na trawie.

Klaudia popatrzyła na nich oboje i także się uśmiechała, ale w głębi duszy pożałowała, że jest tak inteligentna i taka chuda. Gdyby była dobra w grach zespołowych, nie byłaby uważana za autsajderkę, za skłóconą z życiem „kujonicę”, której nikt nie lubi. A przecież wyglądała zupełnie dobrze w dzinsach i bawełnianej bluzce, z włosami starannie zaczesanymi w warkocz; z góry wymykało się tylko kilka zabłąkanych kosmyków, wpadając jej w oczy. Z takim wyglądem nie powinna być źle traktowana, nie powinna należeć do grupki odsuniętych przez szkolną społeczność wyrzutków. Zastanowiła się nad tym i natychmiast poczuła złość na samą siebie za takie zdradzieckie myśli.

Wysunęła teraz zdjęcie z piórnika i umieściła je na chwilę w dłoni. Gdy patrzyła na nie, jak zwykle poczuła mimowolny przypływ smutku i nostalgii. Na fotografii znajdowała się ona sama sprzed lat wraz z młodziutkim Harrym; miała wrażenie, iż tych dwoje dzieci szydzi z niej teraz, gdy tak pogodnie się uśmiechały na tle poruszanych wiatrem wielkich postrzępionych liści drzewek palmowych. Och, Harry... gdzie jesteś teraz, co robisz w tej właśnie chwili? Czy jesteś szczęśliwy? Westchnęła. Może to Judson nie pasowało do niej, a nie ona do niego... Może powinna być wdzięczna za ten fakt?

- A to co? - Niespodziewanie za Klaudią pojawił się Tommy Bering, pochylił się nad dziewczynką i wyrwał jej z dłoni zdjęcie. Natychmiast podniósł je w górę i wybuchnął głośnym, szyderyczym śmiechem.

- Hej, to czarnuch! Ty i czarnuch, no, no! Dlaczego to tu trzymasz, Liddie? Co jest takiego specjalnego w tym twoim czarnuchu? - Drwił tak głośno, że podszedł do nich jeden z kolegów i błyskawicznym ruchem wyjął Tommy'emu fotografię z dłoni. Klaudia wstała, czerwona na twarzy.

- Oddajcie to. Natychmiast oddajcie!

- To nie czarnuch, Tommy, ty kretynie, to Chinol. Liddie się kocha w Chinolu! - Wyśmiewali się coraz hałaśliwiej, w kółko, monotonicznie powtarzając tę śpiewkę i tanecznym ruchem odskakiwali od dziewczynki, gdy

ta, wyciągając rękę, próbowała im odebrać swoją własność. Śmiali się i szydzili bez końca, a ona czerwieniła się coraz bardziej na twarzy z narastającej w niej wściekłości.

- Liddie się kocha w Chinolu! - Grupka gnębicieli już się nieco powiększyła. Chłopcy przekazywali zdjęcie jeden drugiemu; skrawek połyskującego papieru trzepotał i wirował na wietrze, a Klaudia stała i w milczeniu patrzyła na nich, kiedy podskakiwali i tańczyli, tak do siebie podobni w kolorowych kraciastych koszulkach i džinsach wsuniętych w wysokie buty, że z trudem mogła ich odróżnić. Czowała gniew i upokorzenie. Pod powiekami pojawiły jej się palące łzy i zamrugła gwałtownie oczyma, usiłując je strząsnąć.

- Hej, oddaj to, Tommy i przestań się wygłupiać - rozkazał ostro czyjś podniesiony głos za Klaudią i dziewczyna bezwiednie się obróciła. Dostrzegła Bo Haskilla i prędko spuściła wzrok. Co on tu robi? Nic go przecież nie łączyło z Haskell Ridge, może z wyjątkiem tych wszystkich dowcipów, które krążyły na jego temat. Mieszkał w lepszej i ładniejszej dzielnicy, jego ojciec był prawnikiem. Poza tym Bo uważany był za największego lokalnego podrywacza. Łamał serca kolejnych dziewcząt, zmieniał je regularnie i szybko rzucał jak wykorzystane żyletki o stepionych ostrzach.

Tommy przestał hasać i zrobił wyzywającą minę, wysuwając do przodu podbródek. Pozostali chłopcy w jednej chwili się uciszyli.

- Taa? A czemuż to? Ty też się kochasz w Liddie? Ty i ten mały Chinol? Niezła zabawa! Kim jesteś? Jej chłoptasiem numer dwa? - Tommy wydał z siebie piskliwy ostry dźwięk, przypominający krzyk hieny, który słabo podchwyciło kilku jego towarzyszy, po czym zapadło przykre milczenie. Policzki Klaudii płonęły i nie ośmieliła się podnieść oczu na Bo.

Ten jednak spokojnie przypatrywał się Tommy'emu z lekko przechyloną na bok głową. Jego rudawa czupryna i brązowawe piegi połyskiwały żywo w słońcu. Był to chłopak wysoki, dobrze zbudowany, prawie trzy lata starszy od Tommy'ego, powszechnie szanowany za to, że był jednocześnie dobry w sportach i w nauce. Prawdziwie wszechstronny, pomyślała z ciężkim sercem Klaudia, pragnąc, aby odszedł i pozwolił, by zainteresowanie Tommy'ego jej fotografią wygasło samo. Ale Bo najwyraźniej postanowił zostać bohaterem i obrońcą pokrzywdzonych dziewczynek. Większość uczniów uważała, że chciałby się stać kimś w rodzaju lokalnego króla. Może w ten sposób załatwiał sobie głosy? Klaudia dostrzegła, że zacisnął usta i potrząsał głową.

- Boże, potrafisz być czasami prawdziwym gnojem, Tommy Beringu. Kiedy wreszcie przestaniesz się wyzywać na małych dziewczynkach, na miłość

boską? - Obrócił się plecami i zaczął ostentacyjnie się wycofywać, zanim Tommy zdołał wymyślić jakąś skuteczną ripostę. Stał nieruchomo, na moment straciwszy głowę i wydymał policzki, jak gdyby chciał na chwilę zrobić wydech i uwolnić się od frustracji. Coraz więcej osób zgromadzonych wokół niego poczęło się uśmiechać, a Klaudia skrzywiła się.

- Taa, a ty jesteś pieprzony siurek! - odkrzyknął Tommy głośno za Bo. W tym momencie okno za nim otworzyło się gwałtownie, jak gdyby osoba znajdująca się w pomieszczeniu nie mogła już dłużej wytrzymać ich krzyków.

- Tommy Bering. Do mnie, ale to już! - krzyknął dyrektor szkoły, po czym z powrotem zatrzęsnał okno. Zapadła martwa cisza, a potem ze wszystkich stron rozległy się chichoty. Tommy, czerwony na twarzy, odwrócił się z wściekłością.

- A masz, ty mała lizusko! - Wyciągnął fotografię w kierunku Klaudii, po czym powoli podarł ją w kawałki i rozrzucił na wietrze. Papierowe fragmenciki trzepocząc zaczęły spadać na ziemię. Klaudia obserwowała je z lekko rozchyłonymi ustami. Kiedy opadły na asfalt, poczuła prawdziwy ból.

- A z tobą, Haskill, policzę się później - zawołał Tommy, ale Bo był już daleko, co najwyraźniej sprawiło krzykaczowi prawdziwą ulgę. Gniewnie ruszył do gabinetu dyrektora, a pozostali zaczęli się z wolna rozchodzić. Zabawa była skończona.

Klaudia pochyliła się nad kawałkami fotografii. Zbierała je powoli i kładła ostrożnie na dłoni. Dlaczego dyrektor nie mógł interweniować wcześniej, kiedy tamci z niej sztydzi? Musiał ich przecież słyszeć. Dlaczego zareagował dopiero wtedy, gdy Tommy użył niewybrednych słów? Zamknęła powieki, aby nikt nie widział żalu i nienawiści w jej oczach.

- Możemy ci jakoś pomóc? - Paul pochylił się teraz obok Klaudii i Giny, i cała trojka zaczęła szukać zagubionych skrawków zdjęcia. Klaudia popatrzyła na nich oboje z zaciśniętymi ustami. Cóż, pomyślała, jeśli tamta grupa uważa coś takiego za zabawne, w takim razie cieszę się, że do nich nie należę, że jestem autsajderką. Poczowała zadowolenie, że ma takich przyjaciół jak Paul i Gina. Paul uśmiechnął się nagle do niej i jego oczy za szklami okularów wypełniło współczucie.

- Miło słyszeć, że Tommy znowu podpadł i zostanie ukarany. - Nie przestawał się śmiać. - Cóż za bystry chłopak! Żeby takie rzeczy mówić pod samym oknem dyrektora... Jak my sobie poradzimy ze średnią, jeśli błysnie taką samą inteligencją na testach?

I wtedy Klaudia, mimo ciężaru, który czuła w piersi, wybuchnęła śmiechem.

- W porównaniu z nim powinniśmy chyba dostawać dziesiątki. Co za głupek! - Włożyła kawałeczki fotografii do piórnika. Zastanawiała się, czy uda jej się posklejać je z powrotem w całość.

- Do diabła, to było miłe ze strony Bo, nie uważacie? Zachował się wspaniale - szepnęła tęsknie Gina. Klaudia spojrzała na nią ze zdumieniem. Czyżby Gina kochała się w Bo? Tak samo jak reszta dziewcząt?

- No, chyba tak - mruknęła, ale wiedziała, że gdyby nie zainterweniował, na pewno odzyskałaby swoje zdjęcie w całości. A teraz było w kawałkach, zupełnie tak jak całe jej dotychczasowe życie, pomyślała sobie markotnie, zanim wstała.

- No dobra, wracajmy do nauki. Jak inaczej wyrwiemy się kiedykolwiek z tego straszego miejsca?

Paul spojrzał na nią z krzywym uśmiechem.

- Niech się stanie - podsumował.

- Dlaczego twój brat z wami nie przyjechał? Dlaczego wy wróciłyście, a on został? - spytał Bo. Stał na przystanku autobusowym, kiedy przechodziła; dostrzegł ją, podszedł zupełnie naturalnie i powiedział, że przykro mu z powodu podartego zdjęcia. Klaudia ledwie podniosła na niego oczy, idąc dalej szybko z ciężką torbą na ramieniu, i wymamrotała, że nic nie szkodzi. Jednak Bo wiedział, że to nie była prawda, toteż ponownie ją przeprosił. Potem szedł długą chwilę obok niej, zaskoczony jej brakiem zainteresowania dla niego i krótkimi odpowiedziami na jego pytania. Bezsprzecznie, zarówno w słowach tej dziewczyny, jak i w jej spojrzeniach nie było ani śladu kokieterii.

- Mark zdecydował, że zostaje z tatą i zdaje mi się, że mama nie nalegała specjalnie na jego wyjazd. Ale na pewno nie wiem. Mama po prostu chciała stamtąd uciec. Nie wiem, jak by zareagowała, gdyby cała nasza trójka oznajmiła jej, że pragnie zostać... nie zastanawiałam się nad tym - odparła Klaudia i Bo znowu pomyślał, jakie to dziwne, że jest wobec niego tak szczerą i bez osłonek wyjawia mu całą przykrą prawdę o najbardziej prywatnych sprawach swej rodziny.

Przyjrzał się uważniej swej towarzyszce, zerknął na długie chude nogi i jasne, bystre oczy, które od czasu do czasu spoglądały na niego, błyskając niezwykłą inteligencją, i wpatrywały się weń z taką intensywnością, że poczuł się, jakby ta dziewczyna poddawała go surowej ocenie.

- A ty też chciałaś zostać? - spytał, jednocześnie poprawiając torbę na ramieniu i rzucając szybkie spojrzenie na zegarek. Do treningu koszykarskiego pozostało mu zaledwie pięć minut.

- Oczywiście, że tak! Dlaczego miałabym chcieć tu wracać? Co ma takiego do zaoferowania Haskell Ridge? Sportowe stypendium, dzięki któremu można skończyć studia rolnicze i zostać farmerem? - wybuchnęła ze wzgardą, a potem spojrzała na towarzyszącego jej chłopca i zastanowiła się, czy nie zamierza przypadkiem pójść na agronomię ze stypendium koszykarskiego. Uświadomiła sobie natychmiast, że być może zachowała się niewybaczalnie nietaktownie. Ale tak czy owak, to przez niego straciła jedyną fotografię Harry'ego. Jeśli go uraziła, zasłużył sobie na to.

- Hmm... Co więc masz zamiar zrobić?

- Wyrwać się stąd. Pójść do Princeton albo do Harvardu.

Popatrzyła na niego śmiałym wzrokiem, wiedząc, że po takim stwierdzeniu może zacząć z niej drwić. Bo jednak zamiast tego uśmiechnął się tym swoim subtelnym, leniwym uśmieszkiem, który tak łatwo podbijał wszystkie dziewczęce serca. Klaudię przeszedł dreszcz, gdy poczuła na sobie jego wzrok. Patrzył wprost na nią, a ona walczyła z emocjami.

- Taak, sądzę, że chyba rzeczywiście mogłabyś, gdybyś tego chciała wystarczająco mocno. No cóż, jeśli napiszesz do Marka, pozdrów go ode mnie. Byliśmy przed laty przyjaciółmi. Aha! I powiedz Peggy, że spotykamy się o siódmej trzydzieści, a nie o siódmej... i że nie będziemy na nią czekać, jeśli się spóźni. Ona wie, gdzie. No to pa. - Posłał jej roztargniony uśmiech i ruszył długimi susami w przeciwnym kierunku. Gdy biegł, torba podskakiwała mu na plecach. Klaudia dostrzegła, że zatrzymał się na chwilę, aby zamienić słowo z Clarice Sturming i roześmiany na sekundę otoczył ją ramieniem i nachylił ku niej. Clarice zachichotała.

Klaudia, zerkając w jego stronę i widząc jego rudą czuprynę połyskującą w popołudniowym świetle, miała do siebie pretensję, że zrobiło się jej przyjemnie, ale nie potrafiła opanować dziwnego poczucia dumy, że Bo nie zakpił sobie z jej ambicji. „Taak, sądzę, że chyba rzeczywiście mogłabyś, gdybyś zechciała wystarczająco mocno”. Tak powiedział. Wystarczająco mocno! Nie miał pojęcia, jak bardzo tego chciała.

Ale też ktoś taki jak Bo Haskill nie był chyba na tyle głupi, aby się zadawać z Peggy? Mimo wszystko Peggy stanowiła jeden z dwóch powodów, dla których Klaudia chciała uciec z Judson. Co będą robić, gdy spotkają się o siódmej trzydzieści? I po co mu Peggy, skoro do wzięcia były takie panny jak Clarice Sturming? A może o to właśnie chodziło? Może takie jak Clarice Sturming nie pozwalały mu na wszystko, a Peggy tak?

I co chciał powiedzieć przez: „Jeśli napiszesz do Marka”? Potrząsnęła głową, zastanawiając się, czy wszyscy chłopcy są szaleni albo jawnie gruboskórni? Jak mogła napisać do Marka, jeśli mama oznajmiła jej, że nie ma już syna? Ani syna, ani męża. Klaudia westchnęła i ruszyła dalej. Jednakże myśl ta nie dawała jej spokoju, powracając co jakiś czas. Co właściwie by się stało, gdyby rzeczywiście napisała do Marka? Czy odpisałby jej?

RS

Rozdział ósmy

Central, Hongkong Październik 1976 roku

Było ich trzech. Stali niedaleko siebie przy ulicy Queen's Road Central. Jeden z nich opierał się o słup; zarówno jego strój: luźne spodnie khaki, pasiasta koszulka z krótkimi rękawami i kurtka zapinana na zamek, jak i długie ciemne włosy z przedziałkiem na środku, opadające na boki, lekko zasłaniające mu oczy, oraz niedbała postawa, gdy tkwił tam w nike'ach na nogach, co jakiś czas spoglądając na równie fałszywego rolexa, miały oznajmiać wszem i wobec, że nie jest zawodowcem, a tylko zwykłym przechodniem. Czekał, aż któryś z dwóch pozostałych mężczyzn - ten w ciemnych obcisłych dżinsowych „rurkach” i skórzanej kurtce lub tamten w błękitnych dżinsach i pulowerze, da mu sygnał.

Aidan obserwował wszystkich trzech uważnie, dziwiąc się po raz kolejny, że właśnie jego wybrano do tego zadania. Palec trzymał w pogotowiu nad guziczkiem walkie-talkie. Nie, nie, jeszcze nie teraz, jeszcze nie nadszedł właściwy czas.

Zauważył, że trzej mężczyźni starannie unikają swojego wzroku. Starali się nie patrzeć na siebie zbyt często, a tylko od czasu do czasu rzucali sobie szybkie spojrzenia, jak gdyby się rozglądali, szukając umówionego z nimi osobnika. Ich zadanie polegało najwyraźniej na ustaleniu czasu pracy pracowników sklepu jubilerskiego; notowali sobie zapewne w pamięci, kto o której godzinie wychodzi, kto zostaje dłużej, rezygnując z przerwy na lunch. Już czwarty raz w tym tygodniu tkwili na tym posterunku. To się zdarzy dzisiaj, pomyślał Aidan, patrząc na przestępców. Takie miał przeczucie.

Właściwie co on tu, do diabła, robi? Skrzywił się na tę myśl. Przecież to nie była jego sprawa, nie był policjantem, ale kiedy wymienił imię Harry'ego, jego szefowie natychmiast polecili mu wziąć udział w tej akcji. Miał go zlokalizować i cierpliwie obserwować. Czekał już wiele miesięcy, aż do dziś. A dziś właśnie miał szansę przyłapać go na gorącym uczynku. Na napadzie na sklep. Takie właśnie było jego aktualne zadanie - złapać tego chłopca. Nikogo innego, tylko jego. Pozostali mogli sobie iść w cholere, podobnie jak jubilerzy. Jego szefowie chcieli jedynie Harry'ego. Jednakże przyglądając się młodzieńcowi, oceniając jego szczupłe ciało o długich nogach, Aidan zdał sobie sprawę, że ma niewielkie szanse, by go dogonić. Sam nie był dobrym biegaczem i nie nadawał się do ulicznych gonitw.

Poklepał wybrzuszenie pod kurtką, ostrożnie wsunął rękę, aby sprawdzić, czy kabura jest odpięta, a broń gotowa do użycia. Jak przyziemna stała się ta praca, zadrwił z siebie. Mimo szalonych marzeń o międzynarodowym szpiegostwie, skierowano go po prostu do pomocy lokalnym siłom policji. Złapiesz bandytę z triady ku radości wujka Billa, prawda, Aidanie, mój chłopcze? Zgodził się, ale teraz żołądek pulsował mu nerwowo i poczuł się niemal chory od tego wiecznego czekania.

Było prawie południe i tłum spieszących przechodniów zaczynał gęstnieć. Ludzie wysączali się z biurowców, dołączając do innych, którzy szybko parli do przodu, gnając naprzód wąskimi chodnikami Queens Road lub przecinając czteropasmową ulicę, jak masa pracowitych termitów żerujących na czymś w skupieniu. Chłodne październikowe powietrze było dla tego tłumu czymś w rodzaju wzmacniającego toniku i poganiało ich do szybszego biegu... Szybciej, szybciej, gdzie by tu zjeść lunch, szybko, szybko, co by tu kupić, tak mało czasu i tak wiele do zrobienia... tak, tak! Spieszyli więc w oszalałych hordach od sklepu do sklepu, od baru do baru, od jednego miejsca do drugiego, a tamtych trzech mężczyzn nadal tkwiło w tym samym miejscu. Na tle tych szumiących ludzkich fal, tryskających ze wszystkich stron i pędzących swoją drogą, wyglądali nieco osobliwie i nienaturalnie. Aidan wziął głęboki oddech, usiłując się uspokoić.

Spojrzał na zegarek i sprawdził, czy chodzi. Było już dziesięć minut po czasie, a potem zrobiło się piętnaście. Pierwszych dwóch sprzedawców opuściło sklep jubilerski punktualnie. Po wyjściu zatrzymali się na moment, jak gdyby chcieli w odpowiednim momencie wskoczyć w falujący tłum, przyzwyczajawszy się wcześniej do jego siły. Potem gromada wessała ich, przesunęła daleko do przodu i zniknęli z pola widzenia Lockharta.

Ten w czarnej skórzanej kurtce to „ochroniarz” triady, domyślił się nagle Aidan. To jego nazywano „Zabójcą”, „Czerwonym Biegunem” albo „Egzekutorem”. Dał właśnie znak pozostałym dwóm osobnikom, że za chwilę zacznie się akcja. Harry, młodzieniec w spodniach khaki, natychmiast ruszył przed siebie. Powoli, lekko przesunął się przez rwący potok ludzi, co trochę zaskoczyło Aidana i wzbudziło w nim swego rodzaju podziw. Cholera, ten mały jest naprawdę dobry w swoim fachu -pomyślał. Trzeci mężczyzna, ten w błękitnych dżinsach, najwyraźniej zostawał na czatach, może był nowicjuszem, którego zaczęto dopiero wtajemniczać? Tak czy owak, trzymał się za dala, popatrywał to w jedną, to w drugą stronę ulicy, a jego dziecienna twarz była aż spięta ze strachu.

„Egzekutor” wszedł do sklepu jubilerskiego. Tuż za nim znajdował się Harry. Aidan przycisnął guziczek telefonu i wymamrotał w słuchawkę hasło, które sprawiło, że poczuł się trochę głupio. Potem włożył walkie-talkie do kieszeni i gwałtownie rzucił się do przodu. Poruszał się tak szybko, że niemal w sekundę znalazł się przy sklepowej witrynie. Młody wartownik w ogóle go nie zauważył.

Wewnątrz sklepu znajdował się już jeden policjant, a kolejnych trzech stało wzdłuż ulicy. Inspektor stanął z tyłu z jeszcze jednym mężczyzną. Aidan poczuł suchość w gardle i omiółł go nagły zapach ciał; kosztowne damskie perfumy i męskie wody toaletowe rywalizowały z zapachem dolatującym od strony budek z jedzeniem. Aromat makaronu i hamburgerów oraz kaczek po pekińsku zagrał mu na nerwach, a ciężki smród wyrzucanych przez samochody spalin dodatkowo stanął mu w gardle. Niespokojnie przełknął ślinę i stojąc przed sklepem usiłował wejrzeć do środka poprzez leżące na wystawie rzędy kosztownych zegarków, złotych bransolet i szlachetnych kamieni.

Kiedy nagle rozległ się strzał, Aidan nieomal był zaskoczony. Zrobił unik, potem rzucił się na ziemię. Osypały go tysiące kawałków szkła z roztrzaskanego okna i powietrze zmieniło się w mgławicę wirujących przezroczystych drobin. Gdy podniósł oczy, dostrzegł, że „ochroniarz” leży prawie tuż obok niego, dzieliła ich tylko rama okna wystawowego. Palce mężczyzny były rozsunięte, jak gdyby chciał złapać garść migoczących okruchów, ale czerwona fala wypływająca z jego piersi, tak szaleńczo jak pędzący ulicą tłum, sugerowała coś innego. Leżąc w pienistej jasnoczerwonej kałuży krwi, mężczyzna umierał. Aidan odwrócił wzrok, czując mdłości i dostrzegł, jak wokół niego gromadzi się ciżba ciekawskich gapiów.

Harry poruszał się tak prędko, że w jednej chwili znalazł się na zewnątrz i od razu niemal poza zasięgiem Aidana. Lockhart natychmiast otrząsnął się z kawałków szkła i rzucił za nim. Nie był jednak w stanie zatrzymać chłopaka. Już w chwili gdy - przed ponad rokiem - zobaczył, jak Harry powala Tony'ego Ingrama, wiedział, że pokonanie go jest trudne. Ale mógł przecież do niego strzelić. W ten sposób z pewnością uda mu się go zatrzymać. Krzyknął więc na chłopaka, aby stanął, a gdy ten nie zareagował, powoli i jakby z namysłem wyciągnął broń i wypalił w kierunku młodego Eurazjaty.

Harry, biegnący w panice, jak zza zasłony usłyszał nakaz zatrzymania się, wyrzeszczony najpierw po angielsku, potem w dialekcie kantońskim. Ale jego stopy pchały go dalej naprzód, pędziły niemal same po ziemi; był już prawie wolny, już prawie... Ach, nie, nie był wolny, upadł... twardy beton

chodnika wydał mu się zastanawiająco miękki, a upadek wcale nie tak bolesny, jak się spodziewał, nawet na swój sposób kojący i przyjemny. Wszystko wokół niego zniknęło, bladło, zacierało się: i hałas, i wszelkie zamieszanie, i strach. Wszystko odchodziło, zniknęło... aż wreszcie zupełnie odeszło. Zamknął oczy i leżał nieruchomo.

- No tak, ale czy koniecznie musiałeś do niego strzelać, Aidanie? Minie przynajmniej tydzień, zanim będziemy go mogli porządnie przesłuchać. - Bill Ingram pytał z podejrzaną cierpliwością, z trudem hamując gniew. Ufał Lockhartowi, ale czasami...

- Strzeliłem mu tylko w nogę, sir. Niegroźny przetrwał na wylot. Lekarz mówi, że nic mu nie będzie. Możemy przesłuchać go już dziś po południu. Poza tym miałem wybór: strzelić albo stracić go zupełnie, sir. - Głos Aidana, zniekształcony przez przenośny telefon, był stłumiony i brzmiał jakby drwiąco. Czyżby ze mnie szydził, zapytał siebie Bill i zgniewało go to podejrzenie.

- Może. Tylko czy ten chłopak zechce teraz współpracować z ludźmi, którzy faszerują go ołowiem? - Bill był najwyraźniej coraz bardziej rozdrażniony.

- Przepraszam, sir, ale zdawało mi się, że nie mogłem postąpić inaczej. Przynajmniej go nie zabiłem... - Aidan z premedytacją powiedział to ostrym tonem, przypominając szefowi o innej bezładnej strzelaninie, która skończyła się śmiercią podejrzanego.

- Tamten człowiek i tak był dla nas bezużyteczny. A ów policjant miał prawo chronić znajdujących się wtedy w środku ludzi. - Ingram przerwał, a potem zmienił ton. - W porządku. Co się stało, to się nie odstanie. Nie będziemy się więcej nad tym rozwodzić. - Jego głos nagle poweselał. - Jeśli spędzi trochę czasu w szpitalu, potem w więzieniu, a następnie puścimy go wolno i wróci do braciszków z triady... właściwie... to będzie nieźle wyglądało. Nie będą przynajmniej wątpili, po której jest stronie. - Co do tego nie było bowiem wątpliwości, w myślach dodał do siebie Bill z gniewem. Stukał ołówkiem w krawędź biurka. Rysikiem w dół.

- A co się naprawdę za tym wszystkim kryje, sir? Dlaczego nagle tak bardzo potrzebujemy nowego informatora wewnątrz któregoś z odłamów triady? - Ze strony Aidana nie była to tylko ciekawość. Miał już wiele podejrzeń i pragnął ich potwierdzenia. Chciał również, by przełożony okazał, jak bardzo mu ufa. Bill uśmiechnął się lekko. Rozmowy przez przenośny telefon były podobno bezpieczne, ale tak naprawdę kto to może wiedzieć... Czy można mieć jakąkolwiek pewność, gdy chodzi o Hongkong? Nawet zahartowana, wybrana grupka chińskich obserwatorów nie rozumiała wszystkiego.

- Nie chodzi o jakiś tam odłam triady, Aidanie, ale o Cienkie Ostrza. Mają nowego szefa. Tak słyszeliśmy. Bardzo młodego, bardzo agresywnego. Zaczął jako „ochroniarz”, wiesz, „Czerwony Biegun”... a potem zebrał wokół siebie sporą grupkę młodych członków mafii i wraz z nimi usunął starego Wielkiego Brata, Wong Shih Yu, oraz wykończył jego zastępcę. Słyszałem, że stary Wong musi teraz czekać na autobus w deszczu i tak bardzo stracił twarz, że straganiarze sprzedają mu tylko zepsute towary. - Bill uśmiechnął się zagadkowo. Zastanawiał się, czy Aidan zrozumiał aluzję.

- A kto jest tym nowym Wielkim Bratem?

- Yee Fong Lo. Pseudonim „Wielka Stopa”... prawdopodobnie nazwa ta wzięła się stąd, że tak potężnie kopnął Wonga w wiadomą część ciała... Ten Yee jest Tanką, nie Hakką... Raczej niezwykle, nie sądzisz?

- Tak, bardzo. Ale ciągle nie rozumiem...

- Harry Braga spędził część swego dzieciństwa z Yee. Znają się, ufają sobie i Yee planuje mianować Harry'ego następnym „Czerwonym Biegunem”. Widziałeś go w akcji. Co sądzisz? Czy to możliwe?

Aidan wzruszył ramionami, patrząc na swoje stopy. Próbował sobie przypomnieć te dwie krótkie chwile, kiedy widział chłopca, o którym była mowa.

- Tak, możliwe... tak, przypuszczam, że tak. Jest bardzo dobry jak na kogoś tak młodego. Ma przecież tylko siedemnaście lat. Zrobił na mnie spore wrażenie, muszę przyznać. A dlaczego ten Yee jest taki ważny?

- Mówią, że popiera go ktoś dość wysoko postawiony, ktoś ze świata finansjery o niezłych politycznych kontaktach.

Takie informacje docierały do niego bardzo powoli i mozolnie. Czerpał je, łącząc pracowicie urywki audycji radiowych i telewizyjnych programów chińskich, regionalnych dzienników z Hunan, Shangsi albo Tybetu; do tego ostrożna przyjaźń z komunistycznymi przedsiębiorcami poznanymi w Klubie imienia Marco Polo, a także analizowane i przesiewane przez gęste sito aluzje oraz plotki na temat kolonii. Wszystko to oznaczało jedno, i to powiedział Aidanowi: - Tak się mówi w Hongkongu...

Bill Ingram chwilę milczał, a potem kontynuował:

- Widzisz więc, Aidanie, problem tkwi w tym, że nie jest to po prostu jeszcze jedna triada, która próbuje zawładnąć „rynkiem” prostytucji, wymuszaniem haraczu czy wideopiractwem. Dzieją się tu jakieś poważniejsze rozgrywki i chcę się dowiedzieć, o co w nich chodzi... A Harry Braga stanowi moją jedyną

szansę. Więc bądź dla niego miły, dobrze? Muszę uzyskać od niego odpowiedzi na kilka moich pytań...

- Dobrze, sir. Zrobię, co będę mógł.

- Och, zrobisz więcej, Aidanie, już ja cię znam.

Aidan nie był pewien, co oznaczało to stwierdzenie. Czy był to kolejny przytyk pod jego adresem za strzelanie do Harry'ego, czy też autentyczna pochwała?

- Ja pana też znam, sir - zakończył Aidan oziębło, pożegnał się i rozłączył. I wiem, dodał w myślach, kiedy wyszedł z biura inspektora i zamknął za sobą drzwi, że nie powiedziałeś mi, wujku Billu, nawet połowy tego, co naprawdę się tutaj dzieje. Tak, tak. Wiem o tym, bo bardzo dobrze cię znam.

Aidan syknął gniewnie przez zaciśnięte zęby, i poszedł złożyć wizytę Harry'emu B radze.

Harry leżał na plecach. Było mu niewygodnie, bo poduszka wbijała mu się w kark. Popatrzył w zakratowane okna; niewiele było za nimi widać: mały fragment nieba, jakiś kolejny budynek. Promienie słoneczne wpadały przez szybę do sali i migotały złościście na jego twarzy, błyskając mu w oczach jak morska latarnia. Chłopiec zmuszał się, aby nie mrugać.

Był to jedyny według niego sposób, aby zapanować nad strachem. Czuł prawdziwy lęk, miał wrażenie, że czai się on pod tym nieruchomym spokojem, gotów przedrzeć się, karczując sobie drogę, do jego umysłu. Bał się tego, że nie wytrzyma, że, nie zważając na nic, zdradzi swoich braci. Że zrobi wszystko, aby tylko wyjść na wolność. Nie lękał się bólu, nie odczuwał strachu przed czymś, co mogliby mu zrobić ci ludzie, którzy go schwytali. Bólu nie bał się nigdy, udowodnił to wiele razy wobec Yee i braci. Ale nie mógł znieść myśli, że zamkną go w więzieniu, że zostanie wtłoczony do małego jak koryto sześcianika, który będzie musiał dzielić z wszystkimi innymi nikczemnikami i pomniejszych zbirami, że godzinę po godzinie, dzień po dniu będzie tkwił w celi o szarych betonowych ścianach, że ktoś mu będzie wydawać polecenia... Zamknięty, odgradzony od świata. A wokół te straszne zapachy: brudu, przestępstwa i agresji. Żadnych przyjaciół, żadnych braci. Czy w taki sposób w ogóle warto żyć? Nie mógł znieść tej myśli. Wolałby chyba raczej się zabić.

Tak rozpaczliwie, tak bardzo się bał. Myśl ta krążyła bez końca w jego umyśle. Dlatego właśnie zmuszał się, aby nie mrugać.

Nagle drzwi salki otworzyły się na oścież. Harry starał się nie patrzeć w tamtym kierunku. Prawie nie oddychał. Leżał nieruchomy, niemy, niemalże martwy. Nie wolno mi spojrzeć, pomyślał.

Ale nikt się nie zbliżał do jego łóżka, nikt się do niego nie odzywał i w końcu, nie mogąc się powstrzymać, Harry powoli obrócił głowę i spojrzał na drzwi. Stojący w nich mężczyzna uśmiechnął się w milczącym triumfie.

Ubrany był w garnitur, co Harry zauważył z obawą. Miał złe przeczucia. Czyżby to jakiś wyższy urzędnik policji? Może i tak, chociaż mężczyzna nie wyglądał na to, przede wszystkim był zbyt młody, jakoś od innych łagodniejszy i schludniejszy. Jego ubranie, najwyraźniej uszyte na miarę, leżało na nim jak ulał, lekko podniesione nad nieco przygarbionymi ramionami, i nigdzie się nie marszczyło. Twarz mężczyzny była tak dokładnie ogolona, tak gładka, jak gdyby na podbródku nigdy jeszcze nie pojawił się zarost. Miał lekko podpuchnięte powieki i worki pod oczyma. Nie, to nie policjant, pomyślał Harry... ale w takim razie kto? Jego strach wzrósł, niebezpiecznie czając się na krawędzi umysłu. Chłopiec czuł się zupełnie rozstrojony.

- Cześć, Harry. Jak się dziś czujesz? Zdaje mi się, że dużo lepiej. Kiedy mężczyzna wypowiedział jego imię, Harry poczuł, jak strach

go szarpie, jak drga gdzieś pod skórą na jego szyi. Skąd ten człowiek wie, jak się nazywam, pomyślał. Skąd zna moje imię? Obserwował bacznie, jak tamten rozgląda się po sali, jak wybiera wygodniejsze z dwóch drewnianych krzeseł, jak na nim siada. Mężczyzna wyjął papierosa, wsunął go w poobijaną srebrną lufkę i włożył w usta. Przez chwilę napis „Zakaz palenia” wydawał się przyciągać jego uwagę, ale potem nieznacznie się uśmiechnął i mimo wszystko zapalił.

- Lekarz mówi, że uratuje twoją nogę, jeśli nie będziesz jej forsował i otrzymasz odpowiednią opiekę medyczną... - Mężczyzna przerwał i Harry poczuł, że w jego słowach było ostrzeżenie, bardziej niepokojące niż wszystko, co zdarzyło się dotąd w jego życiu. Nie odpowiedział, a mężczyzna wydmuchnął wielki kłęb dymu.

- Oczywiście, jeżeli nie otrzymasz pomocy, twoja noga łatwo może ulec zakażeniu. A sam zapewne świetnie rozumiesz, że w wyniku takiego zakażenia może się nie zagoić odpowiednio i będziesz kulał... albo jeszcze gorzej... trzeba ci ją będzie amputować, jeśli rozszerzy się gangrena. Wiesz, co to jest gangrena, Harry?

Mówiący rozparł się wygodnie na krześle i wyciągnął przed siebie na linoleum długie nogi. Chłopiec nadal nie odpowiadał, ale ciągle intensywnie wpatrywał się w mężczyznę, jak gdyby nie mógł oderwać odeń wzroku.

- Wiem, że rozumiesz po angielsku, Harry, ale może wolisz, abym mówił w dialekcie kantońskim? - Uśmiechnął się, ukazując ostre jak igiełki zęby, lekko przebarwione tytoniowymi plamami. Harry poczuł, że robi mu się słabo. Zmuszał usta, by pozostały nieruchome, z trudem panując nad ich drżeniem, które wyzwaliała myśl o utracie nogi, o przyszłości, jaka czeka kogoś poruszającego się o kulach, ubranego w łachmany, potrącanego przez pędzące przez Central w porze lunchu hordy ludzkie, mijające młodego żebraka...

- Jak się czuje twoja matka, Harry? A ojczym? Czy odwiedzasz ich czasem na Cheung Chau? Może chciałbyś, żebym do nich zatelefonował w twoim imieniu? Żebym powiedział im, że tu jesteś? Przypuszczam, że kiedy w końcu wyjdiesz z więzienia, zabiorą cię do siebie, prawda? No wiesz, cóż znaczy jednonogi mężczyzna bez żadnych możliwości zarobkowania z wyjątkiem żebraniny? Straszny wstyd dla takiego przystojnego chłopaka jak ty. Ale twoja matka i Jeremy - mówiący uśmiechnął się słodko z troską - na pewno zaopiekują się tobą, prawda? Nawet mimo tego, że stracisz twarz.

Mężczyzna po tym stwierdzeniu milczał przez długi czas, paląc w ciszy. Od czasu do czasu patrzył jednak na Harry'ego i widział błyszczący pot na bladej skórze chłopca, dostrzegał, że jego usta stają się tak suche, że młodzieniec musiał ciągle oblizywać wargi.

W końcu mężczyzna wydał z siebie długie westchnienie, rzucił niedopałek papierosa na podłogę i przydeptał go butem. Potem pochylił się do przodu, złączył dłonie i wcisnął je między kolana.

- Zastanawiasz się, skąd znam twoje imię, Harry? Harry Braga... Wiesz, skąd tak wiele o tobie wiem? - Chłopiec na łóżku nie poruszył się. - Stąd, że wiemy bardzo wiele o wszystkich osobach pracujących dla triad, wiemy, jakiego rodzaju ludzie do nich należą: drobne rzezimieszki, kryminaliści o małej inteligencji, tępaki bez przyszłości. Umieją tylko straszyć przerażonych właścicieli małych restauracyjek i żądać darmowego piwa. Ale ty nie jesteś taki, co, Harry? Dlatego właśnie cię zauważyliśmy. Nie pasujesz do tych bandytów i pomyśleliśmy sobie, że trzeba ci się przyjrzeć dokładniej... Jak się w to wplątałeś, Harry? Jak to się stało?

Ton mężczyzny stał się tak współczujący i tak wyrozumiały, że Harry ze wszystkich sił musiał walczyć z rozpaczą, która rosła mu w gardle, starać nie zdradzić tajemnic, które znał, nie opowiedzieć temu człowiekowi swego życia, nie zwierzyć mu się z tego, co się w nim zdarzyło, o tym, jak znalazł się w sytuacji bez wyjścia, o tym, jak nie miał wyboru, kiedy przyszła taka chwila, że tylko Yee był skłonny mu pomóc.

- Wiesz, że twój towarzysz nie żyje, prawda? Został zastrzelony i zginął na miejscu. Mogłem zabić również ciebie, ale pomyślałem, że to nie byłoby sprawiedliwe, skoro masz dopiero siedemnaście lat. Przyszło mi do głowy, że może zasłużyłeś sobie na jeszcze jedną szansę. -Mężczyzna patrzył na Harry'ego z uwagą, szukając pytania w oczach chłopca. - Chcesz wiedzieć, co się stało z trzecim mężczyzną? Uciekł. Wróci do reszty zbirów z paczki Yee i powie im, że obaj zostaliście zastrzeleni. I wszyscy westchną z ulgą, że ich nam nie wydacie. W tej właśnie chwili nikt z nich nie zna prawdy, nie sądzisz? Tylko my. Tylko ty i my. - Miły, pełen prawdziwego zrozumienia uśmiech pojawił się na twarzy rozmówcy Harry'ego.

- A co, jak myślisz, się zdarzy, jeśli cię wyleczymy i wypuścimy?

Gdy pozwolimy ci wyjść na ulicę? - Na chwilę zapadło milczenie. - Gdybym był na miejscu Yee, wydałoby mi się to podejrzane, a tobie nie? I wiesz? Zacząłbym pewnie myśleć, że może wyjawiał kilka sekretów i dlatego jesteś na wolności... Co się stanie z tobą w takim przypadku, młody przyjacielu?

Aidan obserwował pogodnie i z zainteresowaniem odpowiedź, która bezwiednie pojawiła się na twarzy Harry'ego. - Natomiast, gdybyś okazał się dla nas użyteczny, mój drogi, moglibyśmy ci pomóc... Zajmiemy się odpowiednio twoją nogą, wydostaniemy cię z więzienia, uspokoimy Yee, aby cię nie podejrzewał. To jest twoja jedyna szansa, Harry. Zastanów się nad tym.

Chłopiec nie umiał już dłużej panować nad słowami. Wybuchły z jego ust zniekształcone przez strach:

- Kim, do cholery, jesteś?

Rozdział dziewiąty

Judson, Teksas Rok 1977

Klaudia skuliła się na łóżku w sypialni, słuchając podniesionych głosów. Z obu stron padały wstrętne obelgi, a co jakiś czas zapadało posępne milczenie, które, dobrze wiedziała, mogło trwać przez wiele dni. Kiedy przychodziła do domu, widziała twarz matki. W oczach kobiety widać było niemal szaleństwo. Klaudia nigdy jej nie widziała w takim stanie, może z wyjątkiem tamtego dnia w Zatoce Repulse, przed wielu laty. A Peggy stała wyzywająco na środku pokoju, wydymając dolną wargę w charakterystyczny dla siebie sposób, który oznaczał, że z pewnością nie zamierza przeproszać. Za nic. Klaudia nie spierała się, kiedy matka kazała jej pójść do swojego pokoju. Dobrze wiedziała, o co chodzi, i wcale nie chciała słuchać kłótni dwóch bliskich jej osób.

Było już, oczywiście, za późno, by cokolwiek zrobić. Minęły już cztery miesiące. Klaudia, Paul i Gina szeptali o tym, kiedy siedzieli nad książkami na trawniku, każde uzupełniając skromne wiadomości zgromadzone na ten temat przez pozostałych.

Gdy Klaudia zastanawiała się nad całą sprawą, musiała przyznać, że matka postąpiła bardzo dzielnie i szlachetnie. Gdy poznała prawdę, nie wyrzuciła Peggy z domu ani się jej publicznie nie wyparła. Spuściła tylko pokornie głowę, zerwała kontakty z przyjaciółmi spoza Haskell Ridge, a do sąsiadów w ogóle przestała się odzywać. Po prostu nie odpowiadała na rzucane z uśmiechem ciekawskie, podchwytliwe pytania, jak radzi sobie Peggy i nie reagowała na głośne kpiny rówieśników córki. Nikt nie wiedział, kto jest ojcem dziecka, bowiem Peggy, pytana, milczała.

Matka skończyła kurs księgowości i dostała lepiej płatną pracę, która - jak powiedziała - może wyżywić ich wszystkich, mimo że ich niedobry ojciec nigdy nie przysłał im ani centa. Starczało więc na w miarę przyzwoite życie, ale nie było nadziei na nic ekstra. Żadnej szansy na nową sukienkę dla Klaudii ani na odnowienie werandy, ani, oczywiście, na żadne gwiazdkowe prezenty w tym roku. Klaudia wzdychała, widząc jak niebrzydkie rysy twarzy jej matki wyostają się coraz bardziej, jak pojawiają się kolejne zmarszczki wokół stale zaciśniętych ust. Jej życie, myślała, z pewnością nie jest usłane różami.

No a do tego wszystkiego doszła jeszcze jedna dodatkowa „gęba” do karmienia. Jak obliczyła Klaudia, mały człowieczek pojawił się dokładnie w pięć miesięcy po tamtej rozmowie. Starła się nie zazdrościć maleństwu jego szczególnych praw. Było przecież takie bezbronne, całe różowe i

pomarszczone... i takie brzydkie! Takie drogie, kochane maleństwo. A mama mimo wszystko pozwoliła Peggy zapisać się do tej nieszczęsnej „szkoły piękności”, do której tak bardzo chciała wstąpić wraz ze swą przyjaciółką Elly, a która kosztowała fortunę. Klaudia pomyślała gorzko, że Peggy najwyraźniej nie zamierza ponosić żadnej kary finansowej, nawet jeśli inni cierpią przez jej szaleństwa.

A niedługo potem, kiedy nikt już w gruncie rzeczy nie pamiętał, że Todd stanowił taką niemiłą niespodzianką dla nich wszystkich, roześmiana Peggy posadziła sobie dzieciaka na kolanach i odezwała się figlarnie do siostry:

- Co, może chciałabyś się dowiedzieć, kto jest jego ojcem, Liddie? Spadłabyś z krzesła, gdybym ci opowiedziała, dziewczyno, o ojcu Toddy'ego. Uwierzyłabyś, że chodzi do college'u? Na pewno byś nie uwierzyła, dlatego ci nie powiem. Nie, nie, mówiłabyś, to nie tatuś Todda, na pewno nie on. - Puszyla się dalej w ten sposób, nie porzucając tego tematu, aż Klaudia nie wytrzymała i krzyknęła, aby Peggy przestała. Uważała, że to wszystko bzdura, że jej siostra to sobie wymyśliła. Była pewna, że ojcem dziecka jest któryś koleżków Tommy'ego Beringa albo jakiś inny obibok, z którym Peggy się wałęsała. A siostra najwyraźniej usiłowała jej teraz wmówić, że jest to ktoś tak wyjątkowy i w dodatku ktoś tak znany, że nawet nie musi podawać jego imienia. O ile w ogóle wiesz, droga siostró, pomyślała dziewczynka złośliwie, z kim zaszłaś w ciążę! Klaudia z kamienną twarzą wyszła z pokoju, a śmiech Peggy szedł za nią.

Matka, mimo zmęczenia, spędzała teraz większość wieczorów opiekując się Toddem, tą biedną dzieciną, jak go nazywała. Nie mówiła ani słowa, kiedy Peggy zaczęła znowu wychodzić wieczorami. A trzeba przyznać, że siostra Klaudii bardzo chętnie pozostawiała synka opiece kogoś innego, ciesząc się, że nie musi zostawać z nim w domu. Młodszą dziewczynkę bardzo to gniewało. Jednakże wszyscy oczywiście wiedzieli, jakie z Peggy ziółko i że większość nocy spędza z jakimś chłopakiem.

Nie miało dla nich znaczenia z kim, ale jak często. Klaudia wiedziała, co oznaczają przytyki kolegów, które słyszała, gdy przechodziła obok nich. Po prostu najwyraźniej zastanawiali się, czy ona sama jest taka jak jej siostra i czy już nadszedł czas, by to sprawdzić.

Kiedy Bo Haskill otrzymał koszykarskie stypendium i wyjechał na Uniwersytet Wirginia, nikt nie był specjalnie zaskoczony. Wszyscy się tego spodziewali. Może myśleli, że pójdzie na studia do Austin, bliżej domu, albo że wybierze jakiś łatwiejszy kierunek niż architektura, ale Bo był przecież i tak

uważany za chłopca inteligentnego. Spodziewali się też, że powróci do ich miasteczka któregoś dnia. Tak czy owak, mówili, przynajmniej pozostał nadal na Południu.

Natomiast kiedy Klaudia otrzymała stypendium od Duke'a i odmówiła, oświadczając, że chce wyjechać na Północ, wszyscy byli zaskoczeni. I prawdziwie zgorszeni.

Klaudia kończyła właśnie przedostatnią klasę. Stale składała podania do college'ów i prowadziła rozmowy z doradcą dla kandydatów na wyższe uczelnie, próbując się od niego dowiedzieć, do jakich szkół powinna się ograniczyć. Mężczyzna ten wiedział, że dziewczynka jest bardzo inteligentna, ale jak dotąd nikt jeszcze z Haskel High nie studiował na Harvardzie, co podkreślał, gdy mała nalegała, by tego spróbować. Przecież nawet Paul - powiedział jej doradca - starał się o przyjęcie do takich zaledwie szkół jak Uniwersytet Massachusetts...

- Paul jest matematykiem, panie Pringle. Potrzebuje zupełnie czegoś innego niż ja. On po prostu chce się nauczyć o kwarkach, polu elektromagnetycznym i podobnych sprawach. Te problemy można studiować wszędzie. Ja natomiast chcę się zajmować literaturą - powtórzyła chyba po raz piętnasty w tym tygodniu. Usłyszała w swoim głosie zniecierpliwienie, ale nie miała już siły dłużej udawać. Doradca westchnął.

- Cóż, Duke posiada wspaniały wydział anglistyki i fakt, że napisano stamtąd do ciebie i zaproponowano miejsce z pełnym stypendium i to o cały rok wcześniej... Chyba jesteś szalona, że odpowiedziałas im odmownie, Klaudio. Rozmawiałem o tym z twoją matką i ona również chciałaby, abyś tam studiowała... - Przerwał, poprawił krawat, wahając się, jak gdyby nie chciał rozczarować swej rozmówczynie, ale Klaudia знаła go i wiedziała, że mężczyzna po prostu sobie z niej kpi.

- Czasami trzeba sobie uświadomić własne możliwości, dziewczyno. Wiem, że to jest trudne i nieprzyjemne, ale nie możesz robić wszystkiego, co ci się zdaje, że...

W tym momencie Klaudia nie wytrzymała i wybuchnęła złością:

- A właśnie że mogę! Wiem, że jeśli czegoś zechcę dostatecznie mocno i będę wystarczająco ciężko nad tym pracować, to mogę! Oczywiście, że mogę zrobić wszystko, co chcę! A chcę podjąć studia na Północy.

Była obrażona jego uporem i zupełnie nie przejmowała się tym, że na twarzy mężczyzny wokół zaciśniętych ust zaczynają się pojawiać znane jej już z poprzednich rozmów białe kreski, które oznaczały, że Pringle jest naprawdę

bardzo wściekły. Nie zrobiło na niej wrażenia, gdy się odezwał, że jego głos brzmiał sucho i drwiąco. To było jej życie, jej jedyna szansa, aby się wydostać z tego małego miasteczka na Południu, jedyna szansa na rozwój własnej osobowości i własnych talentów, a on, ten małostkowy gnojek - jak go nazwała w myślach - najwyraźniej sądzi, że jest Bogiem dla wszystkich dzieciaków i nie zamierzał dla niej jednej rujnować swojej dobrej opinii.

- Cóż, panienko, skoro jesteś taka pewna siebie i tak bardzo przekonana o własnej wartości, proszę bardzo, wydaj całe swoje pieniądze na opłaty wstępne do takich snobistycznych szkół jak Harvard czy Princeton. Zrób to, kochanie, i nie kieruj się tym, co twój stary przyjaciel Pringle ma do powiedzenia na ten temat. Co on tam może wiedzieć? Przecież w ostatnich latach umieścił zaledwie setkę dzieciaków w odpowiednich szkołach. Ale tym się nie kieruj, ponieważ ty wiesz lepiej! Zgadza się?

Poruszył się na krześle, wbijając wzrok w Klaudię i kiwając na nią palcem, jak gdyby czuł, że grożenie dziewczynce również należy do jego obowiązków. Odczekał jeszcze chwilę, a potem dodał:

- Tylko potem nie przybiegaj do mnie czy do kogoś innego z płaczem, że odrzucili twoją kandydaturę albo że chętnie cię przyjmą, ale nie proponując ci stypendium, więc nie możesz tam studiować, ponieważ nie masz pieniędzy, a twoja matka jest zbyt pochłonięta pielęgnowaniem bękarta twojej siostry, aby zdobyć dla ciebie choćby parę dolarów... Nie, nie, moja panno, jeśli przyjdiesz do mnie po współczucie, będę zbyt zajęty niesieniem pomocy innym dzieciom, które tej pomocy naprawdę potrzebują. I wiedz, panienko, że teraz naprawdę nawarzyłaś sobie piwa i nie możesz już na mnie liczyć. Jeśli chcesz stąd uciekać, będziesz musiała sama sobie z tym poradzić. Wykopać stąd swoją własną drogę ucieczki...

Uśmiechnął się nieznacznie. Oczy mu się rozjaśniły, był najwyraźniej zadowolony, że potrafił znaleźć sposób, aby w swej tyradzie obrazić również jej rodzinę.

Klaudia stała zupełnie nieruchoma i cicha, czekając, aż doradca pozwoli jej odejść. A gdy mężczyzna wykonał nagły ruch głową w kierunku drzwi, postąpiła jeszcze chwilę w miejscu i przyglądała mu się w milczeniu, mierząc go wzrokiem od dołu do góry, od szarych wypucowanych butów po szarą lśniącą twarz, aż doradca, nie mogąc znieść jej spojrzenia, zaczerwienił się z gniewu.

- Zapamiętam pańskie słowa, panie Pringle - oświadczyła zimno. - Każde pańskie słowo. - To powiedziawszy dziewczyna wyszła, zamykając za sobą drzwi z takim spokojem i opanowaniem, że nawet szkolna sekretarka, która

słyszała wszystkie te słowa, których Klaudia obiecała nie zapomnieć, była zaskoczona.

Jej dobry, stary przyjaciel Pringle, który teoretycznie powinien tak samo jak prawnik czy lekarz zatrzymać dla siebie usłyszane od swojej młodej rozmówczynie słowa, rozgłosił po całym Haskell Ridge, czego ten najmłodszy dzieciak Babcocków chce, i jaka jest tego przyczyna.

- Coś mi się zdaje, że ta mała robi wszystko, aby uciec od siostry dziwki i matki, zasuszonej gderliwej jędry. Ale jest zbyt pewna siebie. Świat pragnie jej ofiarować tak wiele, a ona to wszystko po prostu odrzuca. Zobaczycie, że panienska bardzo się zawiedzie...

Plotki szybko się rozniosły i wkrótce wszyscy wiedzieli, że Klaudia nie chce zostać na Południu. A w takim małym miasteczku jak Judson tego typu pragnienie zakrawało niemal na przestępstwo. Wszyscy się natychmiast na dziewczynę poobrażali i zaczęły się komentarze, że może to Południe nie chce Klaudii.

Na szczęście wtedy przyszło lato i większość osób o wszystkim zapomniała, a Klaudia podjęła pracę w centrum na Main Street, w lodziarni, która ze względu na wystrój (ściany pomalowano w różowe i białe paski) wyglądała, jak dekoracja dla turystów. Tam nikogo nie interesowało, do jakiego Klaudia pragnie iść college'u, nikt nie zamierzał jej nawet o to pytać. A Klaudia potajemnie wieczorami wypełniała formularze zgłoszeniowe, pisząc bez końca kolejne eseje, póki nie przygotowała odpowiednich podań do każdej z wybranych szkół, co tydzień dokładając małą sumkę do pieniędzy zbieranych na opłaty wstępne. Nocami natomiast śniła o ucieczce.

Co wieczór w drodze do domu szła powoli ładnymi uliczkami w pobliżu Main Street i Trafford. Patrzyła na duże budynki zbudowane z wielkich drewnianych desek lub domki z czerwonej cegły ustawione starannie w ogródkach i widok ten wydawał jej się niezwykle kojący i bardzo uporządkowany po chaosie Haskell Ridge. Dziewczynka przechodziła wolno, nie tyle wpatrując się w kolejne budowle, ale co chwila łypiąc oczyma na podjazdy i w oświetlone okna. Kątem oka dostrzegała w środku piękne antyczne meble, wielkie psy, które biegały na zewnątrz, radosnym szekaniem pozdrawiając przebywającą w domu rodzinę, flagi łopoczące leniwie na słupkach, wielkie, lśniące samochody zaparkowane obok równo przyciętych trawników. Matka mówiła Klaudii, że Babcockowie mieszkali tu kiedyś, zanim wyjechali do Hongkongu. Dziewczynka nie pamiętała już tego,

była wówczas zbyt mała, ale czuła, że kiedyś należała do tego miejsca. Było dla niej bardzo swojskie.

Pewnego razu w drodze do domu Klaudia zobaczyła grupkę osób.

Wszyscy mężczyźni ubrani byli w smokingi, kobiety w suknie wieczorowe. Wydawali się niezwykle pewni siebie, gdy tak szli roześmiani, nie zauważając młodej dziewczyny, która nieśmiało przesuwiała się obok nich z rękoma wbitymi głęboko w kieszenie żakietu. Obserwowała ich i tak bardzo im zazdrościła, że aż przykro było patrzeć.

Któregoś dnia, powiedziała sobie wtedy Klaudia, któregoś dnia będę słynną pisarką i będę mieszkać w takim właśnie dużym, obrośniętym pnączem domu, gdzieś na Północy, hmm, na przykład w Maine, i będę mieć wielkie psy i obitą drewnem furgonetkę, aby zmieściła się w niej cała masa dzieci wracających z plaży do domu. Wtedy będzie się śmiała i będzie tak pewna siebie jak ci ludzie. Będzie chodzić na przyjęcia elegancko ubrana, mówić fascynująco i dowcipnie, dyskutować o polityce, Europie, Dalekim Wschodzie i nikt nigdy nie zachowa się wobec niej nieuprzejmie, nikt nie będzie wykrzykiwać takich nieprzyzwoitości jak Peggy, nikt nie pozwoli sobie wobec niej na krytykę i nie będzie odbierał jej poczucia wartości jak matka i nikt nie odejdzie z kochanką jak ojciec.

W tej litanii nie wspomniała o Marku, ponieważ nie była jeszcze pewna, co o nim myśleć. Może jednak jej brat na nowo pojawi się w jej życiu i będzie mogła być dumna przynajmniej z jednego członka swojej rodziny? Zastanawiała się, czy jest to możliwe.

Napisała do Marka trzy czy cztery razy w przeciągu ostatniego roku, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Aż pewnego wieczoru pod koniec lipca tego właśnie lata wśród stosu poczty i rachunków w starej blaszanej skrzynce na listy znalazł się list nadany w San Francisco, którego widok zupełnie zaskoczył Klaudię.

List adresowany był do panny Klaudii Babcock i dziewczyna przez wiele długich sekund patrzyła na niego bardzo zdziwiona, ponieważ nigdy jeszcze nie widziała swojego nazwiska napisanego w tak oficjalny sposób. Potem wcisnęła resztę poczty z powrotem do skrzynki i rozcięła kopertę. Wróciła na trawnik oszołomiona. Nie usłyszała pozdrowienia sąsiadki, nie dostrzegła samochodu matki, który pojawił się na końcu ulicy, nie zauważyła, że słońce znika za chmurą, rzucając na trawnik ponury zimny cień, i wszystkimi zmysłami skupiła się tylko na tym ostrym, kwiecistym odręcznym piśmie, które wypełniało strony listu jak chińskie symbole. Czuła się tak, jak gdyby

wraz z tym listem otwierało się przed nią jakieś okno na nowy daleki świat, na który patrzyła w zdumieniu.

Mark pisał, że studiuje obecnie ekonomię i prawo w Stanford, uzyskawszy częściowe stypendium ufundowane przez jedno z większych handlowych przedsiębiorstw w Hongkongu. Resztę opłat uzupełniał ojciec. Frank Babcock ożenił się ze swoją chińską kochanką, Joyce, i wyjechał wraz z nią do Singapuru. Klaudia zastanawiała się, czy kiedykolwiek myślał, aby pomóc jednej ze swoich córek w nauce. Czy choćby w ogóle pamiętał, że ma jakieś córki, którym trzeba pomóc? Nie, nawet nie zamierzała go o to pytać. Sama zarobi na swoje studia.

Klaudia napisała Markowi o Peggy i Toddzie, który był dość miłym dzieckiem, choć może niezbyt bystrym, o matce, która wyglądała na kobietę o wiele starszą i bardzo zmęczoną z powodu nadmiaru obowiązków, i o jej ciągłych zgryźliwych komentarzach. Doniosła też bratu o swoich aspiracjach, o tym, że chciałyby studiować na Harvardzie, a potem podjąć pracę w światku wydawniczym Nowego Jorku. Mark odpisał jej, udzielając trzeźwych, pomocnych rad, dzięki którym po raz pierwszy od długiego czasu poczuła się normalnie. Nie był zaskoczony ani zgorszony faktem, że Klaudia chce pójść do dobrego college'u. Po prostu to zaakceptował. Tak samo jak Bo Haskill.

Bo przyjechał do Judson na lato i także pracował: popołudniami w mieście na stacji benzynowej, a w nocy jako kelner w „Czerwonym Kogucie”. Różnił się od innych chłopców, z których tak wielu próbowało otrzymać pracę na ranczach otaczających Judson. Wydawało im się, że są prawdziwymi kowbojami. Kupowali sobie kapelusze typu Stetson, kowbojskie buty, na podtrzymujących ich dżinsy paskach widniały wielkie, szerokie na cztery cale srebrne klamry, a większość z nich nie umiała nawet odróżnić jednego końca cielaka od drugiego. Bo, pytany o tę kwestię, potrząsał tylko głową i mówił, że musi zarabiać na swoją naukę, a nie wydawać pieniądze na kowbojski strój. Poza tym jego wuj posiadał ranczo na wzgórzach w pobliżu Austin i chłopak wiedział wszystko o hodowli krów, a w każdym razie wystarczająco dużo - jak mawiał, śmiejąc się przy tym ponuro - aby starczyło mu do końca życia.

Czasami rano Haskill wpadał do łodziami, w której pracowała Klaudia, kupował lody i chwilę kręcił się po sali „aby zafundować sobie trochę chłodu przed pójściem do pracy”, jak to nazywał. Wszystkie dziewczęta poza Klaudią, a zwłaszcza Gina, uważały, że Bo wygląda szalenie przystojnie w mocno wytartych i porozdzieranych błękitnych dżinsach i luźnym białym podkoszulku z krótkim rękawem, który dodatkowo podkreślał wydatne muskuły na klatce

piersiowej i ramionach. Kiedy patrzył prosto w twarz którejś z dziewcząt i z lekką ironią się do niej uśmiechał, miała ochotę natychmiast rzucić mu się na szyję i zrobić dla niego wszystko. Klaudia, zakłopotana i zaniepokojona obecnością chłopca, bojąc się swoich uczuć udawała, że jest zbyt zajęta, aby go zauważyć, i mówiła Ginie, że traktuje go tak samo jak wszystkich innych klientów. Zastanawiała się, co sprawiło, że przyjechał na lato. Musiał chyba oszaleć, żeby tu wracać!

- Cześć, Klaudio, witaj, Gino. Macie dla mnie coś ekstra? - wołał, zaglądając do lodziarni. Klaudia posyłała szybki uśmiezek swojemu aktualnemu klientowi, a Gina rozjaśniała się jak robaczek świętojański, przekazując swe uczucia błyskami ciemnych oczu i dziecięco zesnurowanymi usteczkami, które niedługo zapewne staną się zmysłowe. Dziecinny tłuszcz Giny spalał się już powoli, a jej blada, ziemista cera przybierała barwę oliwkową, coraz bardziej przypominając karnację jej włoskich przodków. Bo patrzył na nią teraz z zainteresowaniem, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na cichą dziewczynkę Babcocków, która ledwie zdawała się go pamiętać, po czym ponownie uśmiechał się do Giny.

Nietrudno było się umówić z Giną na wieczornego drinka. Wydawało mu się, że zaproszenie Klaudii również nie stanowi problemu, ale gdy zasugerował spotkanie, dziewczyna udała, że nie rozumie, o czym Bo mówi, i zamiast się zgodzić, popatrzyła tylko na swoją przyjaciółkę i życzyła jej dobrej zabawy. Dodała jeszcze, że sama w tym czasie popilnuje sklepu. Zirytowany i lekko urażony Bo zrezygnował i pomyślał, że równie dobrze może najpierw spróbować z Giną. Chociaż musiał przyznać, że Klaudia robiła na nim wrażenie. Sprawiała, że stale rozmyślał o tym dniu, kiedy zdradziła mu swoje marzenie o wyjeździe z Judson, kiedy opowiedziała mu o swoich życiowych ambicjach.

Podobały mu się jej proste słowa, a także charakter, odwaga i determinacja. Reakcja Klaudii na jego powrót zainteresowała go o wiele bardziej niż słodkie, kapryśne dziewczęce uśmiechy i cielęcy wzrok. Jednakże Gina pragnęła mu się przypodobać, a on chwilowo tylko tego potrzebował. Nie miał już czasu na przekonywanie jej przyjaciółki, niezależnie od tego, jak bardzo mu się podobała. Ach, ta panna z wiecznie przyklepionym do ust obojętnym uśmiechem! Cholera! Pomyślał, że Klaudia z pewnością sama przyjdzie do niego w swoim czasie; jak dotąd prędzej czy później wszystkie do niego przychodziły.

Gina natomiast rzucała tęskne spojrzenia za każdym razem, kiedy przechodził, zastanawiając się, czy umówi się z nią jeszcze kiedyś. Klaudia przypomniawszy sobie, że po tym, jak dostał to, czego chciał, niemal przestał się do jej przyjaciółki odzywać. Najwyraźniej nie różniła się dla niego od innych, toteż Klaudia udawała, że ledwie go zauważyła i wmówiła sobie, że odsuwa go od siebie raczej dlatego, że przyjechał do domu na lato niż z tego powodu, że potraktował Ginę jak każdą inną dziewczynę w ich klaustrofobicznym miasteczku. A później, wbrew niej samej, jej oczy podążały za nim za każdym razem, kiedy wychodził.

Bo Haskill lubił pełną fałszu małomiasteczkowość Judson. Podobało mu się, że wszyscy się tu znali, że mijani ludzie wołali do niego: „Hej, jak tam”? albo „Sie ma, Bo”. Uwielbiał stare, pachnące pastą do butów i tytoniem sklepiki obuwnicze, tak ciemne, że gdy weszło się do środka z jaskrawo świecącego słońca, ledwie można było cokolwiek zobaczyć. Lubiał stare bluesowe bary na Congress i Fannin, gdzie starzy czarni pieśniarze ssali cytryny, aby oczyścić przed śpiewem gardła, a potem z ich ust wyrywały się pieśni o złych facetach i jeszcze gorszych kobietach, o ciężkich dniach, które minęły i tych, które jeszcze nadejdą. Tak, Bo lubił Judson i Judson również lubiło Bo.

Rozdział dziesiąty

Anglia Rok 1978

Na gołą głowę Tony'ego padał drobny, mglisty jak pył szary deszczyk, łagodnie moczając jego włosy, zmieniając je w króciutkie strąki i przylepiając do czaszki. Młody mężczyzna leżał bez ruchu, pogrążony we śnie. Usta miał lekko otwarte, powieki zaciśnięte, a policzki zapadnięte od straszliwego zmęczenia. Resztki kremu maskującego łuszczyły mu się na twarzy, spływając smugami po nosie. Wokoło spał również cały jego pluton, z wyjątkiem dwóch mężczyzn, którzy stali na warcie. Czuwali, rozglądając się czujnie we wczesnym świetle świtu.

W nocy czołgi rozryły równinę do konsystencji błotnistej mazi i pierwszy pluton, czyli pluton „Łowców”, jak go nazywano z uśmiechem sympatii lub ironicznym chichotem, spędził większą część nocy unikając tych czołgów. Tony i jego żołnierze klęli bez przerwy, ponieważ ktoś w sztabie podał im niewłaściwe namiary, co spowodowało, że o mało nie zostali rozjechani, a poza tym stale kręcili się w kolko wskutek błędnych informacji, które do nich docierały.

Swojego zadania bojowego, czyli wyśledzenia i schwytania lub unicestwienia wrogiej armii (co stanowiło eufemizm określający drugi pluton, który spędzał noc wygodnie zakopany wzdłuż linii drzew) zaniechali we wczesnych godzinach poranka, gdy ich dowódca, porucznik Ingram, znużonym głosem zawołał, aby się zatrzymali, i zatelefonował do dowódcy kompanii, informując go uprzejmie, ale i z pewnym rozdrażnieniem, że jakiś pułk pancerny przejechał po tym terenie w nocy, oświetlając sobie drogę flarami, co zupełnie uniemożliwia jego ludziom z pierwszego plutonu wykonanie zadania.

Major Templeton uśmiechnął się do siebie, kiedy usłyszał ostrożną powściągliwość, pod którą młody porucznik maskował gniew.

- Zróbcie sobie przerwę, Tony. Przekimajcie się żdziebko, a ja spróbuję to sprawdzić - doradził rubasznym tonem.

Tony natychmiast przekazał ludziom, aby rozłożyli się wygodnie. W polu i tak nie było najmniejszej możliwości, by zabezpieczyć się przed deszczem albo choć naciągnąć na siebie śpiwory i ogrzać przemarznięte kości, więc po prostu zasypiali, gdzie popadło.

Pół godziny później radiotelegrafista potrząsnął ramieniem Tony'ego i obudził go wspaniałą wiadomością, na którą większość plutonu czekała rozpaczliwie już od dwóch tygodni.

- Endex, sir, major Templeton przekazuje Endex.

Tony usiadł prosto i strząsnął z oczu krople deszczu. Czuł się chory i oszołomiony z przemęczenia. Z ulgą wziął do ręki radiotelefon.

- Melduje się porucznik Ingram, sir.

- Okazuje się, że na terenie poligonu odbywa manewry zbyt wiele oddziałów, Tony. Wolałbym, abyście nie nadziali się którejs nocy na te wielkie blaszane pudła, więc przerywamy akcję. Ogłoś chłopakom Endex i wracajcie. Bez odbioru.

Koniec zadania, naprawdę koniec, pomyślał Tony. Dzięki Bogu.

- Tak jest, sir. Koniec, sir. Bez odbioru. - Tony zamknął na chwilę oczy, próbując zebrać potrzebne siły.

Po każdym zadaniu tego typu otrzymywali zawsze kilka dni urlopu. Mogli się w ten sposób zregenerować, wyjechać i „trochę pofiglować”, jak mawiał pułkownik Tony'ego. Udawał przy tym, że jego słowa stanowią aluzję raczej do zachowania się na przepustce zwykłych żołnierzy niż oficerów. Wiedział wprawdzie, że młodszy, niższy stopniem oficerowie spędzają czas tak samo, ale wolał oficjalnie się do tego nie przyznawać.

Tak czy owak, o siódmej wieczorem następnego dnia Tony i jego najlepszy przyjaciel w batalionie, Johnnie Crighton-Stewart, umyli się i ubrali w stroje cywilne (Johnnie nazywał je „cywilkami”, narażając się na szydercze komentarze Tony'ego), które wykazywały zaskakujące wprost podobieństwo do munduru: beżowe spodnie typu wojskowego, prążkowana bawełniana koszula i ciężkie wysokie zamszowe półbuty. Kilka minut później jechali już powoli w dół Frith Street w londyńskiej Chinatown, szukając miejsca do zaparkowania.

Znaleźli je w końcu, trzeci raz okrążywszy kwartał i Soho Square, i zatrzymali się przed restauracją „Pod Wesołym Huzarem”. Wymienili kilka pogardliwych uwag na temat huzarów i ogólnie kawalerii, a następnie w dobrych nastrojach weszli w boczne zaułki, gdzie kolorowymi witrynami zabiegały o uwagę przechodnia dziesiątki chińskich restauracyjek, zielami, sklepików spożywczych i ulicznych budek. Było już prawie ciemno i światła uliczne odbijały się w ciemnych kałużach gromadzących się w rynsztokach. Tony odetchnął zapachem kadzidła i ciepłych, czystych rzeczy z pralni, z którymi mieszał się odór wilgoci i gnijących warzyw. Poczł się natychmiast wspaniale. Jak w domu.

- Co robimy, Tony? Kolacja, a potem film albo włóczęga po okolicy? Wiesz co? Jestem już pioruńsko głodny. - Johnnie uśmiechnął się smętnie.

- Cóż za subtelność. - Tony roześmiał się. - Ale masz szczęście. Ja również chętnie coś zjem. Słyszysz to klekotanie? - Tony wyciągnął rękę, sugerując Johnnie'emu, aby przystanął i posłuchał. Wszędzie wokół rozlegał się dźwięk stukotania.

- Co to jest? Skąd dochodzi?

- Z suterenu dokoła nas. Taki odgłos wydają klepki do mah-jonga, uderzane jedna o drugą. Kiedy Chińczycy przyspieszają grę, dźwięk przypomina terkotanie karabinu maszynowego. - Tony dostrzegł, że Johnnie nie zrozumiał, dodał więc dla wyjaśnienia: - Nielegalne meliny hazardowe. Ależ wcześniej zaczęli dzisiejszego wieczoru. - Ingram słuchał jeszcze chwilę, ale jego przyjaciel stracił już zainteresowanie tą kwestią i ruszył przed siebie. Tony niechętnie podążył za nim.

- Mam nadzieję, że wiesz, co to wszystko znaczy - mruknął Johnnie. Stał przez restauracją „Lee Ho Soon” i czytał umieszczone w oknie menu: - Na przykład obsmażone kulki rybne z kukurydzą... albo platy wołowe w sosie czerwonym... pieczony plaster wieprzowy z „Sha Cha Jiang”. Co to jest, u diabła?

- Krewetki na ciepło i sos z orzeszków ziemnych, jak mi się zdaje. Nie będzie ci smakowało. Nie martw się, ja wybiorę. Chyba nie chcesz, żeby było słodko-kwaśne?

- A jeśli chcę? - Johnnie podniósł czupurnie głowę.

- W takim razie ja jem w restauracji obok. - Tony uśmiechnął się do przyjaciela.

- No dobrze, niech ci będzie, ty zamów. Tylko żeby nie było rozlazłe ani śluzowate. No i nie za ostre. A jeśli mi zasmakuje, zastanowię się, czy nie pojechać z tobą do Hongkongu następnym razem. Jak ci się podoba ten pomysł? - spytał śmiało Johnnie.

- Bohater zdobywca. Marco Polo przy tobie wysiada, Johnnie. Jesteś prawdziwym fachowcem od sztuki przystosowywania się w obcej kulturze. Jestem z ciebie dumny. - Ale śmiech Tony'ego przygasł, gdy weszli do mrocznej restauracji; zdobna paciorkami zasłonka zagrzechotała hałaśliwie, aby oznajmić ich wejście, poza nią nic się jednak nie poruszyło.

Małe latarenki na białych obrusach stolików połyskiwały w mroku, a złoto-czerwone girlandy zwisające z sufitu trzepotały poruszane podmuchem wysoko umieszczonych wentylatorów. Za kontuarem nie było nikogo, żadnej tłustej chińskiej matrony, która strzelając palcami przywoływałaby chudych, nerwowych kelnerów. Na sali nie było zresztą ani jednego kelnera, nikt nie

podszedł do dwóch młodych Anglików i nie zachęcał ich, by zajęli miejsce. Ani jeden gość nie zajmował któregoś stolika, chociaż tu i ówdzie widniały ślady na wpół zjedzonych i porzuconych pospiesznie dań.

- Wygląda na trochę opuszczony jak na ruchliwy środowy wieczór, nie sądzisz, Tony? Jakby czegoś tu brakuje... może innych klientów, co? - Johnnie próbował żartować, ale atmosfera była ciężka od milczenia.

- Hallo? Jest tu kto? - zawołał Tony.

Poczuł ulgę, kiedy w końcu pojawiła się w drzwiach do kuchni czyjaś głowa. Należała do mężczyzny w średnim wieku, który zaciskał ręce i potrząsał siwiejącą głową jak marionetka.

- Nie jest czynne! Jest zamknięte! Niech odejdą! - Przegonił ich fartuchem, nie ośmielając się wyjść zza drzwi. Tony zastanawiał się, kogo tak bardzo się boi ten mężczyzna. Czyżby kogoś, kto znajdował się na zapleczu?

- Co się dzieje? - Tony spytał szybko w potocznym dialekcie kantońskim, a oczy właściciela otworzyły się szeroko z zaskoczenia, zanim znowu otworzył usta.

- Nic się nie dzieje. Mamy zamknięte. Proszę odejść. Wy przyjdź później.

- Drzwi są otwarte. Napis mówi, że jest otwarte. Coś jest chyba nie w porządku. Czy możemy jakoś pomóc?

- Nie. Nic się nie stało. Odejdźcie. Szybko! - Wyglądało na to, że oferta pomocy zupełnie go przeraziła. Tony nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. Nic nie przychodziło mu do głowy. Wzruszył więc tylko ramionami i kiwnął na Johnnie'ego.

- Chodź, znajdziemy coś innego. Mają tu jakieś problemy, jak sądzę. - I podnosząc głos, zawołał do właściciela: - W porządku. Wychodzimy. Zmieńcie napis na „zamknięte”. - Wyprowadził Johnnie'ego na ulicę.

- Co tu się u diabła dzieje? - spytał go przyjaciel i Tony znowu wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może mają problemy z pracownikami albo z towarem. To nie jest nasza sprawa. Tamten mężczyzna nie chciał naszej pomocy. - Szli przed siebie, a gdy spostrzegli kolejną restaurację, weszli tam na kolację.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby Tony nie przeczytał następnego dnia w gazecie, że w Soho zastrzelono szesnastoletniego syna właściciela restauracji „Lee Ho Soon” i że sprawę tę wiąże się z kwestią wymuszania przez gangi haraczu za tak zwaną „ochronę” lokali. Ingram poczuł się wtedy paskudnie, że nie udzielił właścicielowi pomocy, mimo iż znalazł się tam najwyraźniej w odpowiedniej ku temu porze. Jego wyrzutów sumienia bynajmniej nie łagodził

fakt, iż restaurator nie chciał pomocy i kazał mu wyjść ze swojego lokalu. Zawsze zwycięża silny, powiedział do siebie gorzko i przez chwilę z nienawiścią myślał o tchórzach znęcających się nad słabszymi, o zbirach, łotrach i kryminalistach, których mogło powstrzymać jedynie prawo, a prawo to było żałośnie bezsilne. Poczł wstyd, że nie zainteresował się bardziej tym, co zobaczył w „Lee Ho Soon”, że nie zawiadomił policji, jednym słowem, że nijak nie zapobiegł śmierci chłopca. Dlaczego nic nie zrobił, pytał siebie bez końca. Dlaczego?

Był wściekły i nieszczęśliwy, i nie miał już ochoty spędzać kolejnych kilku dni w Londynie. Zamiast tego postanowił pojechać do babci, do Kentu. Może odrobina czystego, wiejskiego powietrza wywieje plugastwo, które czuł w swoich płucach?

Babcia Tony'ego, Alicja Gordon, klęczała właśnie w ogrodzie na piankowym materacyku, zginając plecy nad grządkami z ziołami. Gleba była wilgotna i świeża, a powietrze pachniało kwaśną ostrością zbliżającej się jesieni, zmieszana ze słodkawą wonią gnijących pod koniec lata roślin. Siwiejąca kobieta podniosła nagle głowę, przekrzywiła ją czujnie, próbując umiejscowić usłyszany przed chwilą dźwięk. Otter, już czwarta jej czarna suka rasy labrador, podskoczyła znad obgryzanej leniwie wołowej kości i pognęła przez rododendrony, szczekając ostrzegawczo grzmiącym głosem.

- Kto tu jest? - zawołała Alicja wysokim, wyraźnym, rozkazującym tonem charakterystycznym dla angielskich matron. Ujadanie przypominające głos potwora Baskerville'ów zmieniło się szybko w posapywanie i parskanie, i Alicja uspokoiła się. Pies najwyraźniej rozpoznał gościa.

- Joanno, czy to ty?

Babka Tony'ego wyprostowała się i otrzepała z kurzu wypłowiałą, workowatą koszulę ze sztruksu. Pomyślała, że jej córka straszliwie się zgorszy na widok starego zielonego kombinezonu swej matki z dziurami wygryzionymi na łokciu przez mole. Miała jednak nadzieję, że przyszedł ktoś inny, nie Joanna.

Ogród był długi i wąski. Zaczynał się tuż za tarasem domu, a kończył niskim murkiem, za którym znajdowały się pola chmielu, porośnięte posadzonymi w rzędach, przywiązanymi do tyczek wysokimi roślinami. Alicja zamierzała przed przyjściem Joanrfy zerwać trochę róż i malin, ale córka najwyraźniej zjawiła się za wcześnie i teraz przyłapie ją w takim zaniedbanym stroju. Znowu usłyszę od niej przykre słowa, uświadomiła sobie z goryczą.

Na szczęście przy bocznej ścianie domu pojawił się jej wnuk, a nie jego matka. Otter szarpała go, mocno ciągnąc zębami za sweter. Tony próbował się uwolnić, nie raniąc przy tym uczuć młodej suki.

- Cześć, babciu! Pomyślałem sobie, że wpadnę, aby się z tobą zobaczyć. - Powitał ją czułym pocałunkiem, ale Alicja dostrzegła smutek w jego oczach.

- Tony! Jak cudownie, że przyjechałeś! Przestań, Otter. Leżeć! Puść! Głupie zwierzę, ale ma dopiero rok, więc mam nadzieję, że jeszcze zmądrzeje. Chociaż pewnie nigdy nie będzie taka, jak moja ostatnia Otter. Leżeć, powiedziałam! Zły pies! - Alicja podniosła szorstko głos i suka natychmiast puściła Tony'ego, po czym położyła głowę na przednich łapach. W jej oczach widać było, że zawiniła; Otter najwyraźniej świetnie rozumiała, że jej zachowanie jest niewłaściwe.

- To wełna. One wszystkie za młodu uwielbiały ją targać. Nie pamiętasz, babciu? Wyrośnie z tego - powiedział spokojnie Tony, klepiąc tulącą się do niego sukę po grzbiecie, a potem głaszcząc ją po brzuchu. Otter patrzyła na niego z uwielbieniem.

- Też coś! - gniewnie prychnęła Alicja. - Zdaje się, że nie tylko wełnę lubią targać. Chodźmy na taras, usiądziemy sobie na dworze i napijemy się herbaty, dobrze? Jest wprawdzie trochę wcześniej, ale po twoich oczach widzę, że coś ci się przytrafiło, możesz mi więc przy herbacie opowiedzieć, co to takiego. - Ruszyła żwawo wzdłuż domu, a Tony podążył za nią.

- Dlaczego sądzisz, że coś mi się przydarzyło, babciu? Po prostu przyjechałem się z tobą zobaczyć, to wszystko. - Chłopiec próbował się roześmiać.

Alicja prychnęła jeszcze raz.

- Tak samo łatwo cię rozszyfrować jak twoją matkę. Ona też dzisiaj przyjdzie, wiesz? Z Hamishem. Pomyślałam, że wolałbyś wiedzieć. - Zobaczyła, że Tony się zatrzymał.

- Mama? Tutaj. O Boże!

- Tak, no cóż, to w końcu moja córka... Lepiej się przebiorę, zanim się tu zjawi. Wiesz, jaka ona jest.

- Przecież pracujesz w ogrodzie - zaprotestował Tony.

- To nie ma znaczenia, nawet gdybym czyściła kominy, Joanna chciałaby, żebym wyglądała świeżo jak po kąpieli, kiedy przychodzi tu z Hamishem. Dlaczego jest tak paskudnie małostkowa, Tony? Czyżbym ja ją tego nauczyła?

- Oczywiście Alicji wyrażały niepokój, jak gdyby wracały przykre wspomnienia, znowu ją trapiąc.

- Nie wiem. - Jej wnuk wzruszył dyplomatycznie ramionami. -Może to przez tatę. Może nie zauważał jej dostatecznie. Tak mi kiedyś powiedziała. Podobno sprawiał, że mama czuła się tak, jakby jej w ogóle nie widział.

- Zabawne, ponieważ zauważał świetnie wszystko inne dokoła siebie. Trudno go zrozumieć, prawda? - Alicja uśmiechnęła się nagle i w tym filuternym, dziewczęcym uśmiechu można było dostrzec resztki jej dawnej olśniewającej urody. - Rzuć coś Otter, dobrze? Pobaw się z nią. Zawołam cię, gdy herbata będzie gotowa. - Z tymi słowami babcia Tony'ego wyszła z ogrodu do pobielonej kuchni. Tony został sam i przeklinał siebie w myślach. Matka tu przyjeżdża, akurat dzisiaj! I to z nowym mężem. Artystę opuściła dość szybko, trzeba przyznać... A teraz mieszka z miłym, przystojnym i bogatym Hamishem o nieskazitelnych manierach i twierdzi, że jej mężczyzna musi mieć wszystko czyste i gładkie, inaczej ją zostawi. Boże, co za świat!

- Miał tylko szesnaście lat, babciu. Nie wiem, jak jest w Soho, nie mam pojęcia, jak silne są tutaj triady, ale nie powinno się pozwalać na coś takiego. Nikt z policji o niczym tu nie wie. Zatelefonowałem do nich i powiedziałem im, co widziałem, a oni się nawet nie zainteresowali. Nie widziałem mordercy, więc nie chcieli w ogóle ze mną rozmawiać. Próbowałem im wyjaśnić, czym są triady, ale po prostu mnie zbyli.

Tony zamilkł, zastanawiając się, jak najlepiej wyrazić to, co chciał powiedzieć, ale babka przerwała mu wątek.

- Co by się stało, gdybyś wszedł do kuchni w tamtej restauracji i zobaczył ludzi triady? Jak sądzisz, Tony? - Alicja napiła się trochę herbaty, obserwując wnuka uważnie.

- Nie wiem - przyznał się po chwili namysłu. - Pewnie by mnie zabili... tak mi się zdaje. Albo mógłby zginąć jeszcze ktoś inny. Ale powinienem był coś zrobić. Może kogoś powiadomić.

- Kogo? Policję? Sam przed chwilą mi powiedziałeś, jak cię potraktowali. Nie zainteresowali się sprawą, którą uważają za wewnętrzny problem Chińczyków. Do kogo innego mógłbyś zadzwonić? - sondowała go.

Tony westchnął ciężko i potrząsnął głową.

- Nie wiem, babciu. Po prostu nie wiem, ale...

- Nie, Tony. Nie mogłeś nikogo zawiadomić i nie mogłeś nic zrobić. Ogólnie rzecz biorąc, to wszystko rzeczywiście jest straszne i trzeba z tym walczyć, ale ty, w tym konkretnym przypadku, nie mogłeś nic zrobić. - Alicja odstawiła filiżankę i pochyliła się do przodu.

- Wiem, że czujesz się paskudnie, gdy myślisz o tej sprawie, Tony, ale proszę, pomyśl przez chwilę logicznie. Nie jesteś policjantem i nie masz do czynienia na co dzień z chińską mafią.

Na razie nie, chciał odpowiedzieć, na razie nie mam, ale uświadomił sobie, że takie oświadczenie zabrzmiałoby zbyt ostro, a jednocześnie zbyt niedojrzale. Miał dwadzieścia lat i dwukrotnie na własne oczy widział skutki przemocy triady, ale musiał jeszcze półtora roku odsłużyć w wojsku, zanim podejmie jakieś życiowe decyzje. A później będzie miał dostatecznie dużo czasu, aby powiedzieć rodzinie, kim chce być. Ojciec prawdopodobnie go zrozumie. Ale inni? Tak czy owak, na razie ugryzł się w język i nic nie powiedział.

- Jeszcze herbaty? - spytała babka.

Czekała, aż jej wnuk się uspokoi, aż dobre maniery wezmą górę nad jego gniewem. Tony widział jej oczekiwanie i w tym właśnie momencie uświadomił sobie, dlaczego jego matka postępuje w życiu tak, a nie inaczej. Odchrząknął i oświadczył:

- Tak, bardzo proszę, babciu, byłoby cudownie. Jak się rozwija twój ogród?

RS

Rozdział jedenasty

Judson, Teksas Rok 1978

- Chodź, Peggy, bo się spóźnimy - gderwała Klaudia. Była trochę podenerwowana, ponieważ po raz pierwszy wychodziła wieczorem, aby zażyć przyjemności nocnego życia. Uczęszczała teraz do ostatniej klasy i ukończyła już siedemnaście lat: najwyraźniej był to magiczny wiek, przynajmniej dla matki, która bez problemów pozwoliła jej pojechać autobusem i spędzić sobotni wieczór w sąsiednim miasteczku Clayton. Klaudia zamierzała pójść do kina z przyjaciółmi i zostać poza domem aż do północy. Była już młodą panną. Miała nieskazitelne zęby, dzięki noszonemu przez wiele lat aparacikowi korekcyjnemu; trochę dawniej niezgrabna, teraz zmieniła się bardzo na korzyść. Zaczęli ją zauważać chłopcy, dziwiąc się, jak mogli jej wcześniej nie dostrzegać. Klaudia jednak nie zwracała na nich uwagi. Interesowali ją, i owszem, ale przykład Peggy stanowił dla niej niezłe ostrzeżenie. A Klaudia nie chciała wieść takiego życia jak siostra.

Autobus odjeżdżał za pięć minut. Ledwie zdążą, nawet jeśli całą drogę będą biegły. Klaudia popędzała Peggy niecierpliwie, żałując, że zaprosiła ją, by jej towarzyszyła.

- Mama nie powiedziała, że możesz to włożyć. - Peggy pojawiła się w końcu, z dezaprobatą patrząc na Klaudię ubraną w białą bluzkę matki. Na młodej buzi i figurze starszej dziewczyny zostały już swe ślady trudy macierzyństwa i zbyt częste późnonocne powroty do domu. Nad ustami życie wyryło jej głębokie zmarszczki smutku i rozczarowania. Peggy traktowała młodszą siostrę z jakąś urazą, widząc w tej starannie ubranej postaci wspomnienie siebie sprzed lat.

- Ależ pozwoliła mi. Pytałam ją wczoraj wieczorem. No, chodź,

Peggy! Nigdy nie zdążymy na ten autobus, jeśli nie ruszysz tyłka. Cześć, mamó. Do zobaczenia! - zawołała Klaudia i wybiegła na dwór.

- Cii! Nie budź Toddy'ego. Och, do diabła, zdaje mi się, że wcale nie mam ochoty iść. Przynajmniej nie z kimś tak odsztafiowanym jak ty. Nie mówiłaś mi, że zamierzasz się tak elegancko ubrać. Chcesz mnie ośmieszyć? - Peggy popatrzyła na dzinsy i bluzeczkę z krótkim rękawem, które miała na sobie, a potem na siostrę w pasiastej bawełnianej spódniczce i świeżej bluzce koszulowej. Włosy Klaudia schludnie ściągnęła do tyłu i spięła spinką. Peggy westchnęła głęboko i jej siostra nieco się speszyła.

- Och, Peggy, tak mi przykro, ale mówiłam ci, że jedziemy do kina na promenadę, a potem na kolację do „La Cucharacha”. Jeśli chcesz iść w dzinsach, to twoja sprawa, ale ja wkładam je przecież do szkoły codziennie! Wyglądasz zresztą całkiem ładnie, musisz się tylko zdecydować, czy ze mną jedziesz. Proszę cię!

Jeśli spóźnią się na autobus, a następny odjedzie dopiero za godzinę, Gina i Paul z pewnością nie będą tak długo czekać; pomyślą po prostu, że ich przyjaciółka zrezygnowała ze wspólnego wypadu. Klaudia obdarzyła Peggy udręczonym spojrzeniem.

- No, dobrze, pojedę. Chociaż nie wiem, po co mam się spotykać z twoimi głupawymi przyjaciółmi.

Akceptacja została wyrażona ponurym tonem. Peggy kategorycznie nie chciała przyspieszyć kroku; jak zwykle szła spacerkiem, lekko kołysząc biodrami. Klaudia zagryzła wargi i stąpała ponuro obok siostry. Naprawdę żałowała, że zgodziła się zabrać ją z sobą.

A zaprosiła ją pod wpływem impulsu. Przykro jej było patrzeć na Peggy tak przygnębioną, bez grosza na własne wydatki (całe jej zarobki szły na utrzymanie dziecka), bez męża i jakichkolwiek perspektyw, więc gdy siostra tak żałośnie poprosiła, żeby ją z sobą zabrali, po prostu nie potrafiła jej odmówić.

- Tak, jedź z nami - odpowiedziała jej Klaudia - będzie przyjemnie i zapomnisz na kilka godzin o Toddzie. Mama powiedziała, że się nim chętnie zajmie, daj więc spokój i chodź. Poczuj się znowu młoda.

I taką otrzymywała teraz nagrodę za swoją dobroć! Peggy dąsała się, pokazując wszystkim dokoła, że źle się czuje w towarzystwie młodszej siostry. Och! Klaudia z całych sił zacisnęła dłoń w pięść. Czowała prawdziwy gniew.

Wieczne promienie padały ukośnie. Ciepłe słońce świeciło dziewczętom w oczy, odbijając się od blaszanych dachów i masek samochodów. Wiatr od wschodu unosił w powietrze tumany kurzu. Klaudia poczuła zapach rosy na zielonych roślinach i pełny, ostry aromat jalapów i podsmażanej fasoli. Babcockowie mieszkali tuż przy ulicy Ridge, która stanowiła linię graniczną, dzieląc miasto na dwie części. Z jednej jej strony rozciągały się ładniejsze podmiejskie tereny, gdzie przed każdym domem lśniły zadbane zielone trawniki z obracającymi się mechanicznymi polewaczkami. Matki tam przesiadywały na huśtawkach zawieszonych na gankach domów, gdzie piło się lemoniadę i piekło kielbaski na grillu. Po przeciwnej stronie natomiast znajdowały się dzielnice pośledniejsze i biedniejsze. Straszły tam połamane

płaty i odarte tynki, wśród traw rosły wysoko chwasty, a na podjazdach stały rdzewiejące samochody. W tej części miasteczka na werandach przesiadywali mężczyźni w samych podkoszulkach. Gdy przechodziła jakaś dziewczyna, natychmiast rzucali pod jej adresem napastliwe komentarze, wypowiedane z miękkim i lekko świszczącym akcentem całkowicie obcego dla Klaudii języka.

Matka zawsze nalegała, by dziewczęta omijały te tereny, wybierając do autobusu dłuższą drogę. Trzeba było w tym celu zejść aleją Armstrong Drive, a potem zatoczyć pętlę z powrotem przez South Street. Zazwyczaj unikały „złych” dzielnic, ale tego wieczoru nie miały na to czasu, jeśli chciały zdążyć na autobus. Kiedy ulice zaczęły się stawać coraz brzydsze i bardziej zaniedbane, Klaudia przyspieszyła kroku, głowę spuściła w dół i odwróciła oczy. Mężczyźni gwizdali i wyli, a ona szła coraz prędzej i prędzej. Peggy niechętnie dotrzymywała jej kroku, jej blond grzywka podskakiwała pod wpływem szybkiego kroku i dziewczyna wydymała policzki z rozdrażnieniem.

- Do cholery, Liddie, nie idź tak szybko. Jestem już prawie wykończona, a czeka nas jeszcze kawał drogi.

- Chcesz się tutaj wlec? Nie powinnyśmy w ogóle tędy iść, Peggy. Mama byłaby wściekła jak cholera, gdyby się o tym dowiedziała.

- Cóż, raczej się nie dowie, prawda? Chyba że ty jej powiesz, co? Cayate coniol - Peggy strzeliła palcami w kierunku grupy młodych mężczyzn przechadzających się przed sklepem monopolowym, reagując w ten sposób na ich wesołe wzmianki o jej „Jbomberos”. Klaudia przypatrując się mężczyznom pomyślała, że w tych jaskrawych światłach neonów znad sklepów i z wydłużonymi cieniami wyglądają jak jacyś podludzie na polowaniu. Mieli długie, zmierzwiłone, gęste włosy i trzepoczące stroje, a w sposobie, w jaki niespokojnie krążyli pod ścianą, wyczuwało się prawdziwą brutalność i prymitywizm.

Uwaga Peggy sprowokowała ich do głośniejszych okrzyków i zwiększyła ich zainteresowanie; jeden z mężczyzn oderwał się od ściany i ruszył w kierunku dziewcząt, wołając złośliwie:

- Och, kochanie, chodź do tatusia.

Jego słowom towarzyszyły śmiechy przypominające głos szakala, które rozlegały się ze wszystkich stron wokół idących dziewczyn.

- Och, do diabła, zamknij się, Peggy. Po prostu na nich nie patrz j i chodź szybciej. Nie odzywaj się i niczego nie rób! - Klaudia podniosła 1 głos, a jej irytacja zmieniła się w strach, kiedy Peggy obróciła się, 1 podniosła rękę i otwartą dłonią lewej ręki uderzyła płasko w pięść ! prawej. Młodzi mężczyźni

nagle poruszyli się, zafalowali i popłynęli do 1 przodu. Szybkim krokiem szli teraz obok dwóch dziewcząt. Paczka była, najwyraźniej gotowa do zabawy.

- Pieprzone dupki! Ha, ha, ja bym wam pokazała! - zawołała Peggy, nie zwracając uwagi na słowa siostry. Klaudia rozejrzała się wokół siebie z przerażeniem i młodzi ludzie natychmiast zbliżyli się, wyczuwając jej strach. Dziewczynom zostały jeszcze dwie przecznice do przejścia i nagle Klaudia uświadomiła sobie, że z pewnością nie uda im się dotrzeć na czas do przystanku.

W tym momencie dotknął Peggy pierwszy chłopak. Śmiał się, podczas gdy ona wykrzykiwała nieprzyzwoitości. Zaczęła się zabawa: dotknięcie, odskok w tył, znowu dotknięcie. Pozostali zgromadzili się dokoła dziewcząt, szydząc i drwiąc, cisnąc się do przodu i tłocząc. Cuchnęli obrzydliwie spoconymi ciałami i piwem. Zaczęli napierać na nie, popychając je w tył ku pozbawionej okien brudnej ścianie budynku obitego deskami. Klaudia cofała się przed ich natarciem, rozglądając się dokoła siebie. Czuła teraz paniczny strach.

Wzdragła się przed ich dłońmi, przed odpychającymi twarzami, w obronnym geście osłaniając rękoma piersi.

Dosłyszała czyjś krzyk, kiedy szarpali ją, drąc na niej koszulę, siniacząc jej plecy i uda, pchając ją na ścianę. Czuła na swoim ciele ich obmacujące łapy i widziała napierające, roześmiane twarze przesłaniające widok zachodzącego słońca. Drażniły ją i przerażały ich łypiące pożądliwie oczy. Kopała napastników, policzkowała ich, oddychając nierówno i w popłochu, a przez cały czas do jej uszu docierał krzyk, który wydawała z siebie jakaś starsza kobieta po drugiej stronie ulicy. Piszcziała i skowytała, jak gdyby mężczyźni szarpali ją samą, a nie młodą Klaudię.

Podciągnęli jej spódniczkę w górę i szeroko rozłożyli nogi, rozsuwając je tak mocno, że Klaudia miała wrażenie, że popekają jej kości i stawy. Ktoś pchał między jej nogi swoje ciało, pachnące potem, czosnkiem i wstrętnym, nieświeżym oddechem. Ktoś rozdzierał jej bieliznę. Dziewczyna skamlała jak maltretowane zwierzątko i walczyła, usiłując uciec od bólu i hańby, która - wiedziała - z pewnością zaraz nadejdzie.

A potem upadła na ziemię, a oni zaczęli się od niej odsuwać, usłyszała szuranie oddalających się nóg i ostre głosy zaczęły cichnąć. Kobieta z przeciwka ciągle krzyczała, a Klaudia usiadła z zamkniętymi oczami, opierając się o ścianę. Wargi miała obrzmiałe i rozcięte wewnątrz przy zębach, jej ciało było posiniaczone i pokaleczone. Na pośladkach czuła jeszcze dotyk twardego chodnika.

- Cholera, wy paskudne dziewczuchy, ale wy głupie. To wasza wina. Co tu robiłyście, panienki? Żadna porządna dziewczyna tędy nie chodzi. Na pewno wy głupie! - Twarz pochyliła się nad Klaudią, a ona powoli otworzyła oczy, krzywiąc się, kiedy poraził je blask zachodzącego słońca. Przed nią stał ciemnoskóry chłopiec, wysoki, o długich kończynach; ręce trzymał na biodrach, był zaintrygowany, a jednocześnie przyglądał jej się pogardliwie. Przykucnął przy niej i jednym palcem uniósł jej podbródek, patrząc na krwawiącą wargę.

„Gdzie Peggy?” - zamierzała go spytać Klaudia, ale z jej ust wydobyło się tylko coś w rodzaju niezrozumiałego bełkotu, brzmiącego raczej jak „Ciepeki”? Całe wargi miała spuchnięte. Chłopiec podniósł się, po czym wykonał nagły ruch kciukiem. Klaudia powędrowała wzrokiem za jego wskazującym palcem i po chwili dostrzegła Peggy. Jej siostra stała ponuro z boku, koszulkę miała lekko rozdartą, ale poza tym nie było widać żadnej innej szkody. Najwyraźniej w ogóle się nie broniła, pomyślała Klaudia i ta myśl tak ją przeraziła, że natychmiast wmówiła sobie, że to nieprawda. Ale wiedziała, że tak właśnie zachowała się Peggy.

Powoli, z bólem, podniosła się. Czarny chłopiec nie próbował jej dotknąć. W jego oczach pojawiło się teraz współczucie, gdy zauważył spojrzenie wymienione między siostrami.

- Cholera, co tu za pierdolone gnoje mieszkają! - wrzasnęła Peggy i Klaudia zamknęła oczy, słysząc te słowa. Wszystko było jej już obojętne, ale w myślach zgodziła się z siostrą.

- Hmm, chyba nam uciekł ten autobus, co? Mama będzie wściekła, gdy zobaczy swoją bluzkę, Liddie. A jak się w ogóle czujesz? - Spróbowała pomóc Klaudii, ale ta odepchnęła ją gniewnie.

- Taa, nic mi nie jest. Dzięki. - Odwróciła się i sztywno ruszyła przed siebie, kierując się z powrotem ku Haskell Ridge. Czarny chłopiec i jego towarzysze patrzyli w ślad za nią, stara kobieta milczała teraz, ze skrzyżowanymi ramionami bacznie obserwując Peggy. W pewnej chwili splunęła.

[Hongkong Grudzień 1978](#)

Harry wysiadł z autobusu w Stanley i wmieszał się w tłum. Dokoła niego tętniło pełnią życia targowisko. Wszystkie kioski były otwarte, drewniane okiennice odsunięte na boki, żaluzje zrolowane. Wszędzie wokół przyciągały wzrok podróbki butów i strojów marki Adidas,

Lacoste, koszulek polo firmy Fila, torebek Gucciego, okularów słonecznych Ray-Ban. Dalej stragany dai pa dong serwowały już obiady małym grupkom

ludzi skupionych przy stolikach. W wielkich garach przygotowywano tłustą, lśniącą wieprzowinę, skwierczały kluski, nad którymi unosiły się wielkie chmury pary, w kadziach gotowały się podroby, flaki lub kaczka z zielonymi bok choy. W słoikach wraz z imbirem przekupki oferowały stuletnie jajka, które w rzeczywistości kury zniosły zaledwie kilka tygodni temu, a same jaja postarżono, obtaczając je w czarnym błocie. Obok stały kosze ze złotymi żółtkami, solonymi i sparzonymi na słońcu; połyskiwały jak wygładzone przez morze bursztyny.

Harry szedł powoli. W słabym zimowym słońcu jego okulary przeciwsłoneczne były ciemne, całkowicie przesłaniały mu oczy. Twarz miał skupioną i zdecydowaną. Zszedł ze wzgórza, minął supermarket, skręcił w prawo i znalazł się na jednej z wąskich betonowych alejek sklepowych. Poruszał się powoli, rozglądając się niedbale na boki i pozornie nie wykazując żadnego zainteresowania otaczającymi go ludźmi.

Mama Lee, wystrojona w jasnoławendowy komplet uszyty na kształt luźnej piżamy, obserwowała uważnie przechodzącego obok jej straganu Hany'ego, a gdy chłopak go minął, jej twarz o wydatnym podbródku odwróciła się za nim. Przez chwilę kobieta ukradkiem patrzyła, jak odchodzi. Potem lekko kiwnęła głową, dając znak swojemu synowi, i wróciła do lnów i płócien.

Stanley było małą rybacką wioską, która rozrosła się w eleganckie osiedle willowe, i z roku na rok stawała się coraz bardziej ruchliwa. Można tu było nieźle zarobić, bowiem tutejszy bazar był tak sławny, że przyciągał zarówno stałych mieszkańców - Chińczyków i białych emigrantów - jak i turystów wszelkich narodowości. Aby się tu dostać, wystarczyła półgodzinna jazda dokoła wybrzeża z Centralu, łatwo więc było się tu spotkać, a jeszcze łatwiej wyjaśnić swoją obecność.

Harry wyrwał się wreszcie z mrowiska uliczek i ruszył przed siebie wzdłuż plaży. Minął wytworną restaurację na rogu, potem nieco mniej elegancki pub, i skierował się ku parkingom samochodowym. Zanim do nich dotarł, nagle jakby poczuł zmęczenie, toteż poszukał ławki, aby odpocząć na słońcu. Wiał wiatr od morza i chłopca omiótł lekko zalatujący rybami zapach mokrego piasku i słonej wody. Harry otulił się ściślej swoją skórzaną lotniczą kurtką. W słońcu było bardzo przyjemnie.

Syn Mamy Lee szedł alejką kopiać kamyk, powoli, choć niedbale zbliżając się do Harry'ego. Miał zaledwie czternaście lat, ale świetnie wiedział, jak odegrać swoją rolę. Kopnął kamień w rów, a potem usiłował go wstrzelić do kanału ściekowego. W końcu mu się udało i podniósł oczy z wyraźną

przyjemnością na pospolitej twarzy. Pewien szczupły młodzieniec, opierający się o metalową poręcz, która biegła wzdłuż chodnika, a potem opadała na plażę, pozornie nie zwracał na niego uwagi. Chłopak wybrał kolejny kamyk, kopnął go wzdłuż ścieżki, podbiegł do niego i znowu kopnął. Kamień odbił się od ławki Harry'ego. Harry rozejrzał się wokół i dostrzegł chłopca.

- Uważaj, co robisz, gówniarzu! - zawołał gburowatym tonem i chłopiec się schylił, aby wyjąć kamień spod ławki. Przez chwilę bezskutecznie gmerał zmarzniętymi palcami.

- Czerwona pasiasta koszula, błękitne dżinsy, złoty medalion, raybansy. Mama mówi, że za dziesięć minut - odklepał wyuczoną formułkę chłopiec, pochylając głowę, jak gdyby przeproszał Harry'ego za to, że mu przeszkodził. Potem mały wycofał się spod ławki, chwilę pochuchał na dłonie, rzucił kamień na dróżkę i kopnął go wysoko w górę w stertę śmieci, które leżały rzędami na zakręcie ścieżki obok płonącego metalowego kosza, jarzącego się nierównym płomieniem na wietrze. Chłopiec popędził w tamtym kierunku.

Harry przesiedział na ławce jeszcze pięć minut, a następnie przeciągnął się, ziewnął, podniósł z miejsca i ruszył z powrotem na rynek. Po drodze przystanął i od ulicznego sprzedawcy kupił kleiste ciastko sezamowe. Idąc dalej zajadał je z wyraźnym smakiem. Młody, szczupły mężczyzna szedł w ślad za nim, co jakiś czas - gdy Harry się zatrzymywał albo odwracał - przystając, aby obejrzeć zupełnie nieprawdopodobne towary.

Harry uśmiechnął się do siebie i wytarł palce w kilka papierowych chusteczek, które następnie upuścił niedbale w rynsztok przed kramem Mamy Lee. Potem zagłębił się w kolejną alejkę, pochylając głowę pod zwisającymi nad nim torbami i ubraniami. Pod stopami poczuł chłodne, twarde i mokre betonowe podłoże. Młody człowiek podążył za nim, nie zauważając, że Mama Lee wkuła pręt markizy w chusteczki, podniosła je i wycofała się na tyły swego kiosku. Tam, w mrocznym i dusznym pomieszczeniu zapchanym kartonami z płótnem siedział Aidan, cierpliwie paląc papierosa.

- Jeśli chcesz bezpieczniejszej kryjówki, nie pal tutaj - powiedziała gderliwie Mama Lee, wręczając mężczyźnie plik papierowych chusteczek. Wewnątrz tkwił, starannie zwinięty, kawałek papieru. Aidan podniósł oczy na Chinę.

- Nie zadręczaj mnie, Mamo Lee. Twoje lokum jest świetne i dobrze ci płacę - odparł obojętnie, rozwijając skrawek papieru. Spojrzał na oczekującą twarz Mamy Lee. - Później, Mamo Lee. Idź teraz do swojego sklepu.

To nie była prośba i Mama Lee to zrozumiała, odwracając się z kwaśną miną. A Aidan wiedział, że kobieta robi, co jej nakazał. Wiele zyskiwała,

wykonując jego polecenia, nie wykonując ich mogła jedynie wszystko stracić. Uśmiechnął się do siebie i uważnie obejrzał list.

Harry nadal szedł głównym szlakiem handlowym, co jakiś czas przystając, aby przymierzyć parę dżinsów czy zamszową kurtkę albo kupić podrobiony zegarek Piageta. Nie zwracał szczególnej uwagi na to, czy młody chłopak podąża za nim, czy nie. Po kolejnej godzinie włóczęgi skierował się w jedną z bocznych uliczek i usiadł w ogródku kawiarni. Zamówił piwo i popijając, siedział dłuższą chwilę w słońcu. Potem kelner przyniósł mu rachunek, Harry spojrzał nań, rzucił na stół z formiki kilka monet, po czym wstał i powoli ruszył na przystanek autobusowy. Barman wziął rachunek i pustą butelkę po piwie, a potem wszedł do środka.

Śledzący Harry'ego młody mężczyzna nie miał pojęcia, że Harry właśnie po raz drugi tego ranka nawiązał kontakt z Aidanem. Młodzieniec kontynuował swoje zadanie, nie rozglądając się na boki, a w tym czasie kelner podał na drobne strzępy rachunek i rzucił do kanału.

To była dość prosta procedura. W pierwszym miejscu Harry zostawiał swój „zrzut”, daty i informacje, w drugim, zawsze godzinę później, otrzymywał instrukcje. Harry i Aidan prowadzili tę niezwykle ryzykowną, grożącą nawet śmiercią, grę od prawie dwóch lat, odkąd chłopca wypuszczono z więzienia Lai Chi Kok. Sędzia orzekł, że nie ma wystarczających dowodów, aby powiązać Harry'ego z próbą napadu na sklep jubilerski. Mógł być przecież tylko Bogu ducha winnym przechodniem, który ze strachu zaczął nagle biec, a w dodatku oberwał kulkę w nogę i spędził wiele miesięcy w areszcie. Sąd był przekonany o jego niewinności i mimo że ława przysięgłych orzekła młodzieńca winnym, uchylił jej werdykt.

Harry jednak wiedział, że Yee ciągle coś podejrzewa. Widział to w jego wzroku, w małych przenikliwych oczkach, które stale z uwagą taksowały przyjaciela z dzieciństwa. Yee ciągle się nad nim zastanawiał. Toteż za Harrym zawsze ktoś szedł, zawsze towarzyszył mu jakiś „anioł stróż”. Yee już dawno mógł uczynić chłopca swoją prawą ręką, ale nie zrobił tego, ponieważ mu nie ufał. Ani trochę.

Zresztą informacje, które Harry dostarczał Aidanowi, również nie były wiele warte. Donosił w nich jedynie, że istnieje ktoś, kto wspiera Yee, ktoś potężniejszy niż jakikolwiek przedstawiciel świata przestępczego. W ten sposób sugerował Aidanowi, że organizacja, na której czele stał Yee Fong Lo, zajmuje się czymś więcej niż tylko zwykłymi przestępstwami, że jest związana z polityką i ekonomią, że coś ją wiąże z problemami, jakie zrodzi zakończenie

angielskiej dzierzawy Hongkongu i Nowych Terytoriów w 1997 roku. Nikt jednak nie wiedział nic pewnego w tej kwestii. Nikt z wyjątkiem Yee. I, rzecz jasna, tajemniczego, nieznanego poplecznika. Ale biorąc pod uwagę wszystkie znane sobie fakty, Harry doszedł do pewnych trafnych wniosków, które jednak zatrzymał dla siebie. Aidan coraz bardziej się niecierpliwił, ale nigdy na tyle, aby sprowokować Harry'ego do buntu. W każdym razie, jak dotąd.

Natomiast prywatne konto bankowe Harry'ego w Makau rosło systematycznie w widoczny sposób, chociaż tak niewiele informacji chłopiec przekazywał. Tak więc, mimo zawartego w swoich posunięciach ryzyka, Harry na razie był bardzo z siebie zadowolony.

Nie zamierzam przecież pozostać z Yee, myślał teraz, siedząc na górnym piętrze zielonego autobusu, który kołysał się i przechylał przy każdym zakręcie w powrotnej drodze do Centralu. Harry wiedział dobrze, że w „Cienkich Ostrzach” wspiął się już tak wysoko jak mógł. Wyżej dotrzeć już nie zdoła, skoro Yee nie ufa mu wystarczająco, aby na to pozwolić, a na nowego przywódcę organizacji nie ma co liczyć. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę: nikt nie obali Yee za jego życia. Harry uświadamiał więc sobie, że musi znaleźć jakiś sposób, aby się oderwać od Yee, musi poszukać sobie innego zajęcia, które będzie odpowiednie dla jego talentów, które pozwoli mu się rozwijać i do czegoś dojść. Aby jednak tego dokonać, nie wystarczy, że sam będzie z siebie zadowolony. Musi również usatysfakcjonować Aidana.

Tak więc siedział teraz w autobusie i roztrząsał ten problem. Obok niego migały drzewa, a gdy co jakiś czas autobus wspinał się po krawędzi urwiska, tu i ówdzie rozlegały się pełne podniecenia i niepokoju okrzyki pasażerów. Kierowca podczas jazdy prawdopodobnie je sobie w najlepsze obiadał, pomyślał Harry ze znużeniem i wyobraził sobie mężczyznę, który w rękach dzierży miseczkę i pałeczki, a pojazdem kieruje jedynie przy pomocy nóg. Miejmy nadzieję, dodał w myślach, że szybko skończy konsumpcję.

Może powinienem zwerbować kolejnego gracza, zastanowił się po chwili. Kogoś, kto lubi łatwe pieniądze, kogoś, kto ich potrzebuje, aby móc wieść takie życie, jakie mu odpowiada, aby zaspokajać swoje nałogi i przyzwyczajenia... Może kogoś takiego jak Mark Babcock? Przez chwilę Harry znowu pomyślał, po raz tysięczny, o Liddie i poczuł krótkie, ostre ukłucie bólu, które odezwało się jak stara rana. Ale Liddie była daleko, a Mark nadal mieszkał tutaj. Harry widywał go od czasu do czasu, obserwował jego rozwój, widział, jak brat jego dawnej przyjaciółki staje się coraz bardziej wyniosły, lekceważący. Za dnia robił wrażenie typowego przedstawiciela „europejskiej

rasy panującej", ale wieczorami wymykał się chyłkiem do Wanchai i tam otwarcie dokonywał zakupów w bocznych uliczkach tej znanej dzielnicy wszelakich uciech. Na razie jego zainteresowania ograniczały się do lekkich narkotyków, trochę „trawki” czy „haszu”, czasem może „niuchu” kokainy. Nic złego, nic kosztownego, nic, z czym nie można sobie poradzić. Harry mógł niemal sobie wyobrazić, jak Mark to mówi. Ale do czasu, pomyślał Braga, do czasu... Cóż, przez większość roku Mark przebywał z dala od Hongkongu, studiował na uniwersytecie w Ameryce, ale wróci przecież na Boże Narodzenie. A wtedy... Zapropionować Yee kandydaturę Marka w zamian za samego siebie? I powiedzieć wszystko Aidanowi? Powiedzieć mu prawdę, to znaczy... to, czego się domyślał? Ale nie, tę wiadomość Harry musiał na razie zatrzymać dla siebie. Kiedyś może naprawdę jej potrzebować. Więc powiem Aidanowi pół prawdy, postanowił. Coś za coś. Ostateczna, jednorazowa propozycja. Wymiana. Harry uśmiechnął się do siebie gorzko na tę myśl.

RS

Rozdział dwunasty

Judson, Teksas Lato roku 1979

- Todd, nie wolno, nie kładź sobie tego do buzi. To jest paskudne! Be! Będziesz chory. Nie, wyrzuć to, kochanie. Todd, rób, co mówię. - Klaudia wyjęła robaka z mocnego uścisku Todda, potem podniosła chłopca w górę, rozkołysała go wysoko ponad ramieniem, uspokajając go tak długo, aż okrzyki rozczarowania zmieniły się w radosny śmiech. Gorące spocone piąstki dziecka wbijały jej się w plecy, paluszki czochrały jej włosy. Pozwoliła mu chwilę podskakiwać na swoim ramieniu, mimo że był ciężki, a potem wraz z nim ruszyła sprawdzić po raz trzeci tego ranka czy są jakieś listy w skrzynce. Ciagle była pusta.

- A niechże go. Gdzie on do diabła się dzisiaj włóczy? - rzuciła pytanie w kierunku Todda, który posłał jej z góry podejrzenie promienny uśmiešek.

- Kto? - zapytał.

Todd, który właśnie niedawno skończył dwa latka, ostatnio zaczął się zachowywać, jak gdyby w końcu obudził się z letargu i nagle z dnia na dzień stawał się coraz inteligentniejszym dzieckiem, a powoli i coraz ładniejszym - jego dotychczas osobliwie nierówne części ciała (jedne wydawały się rosnać szybciej niż inne) teraz wreszcie przemieniły się w śliczne krągłości. Klaudia nie miała pojęcia, kto może być jego ojcem. Peggy nie była przecież ani inteligentna, ani urodziwa, cechy te musiał więc odziedziczyć po swoim nie znanym ojcu.

- Pan listonosz. Spóźnia się, a ja czekam na ważny list. - Tak samo zresztą, jak czekała każdego ranka przez ostatnie dwa tygodnie. A przecież pierwsze potwierdzenia z college'ów otrzymała już prawie dwa tygodnie temu! Dlaczego, do diabła, ten Harvard tak ją męczy, trzymając w niepewności?

- Od wujka Malka?

- Nie, z college'ów, do których złożyłam podania.

- Wyjeżdżasz? Mama powiedziała, że wyjedziesz i będziesz naprawdę elegancką panią i że już więcej nie wrócisz do takiego nudnego miejsca jak Judson. - Szczebioczący dziecięcy głosik, jakim chłopiec powtórzył słowa wypowiedziane wcześniej przez Peggy, sprawił, że to, co powiedział wydało się Klauдії jakoś ohydne i wstrętne.

- Nie jedź, Liddy. Nie chcę, żebyś jechała! - Rączki malca schwyły ją za szyję i dziewczyna wyczuła strach w jego mocnym uścisku.

- Och, kochanie, co twoja mama może wiedzieć? Oczywiście, że wrócę, Todd. Jak inaczej mogłabym cię widywać, no sam powiedz?

Pocałowała go w policzek i, czując miękkość i delikatność tej skóry przy swoich ustach, po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego kobiety mówią o swoich dzieciach nonsensy, w rodzaju: „Och, mogłabym go naprawdę zjeść, jest taki śliczny”. Skóra malca pachniała świeżo i słodko po kąpieli, jak jeszcze ciepły, świeżo upieczony chleb.

Przynajmniej jedną dobrą rzecz Peggy zrobiła w życiu, pomyślała Klaudia, po czym zakolysała chłopcem i postawiła go z powrotem na trawie. Następnie wzięła go za rękę i ruszyła wraz z nim w kierunku domu. Ciekawe, jak Todd zniesie małżeństwo Peggy, zastanowiła się nagle. Przecież Hank stanowi taką kiepską partię, pomyślała i skrzywiła się przy słowie „partia”. Oceniała ponuro, że Judson ma na nią zły wpływ i powoduje, że wiele słów musi otaczać cudzysłowem. Rodzina młodego mężczyzny była niezwykle zgorszona jego małżeństwem z „kobietą upadłą”, a Hank, no cóż, chociaż nie był złym człowiekiem, nie był jednakże zbyt bystry i z pewnością nie należał do najwspanialszych przedstawicieli swego pokolenia w miasteczku. Był typowym młodym, nieco rubasznym Południowcem, zawziętym rasistą, który lubił wypić i dla którego rozrywkę stanowiło polowanie na dziką zwierzynę albo oglądanie meczu footballowego w telewizji.

Jak Todd będzie się czuł z dwojgiem rodziców, których zachowanie jest tak niemożliwe do przewidzenia, którzy są, cóż, raczej dość niesolidni i nie budzący zaufania, zastanawiała się z niepokojem dziewczyna. A może skończy się na tym, że Todd zostanie z jej matką, która będzie go wychowywać jak swoje dziecko, kobietą zbyt starą i rozgoryczoną, aby naprawdę umiała się cieszyć jego towarzystwem. Strapiona Klaudia potargała czuprynę chłopczyka.

- Witaj, Klaudio! Cześć, Todd, co u ciebie, staruszkule? - Bo Haskill zahamował swój wyścigowy rower i zsunął się z siedzenia jednym lekkim ruchem. Jego ogniście rude włosy wydawały się niemal płonąć w suchym powietrzu. Podparł rower o ścianę domu i przemówił do

Todda, klękając na kolanie z dzinsową łatą. Klaudia uśmiechnęła się, słysząc radosne piski chłopczyka i czując, jak jej serce uspokaja się na sam widok Bo. Może i miał swoje wady, ale zawsze czuła się lepiej, gdy był w pobliżu.

- Bo! Wróciłeś, Bo? Zostaniesz tu, prawda? Ty i Liddsy? Oboje wróćcie, tak? Mimo że to taka stara dziura to nasze miasteczko? - Todd zaciskał usta niespokojny i pełen obaw, próbując zajrzeć Bo w oczy i wycisnąć z niego prawdę. To, co jego mama powiedziała mu któregoś dnia, przestraszyło go tak

bardzo, że od tamtej chwili stale o tym myślał. Myśl o tym, że Liddsy i Bo wyjadą na zawsze, tkwiła w nim jak igła i kłując, stale sprawiała małemu ból.

Bo wyglądał na zaskoczonego. Łypnął w górę, przez chwilę patrzył na Klaudię, która stała obok niego z przymkniętymi oczyma i smutną miną. Uśmiechnął się.

- Hej, oczywiście, że wrócę do domu, Todd, stary druhu, gdzie indziej miałbym zamieszkać? I wiesz co? Nie powinieneś nazywać Judson starą dziurą. To nie jest uprzejme, no i to zupełna nieprawda...

- Mama mówi, że to jest stara dziura - upierał się Todd i Bo podrapał go po główce.

- Taa, no cóż, czasami nasze mamy trochę przesadzają i mówią rzeczy, których wcale nie myślą. - Bo ponownie spojrzął na Klaudię, ale tym razem się nie uśmiechnął. - Musisz pamiętać, co ci mówię. Wrócę tu, i twoja ciocia Liddsy też. Jasne?

Chłopak wstał, podniósł Todda i posadził sobie na ramionach. Nie spuszczał przy tym oczu z Klaudii.

- Co u ciebie? Masz już odpowiedzi z college'ów?

- Lepiej nie pytaj. Chodzę do skrzynki na listy co pięć minut, a za godzinę muszę być w pracy. Nie sądzę, żebym zniosła dłuższe czekanie. Jeśli się nie dowiem do jutra, chyba zwariuję. - Idąc przy boku Bo, dziewczyna roześmiała się, aby ukryć własną frustrację.

- Nic z tych największych, co?

W głosie Bo dało się słyszeć pełne zrozumienie. Przecież sam kiedyś był w podobnej sytuacji, uświadomiła sobie nagle Klaudia.

Todd przez cały czas wtrącał się do ich rozmowy, szczebiocząc, jak bardzo chciałby mieć taką wyścigówkę jak Bo i co się działo tego dnia na placu zabaw, a Bo jakimś sposobem umiał mu odpowiadać i jednocześnie koncentrować się na tym, co mówiła Klaudia. Szli razem ulicą, uchylając się przed rozpryskiwaną przez polewaczki wodą. Niemal przed każdym domem rzucały się do płotów psy i czekały na nich wściekle przez chwilę, by potem się wycofać, dumne z wykonanego zadania.

- Princeton zaakceptowało moje podanie, ale nie zaproponowało mi stypendium, więc odpada - mówiła Klaudia, czując jednocześnie satysfakcję i smutek. - Dostałam też cały stos nieproszonych ofert, przeważnie z Kansas i Iowy - dodała z lekkim uśmiechem - no, a pan Pringle oczywiście szczerzy do mnie tę swoją krokodylą paszczę, ilekroć mnie widzi i mówi, że jest tak, jak

przewidział i że trzeba było zaakceptować Duke'a, kiedy miałam okazję. Może rzeczywiście powinnam...

Wzruszyła ramionami, a Bo milczał przez chwilę, zastanawiając się nad czymś.

- Pisałaś na Uniwersytet Wirginia? - Pomyślał, że byłoby miło, gdyby studiowała tam, gdzie on. Wszystko byłoby w ten sposób łatwiejsze. Klaudia nawet nie podniosła na niego oczu, tylko potrząsnęła głową.

- Nie. Nie sądzę, żeby mi odpowiadał ten wspaniały południowy styl... wiesz, wszystkie te żeńskie koła studenckie i męskie stowarzyszenia... To znaczy, wiem, że tobie to prawdopodobnie się podoba - roześmiała się zakłopotana - ale ja jestem jakaś inna... Pragnę po prostu wyjechać do dobrej szkoły, chcę studiować i rozwinąć swoje zainteresowania i umiejętności, a potem otrzymać dobrą pracę, podróżować... Mark jest w takiej korzystnej sytuacji, po studiach czeka go już praca w Hongkongu... To naprawdę sprawia, że czuję czasami zniechęcenie - dodała jednym tchem, prawie w rozpacz.

Idąc kopnęła kamyk, chwilę obserwowała, jak podskakiwał, zanim dołączył do innych i stał się niemożliwy do rozróżnienia od reszty. Pomyślała, że z nią jest tak samo: ona też podskakiwała przez moment, ponieważ była inteligentniejsza niż reszta młodzieży Haskell Ridge, a teraz może dowie się, że wcale się od nich różni, wpadnie w ich tłum i popłynie tam, gdzie oni. Och, do diabła, nie, nie może na to pozwolić!

- Nie opowiadaj bzdur, Klaudio. Mark jest od ciebie dwa lata starszy, a poza tym nie jest całkowicie zależny od stypendium. Jesteś o wiele bystrzejsza niż wielu spośród nas i na pewno przyjmą cię do jakiejś dobrej szkoły. Może nie tak dobrej jak mój UVA - Bo uśmiechnął się, dając jej do zrozumienia, że żartuje - ale gdzieś, gdzie będziesz naprawdę pasowała, gdzie nie będziesz się czuła obco tylko dlatego, że potrafisz myśleć. Ale chyba nie wyjedziesz na zawsze, co? - Nieświadomie powtórzył zaleźnione pytanie Todda i Klaudia roześmiała się z ich strachów, wyciągając rękę i głaszcząc nóżkę Todda zwisającą na piersi Bo.

- Oczywiście, że nie, skoro tu mieszka mężczyzna mojego życia - powiedziała głębokim głosem i przez chwilę Bo żałował, że dziewczyna nie mówi o nim. Pokręcił głową i otrząsnął się z tych myśli. Lubił Klaudię, ale to wszystko. Z pewnością wszystko. Istniało zbyt wiele dziewcząt, którym również należała się jego uwaga.

- Jeśli już mówimy o sprawach męsko-damskich, słyszałem, że Peggy i Hank zamierzają się pobrać. Co sądzisz na ten temat? - Bo podrzucił w powietrze

Todda, co sprawiło, że chłopczyk wydał z siebie radosny kwik, który przypominał gwizd pędzącego po zboczach pociągu. I Bo, i Todd najwyraźniej uwielbiali tę zabawę.

Klaudia, obserwując ich obu, uświadomiła sobie pewien osobliwy fakt: Bo umiał się świetnie porozumieć z Toddem i gawędzenie z dzieckiem przychodziło mu zupełnie bez wysiłku. Hank natomiast zachowywał się wobec malca sztucznie i nienaturalnie, jak gdyby zdobywał się na kontakt z nim z wielkim trudem; przemawiał do Todda z wyższością, jak gdyby syn jego narzeczonej był półgłówkiem, albo mówił gdzieś ponad jego główką, tak że Todd czuł się wykluczony z rozmowy i z minuty na minutę stawał się coraz bardziej milczący i smutny, że aż przykro było patrzeć. Jaka szkoda, że Bo nie podoba się Peggy, pomyślała Klaudia i zaskoczyło ją, jak szybko i gwałtownie odrzuciła taką możliwość. Bo spotkał się wprawdzie z Peggy kilka razy, nie ulegało to wątpliwości i Klaudia bardzo dobrze o tym wiedziała, ale nic więcej. Tak samo jak w przypadku większości dziewcząt, siostrę Klaudii musiała zastąpić kolejna wybranka Bo. Taki już był ten Bo Haskill, dziewczęta prędko go nudziły i również Peggy nie miała szans, by zagościć w jego życiu na dłużej.

- Jego mama nie jest zbyt szczęśliwa i najwyraźniej tylko myśl o Tommym Beringu jako szwagrze, co mnie zresztą przyprawia o dreszcze, przekonuje ją do tego małżeństwa. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Klaudia westchnęła i milczała przez chwilę, aż się otrząsnęła, widząc, jak towarzyszący jej chłopak uśmiecha się i macha ręką dwóm dziewczynom mijającym ich na rowerach. Zmuszając się, by jej głos brzmiał łagodnie, spytała:

- A co z tobą? Jesteś już przecież po drugim roku. Zamierzasz studiować nieprzerwanie całe pięć lat, czy weźmiesz urlop dziekański i popracujesz dla jakiejś firmy architektonicznej przez rok?

- Chyba wybiorę tę drugą możliwość. Zanim skończę studia, muszę zdobyć trochę doświadczenia i może kilku klientów, którzy będą mnie uważali za dobrego i godnego zaufania. Widzisz... - zawahał się, patrząc na nią - mam pewien plan. Chciałbym budować domy... to znaczy projektować je i wejść w spółkę z kimś, kto je zbuduje. Dla gorzej zarabiających, no wiesz, dla ludzi, którzy nigdy nie posiadali swojego domu. Ale, proszę, nie mów o tym nikomu.

- Budować domy? Tutaj? - Klaudia otworzyła szeroko oczy. Wiedziała, co powiedziałyby na taką propozycję ich miasteczko, znała tutejsze przesady. Już

sobie wyobrażała wielogodzinne debaty o tym, jakiego rodzaju ludzie są pożądanymi w mieście, i kłótnie o prawa własności. - U nas, w Judson?

- Noo, nie, gdzieś na Północy. Tu u nas to by się nie udało. Przynajmniej jeszcze nie teraz. - Głos Bo nagle stwardniał. - A dlaczego pytasz?

- Och, nic takiego, w porządku. - Klaudia odetchnęła z ulgą. - Sądzę, że to wspomniały pomysł. Mówi się, że na Wschodnim Wybrzeżu zacznie się wkrótce okres świetnej koniunktury. Będą potrzebowali wielu domów. Taak, sądzą, że to naprawdę cudowny pomysł!

Dziewczyna uśmiechnęła się olśniewająco i Bo również zareagował uśmiechem, a nieracjonalny strach, który poczuł, lęk, że gdy komuś przekaże swoje marzenia, one znikną, wyparował jak kałuża na rozgrzanym chodniku. Bo poczuł prawdziwą ulgę.

- A ja będę pracować jako pisarka dla Forbesa w Nowym Jorku. Od czasu do czasu będę chodzić ze znajomymi na kolację do Greenwich Village albo do Soho. Będziemy dzicy i awangardowi... prawdziwa bohema... i zupełnie niepodobni do starych mieszkańców Judson.

Myśl ta przyprawiała Klaudię o zawrót głowy, była to niemal wstrząsająca wizja w porównaniu z ciasnym, zakurczonym Ridge.

- Taak, dlaczego nie? - Bo roześmiał się. - Do tej pory zamierzam mieć masę pieniędzy i mieszkać w ekskluzywnym apartamencie na West Side, możemy więc każdego ranka uprawiać wspólnie jogging wokół Reservoir. Uśmiechnęli się do siebie, zatopieni na chwilę w marzeniach.

Tylko Todd milczał, trzymając się mocno kołnierza Bo. A kiedy chłopak i dziewczyna rozchodzili się do pracy, nie chciał pocałować ani jego, ani jej.

Klaudia wróciła do domu krótszą niż zwykle drogą, ponieważ pilno jej było zobaczyć, czy nadszedł list. Kiedy zbliżała się uliczką, Todd, który najwyraźniej na nią czekał, zbiegł po wzgórzu, tupocząc małymi, obutymi w trampki stopkami. Potem wpadł jej w ramiona, a gdy go podniosła, owinał się nóżkami wokół jej talii, po czym lekko się odsunął i coś mówił, jękając się. Był zasapany od biegu, a jego oddech był charczącym gwizdem i Klaudia początkowo nie mogła zrozumieć, co jej siostrzeniec mówi.

- Mama po-powiedziała, uch, że to przyszło, ale ty się nie do-dostałaś, więc teraz nie wy-wyjedziesz, do-dobrze, Liddy? - Todd poczuł, jak jego ciocia nieruchomieje. Jej ręce niemal do bólu zacisnęły się wokół ciała dziecka. Malec wykręcał się z jej uścisku, ale Klaudia najwyraźniej go nie zauważała. Twarz miała bardzo bladą, usta zaciśnięte, i wpatrywała się martwo w jakiś punkt w oddali. Chłopiec odwrócił się, aby zobaczyć, na co dziewczyna patrzy.

- Twoja mama otworzyła mój list z Harvardu, Todd? Jesteś pewien? - Klaudia z wysiłkiem oderwała wzrok od punktu w przestrzeni i spojrzała na dziecko rozbieganymi oczyma. Jasnozłote włoski Todda raz się podnosiły, raz opadały na wietrze.

- No chy-chyba, że jestem pewien. - Chłopczyk zeskoczył na ziemię i stanął przez Klaudią. - Mama się śmiała. Cieszyła się tak samo jak ja... bo teraz nie wyjedziesz, prawda, Liddsy?

- Twoja mama się śmiała? Otworzyła mój list z Hawardu, a potem się śmiała, ponieważ mnie nie przyjęto? - spytała Klaudia mechanicznie, powtarzając i składając w jedną całość strzępy wypowiedzi Todda, który przekazywał jej po dziecięcemu kolejne informacje. Malec obok niej milczał.

- Gdzie położyła ten list, Todd? Pobiegniesz i przyniesiesz mi go? Nie chcę, aby pozostali dowiedzieli się, że już wróciłam do domu.

Wszyscy są teraz na miejscu, pomyślała. Peggy wróciła już pewnie z salonu fryzjerskiego, mama ze swojej pracy... będzie też prawdopodobnie Hank, który po ślubie cywilnym zeszłej soboty po prostu się do nich wprowadził, zamiast zabrać stąd Peggy, czego się wszyscy spodziewali. Matka Klaudii zresztą nie protestowała, ponieważ nie chciała stracić ukochanego wnuka i zostać sama po wyjeździe młodszej córki na studia, który miał nastąpić za kilka miesięcy. Tak było lepiej dla Todda.

Klaudia nie miała ochoty stanąć teraz przed nimi wszystkimi, przeszedł ją dreszcz na myśl o Peggy i Hanku, reagujących głupawymi uśmieškami na jej niepowodzenie, o niepokoju i irytacji matki, wypominającej jej, że odrzuciła ofertę z Duke'a... Nie, nie zniosłaby tego w tej chwili! Poczowała mdłości i zadrzała, a jej umysł wypełniła pustka. Ale skoro sama nawarzyła sobie tego piwa, jak powiedział dobry, stary Bud Pringle, musi je teraz wypić. I sama musi sobie wykopać stąd dziurę, aby przez nią uciec.

Todd wyłonił się zza ściany domu z czymś białym w dłoni i zbiegł z boczem na oślep. Jego oblicze pełne było niepokoju i nadziei. Klaudia wiedziała, co myśli jej siostrzeniec - był przekonany, że jego ciocia nigdzie teraz nie wyjedzie, a przecież to była nieprawda. Biedny malec, pomyślała ze smutkiem. Bardzo chciałaby go zabrać z sobą. Ale nie mogła. Podniosła go więc tylko bez słowa, przytuliła do piersi i mocno ucałowała.

- Dobra robota, Todd! Czy ktoś cię widział? - Poczowała ulgę, gdy potrząsnął przecząco głową. Postawiła chłopca na ziemi, drżącymi palcami wyjęła list z koperty i rozłożyła go. Słowa były uprzejme i bezosobowe, mówiły o żalu, chociaż wcale nie było go w nich widać. Klaudia była po prostu jednym z

tysiąca inteligentnych, obiecujących kandydatów, których podanie odrzucono. Złożyła kartkę i wsunęła z powrotem do koperty.

- Okay, dziękuję ci, Todd. Słuchaj, pójdę teraz na spacer, dobrze? Ty idź do domu, pobawię się z tobą, jak wrócę, zgoda? - Ścisnęła go za rączkę, spojrzała prosto w małą zmartwioną buzię, próbując przekazać chłopcu trochę tej ufności, którą sama czuła w jego wieku. Ale malec zareagował szybciej; dostrzegł jej smutek, wykrzywił boleśnie usteczka, uniósł do oczu piąstkę, aby otrzeć łzy, a z buzi wydobyło się ciche łkanie. Smucił się, tak samo jak Klaudia. Dziewczyna uklękła obok chłopca i przytuliła go czule do siebie.

- Och, Toddy, Toddy, proszę cię, nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Pojadę do jakiejś dobrej szkoły, ale będę często przyjeżdżać, aby cię widywać. A potem wrócę... Masz przecież mamę, babcię i Hankę. W ogóle nie będziesz za mną tęsknić, zobaczysz.

Jednak malec ciągle szlochał, coraz gwałtowniej, wydając dziwaczne dźwięki, takie jak: „ty-ty-po jedziesz” i „3o bo-też”, co napełniło Klaudię bolesnym poczuciem winy i żalu. Gdyby mogła kogoś z sobą zabrać, z pewnością wybrałaby Todda.

Wzięła chłopca na kolana i usiadła na krawężniku, patrząc na falujące gorąco, które pozornie zniekształcało asfalt ulicy; zasłuchała się w grające głośno cykady i w cichy szum dalekiej kosiarki na jakimś trawniku. Powoli Todd się uspokoił i siedzieli tak przez chwilę, oboje wyczerpani z emocji.

- Słuchaj, Todd, posłuchaj mnie uważnie, dobrze? Lubię cię najbardziej ze wszystkich, jesteś jedyną osobą, która się naprawdę dla mnie liczy. Rozumiesz? - Popatrzyła na niego poważnie, a on skinął główką z lekko otwartymi ustami. - To dobrze. Niedługo muszę na jakiś czas wyjechać do college'u, w przeciwnym razie nigdy niczego nie osiągnę. Ale będę przyjeżdżać na każde wakacje, specjalnie dla ciebie. A potem, kiedy będziesz starszy, może będziesz mógł przyjechać do mnie i zostać ze mną w czasie twoich ferii. Rozumiesz? Nigdy nie przestaniemy się spotykać, ponieważ jesteś dla mnie zbyt ważny. - Uśmiechnęła się i poczuła ulgę, kiedy on również nieznacznie się uśmiechnął.

- Ale nie jestem twoją mamą. Żałuję bardzo, jednak niestety tak nie jest. A twoja mama chce, żebyś z nią tutaj został. Tak samo babcia. Obie też cię bardzo kochają. Więc musimy się tobą dzielić. Nie możemy mieć cię wszyscy przez cały czas. Zgadza się?

Tak przecież dzieje się w życiu, pomyślała Klaudia ponuro, każdy tylko odrobinę czerpie z życia, z jego obfitości szczęścia i miłości. Pocałowała Todda, a on przytulił się do niej, ciężko westchnąwszy.

- No dobrze. Ale obiecałaś, prawda? Ty i Bo. Wróćcie.

- Wrócimy, tak jak obiecaliśmy. - Cmoknęła jasne lśniące włoski Todda i poczuła, jak ciepłe jest ciało tego małego człowieczka, takiego miękkiego i ciepłego kłębuszka miłości, strachu i najrozmaitszych potrzeb. Wiedziała, że malec narzuca jej właśnie swoje warunki i że sprowadzi ją z powrotem do tego miejsca, z którego tak bardzo chciała się wyrwać. W milczeniu kołysała go w ramionach.

Bo spojrział na siedzącą przy stoliku dziewczynę i automatycznie się uśmiechnął, kiedy zatrzepotała na jego widok rzęsami. Jej ciepłe, skapanie w słońcu policzki z maleńkimi dołeczkami były tak ładne, że miał ochotę przesunąć po nich palcem, tylko po to, aby dotknąć tej brzoskwiniowej miękkiej skóry. Zobaczył, że dziewczyna szybko spojrzała na ojca, który pochylał głowę nad kartą dań, a potem zamachała trzymany koło uda zwiniętym skrawkiem papieru. Bo bez namysłu upuścił kelnerski bloczek, a potem schylił się, przyklęknął na kolano, wyjął jej z ręki karteczkę, po czym podniósł bloczek. Popatrzył jeszcze raz na dziewczynę, mrugnął do niej i ostentacyjnie odwrócił wzrok.

Kiedy spojrział w okno, dostrzegł Klaudię, która energicznym, mocnym krokiem przechodziła przez rynek. Pomyślał, że wygląda, jak gdyby przydarzyło jej się coś przykrego. Gdy zbliżała się do „Czerwonego Koguta”, zobaczył jej twarz - była skupiona i napięta z bólu. Zmarszczył brwi, odłożył serwetkę i bloczek, zostawił nadąsaną dziewczynę i jej rodzinę, która nie mogła się zdecydować, czy zamówić knickbocker glories czy banana splits, i przez tłum jedzących kolację gości przepchnął się do drzwi. Dotarł do nich w tym samym momencie, co Klaudia.

- Klaudio? Co się stało? Chodź tu na chwilę. Spójrz na mnie. - Odciągnął ją na bok, z dala od tłumu niecierpliwie czekających rodzin, i odgarnął jej włosy z twarzy. Dostrzegł, że jest blada i ma sine pręgi pod oczyma. W jej oczach znalazł tę samą co zwykle żelazną determinację, tylko że tym razem miała ona ukryć zmieszanie i smutek. Dziewczyna najwyraźniej z trudem nad sobą panowała i była o krok od wybuchu.

- Nic mi nie jest. Potrzebuję tylko twojej porady - odezwała się szybkim, spiętym głosem.

Bo oparł się pokusie, by wziąć ją w ramiona, przytulić i ukołysać jak dziecko, uspokoić ją i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ponieważ on jest przy niej. Wiedział, że jego przyjaciółka nie potrzebuje w tym momencie współczucia. Pragnęła pomocy.

- Taak? No, mów - szepnął. Za sobą usłyszał, jak kierownik wywołuje jego imię, ale skoncentrował się na Klaudii, nie dbając o pracę.

Klaudia, spojrzawszy na Bo, na jego pogodną, jakby pochłapaną setkami pomarańczowych piegów twarz i na jasnoniebieskie oczy, bezwiednie uzmysłowiła sobie, jak bardzo go lubi. Uśmiechnęła się z trudem, mocno zaciskając wargi.

- Nie przyjęli mnie do Harvardu.

- Taa, podejrzewałem, że tak się stanie. Gdzie jeszcze napisałaś?

- Columbia, Duke, Princeton - ale ten ostatni odpada z powodu braku stypendium. I Brown.

- Same knoty - mruknął, udając ironię. Twarz Klaudii skrzywiła się na ten dowcip w nieco pogodniejszym uśmiechu.

- Jak sądzisz, który powinnam wybrać?

- Hmm, wszystkie poza Princeton proponowały ci pełne stypendium? I pewnie nie chcesz brać pożyczki studenckiej... Po studiach całe dwa lata musiałabyś ją spłacać. Ograniczyłaby twoje ruchy.

- Taa, ale myślę, że sobie poradzę. Mogę pracować wieczorami, aby zarobić na dodatkowe kursy.

- Cóż, w takim razie sądzę, że powinnaś sprawdzić, która ze szkół prowadzi zajęcia z najbardziej cię interesujących przedmiotów. Oglądałaś już poradniki?

Bo nadal słyszał głos swojego kierownika, który stawał się coraz bardziej natarczywy i zdenerwowany. Spojrzał na niego przez ramię i pochwycił gniewne spojrzenie mężczyzny.

- Tak, oczywiście, że tak! Ale ciągle nie mogę się zdecydować, a muszę to zrobić jak najszybciej. Słuchaj, przepraszam, że cię odciągam od pracy. Mogę się z tobą zobaczyć, gdy skończysz?

- Bo? Co, do cholery? Nie sądzisz, że przesadzasz? Odpraw swoją panienkę i wracaj do stolika. Przy osiemnastce goście chcą złożyć zamówienie.

- Tak, proszę pana, już idę.

Bo spojrział na Klaudię z wahaniem. Poczł się bardzo zakłopotany z powodu niemiłej odzywki szefa. Jednak Klaudia sprawiała wrażenie całkowicie nieświadomej i zupełnie nie zareagowała na tę „panienkę”. Patrzyła tylko ze zniecierpliwieniem na Bo.

- Idź już. Kiedy kończysz? - spytała na koniec i Bo uśmiechnął się.

- O północy. Spotkajmy się tu, przy drzwiach. A teraz przepraszam cię, ale muszę wracać. - Odszedł, powiewając białym fartuchem i pasiastą czerwoną koszulą, której kolor gryzł się z jego rudą czupryną.

Klaudia odeszła, zastanawiając się, co doradziłby jej Mark. Ale nie miała czasu, by do niego napisać i czekać na odpowiedź. A zadzwonić nie mogła - nie znała numeru. Poza tym nie powiedziała by pewnie niczego innego niż Bo, a Bo rozumiał jej rozterkę lepiej niż ktokolwiek inny. Mark z pewnością nie potrafiłby udzielić jej lepszej rady.

Z tym mocnym postanowieniem poszła do domu przez długie, ciemne ulice, aby się spotkać ze swoją rodziną.

W domu powitała ją tylko matka. Todd leżał już w łóżeczku, a Peggy z Hankiem wyszli, jak poinformowała ją Lucille, do remizy na tańce.

- Tańce w remizie! Mój Boże, co wstąpiło w Peggy? Wszystkie te do-ce-does, fokstroty i walce! Ona przecież nienawidzi takich imprez - powiedziała bez zastanowienia Klaudia i zobaczyła, jak matka prostuje się na krześle i krzyżuje ramiona. Z telewizora w kącie monotonnie płynęły zapowiedzi o najnowszej wyprzedaży u Foleya.

- Twoja siostra po prostu próbuje być dobrą żoną. Hank je lubi. I nie wywyższaj się ciągle w ten sposób, Klaudio. Zachowujesz się, jak gdybyś była od nas lepsza, a przecież nie ma nic złego w balu w remizie.

Twarz matki była zmęczona, jej niebieskie oczy zgasłe, włosy jakiegoś matowe. A przecież, pomyślała Klaudia, nie tak dawno temu sama gardziła tańcami w remizie.

Dziewczyna westchnęła.

- Wiem, że nie, mamó. Sądziłam tylko, że Peggy na nie nie chodzi, to wszystko.

- Cóż, tym razem poszła. A ty się spóźniłaś, prawda? Jest już dobrze po zmroku. Gdzie byłaś?

- No cóż, musiałam się po prostu przejść. Todd powiedział mi, że Peggy otworzyła mój list z Harvardu. Nie miała prawa tego zrobić.

Przez chwilę Klaudia zobaczyła, jak twarz matki łagodnieje, a oczy zasnuwają się mgiełką współczucia. Ale to trwało zaledwie chwilę.

- Wiedziała, że zechcesz się od razu dowiedzieć i zamierzała pobiec do twojej pracy, aby przekazać ci dobre wieści. Tylko nikt nie miał serca tego zrobić, kiedy usłyszeliśmy, że są złe. Nie utrudniaj jak zwykle wszystkiego,

Klaudio, usiłujemy ci tylko pomóc. Oczywiście, gdybyś wybrała Duke, jak mówił pan Pringle...

- Mamo! Nie mam zamiaru iść do Duke, nie rozumiesz tego? I nie próbuję niczego utrudniać... - Zrobiła głęboki wdech. - Chciałabym jeszcze raz wyjść później, aby porozmawiać z Bo Haskillem, kiedy skończy pracę. Powiedział, że pomoże mi zdecydować, które kursy byłyby dla mnie najlepsze.

- Które kursy? Zdecyduj się najpierw na college, Klaudio, potem będziesz myśleć o kursach! - rzuciła cierpko matka. - Poza tym możesz zdecydować rano.

- Rano pracuję. To jest jedyna pora, w której możemy się spotkać.

- Tak ci powiedział? - Matka roześmiała się sucho. - Założę się, że tak. Czy oni wszyscy tak nie mówią? Mężczyźni! Zwłaszcza Bo Haskill! Nie ma w tym mieście dziewczyny, która nie słyszałaby słodkich słówek od tego chłopaka. A większość dostała nawet coś więcej. - Popatrzyła na Klaudię oczyma jak paciorki. - Nie wyjdiesz dziś w nocy, dziewczyno, i skończmy tę rozmowę. A teraz weź sobie kolację, dobrze? Zostawiłam ci na stole. I, Klaudio - przerwała na chwilę, wyciągnęła rękę, aby ucisnąć nadgarstek przechodzącej obok córki - naprawdę mi przykro, dziecko. Naprawdę. Wiem, jak to jest, gdy się straci swoje najcenniejsze marzenie, wierz mi. Wiem, jak bardzo to boli. - Matka uśmiechnęła się i przez chwilę wyglądała jak przed dziesięcioma laty. Klaudia była wstrząśnięta.

- Mówisz o tacie?

- O nim? Ależ nie! On nie był moim najcenniejszym marzeniem. W ogóle o nim nie marzyłam. Nie, widzisz... Chciałam kiedyś śpiewać. Przez wiele lat się uczyłam i miałam nawet dobry głos. Ale potem zachorowałam, miałam, zdaje się, jakieś guzki na strunach głosowych i powiedziano mi, że moja kariera piosenkarki jest skończona. Zamiast tego wyszłam za męża za twojego ojca. - Prychnęła, jak gdyby chciała zasugerować, jak bardzo absurdalne było to posunięcie. Klaudia ucisnęła dłoń matki.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Jak się wówczas czułaś?

- Och, to było tak wiele lat temu, wiele lat przed waszym urodzeniem... no a kiedy rozbijają się czyjeś marzenia, nie ma się ochoty mówić o tych kawałkach, prawda? Idź teraz spać, dziecko, porozmawiasz z Bo jutro. On zrozumie.

Klaudia nie odpowiedziała, tylko pochyliła się i szybko pocałowała matkę w policzek. Potem pospiesznie wyszła z pokoju, zanim matka mogła dostrzec jej łzy.

Klaudia nie lubiła wymykać się przez okno, lekceważąc polecenia matki, ale tym razem nie miała innego wyjścia. Sama poprosiła Bo o pomoc i nie mogła nie pójść na to spotkanie. Poza tym on przecież się nią nie interesował w taki sposób, o jakim myślała matka. To, co powiedziała córce, dziewczyna uznała po prostu za niemądre.

Niesamowicie było iść ulicami tak późno w nocy, kiedy nikt i nic się nie poruszało, z wyjątkiem z rzadka migającego osobliwego cienia jakiegoś przebiegającego kota albo skowyczącego i szamoczącego się na przymocowanym do ściany łańcuchu psa. Klaudia szła cicho i lekko, jak gdyby każdy wydawany przez nią odgłos mógł zagłuszyć jakiś inny dźwięk, który powinna usłyszeć i na który powinna zareagować.

Poczuła ulgę, gdy poprzez gałęzie drzew zaczęły się przed nią jarzyć światła Main Street. Przyspieszyła kroku, aż poczęła niemal biec, próbując jednocześnie opanować drżenie, które przebiegało jej po kręgosłupie. Biegła, jakby zagrażał jej atak otaczających ją cieni. Gdy doszła do „Czerwonego Koguta”, cała się trzęsła.

- Prr, stój, goni cię kto? - roześmiał się Bo, widząc gęsią skórę na rękach dziewczyny i szaleństwo w jej oczach. Z całych sił starała się opanować drżenie ciała.

- Zobaczyłaś jakieś straszidło?

Nagle jego uśmiech zgasł i Bo zmarszczył brwi, ponieważ przypomniał sobie, co słyszał o przykrej przygodzie Klaudii i Peggy sprzed paru miesięcy.

- Dobrze się czujesz?

- Taak, wszystko w porządku. Po prostu wystraszyłam się szumu drzew i wyobrażałam sobie różnego rodzaju koszmary czające się w mroku. Jestem kompletną kretynką, to wszystko.

Ale nadal cała dygotała i nie mogła się opanować. Bo otoczył ją ramieniem, pogłaskał po rękę i zaśmiał się znowu.

- Małe strachajło! Chodź, wejdźmy na kawę do „59”. - Poprowadził ją w kierunku całonocnego baru na Bascombe Street. Ciagle otaczał Klaudię ramieniem, a ona nie protestowała, uspokojona jego ciepłem i męską siłą. Nikt mnie teraz nie skrzywdzi, pomyślała, a potem uświadomiła sobie, jak bardzo była dziecinna, pozwalając, by tak straszliwie omamił ją strach. Uśmiechnęła się do niego przepraszająco.

- Ależ jestem głupia, co? Czasami nienawidzę ciemności. Mama zabroniła mi wyjść, więc musiałam się wymknąć i sądzę, że to właśnie mnie tak zdenerwowało. Bardzo ci dziękuję, że poczekałeś.

- Spóźniłaś się tylko odrobinę - odrzekł Bo, bagatelizując sprawę. Próbował równocześnie udawać, że nie robi na nim żadnego wrażenia objęcie jej ramieniem, ot, taki przyjacielski gest, usiłował też nie zwracać uwagi na to, że przejmując go lekki dreszcz, który przesuwają się od pleców aż do kręgosłupa i sprawia, że w całym ciele czuje mrowienie. Prawda była taka, że miał wielką ochotę nachylić się do Klaudii, wdychać zapach jej skóry i włosów i poznać smak jej ust, które były tak niewinne i zupełnie niczego nieświadome. Jednakże z tych ust wydobywały się kolejne prozaiczne stwierdzenia na temat college'ów i poradników, zaznaczonych przez dziewczynę kursów i wynotowanych nazwisk profesorów, westchnął więc tylko i pozwolił jej kontynuować.

- Chodź, usiadzemy sobie tam w kącie. W ten sposób nikt nie będzie mógł cię zobaczyć i donieść twojej matce. Jestem pewien, że nie chciałabyś, aby tu przyszła i zbesztła mnie za to, że demoralizuję jej córkę. - Roześmiał się, ale nie potrafił ukryć, że w tym, co mówi, jest jakaś część prawdy i Klaudia się tego domyśliła.

- Niełatwo mnie zdemoralizować, Bo. Nie jestem taka jak moja siostra - oznajmiła chłodno i Bo aż się wzdrygnął, zaskoczony.

- Nigdy tego nie twierdziłem - odparł po chwili. - Nigdy nawet tak nie pomyślałem. Nie musisz się przede mną bronić, Klaudio. Lubię cię taką, jaka jesteś: miła, skrupulatna i szcera. Wcale nie chcę cię zmieniać.

Wpatrywał się w przyjaciółkę intensywnie i lekko się uśmiechnął, gdy zobaczył, że jej twarz wreszcie się uspokaja, a całe ciało odrzęża.

- Po prostu chcę, żebyś o tym wiedział - odrzekła wstrzemięźliwie i Bo uśmiechnął się szerzej. Piegowata skóra lekko napięła się wokół jego mięsistych warg. Powoli, jakby wbrew sobie, Klaudia również się uśmiechnęła, poczuła dziwny dreszczyk emocji, który natychmiast rozpaczliwie starała się opanować.

- Jestem zasadniczo dobrym facetem mimo tego, co myślą o mnie niektóre matki - dodał Bo lekkim tonem.

Klaudia się na to roześmiała, po czym podniosła rękę, aby zamówić dwie kawy i dwie duńskie bułeczki.

- Jasne, że tak. Ostatni niewinny w mieście.

- Nie podrywam cię przecież, prawda?

- Nie, jeszcze nie. Chociaż niewiele dziewcząt w miasteczku może to o sobie powiedzieć, co? - żartowała, ale Bo wyczuł w jej tonie jakąś poważną nutkę.

- Cóż, lubię miło spędzać czas. I co z tego? - Bo uśmiechnął się, również żartobliwie. - Czy chcesz mnie wyrzucić ze swojego życia tylko dlatego, że od czasu do czasu nie mogę się powstrzymać, by nie unieszczęśliwić paru pańienek?

Pograżeni w rozmowie Bo i Klaudia nie zauważyli pary, która właśnie stanęła w drzwiach.

- Taki biedny, dobry facet o wielkim sercu.

- Dokładnie.

- A czy tacy dobrzy faceci odwożą małe strachajła do domu? Czy to nie jest zbyt wielka prośba? - zapytała.

Bo spojrział na nią zamyślony.

- To zależy.

- Od czego?

- Hmm. - Wziął w swoją dłoń jej rękę i podniósł do ust, całując ją dla żartu, w gruncie rzeczy ledwie muskając ją ustami. - Powiem ci później. - Zamrugał oczyma, kiedy przyniesiono kawę, a w tej samej chwili stojąca w progu para pospiesznie wycofała się w noc. Tlenione włosy Peggy mignęły na moment, a potem zniknęły w cieniu. Klaudia wyrwała rękę, jak gdyby wyczuła ich obecność.

- Zrób to. A teraz może porozmawiamy. Przyniosłam książki. Zaznaczyłam odpowiednie strony... - Przeszła szybko do rzeczy, niepewna i dziwnie podniecona spojrzeniem Bo, który dotychczas patrzył na nią zwykle inaczej: lekko i niefrasobliwie. Nagle uświadomiła sobie, że ten siedzący naprzeciw niej osobnik jest nie tylko bliskim przyjacielem, ale również mężczyzną, w którym jest coś drapieżnego. Co jakiś czas przyglądała mu się więc niepewnie, podczas gdy on zastanawiał się nad wyborem najlepszego dla niej college'u. Chyba Bo nie zamierza popsuć tego wszystkiego, co nas łączy, pomyślała ze strachem. Nie chciała stracić przyjaciela, otrzymując w zamian tylko krótki, niepotrzebny flircik, i miała nadzieję, że jej towarzysz to rozumie.

On tymczasem metodycznie wypisywał najlepsze jej zdaniem kursy i wykładowców, przeciwstawiając je innym kwestiom, takim na przykład jak koszty utrzymania, status uniwersytetu. Zapełnił wiele stron, zadając co jakiś czas pytania Klaudii, aby się zorientować, czego dziewczyna naprawdę pragnie i jaka jest jej reakcja na jego propozycje. Wypili wiele filiżanek kawy, zjedli mnóstwo duńskich bułeczek i minuty zmieniły się w godziny, aż Bo w końcu otoczył kółkiem jedną nazwę.

- Cóż, wygląda na to, że najwięcej plusów ma Columbia. To dobra szkoła, panuje w niej prawdziwie pierwszoligowa atmosfera uniwersytecka i znajdziesz tam wiele interesujących cię przedmiotów. Przy okazji chciałbym również zauważyć, że jest już głęboka noc. Dochodzi druga. - Uśmiechnął się, ale w jego oczach pojawiło się prawdziwe znużenie i Klaudia z poczuciem winy przypomniała sobie, że Bo codziennie pracuje w dwóch miejscach i kiedyś musi się przecież wyspać.

- Jasne, masz rację. Dziękuję, Bo, tego właśnie potrzebowałam. Przykro mi, że trwało to tak długo.

- Ważnych decyzji nie można podejmować na chybcika. Chodźmy, odwiozę cię do domu. - Wstał i uregulował rachunek, nie słuchając jej protestów, a potem wyprowadził ją w noc. Gdy ich oczy przyzwyczyły się do ciemności, powoli ruszyli starym pikapem Bo w kierunku Haskell Ridge. Milczeli, każde zatopiło się we własnych myślach.

Kiedy wjechali na podjazd przez domem Klaudii, wysiedli, po czym Bo nagle głęboko westchnął i wyciągnął dłoń, zatrzymując Klaudię.

- Poczekaj chwilkę. Słuchaj... - urwał, zastanawiając się, co jej powiedzieć. Normalnie w podobnych sytuacjach łatwe, słodkie słówka płynęły mu z ust bez wysiłku, ale tym razem czuł się, jak gdyby ktoś mu związał język.

- Chcesz mnie poinformować, ile mnie będzie kosztowało odwiezienie do domu? - Głos Klaudii stał się dziwnie ostrożny. Bo spojrzał na nią, a potem uśmiechnął się ujmująco, jak dzieciak usiłujący zbałamucić matkę, aby zapomniała, że znowu narobił kłopotów jej i sobie.

- Może. Czy to byłoby takie straszne?

- Widzisz, Bo, nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłeś. Czasami nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie... Jesteś naprawdę wspaniałym przyjacielem. I chciałabym zawsze móc się do ciebie zwrócić o pomoc i na tobie polegać. Rozumiesz? Nie chcę być dla ciebie tylko kolejną zabawką na jeden mamy miesiąc.

Bo wzruszył ramionami.

- Kto mówi, że miałabyś być tylko zabawką? - Przysunął się do niej bliżej, owiewając oddechem jej szyję. Przez chwilę się wahał, a ona patrzyła na niego w zamyśleniu. Kiedy położył rękę na jej ramieniu i obrócił dziewczynę lekko ku sobie, zobaczył, że jej usta otwierają się, jak gdyby Klaudia chciała zaprotestować przeciwko jego zachowaniu, więc nie zastanawiał się już więcej - pochylił się ku niej szybko i przycisnął usta do jej warg.

To był delikatny, czuły pocałunek, który miał uspokoić jej lęki, a jednocześnie wzniecić w niej pożądanie; wiedział, że Klaudia musi je poczuć, mimo że ze wszystkich sił się przed tym broniła. Toteż nie był zaskoczony, kiedy jej usta stały się uległe i podatne, rozsuwając się na krótki, elektryzujący moment. Głęboko wciągnął w płuca jej zapach.

W tym momencie Klaudia poczuła się naprawdę dziwnie. Pomyślała sobie, że w żaden sposób nie może sobie przypomnieć, dlaczego odsuwała go od siebie przez tak długi czas, dlaczego uważała, że Bo ją zawiedzie, gdy pozwoli mu być kimś więcej niż tylko przyjacielem. Kiedy odsunął jej głowę nieco do tyłu, głaszcząc ją lekko palcami po policzku, dostrzegł, że przymyka powieki, a jej zielone oczy robią się omdlałe. Uśmiechnął się do siebie.

- To miłe mieć kogoś, na kim można polegać, Klaudio, ale równie miło jest także czasem trochę się zabawić. Nie sądzisz?

- Zabawić się? - powiedziała to z zadumą, mając kompletny chaos w głowie.
- Może, nie wiem...

- Gdy to sobie przemyślisz, zawiadom mnie, dobrze? Uśmiechnął się lekko i pochylił nad nią, muskając jej policzek swoim, po czym odwrócił się i ruszył do półciężarówki, zanim dziewczyna zdołała w jakiś sposób zareagować. Był już w połowie podjazdu, gdy Klaudia stwierdziła, jak bardzo pragnie, aby pocałował ją jeszcze raz. Z zalem obserwowała go, jak odjeżdżał. Nie dostrzegła, że grzebał po kieszeniach dzinsów szukając karteczki, którą dała mu dziewczyna w restauracji, a potem skręcił w lewo, z powrotem do miasta, a nie w prawo, gdzie mieszkał. Czowała pustkę w głowie i z westchnieniem udała się do domu.

Gdy ostrożnie wspięła się do okna, dostrzegła, że w jej pokoju na wiklinowym krześle siedzi Peggy. Miała ponuro zaciśnięte usta i markotną twarz. Klaudia wyprostowała się i spojrzała na nią.

- Co się stało, Peg? Jest przecież druga nad ranem. Co tu robisz?

- Wiem, która jest godzina! A gdzie ty byłaś, święta panienczko? Hulałaś sobie ze swoim pięknym kawalerem? Och, nie sądz, że cię nie widzieliśmy, ty... ty mała panno cnotko, która zawsze zachowywała się jak idealna młoda dama, a chłopcom pozwalała się jedynie z daleka obserwować... Aż tu nagle patrzymy, a ona się całuje i przytula w miejscu publicznym, tak żeby cały świat ją widział. I to z kim? Z Bo Haskillem, ze ślicznym panem Słoneczko, który jest miły dla wszystkich dziewcząt, który uśmiecha się do nich, a potem odchodzi tak szybko, że nawet nie zdążysz mrugnąć okiem. I pomyśleć, jak bardzo mną pogardzałaś...

Oczy Peggy były przekrwione od zbyt dużej ilości wypitego przez dziewczynę piwa, pulsującego bólu głowy i irytacji. Czuła gniew, ponieważ musiała spędzić wieczór na tańcach w remizie z mężczyzną, który nieładnie pachniał, czekał i wiecznie ją obmacywał, nawet gdy nie miała na to ochoty, mężczyzną, za którego wyszła za mąż z rozpaczy, aby zmienić w jakiś sposób swe życie. Toteż wpadła w prawdziwą wściekłość, gdy zobaczyła Klaudię z Bo.

Przez ostatnie dwie godziny siedziała w ciemnościach, zastanawiając się nad tym, co powie swojej przemądrzałej, małej siostrzyczce, gotującej

się, by uciec stąd któregoś dnia, by wyjechać, by wynieść się do lepszego życia, nie myśląc o tych, których na zawsze zostawi za sobą. Cóż, pomyślała Peggy, przynajmniej mogę powiedzieć Klaudii coś, o czym będzie rozmyślała przez długie godziny swej wielkowiejskiej wolności.

- O czym ty mówisz, Peggy? Na miłość boską, jest późno, jestem zmęczona, a ty pijana. Dlaczego nie pójdziesz spać?

Klaudii udało się przecisnąć obok siostry, która wstała, chcąc zablokować jej drogę. Usiadła na łóżku i zaczęła zdejmować buty.

- Jesteś szalenie zaprzyjaźniona z kimś, z kim się nie powinnaś przyjaźnić, rozumiesz? O tym właśnie mówię. I wcale nie jestem pijana.

- Dlaczego nie powinnam się przyjaźnić z Bo? Co on ma wspólnego z tobą?
- I, gderliwie dodała w myślach Klaudia, bynajmniej nie jesteś odpowiednią osobą do prawienia kazań. Rozpięła dzinsy i zdjęła je.

- Och, jest jedna maleńka rzecz, która łączy mnie z Bo. Ściśle mówiąc maleńki ktoś, nie coś... A jak sądzisz, droga panno spryciaro, zawsze elegancka panienko... kto, w takim razie, do diabła, jest ojcem Todda? Jeszcze się nie domyśliłaś, maleńka, ty z tym twoim stopniem inteligencji sto czterdzieści, z twoimi predyspozycjami, zdanymi celująco egzaminami i Bóg wie czym tam jeszcze! Mówiłam ci, że zacznij chodzić do college'u, pamiętasz? Nie ma takich zbyt wielu wokół nas. Już jakiś czas temu miałam nadzieję, że odkryjesz prawdę. A może po prostu postanowiłaś wcale się nie przejmować tym, że dzielisz mężczyznę ze swą własną siostrą? Nie ma to, jak otrzymać kogoś już przetestowanego, co?

Zapadło długie, przykre milczenie. W ciszy słychać było jedynie ciężki oddech Peggy. Klaudia poczuła się tak, jak gdyby spadła z jakiejś ogromnej wysokości i uszło z niej całe powietrze. Zaparło jej dech w piersiach.

- Kłamiesz. Nigdy nie chodziłaś z Bo.

W uszach dziewczyny wibrował jakiś gwałtowny dźwięk, dudniący niczym wichura, porażający i przeraźliwy. Klaudia potrzęsnęła głową i zadrżała, ponieważ wiedziała, że jej siostra i Bo przez krotki czas rzeczywiście byli razem. - Kłamiesz.

- Taa? To może sama spytasz o to swego słodkiego małego chłopczyka imieniem Bo? Może opowie ci, jak było, chociaż z pewnością bardzo niechętnie, skoro przez cały czas nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Powiedział mi, że wybiera się do college'u i nie będzie miał już dla mnie czasu... To prawdziwy skarb, Liddie, naprawdę świetna partia. Kto wie, może wkrótce Todd będzie miał maleńkiego braciszka. Ale chyba nie potrzebujesz już moich rad, skoro wszystko sama wiesz świetnie. Baw się dobrze w Harvardzie, dlaczego nie? - Z tymi słowy Peggy weszła chwiejnym krokiem z pokoju, zostawiając siostrę patrzącą na nią bezmyślnie.

- Kłamiesz - powtórzyła cicho do siebie Klaudia. - Musisz kłamać. To nie może być prawda. - Wstała, podeszła do okna i uklękła przy nim, pozwalając, by chłodny, nocny wietrzyk owiał jej twarz zroszoną perełkami potu. - Kłamiesz - powtórzyła po raz trzeci, ale w jej głosie brakowało przekonania. Usiłowała zrozumieć, dlaczego z całych sił nie chce uwierzyć Peggy, dlaczego jest to dla niej tak bardzo ważne. Gdy to sobie uświadomiła, jęknęła cicho i spytała z rozpaczą: - Boże, dlaczego akurat mnie musiało to spotkać?

Rozdział trzynasty

Anglia Grudzień 1979 roku

- To śmieszne, Bill. Nie możesz mu na to pozwolić! -Joanna podniosła głos.
 - Wytłumacz mu to, dobrze? On zrobi, co mu każesz. - Znajdowali się w małym saloniku Alicji. Joanna na wpół przysiadła na krześle z poręczami, jej mąż Hamish stał opiekuńczo za nią, a Bill rozsiadł się w krześle z oparciami obok kominka. Tony, Plum i Hattie siedzieli obok siebie na sofie, natomiast Alicja zajmowała niską otomanę i wpatrywała się we własne stopy, obok których leżała Otter.

- Cóż, może to niezwykle... Ale nie widzę w tym nic złego, Joanno. Jeżeli Tony tak postanowił...

- Tak, tak właśnie postanowiłem - wtrącił stanowczym tonem Tony. Zobaczył, jak matka zaciska usta, z trudem powstrzymując wściekłość.

- Chłopiec w twoim wieku nie może jeszcze wiedzieć, czego chce. Masz zaledwie dwadzieścia dwa lata i nie masz o niczym pojęcia. Sądziłam, że twój ojciec poprze mnie w mojej opinii, ale skoro jest tylko jakimś nic nie znaczącym urzędnikiem państwowym, nie powinnam była oczekiwać, że wykaże się wystarczająco dużym rozumem...

- Tato nie jest jakimś nic nie znaczącym urzędnikiem, mammo! - krzyknęła ostro Plum. - Nie każdy musi się zajmować finansami, nie każdy musi grabić i iść po trupach innych ludzi, chcąc zbierać jak najwięcej...

- Cicho, Plum, to nie ma nic do rzeczy - upomniał córkę Bill, ale widząc oburzenie byłej żony przez chwilę poczuł prawdziwą przyjemność. - Nigdzie nie dojdziemy, obrzucając się zniewagami.

- Przestańcie się kłócić. Podjąłem już decyzję i nic tego nie zmieni.

Stało się, podpisałem już wszystkie papiery - powtórzył uparcie Tony, ale jego matka wcale go nie słuchała. W tym momencie poczuł, że Hattie chwytła jego rękę i, okazując bratu solidarność, szybko ją ściska.

- Co ludzie na to powiedzą? - zawodziła Joanna.

- Przestań wreszcie, mammo, przestań tak mówić! Nikt nie powie nic, póki sama nie zaczniesz jęczeć. To nic złego pracować w policji, zwłaszcza, że Tony będzie inspektorem, prawda, Tony? - spytała Plum.

- Tak. W Hongkongu zwykłymi policjantami, kapralami i sierżantami są Chińczycy. Nie ma sensu, aby tę pracę wykonywali biali, skoro przeważnie nie potrafią się porozumieć z chińską ludnością, a większość z nich nawet nie

mówi w dialekcie kantońskim. Nie martw się, mamó, nie będzie tak strasznie. Postaram się nie zhańbić rodziny.

Był rozgoryczony i Hattie znowu uścisnęła jego dłoń.

- Ależ to jest straszne! Naprawdę! Jak mogłeś mi coś takiego zrobić? Policjant w Hongkongu! Co pomyślą wszyscy moi przyjaciele? - lamentowała dalej Joanna.

- Powinnaś być zadowolona, że masz syna, który chce naprawdę pracować, a nie szuka przyjemności w narkotykach czy w alkoholu, jak połowa dzieciaków tych twoich wspaniałych przyjaciół - wybuchnęła Hattie. Od lat już nienawidziła mieszczańskich uprzedzeń matki. - Jesteś taka niesprawiedliwa, taka nielojalna! Nic się nie zmieniłaś. Zawsze chodzi ci tylko o siebie. Teraz też przejmujesz się tylko sobą. Pomyśl raz o Tonym, a nie o sobie. To jest jego życie, pozwól mu zdecydować o swoim losie.

- Właśnie - dodała ze śmiertelną powagą Alicja. Szybka replika zamarła jej córce na ustach.

- Bill? Sądzę, że się z nami zgadzasz, prawda? - dodała starsza pani. Spojrzała na twarz byłego zięcia i dostrzegła na niej spokój, spod którego wylaniało się zdecydowanie i kpiące rozbawienie. Posłał jej nieznaczny przyjazny uśmiezek.

- Tak, Alicjo, obawiam się, że tak. Decyzja należy tylko do Tony'ego. Odwrócił się i spojrzał na byłą żonę. Nadal była piękna, widział to, ale już nie robiła na nim wrażenia jej uroda. Na szczęście, pomyślał.

- Tony jest już dorosłym mężczyzną, Joanno, czy ci się to podoba, czy nie i fakt, że zebrał nas tutaj, aby nas poinformować o swojej decyzji, oznacza zupełnie coś innego, niż ci się zdaje. On nas w żadnym razie nie prosi o aprobatę czy zgodę na swój ryzykowny pomysł. Nazwałbym to raczej zwykłą uprzejmością, zwłaszcza, że poczynił już wcześniej pewne niezbędne kroki. I tak jest więc za późno, by płakać nad rozlanym mlekiem... Toteż, moja droga, będziesz się musiała po prostu nauczyć z tym żyć. Jestem pewien, że Hamish również w tym wypadku poprze Ingramów, prawda, Hamish? - Uśmiechnął się, tak jak uśmiecha się jeden mężczyzna do drugiego, i dostrzegł w oczach tamtego ponure rozbawienie. Miry facet, ten Hamish, pomyślał Bill, może w innych okolicznościach mógłby nawet zostać moim przyjacielem.

- Oczywiście. Tony to wspaniały młody człowiek i jeśli o mnie chodzi, podziwiam go szczerze za jego decyzję. Masz, chłopcze, moje pełne poparcie.

- Te słowa, rzecz jasna, sprawiły, że Joanna znowu zaczęła lamentować, tym razem skarżąc się na nieczułość męża, a Hamish - całkowicie świadom tego, co

robi - spierał się z nią, biorąc na siebie w ten sposób część jej gniewu, który dotąd skierowany był tylko ku Tony'emu.

- No więc kiedy wyjeżdżasz? - zapytał syna Bill.

- W lutym. Zaczynam od marca, ale pomyślałem, że pojedę wcześniej i ponownie się trochę rozejrzę. Może pojedzie ze mną również Johnnie Crichton-Stewart, przynajmniej na jakiś czas. Zastanawia się, czy nie podjąć pracy w jednym z dużych przedsiębiorstw handlowych. Czy Aidan jest nadal w Hongkongu? - spytał lekkim tonem, wiedząc znacznie więcej o prawdziwej pracy ojca niż matka, która może coś podejrzewała, ale nigdy nie miała pewności. Bill uśmiechnął się.

- Tak, tak, Aidan ciągle tam jest, chociaż ostatnio trochę zbyt dużo pije. Może zresztą uda ci się go z tego wyciągnąć.

- Spróbuję, ale on zawsze był w stanie wypić więcej alkoholu niż ryba wody.

- Tak też go nazywają niektórzy chłopaki. Ryba. To chyba nieźle do niego pasuje. - Bill wzruszył ramionami, nie chcąc się rozwodzić nad tym tematem. - A co z tobą, Plum? Czy zamierzasz nas w najbliższej przyszłości rozczarować pewnym straszliwym mezaliansem? Kiedy każesz swojemu chłopcu podjąć ostateczną decyzję i zwalczyć nieśmiałość? - Znowu mówił tym przymilnym, a jednocześnie trochę złośliwym tonem, który przeznaczony był specjalnie dla jego córek, i Plum, słysząc jego słowa, wcale się nie obrażała.

- Musisz poczekać, tato, a sam zobaczysz - odparła figlarnie, a Hattie, która spotykała się z dość miłym, choć nieco zbyt niezdecydowanym młodym mężczyzną, który czekał, by któregoś dnia objąć farmę po ojcu, spłonęła rumieńcem, widząc opanowanie i skromność Plum.

- W tym tempie wyjdę za mąż przed tobą. Nie możesz zmusić George'a, żeby się wreszcie zdecydował? - zapytała i od tej chwili dziewczyny zaczęły dyskutować o swoich prywatnych sprawach, jak wcześniej ich matka i jej nowy mąż. W tym czasie Bill, Alicja i Tony cicho wstali i jedno po drugim wymknęli się z pokoju do kuchni, gdzie, na szczęście, nie było słychać żadnych kłótni. Najgłośniejszym dźwiękiem było tam tykanie zegara.

- Będiesz ostrożny, prawda, Tony? - zapytała po chwili milczenia Alicja, patrząc na wnuka z niepokojem. - Słyszałam, że ta praca jest mimo wszystko dość niebezpieczna...

Tony poklepał babkę po ramieniu.

- Nie jest tam gorzej niż w wojsku, babciu, a wyszedłem z niego bez jednego zadrażnienia. Jestem pracowity, ale i ostrożny, nie martw się. I wcale nie porywam się z motyką na słońce.

To stek bzdur, pomyślał jego ojciec, obserwując chłopca. Obawiał się, że Tony naprawdę przecenia swoje możliwości.

Nowy Jork Rok 1979

W chwili gdy Klaudia rozpoczynała naukę na Uniwersytecie Columbia, Mark ukończył już drugi rok studiów i w ciągu tych dwóch lat sporo się nauczył i nabrał różnych upodobań. W listach coraz więcej pisał jej teraz o przyjęciach, barbecue, szalonych nocnych przejażdżkach nad brzegiem morza, o haszyszu i prochach, i oczywiście o dziewczynach. Klaudia starała się je czytać bez małomiasteczkowych uprzedzeń, ale coraz bardziej niepokoiła się o brata i nie bardzo wiedziała, co mu odpisywać.

Mieszkała w akademiku przy college'u na rogu Ósmej Alei i Ulicy Sto Szesnastej Zachodniej w Harlemie, wystarczająco blisko Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, by móc późno wieczorem wracać z niej do bezpiecznie zamykanych na noc drzwi jej akademika, a jednocześnie niezbyt daleko od campusa na Morningside Heights, gdzie spędzała jeszcze więcej czasu w bibliotece Low Memorial, pokonując prawdziwą piramidę schodów wiele razy każdego dnia.

Od dnia, w którym przyjechała na dworzec autobusowy Port Authority przy Ósmej Alei, Klaudia z całych sił starała się dostrzec jakikolwiek urok Nowego Jorku. Jednak było to trudne. Gdy wysiadła z autobusu, niemal natychmiast znalazła się na tłumnym i brudnym Time Square, gdzie w jednej chwili ogłuszył ją szaleńczy ruch uliczny, zadziwiły zgnębione twarze przechodniów i oszołomiły grupki cwaniaczków, którzy co chwila podbiegali, aby złapać dla niej taksówkę, mimo że wiele ich stało na postoju; potem rzucali obelżywe uwagi, ponieważ odmawiała im napiwku. Co dnia rozpaczliwie starała się dorównać tym wszystkim błyskotliwym, inteligentnym umysłom, przemądrzałym i pewnym siebie ludziom, na których natykała się od rana do nocy.

Wszystko to wstrząsnęło nią już pierwszego dnia po przyjeździe. Tak wiele oczu na nią patrzyło, szybko ją taksując, a potem, w następnej sekundzie, z równą uwagą wpatrywały się już w kogoś innego. A za tymi oczyma znajdowały się umysły o wiele od niej lepsze. Tylko Paul i może Bo umieli patrzeć tak szybko i wiedzieć przy tym tak wiele. Tu zachowywali się tak wszyscy, co Klaudii wydawało się szczególnie nieprzyjemne.

Mieszkała w małej klitce, dzieląc dwupokojowe mieszkanie z dziewczyną o nazwisku Joaney Hewitt, która ubierała się w czarne obcisłe spodnie z lycry i ogromne, ściągnięte paskiem nad smukłymi biodrami białe

koszule z delikatnych, lejących się tkanin. Miała długie tlenione włosy, które wyglądały jak postrzępiona różowoblond grzywa! a jej oczy zawsze były mocno podmalowane. Nie była specjalnie ładna, ale wady i mankamenty swej urody, takie jak zbyt duży nos czy za długi podbródek, maskowała niezwykłą pewnością siebie.

Kiedy w ogóle zadawała sobie trud, by podnieść na kogoś oczy, jarzyły się one jak reflektory. Klaudii widok ten wydał się niepokojący, ale przyczyna była zupełnie banalna: pod tymi oczyma, z wąskich szkarłatnych ust zawsze zwisał papieros. Joaney pochodziła z jakiejś zamożnej rodziny inteligenckiej, jak powiedziała Klaudii, ze Wschodniego Wybrzeża, i przechodziła właśnie okres buntu, co oznajmiła współlokatorce z szyderczym uśmiechem.

Klaudia, w swojej kraciastej spódniczce i rozpinanej bluzce koszulowej, z włosami schludnie splecionymi w warkocz, popatrzyła najpierw w dół, na siebie samą, potem na nową koleżankę i obie uśmiechnęły się do siebie z lekką niechęcią, ale i pewną dozą sympatii.

- Cóż, wprawdzie mamy z sobą niewiele wspólnego, a może nawet nic, ale mimo to proponuję ci przyjaźń. Ja będę cię rozluźniać, a ty zwrócisz mi uwagę, kiedy zacznę trochę przesadzać. Poza tym, wiesz, zawarłam z moimi rodzicami układ, że zamieszkałam w miasteczku uniwersyteckim przez pierwszy rok. Nie sądzę, aby zdawali sobie sprawę z tego, że Columbia nie jest prawdziwą szkołą z campusem, a jestem wprost pewna, że moja matka nie miała najmniejszego pojęcia, że znajduje się w Harlemie... - powiedziała Joaney, kapryśnie podnosząc brwi, i obie dziewczyny wybuchnęły śmiechem i zabrały się za upiększanie swoich pokoi. Między innymi pozawieszały na ścianach plakaty: Joaney wizerunki gwiazd muzyki pop, takich jak Mick Jagger i Sting, a Klaudia stylizowane czarnobiałe fotki starych parowozowych stacji kolejowych i mostów nadbudowanych nad posepnie wyglądającymi rzekami. Klaudia rozwiesiła również jaskrawe, prążkowane, wielkie na całą ścianę serape z Meksyku oraz poustawiała rośliny i książki.

Wydawało się, że Joaney ma nieograniczone fundusze; najwyraźniej uszczęśliwiała ją, gdy mogła się dzielić swym bogactwem z Klaudią. W kuchni ustawiła małą lodówkę pełną dietetycznej coli i jogurtu, napojów, które - jak pomyślała Klaudia - wyjaśniały, skąd biorą się jej smukłe biodra. Kupowała też niezliczone paczki papierosów, które wypalała w takim tempie, że wszystkie pomieszczenia ich małego mieszkania wiecznie zasnuwała bladoniebieska mgiełka, więc jej współlokatorka „w samoobronie” sama również zaczęła palić.

- Będziemy musiały zmienić twój styl ubierania się, może na przykład spalimy tę spódniczkę albo zmienimy ją w poduszkę, czy coś w tym rodzaju - oświadczyła Joaney pewnego dnia, kiedy po upływie pierwszych kilku tygodni zaczęła ją denerwować noszona przez Klaudię bez końca ta sama spódniczka. - Twoje džinsy są całkiem niezłe, choć może trochę zbyt porządne, jeśli rozumiesz, co mam na myśli... Ale ta spódniczka to okropność, musi zniknąć. Nie widzisz, dziewczyno, że wyglądasz w niej jak dwunastolatka? Na litość Boską!

- Słuchaj, Joaney, to jest tylko spódniczka, a ja nie mam dość pieniędzy, aby kupić sobie coś innego. No i mam tylko tę jedną parę przyzwoitych džinsów...

- Może wobec tego powinniśmy zobaczyć te nieprzyzwoite! - wybuchnęła entuzjazmem Joaney.

Klaudia posłała jej jednak tylko smutne spojrzenie i powiedziała ponuro:

- Zostawiłam je w domu na następny raz, kiedy będę malować sypialnię. To jest wszystko, co mam. A muszę jeszcze kupić jakieś czarne spodnie, przecież zaczynam pracę jako kelnerka, więc nie mogę...

- Przestań mówić „nie mogę”, na Boga. Zawsze słyszałam, że Teksas to stan, w którym wszyscy wszystko mogą. Masz, przymierz te. Hmm, w porządku, tylko że jestem od ciebie trochę wyższa, ale mogłybyśmy chyba... - głos Joaney załamał się, kiedy Klaudia wciągnęła, parę jej spodni z lycry i natychmiast utopiła się w nich jak małe słoniątko w zbyt obszernej skórze. - Nie, sędzę, że nie. Ha, jaki ty właściwie nosisz rozmiar, co, mała...? Trójkę! - Chwilę trwało milczenie, a Joaney najwyraźniej roztrząsała jakiś problem.

- Dobra, wiem już. W Village jest naprawdę wspaniałe miejsce, sklep, w którym sprzedają używane ciuchy na jednej z tych małych alejek odchodzących od Bleeker Street, a ponieważ nie znam nikogo, kto nosi trójkę, nikt się nie domyśli, gdzie kupujesz ubrania. Możesz kupić tam czarne spodnie i coś trochę modniejszego. I wtedy wreszcie będziemy mogły wyrzucić tę twoją spódniczkę! - zakończyła żarliwym tonem. -No to jedziemy! - Joaney ledwie poczekała, aż Klaudia włoży džinsy, po czym pchnęła ją w kierunku drzwi. Wsiadły na rowery i, podskakując po wariacku, zaczęły zjeżdżać po betonowych stopniach prowadzących na ulicę.

Pojechały do Greenwich Village na skróty, najpierw przecinając Ósmą Aleję do Douglas Circle, a potem przez park. Joaney pewnie siedziała na kosztownej wyścigówce, Klaudia na starym wymęczonym rowerze, który kupiła w JWlson tuż przed wyjazdem i pomalowała na czarno. Z przodu zainstalowała wiklinowy koszyk, a Hank naprawił i napompował jej opony. Teraz, gdy

pędziła w jesiennym słońcu w blasku płynnych bursztynów i błyskających brązów, wiatr szarpał jej włosy i poczuła się nagle niewiarygodnie i wspaniale swobodna. Wolna. W końcu zrozumiała, dlaczego ludzie tak lubią Nowy Jork. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

- Co robisz w sobotę? - krzyknęła do niej Joaney i Klaudia uśmiechnęła się szeroko. Policzki miała zarumienione od wysiłku, oczy iskrzyły się jak gwiazdy i Joaney zdumiała się, dostrzegając nieoczekiwanie urodę przyjaciółki.

- Pracuję na dwie zmiany u Succiego: od jedenastej do czwartej, a potem od szóstej do północy. Wspaniale, prawda? - Klaudia roześmiała się, a Joaney potrząsnęła głową.

- Do diabła, mała, zaharujesz się na śmierć. Możesz przecież wziąć stypendium fundowane, dlaczego tego nie robisz? Spłacisz po skończeniu nauki. - Ale Klaudia pamiętała radę Bo, ostatnią, jaką jej udzielił, zanim wyrzuciła go ze swego życia, toteż spojrzała z uwagą na Joaney i jej uśmiech przygasł.

- Łatwo ci tak mówić, ale ja nie mam ochoty spłacać go potem latami. Po szkole chcę zacząć życie bez długów, dziękuję bardzo. Poza tym zamierzam zostać w Nowym Jorku tylko przez parę lat. Potem chcę wrócić do Hongkongu. - I do Harry'ego, pomyślała, ożywiona nagle tą myślą. Bardzo dobrze wiedziała, że czeka ją jeszcze bardzo długa droga, zanim uda jej się osiągnąć ten ostateczny cel, który przed sobą postawiła. Dziewczęta śmignęły obok parkowego jeziora, przejechały ścieżką przy jego końcu i Klaudii dwukrotnie mignął widoczek ciemnej i zapewne zimnej, szarpanej wiatrem wody.

- Hongkong! No popatrz, a byłam pewna, że w twoim małym miasteczku czeka na ciebie jakiś wspaniały Południowiec... narzeczony, który marzy, że po szkole wrócisz w jego kochające ramiona, wychowasz mu dzieci i posiejesz trawę. A tu taka niespodzianka. Hongkong! No, no, no! - zażartowała z sympatią Joaney.

- Cóż, no nie! Nie ma kogoś takiego i nie tak wyobrażam sobie swoje życie, ponieważ nie interesują mnie ani dzieci, ani nasiona traw, ani nic innego, co się wiąże z mężczyznami z małego miasteczka. Zamierzam się uczyć i rozwijać. Znaczenie mają dla mnie jedynie przede mną zarobione pieniądze, moja kariera i moje własne decyzje, a nie jakiś facet i jego głupie marzenia! - Klaudia krzyczała to wszystko szybko i gwałtownie, a potem uniosła się na siodelku, naciskając pedały do oporu, aby jechać szybciej. Z wściekłością parła

do przodu, podczas gdy Joaney jechała jej śladem w zamyśleniu. Objeżdżając kolejny parkowy stawik i omijając biegaczy uprawiających popołudniowy jogging, zastanawiała się z niepokojem, kto wyrządził taką krzywdę Klaudii. Zapytywała siebie w myślach, kim był i jak się nazywał chłopak, przez którego jej przyjaciółka czuła taką nienawiść do wszystkich mężczyzn.

Sklepek znajdował się na samym końcu brukowanej alejki, która rozpostarła się nagle przed dziewczętami. Była mokra od deszczu i lśniła żółcią i bursztynem od neonu narożnej kafejki. W powietrzu unosił się zapach świeżo zmielonej w kawiarence kawy, współzawodnicząc w wilgotnym powietrzu z aromatem dopiero co upieczonego chleba, jaki dobywał się z otwartej po drugiej stronie ulicy piekarni. Hałaśliwi, jaskrawo ubrani przechodnie tej artystycznej dzielnicy stanowili niezwykły widok. Mieszkali tu aktorzy, malarze, punki i włóczędzy. Kompletny melanż. Klaudia potrząsnęła w zdumieniu głową, nigdy wcześniej nie zdawała sobie bowiem sprawy, że takie miejsce może w ogóle istnieć na Manhattanie.

Sam sklep był absolutnie cudowny. Niektóre rzeczy kosztowały tu zaledwie pięćdziesiąt centów, co otwierało perspektywy niemal nie ograniczonych zakupów. Dziewczyny przymierzały bluzki i spodnie, długie falujące spódnice, stare sukienki w stylu lat pięćdziesiątych, suknie balowe i całe mnóstwo butów. Ostatecznie Klaudia poprzestała na czarnych spodniach, potrzebnych jej do pracy, chociaż o wiele modniejszych niż mogła sobie wcześniej wymarzyć, parze bardzo wypłowiałych i lekko postrzępionych błękitnych dżinsów, które ściągnęła w pasie wielkim brązowym skórzanym paskiem, białej lnianej koszuli, szmaragdowozielonej jedwabnej bluzeczce oraz - na koniec pozwalając sobie na małe szaleństwo - na kupnie wyblakłej skórzanej kurtki, która wręcz domagała się, aby ją w wielu miejscach połatać.

- Same wspaniałości! Tylko poczekaj, aż wrócimy do domu i zrobimy ci nową fryzurę. Hej, nie pędź tak, zatrzymaj się na sekundkę, dobrze? - Joaney szybko włożyła do skózanego plecaczka uzbierane przez siebie skarby: zakiet z aksamitu i złotego brokatu oraz eleganckie czarne buty do kostki. - No, no, zobaczymy, jak zareaguje ten drań - dodała niemal szeptem.

Klaudia popatrzyła na nią, marszcząc brwi.

- Jaki drań?

- Mick Drań - powiedziała niejasno Joaney i wsiadła na rower. - Ścigamy się. Która pierwsza w domu. - Natychmiast ruszyła, a Klaudia musiała się wdrapać na siodełko własnego roweru i pedałowac jak szalona po mokrych ulicach. W jednej chwili otoczyły ją olśniewające kolory i niezwykle zapachy tej

Dzielnicy Kwiatów, potem mignęła jej niesamowicie kusząca witryna domu towarowego Macy's na Broadwayu, aż wreszcie wpadła w ruchliwą dzielnicę handlową. Przez cały czas ze wszystkich sił starała się dopędzić jadącą przed nią przyjaciółkę.

Był piątkowy wieczór i Klaudia musiała o osiemnastej być w restauracji „U Succiego” na Broadwayu. Przez ostatnie półtorej godziny aż do siedemnastej trzydzięci zabawiała się jednak przymierzaniem nowych strojów. Gdy za radą Joaney zrobiła makijaż i włożyła biżuterię, zupełnie ją zaskoczył ostateczny obraz siebie samej w lustrze na drzwiach szafy.

- Masz, włóż jeszcze te buty. No, nie wygłupiaj się, nosimy przecież ten sam rozmiar.

- Co oznacza, jak mi się zdaje, że moja stopa jest ogromna w porównaniu z moim nikłym wzrostem, prawda? - spytała Klaudia, patrząc najpierw na swoje długie kościste stopy, a potem na zgrabne, filigranowe nóżki Joaney.

- Zgadza się. Nikt nie jest absolutnym ideałem. Nie martw się, co znaczy te parę cali! Teraz rozpuść włosy. Daj spokój, nie zmieni cię to na pewno od razu w panienkę lekkich obyczajów. A może szkoda... Ach, sama zobacz! - I Klaudia dostrzegła to samo, co Joaney: jej normalnie nieciekawe brązowe włosy teraz wydawały się połyskiwać i migać odcieniami. Wyglądały jak piękne mahoniowe lub orzechowe drewno, lśniące mistrzowsko wykonanym i zadbanym ornamentem. Falowały jej na ramionach, a błyski złotych klipsów w uszach dziewczyny mieszały się z refleksami złota w jej włosach.

- Małe wiśniowe usteczka, trochę maskary na rzęsy, puder i zostaniesz, Klaudio, królową każdego balu! Powalisz na kolana wszystkich mężczyzn - oświadczyła Joanna z pełnym przekonaniem, patrząc na stojącą przed nią dziewczynę w wyblakłych džinsach, białej lnianej bluzce, niedbale zarzuconej (czy też raczej bardzo starannie i z rozmysłem ułożonej na ramionach przez samą Joaney) skórzanej kurtce i butach, które podwyższając nieco Klaudię, dodawały jej również prezencji. Cholera, pomyślała Joaney, muszę być ostrożna, bo ta panna odciągnie ode mnie wszystkich młodych mężczyzn... Co przypomniało jej o innej, związanej z tym kwestii...

- Więc jak mu na imię? - Joaney wsunęła prostą złotą bransoletę na nadgarstek Klaudii, wyczuwając, jak dziewczyna wzdraga się przed jej dotykiem.

- Komu? - Klaudia odwróciła się, zaczęła oglądać czarne spodnie i strzepywać z nich niemal niewidoczne pyłki.

- Temu, który sprawił, że nienawidzisz wszystkich mężczyzn - dodała Joaney irytująco cierpliwym głosem.

Klaudia roześmiała się.

- Boże, nie bądź taka melodramatyczna, Joaney. Nie czuję do mężczyzn nienawiści. Po prostu nie mam dla nich zbyt dużego szacunku. Po tym, co zrobił nam mój ojciec... zupełnie dobrze mogę się bez nich obyć.

- Podaj mi jego imię i natychmiast przestań pleść androny - zażartowała złośliwie przyjaciółka.

- Och, to naprawdę nie było nic wielkiego, tylko chłopak, którego uważałam za swojego przyjaciela, a który chciał ode mnie czegoś więcej niż ja od niego... Potem dowiedziałam się, że jest prawdziwym gnojkiem. To mnie bardzo zaskoczyło i stałam się trochę ostrożniejsza, ot i cała historia.

- Co próbował ci zrobić? Zgwałcić cię? - Joaney usiadła na łóżku i jednym pociągnięciem otworzyła puszkę dietetycznej coli, podsuwając ją ze spokojem Klaudii.

Klaudia zaczerwieniła się i potrząsnęła głową.

- Nie, nie, nic takiego. Raczej chodziło o jego związek z kimś innym. Hmm, po prostu usłyszałam na jego temat coś naprawdę wstydliwego.

- Usłyszałaś? Jesteś pewna, że ta informacja jest wiarygodna? To znaczy, nie jesteś przecież głupia, więc jeśli na początku myślałaś, że on jest porządnym facetem, a potem tylko coś od kogoś usłyszałaś... - Joaney położyła nacisk na ostatnie słowo i chwilę milczała - ...że ten człowiek jest gównem, coż, może zareagowałaś trochę zbyt pochopnie. Może to było zwykłe kłamstwo.

Klaudia wzruszyła ramionami.

- No... nie mogę być do końca pewna, ale nie zamierzam ryzykować. Cała sprawa jest dość trudna, w pewnym sensie zbyt osobista i za bardzo związana z moim domem. Może jest niewinny, ale muszę podejrzewać najgorsze. Poza tym to naprawdę niezły flirt, zmienia dziewczyny jak rękawiczki...

- Związana z domem? Ach, już chyba rozumiem. Masz siostrę, prawda? - Joaney zobaczyła, jak Klaudia oblewa się szkarłatnym rumieńcem. - I ona ci powiedziała, że jej coś zrobił? Czy o to chodzi?

Klaudia niechętnie skinęła głową.

- Siostry mogą być dokładnie tak samo wredne i nielojalne jak cała reszta świata. Może nawet jeszcze gorsze. Jaka jest twoja?

Klaudia milczała, zastanawiając się, czy rzeczywiście nie postąpiła zbyt pochopnie w stosunku do Bo, a jeśli tak było, och... nie mogła nawet znieść tej myśli. Wyobraziła sobie nagle, jak bardzo musiał się czuć zakłopotany i

zraniony w pierwszej chwili, gdy uświadomił sobie, że ona go tak po prostu od siebie odsunęła. Potem był z pewnością bardzo wściekły, naprawdę zły, zresztą odwracał głowę za każdym razem, gdy widział Klaudię. Przypomniała sobie jego spiętą twarz, gniewnie zaciśnięte usta... O Boże!

- Słuchaj - odezwała się Joaney, kiedy zaczęło jej ciążyć milczenie. - Dlaczego do niego nie napiszesz i go nie spytasz. Nie sądzisz, że ten chłopak ma przynajmniej prawo wiedzieć, o co się go posądza?

- Nie mogłabym o tym pisać. - Klaudia zwiesiła głowę i przez chwilę nią potrząsała. - Moja siostra powiedziała, że Bo jest ojcem jej dziecka. Nigdy nie ujawniła, kto nim jest, nikt tego nie wiedział... a potem, kiedy coś się między mną a Bo zaczynało, powiedziała mi to... Powiedziała, że nie chciał uznać dziecka, że się wykręcił i że ona mnie tylko ostrzega dla mojego własnego dobra... - Jakie to śmieszne, pomyślała Klaudia, przecież Peggy nigdy nie zrobiła dla nikogo nic dobrego. Ale Bo naprawdę mógł być ojcem Todda. Okres, gdy się spotykali, pasował.

- O, cholera! Rozumiem. Cóż! - Joaney przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć, myśląc: „Bo! Cóż za imię, jak z „Przeminęło z wiatrem”. - Nadal uważam, że on ma prawo odpowiedzieć na twoje oskarżenia. To znaczy, może zaprzeczyć... to może być prawda... ale co wtedy, jeśli to nie będzie prawda?

- Wtedy stracę najlepszego przyjaciela.

Kolejnego najlepszego przyjaciela, poprawiła się w myślach, przypominając sobie o Harrym i zastanawiając się, czy Mark zada sobie kiedyś trochę trudu i spróbuje go znaleźć, tak jak obiecał. Harry i Bo stanowili naprawdę niezły kontrast.

- Właściwie już go straciłam, więc chyba nie ma o czym mówić, prawda? - dodała Klaudia i wstała, pakując czarne spodnie do torby. Postanowiła się przebrać w restauracji, tak jak robili to wszyscy inni pracownicy. W końcu po co chodzić po ulicach w stroju kelnerki?

- A co z „Mickiem Draniem”? Kim jest? - zdawkowo spytała Klaudia.

Joaney stała i przeglądała się w lustrze.

- To mój żonaty facet, tylko tyle. Michael Glendinning, najwspanialszy Anglik, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Przyjechał tu w interesach na dwa tygodnie i jego droga żonka postanowiła zostać w Anglii z dziećmi, więc cóż chcesz? Ale to prawdziwy drań. Wiecznie mnie oszukuje, wystawia do wiatru przez cały czas, zapomina odwołać spotkanie... Wystarczy, że pstryknie

palcami, a ja lecę jak głupia... Cholerny drań. Tak go też nazywa mój brat Jason: Mick Drań. Nienawidzi go.

- Wcale mu się nie dziwię. Dlaczego to znosisz? - Klaudia była ciekawa, nie mogąc sobie wyobrazić, że ta krzykliwa, pewna siebie Joaney zachowuje się tak biernie w kontaktach z mężczyznami.

- Nie zawsze to znoszę. Kłócimy się, krzyczymy na siebie, zrywamy, robimy sobie przykre sceny, aż sąsiedzi zaczynają się skarżyć na hałas... Wtedy wychodzę, a potem on przysyła mi tuziny róż, ja mu wybaczam i wszystko zaczyna się od początku. Kocham go, więc co innego mogę zrobić? - Wzruszyła ramionami, ubrana w nowy aksamitny żakiecik, i stwierdziła z zadowoleniem, że fantastycznie pasuje do jej obcisłych czarnych legginsów. Klaudia również wpatrywała się w nią z podziwem.

- A kiedy pewnego dnia wróci do domu, co wtedy będzie z tobą?

- Zostanę tu, gdzie jestem... w całym tym gównie! - Joaney znowu wzruszyła ramionami, ale Klaudia dostrzegła na moment strach w jej oczach. Tak właśnie postępują z nami mężczyźni, przypomniawszy sobie.

- Nie rozumiem... myślałam, że przyjechałaś do Nowego Jorku tylko na studia?

- Mój Boże, nie! - Joaney obróciła się zdziwiona i spojrzała na Klaudię, po czym się roześmiała. - Moi rodzice mieszkają w zamożnej dzielnicy East Side od połowy lat siedemdziesiątych. To znaczy... w rzeczywistości pochodzimy z Bostonu, ale tato od dawna już tu pracuje, więc zawsze mieszkaliśmy przez większą część roku tutaj, a do Massachusetts jeździliśmy właściwie tylko na wakacje. - Uśmiechnęła się krzywo. - Nigdy nie mogłabym wyjechać z Nowego Jorku. Umarłabym z nudów.

Rozległo się pukanie do drzwi i obie dziewczyny aż podskoczyły.

- Hej, Joaney, jesteś tam? Otwórz, to ja, Jason. No, pospiesz się, musiałem się przekraść obok jakiegoś starego smoka na dole, a teraz wszędzie wokół dziewczuchy gapią się na mnie, jak na jaszczurkę... -Przerwał, kiedy drzwi się otworzyły i przed jego obliczem pojawiła się wpatrzona w niego nieznajoma dziewczyna.

- Och, zdaje się, że pomyliłem pokoje... - Był przeciętnego wzrostu, o szerokich ramionach, w nieskazitelnie skrojonym garniturze. Miał opaloną twarz i ciemne włosy. Robił wrażenie człowieka, który bardzo dobrze wie, czego pragnie w życiu. Większość kobiet uznałaby go za pociągającego, ale Klaudia ledwie się uśmiechnęła.

- Ależ nie, Joaney jest tutaj. Mam na imię Klaudia. Razem zajmujemy to mieszkanie.

- Rozumiem, chociaż mieszkanie to chyba zbyt wielkie słowo na określenie tej klitki. Witaj, Klaudio, jestem Jason Hewitt.

- Jaszczurka - dodała szybko Joaney, nachylając się obok Klaudii, aby pocałować Jasona w policzek, i wprowadziła go do środka.

- Przestań. To nie w porządku. Powiedziałem tylko, że one patrzyły na mnie tak, jak gdybym był jaszczurką... Boże - rozejrzył się po maleńkich pokoikach ze zdumieniem - jak możesz wytrzymać w tym akademiku, droga Joaney?

- Przechodzę proces inkubacji. To, jak już wiesz, jest Klaudia, która nie jest nawet tak czynna jak ja. Jest zahibernowana.

- Naprawdę? Cóż, to chyba wyjaśnia, dlaczego nie mogłem znaleźć waszego numeru telefonu, w związku z czym musiałem przeleźć całą tę drogę tutaj osobiście, więc może, droga siostró, dałabyś mi go, co? To chyba nie takie straszne? - Jego ton był wyraźnie sarkastyczny. Klaudia odwróciła wzrok.

- Numer jest na aparacie. Zapisz sobie. - Joaney spojrzała na zegarek, a potem na Klaudię. - Lepiej się pospiesz, kochanie, bo nakrzyczy na ciebie jakiś zwariowany stary szef. Pożegnaj się z Jasonem. - W jej głosie była jakaś drwiąca nutka, która nieco zakłopotowała Klaudię. Jason jednak najwyraźniej był do tego przyzwyczajony.

- Cześć, Jason - odparła posłusznie.

- Cześć, Klaudio. Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy. - Wyciągnął rękę, pochylając się ku dziewczynie i patrząc jej w oczy, po czym się uśmiechnął. Zmarszczył się w sympatycznym grymasie, ukazując równe, białe i lśniące zęby. Klaudia musiała jednak przyznać, że jest bardzo przystojny. Porwała pospiesznie swoją torbę, zarzuciła ją sobie na ramię i uściśniła krótko jego dłoń.

- Taak, ja również mam taką nadzieję. Bawcie się dobrze. Cześć! - Wyszła, odrzucając do tyłu włosy.

- No wiesz, droga Joaney, jak, do cholery, mogłaś mi to zrobić? - spytał po wyjściu Klaudii Jason, podnosząc lekko brwi.

- Spławiłam ją, ponieważ to jest zbyt miła dziewczyna i zbyt niewinna dla takich typków jak ty, Jasonie. Delikatny kwiatusek z Południa. Prędzej ją stąd gdzieś zabiorę, niż pozwolę ci skrzywdzić.

- Z tego, co powiedziałaś, wygląda, jakbym zgwałcił połowę Manhattanu - poskarżył się brat, siadając na łóżku Klaudii. Podniósł poduszkę dziewczyny i

wtulił nos w jej miękkość, czując lekki korzenny zapach. Wciągnął go głęboko w płuca.

- A nie zgwałciłeś... albo jeszcze gorzej? Uśmiechnął się.

- Jeszcze nie, ale pracuję nad tym. Skoro już jesteśmy przy tego typu kwestiach, nasza najdroższa mamusia organizuje maleńkie przyjęcie na moją cześć. Myślałem, że może chciałabyś przyjść? Przyprowadź Micka Drania, jeśli musisz, i oczywiście ten kwiatusek z Południa. W następny czwartek. - Podłożył sobie poduszkę z powrotem pod głowę.

- Wspaniale. Miło będzie się troszkę ukulturalnić, nawet na kilka godzin. To miejsce sprawia, że zaczynam doceniać łazienki obok sypialni i prywatne saloniki. Gdy mama to usłyszy, z pewnością będzie zadowolona. Uzna, że to był świetny pomysł, kazać mi mieszkać w czymś takim.

Joaney roześmiała się i Jason, obserwując ją, pomyślał: „Tak, tak, niedługo i nasza droga Joaney się przystosuje. Powoli wypala się w niej ten jej bunt”.

- To znaczy, że w przyszłym roku ponownie zamieszkaż w domu?

- Do diabła, nie! Wynajmę sobie mieszkanie, a raczej wspaniały duży apartament i przeprowadzę się do niego razem z południowym kwiatkiem. Zapłacę za nie z mojej polisy. Pamiętaj, że następnego lata kończę dwadzieścia jeden lat. - Uśmiechnęła się słodko.

- Ach, tak, moja ukochana siostrzyczka jak zawsze we wszystkim ostatnia. Jak ci się podobają te wszystkie dzieciaki wokół ciebie?

- Bystre. Wyobraź sobie, że muszę ostro pracować, aby im dorównać. I co zabawne, naprawdę mi się to podoba. Miło się w końcu dowiedzieć, że się posiada mózg i praktycznie go używać. Poza tym Klaudia może jest młoda, ale bardzo dojrzała jak na swoje lata. I bardzo rozgoryczona na mężczyzn, więc nie masz szans, mój mały podrywacz. - Joaney roześmiała się i zmierzwiła włosy brata, ku jego sporej irytacji.

- Doprawdy? Chcesz się założyć? - Jason wstał i przygładził włosy, uśmiechając się do siostry nieznacznie.

- Nie, nie chcę! - warknęła Joaney i jej rozbawienie zniknęło. - Zostaw ją w spokoju, dobrze? A mnie zabierz na kolację albo coś w tym rodzaju, zgoda? Albo może ja coś upichcę dla odmiany. - W jej głosie dało się słyszeć błagalną nutkę. Jason poczuł ponurą satysfakcję.

- Nie mogę, kochana. Właśnie czeka na mnie pewna bardzo głodna Petula. Wpadłem tylko, by się przywitać. Przekłują mi opony, jeśli zostanę dłużej. Chyba że zechcesz siedzieć nam cały wieczór na głowie?

Uśmiechnął się, wiedząc, że Joaney z nikim się nie umówiła i rozmyślnie pozostawiła sobie wolny wieczór w nadziei, że zadzwoni Glendinning. Głupia kretynka, pomyślał sobie. Cóż, może jeszcze kilka takich samotnych wieczorów w akademiku i zadziorna panna ponownie sobie przemyśli sprawę Micka Drania. Mogłaby się trochę bardziej cenić, pomyślał Jason, ponieważ nie podobało mu się, że jego siostra poniża się w taki sposób.

- Nie zapomnij o czwartku, Joaney. Cześć. - Pocałował ją w policzek i wypadł z mieszkania. Pokój po jego wyjściu wydał się Joaney jakiś tandetniejszy i uboższy. Kopnęła z wściekłością łóżko.

RS

Rozdział czternasty

Hongkong Rok 1979

Mark przekręcił się na bok w łóżku, owinał pościelą i sięgnął po popielniczkę. W pokoju było ciepło i przytulnie; nad głową młodego mężczyzny ledwie poruszał się wentylator, powodując nieznaczny wiaterek. Sylwia jeszcze się nie obudziła i Mark patrzył na nią przez chwilę, podziwiając jej nagie, rozłożone na materacu ciało: długie, gładkie plecy przechodziły w idealnie ukształtowane pośladki, wdzięczna linia nóg kończyła się ciemnym kółeczkiem stokrotek otaczających jedną z jej smukłych kostek. Ten tatuaż, tak bardzo wzruszający... Mark uśmiechnął się, przypominając sobie, jakie zamieszanie wywołała, wykonując rysunek.

Ciemne włosy opadały dokoła dziewczyny kaskadą, niczym jakieś węzowate wici drżące ponętnie przy złotej skórze. Oddech śpiącej Sylwii łagodnie rósł i opadał. Mark odstawił popielniczkę i obrócił się ku dziewczynie. Najpierw przejechał palcami od karku w dół po kręgosłupie, potem zaczął całować delikatną krzywiznę piersi, w miejscu, gdzie spłaszczała się pod uniesioną pachą. Wreszcie obrócił Sylwię, wziął ją w ramiona, wtulił się w chmurę ciemnych włosów i wciągnął w płuca silny zapach przyjaciółki, która wymamrotała coś rozespanym głosem.

- Jest już późno, Sylwio - wyszeptał, a ona odsunęła się od niego i wsunęła z powrotem pod prześcieradło. Roześmiał się. - Nie, nie, naprawdę jest późno. Jest prawie pierwsza i twoi rodzice będą się zastanawiać, gdzie jesteś. Nie róbmy zamieszania, dobrze?

Dziewczyna poruszyła powiekami, walcząc ze snem, po czym otworzyła piękne jasnozielone oczy i spojrzała na niego.

- Nie możemy powiedzieć, że samochód się zepsuł? - spytała żałośnie.

- Nie, po raz drugi nie. Byli wystarczająco podejrzliwi za pierwszym razem. Chodź, kochanie, naprawdę musisz wstać. - Pociągnął ją na bok łóżka, zmusił, by usiadła, a potem lekko podpierając bezwładne ciało, zaczął ją ubierać. Niezdarnie wciągnął na nią bluzkę i spódniczkę, podczas gdy Sylwia biernie tkwiła w jego ramionach. Wepchnął jej bieliznę w kieszeń kurtki i pozwolił na chwilę przysiąść na łóżku, podczas gdy sam się szybko ubierał. Potem wprowadził rozespaną i protestującą dziewczynę do samochodu.

Kiedy wrócił do domu po odwiezieniu Sylwii, po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest zaniepokojony. Noc była cicha i bezchmurna, bez mgiełki, która zwykle otaczała o tej godzinie dzielnicę Mid-Levels. Mark wyraźnie dostrzegł

parę reflektorów, które - raz zapalane, raz gaszone - należały do samochodu towarzyszącego mu najwyraźniej przez całą Magazine Gap Road. Wjechał na ciemne podwórze przed swoim blokiem i spojrzał za siebie. Samochód powoli jechał w jego kierunku. Na sekundę niby się zawahał, jak gdyby kierowca dostrzegł, że Mark go obserwuje, potem ruszył pewnie do przodu i stanął za jego własnym autem.

Mark poczuł się trochę nieswojo, ale daleko mu było do strachu. Raczej był nieco zakłopotany i ciekawiło go, kto i dlaczego śledzi go w sposób tak jawny. Z jakiego powodu? Rabunek? Niewiele miał cennych rzeczy, na które ktoś mógłby się pokusić. Czekał więc, aż samochód zupełnie się zatrzyma.

Z auta wysiadło dwóch mężczyzn. Najpierw pojawił się kierowca: rosły i dobrze zbudowany, o przyjemnej, otwartej twarzy, która przez moment wydała się Markowi dziwnie znajoma, przywołując zaledwie niejasne wspomnienie, które przeleciało mu przez głowę i natychmiast znikło w odmętach przeszłości. Wygląd drugiego mężczyzny niezwykle kontrastował z pierwszym. Wzrostu przeciętnego Chińczyka, był jednak przysadzisty i muskularny, miał wielkie stopy i długie, prawie łukowate ręce. Jego twarz była niezwykle szczupła i śniada, typowa dla chińskich wieśniaków, a w oczach, które wpatrywały się w Marka, widać było wielką inteligencję i spryt. Niepokój Marka wzrósł.

- O co chodzi? Czego chcecie? - zapytał, zanim któryś z nich zdołał się odezwać. Jego kantoński był szybki i napastliwy. Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie, a niższy z nich skinął na wyższego.

- A więc jednak! Miałeś rację, muszę ci to przyznać. - Yee Fong Lo przemówił do Harry'ego w dialekcie hakka. - Idealny akcent. Nie mógłbym go odróżnić od wykształconego Chińczyka. Nie rozpoznał cię?

Spojrzał na Marka, jego twarz zmarszczyła się, wyrażając w ten sposób zainteresowanie. Harry wzruszył ramionami i odpowiedział w tym samym dialekcie:

- Sam widzisz. Zresztą, to nie takie łatwe, nie sądzisz? Minęły całe lata i przez ten czas nieźle urosłem. - Głośno przełknął ślinę, kiedy Yee rzucił mu twarde, gniewne spojrzenie.

Mark nie znał dialektu hakka, ale był świadom, że mówią o nim. Jego irytacja i strach rosły. To nie było jakieś przypadkowe spotkanie. Ci mężczyźni skądś go znali; czuł to. Pozostało mu więc tylko powtórzyć swoje pytania:

- Czego chcecie? Kim jesteście i dlaczego mnie śledziliście? - Obserwował Harry'ego, próbując uświadomić sobie, gdzie widział jego twarz. Ten chłopak

był bardzo do kogoś podobny, do kogoś z dalekiej przeszłości... ale Mark nie mógł sobie przypomnieć, z kim ta ładna twarz mu się kojarzy.

- Przyszliśmy ci zaproponować interes - zwrócił się w końcu do Marka Yee. Był przygarbiony i brzydki, ale była od niego jakaś utajona siła. Mark potrząsnął głową, poczuł strach i nie chciał słyszeć niczego więcej.

- Nie robię interesów o drugiej nad ranem - warknął. - I nigdy z ludźmi, których nie znam. - Odwrócił się i chciał odejść, ale Harry tak szybko zagroził mu drogę, że Mark nie miał wyboru i musiał się zatrzymać. - Hej, o co naprawdę wam chodzi? - wybuchnął. Cienkie strużki potu, które wcześniej zalały mu twarz, teraz, gdy stał pod latarnią, zalśniły i zamigotały.

- Masz kosztowne przyzwyczajenia, co, panie Babcock? - spytał Yee po długiej chwili, wskazując sportowy samochód na podjeździe. - Tylko niezupełnie cię na nie stać, zgadza się? Mężczyzna, który chce utrzymać piękną młodą damę z dobrej rodziny, który pragnie korzystać z tego, co Hongkong może mu najlepszego ofiarować, który ma wielkie wydatki, mimo że dopiero studiuje na uniwersytecie, mężczyzna, który, hmm... stale potrzebuje pewnych rozrywek, nieco uzależniających... - Wzruszył ramionami, oceniając w ten sposób kłopotliwe położenie Marka. - My natomiast posiadamy sporo pieniędzy i chętnie płacimy tym, którzy świadczą dla nas małe przysługi. Którzy wykonują dla nas pewne zadania, ponieważ nie możemy ich wykonać sami. Może poszlibyśmy na górę i porozmawiali o szczegółach? - Uśmiechnął się, okazując tylko nic nie znaczącą uprzejmość.

- A jeśli odmówię? - Mark poczuł się nagle chory z niepewności, widząc jak ta uśmiechnięta twarz w jednej chwili zmienia się w okrutną i bezwzględną maskę. Ciemne oczy Yee stały się lodowate.

- Doprawdy, panie Babcock, nie może pan sobie pozwolić na to, aby nam odmówić. Widzisz, drogi chłopcze, wiemy o tobie zbyt wiele. Wiemy, co jest dla ciebie ważne. Wiemy, jakie masz potrzeby i możemy sprawić, aby ci ich odmówiono. W końcu to my płacimy ulicznym handlarzom. - Yee posłał Markowi kolejny uśmiezek, potem spojrzał na Harry'ego, który patrzył obojętnie. Na ten widok uśmiech Yee jeszcze bardziej się rozszerzył. Mężczyzna najwyraźniej wiedział coś, o czym nie miał pojęcia Mark. - Szkoda też byłoby, gdyby twojej drogiej Sylwii stała się jakaś krzywda, prawda? Wyobrażasz sobie tę piękną twarzyczkę z bliznami albo pokiereszowane wdzięczne ciało... Cóż, jestem pewien, że rozumiesz, co mogłoby się zdarzyć. Hongkong to przecież takie niebezpieczne miejsce. - Yee nagle przerwał, spojrzał na Marka, a gdy ponownie się odezwał, jego ton stał się kpiarski, a

uśmiech znowu rozciągnął wargi Chińczyka: - Daj spokój, człowieku, nie patrz na mnie takim przerażonym wzrokiem. Rozmawiamy tylko o konsekwencjach naprawdę mało prawdopodobnych. Jeśli będziesz rozsądny, nic ci się nie przydarzy. A możesz odnieść naprawdę wielkie korzyści z naszej przyjaźni... Chodź, pójdziemy na górę i przedyskutujemy tę sprawę jak dżentelmeni. Nie chodzi o nic trudnego, obiecuję ci. - Yee wskazał na budynek z apartamentami i Mark, teraz już jawnie wściekły i przerażony słowami mężczyzny, rozejrzał się wokół siebie, szukając jakiegoś oparcia. Harry wprawdzie myślał raczej tylko o sobie i w żaden sposób nie zamierzał mu pomóc, jednak również i jego przeraziła perspektywa przemocy, postanowił więc uspokoić Yee.

- Widzisz, jak łatwo go przekonać, jak posłuszny się staje po pewnym czasie? - Harry mruknął do Yee w dialekcie hakka. - Nie ma potrzeby krzywdzić jego ani dziewczyny. Zrobi, co mu się powie i z pewnością uzna, że zadanie jest proste i korzystne dla niego, zwłaszcza gdy coraz bardziej będzie potrzebował...

- A tobie mam pozwolić teraz odejść, mimo że tak wiele o mnie wiesz? O to ci chodzi, Harry? - Yee popatrzył na niego spod ciężkich jak skorupy żółwiowe powiek. - Jak mogę ci zaufać? Jak mogę to zrobić?

- Nie ufasz mi na tyle, abym z tobą pracował, Yee. Więc pozwól mi odejść raz na zawsze - powtórzył uparcie Harry. - Dałem ci kogoś na moje miejsce i mam innych, którzy odegrają moją rolę w triadzie. Nigdy nie zdradziłbym braci. - Obliznął wargi, a potem rozgniewał się na siebie za to, że zdradził przed Yee swoje zdenerwowanie.

- Ach, ależ ciebie nikt nie może zastąpić, Harry. - Yee uśmiechnął się i na jego twarzy pojawiły się setki małych zmarszczek. Wyglądały nieprzyjemnie i dziwnie u kogoś tak młodego. Harry wzdrygnął się.

- Jeszcze zobaczysz - wymamrotał, ale Yee już się odwrócił i odszedł.

Nowy Jork

- Nie bądź śmieszna, Klaudio. Znajdziemy dla ciebie jakiś odpowiedni strój i będziesz się świetnie bawiła. Nie wiem, dlaczego tak się denerwujesz. Podobno zawsze chciałaś wieść takie życie! - mówiła rozdrażniona Joaney, ponieważ Klaudia właśnie po raz trzeci oznajmiła jej, że nie pójdzie na przyjęcie Jasona. Powtórzyła to z uporem i bez jakiegokolwiek wyjaśnienia, z zaciętymi ustami i nosem zatopionym w książce. Joaney czekała na odpowiedź, ale jej nie otrzymała.

- Masz jakiś mroczny sekret, który sprawia, że nie możesz chodzić na eleganckie przyjęcia? Dlaczego jesteś tak pewna, że nie będzie ci się tam

podobało, skoro nigdy przedtem nie spróbowałaś? Boże, daj mi cierpliwość! - krzyknęła na koniec Joaney, nieświadomie powtarzając ulubione powiedzenie własnej matki.

Klaudia podniosła oczy.

- Ośmieszyłabym się tylko. Nie wiem, jak się powinno rozmawiać z ludźmi, nie wiem, jak się zachować w towarzystwie, mam wiejski, południowy akcent i nie mam co na siebie włożyć. Czy to nie wystarczy? - Pogrzyżyła się z powrotem w książce, żałując, że nie może pójść, żałując, że nie potrafi być elegancka, wykształcona i pewna siebie, jak zawsze marzyła. Ale niestety nie posiadała tych cech.

- Mój ty Boże... Słuchaj, spójrz na to inaczej. Potrafisz rozmawiać ze mną, prawda? A czymże się różnią inni ludzie, są dokładnie tacy sami jak ja, mówią o takich samych bzdurach, plotkują tak samo jak my. Zapewniam cię, oni niczym się od nas nie różnią. A jeśli chodzi o zachowanie na przyjęciu, to proste. Najpierw przywitasz się z gospodarzem i gospodynią, a potem staniesz u mojego boku, będziesz przyjmować drinki podawane przez kelnera, który kręci się po sali ze srebrną tacą pełną kieliszków, prawdopodobnie z szampanem, poznasz moją mamę i trochę z nią pogawędzisz.

Klaudia nie wydawała się przekonana jej słowami.

- Czasami - dodała po chwili zamyślenia Joaney - możesz podejść do bufetu i wziąć małą kanapkę albo zakąskę na wykałaczce. Zakąskę zjadasz, a wykałaczkę odkładasz do popielniczki. No i uśmiechasz się do wszystkich, którzy na ciebie spojrzą. Tylko tyle. Będę tuż obok ciebie przez cały czas i jeśli nie będziesz umiała wymyślić jakiejś dowcipnej riposty, odezwę się za ciebie. I zapewniam cię, że wszystkim będzie się bardzo podobał twój akcent. Naprawdę! Brzmi niezwykle miło, słodko i bardzo seksownie. No, w czym jeszcze problem?

- Ubranie - rzuciła ponuro Klaudia.

- Village. - Joaney przekrzywiła głowę. - A może jesteś zbyt dużym tchórzem, żeby choć spróbować?

- Nie mogę sobie pozwolić na nic nowego po naszym ostatnim szaleństwie.

- Wobec tego, ja stawiam. To jest moje przyjęcie i ja cię tam ciągnę, więc zapłacę za suknię czy cokolwiek wybierzesz. I nie spieraj się więcej ze mną, Klaudio. Pójdiesz tam ze mną, choćby miała to być ostatnia rzecz, do której cię zmuszę. Jeśli chcesz pracować w branży wydawniczej, musisz się nauczyć obcować z tego rodzaju ludźmi, musisz się dobrze czuć w eleganckim

towarzystwie... Zresztą, nie mam zamiaru mieszkać z kłótliwym, rozgoryczonym odludkiem. Rozumiesz?

Wokół ust Joaney pojawiła się zmarszczka smutku i Klaudia, znając ten grymas, poddała się. Dobrze więc, pomyślała, zrobię z siebie idiotkę. To w końcu tylko jeden wieczór i nie warto z jego powodu tracić towarzystwa i przyjaźni Joaney.

- Rozumiem - odpowiedziała i Joaney uśmiechnęła się.

- Będzie Michael. - To była niedbale rzucona uwaga, ale Klaudia, gdy ją usłyszała, otworzyła szeroko oczy. W ostatnim tygodniu nie rozmawiały o nieuchwytnym żonatym przyjacielu Joaney, ale kilka razy, późno w nocy, zadzwonił telefon. Współlokatorka Klaudii przez chwilę rozmawiała, po czym wstawiała z łóżka, ubierała się i znikwała za drzwiami. A Klaudia obserwowała ją przez na wpół przymknięte powieki i ciągle myślała o tym, jak bardzo mężczyźni niszczą życie kobietom i że ona wcale żadnego z nich nie potrzebuje.

- Czy twoi rodzice to pochwalają?

- Niecałkowicie, ale i tak nie wiedzą wszystkiego. Myślą, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, albo raczej udają, że tak myślą, ponieważ nie chcą stanąć twarzą w twarz z prawdą. Będą dla niego niezwykle grzeczni.

- A Jason?

- Cóż, sam go zaprosił. Dlaczego miałyby być dla niego nieuprzejmy?

- Ponieważ mówiłaś, że go nienawidzi, oto dlaczego. Nie bądź naiwna, Joaney. Po co, do diabła, zapraszał twojego faceta, skoro go nienawidzi?

Joaney przez moment milczała, rozmyślając nad słowami Klaudii.

- Nie wiem - zwierzyła się w końcu. - Sama się nad tym zastanawiałam. Teraz jest już za późno. Michael zawsze bardzo chciał pójść na duże przyjęcie do kogoś z mojej rodziny, nie mogłam mu więc nie przekazać zaproszenia brata, prawda?

- Cóż, pewnie rzeczywiście nie mogłaś inaczej postąpić. Och, może zresztą twój brat po prostu zaprosił Michaela, aby ci sprawić przyjemność i zamierza go ignorować przez cały wieczór. To jest prawdopodobne, nie sądzisz?

- Jason nigdy nie zrobił nic, aby sprawić mi przyjemność... W całym moim życiu! - odparła drętwo Joaney. - Cholera, teraz będę się martwić przez cały czas, że Jason zrobi coś niewybaczalnego.

- Na przykład co?

- Nie wiem. Na tym właśnie polega problem z Jasonem. Nigdy nie wiadomo, jak się zachowa.

Klaudia była już gotowa o godzinie osiemnastej trzydzieści, Joaney natomiast ciągle jeszcze się przekopywała przez sterty ubrań, przymierzając rozmaite żakiety i naszyjniki oraz zmieniając fryzurę - włosy do góry, włosy w dół. Klaudia siedziała na łóżku i paliła papierosa za papierosem, obserwując ją. We czwartki nie miała zwykle wolnych wieczorów u Succiego, ale zamieniła się z koleżanką i teraz w swoich nowych rzeczach czekała, aż Joaney się ubierze. Zdążyła już wychylić wielką szklanicę wina dla kurażu i wypaliła ze zdenerwowania stopy papierosów. Dlaczego się zgodziła pójść? I po co?

Wstała nerwowo i po raz kolejny przejrzała się w dużym lustrze, podziwiając gładkie fałdki kremowej wełny, tak cienkiej, że wyglądała niemal jak jedwab. Suknia pięknie układała się na jej piersiach i podkreślała talię, spięta szerokim skórzanym paskiem. Kiedy Klaudia się poruszała, na sekundę ukazywał się kształt długich, ładnych nóg. Była jeszcze ciągle opalona na złoty kolor po minionym lecie, toteż jasna suknia w żywym kolorze pięknie kontrastowała z jej cerą. Reszty dopełniał ciężki pozłacany łańcuch na szyi i podobnie pozłacane kolczyki ze sztucznymi perełkami, które połyskiwały pod rozpuszczonymi włosami. Klaudia wiedziała, że wygląda wspaniale, ale nadal miała wątpliwości, czy będzie się umiała odpowiednio zachować.

- Cholera, chciałam włożyć to, w czym mi naprawdę ładnie, ale nic do siebie nie pasuje. Sądysz, że dobrze wyglądam w tym? - Joaney okręciła się wokół własnej osi, ubrana w aksamitno-brokatowy żakiecik i czarne spodnie z lycry, które obie tak bardzo podziwiały zaledwie kilka dni wcześniej. Wygląda nieskończenie bardziej seksy i elegancko niż ja, pomyślała z westchnieniem Klaudia, ale nie powiedziała tego głośno. Miała zresztą wrażenie, że Joaney i tak wie, jak dobrze się prezentuje.

- Sądzę, że wyglądasz wspaniale, ale powinnaś chyba ułożyć włosy do góry, zakręcone na końcach, tak jak miałaś przedtem. I te długie zwisające kolczyki. Taak, właśnie tak. Teraz jest idealnie. - Uśmiechnęły się do siebie i każda wzięła po jeszcze jednym wielkim łyku ze swoich kieliszków.

- Dobra, więc chodźmy.

Gdy przyjechały, przyjęcie trwało już w najlepsze. Klaudia otworzyła szeroko usta ze zdumienia, ujrzawszy elegancką willę przy Wschodniej Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy: cztery piętra pogrążone w aksamitnych ciemnościach, światło wylewające się z otwartych na parterze okien, gdzie na tle ciemnobrązowej cegły błyszcząły kosztowne donice z połyskującym zielenią bluszczem i kwiatami o białych płatkach. Do uszu dziewcząt dotarły ciche nuty Czterech pór roku Vivaldiego, usiłujące się przedrzeć przez zgiełk

rozmów. Obie przez chwilę stały nieruchomo przed nieskazitelnie połyskującymi, pomalowanymi na ciemną zieleń drzwiami z ciężką mosiężną kołatką. Dziewczęta oddychały głęboko i uśmiechały się do siebie nerwowo.

Klaudia rozejrzała się wokół siebie, podziwiając okazałe piękno tej dzielnicy bogaczy oraz jej mieszkańców i gości: kosztownie i wytwornie ubranych ludzi. Walcząc z chęcią ucieczki, przypominała sobie gwałtownie, że przecież zawsze chciała tak wyglądać i zawsze marzyła, by tak żyć. Pragnęła chodzić na eleganckie przyjęcia w pięknych sukniach i mówić mądre rzeczy ważnym ludziom. Teraz miała szansę spróbować, ale się bała. Nie miała czasu, by zapanować nad nerwami, więc tylko wzięła głęboki oddech i odwróciła się z powrotem do Joaney, która denerwowała się, że nie słyszc ich stukania i utyskiwała gderliwie na wiejący na ulicy chłodny wiatr.

W końcu drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku w nieskazitelnie białym fartuszkun zarzuconym na suknię w szaro-białe pasy. Natychmiast uśmiechnęła się do Joaney.

- Och, panienka Joaney, jak to miło, że panienka przyszła! Pani Hewitt nie wspominała mi, że możemy się spodziewać panienki dziś wieczorem. Jak tam w college'u? Och, tak strasznie się cieszę, że znowu panienkę widzę. - Odsunęła się, gdy Joaney wchodziła. Dziewczyna cmoknęła lekko i szybko w policzek starszą kobietę i położyła swój płaszcz na jej ramieniu.

- Witaj, Prudey, wspaniale cię widzieć. W college'u jest cudownie, nie mogę zrozumieć, dlaczego tak długo zwlekałam z podjęciem nauki. Och, a to moja przyjaciółka, Klaudia Babcock. Razem wynajmujemy mieszkanie w Columbi. Czy pan Glendinning już przyszedł? - Joaney ledwie dała Prudey czas, aby odpowiedziała twierdząco, a potem zaczęła ciągnąć Klaudię do przodu, mimo że ta ciągle próbowała się uśmiechnąć, podać kobiecie dłoń i równocześnie zdjąć i podać jej swoje okrycie. Prudey zamknęła za nimi drzwi.

- Nie musisz podawać ręki Prudey. Wystarczy uśmiech i krótkie powitanie, może kilka słów. To wszystko. Rozumiesz? - szepnęła Joaney gwałtownie, a Klaudia przełknęła ślinę, skonsternowana. O Boże, czyżby już zdążyła popełnić gafę? Tak bardzo skupiła się na katastrofie towarzyskiej, że niemal nie zauważyła tłumu elegancko ubranych ludzi krążących po pokojach, które najwyraźniej łączyły się z sobą. Utrzymane były w starym federalnym stylu Wschodniego Wybrzeża, było tu więc sporo boazerii z drewna orzechowego, chińskiej tapety, luster w połączonych ramach z drzewa aloesu, lamp z chińskiej porcelany, orientalnych dywaników i antyków. Klaudia przechodziła

obok tych wszystkich cudów, niemal ich nie zauważając. Nerwowo posuwała się w ślad za przyjaciółką.

- To są moi rodzice, ta para przy drzwiach. Pan i pani Hewitt, rozumiesz? Podejmiemy się przywitać, a potem, kiedy skończymy rozmowę z nimi, możesz się zrelaksować i poflirtować z mężczyznami. Byli tu jacyś, a to nie jest wcale takie pewne. Większość gości płci męskiej wygląda, jak gdyby przyszli ze swymi podręcznymi komputerami i telefonami komórkowymi. Albo, co gorsza, ze swoimi chłopczykami. No, chodź. - Joaney uchwyciła znowu ramię zupełnie skołowanej i: otumanionej Klaudii, i pociągnęła dziewczynę za sobą, posuwając się charakterystycznymi dla siebie szybkimi krokami.

- Joaney, kochanie, jak cudownie cię widzieć. Boże, co za... hmm, odważny strój. Śliczny żakiecik. - Pani Hewitt z trudem usiłowała stłumić rozdrażnienie, które zawsze odczuwała widząc Joaney. Jak zwykle lekko cmoknęła w powietrze obok policzków córki. Klaudia, obserwując je obie, poczuła rozbawienie po raz pierwszy tego wieczoru. Obie panie były tak niewiarygodnie do siebie podobne, mimo iż udawały, że bardzo się od siebie różnią.

Klaudia próbowała ukryć uśmieszek, ale gdy podniosła oczy, wiedziała, że jej się nie udało. Przez cały czas bowiem obserwował ją przenikliwie stojący obok ogromny mężczyzna. Miał siwiejące na skroniach włosy, wysokie, poorane zmarszczkami czoło i ogorzałą cerę, jaką często miewają żeglarze. Nagle mężczyzna zamrugał oczyma.

- Tatku! Cześć! Tęskniłeś za mną? Czy dostanę wielkiego całusa? - Joaney prześlizgnęła się obok matki i zarzuciła ojcu na szyję ramiona. Uściskał ją mocno i radośnie.

- Cześć, moja panienko, w coś ty się ubrała, na litość boską? - wyrecytował całe zdanie jednym tchem, po czym, nie czekając na odpowiedź, dodał: - A kim jest twoja towarzyszka? - Jego głos był wesoły i czuły, a Joaney wsunęła rękę pod jego ramię i przedstawiła Klaudię:

- Mamo, tato, to jest Klaudia Babcock, z którą wynajmuję mieszkanie w Columbii. Jest z Teksasu.

- A czyż wszystkie teksaskie dziewczęta nie są znane ze swojej urody? - zapytał retorycznie pan Hewitt i wyciągnął ciepłą dłoń, w której ręka Klaudii utonęła niczym w baseballowej rękawicy. Mężczyzna potrząsnął nią szybko i lekko i puścił, jak gdyby przekazując dziewczynę żonie.

- Dobry wieczór, miło mi panią poznać, pani Hewitt. To bardzo uprzejme z pani strony, że zaprosiła mnie pani na dzisiejszy wieczór -oświadczyła Klaudia. Plecy miała przy tym bardzo wyprostowane, niemal sztywne, a jej policzek drgał lekko, gdy rozpaczliwie usiłowała sobie przypomnieć, że ma się wydać pełna godności, a jednocześnie nie przesadnie przymilna. Pani Hewitt rozpromieniła się.

- Och, cóż za śliczny akcent. I jakie cudowne maniery, naprawdę wspaniałe. Obecnie to tak bardzo zaskakuje, gdy młoda osoba zachowuje się w tak miły sposób... Cóż to za niezwykła odmiana! Co u ciebie, Klaudio? Jak ci się podoba mieszkanie z Joaney?

Klaudia zaczerwieniła się lekko, a Joaney spojrzała na nią szyderczo.

- Uważaj, Klaudio, to jest naprawdę podchwytliwe pytanie. Zobaczmy, jak dobrą jesteś dyplomatką - szepnęła do niej.

- Dziękuję, doprawdy cudownie spędzam czas, pani Hewitt, nie wiem, co zrobiłabym bez Joaney, która oprowadziła mnie po całym mieście i robi mi wykłady o tym, czego nie powinnam robić i w jakie miejsca nie należy chodzić. Przyjechałam tu z małego miasteczka i prawdopodobnie przez cały czas tylko bym się uczyła, gdybym nie poznała państwa córki.

- Wielkie nieba, rozsądna Joaney udzielająca komuś porad! Nie do wiary! - krzyknęła pani Hewitt i roześmiała się perliście, odwracając się, ponieważ ktoś inny domagał się już jej uwagi. Pan Hewitt znowu zamrugął.

- Ja również się cieszę, że w pobliżu Joaney znajduje się taka sympatyczna dziewczyna. Baw się dobrze dziś wieczorem, Klaudio. Miło cię było poznać. - W ten sposób obie dziewczyny odprawiono i już w sekundę później Joaney z figlarnym uśmieszkiem prowadziła przyjaciółkę w kierunku tacy z drinkami.

- No, załatwione, kwiecie Południa! Teraz dadzą mi trochę spokoju. „Jaka miła dziewczynka”, „jak dobrze wychowana” - naśladowała intonację matki, po czym wybuchnęła śmiechem. Klaudia ponownie się zarumieniła.

- A co miałam powiedzieć? Musiałam być uprzejma, to w końcu twoi rodzice - wymamrotała, a Joaney zatrzymała się i popatrzyła na Klaudię, przekrzywiając głowę na bok w wyjątkowo irytujący sposób.

- Ależ byłaś doskonała. Przecież nie mam do ciebie pretensji. Masz, wypij to i przestań się dąsać. Wiesz, naprawdę zbyt często się dąszasz. Och, popatrz tam, Klaudio, mężczyzna, który rozmawia z tą kobietą w czerwonej sukience... ten w ciemnoszarym garniturze i zielonym krawacie, to właśnie Michael.

Klaudia obróciła się, spojrzała i przeżyła niesamowity wstrząs. Nawet nie chodziło o to, że mężczyzna, którego wskazała Joaney, niezwykle przypominał

jej ojca, ale - co ważniejsze dla samej Klaudii - obok niego stała znajoma postać młodzieńca o rudych włosach, które kontrastowały z czerwoną suknią towarzyszkii Michaela. Co, u diabła, przywiodło Bo do Nowego Jorku, zastanowiła się Klaudia. I jakież dziwaczny przypadek pchnął go na to przyjęcie u Hewittów? Joaney najwyraźniej nie zauważyła przerażenia we wzroku przyjaciółki, tylko poklepała ją szybko po ramieniu i powiedziała uspokajająco:

- Zaraz wrócę, kochanie, ale muszę z nim porozmawiać, a przede wszystkim dać do zrozumienia tej starej rybie, że ma się trzymać z dala od mojego faceta. Widzisz, jak się babka kryguje, a ma przecież ze trzydziestkę... Co najmniej, na miłość boską! - A on ma prawie czterdzieści, jeśli nie więcej, pomyślała beznamietnie Klaudia, kiedy Joaney ją opuściła. Mężczyzna wydał jej się rzeczywiście czarujący i bardzo elegancki. Potrafiła dostrzec jego urok.

- Kompleks ojca, nie uważasz? - wycedził jej w ucho spokojny głos i Klaudia, obróciwszy się, rozpoznała Jasona. Wzruszyła ramionami.

- Każdy z nas ma jakąś słabość. Nie mam racji, Jasonie?

- Och, tak, rzeczywiście tak jest. A jaka jest twoja, Klaudio? Jak słyszałem, bynajmniej nie są to mężczyźni. - Jason uśmiechnął się miło, ale w jego słowach była szydercza sugestia, która sprawiła, że Klaudia zeszytniała.

- Kobiety również nie, jeśli coś takiego sugerujesz. Sądzę, że moją słabością jest praca. Staję się powoli pracoholiczką. - Popatrzyła na niego stanowczo, ośmielając go w ten sposób, aby dalej z niej szydził. Jednocześnie starała się przestać myśleć o stojącym w pobliżu pewnym ryżawym blondynie. Z determinacją usiłowała rozbić na kawałki własne uczucia.

- Myślisz, że tego nie rozumiem? Większość dziewcząt, z którymi się spotykam, zawsze narzeka, że moją pierwszą kochanką jest moja praca. Cieszę się, że w końcu spotkałem kobietę, która to pojmuje. - Jasona najwyraźniej przyjemnie zaskoczyła i zadowolona jej odpowiedź. Przyjrzał się jeszcze raz stojącej przed nim Klaudii, tak pięknie ubranej dziś wieczorem. Jej strój podkreślał długie smukłe nogi, które Jason szczególnie lubił u dziewczyn. Wyglądała bardzo atrakcyjnie, ale mężczyzna dostrzegł również w jej oczach jakąś stanowczość, której jego rozmówczyni bynajmniej nie starała się ukryć, mimo że z jej inteligencją z pewnością przyszłoby jej to bez trudu. I zdecydowanie taksowała go chłodnym wzrokiem, tak samo jak on taksował ją. Poczł dreszczyk emocji i lekkie podniecenie.

- Cóż, nasze życie jest takie krótkie, że aż wstyd trwonić połowę tego czasu na jakieś romanse, które pochłaniają tak wiele ludzkiej energii. Ja tego

zupełnie nie potrzebuję. - Klaudia mówiła, nieco cedząc słowa i jej sposób mówienia bardzo się Jasonowi spodobał. Wydał mu się ogromnie wzruszający w porównaniu z szorstkością akcentów nowojorskich.

- Romanse? Cóż za subtelne określenie. Przeważnie niewiele w nich romantyzmu - mruknął Jason, wyrażając w ten sposób uznanie dla dziewczyny. Po raz pierwszy od dłuższego czasu jakaś przedstawicielka płci pięknej tak bardzo go zainteresowała. I była taka młoda. Bardzo młoda, więc ciągle podatna i giętka. Szukał takiej dziewczyny, szukał kogoś, kogo mógłby sobie ukształtować.

- Co studiujesz? Joaney wspominała, zdaje się, że chcesz pracować w branży wydawniczej, kiedy skończysz szkołę? - Poprowadził ją w dalszą część pokoju, z dala od Joaney i z dala od interesującej Klaudię grupki, która otaczała jej przyjaciółkę. Z pewnym bólem dziewczyna pozwoliła mu się odprowadzić na bok.

Bo był zaskoczony, gdy zobaczył swą ciemnowłosą przyjaciółkę, roześmianą i wpatrzoną w stojącego obok niej mężczyznę. Tak bardzo zafrapowała go przemiana tej znanej mu skromnej uczennicy we wspaniałą młodą kobietę, że z trudem mógł skupić uwagę na toczącej się wokół niego rozmowie. Obserwując Klaudię kątem oka, czuł najbardziej przerażający gniew, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. Pragnął jakoś dać upust swojej wściekłości: stłuc szklankę o drewnianą podłogę, wykrzyczeć swoje oburzenie, w każdym razie zerwać z narzuconą sobie pozą, usunąć ze swej drogi plotkujących ludzi i zażądać, aby Klaudia opuściła tego eleganckiego, sprytnego i o wiele zbyt przystojnego mężczyznę, który jej towarzyszył. To uczucie było mu dotąd zupełnie nieznane.

Co, u diabła, on właściwie tutaj robi, zastanowił się. Czyżby uprzejmie gawędził z ludźmi, którzy go zupełnie nie interesowali, podlizując się w ten sposób i skamląc o pracę w wybranej przez siebie firmie architektonicznej? Powiedzieli mu: „Chodź z nami dziś wieczorem, spotkamy się z jednym z naszych najpoważniejszych klientów - Johnem Hewittem, obejrzysz sobie, jak ten człowiek żyje i zobaczysz, czy ci odpowiada tego rodzaju tryb życia”. Przeszedł więc. Zafascynowała go i pochlebila mu okazywana przez nich uwaga, póki nie dostrzegł Klaudii, póki nie zobaczył, jak ona teraz wspaniale wygląda, jak bardzo się zmieniła. A jak się czuł teraz? Boże drogi!

- Joaney, poznałaś już Bo Haskilla? Przyjechał do Nowego Jorku, aby się zorientować, czy interesuje go praca dla Purvisa i Clintona. Jest jednym z najlepiej się zapowiadających młodych ludzi Johna. Wprawdzie nie znam się

na architekturze i, prawdę mówiąc, zwykle nie mogę znieść większości tych nowoczesnych potworności, ale Bo ma naprawdę całkiem niezłe nowe pomysły na wiele spraw. Czyż nie tak, Bo? - Michael Glendinning uśmiechnął się lekko, jego maniery były czarujące i nieskazitelne. Bo nie potrafił go nie lubić, zwłaszcza że wiedział, iż to, co mówi ten mężczyzna, nie jest zwyczajnym pochlebstwem.

- To doprawdy nic nowego, pan Glendinning...

- Proszę, mów mi Michael.

- Więc, Michaelu... widzisz. Większość moich pomysłów polega na tym, aby odświeżyć stary styl miejski, albo, jeszcze lepiej, zbudować w mieście nowe domy na takich samych zasadach co stare. - Zakłopotany, uśmiechnął się niezdarnie do Joaney, obserwując jej gwałtowne, pewne siebie spojrzenia i wyduęcia ust, i natychmiast dostrzegając niepewną, nieśmiałą dziewczynę, jaką była naprawdę. - Ale takie rozważania są nudne dla osób, które nie zajmują się architekturą. Poza tym nie wiadomo, czy Purvis i Clinton nie zechcą czasem, abym robił coś zupełnie innego.

- Jestem zaskoczona, że ktoś jest obecnie gotów poprzeć tego rodzaju pomysły - odparła Joaney, myśląc: „Bo? Gdzie ja słyszałam to imię? Bo?!”

- Też mnie to zaskakuje, szczerze ci się przyznam, ale najwyraźniej Purvisowi i Clintonowi się spodobałem... Przynajmniej na tyle, że zechcieli mi zaproponować pracę w charakterze asystenta przez rok, zanim wrócę na studia, aby zrobić dyplom. - Bo napił się łyk drinka, żałując, że nie jest mocniejszy, że nie spływa mu palącym strumieniem przez gardło do żołądka. Był to tylko gazowany, lekko wytrawny szampan, słaby alkohol, którego Bo nigdy za bardzo nie lubił.

- Och! Więc nadal studiujesz? Nie wiedziałam. Właściwie, skąd pochodzisz, Bo? - Joaney zauważyła, że Michael się wymyka po kolejnego drinka, ale tak bardzo się zagubiła w myślach, pragnąc sobie przypomnieć, gdzie słyszała imię Bo, że bez słowa pozwoliła mu odejść.

- Judson w Teksasie. Myślałem, że można to rozpoznać po moim akcencie. - Bo uśmiechnął się i Joaney pomyślała, że jej towarzysz ma niesamowite oczy. Nie należy podchodzić do nich zbyt blisko, ponieważ można się spalić elektrycznością, którą emanuje ten chłopak uśmiechając się. Przyjrzała mu się leniwie, z figlarnym uśmieszkiem na twarzy.

- Bo z Judson w Teksasie. Ach, oczywiście! Nie wiem, dlaczego rzeczywiście nie poznałam po akcencie, zwłaszcza, że sama mieszkam w kimś,

kto właśnie stamtąd pochodzi. I ten ktoś, jak sędzę, cię zna. Czy imię Klaudia coś ci mówi?

Joaney zobaczyła, jak uśmiech znika z twarzy Bo. Elektryczne światełko zniknęło nagle jak zdmuchnięta świeczka. Młody mężczyzna przełknął ślinę.

- Tak, znam ją. Co u niej słyhać?

- Wszystko w porządku, jak mi się zdaje. Tęskni za Toddem, swoim małym siostrzeńcem, i chyba ma lekkiego fioła na punkcie pewnego faceta, który wcale na to nie zasługuje. Poza tym haruje, jak gdyby miało nie być jutra. Mechanizm obronny, jak sędzę. - Joaney patrzyła na niego z drwiącym, przemądrzałym spojrzeniem, które Bo się nie podobało. Wziął z tacy kolejnego drinka, zakaszlał i odchrząknął.

- Taa, cóż, to rzeczywiście podobne do Klaudii. Zawsze była uparta. Powiedz jej, że Todd miewa się świetnie. Widziałem go w przerwie międzysemestralnej. - Jego głos był zgrzytliwy i szorstki, gdy wypowiadał imię przyjaciółki Joaney, próbując wyrzucić z głowy usłyszane od swej rozmówczynie słowa. „Ma lekkiego fioła na punkcie pewnego faceta”. Nie ma wątpliwości, o kogo chodzi, pomyślał ze smutkiem Bo.

Z pewnością o tę z pozoru niegroźnie wyglądającą piranię w garniturze z Wall Street. Pośepnie skinał dziewczynie głową.

- Miło cię było poznać, Joaney. Będę się powoli zbierał. Dobranoc. - A potem odwrócił się od niej i pognął do drzwi, jak gdyby rozpaczliwie potrzebował tlenu. Nie przesuwiał się przez tłum, ale raczej przedzierał, poszturchując wszystkich wokół. Joaney obserwowała go, skonsternowana.

- Och, Joaney, tu jesteś! Gdzie się podziewałaś? Podobno obiecałaś mi, że będziesz stale koło mnie? - Klaudia stanęła obok przyjaciółki, zaśmiała się, następnie podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem i rozmyślnie obróciła się tyłem do drzwi.

- Myślałam, że jesteś z Jasonem i dobrze się bawisz.

- Rzeczywiście z nim rozmawiałam, ale parę chwil temu nagle przerwał w pół zdania i po prostu odszedł. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Wyobrazasz sobie? Niczego mi nie wyjaśnił, niczego nie powiedział, po prostu zniknął. - Czyżby odszedł, reagując w ten sposób na jej słowa, zastanawiała się na próżno Klaudia. Mogła się tylko domyślać, ponieważ w tej chwili nikt nie byłby w stanie udzielić jej odpowiedzi na to pytanie. W gruncie rzeczy zresztą wcale jej to nie interesowało. Było w Jasonie coś, co ją niepokoiło. Nie wiedziała, co to takiego, ale wyczuwała w nim coś dziwnego.

- Prawdopodobnie coś go odciągnęło. Jason również potrafi być strasznie uparty - powiedziała Joaney, jak gdyby kończąc swoją rozmowę z Bo. Zamrugła oczyma i starała się poniewczasie wytłumaczyć przyjaciółce swą gafę. - Och, a mówiąc o tym, co kogo odciąga... -I opowiedziała Klaudii o swej rozmowie z Bo, a Klaudia z trudem próbowała udać zaskoczenie i obojętność. Na wspomnienie Todda zarumieniała się.

- Uważasz, że to niedobrze, prawda? - spytała Joaney, krzywiąc się. - Że Bo odwiedza Todda, nawet kiedy ciebie tam nie ma?

- Chyba nie. - Głos Klaudii był stłumiony i mechaniczny. - Zresztą, nie wiem. To bez różnicy. -I w tym momencie, nie uzgadniając niczego, zmieniły temat.

Zanim Bo udało się wyjść z przyjęcia, musiał jeszcze wyjaśnić wielu osobom, które próbowały go zatrzymać, że naprawdę musi już iść. Gdy dotarł wreszcie do drzwi, dostrzegł za nimi mężczyznę w garniturze z Wall Street i Michaela Glendinninga. Stali na zewnętrznych schodach pogrążeni w rozmowie.

Bo zaczął się przemykać obok nich, kiedy nagle ich głosy się podniosły, stały się ostre i gniewne. Nagle Jason pchnął Michaela mocno i gwałtownie. Mężczyzna zachwiał się, stracił równowagę, upadł na kamienne stopnie, stoczył się po nich do rowu i leżł nieruchomo.

Jason szybko spojrzął na Bo, dostrzegł jego przerażenie i chęć udzielenia pomocy Michaelowi, po czym zareagował pełnym irytacji, wściekłym spojrzeniem i gwałtownym ruchem podbródka. Informacja, którą w ten sposób przekazywał, była oczywista. Jego oczy mówiły: „Wynoś się. To nie twoja sprawa”. Następnie odwrócił się z powrotem do Michaela i warknął:

- Leż tam. Tam właśnie jest twoje miejsce, gnojku, a nie wśród nas. Pamiętaj o tym. I zostaw moją siostrę w spokoju. - Po tych słowach Jason odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do domu, głośno trzaskając drzwiami, zostawiając za sobą dwóch mężczyzn.

- Michael! Chryste Panie! - Bo zeskakiwał po dwa stopnie naraz, aż wreszcie ukląkł obok leżącego mężczyzny i delikatnie uniósł jego głowę. Poczul ulgę, gdy zauważył, że Michael otwiera oczy i mruga powiekami.

- Czarująco gościnnie jak zawsze, nie uważasz? - mruknął poszkodowany do Bo, który westchnął.

- Rzeczywiście, bardzo sumiennie odprowadził cię do drzwi, jeśli to masz na myśli. Cóż, dobrze przynajmniej, że nadal żyjesz. Przez chwilę sądziłem, że rozbiłeś sobie głowę. Zdaje mi się, że nie zamierzał nawet podejść i sprawdzić.

Słuchaj, poleż tu chwilę spokojnie, zaraz kogoś sprowadzę. - Bo zaczął się podnosić.

- Nie, nie! Wystarczy mi twoja pomoc. - Michael chwycił Bo za rękaw i trzymał go z zaskakującą siłą. - Nie mogę sobie pozwolić na skandal. Z pewnością nie teraz. Pomóż mi, Bo, dobrze?

Bo był zaskoczony, ale bez słowa protestu otoczył Michaela w pasie ramieniem i zaczął go powoli podnosić, oglądając jednocześnie uważnie jego skaleczenia. Wydawały się stosunkowo niegroźne.

- Jestem tylko trochę posiniaczony i nieco oszołomiony. Pomóż mi wstać, dobrze? - Bo wsparł Michaela, pozwalając mu się oprzeć na swoim ramieniu na kilka chwil, po czym podniósł rękę i gwizdnął na żółtą taksówkę jadącą w kierunku Lexington Avenue. Pomógł Michaelowi wejść do taksówki, a gdy zobaczył, że jego nowy przyjaciel zamyka oczy z bólu i ulgi, wsiadł razem z nim.

- Co z nim? Pijany? - Kierowca popatrzył w tylne lusterko z dezaprobatą, mówiąc z akcentem mieszkańca Bronxu tak przytłumionym jak kuloodporna szyba, która rozdzielała go od pasażerów. Taksówka pachniała kwaśno od środka dezynfekującego i dymu tytoniowego.

- Nie, poślizgnął się na schodach i o mało sobie nie wybił zębów. Michael, hej, Michael, dokąd chcesz jechać? Jaki podać adres?

Okazało się, że są zaledwie kilka przecznic od mieszkania Michaela, które znajdowało się na rogu Pierwszej Alei i ulicy Dziewięćdziesiątej Szóstej, tuż przy zakręcie linii brzegowej, gdzie F.D. Roosevelt Drive wpadało do zatoki, a Mili Rock tkwił nad East River niczym mroczny wartownik. Bo zastanawiał się, jaki może się rozciągać widok z najwyższego mieszkania w tamtejszych wysokościowcach. Zapłacił za taksówkę i pomógł Michaelowi wejść po schodach do holu bloku. Portier na ich widok wytrzeszczył oczy w osłupieniu.

- Panie Glendinning! Sir! Co się panu stało? Czy mam wezwać lekarza?

- Nie, nie martw się, Sam, nic mi nie będzie. Poślizgnąłem się na schodach. Mój przyjaciel pomoże mi się dostać na górę, a po kąpieli i szklaneczce whisky, będę się pewnie czuł zupełnie dobrze. - I wtedy dwaj mężczyźni znaleźli się w windzie i wjechali na dziesiąte piętro. Sam nawet nie zdążył nic powiedzieć.

- Naprawdę doceniam twoją pomoc, Bo. Nie musiałeś przecież rezygnować ze swoich planów - powiedział Michael, otwierając drzwi. Bo pomógł mu dojść do sofy, potem wyprostował się i długą chwilę patrzył przez ogromne

okno ze szlifowanego szkła na ciemną rzekę i widoczne za nią światła dzielnicy Queens. Następnie obrócił się do Michaela i westchnął.

- Nic się nie stało. A gnojka, który cię zaatakował, nie lubię tak samo jak ty.

- Jasona Hewitta?

- Tak się nazywa? Typ prawdziwego małego Mussoliniego, co? - Bo bez powodzenia próbował zapanować nad uczuciem zazdrości. Smak tego uczucia był dla niego nowy i zdecydowanie nieprzyjemny. Czy sam nie narzucał się w ten sam sposób dziewczętom, atakując je przesadnym zainteresowaniem i arogancją? Na tę myśl niespodziewanie się zawstydził.

- Tak, niestety. Nie sądzę, aby jego ojciec miał właściwy pogląd na charakterek swojego synka, chociaż, jak mi się zdaje, ma jednak pewne wątpliwości co do niego. Ale matka kocha go do szaleństwa i świata poza nim nie widzi. Tylko Joaney dostrzega go takim, jakim jest naprawdę. - Michael skrzywił się i Bo spojrział na niego przenikliwie, dopiero teraz rozumiejąc całą sytuację.

- Och, Joaney... Hewitt, taak, oczywiście... twoja dziewczyna. To wszystko wyjaśnia.

- Co wyjaśnia? Zrzucanie mnie ze schodów?

- Taak, to i inne rzeczy również. Leż spokojnie, podam ci whisky.

- Sobie też nalej.

- Dzięki. Chętnie.

- Wróćmy do Jasona. Dlaczego go nienawidzisz?

- Och, mam ku temu powody.

- Które są bardzo osobiste, to chciałeś powiedzieć? - Michael masował guza na głowie. Spojrział z uwagą na Bo i uśmiechnął się, przyjmując whisky ze skinieniem głowy. Jego maniery jak zwykle były nieskazitelne, zachowywał się z kulturą i umiarkowaniem. Bo podziwiał go za to.

- Po prostu, nie ma w tym nic ciekawego. Naprawdę. Poza tym nie sądzę, abym przyjął tę pracę, mimo wszystko. Chyba nie interesuje mnie tego typu życie.

Bo przełknął swoją whisky, z zadowoleniem czując spływające w gardle przyjemne ciepło. Usiadł ciężko na krześle naprzeciwko Michaela, zamknął oczy i wydał z siebie kolejne westchnienie.

- Nie bądź głupi, Bo. - Mężczyzna mówił cicho, ale z przekonaniem. Bo otworzył oczy i przyglądał mu się bystro.

- Jak to sobie wyobrażasz? - spytał łagodnie.

- Znam Nowy Jork i wiem, jak wyglądają tu sprawy. Purvis i Clinton mogą ci pomóc wystartować, a tego przecież potrzebujesz. Jest tu również kilka innych firm w okolicy, może jeszcze któraś zainteresuje się twoją pracą. Są wystarczająco prestiżowe, aby zapewnić ci wspaniałą karierę. Nie odrzucaj tego wyłącznie z powodu małej awantury z synem klienta.

- Ależ ja się wcale nie pokłóciłem z Jasonem Hewittem... przynajmniej jak dotąd... Ty to zrobiłeś.

- Więc nadal się z nim nie kłóć. Trzymaj nerwy na wodzy i zachowuj się ze spokojem. Nie paskudź sobie całego życia z powodu jakiegoś faceta, który i tak któregoś dnia trafi do więzienia... albo skończy jeszcze gorzej. John Hewitt jest naprawdę czarującym, inteligentnym człowiekiem. Nie osądzaj go, znając jedynie jego syna. - Przerwał i znowu popatrzył szelmowsko na Bo. - Więc co on ci zrobił?

- Jason? Nic. Po prostu go nie lubię. Co porabia, tak przy okazji?

- Jest dyrektorem Departamentu Skarbu w Hudson Carmine. Wschodząca, młoda gwiazda na rynku finansowym. Szybko awansował. Podobno ma spory talent i niezłe możliwości, chociaż Bóg jeden wie, że ktoś, kto nosi tak świetnie skrojone garnitury, nie musi niczego umieć. Wystarczy pozycja tatusia... Ale słyszałem, że jest naprawdę dobry... nawet bardzo dobry - wycedził Michael. Uśmiechnął się z rozbawieniem, bardziej do siebie niż do Bo. Potem spojrzał z uwagą na swego towarzysza i spodobała mu się mina, którą zobaczył.

- Taak? Mnie przypomina piranię. Będę się trzymał z dala od niego, nie martw się. A tak przy okazji, powiedz, co zamierzasz zrobić z Joaney? To znaczy... pewnie jesteś żonaty, prawda? Więc czy to nie jest trochę... nieetyczne?

Nie mam chyba prawa wytykać innym takich rzeczy, pomyślał Bo ponieważ. Nie z moim charakterem i upodobaniem do kobiet.

- Może Jason sądzi, że ma prawo ją chronić? - Bo czuł zakłopotanie, ale głos mu nie drżał.

Michael wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem, może i tak. Wiesz, z początku to miał być tylko krótki romans. Joaney nie wyglądała mi na dziewczynę, którą łatwo zranić, a moją żonę nie obchodzi, co robię, póki ma swój dom. Bardzo go kocha, rozumiesz? Bardziej niż mnie, bardziej niż dzieci, nawet bardziej niż wszystkie swoje psy. Nic nie mówi, niezależnie od tego, ile razy ją zdradzę. - Jego uśmiech był dziwnie gorzki, jak gdyby Michael nawet sam sobie nie był w stanie wyjaśnić całej tej sprawy. Bo zmarszczył brwi.

- Skąd wiesz, że Joaney trudno zranić? Przecież to jeszcze prawie dziecko. A poza tym, hmm, nie wiem, czy zauważyłeś, jesteś trochę podobny do jej ojca. Nie trzeba być specjalistą od Freuda, aby na to wpaść.

- Oczywiście, że zauważyłem. Joaney zresztą też. Bardzo dobrze wie, jak bardzo kocha swojego ojca i stale współzawodniczy ze swoją matką o jego zainteresowanie, ale mówi, że stanowią jej zawór bezpieczeństwa. Póki jestem z nią, podobno nie zważa na nic i nic jej nie przeszkadza.

- Ależ wcale z nią nie jesteś! Masz żonę i dzieci. Czy one cię zupełnie nie interesują? - Bo zadał to pytanie z rozdrażnieniem. Kiedy usłyszał tę nutę w swoim głosie, natychmiast odwrócił się i spojrział przez okno. No i co z tego, że Michael oszukuje swoją żonę? Co z tego, że ją zdradza?

- Dzieci są w szkole daleko od domu, żyją już swoim własnym życiem. Mają własnych przyjaciół. Wakacje urządzam im wspaniałe, a tak w ogóle, to prawie ich nie widuję. Moja żona ma swoją działalność charytatywną, swoje życie społeczne, swoje psy, i, oczywiście, dom. Ona również już mnie nie potrzebuje. Rozwiedlibyśmy się już wiele lat temu, gdyby któremuś z nas szczególnie na tym zależało, ale po prostu nigdy o tym nie pomyśleliśmy, nigdy nie mieliśmy czasu, aby się nad tym zastanowić...

- A teraz?

- Teraz? Sam już nie wiem. Może chcę czegoś więcej. Może chciałbym spróbować zacząć jeszcze raz, ale boję się, ponieważ, jak sam powiedziałeś, Joaney to jeszcze dziecko. Jakie mam prawo decydować o jej życiu? Moja własna córka jest tylko pięć lat od niej młodsza. - Michael westchnął i rozparł się na sofie, opierając głowę na poduszce. Wyciągnął rękę ze szklanką.

- Nalać ci jeszcze? - spytał Bo, odbierając szkło z ręki Michaela.

- Nie, nie, dziękuję ci, Bo. Chyba zamówię sobie pizzę i posiedzę przed telewizorem. Niezła myśl, jak sądzisz? Lubię Amerykę. Nie zajmujecie się tu bzdurami.

- Zwłaszcza biurokracja i długie, głupie mowy biznesmenów i polityków nie są bzdurne - odpowiedział Bo ze śmiechem. - No, lepiej już pójdę, Michaelu. Dziękuję ci za radę. Pomyślę o tym, co mi powiedziałeś.

- Pomyśl. I umów się na kolację ze mną i Joaney, kiedy następnym razem będziesz w Nowym Jorku. Powiesz mi, co powinienem zrobić.

Bóg jeden wie, że nie mam pojęcia. - Roześmiał się głośno, ale gdzieś w głębi tego śmiechu zabrzmiała nuta goryczy. Ani ja, pomyślał Bo. Ani ja.

- Co takiego zrobił? Mój Boże, czy Michael jest ranny? - Klaudia usiadła na łóżku, patrząc na Joaney, której twarz wyrażała wściekłość, a czarne od tuszu kleksy pod oczyma wskazywały na wylane łzy.

- Tylko lekko. Ma parę siniaków, które wyglądają nieciekawie. Twój przyjaciel Bo mu pomógł. Michael uważa, że to dobry chłopak - odparła ironicznie Joaney.

- Nie powiedziałaś mu chyba...

- Nie, po co?

- Och, to dobrze. - Klaudia usiadła prosto. - Rozmawiałaś już o tym z Jasonem? Słyszałaś jego wersję?

- Nie, do diabła! Ale miałaś rację. On naprawdę nienawidzi Michaela. Może mogłabyś się nim trochę zająć, co? - Joaney również usiadła, patrząc na siebie w lustrze. Ścierała tusz.

- Nie zamierzam się nim zajmować. To jest przecież twój brat. Co on ma wspólnego ze mną? - spytała Klaudia stanowczo.

Joaney przestała trzeć oczy i spojrzała na odbicie Klaudii w lustrze.

- Jason się tobą interesuje. A on zawsze dostaje to, czego chce.

- Wobec tego pierwszy raz się rozczaruje.

- Nie Jason. - Joaney wzruszyła ramionami. - W każdym razie, bądź ostrożna. - Odetchnęła głęboko, jakby chciała w ten sposób otrząsnąć się z depresji, i uśmiechnęła się swoim chytrym uśmieszkiem, który mówił, że wszystko będzie dobrze. Nie martw się, nic mi nie jest, sugerowało spojrzenie dziewczyny. Jednak Klaudia się martwiła.

- Miałaś ostatnio jakieś wiadomości od swojego brata? Co u niego słyhać? - Joaney poszukała papierosa i usiadła prosto.

- U Marka? Wszystko dobrze, jak sądzę. Napisałam do niego w połowie semestru, ale mi nie odpisał. Chyba trochę się zaraził tutejszą „wolnością”. Wiesz, wolna miłość, alkohol, narkotyki... Może mu to przejdzie, gdy na stałe wróci do Hongkongu.

- Taak, też mam taką nadzieję. - Dwie dziewczyny uśmiechnęły się do siebie ze smutkiem. - Ech, ci bracia. Bóg jeden wie, po co zostali stworzeni - dodała weselej Joaney.

- I tak są lepsi niż siostry - sprzeczała się z nią żartobliwie Klaudia. - Napiszę kiedyś o nich powieść. Może sporo ludzi myśli tak samo, a wtedy książka stanie się wielkim bestsellerem i będę bogata.

- Bogata i samotna.

- Bogata i samowystarczalna. Nie potrzebuję mężczyzny, Joaney, ani Bo, ani twojego brata, ani żadnego innego. Rozumiesz? - Chociaż przyszło jej do głowy, że to już może wcale nie jest prawda. Mark napisał jej w którymś z ostatnich listów, że ostatnio znowu widział Harry'ego. Tylko tyle, nic więcej. Jedyne wspomniane mimochodem imię, ale dla Klaudii zabrzmiało jak koło ratunkowe... Po prostu musiała wiedzieć, że on tam jest, że ciągle żyje, że nadal mieszka w Hongkongu. Może nawet jeszcze na nią czeka... Roześmiała się, kiedy Joaney wykrzywiła twarz w grymasie niedowierzania.

- Jasne, dokładnie tak samo jak ja nie potrzebuję Michaela. Ach, do diabła, należałoby skasować to kretyńskie Boże Narodzenie! - Głos Joaney zdrzął przy ostatnich słowach. Michael wyjeżdżał w najbliższym czasie do Anglii, by spędzić pięć długich dni ze swoją żoną i resztą rodziny. Pięć dni, których tak bardzo potrzebowali, zwłaszcza po wyczynie Jasona. Chrząknęła z zakłopotaniem. Czowała się rozbita i cała się trzęsła. - Czy Mark przyjedzie do was na święta?

- Mark? Ależ nie! Oczywiście, że nie! Mama nie pozwala nawet wspominać jego imienia. Wie, że się z nim kontaktuję, ale natychmiast każe mi zamilknąć, gdy tylko spróbuję jej opowiadać, co u niego słysząc i co porabia. Przerywa mi po prostu ostro swoim klasycznym powiedzonkiem. Wiesz, tekst typu: „Nie mam już ani męża, ani syna”. Boże! Niedobrze mi się robi, gdy to słyszę. - Klaudia uderzyła kilka razy w poduszkę, potem ułożyła ją sobie za karkiem.

- Więc gdzie spędzi Boże Narodzenie? Z twoim ojcem?

- No, taak, z ojcem i Joyce. Jadą na Filipiny. Miło, nie? - Klaudia rzuciła swoją zapalniczkę w kierunku Joaney, która z papierosem w ustach po raz kolejny przetrząsała kieszenie.

- Cóż, przynajmniej ty pojedziesz do domu, aby zobaczyć się z Toddem. - Joaney zapaliła w końcu papierosa, głęboko się zaciągnęła i westchnęła z ulgą.

- To prawda. Zobaczą Todda, mężczyznę mojego życia! - Obie dziewczyny uśmiechnęły się do siebie ze smutkiem.

Rozdział piętnasty

Hongkong Czerwiec 1980 roku

Fetor nie mytych ciał był nie do zniesienia i Tony ze wszystkich sił starał się opanować mdłości. Bładł i pocił się jednocześnie, stojąc w zacienionym wejściu do hangaru, jednego z wielu magazynów należących do Rządowego Przybrzeżnego Centrum Przeładunkowo-Tranzytowego. Za sobą młody policjant widział cienie setek brudnych, śmierdzących postaci, dziwnie powykrzywianych ludzi, którzy siedzieli w ciepłym, zastałym powietrzu. Ciężki smród ich ciał uderzający falami w nozdrza Ingrama stanowił kolejny dowód na to, jak żalosne było położenie tych uciekinierów. Niezależnie od tego, jak bardzo się starali zachować czystość i mimo że desperacko odsuwali się od siebie, aby się nie stykać ciałami, ich życie w tym hangarze zmieniło się w cuchnącą, obrzydliwą wegetację.

Tony spojrział na skupisko ludzkie i dostrzegł, że wszędzie - tak daleko jak mógł sięgnąć wzrokiem, a nawet dalej - znajdowały się ich ciała. Kucali na słomianych matach lub leżeli apatycznie, ich dzieci krzyczały, a z któregoś kąta dobiegł go odgłos wymiotów. Uważne, zaleknione spojrzenia napinały ich twarze w maski strachu. Wiele rodzin czyniło wzruszające próby, aby odseparować się od innych za pomocą sznurów z zawieszonym praniem, pozostali tylko tulili się do skorodowanych metalowych ścian i wpatrywali ponuro w dal.

Sierżant Chu spojrział szelmowsko na bladą twarz Tony'ego i na pot spływający mu po policzkach.

- Chce pan się przyjrzeć lepiej, sir? - spytał z uśmiezkiem. Tony podniósł brwi i z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Mówiłem wam, że macie się do mnie odzywać tylko w dialekcie kantońskim, sierżancie! - warknął. - Nie ma sensu, abyście dukali przy mnie tą łamaną angielszczyzną. Nie, wcale nie chcę zobaczyć więcej, ale nie mamy innego wyjścia. - Zdjął z głowy spiczasty kapelusz i przesunął ramieniem po wilgotnym czole, odgarniając w tył mokre włosy. Pomyślał, że to jedna z tych sytuacji, które skłaniają go do zastanowienia się nad pytaniem, dlaczego właściwie wstąpił do policji. Czy po to, aby za kiepską pensyjkę pracować w najbardziej nieodpowiednich godzinach, aby wykonywać tak wstrętne zadania, jak to... Cóż, ktoś musi przecież wykonywać tę pracę, powiedział sobie. A on, skończony idiota, zgłosił się na ochotnika. Tylko że, pomyślał, teraz nie ma już nad czym deliberować. Co się stało, to się nie odstanie. Nałożył więc z

powrotem na głowę kapelusz i wszedł do hangaru, jednego z wielu, które stały się domem dla setek tysięcy chińskich uciekinierów zbiegłych z Wietnamu, oczekujących tu na przeprowadzkę do obozów ONZ.

Rozgniewany na sierżanta przez chwilę zapomniał o przykrym zapachu, bezwiednie przywykając do niego. Ciężko oddychał zatęchłym powietrzem. Chu stanowił dla Tony'ego prawdziwy problem: nie wierzył, że jego szef może mówić w dialekcie kantońskim tak płynnie jak on sam, nie przekazywał mu ważnych informacji, stale go tylko obserwował i czekał z szyderczym uśmieszkiem, aby w odpowiednim momencie fałszywie i niby potulnie mu przytaknąć. Tony domyślał się, że sierżant ma mu za złe jego brak doświadczenia i denerwuje go fakt, że ktoś tak „zielony” jest od niego wyższy rangą i wydaje mu rozkazy. Jednak Tony służył trzy lata w wojsku i wiedział wystarczająco dużo o tym, jak sobie radzić z podoficerami. Choć teraz jego cierpliwość powoli się wyczerpywała, gdy Chu rewanzował mu się tylko ciągłą nieufnością i niechęcią.

- Rozstawcie ludzi wzdłuż magazynu i dajcie każdemu fotografię Wong Yipnana. Poruszajcie się powoli, w szeregu, i sprawdźcie wszystkich dokładnie, sierżancie. Proszę wszystkiego dopilnować osobiście. - Pochwycił spojrzenie sierżanta i wytrzymał je ze spokojem, póki Chińczyk nie spuścił oczu. Wtedy odwrócił się i obejrzał za siebie, znowu wpatrując się w gęsty tłum. Czuł głęboki żal, litość i gniew, że ktoś pozwala na takie upodlenie. Przeklinał Wietnamczyków za ich - jakże brutalną - politykę „oczyszczania” własnego kraju z chińskiej mniejszości. Po prostu wysłali ich na morze, pozwalając łaskawie zatonać po drodze. Niewiarygodne okrucieństwo.

- Bardzo trudno, sir. Nie ma miejsce. Zbyt wiele ludzi - powiedział uparcie po angielsku Chu. Wpatrywał się ponuro w ziemię i Tony obrócił się do niego z wściekłością.

- Następnym razem, kiedy nie posłuchacie mojego bezpośredniego polecenia i odezwiecie się do mnie w tej swojej łamanej angielszczyźnie zamiast po kantońsku, uznam to za odmowę wykonania rozkazu i będę musiał was ukarać, sierżancie. A teraz proszę zebrać ludzi i poszukać tego mężczyzny. Rozumiecie mnie? Do roboty! - Ostatnie zdanie głośno wykrzyczał z goryczą, prawie rozjuszony, a Chu najwyraźniej rozumiejąc, że tym razem przeholował, bez słowa odwrócił się i pospieszył do swoich ludzi. Zaczęli przeszukiwać hangar, a Tony chodził tam i z powrotem główną aleją, posępnie milcząc.

Wong Yipnana dostrzeżono jakiś czas temu, jak płynął z Makau sam jeden na pokładzie starej, przeciekającej drewnianej łodzi, podziurawionej od

zgnilizny, o poplamionych, poszarpanych żaglach. Jak powiedział, przybył z Quang Yen w północnym Wietnamie. Podobno wyruszył samotnie i przepłynął 2600 mil przez Zatokę Tonkińską, Cieśninę Haj-nańską i Morze Południowochińskie aż do Hongkongu. Straży przybrzeżnej wydało się podejrzane, że zdołał sam odbyć tak długą podróż, ale mimo to przyholowała go do Zatoki Discovery, aby mógł na brzegu zaczekać na miejsce, gdzie będzie się mógł osiedlić. Zaledwie dwa dni temu przywieziono go do Rządowego Przybrzeżnego Centrum Przeładunkowo-Tranzytowego.

Wczoraj, gdy przyplłynęła kolejna łódź pełna uciekinierów z Quang Yen, jeden z nich przekazał policji przerażającą opowieść o kradzieży statku i morderstwie, którego dokonał rzekomo pewien Wong Yipnan. Podobno jacyś uchodźcy - kilka rodzin - znaleźli tego mężczyznę, jak płynął w małej wiosłowej łódce po Zatoce Tonkińskiej. Podróżnicy litościwie zabrali go na pokład. Przez kilka dni, gdy przemierzali cieśninę, pchani przez północny wiatr, Wong leżał na koi i zbyt cierpiał z powodu morskiej choroby, aby powodować więcej kłopotów. Zresztą, nie przejmowali się nim zbytnio, ponieważ wystarczały im własne problemy związane z utrzymywaniem starej barkentyny na wodzie, wylewaniem wody zalewającej płynący po wzburzonym morzu statek, walką ze szczurami atakującymi śpiące dzieci, brakiem jedzenia i wody... Kiedy zaczęli się przybliżać do celu podróży, mężczyzna poczuł się lepiej i zaczął ich wypytywać o przyszłość, a zwłaszcza o to, z czego zamierzają się utrzymywać na emigracji. A oni, niczego nie podejrzewając, powiedzieli mu szczerze, ile pieniędzy zabrali z sobą, aby zacząć nowe życie.

I pewnej nocy, kiedy niemal wszyscy spali, a łódka spokojnie unosiła się w lekkiej bryzie, Wong zakradł się do nich cicho, wszystkim śpiącym poderżnął gardła, po czym zaatakował dwie ostatnie osoby - wartowników, którzy sterowali w nocy kruchym statkiem. Jednego z nich udało mu się zabić, a drugi wyskoczył za burtę w wody Morza Południowo-chińskiego, które roi się od rekinów. Wong wyrzucił pozostałe ciała do wody i pożegłował dalej z kilkoma tysiącami dongów ich oszczędności. Był przekonany, że ostatni mężczyzna również nie uniknie śmierci, a jednak tamten przeżył i na przekór wszelkim przeciwnościom utrzymał się w wodzie przez prawie czternaście godzin, zanim wyłowila go kolejna łódź pełna uchodźców.

Tony wiedział, że może to być tylko stara opowieść, że prawdopodobnie ludzie powtarzali ją sobie tak często, że nikt już nie przywiązywał do niej wagi i nie próbowano już sprawdzać jej autentyczności. Jednak Wong miał pecha,

ponieważ sprawę przydzielono właśnie Ingramowi. A Tony - niezależnie od tego, jak bardzo chciał się upodobnić do innych policjantów, próbując zwalczać w sobie uczucia litości i współczucie, niezależnie od tego, jak bardzo chciał stać się człowiekiem twardym i zahartowanym na wszelką przemoc i zło, jakie niosła z sobą jego praca - nigdy nie potrafił odmówić ochrony i obrony tym, o których nikt inny nie myślał. Krępowało go, że jest z natury takim „harcerzykiem”, ale nie mógł nic na to poradzić. Taki miał charakter i musiał z tym żyć. Tak samo jak Wong ze swoim.

Znaleźli go wreszcie na terenie czwartego, przetrząsanego z męczącą powolnością hangaru. Sierżant Chu narzekał, że to strata czasu, ale Tony szepnął mu ze spokojem, choć nieugięcie, iż będą szukać tak długo, aż znajdą Wonga. Kiedy przyprowadzono podejrzanego, Chu wzruszył ramionami, okazując swojemu szefowi niechętny szacunek. Kątem oka Tony dostrzegł, jak twarze innych imigrantów łagodnieją z ulgą, gdy ujrzeli, że już nie mają się czego bać ze strony policji. Wtedy Tony i jego ludzie wyszli na mgliste popołudniowe słońce, które wydało się nagle chłodne i świeże po panującym w magazynie piekle.

- Czy to już wszystko, sir? - spytał w dialekcie kantońskim Chu, ocierając połyskującą od potu twarz. Obu mężczyzn bolały głowy i pulsowały im skronie od długich godzin spędzonych w zatłoczonym hangarze. Sierżant miał świadomość, że jego szef nie musiał sam w nim tkwić podczas rewizji. Inny oficer na pewno nie zrobiłby czegoś takiego, pomyślał Chu.

Tony posłał mu półuśmieszek.

- Na razie tak, Chu. Dobra robota. - Chwilę patrzyli po sobie ostrożnie, aż wreszcie sierżant również lekko się uśmiechnął.

- W porządku, szefie - powiedział tylko i odszedł do swoich ludzi. Tony spojrzał za nim z figlarnym uśmiechem, w którym dostrzec można było odrobinę ulgi. Najwyraźniej Chu go zaakceptował. Było to kolejne małe zwycięstwo tego dnia.

W barze „U Scottiego”, na tyłach Lan Kwai Fong, Aidan Lockhart przełknął właśnie setkę irlandzkiej whisky (delikatniejszej, jak mawiał) i zamyślił się nad słowami, które powiedział mu tej nocy Bill Ingram. Był już całkowicie przyzwyczajony do przykrości i niedogodności, które niosła z sobą jego praca, chociaż nie miał ochoty przyjmować propozycji wuja Billa, który sugerował mu, by „dla dobra sprawy” udał, że porzuca pracę w administracji państwowej i zaczął prowadzić życie zwykłego pijaka. Już sama symulacja ostrych problemów z piciem i udawanie nocnych pijaństw, na które rzadko miał

prawdziwą ochotę, stanowiły nie lada zadanie, a na myśl, że miałby to robić codziennie, że naprawdę miałby popaść w podły, wstrętny świat nałogu alkoholowego i narkotyków... No nie, to było już za wiele. I wszystko tylko dla wuja Billa i jego manii gromadzenia informacji. To chyba zbyt wielka prośba, myślał Aidan.

Spojrzał na pustą szklankę w rękę, zawahał się, a potem pewnie i stanowczo ją odstawił. Nie, do diabła z Billem Ingramem i z nimi wszystkimi. Nie zrobi tego, nie zamierza tego zrobić. Żadna późniejsza nagroda nie jest warta tego rodzaju piekła.

Odsunął się gwałtownie od balustrady szynku. Przyjaciele wołali za nim, by się zatrzymał, ale tylko się uśmiechnął i pomachał im, idąc rozmyślnie chwiejnym krokiem do drzwi. Wyszedł na brukowaną ulicę, za barem skręcił w lewo, przeszedł przez Pedder Street i skierował się w górę Wyndham Street do miejsca, gdzie zostawił samochód.

Później wielu ludzi świadczyło, że sporo wypił tej nocy i że poruszał się bardzo chwiejnie, kiedy wychodził. Nikt z nich nie pomyślał, aby go powstrzymać, ponieważ nikt nie podejrzewał, że zamierza prowadzić samochód.

A Aidan, jak gdyby nigdy nic, wsiadł do samochodu, włączył światła, pewnymi dłońmi zapalił papierosa, po czym zwolnił ręczny hamulec i ruszył przed siebie w dół wzgórza. Samochód szybko nabrał prędkości, ześlizgując się ku migoczącym w dole zamazanym światłom Queen's Road Central. Położył nogę na hamulec i nacisnął delikatnie, ale samochód nie zareagował, jadąc nadal z tą samą prędkością, co najpierw zmieszało, a potem zdenerwowało Lockharta. Zaklął z pasją i nacisnął mocniej na hamulec, a pot zalał zimnymi igiełkami jego twarz.

Zamierzał skręcić w Ice House Lane, jak powiedział później, ale hamulce zawiodły. Starał się zahamować silnikiem, zmieniając biegi, ale zakręt był zbyt ostry. Naoczni świadkowie mówili, że jeszcze przed zakrętem usiłował zapanować nad pędzącym w dół samochodem.

Gdy było już po wszystkim, Aidan wyjaśniał załamującym się głosem, że dziecko nagle wybiegło mu na drogę, nie patrząc wokół siebie. Nic nie mógł zrobić. Nic. Szeptał ochryple, bez końca powtarzając to słowo.

Świadkowie, rozgoryczeni Chińczycy, którzy nigdy nie ufali Europejczykom, czyli - jak ich w pogardzie nazywali - gweilos, kłamali potem mówiąc, że dziewczynka stała spokojnie na chodniku, a samochód wjechał na krawężnik,

uderzył w nią, a dopiero potem gwałtownie skręcił w bok i wpadł na ścianę tuż przy Klubie Zagranicznego Korespondenta.

Gdy sędzia śledczy oznajmił, że dziecko zmarło w szpitalu, siedzący na ławie oskarżonych Aidan starł z policzków ogromne łzy żalu. Twarz miał bladą i chorą, a ciemne oczy spoglądały tylko na jedną postać w zatłoczonej sali sądowej, na Billa Ingrama. A tamten, nawet nie mrugnawszy okiem, nie zawahawszy się nawet na sekundę, również na niego patrzył.

Jakimś cudem Aidan uniknął procesu, wobec czego mówiło się o wielkiej łapówce przekazanej przez rodzinę Lockhartów, o wykorzystywaniu wpływów, o poruszaniu tajemnych sprężyn, o korupcji wysoko postawionych oficjeli rządowych i wstydliwych układach, na które przystała angielska służba państwowa i tak dalej, chociaż w gruncie rzeczy nikt nigdy naprawdę nie wiedział dokładnie, co się zdarzyło. Po prostu Aidan nagle się dowiedział, że oddalono zarzuty przeciwko niemu, następnego dnia podał się do dymisji i zrezygnował z pracy, a niektórzy pracownicy ministerstwa na tę wiadomość odetchnęli z ulgą, że tak łatwo dał się na to namówić.

Nikt nigdy się nie dowiedział, że Aidan nie miał wyboru, że jeśli nie chciał stanąć przed sądem, musiał przystać na propozycję wuja Billa. Tylko oni dwaj znali prawdę. A o tym, kto manipulował przy hamulcach Aidana, wiedział na pewno tylko sam Bill Ingram, nikt więcej.

„To twoja wina - mówił młodemu Lockhartowi - zachowałeś się niezdarnie i Yee cię zauważył. Takie są konsekwencje twojej nieuwagi” -dodawał Bill Ingram swoim suchym, wyważonym głosem. Jak było naprawdę, wiedział jednak tylko on jeden.

Co prawda Aidan miał wątpliwości, czy to rzeczywiście zrobił Yee. Rozmyślał nad tym późno w czasie bezsennych nocy, kiedy ukazywała mu się przed oczyma dziecięca twarzyczka, kiedy w myślach pędził przed siebie, uderzając w dziecko... Czy to był Yee? A może Bill po prostu zupełnie świadomie uznał, że należy go poświęcić, może postanowił nie dać mu wyboru, wbrew niemu samemu wciągnąć go w swą brudną grę, zmusić go, by przystał na jego ofertę?

Po wypadku Aidan pił coraz częściej i coraz więcej. Unikał starych przyjaciół, którzy - tak jak Tony - próbowali mu pomóc, i nawiązywał nowe przyjaźnie: zwykle z ludźmi, których interesował jedynie alkohol i którzy byli szczęśliwi, gdy mogli wypić z kimś, kto za nich zapłaci. W ten sposób młody Lockhart rozpoczął swój powolny upadek i drogę w dół, której celem było popaść w zupełne zapomnienie. Chciał zapomnieć, ale jeszcze bardziej

pragnął, aby o nim zapomniano. W ten właśnie sposób wuj Bill rzucił go na pożarcie lwom.

Judson, Teksas Grudzień 1980

Klaudia jechała do domu autobusem greyhound autostradą ciągnącą się bez końca. Cóż za strata czasu, klęła po cichu i jak zwykle obiecywała sobie, że już nigdy nie zdecyduje się na autobus, wybierając się w tak długą trasę. Jednakże zawsze tak jeździła, ponieważ był to najtańszy sposób podróżowania. Nie mogłaby się dostać do Judson w inny sposób, a przecież obiecała Toddowi, że przyjedzie na święta.

Spędziła tylko osiem dni z rodziną i większość tego czasu minęła jej bardzo pracowicie. Wysprzątała dom, zastępując przy tej pracy matkę, przyozdobiła świątecznie wszystkie pokoje (Peggy nie miała ochoty się tym zająć), skosiła trawnik zaniedbany przez Hankę i przez cały czas pilnowała Todda. Widywała od czasu do czasu Bo Haskilla, gdy mijał ich budynek w drodze do domu, ale zawsze odchodziła od okna i zajmowała czymś Todda, aby nie patrzył. Zresztą Bo i tak nigdy się nie zatrzymywał.

Wigilię Bożego Narodzenia spędziła w kuchni: gotując na święta, piekąc babki i zalewając galaretą szynki według wskazówek matki, która siedziała przy kuchennym stole i dyrygowała całą akcją. Peggy - jak sama oznajmiła - była zbyt zajęta, ponieważ musiała kupić prezenty, na co podobno wcześniej nie miała czasu.

- Przywilejem niepracujących damulek jest to, że mają masę czasu, aby kupić prezenty - zauważyła ostro Peggy, patrząc na Klaudię, kiedy tamta się skarżyła. - Niestety, niektóre z nas pracują, aby zarobić na utrzymanie.

Jej młodsza siostra nic nie odpowiedziała, choć wiedziała, że sklepy na deptakach są otwarte do późna, a poza tym sama wychodziła z pracy od Succiego później niż Peggy ze sklepu. Nie chciała jednak zagrać w otwarte karty i wzdrygała się przed samą możliwością kłótni. Westchnęła więc tylko głęboko i wzruszyła ramionami z rozdrażnieniem.

Klaudia i Todd polukrowali ludziki z piernika imbirowego i zawiesili je na choince. Ukręcili też cukier i pokryli irysowym lukrem jabłka i orzechy, namalowali kartki świąteczne własnego pomysłu i wysłali je do małych przyjaciół Todda. To właśnie Klaudia zabrała Todda, aby posłuchał kołęd śpiewanych na rynku. Zacierali dłonie i chuchali, wydychając kłęby ciepłego, parującego powietrza w mroźny wieczór, kiedy obserwowali zapalone światła na wielkiej choince, a Todd pokrzykiwał z lęku i zachwytu. To również Klaudia słuchała modlitw Todda i kładła go do łóżka wieczorami.

Peggy coraz mniej się interesowała synem, nie zawsze pamiętała, aby sprawdzić, czy jest najedzony albo zapytać, co robił w ciągu dnia, ponieważ spieszyła się na plotki ze swoją przyjaciółką Elly. W zasadzie, jak stwierdzała Klaudia, to ich matka wychowywała Todda. Biedna mama, pomyślała dziewczyna. Wygląda tak staro i jest tak bardzo zmęczona harówką codziennego dnia, chociaż przecież nie ma jeszcze nawet pięćdziesiątki.

Hank najwyraźniej wrócił do zwyczajów kawalerskich. Wychodząc z pracy szedł prosto do baru i zostawał tam z kolegami do późna. Traktuje dom tylko jako miejsce, w którym się śpi i je śniadanie, mamrotała do siebie oburzona Klaudia; gdy myślała o mężu siostry, nasuwały jej się na myśl takie określenia jak: „robol” i „głupawy Południowiec”. Hank prawie nie rozmawiał już z Peggy, a ona również najwidoczniej wcale się do niego nie odzywała.

- Chyba nie układa im się najlepiej, prawda, mamó? - spytała w pewnej chwili Klaudia, kiedy obie z matką siedziały w kuchni, studiując książki kucharskie. - To znaczy, Peggy i Hankowi. - Podniosła oczy na matkę i dostrzegła zmarszczki uporu wokół ust kobiety, wyostrzony z determinacji podbródek i zwątpienie w zgasłych oczach.

- Nie, chyba wszystko dobrze. I nie wtrącaj się w sprawy innych ludzi, Klaudio. Co możesz wiedzieć, skoro przyjeżdżasz tu tylko na parę dni?

- Wiem, co widzę, mamó. Może ty tego nie dostrzegasz, ponieważ jesteś z nimi przez cały czas. Po prostu coraz bardziej przyzwyczajasz się do swojej i ich sytuacji. Ale ja widzę wszystko tak jak jest naprawdę, kiedy tu wracam. - Zamknęła książkę, położyła na niej łokcie i popatrzyła na matkę zirytowana.

- Doprawdy? Więc odkąd zamieszkałaś w Nowym Jorku, stałaś się nagle specjalistką od wydawania opinii o nas wszystkich, co, moja panno? - prychnęła matka. - Cóż, możesz sobie przyjeżdżać i obserwować wszystko bardzo, bardzo uważnie... i możesz sobie rozpieszczać Todda i pozować przed nim na najlepszą na świecie ciocię, ale zapamiętaj sobie, że to ja jestem tutaj przez cały czas. To ja płacę rachunki, prowadzę Todda co rano do przedszkola i odbieram go po południu, to ja go karmię i kładę spać. To ja jestem tu z Peggy i Hankiem przez cały czas i nie sądzę, abyś ty... ty, która za parę dni wrócisz do swojego wspaniałego życia w Nowym Jorku, miała prawo mówić nam, jak mamy żyć. I nie traktuj nas tak protekcyjnie, Klaudio.

Ta długa przemowa matki zabolęła i obraziła Klaudię; dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, że matka w ten sposób radziła sobie z problemami, po prostu nie przyjmując do wiadomości pewnych spraw. Wydawało jej się, że jeśli wmówi sobie, że wszystko jest dobrze, rzeczywiście nie będzie się działo

źle. Jednakże taki sposób postępowania matki zwiększał tylko mur między nimi dwiema. Mur, który z dnia na dzień stawał się coraz trudniejszy do przebycia.

Peggy była tak zachwycona obrotem spraw, że aż śmiały jej się oczy, i prowokująco szeptała do Klaudii: „Widzisz, panienko, tak to jest, kiedy się przestaje być ulubienicą mamusi”. Klaudia ignorowała więc wszystkich z wyjątkiem Todda i liczyła dni pozostałe do powrotu na wolność, do Nowego Jorku i do Joaney.

W dzień Bożego Narodzenia Klaudię obudził Todd, który wspiał się na jej łóżko i długo nią potrząsał. Na jego małej buzi widniało prawdziwe ożywienie i aż się palił, by otworzyć rozłożone pod choinką paczki.

- Och, Toddy, jeszcze nie. Jest dopiero szósta. Chodź i poleż ze mną trochę, dobrze? - wymamrotała Klaudia, na wpół śpiąc; jej rozczochrane włosy zasłaniały całą twarz, a oczy były ledwie otwarte.

- Nie, nie, jest Boże Narodzenie, Liddsy! Pójdźmy obejrzyć te wszystkie prezenty. Liddsy? Hej, Liddsy! Obudź się. - Popychał ją i ciągnął, miętosząc pościel dokoła niej, a ona śmiała się i próbowała się na nowo przykryć.

- Jeszcze tylko pięć minut, Todd, proszę! Idź i popatrz sobie na nie jeszcze raz, dobrze? I policz, ile paczek jest dla ciebie. Zgoda? - Już jej się zdawało, że go przekonała, ponieważ nagle puścił przykrycie, które usiłował z niej ściągnąć, i niezgrabnie zszedł z łóżka. Usłyszała oddalające się kroczki, a potem ostry stukot, po którym powiało chłodnym powietrzem.

- Todd, zamknij okno! Jest tak zimno! - Klaudia naciągnęła kołdrę na głowę i zakopała się w miękkie ciepło, uspokojona na kilka chwil. Nagle usłyszała czyjeś szepty: ledwie ściszone dziecięcy głosik Todda i niższy, cichszy głos. Niechętnie wyjrzała spod kołdry.

Na krawędzi okna siedział Bo; ramieniem otaczał Todda, a w dłoni trzymał paczkę. Twarz miał zarumienioną od porannego chłodnego powietrza i energicznej jazdy na rowerze, oczy lśniły mu żywo i - jak pomyślała Klaudia - tańczyły niczym u jakiegoś elfa. Chłopak ubrany był w dżinsową kurtkę ze starym wytartym zamszowym kołnierzem; włosy połyskiwały mu w porannym świetle. Nie powinno tak być - zdenerwowała się dziewczyna - żeby człowiek o tak wstrętnym charakterze wyglądał na kogoś tak prostolinijnego, uczciwego i miłego. To nie w porządku, pomyślała jeszcze raz Klaudia i usiadła gwałtownie na łóżku.

- Co tu, do diabła, robisz, Bo Haskillu? - zapytała.

Chłopak spojrzał w górę i posłał jej łagodne, taksujące spojrzenie.

- Składam Toddowi życzenia świąteczne i wręczam mu prezent.

- Naprawdę? Cóż to za wspaniałomyślny gest z twojej strony! - zauważyła sarkastycznym tonem Klaudia.

- Boże, co to ma oznaczać, Klaudio? Daj spokój i powiedz mi wreszcie, o co ci właściwie chodzi.

Bo, rozdrażniony zachowaniem Klaudii, najwyraźniej zdecydował, że woli usłyszeć nawet najgorszą prawdę i dowiedzieć się, co spowodowało pogorszenie stosunków między nimi, niż patrzeć wiecznie na jej skwaszoną minę.

Klaudia uniosła się wyżej i wpatrzyła z uwagą w rozgniewaną twarz Bo, a potem spojrzała znacząco na swego małego siostrzeńca.

- Nie teraz. Powiem ci później.

- Kiedy i gdzie? - naciskał i Klaudia zrozumiała, że nie uda jej się go zbyć. Głośno przełknęła ślinę.

- No, dobrze, może rzeczywiście powinniśmy omówić całą sprawę. Co powiesz na bar „59” dzisiaj po południu, powiedzmy koło piątej? -Dostrzegła, jak jego twarz napina się i wykrzywia w sztywny grymas i pożałowała, że nie wybrała innego miejsca, ale stało się i niczego już nie można było zmienić.

- W takim razie do zobaczenia o piątą. Tobie, Klaudio, również życzę wesołych świąt - dodał sucho, uściskał Todda, a potem zeskoczył z okna i odszedł cicho. Todd obserwował go z dziwną miną.

- I ja tobie życzę wesołych świąt, ty flirciarzu! A teraz lepiej by było, abyś, cholera, już zawsze trzymał się z dala od Todda - wyszeptała Klaudia przez zaciśnięte zęby, po czym położyła się z powrotem do łóżka i naciągnęła na siebie kołdrę. Todd nadal patrzył przez okno, jak Bo wskakuje na rower i odjeżdża.

Bo usiadł na tyłach baru „59”, na tej samej ławie, gdzie siedział z Klaudią tamtej nocy, gdy wspólnie się zastanawiali, do którego powinna pójść college'u. Klaudii wydało się nagle, jak gdyby od tamtej chwili upłynęły lata, a Bo dodatkowo czuł, że czas, który upłynął, sprawił, że zgorzkniał jak pozostawione zbyt długo w lodówce mleko. Był zmęczony i miał powyżej uszu swego życia, dziewcząt, Klaudii... a zwłaszcza samego siebie. Jednakże gdy dziewczyna pojawiła się w drzwiach, nie potrafił całkiem powstrzymać drżenia. Skinął w jej kierunku ręką bez przekonania, a gdy zauważył, że go dostrzegła i zbliża się do niego bez uśmiechu na twarzy, opuścił dłoń.

- Cześć - zagaił obojętnie, kiedy wsunęła się w ławkę naprzeciw niego.

- Cześć - odparła.

Tylko tyle. Szybkie kąśliwe pozdrowienie, które nie miało w sobie ciepła. Obejrzała się na kelnerkę i zamówiła kawę.

Między dwojgiem młodych ludzi zapadło milczenie i ani on, ani ona nie wiedzieli, jak je przerwać. Kelnerka wróciła z kawą dla Klaudii, napełniając jednocześnie kubek Bo, a potem oddaliła się szybko i sprawnie.

- Dziękuję, że przyszedłeś - odezwała się w końcu Klaudia i pociągnęła łyk kawy. Popatrzyła na niego znad filiżanki.

- Więc o co ci chodzi?

Był zdenerwowany; bawił się solniczką i pieprzniczką, i co jakiś czas zerkał niepewnie na dziewczynę. Klaudia poczuła, że jej strach mija i zamiast niego pojawiło się w niej jakieś znużenie i ponura akceptacja.

- Musimy porozmawiać o pewnych sprawach - powiedziała tylko, po czym wzruszyła ramionami. Po chwili znowu podniosła na niego oczy.

- Taak? A o czym?

- O tobie i o Peggy. A właściwie o Toddzie. - Jej głos był prawie łagodny i Bo słysząc go, zastanowił się nagle, cóż warte było jego dotychczasowe życie: te wszystkie śmiechy, pochlebstwa i podziw w oczach innych chłopaków, te wszystkie westchnienia, chichoty i szybka, łatwa namiętność dziewczyn. Poczul zmęczenie. Był jakby zdrętwiały i zupełnie wypompowany, gdy patrzył w twarz Klaudii.

- To znaczy, o czym dokładnie chcesz porozmawiać? - zmusił się, by zapytać.

- Och, daj spokój, Bo. Nie możesz być przynajmniej raz ze mną szczery? Nikt nas przecież nie słucha, nikt cię nie osądza. A ja nie zamierzam ci prawić kazań, niczego ci nie wypominam i niczego od ciebie nie żądam. Chcę tylko poznać prawdę.

Była najwyraźniej znużona i smutna, ale bynajmniej nie zaskoczona, i to zabolalo go niemal bardziej niż cokolwiek innego. Zupełnie nie jest zaskoczona, pomyślał jeszcze raz, po czym odetchnął z trudem i odezwał się:

- Chcesz wiedzieć, czy sypiałem z Peggy? Odpowiedź brzmi: tak. Jestem zresztą pewien, że twoja siostra zdążyła ci już o tym powiedzieć -dodał powoli, następnie wzruszył ramionami i uciekł wzrokiem od tych oczu, w których dostrzegał współczucie, zrozumienie i coś jeszcze - żal. Żal za tym, co mogło się między nimi zdarzyć kiedyś, żal za tym, co teraz już się zdarzyć nie może. Co było już niemożliwe. Rzeczywiście, nie było sensu jej teraz okłamywać. I tak wiedziała. - Chcesz wiedzieć, czy Todd jest moim synem? Nie wiem, Klaudio. Peggy oskarżyła o ojcostwo połowę chłopaków w moim wieku. Skąd,

u diabła, mam wiedzieć, jaka jest prawda? - Westchnął i uniósł brwi, a w reakcji na jej ciągle milczenie zacisnął oczy.

- Wiem, wiem. Nie musisz nic mówić, i tak wiem, co myślisz. Ale zrozum, naprawdę nie wiedziałem, co robić, kiedy po raz pierwszy mi o tym powiedziała. Byłem... oszołomiony i zaskoczony, jak przypuszczam. Myślałem, że ona czegoś, no wiesz, używa. A potem chyba się wystraszyłem... chciałem już tylko stąd wyjechać i wszystko przemyśleć na spokojnie. Więc powiedziałem Peggy, że nie chcę o tym słyszeć i odszedłem. Ale czułem się wszawo... Już, już się miałem zdobyć na odwagę, aby powiedzieć o całej sprawie ojcu i spróbować załatwić wszystko jak należy, kiedy usłyszałem, jak mówią o Peggy inni chłopcy, jak się śmieją i obwiniają jeden drugiego. I wtedy doszedłem do wniosku, że Peggy sama nie wie na pewno, kto jest ojcem jej dziecka i dlatego oskarża wszystkich facetów, z którymi kiedykolwiek sypiała.

- Bo podniósł oczy na Klaudię i dostrzegł na jej twarzy jawne oburzenie.

- Aha, i dlatego myślisz, że jest nic niewarta, prawda, Bo? Że to latawica, ponieważ sypia ze wszystkimi wokół, czy nie tak sądzisz? -szepnęła zapalczywie.

Bo odwrócił wzrok, wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Klaudia dostrzegła na jego obliczu słabość i chęć, aby inni - ktokolwiek zechce - zdejmowali z jego ramion wszelkie ciężary, aby sam nie musiał podejmować żadnych decyzji... Zrozumiała, że jej przyjaciel nadal jest jeszcze chłopcem, ciągle tym samym młodym, dobrym chłopcem, którego uwielbiało rozpieszczać Judson. I na ten widok wszelkie uczucia do niego, jakie kiedykolwiek skrywała głęboko w sobie, umarły cichą, bolesną, szybką śmiercią. Potrząsnęła głową.

- Ciekawa jestem, co właśnie tobie pozwala tak myśleć, Bo? Przez ile dziewczęcych łóżek ty sam się przewinałeś? Ale to jest w porządku, prawda? Ponieważ ty jesteś mężczyzną i liczba dziewczyn, które miałeś, czyni z ciebie nawet kogoś wspaniałego, prawda? Podziwianego przez wszystkich jurnego ogiera... - zauważyła chłodno.

Bo nie odpowiedział i przez długi czas siedzieli w milczeniu. Potem Klaudia nagle roześmiała się niewesoło.

- Wspaniale, nie sądzisz? A ja, głupia, naprawdę myślałam, że jesteś dobrym człowiekiem, takim miłym facetem... I prawdziwym przyjacielem. I pomyśleć, że po tym wszystkim miałeś jeszcze czelność zalecać się do mnie i przez cały czas... przez cały czas wiedziałeś! - W jej głosie była prawdziwa gorycz.

Bo z trudem oddychał.

- O niczym nie wiedziałem. W każdym razie nie byłem pewien -oznajmił cierpko. - Czego ty chcesz ode mnie, Klaudio? Widuję Todda tak często jak mogę, a przecież niewykluczone, że wcale nie jest moim synem. Po prostu go lubię, więc staram się z nim czasem widywać. Co jeszcze mam zrobić?

- Nie wiem, Bo. Sądzę, że już nigdy niczego nie będę od ciebie chciała. - Poruszyła się, jak gdyby zamierzała wstać, ale Bo wyciągnął rękę, chwycił ją za ramię i pociągnął, by usiadła z powrotem.

- Słuchaj, Klaudio, naprawdę mi przykro. Nie rozumiesz? Myślisz, że gdybym mógł, nie zrobiłbym wszystkiego, co możliwe, aby to zmienić? Jesteś jedyną znaną mi dziewczyną, która wydaje mi się kimś więcej niż tylko ładną panią. Reszta to laseczki na jedną noc... Taak, wiem, że to brzmi paskudnie, kiedy się to wypowie głośno, ale nie uważałem tak kiedyś. To była tylko wesoła zabawa. Albo tak mi się wydawało. -Przerwał i widząc, że przyciągnął uwagę dziewczyny, uwolnił jej rękę. - Gdybym wiedział, jak to naprawić, cóż, może... ale to już historia i nie można niczego zmienić. Musimy po prostu z tym żyć.

- Co ty sobie myślisz, Bo? Ze zamierzam stanąć w kolejce i zostać twoim kolejnym numerem, kolejną ofiarą? Peggy jest moją siostrą, niezależnie od tego, jak mało mi się to podoba. Tak się nie postępuje. Nie z nią, a zwłaszcza nie ze mną. Poza tym - przerwała, chwilę się zastanawiając - dlaczego ci się zdaje, że ciągle się dla mnie liczysz? Może kiedyś rzeczywiście trochę się do ciebie paliłam, ot, tak jak pensjonarka, jak wszystkie dziewczyny w tym mieście, ale tylko tyle, nic więcej. Może kiedyś myślałam, że czuję coś więcej, ale sądzą, że się myliłam, a jeśli nawet nie, to kiedy potwierdziłaś swoją winę, umarły we mnie wszelkie uczucia dla ciebie.

Zrozumiał, że Klaudia mówi prawdę i wzdrygnął się gniewnie.

- Sądziś, że tego nie wiem? Ja przynajmniej czuję się winny. Większość chłopaków, którzy spali z Peggy, w ogóle się tym nie przejmuje. A ja wiem, że zrobiłem ile. Wiem dobrze, ale cóż... stało się, to skończone i zamknięte, Klaudio. Nie mogę nic z tym zrobić, nie mogę w żaden sposób tego naprawić... Chcesz, abym płacił za to przez resztę swojego życia? - Zamknął oczy, zakrył twarz rękoma i zrozpaczony pochylił się ku stołowi.

Klaudia siedziała bez ruchu. Czowała pustkę i wiedziała, że Bo ma rację i że cała sprawa jest absolutnie skończona. W jednej chwili została pozbawiona marzeń. Teraz nie mogła już lekkomyślnie i ukradkiem myśleć o powrocie przyjaźni z Bo, nie mogła już uciszać wątpliwości ani się łudzić, że wszystko okaże się pewnego dnia nieprawdą, niemądrym, pozbawionym podstaw

oskarżeniem. Nie miała już prawa ufać, że jej przyjaciel może być niewinny. A jeszcze niedawno była taka pewna, że Bo nie byłby zdolny zrobić czegoś takiego, że nie potrafiłby się zachować tak nikczemnie. Jest przecież taki miły, myślała kiedyś. Wszyscy przecież tak uważali. I pomyśleć, że ona naiwnie przez cały rok sobie wmawiała, że to tylko urojenie, że to tylko jej własny umysł płata figle... Chociaż nie, wierzyła w to do końca. Gdzieś głęboko w niej jakiś głos szeptał jej, jak rzeczywiście było... Tylko że wtedy Klaudia nie chciała go słuchać, nie chciała uwierzyć, że ma rację.

Spojrzała na siedzącego przed nią chłopaka i znowu westchnęła. Chwilę się wahała, a potem wyciągnęła rękę i uścisnęła jego ramię.

- Cóż, przepraszam cię, Bo - zaczęła cichym, łagodnym głosem. - Wiem, że to nie jest tylko twoja wina. Wiem, że wiele tu zawiniła Peggy, ale zapewniam cię, że ona słono za to płaci. Naprawdę. I nie martw się, nic ci już nie zamierzam mówić. Nie ma sensu, prawda?

Bo opuścił ręce i Klaudia dostrzegła, że z trudem zapanował nad ich drżeniem. Oczy miał nabiegłe krwią i jakby zamglone. Potrząsnął głową.

- Tak sędzę. - Jego głos był chrypliwy, ale można w nim było dosłyszeć ulgę. - Co chcesz, abym zrobił... to znaczy, co mam zrobić dla Todda?

- Nic. Zrobisz, co uznasz za stosowne albo - jeśli zechcesz - nic nie zrobisz. Todd i tak zawsze pozostanie z nami i zawsze będziemy go kochać. - Zastanowiła się, czy długo potrafi jeszcze mówić tak cichym i spokojnym tonem, próbując ukoić smutek Bo, sama jednocześnie czując tak gwałtowny ból gdzieś w środku, że każde kolejne słowo przyprawiało ją o zawrót głowy. Cierpiała. Nie dlatego, że nie mogła być z Bo, ale z tego powodu, że ten siedzący naprzeciw niej młody człowiek nie był tego wart. Najboleśniej okazało się rozczarowanie.

- I niczego ode mnie nie chcesz, prawda? - zapytał prawie wesoło.

- Niczego, czego sam nie zechcesz dać. Może za jakiś czas znowu będziemy mogli być przyjaciółmi. Na pewno nie w tej chwili, ale... może kiedyś. - Ponownie wstała i tym razem Bo nie próbował jej zatrzymać.

- Przykro mi, Klaudio.

- Tak, mnie też jest przykro.

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie pozostało w niej już ani grama współczucia dla niego i usta nie zareagowały.

- No to cześć - powiedziała, po czym wyszukała w kieszeni parę drobniaków, rzuciła je z łoskotem na blat stołu, odwróciła się i wyszła z baru.

Rozdział szesnasty

Hongkong Sierpień 1981 roku

- Hej, szefie, chce pan przycisnąć starego Ching Yipa? Znowu bierze. Pan się zajmie całą grupą, a ja pójdę z nim pogawędzić, dobra? - Kapral Poon nie pracował dotąd z Tonym, ale Ingram widział, że ciągle jeszcze posługiwano się tymi starymi metodami, nawet w Wydziale do Spraw Walki z Triadą. Idziesz do kogoś, kto łamie prawo, straszysz go, on ci płaci, a ty w zamian za to w odpowiednim momencie po prostu odwracasz wzrok. Kapral uśmiechnął się szelmowsko, patrząc prosto w twarz swemu nowemu szefowi.

- Ching Yip jest przekupny? Nie wiedzieliście o tym, Chu? - Tony zwrócił się do swego sierżanta, który obserwował go z ostrożną miną.

- Nie, szefie - odparł pytany, uśmiechając się ponuro.

- Dlaczego nie, Chu?

- Przez dłuższy czas był czysty. Najwyraźniej znowu wrócił do dawnego trybu życia. - Chu wzruszył ramionami.

- W takim razie, kapralu Poon... powiedzcie mi, jak się o tym dowiedzieliście tak szybko? Musicie mieć dobrych informatorów na ulicy? - Tony mówił łagodnym tonem, wykazując jak gdyby tylko niewielkie zainteresowanie, a Poon uśmiechnął się ponownie i pokiwał głową. Nie zdołał dostrzec, że Chu zamrugał drwiąco oczyma.

- Jasne, szefie. Zawsze mam dobre źródła. Słyszałem o wielu różnych sprawach, zanim się w ogóle wydarzyły. - Jego złoty ząb zaśnił w popołudniowym świetle, jak gdyby na dowód, że mężczyzna mówi prawdę.

- Czyżby? No to pewnie wiecie wszystko o pewnym odłamie triady nazywanym „Cienkimi Ostrzami”? Ostatnio dostarczają mi coraz częściej rozrywki, nieprawdaż, Chu? - Tony uśmiechnął się ironicznie, a potem dodał:

- Znacie, kapralu, człowieka nazwiskiem Yee Fong Lo? Wołają na niego „Wielka Stopa"... Chyba o nim słyszeliście, co? A może nawet wiecie, kto go popiera? - Mogło się wydawać, że Tony zadał zupełnie niewinne pytanie, patrząc na blat biurka i machinalnie coś rysując ołówkiem, ale Poon w jednej chwili zamarł.

- Nie, szefie. Nigdy o nim nie słyszałem. - Pot na czole mężczyzny zaśnił w blasku świetlówki. Chu uśmiechnął się z satysfakcją, kiedy Tony podniósł w końcu oczy. W jego wzroku widać było rosnącą wściekłość.

- Doprawdy? Och, dajcie spokój, Poon, na pewno o nim słyszeliście... Skoro macie na ulicy takich świetnych informatorów, musicie go znać.

Prawda, Chu? - Usta Tony'ego zwięzły się w cierpkim uśmiechu. - A do którego odłamu wy należycie, Poon?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie, szefie, pan mnie ile ocenia.

- Nie, to wy mnie ile oceniacie, Poon. I nie tylko wy. Działajcie dalej po swojemu, Poon, ale rozpowiedźcie też wszystkim, że nie biorę łapówek. I że tak łatwo nie ustąpię. Powiedźcie to Yee i swoim innym świetnym informatorom. A teraz wynocha z mojego biura, i to już! -Ostatnie słowa Tony'ego zabrzmiały jak smagnięcie biczem i Poon szybko się cofnął, ominął stojące mu na drodze krzesło i pędem ruszył do drzwi. Ingram obserwował go, jak szedł.

Sierżant Chu pokiwał w milczeniu głową. Tak, tak, taki jest mój szef, powiedział sobie z dumą. I wkrótce wszyscy będą o tym świetnie wiedzieli. A gdy się tylko dowiedzą, natychmiast zaczną przeklinać jego imię.

Mark zastanawiał się, czy powinien zacząć pracę przed wrzeźniem. Jego szef wprawdzie zachował się wspaniale i gdy Mark skończył studia, pozwolił mu odpocząć przez lato, ale młodzieńcowi coraz bardziej brakowało pieniędzy i męczyło go, że stale musi wyjaśniać Sylwii, dlaczego nie mogą sobie pozwolić na różne rzeczy: na przykład na cowieczorne kolacyjki w restauracji „97” albo w innym z modniejszych lokali Centralu. Ścierając pot z twarzy, Mark pochylał się teraz nad rachunkami, przeglądając je niespokojnie. Było ich naprawdę zbyt wiele. Sylwia nigdy nie zaproponowała, że za coś zapłaci, pomyślał z irytacją, wpatrując się w wyciąg z konta bankowego. Pieniądze trzeba przecież skądś brać, zwłaszcza że ojciec przestał mu przysyłać kieszonkowe. Może nadszedł czas na kolejną wycieczkę do Manili? Mógłby zadzwonić do Yee jutro. Może zresztą zadzwoni...

Rozległo się szybkie, gwałtowne pukanie i Mark zadowolony, że coś się dzieje, podniósł się z krzesła. Przeszedł po parkiecie w samych szortach, dotarł do drzwi i otworzył je szeroko. Na jego pociągłej twarzy natychmiast rozkwitła ulga.

- O, cześć, Harry! Właśnie o tobie myślałem. - Przekręcił klucz w zewnętrznych drzwiach z metalowej kratki i zrobił krok w tył, aby wpuścić Harry'ego. Chińczyk, widząc rozłożone rachunki, szybko podniósł rękę.

- Och, nie, Mark! Ja się już tym nie zajmuję i dobrze o tym wiesz. Zadzwon do Yee, jeśli czegoś potrzebujesz. Ja już się w to nie bawię. Ile razy mam ci to powtarzać? - Opadł ciężko na wyplataną z trzciny sofę i

poczęstował się piwem z butelki Marka. Jego koszulkę z krótkim rękawem znaczyły mokre plamy. Aż lepiła się do jego skóry z gorąca.

- Cholera, jest ciepło. Mark wzruszył ramionami.

- Jest sierpień, czego się spodziewasz?

Z trudem stłumił irytację, którą poczuł do Harry'ego za odmowę pomocy. Tamten popatrzył na niego poważnie.

- Nie spotykam się już z Yee, Mark. Mam dobrą pracę i jestem teraz czysty. Nie chcę już więcej kłopotów. I nie próbuj mnie przekonywać, dobrze? - Próbował się uśmiechnąć, aby obrócić całą wypowiedź w żart, i Mark skinął głową.

- Tak, tak, wiem, zamierzasz teraz zostać najlepszym radiowym prezenterem Hongkongu, zgadza się? - mruknął drwiąco, a potem, jak gdyby nagle poprawił mu się humor, poszedł do kuchni, aby przynieść z lodówki dwie chłodne butelki piwa. Do diabła z pieniędzmi, pomyślał. Coś sobie załatwi. Gdy wracał, usłyszał, jak Harry mówi:

- Jasne. Pracuję od drugiej do czwartej nad ranem. Świetna pora, co? Ale pracuję, dostałem swój program. Nareszcie... Przecież przez rok byłem tylko kimś w rodzaju gońca. Biegałem tam i z powrotem, aby się podlizać szefom. Chcesz mi złożyć gratulacje? - Harry roześmiał się, kończąc ciepłe piwo i sięgając po świeże, zimne. Mark patrzył na niego.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Stanowczo nie. Mówię poważnie. Właśnie mi to oznajmiono. Pomyślałem, że się ucieszysz, gdy się z tobą podzielę tą informacją.

- Hej, wspaniale! Jestem naprawdę pod wrażeniem. Trzeba to oblać! - Mark wyciągnął butelkę i stuknął o butelkę Harry'ego. Jego entuzjazm był tak samo szczery jak cała ich dziwna przyjaźń. - Czy podnieśli ci również pensję?

- Jeszcze nie. - Harry wzruszył ramionami. - Jeśli się sprawdzę, wtedy, jak mówią, dostanę dodatkowe dwa tysiące dolarów na miesiąc. Może to niewiele, ale przynajmniej nikogo nie muszę za tę sumę krzywdzić. A sprawdzę się, mówię ci... Zamierzam zostać najlepszym cholernym radiowcem, jaki kiedykolwiek mieszkał i pracował w Hongkongu.

- Co nie mówi nam wiele! - zauważył Mark i obaj młodzi mężczyźni znowu się roześmiali. - No, wypijmy za nasze nowe zajęcia... i żebyśmy mieli o wiele więcej pieniędzy.

- I jeszcze za dziewczyny - dodał impulsywnie Harry. - Za gładkie, uległe, złote dziewczyny, bez których nie ma życia. - Przerwał, po czym dodał: - Och, co ja mówię. Zapomniałem, że jesteś dość mocno przywiązany do

Sylwii, prawda? Cóż, w takim razie wypijmy za to, żeby w moim życiu znalazło się mnóstwo dziewcząt. A właściwie za to, aby wszystkiego w nim było w bród...

Gdy Harry wspomniał o dziewczętach, Mark poczuł przez chwilę niezwykle podniecenie i złapał się na myśli, że wcale nie ma ochoty zobaczyć się tej nocy z Sylwią. Na samą myśl o niej czuł rozdrażnienie i... tak, może nawet znudzenie. Podczas pobytu na uniwersytecie przez jego życie przewinęło się dość sporo różnego rodzaju dziewczyn. W Stanach zresztą, co sobie teraz uświadomił, wszystko było inne: ludzie zachowywali się swobodniej i bez zahamowań. Nikt nikogo nie dręczył swymi uczuciami i przywiązaniem, związki męsko-damskie były luźniejsze. Żadnych sztywnych układów. Boże, pomyślał nagle Mark, naprawdę chciałbym sprawdzić, jakie są chińskie dziewczęta. One zrozumiałyby, że lubi sobie czasem połknąć trochę proszków, popalić „hasz”, może wciągnąć w nos „niuch” kokainy. Nie miałyby dla nich znaczenia, co Mark robi, nawet jeśli same niczego nie „brały”. Zresztą, zawsze mógłby powiedzieć jednej czy drugiej, aby się wyniosła do diabła. Naprawdę miał ochotę wyjść z Harrym do miasta i po prostu dobrze się zabawić; nie martwić się o nic, tylko beztrosko cieszyć się życiem.

Podniósł więc oczy na Harry'ego i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Muszę się z nią zobaczyć dziś wieczorem. Obiecałem, że przyjdę. Naprawdę nie mogę jej zawieść.

Harry wzruszył ramionami.

- No cóż, to nie ma znaczenia. I tak muszę się spotkać z pewnym przyjacielem.

- Z kim?

- Och, z jednym starym kumplem, który przeżywa teraz dość trudny okres. Jestem mu winien pomoc... tak mi się przynajmniej zdaje. Nazywa się Aidan. Aidan Lockhart.

- Ach tak, Ryba. Znam go trochę. Słyszałem, że zabił dziecko i teraz topi smutki w alkoholu. Podobno strasznie się stoczył... Hm, w którą stronę jedziesz?

- Do Koulunu, tam jest sporo niedrogich lokali. Aidan mówi, że zna pewną świetną knajpkę, gdzie przychodzą dziewczyny, same siadają ci na kolanach i nie oczekują, że zapłacisz im czymś więcej niż koką. Chciałbyś tam ze mną pójść?

- Hmm... - Mark zawahał się na chwilę, ale pokusa, aby uciec od Sylwii i zabawić się w sprośny, tani, męski sposób okazała się tego wieczoru o wiele bardziej pociągająca niż kiedykolwiek dotąd. - Właściwie, dlaczego nie? Dlaczego, do cholery, nie? Odstawię tę moją Sylwię. -I dwaj mężczyźni stuknęli się znowu butelkami z piwem, świętując początek nowej ery.

- Tony, nie mogę w to uwierzyć! Gdzie się ukrywałeś przez ostatnie sto lat? Och, cóż za opalenizna! Chyba w ogóle nie pracujesz, w przeciwnym razie byłbyś blady i miał ziemistą cerę zamiast całego tego brązu - trajkotała dziewczyna. W tych słowach było jakieś tęskne ciepło, prawie jak pieszczota, i Tony zwalczył w sobie chęć, by odburknąć coś wymijająco i odejść. Zmusił się do uśmiechu, patrząc na córkę Sally Freeman, która nic się nie zmieniła: była tak samo nieładna i nijaka jak zawsze. Zrozumiał, że dziewczyna jest coraz bardziej zrozpaczona i dostrzegł niepokój w jej oczach, strach, że Tony odejdzie i zostawi ją samą, wyglądającą niemądrze. Otoczył ją więc ramieniem i przytulił.

- Cześć, Pulpeciku, jak się masz? - Użył jej starego przezwiska. Mimo że było niezbyt mądre i miłe, twarz dziewczyny od razu się rozjaśniła.

- O wiele lepiej, gdy cię widzę. Co tam słyhać w policji? Słyszałam, że zostałeś inspektorem.

- Na razie jeszcze mundurowym. Nic, czego można by zazdrościć. A co u ciebie, co ostatnio porabiasz?

- Szukam męża. - Mrugnęła do niego i Tony stłumił śmiech, zaskoczony łatwością, z jaką jego przyjaciółka czyta mu w myślach.

- Touchd. A już zapomniałem, że odziedziczyłaś po matce ostry języczek.

- Cóż, niestety nie jej urodę - westchnęła z bólem dziewczyna.

- Daj spokój, po co się smucić. Poszukajmy lepiej czegoś do picia. - Uśmiechnął się swobodnie, otoczył ją ramieniem i wprowadził do ogrodu.

W przeciwległym końcu pokoju stała Sally wraz z Fran Clements, Reginaldem Hsu i ojcem Sylwii Bateman. Na widok córki i młodego Ingrama Sally przerwała rozmowę i uśmiechnęła się z zadumą.

- Cały Tony - mruknęła. - Taki uprzejmy, miły chłopiec. - Tak mocno zaakcentowała słowo „miły”, że Reginald spojrział z uwagą na młodego jasnowłosego mężczyznę, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Sally. Uniósł brwi.

- Och nie, nic z tego, co myślisz, niestety. - Sally potrząsnęła głową z żalem. - Gdyby Tony kiedykolwiek okazał komuś trochę uczucia, byłaby to Sylwia, nie moja córka. Ale ostatnio nie poświęca już zbyt wiele czasu życiu

towarzyskiemu. Nawet nie ostatnio... właściwie od czasu, gdy odeszła od nich Joanna. - Sally spojrzała szybko na Reginalda, oceniając jego reakcję na własne słowa. Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie, ale jego oczy za szklami okularów pozostały nieruchome. - Przez nią, jak sądzę, ten biedny chłopiec jest taki ostrożny, gdy chodzi o przedstawicielki płci pięknej - dodała.

- Dla mnie nie wygląda na „biednego chłopca” - powiedział bardzo spokojnie chiński biznesmen. - W gruncie rzeczy, wydaje się raczej zdolnym, młodym człowiekiem, który wie, czego chce. W rodzaju tych, którzy lubią, by ich życie było bardzo uporządkowane.

- Tak, uporządkowane... - wtrąciła się Fran. - Ale nie tylko o to chodzi w życiu, prawda? Czasami potrzeba właśnie trochę bezładu. Szczególnie w wieku Tony'ego, nie sądzicie? - Cała czwórka znowu popatrzyła na młodzieńca gawędzącego lekkim tonem ze swą towarzyszką. Był najwyraźniej w dobrym nastroju. Sally dodała:

- Nigdy się nie angażuje. Jak gdyby był tylko widzem, który nie ma zamiaru występować w rozgrywającej się sztuce. - Było to porównanie banalne, a jednocześnie jakoś dziwnie przenikliwe, toteż ojciec Sylwii Bateman poruszył się niespokojnie i pokiwał głową.

- To syn Billa, prawda? - Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie.

- Naprawdę? Ależ wyrósł - wtrącił Reginald Hsu. Nagle otworzył oczy nieco szerzej i przyjrzał się baczniej Tony'emu. Wydał mu się spokojny i opanowany. Dostrzegł też jego ostry, stanowczy podbródek, odzwierciedlający pewność przekonań i spokojny charakter młodego mężczyzny, który wyraźnie wbrew sobie samemu starał się zabawić kogoś, kto w oczach Chińczyka wydawał się przeciętną, nieciekawą dziewczyną. - Billa nigdy nie interesowali ludzie - powiedział krótko.

- To prawda. Za to Tony'ego bardzo interesują. Nie lubi, by o nim mówiono, że jest nieuprzejmy - odparła Fran. Jej uśmiech stawał się coraz bardziej roztargniony. - Wiecie? Myślę, że nie powinien się tak bardzo wszystkim przejmować. Zawsze tak się zachowuje, jak gdyby musiał brać na swoje barki wszystko, co odsuwają od siebie inni ludzie. Jak gdyby chciał naprawić całe zło tego świata... A on chciałby wszystkim pomagać. Nie ma dla niego znaczenia, czy to przyjaciel, czy obcy.

- I w ten właśnie sposób nie pozwala się nikomu do siebie zbliżyć. Jest w nim wiele dobroci, ale trzeba uważać, jeśli chce się podejść bliżej. Nie mam złudzeń, jeśli chodzi o moją córkę... czy też o jakąkolwiek inną dziewczynę,

jeśli mam być szczerą. Poza tym, gdy się ma taką pracę... -Sally przerwała i popatrzyła wymownie na Chińczyka.

- To znaczy jaką?

- Och, Reginaldzie! - krzyknęła Fran. - Myślałam, że wiesz wszystko o wszystkich. Jak możesz nie wiedzieć, że Tony pracuje w policji? -Wykrzywiła usta.

- A powinienem? - Spojrzał na nią obojętnie z góry.

Oczy Fran zwięzły się, ale postarała się, by jej głos pozostał lekki i beztroski.

- Tony po prostu bardzo dobrze wykonuje swoją pracę. Ci wszyscy ludzie, którym się dotąd zdawało, że znajdują się ponad prawem albo że mogą się z czegoś wykręcić za pomocą łapówki, po spotkaniu z Tonym uświadamiają sobie, jak bardzo się mylili. Krążą plotki, że stanowi niezłą przeszkodę dla baronów narkotykowych. - Uniosła brwi, uważnie badając wzrokiem Reginalda Hsu, który uśmiechnął się uprzejmie, ale chłodno. Fran kontynuowała z zadumą:

- Wiecie, sędzę, że Tony tak bardzo się martwi krzywdami innych ludzi z powodu „sprawek” i romansów Joanny. I zapewne z tego samego powodu jest taki ostrożny... boi się, że zostanie zraniony. Dlatego tak bardzo się koncentruje na swojej pracy. Ironia losu, nie sądzisz, Reginaldzie?

Chwilę trwała nieprzyjemna cisza.

- Grzechy rodziców obciążą ich dzieci, czy nie tak to brzmi? -zaśmiał się Reginald. - W pewnym sensie chyba tak samo się dzieje z moją córką. Porcja swoim zachowaniem co chwila przysparza mi kolejnych siwych włosów.

Wszyscy niechętnie spojrzeli na stojącą w oddali Porcję Hsu. Miała obecnie piętnaście lat, a już była oszałamiająco śliczna i przedwcześnie tego świadoma. A ponieważ córki Fran i Sally wydawały się zaledwie przeciętne, można było uznać, że Reginald Hsu zdobył kolejny punkt w tej dziwacznej towarzyskiej rozgrywce.

Dziewczynkę otaczała grupka młodych ludzi. W pewnej chwili mała odrzuciła w wystudiowanym ruchu połyskującą grzywę długich ciemnych włosów i wtedy Sally Freeman dostrzegła w jej oczach pewien chytry błysk, który zupełnie jej się nie spodobał.

- Och, nie obawiałabym się o Porcję - uśmiechnęła się słodko do Reginalda Hsu. - Ma wszystko, czego trzeba, aby sobie poradzić w życiu. A jeśli nie zdoła okręcić sobie czegoś wokół małego paluszka, rozbije to po prostu w

drobny mak. - Potem spojrzała Reginaldowi prosto w oczy i dodała: - Dokładnie tak jak jej ojciec.

Mężczyzna znowu się roześmiał, ale tym razem w tym dźwięku nie było radości. Jeszcze przez długą chwilę Chińczyk patrzył na Tony'ego Ingrama. Potem mocniej wcisnął na nos okulary w metalowych oprawkach i nerwowo zacisnął usta.

Nowy Jork Rok 1981

Klaudia widywała Jasona od czasu do czasu, kiedy wpadał, aby się z nimi zobaczyć albo, rzadziej, gdy wraz z Joaney otrzymywały zaproszenie na kolację do państwa Hewittów. Prawie już zapomniała, że brat jej przyjaciółki zdolny był zepchnąć Michaela ze schodów. Mimo wszystko, mówiła sobie, nie widziałam tego „wypadku” i opowieść o całej sprawie mogła być przecież bardzo przesadzona. Jason wydawał jej się zupełnie normalnym młodym mężczyzną i w dodatku takim czarującym. Ilekroć zwracał się do niej i chwilę z nią rozmawiał, opowiadając o najnowszych skandalach i plotkach nowojorskich czy o społeczności Westchesteru, albo gdy wyjaśniał jej finansową politykę Wall Street, czuła lekki dreszcz. Powoli zupełnie zapominała, że kiedyś uważała go za człowieka nieco dziwnego. Żył w sposób bardzo uporządkowany i dobrze wiedział, dokąd zmierza. Ostatnio zaczął jej się wydawać coraz atrakcyjniejszy i coraz bardziej ją cieszyła perspektywa kolejnego z nim spotkania.

Najnowszym towarzyszem dwóch dziewcząt, który pojawił się wraz z nowym mieszkaniem na West Side, przy Amsterdam Avenue, ze wspaniałym widokiem na Hudson i New Jersey, była mała, miła kuleczka szarego futerka, przyniesiona przez Michaela dla Joaney wkrótce po tym, jak się wprowadziły. Malec był jednym z wielu kociąt tego miotu, dla których jakiś przyjaciel Anglika próbował znaleźć dom. Kotka miała rodowód birmański, ojciec małego był natomiast całkowicie nieznan. Dziewczyny nazwały kociaka Kłębuszkiem i obserwowały z zachwytem, jak rośnie, zmieniając się z puchatej kuleczki w chudego, kościstego kociego młodzieńca. Kot lubił spać z nimi w nocy, a za dnia wiecznie i głośno domagał się czułości.

Życie trwało. Toczyło się w swoim zwykłym codziennym pędzie różnorodnych obowiązków, nauki, wykładów i ćwiczeń, egzaminów. Obie dziewczyny były tak zagonione, że ledwie zauważyły, jak nadszedł listopad. Klaudia była już na trzecim roku. Nadal pracowała u Succiego, pedałuąc co dzień na rowerze przez zatłoczone ulice, przez korki, omijając śmieci, którymi zasypane były chodniki. Unikała dziwacznie się zachowujących rastafarian z

fruwającymi, splecionymi w dredloki włosami, objeżdżała przysadziste włoskie matrony wołające do obojętnych dzieci: „ecco, Stasi, ecco!”, mijała starannie ubranych w eleganckie garnitury biznesmenów i odzianych w dżinsy artystów, noszących przed sobą niczym wartościowe symbole teczki i rulony. Tu, w Nowym Jorku, pomyślała Klaudia, jest większa mieszanina ludzka niż w całej Ameryce, a wszyscy pogrążeni w rozmowach lub milczący, szli rażno w szybkim tętniącym rytmie i byli tak bardzo elegancy, tacy rozumni... i tak pełni życia!

Znalazła wymówkę, aby nie wracać na Boże Narodzenie do Judson i wynagrodziła rodzinie brak swego towarzystwa, wysyłając wszystkim drogimi prezenty, które kosztowały niemal więcej niż zarobiła przez wakacje. Ale regularnie płaciła za college i mieszkanie, z czego była bardzo dumna. Bo też byłby ze mnie dumny, pomyślała bezwiednie, a potem wyśmiała sama siebie, że przychodzą jej do głowy takie myśli.

Podczas semestru wiosennego trzeciego roku studiów Klaudii Michael poprosił Joaney o rękę. I Joaney się zgodziła.

- Chcesz za niego wyjść? Ależ on już jest żonaty! - wyrwał się z ust Klaudii protest, zanim zdołała się zastanowić nad swoimi słowami. Joaney, wyciągnięta na kosztownej skórzanej sofie, która nosiła już ślady łap Kłębuszka, stężała nagle i mina jej zrzędła.

- Nie cieszysz się? Myślałam, że się ucieszysz. Wiesz, jak wiele on dla mnie znaczy, Klaudio, jak możesz nie cieszyć się naszym szczęściem? Michael dostanie rozwód, ja skończę studia, zrobię dyplom i pobierzemy się. Co w tym takiego strasznego? Dlaczego patrzysz na mnie, jak w dniu Sądu Ostatecznego, na litość boską?

Wstała, przeszła nerwowo po podłodze, skacząc z jednej plamy słonecznego światła do drugiej, po czym zaczęła wypatrywać słabego blasku rzeki Hudson, który czasem można było dostrzec z balkonu. Kłębuszek podążył za nią. Ocierał się o jej kostki, jednocześnie pogrążony w zabawie własnym koniuszkiem ogona. Przez chwilę Klaudia obserwowała go, zastygła i głęboko zamyślona.

- Dzień Sądu Ostatecznego?

- Och, no wiesz chyba, co mam na myśli. Nie możesz być szczęśliwa tylko dlatego, że ja jestem szczęśliwa? - Joaney zapaliła papierosa i szybko wypuściła kłąb dymu.

- Ależ, Joaney, jestem szczęśliwa! Oczywiście, że jestem! Po prostu trochę mnie zaskoczyłaś, to wszystko. Nie spodziewałam się tego.

I zmartwiona, zadała sobie te wszystkie pytania, które miałyby ochotę zadać głośno, ale nie chciała drażnić przyjaciółki. A było ich sporo. Jak, na przykład, zareaguje jego rodzina? Jak długo trzeba czekać na rozwód? Co zrobisz, droga przyjaciółko, za dwadzieścia lat, kiedy będziesz dopiero kobietą czterdziestoletnią, a on będzie dobiegał siedemdziesiątki? Ale zamiast pytać, Klaudia tylko się uśmiechnęła i rozwarła ramiona. Joaney wydała z siebie radosny okrzyk i uściskała ją mocno i szybko.

- Och, jesteś taką dobrą przyjaciółką, Klaudio. No, tak samo jak ty, widzę problemy, ale myślę, że zdołamy sobie z nimi poradzić. Prawda? To znaczy... skoro się kochamy, wszystko inne da się chyba jakoś ułożyć. Nie sądzisz? Musisz tylko pomóc mi przez to przejść, Klaudio, naprawdę potrzebuję twojej pomocy... Michael i ja, oboje potrzebujemy twojej pomocy.

Pozwoliła się odsunąć przyjaciółce, ciężko usiadła na jednej z sof, po czym położyła się na niej i zwinęła w kłębek. Natychmiast na sofę wskoczył Kłębuszek i zaczął się przymilać, ocierając się o nogi Joaney i o poręcz, wydając z siebie z zadowoleniem niskie kocie pomruki. Joaney drapała go pod brodą.

- Ależ oczywiście, że wam pomogę. Przecież jestem tutaj. - Tylko błagam, pomyślała Klaudia, nie prosź mnie, abym przekazała tę wiadomość Jasonowi, tylko tyle. Wszystko, tylko nie to. Rozejrzała się po mieszkaniu, zastanawiając się, co jeszcze ma powiedzieć Joaney. Wszystko wydawało jej się trochę płaskie.

- Hm, czy nie powinniśmy tego oblać, co? Może otworzymy szampana?

Zobaczyła, że zasmucona dotąd twarz Joaney się rozjaśnia i z oczu przyjaciółki znika podejrzana wilgoć.

- Jest w lodówce. Matka dała mi go ostatnim razem, gdy się spotkałyśmy. Zatkanoby ją, gdyby wiedziała, co nim oblewamy, nie sądzisz?

- No! Więc zabierzmy się za niego. A co z Michaelem? Gdzieś wyjechał? - Klaudia przyniosła butelkę z lodówki i podała ją Joaney do otwarcia.

- Tak. Pojechał zobaczyć się ze swoim szefem i zadzwonić do swojego prawnika. Podobno z żoną rozmawiał już o tym na Boże Narodzenie i powiedział jej, że może zatrzymać dom... to jest klejnot rodowy Glendinningów i ona się bała, że jeśli się rozstaną, będzie się musiała z niego wyprowadzić. Ale uzgodnili, że ostatecznie dom otrzyma ich najstarszy syn, więc ona może być spokojna. Żona zgodziła się powiedzieć w sądzie, że nie żyją już z sobą od ponad trzech lat, więc rozprawa rozwodowa powinna przejść gładko jak jedwab. Zupełnie bez problemu.

Joaney machnęła szczupłą dłonią, jakby odprawiając żonę narzeczonego i wszystkie związane z nią kłopoty. Klaudia mimowolnie zacisnęła usta.

- A co z ich dziećmi? Jak to wszystko przyjęły? - spytała i dostrzegła, że Joaney spuszcza oczy i koncentruje się na korku, który po mistrzowsku powoli wyjmowała z butelki.

- Och, nic im nie będzie. Chwilowo są trochę zmieszane i zdenerwowane, rzecz jasna, ale kiedy zobaczą, jak bardzo Michael jest ze mną szczęśliwy i kiedy zrozumieją, że ich życie wcale się nie zmieni, że starczy również dla nich pieniędzy, to wtedy... - Joaney znowu machnęła ręką, wyrzucając tym samym dzieci Michaela ze swoich myśli. - No, gdzie są kieliszki? Okay, dzięki. A teraz wypijmy za Michaela i za mnie, za nasze szczęście i za to, żeby moi rodzice nie odebrali mi polisy oszczędnościowej.

Roześmiała się wesoło, ale Klaudia dosłyszała w jej głosie, że dziewczyna jest o krok od hysterii.

- Mogą to zrobić?

- Nie, nie mogą. Otrzymałam ją po zmarłej babce, więc rodzice nie mogą tych pieniędzy dotknąć. To był tylko kiepski żart z mojej strony. Powiem ci coś - dodała Joaney, głaszcząc Kłębuszka, wyciągnięta na sofie - nie mówmy na razie nic mojej rodzinie. Zaczekajmy, aż Michael otrzyma rozwód, dobrze? Wtedy możemy zacząć nad nimi pracować, przekonać ich do tego powoli i łagodnie, a nie po prostu rzucić na nich tę informację jak bombę. Co o tym sądzisz? - Joaney podniosła oczy na Klaudię, oczekując potwierdzenia.

- Taak, zdaje mi się, że to dobry pomysł. - Klaudia uśmiechnęła się i łyknęła szampana, próbując zapanować nad mdłościami napływającymi jej do żołądka. - Dlaczego nigdy nie zaprosisz tutaj rodziców na kolację. Oni, ty i Michael, może jeszcze Jason i ja? Musisz ich zacząć przyzwyczajać. Niech zobaczą, że ich córka jest już dorosłą osobą, która ma swoje własne mieszkanie i żyje na swój własny sposób. To mogłoby wiele pomóc, nie uważasz? - Niemal tak dużo jak machanie znakiem stopu przed stadem szarżujących słoni, pomyślała Klaudia, ale nie powiedziała tego głośno. Próbowała myśleć optymistycznie przez wzgląd na Joaney.

- Fantastyczny pomysł! Zaproszę ich na piątkowy wieczór. A ty mogłabyś z kolei popracować nad Jasonem, dobrze? Jest w tobie kompletnie zadurzony, a ty przez cały czas traktujesz go ozięble. Nie mogłabyś być dla niego trochę miłsza, tylko dla mojego dobra? Spróbuj go sobie owinać wokół małego palca, dobrze? Zrób to, Klaudio, tylko dla mnie? Proszę cię!

I tak właśnie Klaudia zaczęła chodzić z Jasonem na herbatkę i na koncerty kameralne na Dziedzińcu Palmowym Hotelu Płaza, na kolację do „Klubu 21”, na wystawy nowoczesnej sztuki w muzeum Guggenheima. Wjeżdżała z nim windą na szczyt lub schodziła spadzistym chodnikiem, oglądając obrazy. Uczęszczała na wystawy sztuki dawnej w Metropolitan Museum of Art, słuchała premierowego przedstawienia Aidy Verdiego w Metropolitan Opera albo oglądała West Side Story na Broadwayu. Łatwo było przystosować się do takich planów, rozkoszować się przyjemnymi aspektami Nowego Jorku, na które nie byłaby w stanie sobie pozwolić bez Jasona. Patrzyła teraz na niego inaczej, śmiała się z jego dowcipów, cieszyła się jego wytwornym towarzystwem, mimo że postanowiła stanowczo, że nie zamierza się angażować. A Jason zaczął wiązać z Klaudią spore nadzieje, chociaż powtarzał sobie w kółko, za każdym razem, kiedy ją odprowadzał do domu: „Nie spiesz się, nie popędzaj, inaczej wszystko zepsujesz”. A jeśli Jason naprawdę czegoś chciał, potrafił być bardzo, bardzo cierpliwy.

I dlatego właśnie słowem się nie sprzeciwił, gdy Klaudia oznajmiła, że jedzie do Judson na swoje trzecie już studenckie lato. Pocałował ją tylko lekko w usta, odchylając na moment jej głowę. Przyjrzał się wtedy tej twarzyczce o zamkniętych oczach, po czym po prostu odszedł, mówiąc niedbale, że będzie za nią tęsknił. Nie zaproponował, że do niej zadzwoni czy napisze, ponieważ wiedział, że nie będzie go ceniła, gdy okaże, jak bardzo jej pragnie.

A Klaudia, zachwycona jego taktem i poczuciem humoru, zadowolona, że Jason zawsze wie, jak należy się zachować i że jest dla niej taki czuły i serdeczny, zastanawiała się, czy powinna zacząć go traktować poważnie. To prawda, że widywała się z nim ostatnio regularnie co tydzień i nie było jej łatwo pogodzić tych spotkań z zajęciami i pracą u Succiego, ale Jason był przecież kimś... naprawdę wyjątkowym. A Klaudia wiedziała, że wyjątkowi mężczyźni nie spadają z nieba. Jednak, choć tak jeszcze naiwna i niczego nie świadoma, wiedziała, że następnym razem Jason będzie od niej oczekiwał czegoś więcej.

Rozdział siedemnasty

Hongkong Sierpień 1982 roku

- „Słodki chłopiec, słodkie marzenia” - nucił pod nosem Aidan, kołysząc głową łagodnie z boku na bok. - „Tatuś poszedł na polowanie, bądź więc cicho, moje kochanie, cii, bądź cicho moje słońce, tatko poszedł zapolować na zające” -głos mu się załamał i chłopak mruzczał coś teraz smutno, a różne myśli chaotycznie przebiegały mu przez ociężałą głowę. Mark trącił go stopą, ale Aidan nie podniósł oczu, wykręcił tylko lekko szyję i wpatrzył się we własne dłonie, po czym nucił dalej: - „Biedne kochanie, biedna moja mała, nie jesteś już dziewczynką, gdy tatuś wraca z polowania, by cię owinać zajęcą skórka, moja droga córko...”.

- Jest zupełnie nieprzytomny, ilekroć zmiesza z sobą zbyt wiele środków naraz. Alkohol, narkotyki, „pobudzacze”, „uspokajacze”, nawet jakieś chińskie lekarstwa ziołowe, sam wiesz... A wszystko dlatego, że nie może zapomnieć, jak zabił to dziecko. Ciągłe to rozpamiętuje, więc stara się przez większość czasu nie być trzeźwy... aby nie myśleć i nie pamiętać.

Harry pochylił się nad Aidanem i skrzywił się, gdy poczuł jego kwaśny zapach, nieświeży oddech, który dobywał się z ust przyjaciela. Uderzył go lekko w policzek, ale Aidan nie zareagował.

- Może powinien wyjechać stąd na jakiś czas. Odwiedzić jakichś przyjaciół za granicą albo coś w tym rodzaju... może trzeba by go wysłać do kliniki na odtrucie - zasugerował Mark, kiedy we dwóch dźwignęli młodego mężczyznę i pociągnęli na niską otomanę. Mark uderzył przy tym głową o metalową poręcz i zaklął. Właściciel opiumowej spelunki uśmiechnął się z ulgą. W mroku słodkawego dymu błysnęły jego złote zęby.

- Wynoś się! Tym razem, nie wracać szybko, nie bez pieniędzy! Odejść! Ty iść! - krzyczał łamaną angielszczyzną do leżącego Aidana, którego leniwy uśmiech i szkliste, martwe oczy nie wskazywały, żeby chłopak cokolwiek słyszał. Mark podrzucił bezwładne ciało w górę, aby je lepiej uchwycić, a Harry poślizgnął się na czymś wilgotnym na podłodze i nieomal upadł. W pomieszczeniu było mroczno, ale Harry dostrzegł, że na wielu innych kozetkach również leżeli ludzie, których otaczał dym z pykanych fajek. Zakaszłał i zaczął się wolno wycofywać do korytarza. Kiedy uderzał go zapach opium, zamykał usta. Stale sobie przypominał, że jeszcze nie tak dawno sam żył w podobny sposób. Gdy teraz patrzył na nieruchome ludzkie ciała, był szczęśliwy, że zupełnie się z tego otrząsnął.

- Ułóż go na tylnym siedzeniu i postaraj się wpakować do środka jego ręce i nogi - polecił Mark, gdy obaj starali się przejść przez korytarz i wyjść na ulicę, gdzie stał zaparkowany mały sportowy samochód Babcocka. Sapiąc z wysiłku, dwaj mężczyźni umieścili Aidana w samochodzie i przystanęli przed nim, gwałtownie łapiąc oddech.

- Cholera, to jest drugi raz w tym miesiącu, Harry. W tym tempie nie dociągnie do końca roku - westchnął ciężko Mark. — Gdzie go zabierzemy?

- Niech mnie kule biją, jeśli wiem. Jego rodzice nie chcą go już znać, a nikt inny go nie przyjmie. Pozostaje więc twoje i moje mieszkanie. Ale ja mam za niecałą godzinę program, więc najlepiej by było, gdybyś ty go wziął do siebie na jakiś czas. Przyjadę po programie i wtedy się nim zaopiekuję. - Harry zobaczył minę Marka i podniósł ręce. - Nie? Wobec tego, co proponujesz?

- Nie wiem, jeszcze nie wiem. Pewnie najpierw zabiorę go na przejażdżkę, niech się trochę przewietrzy. Ale potem go zabierzesz, okay? Zadzwoń do mnie wcześniej. - Wsiadł do samochodu, podniósł dłoń w pożegnającym geście. Harry wzruszył ramionami.

- Dobra, do zobaczenia później. - Chińczyk obrócił się i zaczął iść wzdłuż kouluńskiej ulicy Cheung Sha Wan ku stacji metra MTR przy Sham Shui Po. W ten sposób najszybciej mógł się dostać do Commercial Radio w Hongkongu. Jego nowy wieczorny program zaczynał się o ósmej. Obserwował chwilę, jak Mark zawraca samochód i kieruje go w dół ulicy z nerwowym piskiem opon.

Aidan przesadził tym razem, pomyślał Harry, jak zwykle odczuwając jednocześnie wyrzuty sumienia i dziwny triumf. Zawsze tłumił te odczucia i bardzo się ich wstydził. Ale już taką miał naturę, wiedział o tym doskonale. Cieszył się ciągle, że nie przytrafił mu się czyjś los, że awansował, piął się w górę po społecznej drabinie, podczas gdy inni się staczali i szło im coraz gorzej, mimo że na starcie mieli o wiele lepsze możliwości niż Harry. Przyszło mu nagle do głowy, że może wyjaśnienie tkwi - jak twierdziła jego matka - w dwóch uzupełniających się połówkach życia: jin i jang. A przecież kiedyś tak bardzo szydził z niej i jej staroświeckich zabobonów. Teraz nagle zdało mu się, że ta kobieta mogła mieć rację.

Aidan był jin, stanowił mroczną, negatywną siłę, a Harry był jang, był siłą jasną i pozytywną. Miał teraz swój własny program radiowy i orszak wiernych słuchaczy, którego szeregi rosły co noc. Producenci uważali, że Braga jest na czasie i że daje im to, czego chcą: dobrą muzykę, świetne wywiady z zaproszonymi gośćmi, inteligentne rozmowy z dzwoniącymi

słuchaczami, wskazówki dotyczące miejsc, gdzie można dobrze zjeść i kulturalnie się zabić.

Co z tego, że Aidan umożliwił Harry'emu start, że pomógł mu znaleźć pracę z perspektywami? Sam dokonał reszty, musiał być dobry, skoro wspiął się wyżej... Nie, nic więcej już nie musiał robić dla Aidana. Nie był mu już nic winien. Już nie. Musiało istnieć jin, skoro istniało jang, tylko tyle. Nie można mieć jednego bez drugiego, uspokoił siebie. Tak właśnie funkcjonował świat, ale to nie znaczy, że teraz do końca życia Harry ma się w podzięcie opiekować Aidanem.

Kiedyś zastanawiał się, czy nie powiedzieć Aidanowi prawdy na temat Yee, czy nie przekazać mu tego, co wiedział, i swoich podejrzeń. Teraz jednak nie było już o czym mówić. Komu Aidan przekazałby uzyskane informacje? I czy ktoś by mu w ogóle uwierzył? Poza tym Harry przecież z niejakim wysiłkiem uwolnił się już od całej tej brudnej sprawy i wiedział, że nie pozwoli się w nią wciągnąć znowu. O nie! Nie, kiedy miał tak wiele do stracenia, całą swoją przyszłość, karierę, kontakty z uczciwymi, normalnymi ludźmi, z którymi chciał spędzić życie, takimi jak Liddie, kiedy wreszcie wróci... Nie zamierzał poświęcać tych wszystkich wspaniałych marzeń tylko z powodu niejasnych wyrzutów sumienia i poczucia winy.

Z tymi myślami zszedł po betonowych schodach do stacji MTR.

Mark szybko przejechał oświetloną migającymi neonami Waterloo Road, na skrzyżowaniu skręcił w Princess Margaret Road, potem przez Hong Chong Road dotarł do mrocznego, głośnego Harbour Tunnel, który łączył Koulun z Hongkongiem. Przez całą drogę prawie nie myślał o Aidanie, ponieważ dręczyła go myśl, że jest już spóźniony na spotkanie z Yee. Koncentrował się na jeździe i z gniewem patrzył na sznury samochodów, przelewające się przez tunel, pracę do przodu. Gdy tunel się skończył, Mark skręcił w lewo i przejechał obok Parku Victorii. Miał się spotkać z Yee przy świątyni Tin Hau. Powoli zapadał zmrok, uliczne światła wymuszały pośpiech, jeśli się chciało zdążyć, zanim miasto zasnuje się fioletowym płaszczem nocy. Mark jechał coraz wolniej, niepewny kierunku.

Zazwyczaj Yee nie spotykał się z Markiem osobiście, tylko wysyłał młodszego członka triady, który wręczał Babcockowi bilet i papiery oraz wyjaśniał, dokąd ma jechać. Ale tym razem Yee poprosił o spotkanie w cztery oczy i Mark nie chciał się spóźnić. Zwłaszcza że pieniądze, które zarobił podczas ostatniej wycieczki, już stracił. Naprawdę potrzebował Yee. Z niepokojem zastanowił się, czy rzeczywiście umówił się na siódmą; może

spotkanie miało się jednak odbyć o ósmej? Przez chwilę nie był zupełnie pewny. Nie, nie, to chyba była siódma... A może jednak ósma?

Okrążył park, przejechał Causeway Road i dotarł do King's Road. Tam na chwilę się zatrzymał, gdy zauważył, że ulica jest jednokierunkowa i ruch drogowy odbywa się na niej dokładnie w przeciwną stronę. Skręcił więc w prawo, zatoczył pętlę, wjechał w Tin Hau Tempie Road i zanim w końcu zdołał dostrzec jakieś miejsce do zaparkowania, minął świątynię. Przeklął głośno, dając upust frustracji. Na pewno się spóźnił, cholera jasna, spóźnił się!

Ulice były zatłoczone. Pełno na nich było klientów otwartych do późna sklepów, kramarzy i przekupniów, którzy na gazetach rozłożyli swe towary wprost na chodniku, starych kobiet ponaglających Marka, aby kupił jakieś skorupy nefrytowe lub steatytowe, obiecując, że te amulety będą go chronić przed złem. Wszędzie wytrwale handlowali wróżbici, stukocząc rzucanymi pałeczkami, co jeszcze bardziej dezorientowało Babcocka. Z podwyższenia w jakimś dalszym narożniku słychać było przenikliwe krzyki i jęki ulicznego przedstawienia; czynele i tamburyny uderzały w odpowiednim momencie, gdy tłum poruszał się i tracił oddech, oglądając odgrywane jakąś sztukę malowane postaci. W pewnej chwili minął Marka starzec, niosący towary w dwóch wiklinowych koszach, balansujących po bokach. Gdy przechodził, Babcock aż mruknął z oburzenia, ponieważ poczuł uderzenie ciężkiego kosza w zgięcie kolana.

W przeciwieństwie do ruchu i jasności ulicy świątynia stanowiła zacienioną oazę martwej ciszy. Gdy Mark ją dojrzał, skręcił w jej kierunku i przyspieszył kroku. Minął wielkie rzeźbione drzwi i nagle owionął go prawdziwy spokój. Tu i ówdzie słychać było jedynie ciche posuwanie się gołych stóp i mamrotanie modlitw i śpiewów; odgłosy te słyszane ze sporej odległości nieprzyjemnie zakłócały ciszę. Kilku wiernych kuliło się nad świecami w rogu. Mark minął ich i skręcił w korytarzyk. Jego niepokój rósł z każdą chwilę, nigdzie nie widział bowiem śladu Yee.

Zobaczył go dopiero chyba w piątej komnacie. Z sufitu zwisały tu pachnące bursztynowe spirale kadzideł, które wyglądały jak kosze i rozsiewały wokół siebie słodki, duszący dym. Jego kłęby unosiły się nad kamienną podłogą. Mark przystanął w cieniu, dostrzegając w przelocie coś osobliwego. Chwilę się zawahał, ale nadal pozostał w ukryciu.

W pomieszczeniu nikt się nie modlił. Była to zresztą komnata położona wyjątkowo daleko z tyłu od wejścia i prowadził do niej prawdziwy labirynt kolejnych sal, przechodzących jedna w drugą. Większość z nich była bardzo

ciemna, rozświetlona ledwie wsączającym się przez maleńkie okienka wieczornym światłem z ogrodu lub jarzącymi się w metalowych koszach kawałkami koksu - czerwonymi niczym dziwne klejnoty w mrocznej, słodkiej gęstości powietrza. W tym słabym blasku dostrzec można było lakierowane w kolorach złota i czerwieni statuetki uosabiające Buddę.

Mark wymacał tkwiący w kieszeni aparat fotograficzny, który przyniósł, zdecydowany pstryknąć Yee zdjęcie, ot tak, dla asekuracji, na wszelki wypadek, gdyby miało zaistnieć jakieś ryzyko. Teraz czuł, jak ciąży mu w kieszeni, jak działa na jego niekorzyść i obarcza go odpowiedzialnością, a może czymś jeszcze gorszym. Zastanowił się, czy go nie ukryć albo w ogóle wyrzucić. Ale wahał się, ponieważ ciągle kusił go ten pomysł. Dobrze byłoby mieć coś na wielkiego Yee Fong Lo.

Yee nie był w komnacie sam. Wraz z nim znajdowały się tam dwie męskie postaci. Jedną Mark dostrzegał dość dobrze, ale jej nie rozpoznawał. Był to człowiek w średnim wieku, duży, o ciężkich, topornych rysach, lekko siwiejący. Druga osoba częściowo ukryła się w cieniu i Mark nie widział jej wyraźnie.

Czekał, nie chcąc im przerywać. Słyszał ich szept. Co dziwne, Yee najwyraźniej nie był z nich najważniejszy. Okazywał szacunek obu mężczyznom, zwłaszcza temu schowanemu w mroku. Uświadomiwszy sobie ten fakt, Mark poczuł ukłucie strachu, po jego skroniach zaczął spływać pot i w gardle mu zaschło.

Działo się tu coś, z czego instynktownie zdawał sobie sprawę, coś niezwykłego, coś, czego z pewnością nie powinien widzieć. Mężczyzna w średnim wieku otrzymał właśnie jakąś paczkę i ukrył ją w kieszeni swojej marynarki. Znowu rozległy się kolejne niezrozumiałe pomruki, jak gdyby zawierano jakiś interes lub układ. Mark cofnął się w głębszy cień padający od filaru i czekał, przyciskając plecy do kamienia, niemal marząc, by się w nim roztopić. Gdyby Yee się dowiedział, że on patrzy... Mark przełknął gorzką ślinę, a jego oddech przemienił się w sapanie. Miał ochotę odwrócić się i uciec, ale wiedział, że takie zachowanie byłoby fatalne w skutkach. Lepiej się schować, nic nie mówić, a potem udawać, że się niczego nie widziało. Aparat mocno uwierał go w udo.

Przez chwilę wydało mu się, że mężczyźni się rozchodzą i ich głosy podniosły się na moment, kiedy odsunęli się od siebie. Mark zaryzykował i wychylił się do przodu. Spojrzał w ich kierunku jeszcze raz. Rzeczywiście odeszli, chcąc obejść dziedziniec i przez sekundę wszyscy trzej stali się

doskonale widoczni. Niemal bezwiednie Mark podniósł aparat i zrobił zdjęcie. Dźwięk, który się rozległ, był zatrważająco głośny w tej niszy. Mark natychmiast się wycofał, przycisnął plecy do ściany i macał ją tak długo, aż znalazł framugę, w którą wsunął aparat. Mężczyźni zatrzymali się, rozejrzeli ostrożnie, ale ponieważ nie usłyszeli żadnego nowego odgłosu, obrócili się i pospiesznie odeszli, przy czym każdy z nich wyszedł przez inne drzwi.

Blisko Marka przeszła jakaś postać i na moment chłopak zobaczył trzeciego uczestnika spotkania. Był to wysoki mężczyzna o kwadratowych ramionach, aroganckiej minie i butnie zadartej głowie. A kiedy w dodatku Babcockowi błysnęły szkła jego okularów w metalowych oprawkach, wiedział już doskonale, kim tamten jest.

Przez długie minuty ciszy Mark dalej kulił się w mroku, a potem w końcu wysunął głowę. Wokół nie było nikogo.

Drżąc na całym ciele wycofał się z komnaty i wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Bez przeszkód dotarł do zewnętrznego dziedzińca, a tam usiadł na kamiennej ławce, oczekując, aż przestanie mu walić serce. Powoli zaczął oddychać normalnie. Poszukał chusteczki do nosa i otarł ostrożnie twarz, i dalej siedział nieruchomo, z pustką w głowie. W końcu wstał i ruszył do portalu świątyni. Zapadł już mrok, jak gdyby rozpoczął się trzeci akt przedstawienia. Mark oparł się o filar i obserwował, jak duża wskazówka z wolna dochodzi do godziny ósmej.

Nagle czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia, a Babcock obrócił się, zupełnie spokojny i opanowany, po czym spojrzał niewinnie w oczy Yee Fong Lo.

Kiedy spotkanie z Yee skończyło się pomyślnie, Mark ze starannie schowanymi w kieszeni biletami i notatką z celem podróży wrócił do samochodu. Aidana nie było. Wzruszył ramionami, zaledwie przez sekundę zastanawiając się, dokąd tamten mógł pójść, a potem, wyczerpany przeżyтым strachem, wsiadł do auta i rozpoczął długą jazdę do domu. W głowie świdrował mu tępy ból spowodowany napięciem; Mark wiedział, że wkrótce zacznie się migrena. Ale niespokojne myśli dręczyły go, nie dawały mu spokoju, kłębiąc się w głowie, gdy jechał. Pytania cisnęły mu się na usta. Co, do cholery, Yee miał wspólnego z tymi właśnie dwoma mężczyznami? O co tu, u diabła, chodziło? I co by było, gdyby go tam odkryli? Sama myśl o konsekwencjach, które mogłyby go spotkać, gdyby zauważono jego obecność, sprawiła, że Mark ciężko i głośno przełknął ślinę w suchym gardle.

Musiałoby minąć jeszcze kilka kolejnych dni, zanim mógł wrócić po aparat, który ukrył we framudze, i jeszcze wiele następnych, zanim zdołał odkryć

tożsamość ostatniego uczestnika rozmowy - siwiejącego mężczyzny w średnim wieku. Ale kiedy się wreszcie dowiedział, kim tamten jest, poczuł prawdziwy lęk i przesiedział całą noc z nalaną twarzą o ziemistej cerze, zastanawiając się, co się wokół niego, do diabła, dzieje.

Nowy Jork Wrzesień 1982

Ponownie zadzwonił telefon i Klaudia westchnęła ciężko. Kłębuszek zeskoczył na podłogę i wydał z siebie prychnięcie, a ogon wyprostował mu się niemal pionowo w powietrze. Dziewczyna odłożyła na bok książki, ściszyła śpiewającego na kasecie o swojej Maggie Roda Stewarda i podniosła słuchawkę.

- Słucham? Przepraszam, co takiego? Mówisz, że czyim jesteś przyjacielem? - Usiadła na sofie, wykrzywiając się, by usłyszeć cichy głos. W tle słychać było hałasy, dziwnie zniekształcone, nerwowe głosy, co rusz wybuchające osobliwe świsty i jakiś pusty przepastny dźwięk.

- Marka, twojego brata. - Zdanie dotarło do niej we fragmentach.

- Marka? A skąd dzwonisz? - Zamachnęła się gniewnie ręką na Kłębuszka, który wykorzystując jej nieuwagę zaczął ostrzyć sobie pazury na meblach. Kot zlekceważył jej gest i dalej robił swoje, przyglądając się filuternie swoimi skośnymi szarymi oczkami.

- Dworzec Kolejowy Grand Central. Mark dał mi paczkę dla ciebie. Nie chciałem przemierzać całej drogi, nie wiedząc, czy cię zastanę. Będiesz w domu jeszcze przez jakiś czas? - spytał głos niewidocznego osobnika i Klaudia stwierdziła nagle, że nie jest pewna jego płci.

- Hm, tak sędzę. Ale jeśli wolisz, wyślij ją pocztą. To znaczy... jesteś dokładnie na drugim końcu miasta, a na dworze jest straszliwie gorąco. Jeśli to jest dla ciebie problem...

- Gdyby Mark chciał, aby to poszło pocztą, nadałby ją sam. Przyniosę ci tę paczkę. - Połączenie zostało przerwane i Klaudia powoli odłożyła słuchawkę, czując się dziwnie nieswojo, jak gdyby zetknęła się z czymś niezwykle wstrętnym lub brudnym.

Kim może być ten przyjaciel Marka, zastanowiła się Klaudia. A może to kobieta? Zmarszczyła niechętnie twarz i ponownie włączyła muzykę, żałując, że nie ma w domu Joaney, aby dotrzymała jej towarzystwa gdy zjawi się tu nieznajomy.

Przez następne dwadzieścia minut Klaudia zachowywała się dość nerwowo. Przez jakiś czas niespokojnie chodziła tam i z powrotem po salonie, potem goniła Kłębuszka, który pastwił się nad meblami, aby przyciągnąć

uwagę swej pani. Co chwilę podchodziła do okna i wyglądała na błotniste brzegi rzeki. Książki leżały zapomniane na sofie, mimo że powinna sporo przeczytać przed jutrzejszym zajęciami.

Zamiast tego skupiła umysł na dziwnych listach, które Mark przysyłał jej w ciągu tego lata. Były naprawdę osobliwe, a jej brat pisał w nich urywanymi, chaotycznymi zdaniami o sobie samym i Harrym. Z tego bezładu wynikało jednak jednoznacznie, że dwóch młodych mężczyzn łączyła prawdziwa przyjaźń, mimo jej dziwaczного początku, którego Mark nigdy dokładnie siostrze nie opisał. Klaudia uśmiechnęła się na myśl, że Harry i Mark są teraz przyjaciółmi. Westchnęła głęboko i poczuła wielką tęsknotę za tymi dwoma bliskimi jej niegdyś chłopcami, których wówczas tak dobrze знаła. Ale tej tęsknocie i wspomnieniu towarzyszyło pytanie, dręczące ją od pierwszej chwili: który z nich zmienił się tak bardzo, że mogła ich teraz połączyć bliska przyjaźń.

Było też dla niej oczywiste, że w całej tej sprawie musiało tkwić coś więcej, niż Mark jej napisał. Zamiast odpowiadać na jej pytania, zamiast pisać o tym, co naprawdę go dręczyło, często jego listy zmieniały się w wielką pieśń chwalcącą cudowny Wschód, świat, który Klaudia ledwie już pamiętała. Brat pisał jej, że czuje się bardzo związany ze Wschodem, że nie potrafi oddychać innym powietrzem, że tamten świat naprawdę rozumie jego potrzeby. Jego potrzeby... jakie potrzeby, pytała siebie dziewczyna. O co mu właściwie chodzi, na litość boską? I co jej teraz przysłał?

Wreszcie, o wiele wcześniej niż się spodziewała, zadzwonił domofon. Klaudia zawahała się, a potem podjęła decyzję.

- Słucham? Tak, wejdź, czwarte piętro, mieszkanie cztery B. -A potem popędziła przez pokój do telefonu, chwyciła słuchawkę i szybko wycisnęła numer.

- Halo, Jason? Tak, to ja... posłuchaj. Wytlumaczę ci wszystko później, ale teraz chciałabym, żebyś tu przyjechał... natychmiast... nie, tu ma przyjść taki facet, myślę, że to facet... och, Boże, jest już przy drzwiach. Słuchaj, czy możesz tu po prostu szybko przyjechać? Mógłbyś być tutaj za pięć minut, jest w końcu niedzielny wieczór... no, nie wiem! Naprawdę czuję jakiś niepokój... okay, dzięki, cześć.

Odłożyła słuchawkę, zastanowiła się, czy przypadkiem nie zachowała się jak przerażona idiotka, czy wciąganie w to wszystko Jasona było rozsądnym posunięciem. Ale stało się, niczego już się nie da odwrócić.

- Chwileczkę! Już idę. Muszę tylko zamknąć psa w drugim pokoju. Nie lubi obcych. - Poczekała jeszcze dwie minuty, a potem otworzyła drzwi, nie zdejmując łańcucha.

Za nimi stał młody mężczyzna, około metra osiemdziesiąt, ciemnowłosa, ciemnooki, z obwisłymi policzkami, niedogolonym podbródkiem i tego rodzaju szarą cerą, którą można uzyskać jedynie, jeśli przez dłuższy czas prowadzi się nocny tryb życia. Był ubrany w ciemny płaszcz nieprzemakalny i dżinsy, mimo że był wrzesień i w Nowym Jorku panowało gorąco nie do zniesienia. Mimo nie najlepszego wyglądu, w jego ruchach i pochyleniu głowy można było dostrzec pewną trudną do określenia elegancję. Wyglądała jak Hamlet na drodze do nieszczęścia, pomyślała Klaudia. A ona nigdy nie przepadała zbytnio za Hamletem.

- Tak? - Obejrzała dokładnie stojącego przed nią młodego mężczyznę i poczuła się tak, jak gdyby gdzieś w głębi niej zadzwonił jakiś ostrzegawczy dzwonek.

Mężczyzna uśmiechnął się niepewnie.

- Nie zamierzasz mnie wpuścić? Przyjechałem tu taki kawał... -W jego ciemnych, mocno podkrążonych oczach pojawił się niepokój i pewne zainteresowanie. Taksował dziewczynę uważnie.

Klaudia zawahała się.

- Przepraszam, ale kim właściwie jesteś?

- Mówiłem ci, jestem przyjacielem Marka - naciskał cierpliwie. -I mam coś dla ciebie, ale nie zamierzam dawać ci tego w drzwiach. Słuchaj, przejechałem naprawdę długą drogę, aby zrobić Markowi tę przysługę, więc sama zdecyduj: chcesz otrzymać tę przesyłkę, czy nie? - Jego głos był wysoki i lekko charczący. Mężczyzna udawał rozbawienie, którego z pewnością wcale nie czuł.

Klaudia stała chwilę nieruchomo. Nie była pewna, co powinna zrobić.

- Przykro mi, nie chcę ci się wydać nieuprzejma... ale ja cię zupełnie nie znam, a to jest w końcu Nowy Jork. Masz coś, aby mi udowodnić, że naprawdę jesteś przyjacielem Marka? A w ogóle... jak się nazywasz?

Wyczuła jego rozdrażnienie, widząc jak przestępuje z nogi na nogę, jak potrząsa głową, przeszukując kieszenie. Ostatecznie podniósł na nią oczy i rzucił jej szybkie spojrzenie, w którym widać było jakąś niepokojącą inteligencję.

- Ryba... To znaczy nazywam się Aidan Lockhart, ale wszyscy mówią na mnie Ryba. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego!

Kiedy się uśmiechnął, jego wargi zwięzły się tak bardzo, że wydały się niknąć wewnątrz jego ust. Wielkie zmęczenie, pomyślała dziewczyna, musiało wyźłobić te sine doły pod jego oczyma.

Klaudia uśmiechnęła się na próbę i potrząsnęła głową.

- Też nie wiem... A dlaczego cię tak nazywają?

- Och, no cóż, jeśli z niczym ci się to przezwisko nie kojarzy, trudno. Tu jest list od Marka do ciebie, który twój brat dołączył do paczki. Czy cię to zadowoli? - Podał jej kopertę cienkimi, wytwornymi dłońmi.

Klaudia rozdarła kopertę, wyjęła list i szybko przebiegła jego treść. Wyłowiła w nim takie słowa jak „Ryba” i „przesyłka”, po czym zakłopotana uśmiechnęła się do nadal stojącego w drzwiach mężczyzny.

- Przepraszam. Ja tylko... - Zamknęła drzwi, zdjęła zabezpieczający łańcuch, po czym szeroko otworzyła drzwi. - Wejdz, proszę. - Wskazała mu gestem, aby wszedł, ale Ryba zatrzymał się jeszcze na sekundę w progu i w milczeniu rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego twarz nie wyrażała zupełnie niczego. Siedzący na kredensie w narożniku Kłębuszek obserwował nieznanego ze zmrużonymi z zainteresowania oczyma.

- Sądzę, że trochę czasem ulegam paranoi. Przepraszam. - Wzruszyła ramionami, a on spojrzał na nią uważnie. Klaudia miała bardzo dziwne wrażenie, że mężczyzna wcale nie był tym człowiekiem, za którego się podaje. Jak gdyby nałożył tylko użyteczne przebranie. Czyżby grał jakąś rolę? A jeśli tak, jak to się skończy dla niej: dobrze czy źle?

- Nic się nie stało. Miłe mieszkanko. Musi ci się tu nieźle powodzić. Czy ty i Mark robicie wspólne interesy albo coś w tym rodzaju? - spytał. Usiadł, ale nadal pozostał w prochowcu.

Klaudia potrząsnęła głową, zaskoczona pytaniem.

- Interesy? Ja i Mark? Nie widziałam Marka, odkąd skończyłam siedem lat. A dlaczego pytasz? Jakiego rodzaju interesy moglibyśmy robić? - Poczula się tak niepewnie, jak wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszała dziwny, piskliwy głos mężczyzny. Najwyraźniej Anglik, pomyślała, wykształcony i kulturalny, ale było w nim coś dziwnego. - O czym ty właściwie mówisz?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Tak się po prostu zastanawiałem. Jesteś przecież tylko studentką. Mark mówił mi, że utrzymujesz się ze stypendium. Wydało mi się dość osobliwe, że stać cię na takie lokum. - Oboje rozejrzeli się po wielkim, zalanym słońcem pokoju, przy czym Klaudia na nowo dostrzegła kosztowną prostotę złotej wykładziny podłóg, śliczne meble w kolorze jasnego brązu, kilimy i gliniane

naczynia, połyskliwą zielen drzewek fikusowych o ogromnych liściach w wiklinowych donicach. Tak, to było rzeczywiście cudowne mieszkanie.

- Och, teraz rozumiem, o co ci chodzi. Widzisz, ono nie jest moje. Należy do osoby, z którą się przyjaźnię i płacę tylko minimalny czynsz.

- Miło posiadać coś takiego. Czy twój przyjaciel jest w domu? - Ciemne oczy ponownie zaczęły strzelać po salonie.

- Nie przyjaciel, a przyjaciółka. Nie ma jej. Ale jej brat ma wpaść w każdej chwili, więc może lepiej daj mi tę cenną paczkę, zanim przyjdzie. Napijesz się kawy? - Obeszła ladę, która oddzielała kuchnię od salonu, zirytowana pytaniami Aidana. Nie były całkowicie niegrzeczne, ale nie były też miłe.

- Tak, chętnie. A może masz piwo? - Podniósł na nią oczy i nagle, gdy tak patrzyła na tę twarz, przewisko „Ryba” stało się dla niej zrozumiałe.

- Nie, przykro mi - odparła stanowczo i nastawiła wodę. - Pozwól, że przeczytam w całości list od Marka. Czuj się jak u siebie, dobrze? - dodała jeszcze, po czym rozwinęła kartkę jeszcze raz.

- Tak, jasne. A jakiej rasy jest twój pies?

- Bullterier - uśmiechnęła się słodko Klaudia i zagłębiła się w list
Droga Klaudio!

Mam okazję przekazać ci tę paczkę przez mojego przyjaciela, podróżującego po Stanach Aidana Lockharta, którego nazywamy Rybą. Bądź dla niego miła, dobrze? Pije trochę za dużo, ale to naprawdę dobry chłopak, który po prostu przeżywa teraz trudny okres.

Dobry chłopak, pomyślała Klaudia skonsternowana. Mark chyba zupełnie nie zna się na ludziach. Dobry chłopak, też coś! Po czym szybko zaczęła czytać dalej.

Bardzo cię proszę, nie próbuj otwierać tej paczki, po prostu schowaj ją gdzieś starannie. Tu, w Hongkongu, nie mogę nikomu ufać, więc proszę, zaopiekuj się nią dla mnie. To jest coś w rodzaju mojej polisy ubezpieczeniowej. Naprawdę nie mogę ci tego dokładniej wyjaśnić, a teraz muszę się spieszyć, aby dać ją Aidanowi. Proszę, nie bądź zbyt ciekawska, Liddie, po prostu mi zaufaj i przechowaj ją w bezpiecznym miejscu. Wierz mi, to jest dla mnie naprawdę ważne.

Pozdrowienia Mark

Klaudia złożyła list i znowu spojrzała na swego gościa, który w odpowiedzi uśmiechnął się do niej lekko.

- Rozumiesz teraz wszystko? I co, chcesz tę paczkę? - Sięgnął do kieszeni po przesyłkę.

- To jest teraz dla mnie prawie tak jasne jak noc, ale jeśli Mark chce, abym się tym opiekowała, w takim razie to zrobię. A ty wiesz może, co jest w środku?

Niechętnie ruszyła przed siebie i wzięła z wyciągniętej dłoni mężczyzny owinięte w papier pudełko. Przez chwilę z zainteresowaniem badała woskową plombę.

- Ja? Skąd, nie wiem. Mark użył mnie tylko jako kuriera. Nie mam pojęcia, co jest w tej paczce. Myślałem, że może ty wiesz. Właściwie myślałem, że w ogóle nie będziesz zaskoczona.

Mimo że Aidan na wpół siedział, na wpół leżał leniwie na sofie, Klaudia dostrzegła, że jego oczy były bardzo bystre, śledziły każdą jej myśl i nastrój. Powiedziała więc tylko:

- Nie, nic o tym nie wiem. W liście Mark tylko mnie prosi, abym schowała paczkę w jakieś bezpieczne miejsce. Nazwał ją swoją „polisą ubezpieczeniową”... - Po chwili wahania złamała plombę i rozerwała papierowe opakowanie, spod którego wyłoniło się małe rzeźbione drewniane pudełko, w rodzaju tych, jakie sprzedawano w setkach tandetnych (choć efektownie wyglądających) sklepów z orientalnymi artykułami w nowojorskiej Chinatown na południe od Canal Street. Obejrząwszy je dokładnie dziewczyna doszła do wniosku, że w żaden sposób nie potrafiłaby go otworzyć, nawet gdyby Mark nie prosił, by pozostało zamknięte.

- Cóż, dziwna maleńka tajemnica, prawda? - Roześmiała się sucho. - Można nim potrząsnąć? - Zrobiła tak, ale w środku nic nie zaszumiało ani nie zagrzechotało.

- Nie zamierzasz go otworzyć? - powiedział mężczyzna i Klaudię nieco zaniepokoiło jego zainteresowanie. Ale przecież jest posłańcem, przypomniawszy sobie. To chyba zrozumiałe, że ciekawi go, co wiózł z tak daleka. Popatrzyła na gościa i wzruszyła ramionami.

- Nie. Nie mogę. Nie wiem jak, a poza tym Mark w liście prosi, abym nie otwierała. Mam tylko je odłożyć w jakieś bezpieczne miejsce. Zdaje mi się, że to tylko jeden z dziwacznych dowcipów mojego wspaniałego braciszka. - Westchnęła i postawiła pudełko na stole. - Woda się gotuje. - Wróciła do kuchni, zostawiając na stole pudełko i nie zaskoczyło jej, gdy zobaczyła, jak mężczyzna podnosi je i ogląda uważnie. Potem nagle je odłożył i wstał.

- No cóż - uśmiechnął się, ale dostrzegła w jego oczach głębokie rozczarowanie. Kontrolował swoje odruchy, jak gdyby w tej właśnie chwili

poczuł ogromne zmęczenie. - Chyba już pójdę. Nie wiedziałem, że jest aż tak późno, a niedługo mam samolot. Pozdrowię Marka od ciebie, dobrze?

- Tak, oczywiście. Ale... może jednak napijesz się ze mną kawy? Myślałam, że moglibyśmy trochę poplotkować i mógłbyś mi opowiedzieć o Marku, o Harrym i o reszcie... - Klaudia była naprawdę zaskoczona jego zachowaniem. - Nie odlatujesz chyba jeszcze?

- Nie, muszę najpierw odwiedzić pewnego przyjaciela w Dystrykcie Columbia. Dzięki, ale nie mogę zostać na kawie i pogawędce. Może następnym razem. Cześć. - A potem przeszedł wielkimi krokami przez pokój i wyszedł. Gdy przechodził przez drzwi, jego deszczowiec zaszeleścił w wąskim przejściu. Prawie zderzył się z kimś w korytarzu, padły jakieś ostre słowa, a później drzwi się otworzyły i wszedł Jason.

- Och, cześć. - Gdy Klaudia zobaczyła Jasona, poczuła się nagle głupio. Chłopak wydał się jej jakoś zaniedbany i blady, jego normalnie nieskazitelnie zaczesane włosy były rozczochrane przez wiatr, a garnitur z Wall Street zastąpiły dziś podarte džinsy i koszulka z plamami od potu. Wyglądał, jak gdyby spał i zbudził go zły sen. Zatrzymał się w progu, wydymając policzki i długo wzdychając.

- To ten facet? Ten, który właśnie zderzył się ze mną w holu? - Wskazał kciukiem drzwi. - Czy wszystko w porządku, Klaudio? Nic ci nie zrobił?

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało, zadowolona zainteresowaniem Jasona.

- Nie, nie, wszystko dobrze, ale dziękuję, że przyjechałeś. To naprawdę miłe z twojej strony. Był naprawdę jakiś dziwny. Powiedziałam mu, że w sypialni zamknęłam bullteriera, wyobrażasz sobie? - Podeszła do niego, aby pocałować go w policzek i zaskoczyło ją, gdy Jason przytulił ją mocno do siebie i uściskał, po czym niepewnie się roześmiał. Potem pocałował Klaudię w same usta i dziewczyna poczuła, jak coś się w niej budzi, coś drgającego, ciepłego i bardzo, bardzo przyjemnego. Młodzieniec po chwili odsunął ją od siebie i znowu się roześmiał.

- Może powinnaś naprawdę mieć bullteriera zamiast tego nędznego kota. Słuchaj, nieprawidłowo zaparkowałem. Muszę przestawić samochód. Pojedziemy gdzieś? Może do kina albo na kolację? - Był już całkowicie opanowany, jak zwykle obojętny i przyjacielski. Klaudia pokiwała głową.

- Tak, chciałabym. Poczekaj, dam tylko Kłębuszkowi trochę mleka... i to wcale nie jest nędzny kot, więc zatrzymaj swoje niegrzeczne uwagi dla siebie! - zaprotestowała wesoło. - Czy możesz wziąć moją torebkę? Jest na stole.

- Dobra. A przy drinku opowiesz mi wszystko o tym dziwnym gościu. Powiedz, to jest nowe, prawda? Czy to jest na papierosy? - Jason trzymał pudełko w górze, obracając je na wszystkie strony.

Klaudia wzruszyła ramionami.

- To mi przysłał mój brat na przechowanie. Nazwał to „polisą ubezpieczeniową”. Ten facet właśnie mi je przywiózł. Chodźmy, bo w przeciwnym razie odholują ci samochód. - Klaudia obserwowała Jasona, odkładającego pudełko na stolik.

- Wiózł to dla ciebie aż z Hongkongu? Musi być ważna ta polisa. Co jest w środku? - Znowu na nie spojrzął, tym razem z zastanowieniem.

- Nie mam pojęcia. - Zmarszczyła brwi. - Mark napisał, żebym nie była ciekawska... Och, poczekaj, muszę wziąć nową książeczkę czekową. - Pobieгла do sypialni i zaczęła przetrząsać szafę. Nagle zawołała: -To pewnie tylko jeden z jego małych żarcików, jak sądzę. Mark potrafi być straszliwie złośliwy. Teraz pewnie uważa, że zamierzam spędzać dni i noce, próbując wymyślić, jak je otworzyć, a gdy mi się wreszcie to uda, w środku znajdę jedynie notkę z napisem: „Prima aprilis” albo coś w tym rodzaju. To stanowczo jest w stylu Marka. - Roześmiała się.

- Słuchaj, Klaudio, będę na dole w samochodzie, dobrze? Zejdź, jak tylko będziesz gotowa.

Usłyszała, jak zawołał do niej Jason, potem wyprostowała się i zmarszczyła brwi, kiedy trzasnęły zamykane przez niego drzwi. Cenny samochódzik pana Hewitta juniora, pomyślała z rozbawieniem. Otwierała szufladę za szufladą, aż w końcu znalazła książeczkę czekową. Wsunęła ją szybko do torebki, po czym podążyła za Jasonem do korytarza, zamykając za sobą starannie drzwi na klucz.

Później, kiedy wróciła do mieszkania, nie zauważyła, że pudełko zniknęło. Przez następne kilka tygodni w ogóle o nim nie myślała, a potem sądziła, że je gdzieś włożyła i kiedyś samo się znajdzie. Zapewniła Marka w liście, że przesyłka od niego znajduje się w bezpiecznym miejscu i była przekonana, że rzeczywiście tak jest. A poza tym miała na głowie ważniejsze sprawy. Na przykład te, które wiązały się z Jasonem.

Przez ostatnie kilka tygodni był dla niej wyjątkowo uprzejmy i z każdym kolejnym spotkaniem wprowadzał ich związek w nową, bardziej „zażyłą” fazę. Zaczął zachowywać się tak, jak nigdy dotąd, pojawiając się na przykład w środku nocy ubrany w dżinsy, z pizzą w rękę, proponując przejażdżkę rowerową po krętych zaułkach Westchesteru albo długie niedzielne spacer

po Central Parku zamiast teatru i kosztownych obiadów, na które przedtem chodzili.

Od czasu do czasu wywoził Klaudię z Manhattanu na cały dzień, a to do jachtklubu na City Island, świeżego i ślicznego jak rybacka wioska w Nowej Anglii, to znów do Southampton czy na Fire Island. Spacerowali tam wzdłuż prawie pustego terasu, gdy zbliżała się powoli zima, brzegu morza i bawił ich ogłuszający łoskot szarych fal i wiatr, który chłostał im twarze i włosy. I rozmawiali bez końca, tuląc się do siebie dla rozgrzewki, od czasu do czasu się całując lub ściskając, ale nic więcej. Nigdy nic więcej.

Taka sytuacja trwała aż do pewnego weekendu, kiedy Jason zaproponował Klaudii, aby pojechała z nim do Newport. I dziewczyna wiedziała, że tym razem będzie musiała podjąć decyzję.

Wyjechali w piątkowy wieczór, przebijając się przez korki w godzinie szczytu. Klaudia siedziała spięta i zaniepokojona obok Jasona. Tym razem nie umiała się cieszyć jazdą jego wytwornym BMW ani widokiem pięknie oświetlonego miasta, które jarzyło się wokół niej, odbijało w ulicznych kałużach lub ginęło w mroku od pary „gejzerów” z jakiejś sutereny. Całkowicie zatopiona w myślach milczała prawie przez całą drogę, słuchając nie kończącej się muzyki z kaset z poważną muzyką -zwykle Mahlera - które Jason lubił włączać podczas jazdy.

Zostawiając za sobą nowojorski brud i zamieszanie, wjechali na uliczki New Jersey. Światła samochodu wyławiały pięknie błyszczące drzewa, olśniewające plamami miedzi, brązu i topazu. Jason pochylił się ku Klaudii i wziął jej dłoń w swoją. Była chłodna i zdrętwiała. Puścił ją bez słowa.

Zrobiła się prawie północ, zanim dojechali do gospody, noszącej skromną nazwę „Rozkosze Wędrownika”. Kryła się wśród modrzewi, świerków i sosen, otoczona białym płótnem z palików. Jason wjechał samochodem na podjazd i ze zgrzytem zatrzymał się na żwirze. Klaudia czuła, jak serce wali jej w piersi niczym młot; ręce miała zimne i wilgotne ze zdenerwowania. Odważyła się spojrzeć na Jasona.

- Byłeś tu już przedtem? - zaryzykowała pytanie i zobaczyła, jak jego brwi ściągają się. Wydało jej się również, że usłyszała jego westchnienie.

- Chodzi ci o to, czy przywoziłem tu już inne dziewczyny? Nie, Klaudio, nie przywoziłem - odparł pewnym i poważnym tonem.

Jego towarzyszka zarumieniła się i spłoszyła.

- Wcale mi o to nie chodziło, w gruncie rzeczy. Po prostu się zastanawiałam, czy motel zasługuje na swoją nazwę. - Wysiadła z samochodu. Była zeszywniała i rozdrażniona.

Panował lekki chłód, nocne powietrze wydawało się dziwnie rozrzedzone. Klaudia skuliła się w sobie i ruszyła ku frontowej werandzie. Nie miała ochoty czekać na Jasona; lekko wbiegła po schodkach i weszła do środka. Nagle wiatr zamarł i zrobiło się ciepło i przytulnie. Jarzyły się lampy osłonięte pergaminowymi abażurami i trzaskał ogień, oświetlając obite tkaniną o spokojnych kolorach ściany i zasłony szczelnie zaciągnięte, by ukryć zimną jesienną noc. Dyżur pełnił jeden samotny mężczyzna, który zagłębiany w lekturze siedział za mahoniowym kontuarem. Podniósł na dziewczynę oczy i uśmiechnął się.

- Pani musi być zapewne towarzyszką pana Hewitta? - spytał. - Czy pan Hewitt jest jeszcze na zewnątrz? Ach, nie, jest już w środku. Wejdźcie państwo i ogrzejcie się przy ogniu. Mroźny wieczór, prawda? Z pewnością wielkimi krokami nadchodzi zima. - Pokiwał mocno i pewnie głową, po czym zapewne uznał, że omówił już temat i przyjął od Jasona opłatę za dwie noce.

Klaudia popatrzyła na niego i powiedziała:

- Jestem zmęczona. Chciałabym pójść prosto na górę...

- Cóż, panienko, tak właśnie sobie myślałem. Że zechcecie państwo pójść prosto na górę. W kominkach obu państwa pokoi już napaliłem i pościeliłem łóżka - odparł recepcjonista i ruszył z ich bagażami, pokazując drogę.

Pokój Klaudii był wielki i wygodny, a zarówno samo żelazne łóżko z baldachimem, jak i uszyta z łąt narzuta i białe bawełniane poduszki były przygotowane na przybycie gości. Pulchniutkie i starannie ułożone. Poza tym Klaudia dostrzegła jeszcze przy kominku krzesło z bocznymi oparciami, a na wyfroterowanych deskach podłogi strzępiaste dywaniki. Nad obramowaniem kominka wisiał obraz przedstawiający przesadnie purytańską z wyglądu matkę, okazującą jawną dezaprobatę. Kiedy recepcjonista postawił torbę Klaudii na składanym stoliku i powiedział krótkie „dobranoc”, westchnęła z ulgą.

Jason, który nie wszedł do jej pokoju, podążył teraz za mężczyzną bez słowa. Klaudia usiadła na łóżku, czując jak lekko pod nią sprężynuje. Zastanowiła się, czy Jason jest także spięty. Ale chyba nie, pomyślała sobie, dlaczego miałby być spięty? Przecież do dla niego nie nowina; wiedział dokładnie, czego ma oczekiwać. Niechętnie się obróciła, aby rozpakować torbę.

Nie zajęło jej to wiele czasu. Przez chwilę czekała, aż Jason przyjdzie życzyć jej dobrej nocy. Ale skoro nie przyszedł, rozebrała się szybko i naciągnęła na siebie nocną koszulę. Koszula była długa, uszyto ją z pięknej satyny w kolorze kości słoniowej. Klaudia otrzymała ją od Joaney na ostatnie urodziny i oszczędzała na jakąś specjalną okazję. Myślała teraz o tym z niewesołym śmiechem, prawie w rozpacz. Specjalna okazja!

Ze złością uczesała włosy, potem zapatrzyła się w swój obraz w lustrze, w gładkie i powłóczyście fałdy jedwabiu, które otulały jej ciało, wreszcie rozejrzała się po pokoju. Wszystko świetnie pasuje do „sceny uwiedzenia”, pomyślała drwiąco, brakuje tylko uwodziciela.

Zgasła światło i ułożyła się wygodnie w miękkim i ciepłym łóżku. Nie minęło więcej niż pięć minut, kiedy odpłynęła w sen.

Obudziło ją kołysanie łóżka i czyjaś gorąca dłoń, delikatnie prześlizgująca się jej po biodrze. Zesztywniała i poczuła łagodny pocałunek za uchem, potem przytulające się do jej pleców ciepłe i jędrne ciało. Poczuła niepokój i powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Jason?

- Tak, to ja. Nie martw się i nic się nie bój.

- Nie boję się - skłamała, próbując rozluźnić sztywne plecy. - Przepraszam cię za to, co powiedziałam wieczorem. Chyba byłam trochę spięta.

Poczuła, jak obejmuje ją ramieniem, jak przytula ją do siebie mocno; jego podbrzusze dotknęło jej pośladków, a ręka Jasona jej piersi przez delikatny, surowy jedwab. Nie opierała się, więc mężczyzna stawał się coraz śmielszy.

- Wiem, wiem. Wszystko będzie dobrze. Jesteś przecież jeszcze taka młoda, wszystko jest dla ciebie nowe, dziwne i obce. To normalne, że się przestraszyłaś. - Zawahał się na chwilę, jak gdyby się nad czymś zastanawiał, potem powiedział: - Wiesz, że cię kocham, prawda? - Wiedział, że to zdanie było właściwe, kiedy poczuł, jak dziewczyna odprężyła się w jego ramionach i przytulała do niego. Zaczął ją całować po ramieniu, później coraz wyżej po szyi, wreszcie zatopił twarz w jej włosy, a Klaudia przytuliła się do niego, znajdując przyjemność w ruchach jego doświadczonych rąk, które ślizgały się po jej brzuchu, zatrzymując się dłużej między nogami. Gładki jedwab zmysłowo drażnił jej rozpaloną skórę.

- Naprawdę? - zamruczała z ulgą. Była bardzo zadowolona i nieco brakowało jej tchu. - Myślałam, że wolisz kobiety doświadczone i wyrafinowane. - Usłyszała, jak się cicho zaśmiał.

- Kobiety mogą sobie takie być. Ale nie ty. Chcę, żebyś była młoda, nietknięta i cała, cała moja - wyszeptał, a Klaudia poczuła, że jego słowa wywołują u niej jednocześnie dreszcz przyjemności i skrępowanie. Wtedy Jason obrócił ją na plecy i położył się prawie na niej. Całował ją, sięgając głęboko językiem, który stał się teraz napastliwy i sondujący. Zachowanie młodego mężczyzny zmieniało się.

- Jesteś moja, prawda, Klaudio? Nie było nikogo innego? - spytał zakłopotanym głosem i Klaudia potrząsnęła głową.

- Nikogo, Jasonie - wyszeptała, wmawiając sobie, że taka jest prawda.

Harry był tylko wymysłem jej wyobraźni, przyjacielem z dzieciństwa, który na pewno był teraz kimś zupełnie innym i wcale nie przypominał chłopca ze wspomnień. A Bo... Bo należał do przeszłości i bardzo się rozczarował. Teraz nie było nikogo. Dlaczego więc miałyby się powstrzymać... Zresztą, Jason ją kocha.

Zsunął ramiączka koszuli nocnej, opuszczając ją w dół, aż po samą talię. Całował Klaudię w szyję, a jego dłonie otoczyły jej małe piersi. Poczuli ich lekki ciężar, delektował się ich gładkością i bezbronnością. Potem przejechał palcami po wypukłości żeber aż do szczupłej talii.

- Połóż ręce nad głowę. O tak - polecił jej i przesunął nocną koszulę w górę tak szybko i delikatnie, że ledwie musnęła uda i pośladki. Pod twardymi rękami mężczyzny Klaudia poczuła jakąś słabość w podbrzuszu. Palce Jasona zaczęły się wbijać w jej ciało, wilgotne usta poruszały po jej piersiach i szyi. Trzymając jej ręce wysoko w górze, pocałował ją znowu głęboko w usta. Potem wsunął jej dłonie między sztachety wezgłowia, przycisnął je poduszką i Klaudia stwierdziła słabo, że nie może się ruszyć.

Walczyła i protestowała, ale Jason ponownie ją pocałował. Wówczas uspokoiła się i poddała jego brutalnym pieszczotom. Mężczyzna rozwarł jej nogi i poczuła coś między nimi, coś, co ślizgało się w jej świeżej wilgoci, dotykało najbardziej sekretnych miejsc, bawiło się jej ciałem, delikatnie się w nią zagłębiało, lekko ją przy tym podniecając. Szybko, niepewnie wciągnęła w płuca oddech, wstydząc się uczucia rozkoszy, którą odczuwała dzięki ruchom jego palca.

Jason drażnił ją i dotykał, a podniecenie Klaudii narastało aż do szczytu wytrzymałości. Potem wracał pieszczotą do jej piersi, całując ciało między nimi, tuląc je mocno do twarzy, a wtedy jej czułe organy wilgotniały znowu. Mężczyzna ani razu na nią nie spojrzął, aby ocenić jej reakcję, uznał po prostu z góry, że muszą ją cieszyć zabiegi, którym poddaje jej ciało. I Klaudia - co

sobie uświadomiła z zaskoczeniem i oszołomieniem - rzeczywiście czuła przyjemność, a bolesna pustka między jej nogami zaczęła ją drażnić. Próbowwała opuścić ręce, aby pieszczotą podziękować mu za jego pieszczotę, ale Jason przytrzymał je poduszką, a sam nakrył swym ciałem Klaudię i wsunął się jej między nogi. Dziewczyna znowu zeszywniała, kiedy poczuła przytłaczający ją ciężar.

- Nie zwieraj mięśni, kochanie. Tylko leż spokojnie i otocz mnie nogami. To może trochę boleć, ale nic na to nie poradzę. - I pomyślał bezlitośnie, że nareszcie nadszedł czas, aby jego młoda przyjaciółka poczuła ten ból. Puls mężczyzny tętnił mu w gardle, jego cierpliwość wyczerpywała się i przestawał nad sobą panować. Wbił się w nią równo i głęboko, a potem zaczął mocno napierać na mokre gorąco, aż poczuł, jak jej naturalna bariera puszcza i pozwala mu wejść. Usłyszał jej słaby krzyk, ale był zbyt pochłonięty przeżywaniem rozkoszy, rozkoszy, o której marzył bezsennie noc po nocy od tylu miesięcy. I teraz wreszcie spełniało się jego marzenie, aby pokonać tę dziewczynę, aby rozewrzeć jej nogi, aby wsuwać się w nią i wysuwać z niej, przygniatając ją, podczas gdy ona się opiera...

Kiedy w końcu osiągnął orgazm, krzyknął głębokim głosem i opadł na nią bezwładnie. Jego palce wbiły się w jej piersi, a usta wessały skórę na jej szyi, póki nie pojawił się na niej wściekle czerwony ślad. To mój znak, pomyślał. Chciałbym ją napiętnować, dokładnie tu na ramieniu. Własność Jasona Hewitta. Do diabła, może mógłby zrobić i to. Jego herb? Tatuaż. Coś takiego, po obejrzeniu czego i ona, i wszyscy pozostali wiedzieliby, do kogo ta dziewczyna należy.

Ześlizgnął się z Klaudii i obrócił ją plecami do siebie. Całował jej policzki, chociaż próbowała się wykręcić i uciec mu, czując jak jego pożądanie znowu narasta. Ale Jason zapanował nad sobą i powiedział sobie: „Jeszcze nie, jeszcze nie, pozwolę jej trochę pospać, a dopiero potem zrobię jej to ponownie”.

- Cii, nie walcz ze mną, maleńka. Przepraszam, jeśli cię zabolalo, ale tak jest zawsze za pierwszym razem. Będzie ci się podobało bardziej, kiedy będziesz w tym lepsza i nauczysz się relaksować. - Przez chwilę trzymał ją w ramionach, nie pozwalając jej uciec. - Cicho, maleńka, następnym razem będzie lepiej. A i ja będę łagodniejszy. Po prostu pragnąłem cię od tak dawna, że nie mogłem sobie z tym poradzić. Cii, kochanie, ciiiicho.

I w końcu Klaudia się uspokoiła, przylgnęła do niego spokojnie i nieruchomo leżała w jego ramionach. Jej pośladki znowu ściśle przylegały do

jego podbrzusza. Było tak jak przedtem, tyle że teraz rozdzielała ich jego nieprzyjemna dla niej wilgoć, a Jason trzymał rękę na jej nogach, sugerując całemu światu, że domaga się praw do wszystkiego, co znajduje się pod jego dotykiem. Klaudia natomiast leżała cicho obolała i sponiewierana, i miała szczerą nadzieję, że ten mężczyzna nigdy już jej nie dotknie.

Ale musiała przyznać, że kiedy się obudzili, był dla niej znowu dobry i wyrozumiały. Tulił ją czule, głaskał jej twarz palcami i podziwiał jej urodę. Był tak miły, że Klaudia zastanawiała się, czy przypadkiem jego brutalność z poprzedniej nocy nie jest tworem jej wyobraźni. Może z powodu strachu i napięcia, które czuła, wydał jej się tak szorstki, surowy i despotyczny. I podobało jej się, że nie próbuje się z nią znowu kochać, zadowolony, że może ją kołysać w ramionach, od czasu do czasu całować i szeptać czule słówka.

Gdy nadszedł świt, Klaudia była już zupełnie przekonana, że zareagowała przesadnie. Może Jason zachował się nieco pospiesznie, pomyślała, może trochę za bardzo „fizycznie”, niż mógłby, ale przecież powstrzymał się przez prawie dwa lata. To z pewnością nie zdarzy mu się więcej, powiedziała sobie.

- Teraz wrócę do swojego pokoju, kochanie. Zamówiłem dla ciebie śniadanie do łóżka i nie chcę, żeby pokojówka znalazła mnie tutaj - wyszeptał, całując ją w ramię. Wyszedł z łóżka, a Klaudia wpatrzyła się w jego jędrne i muskularne ciało, zanim włożył szlafrok.

- Dlaczego? - zaprotestowała, chcąc cieszyć się wspólnym porankiem, tulić się do niego w łóżku i dzielić z nim śniadanie. - Na litość boską, Jasonie, mamy lata osiemdziesiąte! Nikt się już nie przejmuje takimi drobiazgami. - Ale w jego twarzy dostrzegła upór i lekką protekcyjność. Patrzył na nią tak, jak gdyby nie potrafiła go zrozumieć.

- Ale ja się tym zajmuję, kochana. Muszę dbać o twoją reputację i uważam, że powinnaś się zachowywać odpowiednio. Poza tym lubię sobie rano pobyć sam i poczytać gazetę. Smacznego, najdroższa. - Pocałował ją czule w lekko zsiniałe usta. Oczy pociemniały mu, gdy wpatrywał się w rozchełstaną i rozczochraną Klaudię, gdy zauważył, jak z jej ciała ześlizguje się pościel, ukazując piersi, różowo zakończone na tle bladej skóry. Z pewnym wysiłkiem, ale jednak powstrzymał się. Uznał, że nie jest jeszcze gotowa.

Przez następne kilka tygodni Klaudia nie wiedziała, co myśleć o Jasonie i ich kontaktach. Nadal lubiła jego towarzystwo, delikatność jego pieścot, jego opiekuńczość na nie kończących się koktajlach, podczas których musiała

mu towarzyszyć. Kiedy był łagodny i uważający, lubiła nawet ich cielesne kontakty. Ale co jakiś czas ogarniał go jakiś czarny nastrój i wtedy młody Hewitt stawał się brutalny i władczy, zmuszając ją, by robiła różne nieprzyjemne dla niej rzeczy. Po nich wybuchała płaczem i, posiniaczona, trzęsła się ze złości i strachu, nie mogąc się nikomu zwierzyć". Nie była pewna, czy to ona zachowuje się nieodpowiednio, czy też z Jasonem jest coś nie w porządku. Gdyby tylko miała z kim o tym porozmawiać, gdyby mogła kogoś zapytać. Ale nie miała nikogo takiego w swoim otoczeniu. Joaney była jego siostrą, nie mogła z nią przecież o tym mówić. A z nikim innym nie była wystarczająco blisko.

Ukrywała więc swoje siniaki i drżenie rąk, zmuszała się do uśmiechów i udawała, że wszystko jest dobrze, a Jason - nie napotykając jej oporu - stopniowo pozwalał sobie na swoje „napady” coraz częściej. Klaudia drętwiała, gdy inni ludzie mówili, że zazdroszczą jej szczęścia i fałszywie pytali, kiedy zacznie nosić zaręczynowy pierścionek. Uśmiechała się nawet, kiedy Jason zaczął żądać, aby porzuciła pracę u Succiego i aby zapomniała o skończeniu studiów. Po co ci potrzebna kariera, zapytywał gniewnym głosem, teraz, kiedy masz zostać moją żoną? Ale Klaudia potrząsnęła głową i powiedziała, że nie zamierza myśleć o małżeństwie, zanim nie skończy studiów, i nie przyjmowała od niego żadnych pieniędzy, chyba że potrafił ją przekonać, że powinna je z jakiegoś powodu wziąć, a to zdarzało się niezwykle rzadko.

A ponieważ Klaudia okazywała mu nieposłuszeństwo tylko w tej jednej kwestii, był to jej jedyny tak twardy warunek, więc Jason, czując, że udało mu się ją już maksymalnie ukształtować, zrezygnował. Pomyślał, że daje jej czas do czerwca następnego roku, a potem będzie należała już tylko do niego.

Rozdział osiemnasty

Hongkong

Chiński Nowy Rok 1983

Rozpoczął się Rok Świni. Nad Chater Road w Koulunie zawisł połyskujący, oświetlony tysiącem migających maleńkich neonów ogromny dzik. Gdy światełka się zapalały, z mroku na krótki moment wyłaniały się postacie przechodzących poniżej ludzi. Jakaś kobieta, z wysiłku krzywiąc twarz, ugięła się pod brzemieniem ciężkich toreb. Zatrzymała się na chwilę, aby poprawić niemowlę, które niosła na plecach. Leżało cicho śpiące, jego ciemna jedwabista główka opierała się o matkę, pulchne policzki zaróżowiły się w chłodnym wietrze wiejącym od portu, a rzęsy lekko drżały. Kobieta pociągnęła brzegi jego pikowanego kapelusza mocniej pod brodę i zarzuciła sobie chłopczyka z powrotem na grzbiet.

Obok niej przechodził właśnie jakiś mężczyzna niosący dopiero co rozkwitłe, małe cytrusowe drzewko kumkwat, symbol nadziei na szczęście w nowym roku. Nagle mężczyzna potknął się o torby kobiety i bezwiednie je kopnął. Zawartość wysypała się na chodnik. Mężczyzna nawet się nie zatrzymał, tylko potykając się o leżące jedzenie i tanie ubrania z rynku pośpiesznie szedł dalej do domu, aby ustawić kupione drzewko. Kobieta rzuciła za nim ciche przekleństwo, po czym kucnęła nad zakupami i zaczęła je zbierać. Jakaś stara i przygarbiona kobieta w krótkim jedwabnym żakieciku zgięła się przy niej i pomagała jej zgarniać rozsypane dobra.

W tym właśnie momencie rozległ się pisk opon, trąbienie klaksonów i ludzkie wrzaski. Obie Chinki podniosły oczy. Ich usta zaczęły się otwierać do krzyku, a ręce uniosły się w górę, aby osłonić twarze przed zbliżającym się do nich błotnikiem ciężarówki. Uderzenie poderwało matkę z dzieckiem i zderzak na chwilę ją przygwoździł. Samochód zaczął hamować, pchając przed sobą kobietę, rozbił witrynę, wjechał do sklepu i zatrzymał się dopiero przy ladzie. Gwałtowne hamowanie ciężarówki odrzuciło poszkodowaną kobietę z dzieckiem na przeciwległą ścianę sklepu, gdzie wylądowała na czerwonym sztandarze z napisem: Kung Hei Fat Choy! „Niech nowy rok przyniesie wam pomyślność!”. Ani matka, ani dziecko nie ruszali się.

Przed sklepem zebrał się tłum. Przyciągnął go widok pokrwawionych szczątków staruszki. Młody mężczyzna z małym drzewkiem, które ciągle trzymał kurczowo w rękach, patrzył nie wierząc w dół na miazgę tego, co kiedyś było jego nogą. Gdy się po chwili otrząsnął, nadal kredowo blady na

twarży, zaczął błagać o pomoc. Z jego pokrwawionych dłoni wysunęło się nagle drzewko i upadło miękko w lepka, gęstą czerwoną mieszaninę krwi i ciała pod jego kolanem. Młodzieniec wydał z siebie rozpaczliwy krzyk.

Zanim przybył Tony, mąż starszej kobiety dotarł już do leżących zwłok. Szukał żony i zastanawiał się, dokąd mogła pójść, skoro wyszła tylko kupić kurczaka. W pierwszej chwili jej nie rozpoznał, chociaż dostrzegł jej żakiet, w sekundę później natomiast się zatrząsł, a jego twarz, która dotąd wydawała się lekko zatroskana, zupełnie znieruchomiała. Ingram zobaczył go, jak się chwiał i kurczowo trzymał się drżącymi dłońmi tylnego zderzaka ciężarówki. W następnym momencie ukląkł obok resztek tego, co jeszcze kilka minut przedtem było jego żoną.

Tony spojrzał na swego kaprała, po czym wskazał dłonią na starca.

- Pomóżcie mu. Dowiedźcie się, jak się nazywa... on i żona, jeśli zdołacie. Potem zabierzcie go do domu. Poza tym, kapralu Ng, chcę, abyście otoczyli teren. Niech wasi ludzie się rozejrzą i sprawdzą, czy nie ma przypadków kradzieży. Zdobądźcie nazwiska i adresy świadków.

Odwrócił się, aby nie patrzeć na ból, który dostrzegł na twarzy starca, bał się bowiem, że zawładnie nim współczucie, które zamąci mu umysł i przeszkodzi w wykonywaniu obowiązków.

- Zajmijcie się ambulansem, Chu. Niech pierwszy jedzie ranny mężczyzna, kobieta przecież i tak już nie żyje. Potem dołączcie do mnie, będę wewnątrz.

Tony przeszedł przez rozbitą szybę na froncie sklepu i zajrzał pod koła ciężarówki. Z okna wystawowego sterczała para wykrzywionych, uwięzionych w ramie nóg. Należały do mężczyzny. Nie ruszały się. Tony zajrzał do kabiny ciężarówki, ale za kierownicą nie było nikogo. Ingram westchnął ciężko, potem odwrócił się do dwóch ekspedientek, które siedziały skulone na tyłach sklepu. Były oszołomione i płakały. A później nagle zobaczył tamtych dwoje.

Kobieta leżała przytulona do dziecka. Usta małego były szeroko otwarte, jak gdyby w zaskoczeniu, kapelusik ciągle tkwił wokół różowych policzków, mocno wciśnięty na czoło. Matka leżała na boku; ręce wyrzuciła przed siebie, a palce zacisnęła na ostrych drobinach gruzu. Twarz Chinki była niemal całkowicie przesłonięta długimi ciemnymi włosami.

Oba ciała przebijał wyjątkowo długi metalowy pręt, który musiał się oderwać od okiennej markizy. Połyskiwał intensywnie, zmieniając kolor wraz z zapalającymi się kolejnymi barwnymi rzędami lampek na suficie: ze złotego w zielony, z jasnego we wściekle czerwony.

- O Boże... - wymamrotał Tony i na chwilę zamknął oczy, próbując z całych sił nad sobą zapanować, chociaż miał ochotę lamentować, płakać i krzyczeć, aby wyładować trawiący go gniew. Przez jakiś czas stał zupełnie nieruchomo i trząsł się, póki się nie uspokoił na tyle, aby móc podołać czekającemu go zadaniu.

Powoli przykrył dwa trupy płaszczem, który zwisał z haka przy drzwiach. Był niemal chory z żalu, litości i wściekłości kipiących mu gdzieś głęboko w żołądku, ale zwalczył napływające fale mdłości. W ostatnich kilku tygodniach widział wystarczająco dużo takich wypadków. To po prostu kolejna masakra, powiedział sobie. Ale starał się nie patrzeć na twarz niemowlęcia, kiedy delikatnie zamykał mu oczy.

Odwrócił się do dwóch dziewczyn. Zauważył, że jedna z nich najwyraźniej przed chwilą zwymiotowała. Ciepła plama przed nią jeszcze parowała w zimnym powietrzu.

- Dobrze się panie czują? Nie jesteście ranne? - spytał, ale dziewczyny ciągle tylko histerycznie łkały.

Przez wejście do roztrzaskanego sklepu wsunął głowę sierżant Chu.

- Gdzie uciekł kierowca, sir? - spytał w dialekcie kantońskim.

- Jeszcze tego nie wiem. Te dziewczyny musiały go widzieć, ale są teraz zbyt wstrząśnięte. Tam są jeszcze kolejne trzy trupy - odparł Tony w tym samym dialekcie.

Chu spojrział pod ciężarówkę i westchnął.

- On... on uciekł. Na głowie miał kask ochronny, taki jak na motocykl... no, wie pan, taki z zaciemnioną szybką. A ubrany był w czarną skórę... Wysiadł i wybiegł przez tylne wyjście, o tamtędy - powiedziała nagle jedna z dziewczyn. Jej przerażona, zalana łzami twarz wydawała się teraz bardzo brzydka.

- Jak dawno temu?

- Pięć, może dziesięć minut. Uciekł.

- W porządku. Sprawdźcie dokumenty, Chu i nadajcie przez radio numer rejestracyjny ciężarówki. Niech ustalą, do kogo należy. - Ale Tony i tak wiedział, jaka będzie odpowiedź: samochód z pewnością został ukradziony. To był już trzeci taki przypadek w tym miesiącu. Za każdym razem samochód osobowy lub ciężarówka uderzały we frontową szybę sklepu i wjeżdżały do środka. Ingram znał przyczynę tych przestępstw. Właściciele sklepów odmówili płacenia haraczu na „ochronę” i dlatego ich tak potraktowano. To miało być ostrzeżenie dla wszystkich innych, którzy zamierzali stawiać opór. Po czymś takim na pewno nie będą już chcieli ryzykować.

- Mężczyzna pod ciężarówką to właściciel sklepu? - spytał Tony i obie dziewczyny równocześnie skinęły głowami. - To nie wasz krewny, prawda? - Potrząsnęły głowami. - No dobrze, chciałbym jeszcze, abyście obie przyszły w wolnej chwili do komisariatu, dobrze? Opowiedzcie nam to, co tu widziałyście - dodał Tony łagodnie, widząc nagły strach w oczach pierwszej dziewczyny. Druga nadal szlochała. Sierżant Chu wpatrzył się w Tony'ego i zastanowił, czy jego szef ma pojęcie, o co je prosi.

Pierwsza dziewczyna znowu potrząsnęła głową.

- Nie, ja niczego nie widziałam. Pan mnie źle zrozumiał. - Patrzyła buntowniczo na ziemię i sierżant Chu usłyszał westchnienie Tony'ego.

- W porządku. Wiem, co się tu zdarzyło. Nie możecie nikogo zidentyfikować, więc podacie nam tylko gołe szczegóły...

- Nie! Nie, nie mogę! Jeśli ktoś zobaczy mnie z panem, przyplączę to życiem. Nie rozumie pan? - krzyczała dziewczyna, a Tony pochylił się nad nią i mocno przytulił. Czuł, jak jej wątłe ciało drży z przerażenia. Uspokajał ją przez moment, patrząc z rozpaczą na swojego sierżanta, który wzruszył tylko ramionami.

- Ona ma rację, sir.

- Nie mogę! - znowu zawodziła dziewczyna, a Tony tulił ją w milczeniu. Rozejrzał się po zniszczonym sklepie, wpatrzył w ciężki płaszcz, który skrywał matkę i dziecko, dostrzegł krew rozpryskaną na ladzie. Coś wewnątrz niego znieruchomiało.

- Tak - mruknął w końcu. - Rozumiem.

[Nowy Jork Rok 1983](#)

Rozwód Glendinninga został przeprowadzony wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, po czym szybko, zaledwie po kilku dniach Michael ożenił się z Joaney. Był to cichy, cywilny ślub, na którym obecna była jedynie Klaudia i paru najbliższych przyjaciół. Po ślubie zaplanowali małe przyjęcie weselne, na które zaprosili rodzinę Hewittów i ich przyjaciół.

Klaudia usiłowała wybić swej przyjaciółce taki pomysł, ale państwo młodzi byli przekonani, że takie wyjście jest najlepsze. Hewittowie byli starą, tradycyjną rodziną, utrzymującą stałe kontakty z przyjaciółmi i krewnymi, a ponadto teraz chyba lubili nawet Michaela, którego często spotykali wraz z Joaney. Traktowali go jak zaufanego przyjaciela. Dlaczego mieliby mieć coś przeciwko temu, mówiła Joaney, a zirytowana niepojętnością przyjaciółki Klaudia tylko przymykała oczy.

- Nie o twoich rodziców się martwię - mawiała, ale oboje zlekceważyli jej obiekcje i powysyłali zaproszenia na koktajl w sobotnią noc.

W piątkowy wieczór, gdy Klaudia spotkała się z Jasonem, postanowiła go uprzedzić o zaproszeniu. Stojąc w oknie wymówiła imię Michaela, zmuszając się, aby zabrzmiało niefrasobliwie.

- Taka cudowna pogoda jest w tej chwili. - Spojrzała uważnie na Jasona, który siedział przed telewizorem. - Michael mówi, że Nowy Jork wygląda teraz dokładnie tak samo jak Londyn wiosną. Wszystkie te żonkile i drzewa ze świeżymi nowymi liśćmi... - Podeszła do mężczyzny, usiadła i ułożyła się na sofie obok niego.

- Dlaczego więc tam nie wróci, zamiast kręcić się wokół nas. Zrobiłby nam wszystkim przysługę - odrzekł chłodno Jason. Nadal patrzył tępo w telewizor i nawet się do niej nie odwrócił.

Klaudia zagryzła wargę.

- Och, mnie się raczej zdaje, że zapuści tu korzenie. Chyba zamierza zostać w Nowym Jorku na stałe. To by ucieszyło Joaney, nie sądzisz? - naciskała, aż nagle usłyszała, jak Jason wzdycha ostro z irytacją. - No wiesz, oni tak bardzo się kochają...

- Och, na litość boską, daj spokój, Klaudio - przeciął jej gadaninę. - Michael to drań i łowca posagów... który tak sobie owinał Joaney dokoła małego palca, że ona już nie potrafi jasno myśleć. Najwyraźniej muszę się uporać z nim sam - dodał złowieszczo - ale ty na pewno nie powinnaś się tym przejmować. Po prostu przestań o nim myśleć.

Wtedy zaczął ją pieścić. Kiedy pomyślał o Michaelu, jego palce mimowolnie wbiły się w ciało dziewczyny. Klaudia podskoczyła, krzycząc ze strachu i rozdrażnienia. Zeskoczyła z sofy, otaczając się mocno ramionami podeszła do okna i zaczęła się zastanawiać, co właściwie tu, do cholery, robi i dlaczego pozwala Jasonowi, by ją tak krzywdził. Po co ciągnąć dalej ten związek, pomyślała sobie, skoro wiem, że nie mogę poślubić tego sadysty.

Przytłaczał ją i znęcał się nad nią, usiłując ją wbić w ramy swego wyobrażenia o idealnej kobiecie. Niezależnie od tego jak bardzo jej się podobała jego siła, wiara we własną wartość i podążanie ku celowi, który sobie postawił w życiu, miała już pewność, że wcale go nie kocha, a ostatnio nawet przestała go lubić. Jego urok był tylko powierzchowny i Klaudia coraz bardziej się bała tego, co tkwi w nim w środku. Miała świadomość, że Jason nie przyjmie najlepiej jej decyzji o zerwaniu, i myśl o konieczności powiedzenia mu o tym stawała się dla niej powoli koszmarem.

- Boże, co się z tobą dzieje, Klaudio? - Popatrzył zdumiony, jak gdyby nie dowierzał, że wyrwała się z jego uścisku. - Wracaj, Klaudio. Powiedz mi, co jest nie w porządku. - Zadrżała, gdy usłyszała ton, jakim przemawiał i nagle podjęła decyzję.

- Muszę iść, Jason. Spotkamy się jutro, dobrze? Mam do napisania pracę i czeka na mnie jeszcze nieskończenie wiele innych spraw. Muszę nadgonić, a niedługo zbliżają się moje egzaminy. Muszę iść. - Odwróciła się i ominęła go, mimo że specjalnie wstał, aby zagrozić jej drogę. Wreszcie dopadła drzwi.

- Klaudio, wracaj tutaj natychmiast i wytłumacz się. Zachowujesz się dość dziwnie... nie obraż się, że ci to mówię. - Jason próbował mówić z lekkim rozbawieniem, ale dziewczyna wyraźnie czuła, że rośnie w nim gniew. Odwróciła się i popatrzyła na niego przez chwilę. Jednocześnie usiłowała opanować drżenie rąk, ściskając je mocno.

- Ależ tak, obrażę się, że mi to mówisz. Nie uważam, aby to właśnie moje zachowanie było dziwne, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć - odcięła się i poczuła satysfakcję, kiedy dostrzegła, że jego twarz rumieni się z gniewu. - Zobaczymy się jutro. Dobranoc.

Po tych słowach wyszła na zewnątrz, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie czekała na windę, ale zbiegła na oślep schodami. Znalazszy się na ulicy, zatrzymała pierwszą ujrzaną taksówkę, wpadła do niej i dopiero gdy poczuła się bezpieczna, ośmieliła się w końcu rozejrzeć wokół siebie. Jason obserwował ją z frontowych schodów budynku. Ciężko opadła na siedzenie i powiedziała kierowcy, dokąd ma ją zawieźć.

Mieszkanie wypełniały wiosenne kwiaty: frezje, narcyzy, białe hiacynty i żółte żonkile. Pachniało nimi całe powietrze. Wszędzie dookoła efektownie rozwieszono świece, które rozświetlały małą powierzchnię pokoju. Na stołach stały maleńkie przekąski. Na srebrnych tacach czekały kieliszki, a dwie kelnerki, które Joaney zatrudniła z okazji przyjęcia, zajmowały się właśnie otwieraniem pierwszych butelek veuve cliquot, ulubionego szampana Michaela. Dzięki Bogu, że istnieją dostawcy, pomyślała panna młoda, po czym zapaliła ostatnie słabe światełka i cofnęła się o krok, aby obejrzyć swoje dzieło.

Klaudia nakładała ciepłe cienie różu na blade policzki i podniosła głowę, gdy przyjaciółka pojawiła się w otwartych drzwiach.

- Wszystko gotowe. Będzie świetnie, nie sądzisz? - spytała nerwowo Joaney.

Przynajmniej tym razem była ubrana zupełnie klasycznie w czarną jedwabną suknię. Na palcu połyskiwał jej szlifowany szmaragd. Klaudia posłała jej wymuszony uśmiech.

- Nie martw się, moja droga - powiedziała. Naprawdę nie ma znaczenia, jak będzie, skoro wy dwoje jesteście szczęśliwi. Ale i tak jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze. - Otoczyła ramieniem spiętą Joaney i uściskała ją.

- Noo, a potem twoja kolej - odparła Joaney z nerwowym śmiechem i natychmiast poczuła, jak Klaudia sztywnieje i wyzwała się z uścisku. Zapadła niezręczna cisza. Joaney czekała, aż Klaudia jej przytaknie.

- Klaudio, co się dzieje? Dobrze się czujesz?

Klaudia unikała oczu przyjaciółki, zakładając z uwagą duże klipsy z cyny i rżniętego szkła. Miała na sobie bladoszarą sukienkę, która przylegała do jej figury bez najmniejszej zmarszczki. Po chwili wydała z siebie długie głębokie westchnienie i odpowiedziała:

- Słuchaj, Joaney, przykro mi, ale... widzisz, zrywam z Jasonem. - Machnęła ręką, po czym dodała: - Nie martw się, nie dziś wieczorem. Ale prawdopodobnie jutro. Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć, więc mnie nie atakuj. - Skrzywiła się, kiedy dostrzegła zszokowaną twarz Joaney. - Przynajmniej jego gniew skupi się na mnie, zamiast na tobie i Michaelu. Powinnaś mi być wdzięczna.

- Ale dlaczego? - W głosie Joaney Klaudia usłyszała więcej niepokoju, niż się spodziewała. Może sama podejrzewa, pomyślała, do czego jej brat jest zdolny. Ale to, co jej przyjaciółka powiedziała następnie, szybko i bez wahania, rozczarowało Klaudię: - To chyba nie ma nic wspólnego z Bo, prawda? To znaczy, myślałam, że tamto jest skończone?

- Ależ tamto jest skończone, Joaney. - Klaudia posłała jej bolesny uśmiech. - Wierz mi, to przeszłość. Dawno odeszło i dawno zostało zapomniane. - Milczała przez chwilę, próbując skupić myśli. - Cóż, po pierwsze, jak przypuszczam, nigdy nie kochałam Jasona. Zaczęłam z nim chodzić, ponieważ ty tego chciałaś. Zresztą na początku podobało mi się to, jak mnie traktował. Czulałam się kimś wyjątkowym, zwłaszcza po rozmowie z Bo... Dla Jasona nie byłam którąś z kolei panienką, którą się szybko przeleci, a potem zostawia... Twój brat sprawiał, że miałam wrażenie, że jestem jego najdroższym skarbem, wszystkim, czego pragnąłby od życia. Wydawał się taki silny na tle słabego Bo. Myślałam, że tego właśnie chcę. - Klaudia przerwała, a Joaney pokiwała głową.

- Tylko że teraz wszystko się zmieniło? Wyczerpało się twoje uczucie dla niego?

- Pewnie tak... tak sędzę. Ale i Jason się zmienił. Zaczął mnie tłamsić. Nie pozwala mi na nic. Czuję się jak niewolnica. Nie mogę już rozmawiać z innymi mężczyznami, bo to go doprowadza do wściekłości, nie mogę pracować wieczorem ani pójść sama na zakupy, nie uprzedzając go, nie mogę nawet sama wybierać, co mam na siebie włożyć. A poza tym... - Zawahała się, niezdolna opowiedzieć Joaney całej prawdy. - Naprawdę mi przykro.

Ale Joaney zamknęła na chwilę oczy i pokiwała głową.

- Chyba wiem, co jeszcze mogłabyś mi opowiedzieć. To się nie zdarza pierwszy raz. Ale myślałam, że dzięki tobie się zmienił. Boże, Klaudio, to mnie jest przykro. Przepraszam cię, moja biedna przyjaciółko! - Znowu uściskała Klaudię, podczas gdy ta przez chwilę walczyła, aby się nie rozplakać, a potem pomyślała jakże absurdalnie: „Jestem wolna! Jak wspaniale!”

- Hej, nie stójmy tak i nie biadolmy - roześmiała się Klaudia, uwalniając się z uścisku Joaney. - To przecież twój wielki wieczór. I moja wielka ucieczka... więc świętujmy. - A potem uśmiechnęły się do siebie promiennie. Klaudia podniosła z podłogi Kłębuszka, który kręcił się jej pod nogami, domagając się uwagi, i podrapała go za uszami.

- Zdaje mi się, że ten kociak kocha cię w tej chwili bardziej niż mnie. Może powinnaś go zatrzymać? - ofiarowała się wspaniałomyślnie Joaney, kiedy obie głaskały miękkie szare futerko. Kłębuszek pozwolił się nieść Klaudii przez cały salon na ramieniu.

- Ależ nie, przecież Michael dał go tobie. Będę się nim opiekować, ilekroć wyjedziesz na wakacje. A poza tym możecie mnie razem odwiedzać. - Pieściła lśniące boki kota, pocierała jego wąsy, a potem uwolniła go, a ulubieniec dziewcząt pobiegł natychmiast zobaczyć, co dzieje się w kuchni.

Potem przyszedł Michael, a wkrótce po nim zaczęli przybywać pierwsi goście. Obie gospodynie były bardzo zajęte. Przedstawiały jedne osoby drugim i sprawdzały, czy wszyscy dobrze się bawią. Hewittowie sporo się spóźnili i gdy przyszli, przyjęcie było już w całej pełni. Szum głosów wzrastał z każdą minutą, wypijano kolejne kieliszki szampana, konsumowano kanapki. Wieczór wydawał się naprawdę udany.

Jednakże Jason przyszedł w niezwykle ponurym nastroju. Miał na sobie szary garnitur, który był tak ciemny, że przy śnieżnobiałej koszuli wyglądał

na zupełnie czarny. Pasuje do koloru jego włosów, oczu i... duszy, pomyślała ironicznie Klaudia, obserwując go z bezpiecznej odległości w narożniku.

Zobaczył ją natychmiast i zaczął się w jej kierunku przepychać przez tłum. Odwróciła się, aby przygotować na powitanie najzimniejszy z uśmiechów.

Ale niestety właśnie w tym momencie Michael zdecydował się poprosić o spokój. Uciszał tłum tak długo, aż wszyscy się uspokoili i zaczęli popatrywać wokół siebie z oczekiwaniem, przy czym uśmiechali się do Joaney, czując, że teraz ma się zdarzyć coś naprawdę doniosłego. Jason tak mocno ścisnął nadgarstek Klaudii, że mimo prób, nie udało jej się wyrwać. Kiedy Michael zaczął przemawiać, mruknął coś do siebie.

- Chcę wam wszystkim podziękować za to, że przyszliście tu dziś wieczorem, za to, że jesteście naszymi przyjaciółmi i za to, że wypijacie ogromne ilości naszego szampana... - Jego mowę przerwały w tej chwili chichoty i Michael sam się głośno roześmiał. - ...Za to, że zawsze, przez całe ostatnie dwa, dość trudne dla mnie i Joaney lata, ilekroć was potrzebowaliśmy, nie odmawialiście nam swojej pomocy. A teraz, właśnie dzisiejszego wieczoru, szczególnie pragniemy waszej dobrej woli i życzliwości, ponieważ musimy wam coś oświadczyć. - Michael wziął rękę Joaney w swoją dłoń i ścisnął ją, aby dodać jej i sobie kurażu.

- Wielu z was zapewne wie, że parę tygodni temu orzeczono wreszcie mój rozwód i ponieważ nie jestem wcale takim strasznym głupcem, za jakiego niektórzy z was uważali mnie w przeszłości... - Rozległy się jeszcze głośniejsze śmiechy, ale większość osób uciszało się nawzajem. W końcu wszyscy wstrzymali oddechy i wyczekująco patrzyli na Glendinninga. - ...Więc chcę poprosić państwa Hewittów, Johna i Pattie Hewittów o ich błogosławieństwo dla mnie i dla Joaney, ponieważ pobraliśmy się trzy dni temu. - Zapadła śmiertelna cisza, w czasie której zgromadzeni ludzie usiłowali oswoić się z usłyszaną nowiną, a po kilku sekundach rozległ się ogłuszający ryk aprobaty i wybuchły oklaski. Pięćdziesięcioro przyjaciół młodej pary wiwatowało, a na ich de stało milczących i nieruchomych, jakby zmrożonych troje Hewittów. Ostatecznie tłum się uciszył i John Hewitt, który mocno trzymał w ręce dłoń żony, jakby obawiając się, że jego towarzyszka może powiedzieć coś niewybaczalnego, wysunął się do przodu i odezwał:

- No cóż - odchrząknął i potarł palcem bok nosa - to dla nas nie lada niespodzianka. Wiedzieliśmy, że się lubicie - znowu zewsząd rozległy się śmiechy - ale nie mieliśmy pojęcia, że aż tak bardzo. Ale skoro tak jest, życzymy wam obojgu wszystkiego najlepszego. - John Hewitt był uprzejmym

i dobrym człowiekiem, bardzo kochał swoją córkę, mimo że żona podjudzała go wiecznie przeciw niej, otworzył więc ramiona, objął nimi Joaney i uściskał ją mocno. Pattie Hewitt z lodowatym uśmiechem ucałowała Michaela w oba policzki.

Stojąca obok niej Klaudia usłyszała ciężki, brzęący jak rzeźnienie, oddech Jasona. Jego twarz poszarzała z wściekłości. Wydawał się nie zważać na gości, którzy znowu wiwatowali, wydawali radosne okrzyki i śmiali się głośno. Rysy twarzy wykrzywiły mu się dziwnie. Patrząc na jego oblicze, miało się wrażenie; że Jason musi bardzo cierpieć. Nagle wypuścił z uścisku nadgarstek Klaudii i zaczął się przepychać ku siostrze.

Tylko Klaudia wiedziała, co to może oznaczać, ruszyła więc za nim szybko, ale zanim zdołała do niego dotrzeć, zdążył już wyszarpnąć Joaney z chłodnych objęć matki i uderzył ją w twarz tak mocno i celnie, że dziewczyna zachwiała się i upadła. Nie zamierzał najwyraźniej sprawdzić, gdzie wylądowała, natychmiast bowiem obrócił się ku Michaelowi i począł coś krzyczeć z wściekłości i oburzenia.

Jakiś kuzyn, który znajdował się bliżej Jasona niż Klaudia, przytrzymał go od tyłu, a kiedy walczyli - najpierw na stojąco, potem na podłodze - wielu innych mężczyzn podbiegło, aby powstrzymać rozjuszonego młodzieńca. Ale wszelkie dźwięki zagłuszała Pattie Hewitt, która szlochała i krzyczała ostrym głosem, aby uwolnili jej syna.

Michael pochylił się nad Joaney, podniósł ją i przytulił. Trzymając w ramionach, uspokajał ją przez długą chwilę i głaskał wielką czerwoną pręgę na policzku. John Hewitt stał bez ruchu i patrzył na tych dwoje. W końcu obrócił się w kierunku Jasona. Twarz mężczyzny była wykrzywiona z wściekłości.

- Jak śmiesz, synu? Jak ci się wydaje, kim ty jesteś? Wynoś się stąd, Jasonie, i to natychmiast! Porozmawiam z tobą później. Wynocha z tego domu! - powtórzył zachrypłym głosem, ponieważ jego syn najwyraźniej się wahał.

Jason pogardliwie odtrącił krępujące go ręce, wstał, poprawił krawat i marynarkę. Potem zaczesał palcami włosy do tyłu i rozejrzał się dokoła. Wreszcie utkwiał oczy w Klaudii.

- Chodź, wychodzimy. Zwymiotuję, jeśli zostanę tu jeszcze przez chwilę. - Wyciągnął do niej rękę, ale Klaudia tylko powoli potrząsnęła głową. Twarz mężczyzny pozostała nieruchoma.

- Powiedziałem: wychodzimy, Klaudio - powtórzył i zrobił gest, jak gdyby chciał ją zaciągnąć wbrew jej woli, ale ona cofnęła się nagle i zdecydowanie.

- Nie, Jason, nie tym razem. I już nigdy więcej - odparła chrypliwie.

- A cóż to niby ma znaczyć? - Twarz Jasona zbieleła z zaskoczenia. Klaudia uspokoiła się dopiero, kiedy odezwał się chłodny, cedzący słowa głos za nią, odważnie udzielający jej wsparcia.

- Klaudia nie chce z tobą iść i, jak już słyszałeś, nie jesteś tu mile widziany. Może więc się po prostu stąd wyniesiesz?

Młody Hewitt obrócił się szybko, gdy rozpoznał głos Michaela. Jego usta stężały.

- Taa? A dlaczego uważasz, że to twoja sprawa? Odpieprz się ode mnie, draniu!

- Jason! - krzyknął John Hewitt, ale jego syn był szybszy i zdołał się już zamachnąć na Michaela. Anglik zrobił unik, po czym złapał Jasona za ramię, wykręcił je do tyłu i przytrzymał za plecami napastnika. Potem powiedział powoli, z rozważą, jak gdyby obawiał się, że Jason może go nie zrozumieć.

- Klaudia nie jest dla takich jak ty, Jasonie. A teraz wynoś się stąd do diabła. - Michael ostrożnie popychał chłopaka do drzwi, i dopiero wtedy uwolnił go. Cofnął się przezornie, kiedy młody Hewitt masował sobie ramię z bolesną miną, a jednocześnie miotał wokół siebie szalone, pełne złości spojrzenia i obrzucał Michaela piorunującym, pełnym nienawiści wzrokiem, jak gdyby miał ochotę zabić go samymi oczyma.

Następnie popatrzył na milczących i zaszokowanych gości swojej siostry, która szlochała w ramionach ojca. Jason stał obok okna, wiatr targał mu włosy. Nagle poczuł, że coś dotyka mu łydki, spojrzał w dół i dostrzegł małe ciało Kłębuszka. Potem odwrócił się do okna i lekko się uśmiechnął, ponieważ coś mu najwyraźniej przyszło do głowy. Ulga i okrucieństwo równocześnie zmarszczyły jego zacięte usta, kiedy powtórzył sobie kilka razy w pamięci słowa Michaela, czując gorzką rozpacz. „Klaudia nie jest dla takich jak ty”. Tak, pomyślał sobie, doprawdy? Zobaczymy!

- Cóż, w takim razie popamiętasz swój cholerny, pieprzony błąd, Joaney. I ty też, Klaudio. To będzie lekcja dla was obu.

I zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, pochylił się szybko, wziął Kłębuszka, podnosząc go tak wysoko, że kot zawisł mu nad głową. Klaudia zrobiła gwałtownie krok do przodu.

- Nie, Jasonie! Och, Boże, proszę cię, tylko nie to... - błagalnie machała rękoma, jakby zaklinając powietrze, a Jason znowu okrutnie się uśmiechnął.

A potem jednym powolnym i spokojnym ruchem wyrzucił kota przez okno. Kłębuszek zamiauczał szaleńczo, znikając z pola widzenia. Nikt się nie ruszył. Wszyscy otaczający go goście tylko ciężko oddychali. Byli w szoku.

- Nie! Och, Boże, nie! - krzyczała Klaudia, podnosząc rękę do ust - Nieee!

Joaney opadła na klęczki. Krzyczała histerycznie. Ojciec pochylił się nad nią, a wtedy Jason uśmiechnął się lekko do Michaela, po czym odwrócił się i zniknął w drzwiach.

Klaudia czuła się chora ze strachu. Uświadomiła sobie właśnie, że zawsze wiedziała, jaki Jason jest naprawdę, a mimo to nigdy mu się nie przeciwstawiła, nigdy nie stawiała mu czoła... Po chwili zmusiła się, aby podejść do okna i wyjrzeć.

Następnie szybko się odwróciła, przerażona tym, co ujrzała i, drżąc na całym ciele, weszła do sypialni i cicho zaniknęła za sobą drzwi.

RS

Rozdział dziewiętnasty

Judson, Teksas Rok 1985

- Już nigdy nie zamierzam być biedna, mamó. - Od pamiętnego weselnego przyjęcia Joaney minęły właśnie dwa lata. Klaudia siedziała na huśtawce zawieszanej na ganku przed domem i wygrzewała się w słońcu. Skulony Todd siedział koło niej i spał. W pewnej chwili zamruczał coś przez sen i wtedy Klaudia uśmiechnęła się do niego czule. Jej matka siedziała na krześle naprzeciw nich.

- No, za dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie nie będziesz się zajadać samym kawiozem, prawda? - Mówiły szeptem, aby nie zbudzić Todda. - Poza tym lubię, gdy Todd jest ze mną. Jest szczęśliwy tu w szkole, dorasta tutaj, zna całe swoje otoczenie...

- Ależ ja o tym wiem, mamó. Nie mówię, że chcę go zabrać na stałe, tylko na letnie wakacje. Ty też, jeśli chcesz, przyjeźdź, gdy dostaniesz urlop. Naprawdę nie mogę rzucić pracy, aby przyjechać tu i spędzać z wami więcej czasu. A Todd dorasta beze mnie, więc pomyślałam... - w głosie Klaudii zadźwięczała nuta zadumy i tęsknoty.

- Potrzebujesz własnego mężczyzny i własnych dzieci, Klaudio. Todd i ja oczywiście przyjedziemy i pobędziemy z tobą, jak tylko nam się uda, ale swoje życie musisz sobie ułożyć sama. Musisz...

- Mamó!

Klaudia spojrzała z zaskoczeniem na matkę, która siedziała przed nią spokojnie. Jej blada, lekko błyszcząca skóra coraz mocniej się zaczynała marszczyć, a jasne oczy wydawały się jeszcze bardziej wyblakłe. Dziewczyna pomyślała, że matka najwidoczniej w ogóle jej nie rozumie.

- Mam dobrą pracę, niedługo się ukaże moja książka i... i mam teraz swoje własne mieszkanie. Do czego byłby mi potrzebny jakiś mężczyzna, zwłaszcza po tym, jak jeden z nich potraktował ciebie?

Pogłaskała jasne włoski Todda i spojrzała stanowczo na matkę, wiedząc, że ta nigdy nie przypuszczała, iż Klaudia może odnieść sukces. Potrafiła najwyraźniej myśleć o niej tylko jako o swojej córce i kiepsko płatnej pisarce, która była niby dość ładna, chociaż, w gruncie rzeczy, niczym specjalnym się nie odznaczała.

Nie miało dla niej znaczenia to, że właśnie zatwierdzono do publikacji pierwszą powieść Klaudii ani to, że przez dwa lata wodziła na sznurku jednego z najbardziej pożądanym nowojorskich kawalerów. Nie miało dla

niej znaczenia, że jej córka ukończyła z wyróżnieniem Uniwersytet Columbia i znalazła niezłą pracę w prestiżowym czasopiśmie finansowym, którego biuro mieściło się w San Francisco. W oczach swej matki Klaudia była niczym, zerem, i to tylko dlatego, że nie miała nikogo. Żadnego mężczyzny. Boże!

- Oj, potrzebujesz, potrzebujesz, zapewniam cię. Czy tego chcesz czy nie, taka właśnie jest prawda. A to, jak mnie potraktowano, nie ma z tym żadnego związku. Nie wszyscy mężczyźni są przecież tacy jak twój ojciec... Wiem, że Gina stara się bardzo, że przedstawia cię wielu miłym młodym mężczyznom, a brat Joaney, no cóż, to już wprawdzie skończone, ale nie sądzę, aby był złą partią...

Kobieta prychnęła pogardliwie i Klaudia rozejrzała się dokoła siebie nerwowo. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Opowiedziała matce o Jasonie wszystko i taka była jej reakcja?!

- Nie był złą partią? Ależ mamó, jego ojciec musiał go wysłać do Tokio, aby go odsunąć ode mnie i Joaney. Ten chłopak to zupełny psychopata! Założę się, że gwałci kolejne pokorne Japonki, które kłaniają mu się w pas i nic nie mówią na jego chore pomysły.

- Proszę cię, Klaudio! Nie chcę słyszeć o takich sprawach - zaprotestowała matka.

- Ja również nie chcę o tym rozmawiać, mamó. Więc przestań mi przypominać to, o czym staram się zapomnieć. A co z Peggy? Ona z pewnością nigdy nie przegapiła żadnego mężczyzny, który kiedykolwiek pojawił się w odległości gwizdu od niej i widzisz, jak to się dla niej skończyło - warknęła Klaudia, a jej matka westchnęła ciężko, przyznając córce rację.

- Dobrze, żyj jak chcesz. Ale nie używaj Todda jako czegoś w rodzaju zderzaka odgradzającego cię od mężczyzn. Nie udawaj, że on jest powodem, dla którego nie chcesz się spotykać z mężczyznami. Nie wolno ci tak postępować ani z nim, ani z sobą samą.

- Nie zamierzam! - zaprotestowała Klaudia, ale wcale nie była przekonana, czy mówi prawdę. Przez chwilę zamyśliła się nad sobą, ale szybko się otrząsnęła i wróciła do rzeczywistości. Rozmowa obudziła jednak Todda. Chłopiec usiadł na łóżku wyprostowany i uśmiechnął się do obu kobiet.

- Co się dzieje? Rety, ale jestem głodny. Mogę sobie wziąć kanapkę z masłem orzechowym, babciu? Zrobię sam - dodał, kiedy zobaczył wyraz twarzy Klaudii. W wieku lat ośmiu był już raczej małym młodzieńcem niż dzieckiem. Jego młoda ciotka poczuła nagle żal, że tak szybko urósł. Westchnęła i potargała mu czuprynę.

- Nie gniewam się na ciebie, Todd, więc nie bądź taki zmartwiony.

- Nie jesteś też chyba zła na babcię, prawda? - Chłopiec popatrzył na nią, jakby ją oskarżając, i Klaudia się zmusiła do fałszywego uśmiechu.

- Ależ nie, Todd, na babcię też się nie gniewam. Po prostu nie jestem w tej chwili w najlepszym nastroju, to wszystko. Nie martw się.

- Nie jesteś szczęśliwa? - nalegał.

Klaudia spojrzała matce w twarz, dostrzegła w jej przenikliwych oczach pewność, która nie była dlań miła. Zawahała się.

- Nie, jestem teraz tylko trochę rozstrojona, Todd, nic więcej. Po prostu gdy jestem w Kalifornii, tęsknię za tobą i za babcią i zdaje mi się, że chyba nie pasuję tam w gruncie rzeczy...

- Ani tutaj - oznajmiła matka wstając. Obciągnęła sukienkę i wyciągnęła rękę do wnuka. - Tutaj już nic dla ciebie nie ma, prawda, Klaudio? - Przerwała, widząc w jej oczach wahanie, ból z powodu czegoś, co utraciła. Ale nic nie mogła zrobić. Jej córka musiała sobie sama poradzić z własnym życiem.

- To prawda. - Dziewczyna potrząsnęła powoli głową. - Chyba nie. -Gdzie, w takim razie, jest moje miejsce, mamó? Do czego pasuję? Do kogo należę?

Stawiała sobie to pytanie, ale w głębi czuła już rosnącą pewność. Jeszcze kilka lat i może będzie mogła sobie pozwolić na wyjazd. Może. Może zdobędzie wystarczająco dużo doświadczenia, aby zdobyć kolejną, lepiej płatną pracę. I teraz poczuła na ciele dreszcz, kiedy pomyślała o tym, co się może zdarzyć: o Hongkongu, o Marku, o Harrym...

- A skąd ja mogę wiedzieć? Nie mnie powinnaś chyba o to pytać... Zawsze tak bardzo się starałaś, aby stąd uciec, aby się stać kimś innym. No i teraz wreszcie udało ci się zamieszkać gdzieś tam. Nie pytaj mnie, Klaudio, musisz sobie z tym poradzić sama. Przemyśl to uczciwie, nie okłamuj siebie samej, nie ukrywaj się za czyimiś plecami. - Matka spojrzała znacząco na Todda i speszona Klaudia spuściła wzrok.

- Może i tak. - Ale jej ton nie świadczył o tym, że jest w pełni przekonana. To, czego potrzebowała teraz, to ciężka praca i własny rozwój, a nie mężczyźni.

W tej właśnie chwili przyjechał jeden z kolegów Todda, wołając, aby poszedł się z nim bawić. Todd przystał na to skwapliwie i zbiegł z ganku, nie oglądając się za siebie. Klaudia i jej matka obserwowały, jak biegł. Gdy się uśmiechały, były do siebie o wiele bardziej podobne, niż same mogłyby

przypuszczać. Obie się cieszyły, że chłopiec jest szczęśliwy i obie poczuły lekki smutek, że tak łatwo przychodziło mu je opuścić.

- Widzisz teraz, co miałam na myśli. Todd ma już swoje własne życie i jest z niego zadowolony. Trudno być w życiu zadowolonym, Klaudio, więc kiedy się czujesz szczęśliwa, musisz się starać, by trwało to jak najdłużej. I nie powinnaś nikomu pozwolić decydować o sobie, rządzić twoim umysłem. - Matka Klaudii skrzyżowała na piersiach ramiona i uciekła spojrzeniem w słońce.

- A ty, mamó? Czy ty jesteś teraz zadowolona?

Klaudia przelotnie spojrzała na matkę. Długo trwała cisza, matka najwyraźniej potrzebowała sporo czasu, aby jej odpowiedzieć. Po głębokim zastanowieniu ostatecznie się odwróciła i spojrzała na córkę.

- Prawie tak. - Uśmiechnęła się. - Prawie jestem zadowolona.

Hongkong Rok 1987

Tony siedział w długim prostokątnym barze i mimochodem, kątem oka zerkał na film na wideo. Wyświetlano Ben Hura i Charlton Heston brał właśnie udział w milczącym wyścigu kwadryg. Szlachetne czoło bohatera pociło się z wysiłku, a usta uosabiały nieugiętość i srogość. Tony Ingram obracał szklaneczkę whisky w dłoniach, głęboko zatopiony w myślach.

Obok niego usadowiła się zgrabnie na barowym stołku Porcja Hsu i patrzyła z uwagą na jego zdecydowany profil. Była najwyraźniej rozbawiona i szybkimi łykami popijała bananowe daiquiri. Od czasu do czasu obrzucała go ostrym spojrzeniem, taksowała jego niedbałe ubranie: spodnie khaki i koszulę, krótką, jasną czuprynę, spoglądała na kwadratowo zakończone, mocne palce, które bawiły się szklanką. W pewnej chwili pochyliła się lekko ku niemu i poczuła czysty, wyraźny zapach męskiego mydła i wody po goleniu. Na myśl o tym, co może niedługo nastąpić, Porcja poczuła lekki dreszczyk na całym ciele.

Przy barze gromadziły się tłumy wieczornych gości. Wiele osób obsiadło stoliki, aby po kilku drinkach zjeść kolację. Na zewnątrz tej najpopularniejszej w Lan Kwai-Fong restauracji z drink barem zaczęła się tworzyć kolejka czekających na wolne miejsca. Nad ich ruchem panowała niepodzielnie elegancka młoda kobieta z notesem w rękę. Ludzie wokół rozmawiali przyciszonymi, wesołymi głosami, uwalniając się od trosk dnia, ale Tony uparcie milczał. Porcja odrzuciła z twarzy ciemne włosy i zaczerpnęła lekko powietrza.

- Możesz mi udzielić pewnej rady? - spytała w końcu. Tony drgnął i spojrzał na nią. Był jakiś zakłopotany i roztargniony.

- Przepraszam... co mówiłaś?

- Tak się głęboko zatopiłeś w myślach... Pamiętasz mnie, prawda, Tony? Porcja Hsu.

Młodzieniec obejrzał od stóp do głów ładną, szczupłą figurkę dziewczyny ubranej w czarne dżinsy biodrówki i drogą białą lnianą bluzkę. Dostrzegł długie czarne włosy spięte szylkretową spinką, żółtawe perłowe kolczyki na tle twarzy mającej subtelny kolor kości słoniowej, i skinął głową. Ponure myśli rozproszyło mu uczucie lekkiego zaskoczenia i doznawanej przyjemności. Uśmiechnął się.

- Tak, oczywiście, że cię pamiętam, Porcjo. Nie wiedziałem tylko, że jesteś już taka dorosła. Co u ciebie słychać?

Zauważył nadąsaną minkę i ślicznie wydęte wargi i widok ten tak go oczarował, że z trudem oderwał od niej wzrok.

- Nudzę się - odparła. - Czekałam na przyjaciółkę, ale się nie pojawiła. Dotrzymasz mi towarzystwa?

W jej ciemnych oczach pojawił się jakiś niepokojący błysk i ładne, wygięte w łuk brwi uniosły się odrobinę do góry. Tony zatrzymał na niej wzrok. Przez sekundę poczuł się niepewnie, ale zaraz uśmiechnął się i powiedział:

- Chętnie. Ja również czekałem na przyjaciela, ale tak bardzo się spóźnia, że chyba zrezygnuję. Czy nie powinnaś być teraz w jakiejś szkole w Stanach? Słyszałem, zdaje mi się, że studiujesz?

- Słyszałeś coś o mnie? - Roześmiała się, bardzo zadowolona. - Jak to miło wiedzieć, że mówią o mnie... - Jej ciemne oczy śmiały się wraz z ustami. - Cóż, rzeczywiście studiuje ekonomię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Tato chce, abym przejęła część rodzinnych interesów, gdy tylko skończę. Przyjechałam do domu tylko na jakiś tydzień. - Porcji najwyraźniej podobała się ta myśl.

- A co u twojego ojca? - W głosie Tony'ego pojawiła się cierpka nuta i Porcja spojrzała na niego szybko.

- Więc ciągle nad tym bolejesz?

- Nad czym? - Chłopak zmarszczył brwi.

- No wiesz, twoja matka i mój ojciec. - Porcja roześmiała się, gdy zobaczyła, jak chłopak rumieni się ze złości. - Och, Tony, to było tyle lat temu! Chociaż w pewnym sensie cię rozumiem. Moja mama, tak samo jak ty, nie potrafi o tym zapomnieć. Ale przecież sam wiesz, że to nie było nic

ważnego. Zwykły flirt. - Zobaczyła, jak Tony zaciska usta, z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że jej towarzysz jest odmiennego zdania.

- Tak, tak, pewnie... Po prostu jestem zaskoczony, że w ogóle coś na ten temat wiesz. To wydarzyło się przecież tyle lat temu, że musiałaś być wtedy naprawdę bardzo mała... - Tony popatrzył na nią z zainteresowaniem i zastanowił się, jakiego rodzaju stosunki łączą ją z ojcem. Reginald Hsu. Na samą myśl o nim Tony skrzywił się. Nikt nie mógł nic poradzić na tę jego niechęć, nawet sam Reginald Hsu. A o kobietach chłopak w ogóle nie chciał myśleć.

- Tatko i ja jesteśmy sobie bardzo bliscy. - Porcja łatwo odgadła jego myśli. Na jej obliczu pojawił się wyraz stanowczości i determinacji. - Niewiele spraw ukrywamy przed sobą. Hm, prawie nic... - Uśmiech powrócił, na twarzy pogłębiły się śliczne dołeczki. Spytała go z pewną poufałością: - A o czym tak dumałeś przed chwilą?

- A dumałem? - Tony zmusił się do uśmiechu, po czym wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Chyba myślałem po prostu o pracy. Nic więcej.

- A tak, jesteś wielkim pogromcą triady, prawda? - zadrwiła Porcja. Tony spuścił oczy, aby ukryć przed nią swoje myśli. Po sekundzie uśmiechnął się lekko.

- No wiesz, nie żartuj sobie ze mnie. Jestem tylko małą płotką w Wydziale do Spraw Walki z Triadą, to wszystko.

- Słyszałam coś innego... - Mówiła powoli, przeciągając sylaby, potem pochyliła się ku niemu i dodała szeptem: - Słyszałam, że jesteś ważnym inspektorem i jeszcze... że jesteś nieprzekupny. Bielszy niż najbardziej śnieżna biel. - Otworzyła szeroko oczy. - Czy to prawda, Tony? - Znowu się uśmiechnęła, serdecznie i drwiąco jednocześnie.

- A dlaczego pytasz? Czy proponujesz mi może łąpówkę, Porcjo? - Spojrzał na nią z rozbawieniem, ale w głębi duszy całkiem poważnie zastanowił się, czy nie o to właśnie jej chodziło. Obserwował ją uważnie. Dziewczyna dąsała się przez chwilę, potrząsała jedwabistymi, ciemnymi włosami i stuknęła w kieliszek pomalowanym na czerwono paznokciem.

- A czy muszę cię przekupić, żebyś wypił ze mną kolejnego drinka?

- Nie. Może być również kolacja, jeśli masz ochotę. - Przez chwilę Tony zastanawiał się, czy to on nadaje kierunek tej rozmowie, czy też ona nim manipuluje bardziej niż mógłby podejrzewać. Czy Porcja naprawdę sądziła, że fakt, iż ich rodzice mieli romans, nie miał żadnego wpływu na ich

wzajemne stosunki? Czy uważała, że mógłby się zakochać w córce kogoś, kto...? Nie był pewien, czy ma się śmiać czy płakać, kiedy położyła mu rękę na ramieniu.

- Kolacja? Cóż za wspaniały pomysł. Ale nie tutaj. Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce, dobrze?

Powiedziała to cicho i bardziej pieśczośliwie. Nie była zaskoczona, gdy Tony się zgodził. Ale kiedy odwróciła się ponownie w stronę sali restauracyjnej, w jej uśmiechu był smutek. Wypatrzyła przy jednym ze stolików ojca. Przyglądał się jej z uwagą. Potem obserwował ich oboje, jak wychodzili. Ojciec będzie rozczarowany, że mi się nie udało, pomyślała ponuro, ale przestała żałować za chwilę, spojrzawszy z uśmiechem na Tony'ego, który przytrzymał przed nią drzwi. Nie jesteś zainteresowany, prawda, Tony? - zapytała go w myślach. Nie mną i nie tym, co mogę ci zaoferować? Zacisnęła mocno usta, po czym wyszli w noc.

A z ciemnego kąta baru Scottiego Aidan Lockhart popatrzył smutno przez okno na wychodzącą parę.

RS

Rozdział dwudziesty

Kioto, Japonia Styczeń 1989 roku

Jason siedział na podłodze po turecku i trzymał w dłoniach rzeźbione w wymyślne wzory pudełko. Patrzył na nie z roztargnieniem. Przedmiot nie miał już dla niego tajemnic. Dawno temu odkrył, jak działa seria przesuwnych kasetek, które otwierają mechanizm wieczka. Ale w pudełku znalazł jedynie fotografię trzech mężczyzn, z których żadnego nie znał. Włożył więc fotografię ponownie do schowka i z myślą, że może pewnego dnia mu się przyda, odłożył ją w bezpieczne miejsce.

I teraz, mniej więcej sześć lat później, popatrzył na fotografię w rękę, a potem ponownie spojrzął na ekran stojącego przed nim telewizora. Zobaczył Chińczyka w średnim wieku, siwiejącego i częściowo wyłysiałego, ubranego w przepisowy partyjny wyjściowy, dość dopasowany szary piżamowy garnitur, wyglądający jak mundurek. Mężczyzna siedział na podwyższeniu w jakiejś równie szarej jak on sam salce konferencyjnej i wraz z kilkoma innymi politykami swego kraju naradzał się z delegacją brytyjską, która przybyła rozwiązać pewne palące kwestie związane z kończąca się dzierżawą Nowych Terytoriów. Chińczyk był może nieco bardziej pulchny niż na fotografii i miał na sobie typowy strój swoich rodaków, zamiast garnituru, w którym uchwyciono go na zdjęciu, ale Jason był pewny, że jest to ten sam mężczyzna.

Nagle i w niezrozumiały dla siebie sposób zainteresował się, w jaki sposób brat Klaudii wszedł w posiadanie fotografii wyższego urzędnika państwowego Chińskiej Republiki Ludowej. I - co było jeszcze ciekawsze - kim byli pozostali dwaj mężczyźni? Czyżby równie ważnymi oficjelami? Jakie było znaczenie ich spotkania? Co znajdowało się w paczusce, którą sobie przekazali? Jason ugniatał czoło szerokimi łopatkowatymi palcami, które kiedyś tak łatwo wbijał w miękką skórę Klaudii. Zacisnął usta i intensywnie myślał.

Być może powinien skopiować tę fotografię? Odbitkę umieścić w bezpiecznym miejscu, na wszelki wypadek, gdyby napotkał przeszkody, próbując ustalić tożsamość pozostałych dwóch mężczyzn. A potem mógłby się przekonać, ile jest warte dla każdego z nich odzyskanie zdjęcia. Uśmiechnął się do siebie i pomyślał, że za taką fotografię można dostać bardzo różne sumy, zależnie od tego, gdzie została wykonana i w jakim celu. Tego właśnie musiał się dowiedzieć, właśnie tego!

Wstał, szybko podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Odezwał się miły damski głos: „Dzień dobry, Japońskie Linie Lotnicze”, a wtedy Jason wyjaśnił, o co mu chodzi.

Hongkong Kwiecień 1989 roku

Klaudia rozparła się wygodnie na siedzeniu, wyciągnęła przed siebie nogi i nagle napotkała przeszkodę. Aktówka? Neseser? Co za różnica, zadała sobie pytanie z rozdrażnieniem. Mogła się zwrócić do stewardesy, aby poprosiła siedzącego przed nią mężczyznę o usunięcie tego sporego przedmiotu, ale skoro nie chciała robić zamieszania, musiała cierpieć w milczeniu. Założyła więc tylko nogę na nogę w ciasnej przestrzeni przed fotelem i oglądała przez szybę wypełniające okno kłęby ciężkich chmur.

Od Hongkongu dzieliła ich jeszcze niecała godzina lotu i Klaudia nie miała ochoty walczyć o taką drobnostkę, jak trochę więcej miejsca dla nóg. Pomyślała z westchnieniem, że w ostatnich tygodniach stoczyła tak dużo różnego rodzaju słownych potyczek, że starczy jej ich na całe życie. Najpierw trudna rozmowa telefoniczna z Markiem. Jego głos brzmiał tak dziwnie, a on sam wydawał się wstrząśnięty i niepewny. Zdenerwowany zapytał ją o pudełko. Moja polisa ubezpieczeniowa, powtórzył, kiedy nie wiedziała, o czym mówi. I wtedy musiała się przyznać, że nie wie, gdzie ono jest, jak mogła pamiętać po tak długim czasie? Wyjaśniła mu, że otrzymała je od niego całe lata temu... przynajmniej pięć czy sześć lat temu... a w tym czasie przeprowadzała się dwa razy. Usprawiedliwiała się, mając poczucie winy, a głos Marka stawał się coraz bardziej agresywny.

Siedząc teraz w swoim fotelu przy oknie, gdzieś nad Morzem Południowochińskim, aż drgnęła na wspomnienie jego obelżywych słów. Czego się tak bardzo bał, że wpadł w taką wściekłość, zastanawiała się z niepokojem. I dlaczego?

Ale po kilku dniach Mark zadzwonił ponownie i przeprosił siostrę za swoje wcześniejsze zachowanie. Wyjaśnił, że bardzo liczył na to, że to pudełko ciągle znajduje się w jej posiadaniu, więc gdy usłyszał, jak się rzecz ma naprawdę, przeżył prawdziwy szok. Tym razem mówił głosem serdecznym i miłym, jak gdyby był w świetnym humorze, w co Klaudia nie wierzyła nawet na chwilę. Jednak tym razem rozmawiała z nim ostrożnie i udawała, że udziela jej się ten niby radosny nastrój, a kiedy Mark zaproponował jej, aby przyleciała w odwiedziny do Hongkongu, udała zaskoczenie. Dostyszała w jego głosie prośbę i strach, więc się zgodziła.

Jej wydawcy spodobał się pomysł, by Klaudia wyjechała na Wschód i zadeklarował się, że pokryje koszty w zamian za cykl jej artykułów na temat przyszłości ekonomicznej Hongkongu do 1997 roku. I nagle wszystko okazało się takie łatwe. Klaudia przypomniała sobie, jak od lat planowała tę podróż, jak starała się zaoszczędzić pieniądze na wyjazd, jaką miała nadzieję, że pewnego dnia się uda... a potem nagle to marzenie się urzeczywistniło.

Potrząsnęła głową przypomniawszy sobie, jak zareagowała na wiadomość o planowanej podróży matka. O Boże! Przez chwilę niemal jęknęła, myśląc o tej straszliwej scenie, jaka rozegrała się między nią a Lucille Babcock. Matka oskarżała ją o zdradę, powtarzała któryś raz z rzędu, że nie ma już ani męża, ani syna; mówiła to bez przerwy, jak pęknięta płyta, Klaudia zaś nie pozostawała jej dłużna oskarżając matkę, że postępuje niesprawiedliwie i przenosi wszystkie urazy swego życia na swą młodszą córkę. Teraz Klaudia zamknęła oczy, próbując zapomnieć o tej nieprzyjemnej scenie, ale nie mogła - rozmowa z matką ciążyła jej na piersi jak nie strawiony posiłek i powodowała wyrzuty sumienia niczym zgagę. Jest już za późno, mamo, pomyślała ze smutkiem. Jej twarz wykrzywiła się w brzydki grymas. Nie można już było niczego odwrócić ani zmienić.

Stewardesy zaczęły sprzątać po śniadaniu. Robiąc to gawędziły i śmiały się z pasażerami, których najwyraźniej ekscytowała perspektywa szybkiego końca podróży. Klaudia nie miała wiele czasu na dumanie, ponieważ dość szybko wyświetlono napis, nakazujący zapięcie pasów, a potem samolot zaczął podchodzić do lądowania. Dziewczyna po raz pierwszy poczuła prawdziwą radość na myśl o Hongkongu. Za kilka minut, uświadomiła sobie, znajdę się na ziemi, znowu spotkam się z Markiem, znowu będę... w domu?! Nie była co do tego zupełnie pewna. Musi poczekać i zobaczyć, aby się o tym przekonać.

Brat Klaudii wyglądał niemal tak samo jak na fotografiach, które przysyłał jej przez lata, a jednocześnie w ledwo uchwytany sposób inaczej. Fotografie nie oddawały bowiem ani jego inteligencji, ani niepewności i strachu, które ukrywał teraz pod maską obojętności. Nie ujawniały też nieśmiałej radości, której bardzo starał się nie okazywać na widok siostry, ani niecierpliwości. Zdjęcia z pewnością nie odzwierciedlały również jego niemal zupełnej bez troski i lekkomyślnego wdzięku, którymi obdarzał niekiedy najbliższych przyjaciół. Młodszej siostrze Mark przypadł bardzo do serca, chociaż czuła, że nie należy do ludzi, na których można polegać.

Wszystkie te myśli przewinęły się Klaudii przez głowę, gdy tocząc wózek z bagażami, szła w dół spadzistej hali, wypełnionej tłumami ludzi. Czekali, by powitać ukochane osoby, przybyłe tym rejssem, krzyczeli hałaśliwie i podnosili wykonane domowym sposobem napisy z radosnymi hasłami. A wśród nich stał jej brat, Mark. Jest taki wysoki, pomyślała, a przede wszystkim taki przystojny, taki jasny na tle tego morza ruchliwych małych ciemnowłosych głów. Trzymał się z dala od reszty i w jakiś sposób udawało mu się uniknąć poszturchiwań i popychania. W gruncie rzeczy wokół niego nie było tłoku.

Dostrzegłszy Klaudię, Mark podniósł oczy. Jego twarz wydała się nagle dziewczynie bardzo, bardzo znajoma. A to dlatego, że przypomina moje własne rysy, uświadomiła sobie z zaskoczeniem. Doszła do niego wraz z wózkiem, zatrzymała się obok i nieśmiało nadstawiła policzek do pocałowania. I wtedy zauważyła, że Mark nie jest sam.

Obok niego stał ktoś, kto patrzył na Klaudię zachłannie, nieomal pożerając ją oczyma. Wydało jej się nagle, że powinna znać tego człowieka o złocistej cerze i ciemnych oczach, w których malowały się jednocześnie dojrzałość i smutek. Ten młody człowiek lustrował ją i - jak jej się wydawało - porównywał z kimś lub z czymś.

- Mark? Cześć, jak się masz? To wspaniale, że po mnie wyszedłeś - odezwała się Klaudia głosem, który nawet dla niej samej brzmiał sztucznie. Był dziwnie spięty i niepewny.

Mark uśmiechnął się.

- Klaudia! No, no, bez dwóch zdań, naprawdę się zmieniłaś. To znaczy... jeszcze bardziej, niż to dostrzegłem na fotografiach. Eee, pamiętasz Harry'ego, prawda? Przyprowadziłem go z sobą, aby cię wspólnie powitać...

Jego głos brzmiał tak samo nieswojo jak jej. Klaudia spojrzała ponownie na ciemnowłosego mężczyznę zupełnie zaskoczona. Poczowała niemal fizyczny ból, uświadamiając sobie, że stoi przed nią ten Harry, za którym tak bardzo tęskniła przez wiele lat, i którego teraz po prostu nie rozpoznała. Ciężko westchnęła, po czym wydała z siebie okrzyk:

- Harry? Mój Boże, Harry, to ty? - Widziała, jak jego oczy powoli się rozjaśniają i napęniają prawdziwą radością. Klaudia podbiegła do niego i wpadła w jego wyciągnięte ramiona. Przytulił ją do siebie mocno, a dziewczyna nie protestowała.

- Liddie! To naprawdę ty! Nie byłem na początku pewien, przyglądałem się i porównywałem, szukałem w tej eleganckiej kobiecie małej dziewczynki, szukałem ciebie z moich wspomnień...

Uściskał ją ze śmiechem i Klaudia znowu poczuła na sobie jego zapach. Był taki sam, jak w jej wspomnieniach: ostry, cytrusowy z subtelną nutą czegoś jeszcze, czego nigdy nie potrafiła nazwać, ale co bezsprzecznie wiązało się z jego osobą. W tym eleganckim ubraniu, które świetnie podkreślało wszystkie cechy wysokiego, dobrze zbudowanego ciała, mógł być kimkolwiek - jakimś przystojnym nieznajomym. Ale ten zapach sprawiał, że widziała w nim chłopca, którego kiedyś знаła.

- Tak, to ja. O, Boże, niech no spojrzę na was obu! Ależ wyrosliście. Czy ktoś w was wpychał dodatkowe porcje owsianki? Jak to możliwe, że jesteście tacy duzi, a ja taka mała? - Roześmiała się, włączając do swojego powitania Marka, ponieważ przez ułamek sekundy zobaczyła -co ją nieco zaniepokoiło - niezadowolony brata, kiedy przytuliła się do Harry'ego. - Och, jak dobrze jest wrócić!

Wzięli jej bagaże i ruszyli do samochodu. Po drodze rozmawiali i śmiali się, co chwila przerywali sobie nazwajem i mówili jedno przez drugie, aż wyszli na zewnątrz na parking. Nozdrza Klaudii uderzył znajomy aromat Wschodu: słodkich przypraw korzennych zmieszanych z wilgotnym ciepłym powietrzem i „miedzianym” zapachem dymu oraz osobliwym aromatem piżma, który pochodził z rynsztoków i gnijącej roślinności. Wciągnęła tę woń głęboko w płuca i wdychała ją przez moment, zanim się do niej przyzwyczaiła. Było to coś całkowicie odmiennego od zapachów w Ameryce, a jednak dzięki niemu tu właśnie poczuła się swojsko, jak w domu.

Gdy załadowali torby do małego samochodu Marka, okazało się, że Klaudia musi usiąść Harry'emu na kolanach, inaczej się nie zmieszczą. Wciśnięta w róg, czuła ciepły wiatr od wschodu, który wiał za otwartym oknem, a ramiona kogoś, kogo kiedyś kochała z całego serca, trzymały ją mocno. Mark z brawurą pokonywał kolejne zakręty.

Było jej gorąco i czuła oszołomienie, kiedy rozglądała się po ulicach oświetlonych słońcem późnego popołudnia, zatłoczonych turystami i podobnymi do siebie jak krople wody Chińczykami. Obserwowała chińskie znaki i sztandary. Wyblakła farba i odpadający tynk znaczyły drogę do lśniących wieżowców, autobusy wyrzucały szare kłęby brudnego dymu, samochody rozbrzmiewały klaksonami i wyprzedzały się pędząc w dumie.

Klaudia siedziała w milczeniu na wpół ogłuszona hałasem, który uderzał w nią ze wszystkich stron: odgłosy samochodów, wrzaski kierowców, stukot tramwajów, gwizdy i syreny, klaksony samochodowe, ludzie pokrzykujący na siebie, kramarze zachwalający towary. Poczła dziwne odrętwienie i miała wrażenie, że nie jest przygotowana na tempo, w jakim zmienia się wszystko wokół niej. Harry, czując, że jest zagubiona, nie wypuszczał jej z objęć i pozwalał jej oglądać miasto w milczeniu. A Mark, ilekroć mógł się na chwilę oderwać od obserwacji ulicy, patrzył z niepokojem na nich oboje, a zwłaszcza tam, gdzie ręce Harry'ego opasywały jego siostrę.

Przejechał przez Harbour Tunnel, potem Gloucester Road, co jakiś czas pokazując Klaudii interesujące miejsca - nowy, jeszcze nie ukończony budynek Banku of China, Bond Centre przy stacji Admiralty i HMS „Tamar” zakotwiczony naprzeciw. Na skrzyżowaniu, częściowo nieprzejezdnym ze względu na roboty drogowe, skręcił w Cotton Tree Drive i z obu stron otoczyły ich przeszklone, jednakowej wysokości wieżowce z betonu i stali, charakterystyczne dla tej dzielnicy. Przejechali Central, tę najsłynniejszą ulicę Hongkongu, i dotarli do starszej dzielnicy Mid-Levels, gdzie budynki mieszkalne przesłaniały ogromne drzewa o rozłożystych koronach i niższa roślinność. Ściany budowli były nieco wyblakłe, jak gdyby wymagały odmalowania. Minęli pętlę, z której wyruszały tramwaje na Peak i wpadli w ostry zakręt przy porośniętych paprocią wejściach do ogrodów botanicznych. Mark włączył drugi bieg, ponieważ jechali za przeładowanym zielono-żółtym autobusem, który powoli wspinał się po stoku, trzęsąc się i dygocąc z wysiłku.

W miejscu, gdzie Cotton Tree Drive przechodziła w Magazine Gap Road - ulicę ciągnącą się aż do Victoria Peak i zmieniającą tam nazwę na Peak Road - Mark skręcił w lewo i wjechał na podwórze. Z trzech stron otaczały je bloki mieszkalne niemal całkowicie ukryte za wysokimi drzewami. Znajdowała się tam uliczka, która prowadziła między budynkami, wijąc się wśród gęstych zarośli, i Klaudia przez chwilę sądziła, że wjadą w nią. Ale Mark zahamował przy ostatnim bloku i wcisnął maleńki samochodzik między dwa inne, po czym wyłączył silnik.

Nawet w tym ustronnym miejscu, daleko i wysoko ponad zgiełkiem dzielnic handlowych i rozrywkowych, Klaudia słyszała hałas. Docierały tu odgłosy ulicznego ruchu, gdzieś w oddali dzwoniły kościelne dzwony, z jakiegoś mieszkania nad jej głową darło się włączone zbyt głośno radio, czemu towarzyszyły głosy rozbawienia lub gniewu (nie była w stanie tego rozróżnić). Słońce świeciło jej w twarz, oszołomiona siedziała jeszcze chwilę

w bezruchu, aż Mark w końcu uśmiechnął się, wyskoczył z kabrioletu nie otwierając drzwiczek, i powiedział:

- Jesteśmy na miejscu, Liddie, chyba że planowałaś pojechać do jakiegoś innego lokum? - zażartował trochę drwiąco. Prawie natychmiast uświadomiła sobie dotyk ciepłego ciała pod swoimi pośladkami i mocnego, męskiego ramienia otaczającego jej plecy. Odwróciła się i spojrzała na Harry'ego przepaszająco. Jego bliskość i dotyk nagle pozbawiły ją odwagi. Podniosła nogi, przełożyła je przez drążek zmiany biegów, na chwilę przysiadła na siedzeniu Marka, po czym wysiadła z auta, obeszła je dookoła i dotarła do brata stojącego przy tylnym błotniku; wszystko to zrobiła jednym szybkim ruchem.

Mark wyjął jej torby z bagażnika. W końcu Harry wysiadł również i przez sekundę cała trójka stała zażenowana i speszona.

- Czy ten hałas nigdy się tu nie kończy? Czy jest jakieś miejsce w Hongkongu, gdzie panuje spokój? - spytała, zdając sobie sprawę niemal natychmiast, jak dziwnie brzmią jej pytania. Poczowała osobliwe napięcie w żołądku tuż pod sercem, niepewność, która wiązała się z wszystkim i ze wszystkimi. Dostrzegła kątem oka, jak Harry i Mark wymieniają spojrzenia i wzruszają ramionami.

- Na Peaku, rzecz jasna. Tak, tam na górze jest naprawdę cicho. Nie ma tam nic poza obłokami, niebem i może kilkoma jastrzębiami krążącymi wśród chmur. Albo gdzieś po drugiej stronie wyspy, nad Zatoką Deep Water albo w pobliżu Shek O. Tam panuje cisza. Ale nie tutaj, Liddie. Tu jest Victoria - odparł Mark takim tonem, jak gdyby chciał jej dać do zrozumienia, że pyta o coś, o co nie powinna.

Harry próbował złagodzić wypowiedź Marka.

- Nie jest tak źle, gdy się tu pobędzie przez jakiś czas. Przyzwyczaisz się do tego hałasu i nawet nie będziesz go słyszeć. A na razie po prostu go lekceważ, jak kiedyś. Zanim się obejrzysz, przestanie ci przeszkadzać.

Uśmiechnął się i popatrzył na nią uważnie, a dziewczyna miała wrażenie, że jej przyjaciel z dzieciństwa nakłania ją w ten sposób, aby polubiła Hongkong i poczuła, że wróciła do domu. Klaudia odpowiedziała mu uśmiechem i wzruszyła ramionami, nagle speszona tym naciskiem. Naprawdę lubiła to miasto, tylko jeszcze nie była pewna, czy chciałaby w nim pozostać.

Zobaczyła, jak Harry zerka na zegarek.

- No dobra, chodźcie, ruszmy się. Za godzinę muszę wyjść - mruknął, po czym odwrócił się i podniósł torbę. Klaudia obserwowała sylwetkę tego

wysokiego, swobodnie zachowującego się mężczyzny, który miał w sobie jakąś dziwną, niepokojącą siłę. Zmienił się bardziej, niż się spodziewała.

- Harry prowadzi wielki radiowy show, Liddie. Pół Hongkongu włącza się na jego kanał aby słuchać programu pana Bragi. Patrzysz na prawdziwą tutejszą sławę! - roześmiał się wesoło Mark. Popatrzył najpierw na siostrę, potem na przyjaciela i poczuł rosnący niepokój. Zastanowił się nagle, dlaczego tak się wystraszył, że aż poprosił Klaudię, aby do niego przyjechała. Jak mogła mu pomóc? Co mogła zrobić? Nic.

Potrząsnął głową, wchodząc jako pierwszy do klatki schodowej, i znowu się zaśmiał. Zaskoczona Klaudia spojrzała na Harry'ego.

Chińczyk uśmiechnął się.

- Na razie to nic specjalnego i niezbyt dobrze płatna praca... - powiedział, ale w głębi duszy był zadowolony.

Jest z siebie dumny, chociaż próbuje tego po sobie nie pokazać, pomyślała Klaudia.

- Będziemy więc musieli usiąść i posłuchać. Jak ci się udało coś takiego złapać? - spytała. Zanim weszli na trzecie piętro, Harry zdążył opowiedzieć Klaudii w skrócie o pomocy Aidana. Dziewczyna, która po raz pierwszy od dłuższego czasu przypomniła sobie o istnieniu Ryby, była zaskoczona.

- Myślałam, że to, hm, zwykły pijaczek. W jaki sposób załatwił ci tę pracę?

- No, nie zawsze się obijał. Miał kiedyś dobrą posadę w administracji państwowej, a poza tym pochodzi ze starej, dobrej rodziny z Hongkongu. Jej członkowie mają tu spore wpływy. Kiedyś umiał odpowiednio załatwić wszystko, co chciał.

- Teraz już nie?

- Teraz? Teraz, jak sądzę, nawet nie wie, kim jest. Ani kim ja jestem - odrzekł Harry niejasno, jakby do siebie. W tym właśnie momencie Mark zaklął głośno. Kiedy Klaudia z Harrym dotarli do jego mieszkania, dziewczyna zauważyła, że przed drzwiami stoją stosy mebli. Drzwi do pomieszczenia naprzeciwko były otwarte, a z wnętrza dochodziły odgłosy rozmów.

- Hej, pani Tsao, co tu się dzieje? Nie mogę otworzyć drzwi. Musi pani zabrać ten szmelc - krzyknął Mark i Klaudia zobaczyła z zaskoczeniem, że jej brat niemal się zatrząsł z gniewu, a jego palce zacisnęły się mocno na oparciu krzesła. Pomyślała z przerażeniem, że chłopak ledwie się powstrzymuje przed wybuchem. Ale czy rzeczywiście był to gniew? Może... strach?

W drzwiach pojawiła się ubrana w stylu zachodnim tęga Chinka. Ciemne włosy szesała w wysoki francuski kok. Pachniała lakierem do włosów i ciężkimi perfumami. Uśmiechnęła się szeroko, ale pod pozorem uprzejmości Klaudia dostrzegła u niej obojętność, a nawet wzgardę.

- Równowaga jest niewłaściwa, nie w harmonii, więc my wezwali człowieka fung shui. On nam inaczej rozmieści meble dla lepsze szczęście... żeby pech opuścić nasz dom - oznajmiła łamaną angielszczyzną, a Klaudia usłyszała jęk brata.

- Ależ robiliście to zaledwie kilka tygodni temu. Co się zmieniło w równowadze wiatru i wody, że znowu chcecie przestawiać wszystkie meble?

- Umrzeć złota rybka - wyjaśniła kobieta. - Pech uderzyć w złotą rybkę, nie w nas, więc umarła. Szczęśliwi, prawda? - Słowa te zabrzmiały jak chrząknięcie, wydobywając się z jej obszernej przepony. - Ostatni człowiek fung shui nie być dobry, nie udać mu się spowodować odpowiednia równowaga, inaczej rybka nie zostać trafiona przez pech. Rozumiesz? Ten człowiek lepszy, ten na pewno spowodować szczęście i już nie umrzeć żadna złota rybka, już nie będzie więcej pech. Czeka, my już przesuwać meble. - Zawołała pstrym głosem do środka, po czym pojawili się dwaj młodzi ludzie i zabrali krzesło, które tarasowało wejście do mieszkania Marka. Pani Tsao spojrziała na bladą, spoconą twarz brata Klaudii, potem bacznie przyjrzała się jego siostrze.

- Ty potrzebować człowieka fung shui, aby cię odwiedził? Będiesz w lepsza równowaga, może będziesz spać lepiej, a nie grał głośno muzykę całe noce? I nie znajdzie się tak wiele butelek w twoich śmieciach. - Patrzyła na niego z surowym błyskiem w oczach. - Nie będziesz musieć przyjmować w środku nocy gości, którzy tak głośno krzyczą. Chcesz? - Omijała wzrokiem szybko oddychającego Harry'ego. Wpatrywała się tylko w Marka.

- Nie, dziękuję, pani Tsao, nie w tej chwili - odparł Mark. Mówił z namysłem, starając się usilnie, aby nie stracić nad sobą panowania, ale Klaudia widziała, że znowu drży na całym ciele, niby w gorączce.

- Przyjechała moja siostra i zostanie przez jakiś czas ze mną. I to jest dla mnie wystarczające szczęście. - Jego słowom towarzyszył nieco sztywny uśmiech.

- Ty potrzebować złota rybka, która schwyta pech i ostrzeże cię o kłopotach w twoim życiu, a nie siostry - odrzekła kobieta ostro. Kiwnęła szybko w kierunku Klaudii, nadal zupełnie ignorując Harry'ego. - Masz dużo pech, ty nie być rozważny. - Zniknęła z powrotem w swoim mieszkaniu.

- Jedyne, czego potrzebuję, to nowi sąsiedzi - oświadczył głośno Mark, otworzył kluczem metalową kratę, a potem drewniane drzwi. Wprowadził siostrę i przyjaciela do środka, po czym - słysząc znowu głos pani Tsao - szybko zamknął drzwi i na chwilę oparł się o nie. Harry obserwował go z uwagą, jakby chciał mu pomóc się opanować, a Klaudia cofnęła się o parę kroków, wpatrując się w nich obu. Była przerażona. Co tu się dzieje, zastanowiła się. Dlaczego Mark jest taki rozdygotany? A Harry? Co się z nim stało? Co w nim tkwi? Potrząsnęła głową i odwróciła wzrok.

- O co chodziło tej kobiecie? Z tym wiatrem, wodą i człowiekiem „fung” coś tam? - Opadła na rattanową sofę i zmusiła się, by jej głos zabrzmiał lekko. W tym samym czasie zaczęła zdejmować buty. W mieszkaniu było gorąco i duszno, ale obaj młodzi mężczyźni zdawali się zupełnie nie zwracać na to uwagi.

- Ach, to?! - Mark roześmiał się. Początkowo śmiech był dziwnie niezdecydowany i niepewny, ale stopniowo udało mu się nad nim zapanować. - W życiu Chińczyka wszystko musi harmonizować z naturą, ze wszystkimi wiatrami i miejscami, w których płynie woda. - Wskazał ręką na drzewa za oknem, które szumiały w lekkim wietrzyku.

- Chińczycy wierzą, że pewni ludzie, ludzie fung shui są obdarzeni swego rodzaju mistycznymi właściwościami i mogą im powiedzieć", w którym punkcie należy kupić dom, jak ustawić meble, gdzie pogrzebać ukochanego zmarłego. Są w stanie nawet ustalić pozycję drzwi frontowych w nowych budynkach, aby powodzenie nie wyszło drzwiami lub przez okna. Pamiętasz to wszystko, prawda?

- Żartujesz? Kiedy wyjeżdżałam, miałam siedem lat, Mark. I ci ludzie naprawdę w to wierzą?

- Jasne. Tylko się rozejrzyj wokół siebie, a zobaczysz czasem wiele ciekawych rzeczy. Na przykład lustro zawieszone naprzeciw okna albo drzwi, aby odbijało pecha, który spróbuje wejść. To wszystko są oczywiście zabobonne nonsensy, ale zapewniam cię, że ci ludzie zupełnie poważnie w to wierzą.

Kiedy Mark zaczął przenosić bagaże do sypialni, jego głos brzmiał już bardziej beztrosko i Klaudia postanowiła nie zadawać żadnych pytań. Nadejdzie na to czas później, gdy Mark się zrelaksuje i gdy będzie jej bardziej ufał.

- Spytaj Harry'ego. On ci powie - dodał Mark, ale w jego słowach zabrzmiał jakiś ostry ton, swego rodzaju złośliwość i niechęć, które Klaudia pamiętała z dzieciństwa.

Popatrzyła na Harry'ego zmieszana. Ale on tylko wzruszył obojętnie ramionami.

- To jedynie mieszanina mistycyzmu i dawnych przesądów. Jest tu tego więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Wyobraź sobie, że moja matka zawsze była zabobonna i wszystko sprawdzała - począwszy od koloru ubrań, które nosiliśmy aż po jedzenie, które jedliśmy. Również miała złotą rybkę, ot tak, po prostu, dla bezpieczeństwa. Pełni ona taką samą funkcję jak wpuszczony do kopalni kanarek, który jako pierwszy ma spowodować ewentualny wybuch gazu; służy jako ostrzeżenie. To wszystko nonsens, ale nic nie zmienia faktu, że naprawdę w to wierzyła.

- A ty nie masz ani złotej rybki, ani kanarków i w nic z tego nie wierzysz? - zadrwiła z uśmiechem, ale Harry osobliwie zeszywniał.

- Nie. Dlaczego miałbym w to wierzyć? Dlaczego? W sposobie myślenia jestem przecież bardziej Europejczykiem niż Chińczykiem. Uważam, że człowiek sam buduje własne szczęście.

Uśmiechnął się do Klaudii, patrząc jej prosto w twarz. Chciał jeszcze coś dodać, ale zawahał się. Dziewczyna znowu się uśmiechnęła i przez długi moment patrzyła mu w oczy.

- Harry po prostu wywiesza błękitne latarnie, aby zyskać szczęście, prawda, Harry? - Na twarzy Marka pojawiła się jakaś czujność, kiedy zauważył, że Klaudia i Harry próbują nawiązać między sobą starą przyjacielską więź. Nagle uśmiechnął się jak człowiek, który wie bardzo wiele o drugiej osobie. Harry zastygł i spojrział na niego.

- Nie, Mark - odparł powoli Harry. Klaudia miała wrażenie, że z całych sił usiłuje opanować gniew. - Zapracowałem na swoje szczęście. I zapłaciłem stosowną cenę. - Dwaj chłopcy patrzyli na siebie przez długą chwilę, a Klaudia przełknęła ślinę. Nie wiedziała, o czym mówią, ale miała wrażenie, że ich słowa mają jakiś związek z nią samą.

- Jeszcze nie wszystko spłaciłeś, Harry - zauważył spokojnie Mark i usiadł obok Klaudii.

Czoło Chińczyka zalśniło od potu. Stał przez sekundę w milczeniu, a później odwrócił się do nich tyłem i ruszył do kuchni.

- Dla kogo piwo?

- Ja poproszę - powiedziała szybko Klaudia, czując, że nie jest to odpowiednia chwila na żadne konfrontacje. Zastanawiała się jeszcze przez chwilę, a następnie zawołała w kierunku kuchni: - Więc jesteś chrześcijaninem, Harry, czy może wyznajesz buddyzm albo jeszcze coś innego?

- Nie, w nic nie wierzę. W żadne nonsensy. Tak samo jak Mark, zgadza się?

Pojawił się z trzema butelkami piwa i otwieraczem. Klaudia spojrzała na brata.

- Tak, to prawda. A ty, Liddie? - Mark wydawał się lekko zdziwiony i rozbawiony, jak gdyby właśnie odkrył, że jego siostra jest wiejską prostytutką. Dziewczyna wzruszyła ramionami, czując na sobie spojrzenia obu młodych mężczyzn.

- Nie jestem pewna. Sądzę, że jestem katoliczką. Mama nadal w każdą niedzielę chodzi do kościoła, a ja idę z nią, kiedy jestem w domu.

- To nic nie znaczy. Tato został buddystą i przechadza się wokół swego domu w sarongu, ale to nie znaczy, że ja w to wierzę - odciął się ostro Mark, po czym jego twarz złagodniała i pojawił się na niej rozleniwiony uśmiešek. - Ale nie martw się, nie obchodzi mnie, w co wierzysz, póki nie spróbujesz mnie nawracać. Jestem grzesznikiem zadowolonym ze swojego życia, więc nie próbuj mnie ratować, Liddie, ani w imię Boże, ani w imię Buddy czy jeszcze kogoś innego.

Roześmiał się głośno i Klaudia przez chwilę wtórowała mu. Była zakłopotana i dziwnie pewna, że Mark w ten sposób dał jej do zrozumienia, aby się nie wtrącała w jego sprawy. Spojrzała na Harry'ego i zobaczyła, że Chińczyk również się uśmiecha, ale jego ciemne oczy były pozbawione wyrazu. Przynajmniej ona niczego nie mogła z nich odczytać.

Pomyślała, że to wszystko jest dość niezwykle. Jak to możliwe, by czuła się tak obco, przebywając z własnym bratem i chłopcem, którego przez długi czas uważała za swojego najlepszego przyjaciela. Ale, uświadomiła to sobie z bólem w sercu, nie znała już żadnego z nich, nic już o nich nie wiedziała. Byli jej zupełnie obcy.

Pod koniec pierwszego tygodnia spędzonego w Hongkongu, kiedy to co wieczór jadła w innej restauracji, wypła więcej alkoholu niż kiedykolwiek w całym swoim życiu i poznała sporo osób, przyjaciół lub znajomych Marka i Harry'ego, Klaudia czuła, że rozumie jeszcze mniej niż w dniu przylotu.

Zwiedziła już Central i Wanchai, była na Peaku, skąd patrzyła w dół na skupiska drapaczy chmur, które zajmowały niemal każdy skrawek łądu. Dostrzegła stamtąd również migoczący światłami port, a za nim Koulun i Nowe Terytoria. Wiedziała już, które tramwaje dokąd jadą, знаła targowiska w Zachodniej Dzielnicy i stragany z ubraniami ustawione w małych uliczkach odchodzących od Queen's Road; z uwagą obejrzała też wszystkie stare alejki w pobliżu ulicy Wyndham i Cat Street.

Jak zwykła turystka kupiła bilet na prom i popłynęła Star Ferry do Koulunu, gdzie przeszła handlowymi uliczkami wokół Nathanu i Chatham Road, zwiedziła przystań Ocean Terminal i okoliczne sklepiki, które oferowały wyroby jubilerskie i rozmaite ubrania. Nauczyła się kilkunastu zdań w dialekcie kantońskim, co wystarczało, by w miarę swobodnie poruszać się po mieście, zapytać, przeprosić lub podziękować, ale nie wydawało jej się, że zaczęła naprawdę rozumieć Hongkong. Zdawała sobie sprawę, że widzi tylko to, co jest na wierzchu, jak przypadkowy gość i nic poza tym.

Gdy Mark kończył pracę, spotykała się z nim, aby wypić drinka w „Barze Admiralskim”, a wieczorami wychodzili razem i zwykle świetnie się bawili. Jej brat wydawał się zadowolony z jej towarzystwa i był dumny, gdy przedstawiał ją jako swoją siostrę. „Lubię ludzi”, wyjaśnił jej, ale nigdy nie stawał się wobec niej szczególnie serdeczny i nigdy nie dzielił się z nią swoimi myślami. Prościej było wypić kolejnego drinka, przejść z jednego baru albo nocnego klubu do kolejnego, aż czuli się tak bardzo znużeni, że z trudem docierali do domu i natychmiast szli spać. A rano, zanim Klaudia się obudziła, Marka już nie było.

Nie udało jej się też przeniknąć przez stalowy pancierz, który zbudował wokół siebie Harry. Wiedziała tylko, że stale zapewnia o swoim europejskim pochodzeniu i zaprzecza, że jest Chińczykiem. Kiedy sondowała jego przeszłość i pytała, co robił przez lata, które upłynęły od jej wyjazdu, zbywał ją lub traktował z rezerwą. Najwyraźniej życzył sobie, by Klaudia zaakceptowała taki jego wizerunek, jaki sam jej narysował: osobnika popularnego, znakomitej osobistości, mieszkańca Hongkongu o portugalskim pochodzeniu, towarzyskiego chłopaka, którego wszędzie witały i pozdrowiały tłumy ludzi. Ale w żaden sposób nie mogła się dowiedzieć, jak doszło do ukształtowania tego wizerunku i jaki jest Harry Braga pod tą maską.

Zanim upłynął miesiąc od przybycia Klaudii na Daleki Wschód, wiedziała już z całą pewnością, że Mark ma poważne kłopoty, mimo że bardzo starał się to przed nią ukryć. Im więcej się o nim dowiadywała, tym bardziej stawała się

niespokojna i zawiedziona. Widziała, że jej brat pije zbyt wiele, bez końca pali narkotyki i stale się czegoś boi. Miała świadomość, że jest czymś prawdziwie przerażony, chociaż usiłował się do tego nie przyznawać. Ale pani Tsao miała rację. Mark nie mógł w nocy spać.

Podrywał się też na każdy głośniejszy odgłos, na dźwięk zapalanego silnika samochodu na ulicy, na każdy podniesiony ludzki głos. Zrywał się i rozglądał dokoła... na chwilę w jego oczach pojawiała się trwoga, po czym zwykle zaczynał się śmiać nerwowo i uspokajał. Klaudia usiłowała nie wtrącać się do spraw brata, wiedziała zresztą, że na jej pytania zareagowałby tylko gniewem i zaprzeczeniami. Jednak z dnia na dzień stawał się dla niej coraz bardziej oczywisty fakt, że działo się coś bardzo złego i że w tej trudnej sytuacji miało Markowi pomóc pudełko, które jej wysłał przed laty. „Moja polisa ubezpieczeniowa”, napisał wtedy. Klaudia nie mogła sobie darować, że je zgubiła.

Każda rozmowa kończyła się kłótnią. Spierali się o jego tryb życia, o jej nieumiejętność cieszenia się takim życiem i o Harry'ego.

Klaudia widziała w oczach brata strach. Ale nie zdawała sobie sprawy, że Mark bał się nie tylko o siebie.

Pewnego sobotniego wieczoru, na początku maja, Klaudia stwierdziła, że czuje się sfrustrowana bardziej niż zwykle. Mark był tego dnia wyjątkowo obojętny na wszystko, ale dziewczyna miała wrażenie, że nadszedł czas, kiedy musiał podjąć jakąś decyzję i był tym faktem prawdziwie przerażony. Ale nie mogła mu w żaden sposób pomóc, zresztą Mark nie pozwoliłby jej. Wyjść stąd, zdecydowała, wyjść, zanim powiemy sobie najbardziej przykre słowa. Rozgniewana przebrała się, wzięła torbę, która stawała się coraz cięższa od zebranych do nowego artykułu materiałów, i zdusiła niedopałek papierosa w popielniczce. Mark obserwował ją z niepewną miną, trochę zirytowany, trochę niespokojny.

- No to cześć - zawołała, wsunąwszy głowę przez drzwi jego sypialni. Mark leżał na łóżku otoczony mgiełką słodkiego dymu.

- Więc wychodzisz? Idziesz poszukać historyjki, która sprawi, że gdy przeczytają ją twoi szefowie, pokochają cię i dadzą ci wielką podwyżkę? - zadrwił. Oczy zwięzły mu się, gdy powąchał zabłąkaną smugę dymu. Przez chwilę milczał. - A może idziesz poszukać Harry'ego...? - dodał. - Nie rób tego, Liddie.

Wzrok mu się zaostrzył na moment, oczy znieruchomiały jak woda w basenie, która nagle przestaje falować, dzięki czemu można dostrzec dno.

- Czego mam nie robić? Nie widywać Harry'ego? - spojrzała na niego zdumiona. Zaszokowało ją, że coś takiego powiedział, a Mark przez chwilę szukał właściwych słów.

- Trzymaj się teraz od niego z dala. Harry nie jest dla ciebie. Po prostu zrób to, dobrze? Nie chcę, żebyś się w coś takiego mieszała. - Jego twarz spoważniała, ujawniła odczuwany przez chłopca niepokój, a jego oczy zwięziły się na moment, gdy Mark zobaczył, jak jego siostra z uporem zaciska usta.

- W co mam się nie mieszać? Na litość boską, Mark, odpowiedz. Nie? Jeśli mi nie powiesz, może zrobi to Harry. - Zawahała się. - Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? - Kiedy milczał, dodała łagodniejszym tonem: - Powiedz mi, Mark. Powiedz, co się dzieje? Przecież widzę, że coś jest nie w porządku.

Uniósł się na łokciu i strzepnął do popielniczki popiół z opiumowego papierosa. Zlekceważył jej wymówki, ale mimo to chciał wołać o pomoc, błagać, by Klaudia go uratowała. Co byś zrobiła, Liddie, gdybyś wiedziała, że wydano wyrok na mnie i na Harry'ego, zapytał ją w myślach. Miała ich spotkać kara za coś, czego nie zrobili. Nie umieli jednak przekonać o swojej niewinności Yee. Trzeba będzie zapłacić, powiedział im Yee Fong Lo. Kiedyś, gdzieś, trzeba będzie zapłacić. Ale za co? Tego Mark wcale do końca nie wiedział. I nie wiedział tego również Harry.

Mark popatrzył Klaudii w oczy, zobaczył w nich na tle ciemnej zieleni brązowe kropki i dostrzegł w nich także ból. Rozpaczliwie chciała mu pomóc, widział to. Ale nie pozwolę ci, pomyślał Mark. Zresztą, co mogłabyś zrobić? Nic. Tak czy owak wołał, żeby o niczym nie wiedziała. Tak było dla niej bezpieczniej.

- Nic się nie dzieje, próbuję po prostu dać ci dobrą radę, Liddie. Posłuchaj mnie. Tu są takie sprawy... takie problemy, różne układy...o których nie masz pojęcia. Nie powinnaś się w to mieszać. Harry usiłuje się oczyścić z tego... ale, o ile wiem, nie za bardzo mu się udaje. Wiem i rozumiem, że to towarzysz zabaw twojego dzieciństwa. I wspaniale. Tylko że teraz on jest kimś innym. Nie widzisz tego?

- Nie jestem głupia, Mark. Oczywiście, że widzę. To normalne, że się zmienił. Ma dwadzieścia dziewięć lat, a nie dziewięć. Jest dorosły. Ale w środku jest ciągle tą samą osobą.

Jednakże mówiąc to, nie była wcale przekonana. Czy tak jest naprawdę? O Harrym wiedziała tak niewiele. Stawiała sobie wiele pytań, na które nie

potrafiła sama odpowiedzieć, a on nie chciał jej pomóc. Ale wierzyła, że to ciągle jest ten sam Harry.

- Lubię go i chcę mu pomóc.

- Nienawidziłaś mnie, gdy byliśmy dziećmi - powiedział nagle dziwnym głosem Mark. W oczach rozblęły mu iskierki rozbawienia, ale na ustach pojawił się ironiczny grymas.

Klaudia uśmiechnęła się niechętnie.

- Tak, być może, ale teraz cię lubię, bo wiem... i... po prostu chcę ci pomóc.

- Potargała włosy Marka, tak samo jak kiedyś targała czuprynkę Todda. Skrzywiła się, kiedy Mark się poderwał. - Słuchaj, jadę do Lan Kwai Fong - powiedziała, nagle podjąwszy decyzję. Zrzuciła torbę na ramię.

- Z kim chcesz się spotkać? Z Sylwią? - Mark podniósł oczy i dziewczyna uśmiechnęła się do siebie, słysząc nutkę zainteresowania, która pojawiła się w jego głosie wbrew jego woli.

- Tak. Chcesz może pojechać ze mną? Umówiłam się z nią w „Graffiti” parę minut po siódmej. Pojedź ze mną. Wiem, że ona bardzo chciałaby się z tobą spotkać. Powiedziałam jej, że może ze mną przyjdiesz - przymilała się bratu.

- Może... może później. - Skinął głową i natychmiast jego myśli powędrowały gdzieś daleko. - Muszę się najpierw z kimś zobaczyć.

- Z kim?

- No, po prostu z kimś. Ma tutaj przyjść. Lepiej się pospiesz, dochodzi już siódma.

Spojrzał na zegarek i wstał, po czym podrapał się w pierś. Klaudia odwróciła się. Poczowała lekkie ukłucie niepokoju. Z kimś. Może, zastanowiła się, z kimś, kto ma... coś... do sprzedania?

Pod jego skórą dostrzegła wyraźną wypukłość żeber. Przyjrzała się bladym oczom i zagryzła wargę. Przez chwilę zastanawiała się, czy ośmieli się go o to zapytać, uznała, że nie, a wtedy ku swemu zaskoczeniu z jej ust wyrwało się:

- Kto cię wpakował w to gówno? Ryba?

Ryba, który pojawił się kiedyś w jej życiu jak zły szeląg, który ciągle się uśmiechał i ciągle trwał w oczekiwaniu na coś, Ryba, którego widok stale przyprawiał Klaudię o dreszcz niesmaku. Widziała, jak Aidan z uśmiechem szedł przez życie, na ogół niezupełnie przytomny, choć od czasu do czasu budził się z odrętwienia, by wykonywać swoje obowiązki redaktora jakiejś drugorzędnej gazety. A co z jego przyjaciółmi? Jak mieli się przed nim

obronić? Harry, Mark i Ryba stanowią niebezpieczne trio, pomyślała dziewczyna. Mark popatrzył na nią zamyślony.

- Może. A teraz ty coś powiedz, dobrze? Kto był twoim pierwszym kochankiem, Liddie? Czy był dobry? Jak wielu ich potem miałaś? Bierzesz pigułkę? Czy kiedykolwiek byłaś w ciąży? - Przerwał, gdy zobaczył prawdziwe oburzenie na twarzy siostry. - Widzisz? Nikt nie lubi, jak mu się zadaje impertynenckie pytania. Zwłaszcza ja tego nie lubię. Powiedziałem ci to od razu na początku. A teraz lepiej już idź. Zobaczymy się później.

Prawie wypchnął ją za drzwi i otworzył dla niej zewnętrzną kratę. Klaudia znalazła się nagle na brzydkich betonowych stopniach korytarza. Poczowała wonie różnych potraw przyrządzanych w sąsiednich mieszkaniach, zmieszane z zapachem zimnego, umytego wodą i środkiem dezynfekującym linoleum.

- Chodź ze mną, Mark, proszę cię. Nie zostawaj tutaj sam - błagała, nie umiając mu wyjaśnić, dlaczego akurat tego wieczoru czuje takie osobliwe napięcie. Natłok myśli powodował zamęt w jej głowie. Ale Mark tylko potrząsnął głową, jak gdyby w niedowierzaniu.

- Nigdy się nie poddajesz, co? Hm, może powinnaś się zastanowić nad tym, czy nie zamieszkać sama. Zajmij się własnymi sprawami. - Mówił chrypliwym głosem i Klaudia wzdrygnęła się, słysząc wypowiedziane przez brata słowa. Odwróciła się na chwilę, gdy do jej uszu dobiegł odgłos uchylanych, a potem ponownie zatraskiwanych drzwi pani Tsao. Gdy spojrzała na mieszkanie Marka, brata już nie zobaczyła, a drzwi zostały zamknięte. Popatrzyła na ich gładkie drewno, a potem pospiesznie zeszła po schodach. Za minutę odjeżdżał jej autobus.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Sobotni wieczór

Bill Ingram tym mocniej przyciskał do uszu słuchawkę, im dłużej słuchał głosu, mówiącego cichym szeptem. - Macie to więc, czy nie? - spytał ostro, kiedy po drugiej stronie zapadła cisza. Głos wymamrotał coś znowu i Bill westchnął z rozdrażnieniem, co sprawiło, że obserwujący go z drugiego kąta pokoju Tony zmarszczył brwi. Coś musiało bardzo zdenerwować jego ojca, który należał do ludzi niezwykle rzadko okazujących emocje.

- Więc skończcie z tą papierkową robotą i rozbijcie wreszcie skrzynkę - warknął Bill i natychmiast odłożył słuchawkę.

Tony wziął dwie szklaneczki whisky i bez słowa wręczył jedną z nich ojcu.

- Och, dziękuję ci, Tony. - Bill przełknął połowę jej zawartości jednym haustem i usiadł wyprostowany na swoim ulubionym krześle z oparciami. Otter wstała, a potem ułożyła się ponownie z cichym pomrukiem. - Cholerni biurokraci ci Japończycy - burknął Bill i Tony lekko się uśmiechnął.

- W przeciwieństwie do kogo? - spytał ironicznie i ojciec zacisnął wargi i pokiwał głową. - Coś się stało? Coś poważnego? - Tony mówił niedbałym tonem, gdyż był przekonany, że ojciec i tak mu nie powie. Zaskoczyło go więc, gdy z ust Billa wybuchły gniewne słowa:

- Może się okazać poważne. Pracowaliśmy nad tą sprawą od dłuższego czasu... Ale nie dowiemy się na pewno, póki nie uda nam się dostać do... - przerwał. Najwyraźniej uświadomił sobie, że mówi za dużo, więc tylko ironicznie uśmiechnął się do syna i nie dokończył myśli.

- Nie przejmuj się, nic mi przecież nie powiedziałeś. - Tony przełknął łyk drinka. Miał świadomość, że ojciec żałuje swego wybuchu, chociaż równie dobrze jak Tony wiedział, że jego syn nigdy nikomu nie opowiedziałby ani słowa z tego, co usłyszałby od ojca.

- Marnujesz się w tym zawodzie, Tony - powiedział nagle Bill, czym zaskoczył Tony'ego jeszcze bardziej. - Czas, abys wykonał pewien ruch, nie sądzisz?

W taksującym spojrzeniu ojca Tony dostrzegł rozbawienie.

- Nie, jeszcze nie. Może nigdy - dodał powoli i Bill Ingram roześmiał się.

- Musisz nieco stwardnieć, Tony. Wiele mógłbyś zrobić dla kraju.

- Czy w ten sposób chcesz mi wyjaśnić małe potknięcie Aidana? - spytał Tony. Dostrzegł, co go zastanowiło, że w oczach ojca nie było poczucia winy, a raczej satysfakcja, która zresztą szybko zniknęła. - Czy Aidan okazał się

lepszy niż ktokolwiek z nas się spodziewał? - Zdziwił się, gdy ojciec nagle wstał i odwrócił się.

- Smutny przypadek - powiedział jedynie, po czym nalał sobie kolejną szklaneczkę szkockiej.

- Bardzo. - Głos Tony'ego był cierpki. - I tylko tyle powinienem o tym wiedzieć, tato? Nie powiesz mi nic, co może mieć związek z moją pracą?

Zawsze o to pytał, ale bardzo rzadko otrzymywał jakąkolwiek odpowiedź. Bill przeważnie nie mówił nic. Ale Tony był człowiekiem cierpliwym i znał zasady i ograniczenia, które narzucił sobie jego ojciec, mimo że nigdy o nich nie mówili.

- Możliwe. Na razie nic ci jeszcze nie mogę powiedzieć. Wszystko zależy od tego, jak się potoczą następne wypadki. - Bill spojrzał na syna. Wiedział, że Tony z pewnością go nie rozumie. Równocześnie jednak nie miał ochoty pozostawiać go w zupełnej niewiedzy, podczas gdy Yee z każdą chwilą rósł w siłę, stawał się coraz bardziej niecierpliwy i coraz bardziej... niebezpieczny. A jeśli miał coś wspólnego z wydarzeniami w Japonii... mógł być nawet bardzo niebezpieczny. Bill zdawał sobie sprawę z tego, że blokowanie Tony'emu śledztwa związanego z Yee jest nielojalne i nieuczciwe, ale w tej chwili nie miał wyboru. Yee był zbyt użyteczny, aby można go było poświęcić.

- Gdybym był na twoim miejscu, obserwowałbym Harry'ego Bragę. I Marka Babcocka. Wiesz, że mieszka z nim obecnie jego siostra Klaudia, prawda? - Ingram zobaczył nagle, jak bardzo zmieniła się twarz syna. Co było na niej? Zaskoczenie? Radość? Oczekiwanie? Co to było?

- Nie, nie wiedziałem. Nie widuję się już ani z Markiem, ani z jego paczką. Czy jej wizyta jest ważna, czy też po prostu dziewczyna przypadkowo zjawiała się tu w nieodpowiednim czasie? - Tony stłumił podniecenie, które poczuł, i zastanowił się poważnie, dlaczego tak bardzo go poruszył powrót Klaudii. Odchrząknął nerwowo i przez chwilę czekał, aż ojciec udzieli mu wyjaśnienia, ale się rozczarował.

- To raczej twoja działka niż moja, nie sądzisz? - Bill uśmiechnął się i zmarszczył brwi, gdy zobaczył smutek na obliczu Tony'ego, spowodowany jego wykrętnymi odpowiedziami. x

- Nie wiem, po prostu cię spytałem. Ale chyba i tak udzieliłeś mi pewnej informacji. - Tony uśmiechnął się nieznacznie i poczuł się tak, jak gdyby na de jego ogromnej niewiedzy i setek pytań, które nadal pozostawały bez odpowiedzi, pojawiło się mikroskopijne światełko. - Będę więc obserwował

Marka i Harry'ego. Dziękuję ci za informację, tato. - Uśmiechnął się do ojca. Wiedział, że nic więcej nie może zrobić.

Sobotni wieczór Lan Kwai Fong

Modna w Hongkongu ulica, gdzie młodzi, eleganccy specjaliści różnych dziedzin przychodzili na drinka, jadali i spotykali się na rozmowach, była bardzo zatłoczona owego sobotniego wieczoru. Klaudia przebiła się przez ruchliwą Wyndham Street i weszła w boczną uliczkę, która prowadziła do D'Aguilar Street. Zignorowała gwizdy jakiegoś bełkoczącego marynarza, który najwyraźniej za bardzo się oddalił od Wanchai. Przed „Graffiti” stała spora kolejka blokujących wejście osób, ale dziewczynie udało się prześlizgnąć obok nich i weszła do środka. Pomachała znajomemu barmanowi, który wskazał na tyły restauracji. Bez większego zaskoczenia zobaczyła, jak samotną Sylwię Bateman ze wszystkich stron taksują siedzący przy okolicznych stolikach mężczyźni.

- Cześć, Klaudio. A gdzie Mark... zdawało mi się, że miałaś go przyprowadzić? - Lekka zmarszczka pojawiła się między brwiami francuskiej ślicznotki, a jasnozielone oczy zamglily się lekko.

- Powiedział, że może przyjdzie później. Musiał się z kimś spotkać -dodała Klaudia, wzruszając ramionami. Jej rozmowa z Markiem była tak nieprzyjemna, że nie miała ochoty o niej mówić.

Sylwia westchnęła głęboko i wyprostowała się w ławce.

- Ach tak! Oczywiście. Cotygodniowa dostawa. Bóg wie, skąd bierze pieniądze na to wszystko. Istnieją na ten temat plotki, Klaudio. Lepiej coś z tym zrób. - Sylwia wyraźnie strofowała przyjaciółkę i Klaudia poczuła się niepewnie. Czasem podejrzewała, że Sylwia spotyka się z nią tylko dlatego, że jest siostrą Marka. Marka, którego najwidoczniej uważała za świetnego kandydata na męża... A przecież to alkoholik i narkoman. Cholera! Co zresztą niby miała zrobić?

- Powiedziałaś to takim tonem, jak gdyby był uzależniony od heroiny. Na litość boską, Sylwio! Wszyscy palą od czasu do czasu „trawę” -dodała Klaudia beztroskim tonem.

- Od czasu do czasu, może i wszyscy. Ale nie całą noc, i nie każdej nocy. A poza tym to nie jest tylko „trawa"... - Sylwia przerwała, a potem wzruszyła ramionami i zaśmiała się. - No, tak czy owak, jak na razie nie wyrządza najwyraźniej szkód jego mózgowi. Słyszałam, że został dyrektorem Działu Zagranicznego. Nieźle jak na jego wiek. Podobno szczęśliwym trafem jego szef zdecydował się wyjechać i objąć filię w Tobago. - Klaudia wiedziała, że

nie chodziło o Tobago, ale знаła też Sylwię i zdawała sobie sprawę z tego, że Francuzeczka nigdy nie przywiązuje wagi do szczegółów.

Klaudia pokiwała głową.

- Uhm, sędzę że tak. Ale na razie Mark pełni funkcję dyrektorską tylko tymczasowo. Chcą zobaczyć, czy zdoła sobie poradzić. Ale ja również cieszę się z jego awansu. Będzie otrzymywał pełną pensję cudzoziemską i będzie musiał ciężiej pracować, więc zabraknie mu czasu na bzdury. - Klaudia znacząco położyła nacisk na ostatnie słowo.

- Ale też będzie miał na te bzdury więcej pieniędzy. Nie trzeba będzie dorabiać na boku. - To miał być żart, tak przynajmniej sugerował ton, z jakim Sylwia wypowiedziała dwa zdania, jednak w jej oczach widać było czujność.

Klaudia popatrzyła na nią dziwnie.

- Naprawdę sądzisz, że...?

- Nie, nie, nie sędzę. Ale musi mieć jeszcze jakieś przychody. Nie ma innego wytłumaczenia... - Sylwia ugryzła się w język i spojrzała na towarzyszkę z poczuciem winy. - Przepraszam, Klaudio. Nie chcę się wtrącać ani niczego nie sugeruję. Po prostu martwię się o Marka, to wszystko.

- Ależ, Sylwio, on tylko trochę popała od czasu do czasu. Nie rób z tego wielkiej sprawy. - Klaudia usłyszała strach w swoim własnym głosie i była wściekła na siebie, że nie potrafi lepiej poprzeć Marka. Ale jak mogła się za nim wstawiać, skoro jej samej tak bardzo nie podobał się jego tryb życia?

- Nie jest tajemnicą, że „trawka” jest tutaj bardzo dobra, ale kosztowna i trudna do zdobycia. Niektórzy się zastanawiają, w jaki sposób Marka na nią stać, tylko tyle chciałam ci powiedzieć. No dobrze, już dobrze, nie powiem więcej ani słowa.

Sylwia podniosła rękę, jak gdyby zrzucała odpowiedzialność na Klaudię. Obarcza mnie winą, pomyślała Klaudia.

Była tego wieczoru wzburzona i nie w nastroju, by przejmować się niepokojami Sylwii. Uciekała też od samotności. To przez Marka, uświadomiła sobie. Przez cały dzień zachowywał się dziwacznie. I bardzo kapryśnie. Z pewnością winne temu były narkotyki, ale nie tylko... I Klaudia w tym momencie pomyślała, że to, co widziała w oczach Marka, to była jawna rozpacz.

- Czy Porcja was odwiedziła? Mówiła, że ma taki zamiar - spytała Sylwia, przerywając jej myśli.

- Porcja Hsu? Nie. A o co chodzi?

- Och, nic szczególnego. Mówiła, że ma jakąś informację dla Harry'ego, ale nie mogła się z nim skontaktować, więc chciała poprosić Marka, aby ją przekazał. Nie mogłam z niej wyciągnąć, o co chodzi. W gruncie rzeczy była trochę wytracona z równowagi... w każdym razie zachowywała się dziwnie. Zastanawiałam się, czy może wiesz, dlaczego? - Jasnozielone oczy Sylwii potrafiły się zachmurzyć jak mętny nefryt, kiedy dziewczyna się martwiła.

- Hm, nic nie wiem. A jak się zachowywała?

- Nerwowa, kapryśna, zdenerwowana... Ale Porcji zdarzają się takie nastroje czasem zupełnie bez przyczyny, chyba że za powód uznamy słabość parlamentu Hongkongu albo strach pracowników ojca przed przyłączeniem do Chin. Boże, nie pozwól na zjednoczenie! - Sylwia szydziła ze sposobu, w jaki mówiła Porcja. - Wiesz, jaka ona jest - dodała i obie dziewczyny uśmiechnęły się na myśl o wybuchowym charakterze Porcji.

- Jest jeszcze taka młoda - mruknęła Klaudia, usprawiedliwiając Chinę. Nagle zastanowiła się, czy nie lepiej jest postępować gwałtownie i silnie odczuwać, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy ważne w życiu... Ale gdy patrzyła na Porcję, zawsze miało się wrażenie, że tamta udaje.

- Dwudziestotrzylatka nie jest uznawana w Hongkongu za młodą - odparła krótko Sylwia. - A tak przy okazji, u Hsów odbywa się w następną piątek przyjęcie. Może chciałabyś pójść?

- Czy Mark jest również zaproszony?

- Ależ oczywiście! Znasz jakieś miejsce, dokąd nie zaprasza się Marka? Gdyby tylko wiedzieli, co robi w wolnym czasie, jestem pewna, że byłoby wokół niego o wiele mniej bezkrytycznego uwielbienia i swatania. Wiesz, że moja matka uważa, że Mark jest absolutnie fantastyczny?!

- No cóż, rzeczywiście taki jest! - powiedziała Klaudia stanowczo i rozbawiło ją, gdy Sylwia wydeła wargi. - Wiem, że uważasz tak samo, więc przestań być taka bezwzględna. Dlaczego nie możecie być razem... - przerwała, gdy zauważyła, że Sylwia się rumieni i odwraca wzrok. - Sylwio?

- Sądziłam, że wiesz. - Ciemne brwi zetknęły się nad smutnymi oczyma. - Że wiesz o nas - dodała po chwili. - Myślałam, że Mark ci powiedział. - Wygładziła sukienkę na biodrach, odrzuciła w tył ciemne, kręcone loki i spojrzała na Klaudię prowokująco zielonymi oczyma.

- Nie, nic mi nie mówił. I nie lubi, jak się go wypytuje o jego życie osobiste. Szczerze mówiąc, mieliśmy właśnie dziś wieczorem sprzeczkę z tego powodu i Mark dość stanowczo powiedział mi, że bym nie wtrącała nosa w nie swoje sprawy. - Kiedy Klaudia o tym myślała, robiło jej się słabo. -

Więc jak to było? - Obserwowała Sylwię z figlarną miną i zastanawiała się, jak wiele jeszcze faktów ukryto przed nią. Wiedziała naprawdę mało o tym, co się tu dzieje.

- To wszystko zdarzyło się dość dawno temu. Znaliśmy się od lat, chodziliśmy do siebie na przyjęcia, no i wiesz, po prostu w pewnej chwili zaczęliśmy się spotykać. Przez jakiś czas było wspaniale: tak namiętnie i intensywnie... a potem Mark ochłonął... zaraz po powrocie z uniwersytetu, gdy podjął pracę. Powiedział mi, że już nie jest mną zainteresowany i coś o tym, że już mu się nie podobają białe dziewczyny... no, wiesz, zwykłe rzeczy, które się mówi o kobietach Zachodu... że niby jesteśmy płytkie i pewne siebie... I tak to się skończyło. Ale najzabawniejsze jest to, że mnie się zdawało, że on żartuje, że... no nie wiem... odgrywa przede mną jakieś głupie przedstawienie, a w głębi duszy kocha mnie tak samo mocno jak ja jego. Dziwne, doprawdy... - Sylwia odwróciła się i nie patrząc na Klaudię, zaczęła szukać papierosów.

Cóż, jedna maleńka część układanki została rozwiązana, pomyślała Klaudia. Ale wiedziała, że dziewięćdziesiąt dziewięć innych kawałków nadal pozostawało tajemnicą.

- Przykro mi, nie wiedziałam. Musiałaś się czuć bardzo zraniona - szepnęła.

Sylwia wzruszyła ramionami i zapaliła zapalniczkę.

- Mark nie dba o to, kogo rani, póki nie musi ponosić za to odpowiedzialności. - Przerwała, a potem westchnęła. - Przepraszam cię, nie powinnam była tego mówić. - Ale to była prawda i obie o tym wiedziały.

W tym momencie Klaudia również wzruszyła ramionami, przywołała kelnera i zamówiła drinka.

- A co dla ciebie, Sylwio?

- Nie, dla mnie nic, dziękuję. - Sylwia majstrowała przy małym radyjku, które przyniosła z sobą, i poprawiała słuchawki. Jej szklanka była jeszcze w połowie pełna. Klaudia uśmiechnęła się do kelnera, który uklonił się i odszedł.

- Po co ci to?

- Chcę posłuchać audycji Harry'ego. Już się zaczęła. Co wieczór robi program na żywo ze słuchaczami, w którym ludzie dzielą się z nim poglądami na temat roku 1997. Chciał, żebyśmy do niego dzwoniли. Właśnie się zastanawiałam, czy rozpoznamy kogoś na fonii. - Sylwia wyregulowała w końcu maleńkie słuchawki, po czym jedną wetknęła sobie do ucha, a drugą podała Klaudii. Siedziały przy stoliku, machinalnie stukając palcami w stół.

Co jakiś czas uśmiechały się do siebie pośepnie w reakcji na niektóre komentarze.

Głos trzeciego rozmówcy sprawił, że obie usiadły prosto i szybko zaczęły dawać sobie znaki. To był Mark. Spokojny głos Harry'ego

stwardniał nieco i spytał:

- Jak się nazywasz?

- Mark.

- A dalej?

- Mark Anthony. - Wśród obsługi studia dały się słyszeć ciche chichoty. Harry nie zareagował.

- No, więc, Marku, powiedz nam, co sądzisz o przyszłości Hongkongu po 1997 roku? Czy uważasz, że chiński rząd będzie honorować pięćdziesięcioletni okres demokracji?

- Jak długo, twoim zdaniem, będzie żył Teng Siao-Ping? To on przecież podpisał układ. Wraz z jego śmiercią skończy się to, co dobre. -Klaudia zobaczyła, jak Sylwia kiwa głową, jak gdyby na potwierdzenie słów Marka.

- Nie sądzisz, że to może potrwać jeszcze krócej? Nie obawiasz się, że wcześniej nastąpi załamanie?

- Nie, jeśli wszyscy będą postępować odpowiednio i będzie tu stały przepływ pieniądza. I o ile nie wycofają się stąd spółki joint venture. Wiesz, co mówią starzy ludzie? Nie kołysz łodzi, na której siedzisz. Chiny potrzebują Hongkongu, przynajmniej na jakiś czas.

- A dokument zapewniający podstawowe prawa? Jak bardzo jest ważny, twoim zdaniem, dla mieszkańców Hongkongu? Nie dla bankierów i bogaczy, ale dla zwykłych szarych obywateli, dla ludzi z ulicy?

- Na pewno ważniejszy, niż skłonni są przyznać Brytyjczycy. Ale i tak nie zapewnia powszechnych praw obywatelskich mieszkańcom miasta na kolejne trzy lata, a co do demokratyzacji wyborów, cóż, trudno oczekiwać, aby chiński rząd przyjął ten pomysł z otwartymi ramionami, prawda? Słuchaj, poczekaj chwilę. Ktoś dzwoni do drzwi. Zaraz wracam, nie odkładaj słuchawki.

Rozmowa przerwała się nagle i Harry, głosem, w którym słyhać było rozbawienie i pewność siebie, zawołał do Marka, że będą się musieli z nim rozstać, ponieważ czeka już następny rozmówca.

A wtedy rozległy się krzyki.

Straszne, przerażające krzyki. Mark wrzeszczał coś z wielkiego strachu i tak ogromnego bólu, że śmierć mogła wydawać się wyzwoleniem.

- Nie, na Boga, nieee! - wykrzykiwał bez przerwy brat Klaudii. Przez wiele długich, niemożliwych do zniesienia sekund trwało nieludzkie wycie, aż w pewnej chwili zrobiło się cicho jak nożem uciął.

Przez długi moment panowało jeszcze milczenie, a potem rozległa się muzyka; uspokajająco i lekko popłynęła na falach eteru.

Klaudia zerwała z ucha słuchawkę i popatrzyła z poszarzałą twarzą na Sylwię. Francuzka drżała, wyglądała brzydko, jej ciało się trzęsło, a głowa kiwała się na boki niczym u marionetki. Usta miała otwarte, wargi pomalowane czerwoną kredką zwiotczały i zaczęły drżeć. Klaudia przesunęła się obok niej i ruszyła na tyły restauracji do telefonu. To nie był Mark, wmawiała sobie. To jakiś żart, jakiś radiowy dowcip. To nie był krzyk Marka, powtarzała zawzięcie w myślach, aby zagłuszyć żal i cierpienie, które czuła. Ale wiedziała, że to nieprawda. Nawet teraz słyszała w uszach ten wrzask. Co się zdarzyło, na Boga, co się stało?

Telefon był ciągle zajęty. W końcu Klaudia postanowiła nie czekać dłużej i trzęsącymi dłońmi nakręciła numer Commercial Radio. Ale wszystkie linie były zablokowane. Zapewne wiele osób dzwoniło, aby się dowiedzieć, co się stało. Odwiesiła słuchawkę i oparła się o ścianę. Nagle poczuła się słaba i wąła, łzy pociekły jej spod zamkniętych powiek. Czy to trwa nadal, czy on ciągle krzyczy? A może w końcu przestał? Głęboko wciągnęła w płuca powietrze, starła łzy i przesłoniła twarz ręką, jak gdyby chciała się ukryć przed patrzącymi ludźmi. I wówczas zadzwoniła na policję, pod numer 999.

Jazda w górę do Mid-Levels wlokła się w nieskończoność. Splatając mocno ramiona, aby rozgrzać nagle zziębnięte ciało, Klaudia kulila się na tylnym siedzeniu taksówki, która ciężko wspinała się po stromej pochyłości. Dziewczyna miała wrażenie, że jej pierś jest zimna jak lód. Kiedy samochód wjechał na znajome podwórze i zatrzymał się, Klaudia rozejrzała się wokół siebie ze strachem. Wszędzie pełno było migających świateł i umundurowanych policjantów, którzy otoczyli kordonem teren wokół bloku Marka. Z boku stał ambulans z wyłączoną syreną. Jego światelko obracało się powoli i nierówno. Wyglądał na zupełnie w tym miejscu niepotrzebny.

Klaudia z wolna wysiadła i chwilę stała, wpatrując się w okno apartamentu. Wyrzwała z niego nagle jakaś twarz, ale nie była to twarz Marka. Klaudia ruszyła przez tłum, torując sobie drogę łokciami, po czym chwyciła za ramię jakiegoś policjanta. Nie miał czerwonego paska pod pagonami i nie mówił po angielsku.

Dialektem kantońskim Klaudia posługiwała się z wielkim trudem. W tym momencie miała w głowie płataninę słów, które przydawały jej się do porozumiewania się w bocznych uliczkach Koulunu. Wskazała ręką w górę.

- Cheng mann bou gingl Czy mogę rozmawiać z kimś z policji? -Widząc, że mężczyzna nic nie zrozumiał, doszła do wniosku, że musiała źle wymówić słowa.

- Policja. Muszę się zobaczyć z kimś z policji. Proszę! Mgoi\ -Potrząsnęła ramieniem Chińczyka i znowu wskazała w górę, a potem dotknęła palcem własnej piersi. Mężczyzna pokręcił głową i odepchnął ją do tyłu.

- Nie, nie, przepuście ją. Proszę ją przyprowadzić. - Ze schodów budynku dawał znaki Chińczykowi biały mężczyzna. Najwyraźniej policjant w cywilnym ubraniu, pomyślała dziewczyna. Niecierpliwił się i ciągle tarł oczy, jak gdyby próbował zapomnieć o tym, co niedawno widział. Klaudia wreszcie do niego dotarła. Czowała ulgę, patrząc na niego. Jego twarz wyrażała siłę i budziła zaufanie.

- Tam jest mój brat. To ja dzwoniłam. Mój brat Mark. To on tak krzyczał... - umilkła, gdy zobaczyła, jak mężczyzna sztywnieje. Spojrzał najpierw gdzieś w bok, a potem na nią ze współczuciem. Właśnie wtedy, dostrzegając w jego oczach litość, o którą wcale nie prosiła, Klaudia uświadomiła sobie, że Mark na pewno nie żyje.

Mężczyzna wziął ją pod ramię, poprowadził do policyjnego samochodu i wsadził do niego. Potem przykucnął naprzeciw niej i nadal trzymał ją za rękę. Widziała przed sobą tylko jego twarz, bladą jak twarz prawdziwego gweilo; trupio bladą.

- Panna Babcock? Klaudia? Tak mi przykro. Jestem inspektor Ingram. Z pewnością mnie nie pamiętasz, ale znaliśmy się dawno temu. - Jego głos był uspokajający i opanowany. Mówił powoli i z ogromną cierpliwością.

Klaudia zamknęła oczy.

- Nie żyje, prawda? Mark nie żyje?

Policjant nie zawahał się ani na sekundę, niczego nie starał się przedłużyć ani odkładać. Wziął na siebie ciężar powiadomienia jej. Po prostu skinął głową i natychmiast jej odpowiedział.

- Tak. Przykro mi. - Przerwał i przez moment czekał, aż Klaudia oswoi się z tą wiadomością. - Kiedy otrząsniesz się z szoku, będziemy ci musieli zadać kilka pytań, ale teraz, jak sądzę, musisz pojechać do jakichś przyjaciół. Czy mógłbym do kogoś zadzwonić w twoim imieniu?

Dziewczyna wahała się przez chwilę. Próbowwała skupić myśli. Kiedy się odezwała, jej głos był głuchy i obcy. Czuła, że nie jest w tym momencie sobą.

- Jak umarł? Czy został zamordowany? - Przykryła twarz ręką, ale na policzkach nie było łez. Pod powiekami oczy były suche i rozpalone.

- Został zakłuty nożem - odparł Tony, znowu tak spokojnym tonem, że informacja niemal prześlizgnęła się Klaudii przez głowę i prawie uszła jej uwagi. Popatrzyła na mężczyznę. Nie mogła niczego wyczytać ani z jego twarzy, ani z szarych oczu.

Nagle zarzuciła go potokiem słów.

- Kto go zabił? I dlaczego? Czy ktoś coś widział? Musieli coś słyszeć. Przez te cienkie ściany słycać wszystko. Ktoś musiał coś widzieć albo słyszeć? Na przykład pani Tsao z naprzeciwka. Musiała widzieć, ona zawsze wszystko wie. Mark tak strasznie krzyczał, krzyczał bez końca, krzyczał z bólu!

Mężczyzna odwrócił wzrok, szybko wciągnął powietrze do płuc i poczuł, że nie jest w stanie sprostać tej sytuacji. W żaden sposób nie mógł jej pomóc ani wynagrodzić straty. Może gdyby ojciec wspomniał wcześniej o Marku, o dzień wcześniej albo chociaż o kilka godzin wcześniej, może mógłby coś zrobić. Ale teraz już nie. Teraz już było za późno.

- Nadal próbujemy się tego wszystkiego dowiedzieć, panno Babcock.

- Nazwałś mnie Klaudią... powiedziałaś, że się znaliśmy... kiedy? Czy możesz mi powiedzieć swoje nazwisko?

- Ingram. Tony Ingram. Jestem rówieśnikiem twojej starszej siostry, Peggy. Bawiliśmy się razem, kiedy byliśmy mali. Nie sądzę, abyś mnie pamiętała. Widywałem się czasem z Markiem przez te lata, mogłem go więc zidentyfikować. Ty już nie musisz tego robić. - Ciągle trzymał ją za rękę i Klaudia nagle spojrzała na jego kwadratowe palce, a potem ponownie na twarz mężczyzny i lekko zmarszczyła czoło.

- Dałeś mi rozgwiadę. Wtedy... tamtego lata w Zatoce Repulse. Pamiętam.

- Próbowwała dopasować rysy tego mężczyzny do twarzy chłopca, którego kiedyś знаła. Zauważyła, że ściemniały mu włosy, są bardziej brązowe, koloru karmelu. Jego szeroką, solidną twarz z inteligentnymi szarymi oczyma i lekko haczykowanym nosem żłobiły teraz zmarszczki zdobyte życiowym doświadczeniem. Właściwie nie był przystojny, ale było w nim jednak coś pociągającego. I z pewnością budził zaufanie. Klaudia zabrała rękę z jego dłoni.

- Chcę go zobaczyć.

- To nie jest dobry pomysł. Tylko się niepotrzebnie zdenerwujesz. Spóbij go pamiętać takim, jakim był, a nie oglądać go teraz, po śmierci. To nic nie pomoże.

- Chcę go zobaczyć.

- Klaudio, proszę cię. Jesteś nadal w szoku. - Dał znak komuś za jej plecami. Dziewczyna podniosła na niego oczy i patrzyła bez mrugnięcia.

- Mam do tego prawo. Nie ma tu nikogo więcej z naszej rodziny. A to był przecież mój brat, nie rozumiesz?! - Przepchnęła się obok Tony'ego i ruszyła w kierunku bloku. Przed sobą na schodach zobaczyła dwóch mężczyzn w białych fartuchach. Nieśli między sobą puste nosze. Obejrzała się na Ingrama, który wzruszył ramionami i polecił swoim ludziom, by ją przepuścili.

Potem poszedł za nią na górę i cicho powiedział coś mężczyznom przy drzwiach. Zanim weszła do mieszkania, chwycił ją za ramię.

- Klaudio, musisz się przygotować. Mark został paskudnie zmasakrowany. Naprawdę nie powinnaś tego widzieć...

Spojrzała mu na moment w oczy i znowu przypomniała jej się tamta scena na plaży, gdy Tony pobiegł za nią i wręczył jej rozgwiazdę. Pamiętała, że wtedy jego oczy były ogromne, mroczne, osobiwie nakrapiane niczym sierść tygrysa uwięzionego w przezroczystym szkle.

Jak wtedy, tak i teraz odbijały jej tragedię. Chwyciła mocno mężczyznę za ramię, a potem minęła go i przeszła przez próg.

W mieszkaniu nic się nie zmieniło. Nikt nie porzucił mebli, nie było też porzucanych ubrań. Żadnych śladów włamania i prawie żadnych oznak walki. Jednak ściany były ochlapane i opryskane czerwienią, a parkiet pokrywały krzepnące pęcherzyki krwi. Klaudia wzdrygnęła się, zanim jeszcze zobaczyła Marka. Jego ciało przykryto prześcieradłem, ale krew przesączyła się przez materiał w smugach intensywnej barwy. Twarz zabitego była dziwnie posejna wobec takiego gwałtu. Oczy zamknięte, usta mocno zaciśnięte, ale nic nie wskazywało na przerażenie, jakie go ogarnęło przed śmiercią. Jego twarz nie straciła jeszcze koloru. Klaudia przykucnęła obok ciała brata i powoli wyciągnęła rękę, aby odgarnąć mu włosy z czoła. Skóra pod jej palcami ciągle jeszcze była dość ciepła, włosy nadal miłe w dotyku. Poczowała głęboki ból w piersi, który ogarnął powoli ją całą.

- Och, Mark, dlaczego nie poszedłeś ze mną? Dlaczego? - Jej głos niewiele się różnił od szeptu. Twarz brata nie poruszyła się. Była tak gładka i blada, tak bardzo piękna i poważna, że dziewczyna prawie nie mogła na nią patrzeć. Nie próbowała odkrywać niżej prześcieradła, nie zamierzała też oglądać reszty

mieszkania. Klęczała tylko obok ciała i patrzyła na twarz Marka, próbując uwiecznić ją sobie po raz ostatni w pamięci. Jako dorosłego mężczyznę знаła go tak niezwykle krótko i nie chciała, aby wspomnienie o nim szybko ulotniło jej się z pamięci.

- Klaudio? - Głos Tony'ego Ingrama słyszała jak we mgle; był zniekształcony z powodu odległości. Słabo podniosła oczy.

- Kto mu to zrobił? I dlaczego?

- Dowiemy się. W każdym razie na pewno spróbujemy się dowiedzieć.

- Spróbujecie? - Jej oczy wydawały się ogromne na tle kredowo bladej twarzy.

- To wygląda jak zabójstwo rytualne... jak kara wymierzona przez triadę. Wiąże się zwykle ze zdradą organizacji, która wymierza swemu członkowi sprawiedliwość za niedotrzymanie przysięgi, składanej podczas ceremonii inicjacyjnej. Ale to nie może się odnosić do tej sytuacji. W triadach nie ma białych, nie ma gweilos... Przynajmniej nie w Hongkongu. - Tony schylił się i uniósł Klaudię do góry. Oparła się o niego, kiedy siły zaczęły jej odmawiać posłuszeństwa. Ciepło jego ciała wydało się dziewczynie bardzo miłe po chłodzie podłogi.

- Wyjdźmy na zewnątrz. Nie możesz już nic więcej zrobić.

I tym razem Klaudia nie opierała się. Pozwoliła mu się sprowadzić po schodach w dół. Dotarli znowu do samochodu i Tony jeszcze raz usadowił w nim dziewczynę. Potem usiadł na przednim siedzeniu i sucho wydał polecenie kierowcy.

Samochód ruszył przed siebie. Na chodnikach pojawili się pierwsi gazeciarze i zaczęli krzyczeć o sensacyjnym rozlewie krwi. Tym razem z pewnością sprzedadzą wiele gazet.

- Gdzie chciałabyś pojechać? Do któregoś z przyjaciół? - spytał Tony Ingram, ale Klaudia bez słowa potrząsnęła głową, zbyt wyczerpana, aby pomyśleć o kimkolwiek. Nie do Sylwii, ani do Harry'ego - byli za bardzo związani z Markiem i z bólem. I na pewno nie do żadnego z przypadkowych znajomych, których poznała w ciągu ostatniego miesiąca. Zamknęła oczy i powiedziała:

- Nie wiem. Naprawdę jest mi to obojętne. Zawieź mnie gdziekolwiek.

Kierowca otrzymał kilka zwięzłych instrukcji, po czym auto skręciło w Cotton Tree Drive. Następnie przejechali Queensway i dotarli do Hennessy Road w Wanchai. Ruch był o tej porze dnia niewielki i samochód jechał szybko. Kierowca z dużą wprawą omijał i wyprzedzał inne pojazdy, toteż po

niecałych piętnastu minutach znaleźli się przed budynkiem, w którym mieszkał Tony. Ingram wysiadł i otworzył drzwiczki przed Klaudią. Pomógł jej wysiąść, a potem poprowadził do środka.

W budynku znajdowały się dwie windy: jedna dla pięter nieparzystych, druga dla parzystych. Tony odsunął kratę i pomógł Klaudii wejść do jednej z nich. Dziewczyna wyglądała, jak gdyby za chwilę miała upaść na podłogę. Poczła zapach gotowanej kapusty, kadzidła i jeszcze jakąś słodką, lekko mdlącą woń, którą przesiąknęło zarówno linoleum, jak i porysowane ściany windy. Na piąte piętro wjechali w milczeniu.

Tony otworzył z klucza drzwi, po czym wprowadził Klaudię do środka, zapraszając aby usiadła. Dziewczyna dotarła we wskazanym kierunku do prostej, obitej płótnem sofy. Nie była zdolna do niczego i tylko bezmyślnie wpatrywała się w znajdującą się przed nią ścianę. Wisiała tam czarno-biała fotografia trojga dzieci, oprawiona w szkło i ramki z czystego srebra.

- Proszę, wypij to. - Tony wręczył Klaudii duży kieliszek brandy. Klaudia kołysała go w dłoniach, pochylona nad nim, czując, że jej ciało zaczyna się uspokajać.

- To twoje mieszkanie? - spytała w końcu.

- Tak. Moje i tylko moje. Nie martw się, nie ma tu żadnej zazdrosnej żony ani wścibskiej współlokatorki. W drugim pokoju jest rozkładany i tapczan. Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz. - Nie był szczególnie zatroskany i nie mówił zbyt wspaniałym tonem, ale było w nim coś takiego, co sprawiało, że Klaudia miała się ochotę rozplakać. W gardle czuła dziwny ból niczym ciężką, twardą grudę. Wiedziała, że Tony nie zgorszyłby się, nie obraził ani nie zdenerwował, gdyby dała upust swemu żalowi. Przełknęła jednak tylko głośno ślinę.

- Muszę zadzwonić do mamy. Muszę ją zawiadomić. - Jej głos był chrypliwy.

- Jutro. Dziś nie jesteś w stanie znieść żalu i smutku kogoś innego. Potrzebujesz tylko mocnego drinka, czegoś do jedzenia i snu.

- Ona nie poczuje żalu - powiedziała cicho dziewczyna. Tony odwrócił się nagle i spojrzał na nią; miała nieruchomą, napiętą twarz. Klaudia wzruszyła ramionami. Czuła się nie najlepiej, gdy o tym mówiła.

- Moja matka nigdy nie przejmowała się Markiem. Zdecydował się zostać z ojcem, gdy nastąpiło rozstanie rodziców, i matka nigdy mu tego nie wybaczyła. Okropnie się pokłóciłyśmy, kiedy postanowiłam tu przyjechać. - Przełknęła kolejny duży, przyjemny i rozgrzewający łyk brandy. Popatrzyła

na swego towarzysza i znowu wzruszyła ramionami. - Ale, tak czy owak, muszę jej powiedzieć. A ona mnie skontaktuje z ojcem. Może przynajmniej jego obejdzie śmierć syna.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której Tony rozmyślał nad tym, co powiedziała Klaudia. Zastanawiał się także, czy ją samą obeszła śmierć brata, a jeśli tak, to jak bardzo. Ale czuł, że jeszcze nie może jej o to zapytać. Widział jej zszokowaną, spiętą twarz, widział, jak trzepotała niepewnie rzęsami, co sugerowało, że w jej głowie musi panować istna kotłowanina myśli.

W końcu Klaudia przerwała ciszę. Na początku była rozkojarzona, potem jednak zaczęła mówić z coraz większą pewnością i przekonaniem, a Tony słuchał jej w milczeniu. Okropności ostatnich kilku godzin wyzwoliły u niej chęć do zwierzeń, opowiedziała mu więc o takich sprawach i uczuciach, jakich w normalnej sytuacji nigdy by nikomu nie zdradziła. Ingram obserwował ją uważnie, wtrącając od czasu do czasu pytania.

- Zawsze tęskniłam za Markiem. Przez te wszystkie lata, nawet jeśli był kiepskim bratem, niemiłym, drażniącym, dokuczliwym i... ale tęskniłam za nim. Próbowaliśmy do siebie trochę pisać, ale nie bardzo nam się udawało porozumieć. Znałam go więc zaledwie miesiąc, w tym okresie ciągle prawie przebywaliśmy razem... Niezbyt długo. A dziś wieczorem, zanim wyszłam, pokłóciliśmy się. - Jej głos się załamał. - O Boże, naprawdę nie mogę uwierzyć w to, że odszedł i że już nigdy go nie zobaczę. Nigdy. - W jej głosie słyszeć było cierpienie.

- Wiesz, kto mógł go zabić? Albo dlaczego?

- Nie, nieee, naprawdę nie wiem. Ale wiem, że był czymś przerażony, przez cały czas... żył tak, jak gdyby się znajdował na krawędzi strachu... - Podniosła oczy. - Palił sporo opium, ale tutaj to chyba nic niezwykłego, prawda? Pił też dużo i czasem bywał... trudny... kiedy był nietrzeźwy... ale nigdy nie był aż tak nieprzyjemny, aby go z tego powodu zabić. Mówił mi, że ktoś ma go odwiedzić dziś wieczorem. Sądziłam, że to dostawca. Powinieneś zapytać Rybę albo Harry'ego. Oni mogą wiedzieć więcej.

Odgarnęła włosy z twarzy i nagle poczuła potężną falę mdłości. Jej skóra pokryła się bladym potem, poczuła ciężar w żołądku. Tony wyjął jej z dłoni kieliszek, szybko poprowadził ku małej łazience i przytrzymał głowę nad ustępem. Zachowywał się metodycznie i energicznie, ale jednocześnie bardzo łagodnie, gdy wycierał Klaudii twarz flanelowym ręcznikiem i potem, gdy ją odprowadzał z powrotem na sofę. Czuło się w nim jakąś powagę i spokój,

przynoszący nieszczęsnej dziewczynie większą ulgę niż jakiegokolwiek słowa współczucia. Wdzięczna, położyła się na plecach, przytuliła się do poduszki i pozwoliła, by Tony podniósł jej nogi i położył na wałku.

- Przepraszam. - Gdyby się czuła lepiej, byłaby bardziej zakłopotana. Ale teraz tylko zamknęła oczy.

- To normalne. Przez parę dni możesz się czuć paskudnie. Teraz jednak odpręż się i uspokój. Zdaje się, że wspomniałaś Aidana Lockharta, prawda? Rybę?

- Tak, znasz go?

- Hm, tak. A przynajmniej znałem. A „Harry” to Harry Braga, jak rozumiem?

- Tak. - Harry, z którym tak rozpaczliwie chciała porozmawiać, ale nie śmiała, gdyż bała się tego, co mogłaby od niego usłyszeć, bała się tego, co mógłby jej powiedzieć. Harry, który miał mnóstwo sekretów.

- Jak dobrze znasz Harry'ego, Klaudio? Jak dużo wiesz o jego przeszłości?

- spytał Tony, jak gdyby czytał w jej myślach.

Wzdrygnęła się na to pytanie.

- Och, trochę, jak sądzę, właściwie bardzo niewiele. Był synem naszej służącej. Półkrwi chińskiej, półkrwi portugalskiej. Był ze mną tamtego dnia na plaży. Pamiętasz go?

Tony zobaczył oczyma wyobraźni małego ciemnowłosego chłopczyka, który patrzył za samochodem z ogromnym cierpieniem w oczach. Ingram skinął Klaudii głową.

- Tak, pamiętam. Czy wiesz, co się z nim działo po twoim wyjeździe?

- Niewiele wiem. Harry nie chce o tym mówić albo mówi tak tajemniczo, że muszę się domyślać, o co mu chodzi. Zdaje mi się, że wyjechał z Hongkongu i przebywał jakiś czas u krewnych na wsi, a kiedy jego matka wyszła ponownie za mąż, pojechał do niej i zamieszkał z nią. Nie wiem, co działo się z nim potem, Harry nie chce o tym mówić... aż do chwili, kiedy zaczął pracować dla Commercial Radio. Nie wiem, co się zdarzyło w tym czasie... Czy to, co mówię, w ogóle ci pomoże?

- Nie wiem. Może.

- Harry nie miał nic wspólnego ze śmiercią Marka. - Klaudia popatrzyła na Tony'ego ostro, po czym posłała mu nieznaczny uśmiezek.

- Nie powiedziałem, że ma z tym coś wspólnego. - Ale przez długą chwilę milczał, przypomniał bowiem sobie chłopca, który uderzył go w nocnym klubie i który już wówczas z wielką wprawą posługiwał się nożem.

- W jaki sposób zostałeś policjantem? To znaczy... czy twój ojciec nie był jakąś „szychą” w tutejszej służbie państwowej? Co sprawiło, że postanowiłeś zostać gliną?

Klaudia wyrwała Tony'ego z zadumy. Spojrzył na nią i na chwilę na jego wargach zamigotał cień uśmiechu. Dziewczyna zwinęła się w kłębek na sofie, otaczając ramionami kolana. Luźne jedwabne spodenki zafalowały jej na udach. Niezłe nogi, ładne smukłe ciało z krągłościami we wszystkich właściwych miejscach, pomyślał Tony, chociaż, póki nie spojrzysz w te ciemne oczy, może się wydawać zaledwie przeciętna. Całe jej piękno skupia się w tych oczach, stwierdził, w nieuchwytnych myślach, które ukrywały w sobie te dwa węgielki. Obserwował ją jeszcze przez długą chwilę, ale Klaudia nawet się nie uśmiechnęła.

- Chyba po prostu nigdy nie dorosłem. Zawsze lubiłem się bawić w policjantów i złodziei, a znasz jakieś lepsze miejsce do tej zabawy niż Hongkong? Nie chciałem całymi dniami siedzieć za biurkiem.

- Pewnie musisz umieć mówić po kantońsku? To chyba podstawowy warunek.

- Rzeczywiście umiem, ale to wcale nie jest warunek. To pomaga, ale znam wielu starszych rangą Europejczyków, którzy mówią zaledwie łamaną chińszczyzną. Najpierw byłem w wojsku. - Wydawał się rozbawiony jej zaskoczeniem.

- Jaki miałeś stopień?

- Porucznika, bardzo długo. Gdy mnie awansowali na kapitana, natychmiast zrezygnowałem... Potem trochę podróżowałem. Byłem w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Dobrze się dogadywałem z Amerykanami, są tacy otwarci i towarzyscy. To była dla mnie miła odmiana. Następnie przyjechałem tutaj i wstąpiłem do Królewskiej Policji Hongkongu.

- Specjalizujesz się w czymś czy jesteś, no... zwykłym gliniarzem?

- Cóż, najpierw byłem regularnym policjantem, ale teraz - jak to nazwałaś, „specjalizuję się” w triadach. Pracuję w Wydziale do Spraw Walki z Triadą. Walczymy z mafią. Chociaż czasami się zastanawiam, kto właściwie kogo atakuje.

W jego głosie Klaudia usłyszała rezygnację; twarz Tony'ego wydała jej się nagle bardzo znużona. Nie uszło to jej uwagi i nagle doznała jakichś złych przeczuć, ale młody mężczyzna tylko wzruszył ramionami.

- Mamy trochę problemów z korupcją - przyznał zinnym tonem.

- Dlaczego triady? To znaczy, dlaczego one właśnie cię interesują? I dlaczego mają nawet swój wydział?

- Ponieważ bardzo szybko rosną w siłę. Jest to prawdopodobnie najniebezpieczniejszy element kryminalny na świecie i prawie nikt nic o nich nie wie... wielu twierdzi, że w ogóle nie istnieją... i prawie nikomu nigdy nie udało się przeniknąć do żadnego z odłamów. – Przerwał i spojrzał na dziewczynę. - Naprawdę chcesz to wszystko wiedzieć? - spytał po chwili.

Klaudia skinęła głową i zastanowiła się, jaki ma mieć sens jej wiedza na ten temat, skoro Mark nie żyje. Ale chciała i musiała się dowiedzieć.

- Cóż, Hongkong stanowi obecnie ich główną bazę, chociaż ja myślę, że są wszędzie. Wybierz nazwę jakiegoś miejsca na Ziemi i jeśli mieszkają tam Chińczycy, gwarantuję ci, że będzie tam również działał jakiś odłam triady. Vancouver, Amsterdam, Londyn, Sydney, San Francisco, Nowy Jork i tak dalej... można wymieniać bez końca. Czasem jest to jakaś oficjalna organizacja samopomocy albo swego rodzaju nieformalny związek zawodowy, ale po krótkim czasie zaczną „wywieszać błękitną latarnię”, stosować różnego rodzaju metody nacisku, handlować narkotykami i wymuszać haracze. I będzie tam tak samo jak wszędzie.

Mówił jak człowiek zmęczony i zasmucony, i Klaudia nagle zaczęła się zastanawiać, co złego mu się przydarzyło w młodości, dlaczego stał się tak bardzo rozczarowany życiem i pozbawiony iluzji.

- Co to znaczy „wywiesić błękitną latarnię”? - Zamigotało jej w pamięci, że Mark kiedyś coś o tym mówił. Przymknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć w związku z czym to powiedział, ale nie udało jej się. Wtedy to powiedzenie nie miało dla niej żadnego znaczenia.

- Niektórzy ludzie mówią, że oznacza obrządek wtajemniczenia, ale, jak sądzę, przypomina bardziej tymczasowe prawo jazdy. Zostajesz przyjęty na pewien czas i jeśli przejdiesz pozytywnie wszelkie próby, wówczas można uznać, że odbyłeś całą ceremonię i stajesz się bratem krwi, czyli właściwym członkiem triady. Ale najpierw musisz zdobyć sobie szacunek innych i pokazać, że jesteś wart, by wywiesić dla ciebie latarnię. Potem nie masz już wyjścia, chyba że śmierć. Jeśli z triadą, to na zawsze.

- Czy dlatego znalazłeś się przy ciele Marka? Powiedziałeś mi wtedy, że dokonano swego rodzaju rytualnego morderstwa. Skąd to wiesz?

- Noo, wezwali mnie, ponieważ... słuchaj, to nie jest, hm, przyjemne.

- Powiedz mi. Chcę wiedzieć. - Była tak zdeterminowana, a jej podbródek wysunął się tak mocno, uosabiając stanowczość, że Tony nie próbował się dziewczynie przeciwstawiać. Wiedział, że to nie ma sensu.

- Nazywa się to „śmiercią za pomocą tysięcy mieczy”. Ofiara zostaje pocięta wiele razy rzeźnickim nożem albo tasakiem do mięsa. Przecina się jej wszystkie główne mięśnie. Tutaj, i tutaj, a potem tutaj i tutaj -wykonując ruchy cięcia, pokazywał na swoje przedramiona i bicepsy, potem na łydki i biodra. Mówił głosem dziwnie bezosobowym. Podawał same fakty. - Czasami także w głowę. W ten sposób skutecznie ostrzega się wszystkich innych, mówi się im, co ich czeka, gdy złamią którąś z trzydziestu sześciu przysięg. Można też ponieść śmierć od pięciu piorunów.

- Pięć piorunów? A co to znowu takiego? Rodzaj broni? - Spojrzała na niego dla potwierdzenia. Jej twarz była blada, naznaczona cierpieniem, ale Tony wzruszył tylko ramionami. - A to, w jaki sposób Mark umarł, te tysiące mieczy... - Poczowała napływającą nową falę mdłości, ale powstrzymała się. - To znaczy... skąd wiesz o tych wszystkich przysięgach i rytuałach, skoro nikt nigdy nie przeżył, aby o nich opowiedzieć? Chodzi mi o to, że Mark przecież nie składał żadnej przysięgi...

- Nie, z pewnością nie składał. A wiemy tak wiele, ponieważ udało nam się rozbić pewien odłam triady. Znaleźliśmy swego rodzaju kodeksy zasad... Na pewno nie pozwoliliby się do siebie przyłączyć Markowi, to po prostu niemożliwe. - Tony zmarszczył czoło, intensywnie myśląc. -Ale może coś wiedział i zamierzał komuś o tym powiedzieć albo już komuś powiedział... Albo widział coś, czego nie powinien. A może, co wydaje mi się najbardziej prawdopodobne, pracował dla nich, a potem ich oszukał. Jak ci powiedziałem wcześniej, taka śmierć to ostrzeżenie. Wiem to na pewno. Zobaczył, jak blada i spocona jest Klaudia i zaklął pod nosem z powodu własnej głupoty. - Przepraszam, że mówię ci takie straszne rzeczy.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie przepraszaj, przecież sama pytałam. Chciałam... potrzebowałam, naprawdę... musiałam wiedzieć. Ale właściwie nic z tego nie rozumiem! Po co on się w to wszystko wplątał? - Klaudia zamknęła oczy. - To jest takie niesprawiedliwe. Akurat dostał awans, no i ja właśnie tutaj przyjechałam, więc powinno być naprawdę wspaniale. Wiesz, sam mnie prosił o przyjazd, więc chyba chciał mojego towarzystwa. Ale był czymś bardzo przerażony i powiedział, że pragnie, abym się w to nie mieszała, a potem już nic nie chciał mi powiedzieć. A ostatnio było coraz gorzej, naprawdę zaczęłam się o niego

niepokoić. Może to wszystko moja wina, przecież zgubiłam pudełko. Nie wiem... - Klaudia znowu potrząsnęła głową, jej głos przeszedł w niewyraźny bełkot.

- Pudełko? Jakie pudełko? - Tony podniósł oczy i zmarszczył brwi. Opowiedziała mu krótko całą historię i na koniec opisała, jak bardzo

Mark był wściekły i przestraszony, gdy musiała się przyznać, że przesyłka zginęła. Ale Tony tylko wzruszył ramionami, pozornie ledwie zwracając uwagę na jej słowa. Postawił na stoliku przed dziewczyną szklanę z wodą i położył dwie pigułki.

- Marka na pewno nie zabito z twojego powodu, więc nie próbuj się obwiniać z powodu jego śmierci. Proszę, powinnaś je wziąć. Tłumią wszystko i sprawiają, że łatwiej znieść to, co przykre. Połknij je, a potem połóż się spać. Rozłożyłem ci amerykańkę i przygotowałem świeżą pościel. - Umilkł, po czym odgarnął jej włosy z twarzy. Zauważył, że wygląda bardzo młodo, gdy rozmył się już jej makijaż. Ostatnim razem, kiedy ją widział, przed wieloma laty, tak samo jak teraz przeżywała nieszczęście. Minęło dwadzieścia lat i znowu ją spotkało coś podobnego. Zapytał siebie, jak można twierdzić, że życie jest sprawiedliwe. I dlaczego niektórzy tak bardzo muszą cierpieć?!

- Klaudio, naprawdę przykro mi z powodu Marka. Zrobię, co w mojej mocy, aby się dowiedzieć, co się zdarzyło. Ale jeśli chodzi o triadę, niczego nie można być pewnym... - Spojrzał na zegarek. - Teraz muszę jeszcze wyjść i chcę, żebyś się położyła spać. Dobrze? - Mocno chwyciła jego dłoń i Tony ukląkł obok niej.

Skrepowana, uśmiechnęła się przez łzy.

- Naprawdę musisz wyjść? Nie możesz poczekać do rana? - Zadrżała znowu i Tony silniej ścisnął jej dłoń.

- Nie. Nie mogę. Ale tu jesteś bezpieczna. Przyniosę ci jutro trochę ubrań z mieszkania Marka. A teraz się prześpij, nie próbuj myśleć zbyt wiele... nie o tym. Jutro możemy znowu porozmawiać. - Wstał i pocałował ją szybko w czubek głowy, zanim uwolnił rękę. - I nie otwieraj nikomu drzwi. Dobrze? Ja mam klucze, a nikt inny nie powinien tu wchodzić. Do zobaczenia rano. - Posłał jej szybki uśmiech, otworzył frontowe drzwi i wyszedł. Klaudia słyszała, jak zamyka je na klucz od zewnątrz.

Rozdział dwudziesty drugi

Harry Braga siedział na swoim skórzanym obrotowym krześle w studiu i wyobrażał sobie, jak on będzie umierał. Myślał o śmierci ciągle. Przewidywał, że będzie długa, powolna i nieskończenie bolesna. Na tę myśl zacisnął usta. Yee nie oszczędzi go. Jego dawny „ochroniarz”, jego były Czerwony Biegun musi otrzymać to, na co zasłużył, powie na pewno. Harry właściwie nie bał się śmierci, przeraziła go jednak myśl o bólu. Kiedyś, dawno temu, wydawało mu się, że mógłby znieść każdy ból, że mógłby znieść wszystko, byle nie więzienie. Ale teraz, po latach, wiedział już, że nie jest w stanie ścierpieć ani jednego, ani drugiego. Z Markiem przynajmniej postąpili szybko. Stosunkowo szybko... Znowu zacisnął usta z gniewu i oburzenia.

Po raz kolejny zastanowił się, jaki byłby los Marka, gdyby nie jego „pośrednictwo”. Czy sam wplątałby się w brudne sprawy triady? Harry wołał w to wierzyć, aby umniejszyć swoją winę, która tkwiła w jego wnętrzu jak ciężka bryła. Wiedział jednak, że nigdy nie należy siebie okłamywać. Nie było sensu.

Na zewnątrz zapadł już zmrok. Dochodziła dwudziesta trzecia. A on skończył swoją zmianę o dziewiątej. Nie mógł dłużej usprawiedliwiać zwłoki, musiał już iść. Pozostali: ekipa zapasowa, obsługa programu, nowa gromada redakcyjna, od wielu minut patrzyli już na niego dziwnym wzrokiem i zapewne zadawali sobie pytania, jak długo Braga zamierza jeszcze tutaj siedzieć.

Z westchnieniem wstał. Może to jedynie gra, może Yee po prostu się z nim bawił? Może dał mu tylko ostrzeżenie, aby zrobił to, o co go poprosi... nie, nie poprosi: zażąda. Może nie zdarzy się nic więcej.

Zapłacicie mi za to, powiedział mu kiedyś Yee, zapłacicie, i ty, i Mark, kiedyś, gdzieś mi zapłacicie. A teraz Mark nie żył i może taka właśnie miała być kara dla nich obu? A może po prostu pozwolono mu dłużej pożyć, aby się poccił przed własnym zgonem, aby umierał tysiącem wyimaginowanych śmierci, zanim w końcu poniesie tę prawdziwą. Perfidne, bardzo perfidne. Gdyby ktoś spojrział w tej chwili na Harry'ego, mógłby pomyśleć, że to lekkie skrzywienie ust oznacza rozbawienie...

Harry zastanowił się, gdzie może być Klaudia. Czyżby u Sylwii? Kiedy dotrę do domu, koniecznie muszę do niej zadzwonić, obiecał sobie. Jeśli uda mu się dotrzeć do domu... Włożył kurtkę, lekką płócienną kurtkę, która na szczęście była w ciemnym kolorze, i zarzucił na ramię torbę. Były w niej jego

notatki do jutrzejszego programu. Jakie miały teraz znaczenie? Nie, oni nie pozwolą mu odejść. Yee nie pozwoli mu odejść... Przez tyle lat myślał, że uwolnił się od swego szefa, a teraz się okazało, że tamten bawił się nim jak marionetką, występującą w nie znanej sobie roli. Harry pomachał ręką ekipie nocnej, wysłuchał dwóch niezbyt śmiesznych żartów i wyszedł ze studia. Szedł lekko utykając, na sztywno wyprostowanych nogach; mięśnie miał stężałe i zdrętwiałe, jak gdyby już czuły smagające uderzenia „tysięcy mieczy”. Był czujny i gotowy. Na ulicy nikt go nie zauważył. Był tylko jeszcze jedną osobą pędzącą naprzód w wieczornym tłumie. Wsiadł do tramwaju i skulił się na wąskim drewnianym siedzeniu. Pojazd turkotał i kołysał w rozjaśnionej neonami nocy.

Mieszkał w Happy Valley, w szczytowym mieszkaniu w pobliżu toru wyścigowego, jednego z największych i najnowocześniejszych na świecie. Pragnął tam zamieszkać i zamieszkał. Ale wtedy Harry wiedział, jak zdobyć to, czego pragnie. Yee go tego nauczył.

Co by było, gdyby nie uciekał przez te wszystkie lata? Czy znajdowałby się w obecnie tym samym miejscu, w którym był teraz? Może ciągle żyłby życiem wieśniaka, może nadal mieszkałby ze swoją matką służącą i jej nowym mężem gweilo na wyspie Cheung Chau, ciągle wysłuchiwał krzyków dzieci, wrzasków starych bab i jazgotu aparatów radiowych w ich bloku mieszkalnym, ciągle pracował w przetwórni rybnej, ciągle pachniał olejem, rybami i smarem, ciągle wzdrygał się pod delikatnym, lepkiem, przedłużanym w nieskończoność dotykiem ojczyzna? Zamknął oczy i pędzące światła Wanchai zniknęły w mroku. Już prawie zasypiał, kiedy nagle poderwał się czujnie i rozejrzał się dookoła. Podniósł rękę i szarpnął za sznurek.

Uiścił opłatę za przejazd, po czym wyślizgnął się z tramwaju natychmiast, gdy ten przyhamował na przystanku. Harry widział, że nikt za nim nie podążył, z pewnością potencjalny napastnik miałby czas, aby wyskoczyć. Młodzieniec znowu rozejrzał się wokół siebie, ale najwyraźniej nikt nie zwracał na niego uwagi. Specjalnie wysiadł jeden przystanek wcześniej niż zwykle, toteż tutejsi sprzedawcy nie znali go i nie życzyli mu, jak zwykle, dobrej nocy. Harry ruszył w dół Wong Nai Chung Road. Szedł coraz szybciej, chwilami prawie biegł. Przeciął Sports Road, drogę szybkiego ruchu i pospiesznie wszedł we Wschodnią Queen's Road. Ani za sobą, ani przed sobą nie dostrzegł niczego niezwykłego, mimo że uciekał się do podstępów, ostrożnie obchodził alejki i zbliżał się do budynku, w którym mieszkał, z różnych stron.

Jeśli chcą go dopaść, będą czekali wewnątrz. Tak on sam postępował. Przekupywał albo zastraszał starą kobietę, pełniącą funkcję dozorki, wchodził do mieszkania i w ciemnościach czekał na ofiarę. Tak samo z pewnością postąpią oni, jeśli już tu są. Harry spojrzał z uwagą na staruszkę, ale akurat coś jadła i na nic nie zwracała uwagi. Kiedy drzwi windy zamknęły się za młodzieńcem, oczy kobiety powoli podniosły się znad miski. Zaczęła obserwować czerwone światła oznaczające piętra. Z zainteresowaniem dostrzegła, że winda zatrzymała się dwa piętra wcześniej. I wtedy stara powoli się do siebie uśmiechnęła.

Yee z pewnością na pierwszy ogień wysłałby jakiegoś głupca, kogoś nie znaczącego, który dopiero przygotowywał się do roli Czerwonego Bieguna dla „Cienkich Ostrzy”. Kogoś przeznaczonego na stracenie, kogoś, kto miałby ocenić, jak czujny jest Harry, kogoś, kto uśpiłby jego podejrzenia w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Po jego pokonaniu, Harry miał się cieszyć, że tak łatwo poradził sobie z triadą. Ale Harry wiedział, jak działa umysł Yee, nawet teraz, po tak wielu latach. Nikt, może poza jakimś głupcem, nie oczekiwałby, że wejdzie do swego mieszkania frontowymi drzwiami.

Ten mężczyzna jednakże rzeczywiście był głupcem. Harry dostrzegł go na długo wcześniej, zanim prześlizgnął się przez szklane drzwi ze swojego balkonu i wsunął do zacienionego pokoju. Łatwo było wejść po schodach na dach, a stamtąd opuścić się na balkon. Napastnik powinien był o tym wiedzieć. Ale nie wiedział, ponieważ był zwykłym, przeznaczonym na stracenie głupcem. Harry zaklął cicho.

Co teraz ma zrobić? Zabić tego mężczyznę? A może tylko go zranić i odesłać w niesławie do domu? Tak czy tak, mężczyzna umrze. Tylko że Harry nie chciał mieć krwi na swoich rękach; nie chciał już więcej krwi, nie chciał jej już nigdy więcej. Przełał jej już niegdyś zbyt wiele. A w gruncie rzeczy przeciwnik był tylko chłopcem; wyglądał zaledwie na jakieś dwadzieścia lat. Miał długie włosy, szczupły i kościsty, ubrany był w podrabiane dżinsy znanej marki i także koszulę w krzykliwym kolorze. Czy ktokolwiek choćby pomyślał, aby powiedzieć temu dzieciakowi, że powinien się ubrać na nocną akcję w coś czarnego, zastanowił się Harry ze smutkiem.

Westchnął głośno, po czym zdał sobie sprawę z faktu, że chłopak z pewnością nie był zły. Na pociągłej, pełnej pozornej złości twarzy, przy uważniejszym przyjrzeniu się jej w blasku światła księżycowego, malowało się straszliwe przerażenie. Na ten widok Harry poczuł przeraźliwą rozpacz, bolesną, desperacką rozpacz. Sam musiał podobnie wyglądać dziesięć lat

temu. Jednak on przeżył taką próbę, choć z pewnością tamto wydarzenie nie pozostało bez śladu.

Tak rozmyślając, zdążył już okrążyć chłopca. Przesuwał się z jednego zacienionego miejsca w drugie. Znał świetnie rozkład własnego pokoju, mógłby po nim chodzić nawet we śnie, toteż teraz udało mu się całą drogę pokonać bezszelestnie. Niczego nie dotknął, w nic nie uderzył, nie dopuścił do najmniejszego przeciągu i w żaden inny sposób nie dał napastnikowi znać o swojej obecności. Znajdował się właśnie niecałe trzy stopy od młodzieńca. A jego napastnik nawet nie pomyślał, aby się obrócić i rozejrzeć, aby jednym rzutem oka sprawdzić zacienione miejsca. Wpatrywał się tylko stale w wejściowe drzwi. Zupełny głupiec.

Harry'emu trudno było sobie wyobrazić tego chłopca jako mordercę, jako napastnika. Był właściwie tylko przestraszonym dzieciakiem, który wiedział, że wysłano go przeciwko byłemu Czerwonemu Biegunowi, niegdyś głównemu „człowiekowi” Yee. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że od „ofiary” dzieli go kilka klas, że w żadnej dziedzinie nie dorównuje mu umiejętnościami. Przekonał się o tym, kiedy poczuł ból promieniujący od kciuka przez dłoń do ramienia, które Harry wykrzywił mu i wykręcił. Ból z pewnością był tak silny i rozchodził się w tak szybkim i przerażającym tempie, że chłopak zupełnie nie mógł się ruszyć, dyszał więc tylko i kłął, widząc, jak jego własna twarz zbliża się niesamowicie prędko ku podłodze. Skowyczał z wściekłości, ale przede wszystkim z ogromnego bólu.

Nagłym ruchem Harry pociągnął kciuk mocniej do góry i w lewo. Posunięcie to spowodowało, że chłopiec krzyknął cienko, piskliwie. Harry usłyszał też nieprzyjemny trzask w ramieniu młodzieńca, jak gdyby ktoś złamał na kolanie bambusową łodygę. Chłopak załamał się gwałtownie, upadł i przestał się poruszać. I nagle Harry uświadomił sobie, że to on sam jest głupcem, a nie ten dzieciak. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że napastników jest dwóch, że jest to gra wewnątrz gry, pułapka o wiele bardziej wyrafinowana, niż mógł podejrzewać on sam lub ten nieostrożny chłopiec. Tak, tak, Yee był dobry w tym, co robił. Należałoby mu pogratulować.

Policzek Harry'ego owionął lekki podmuch wiatru. Było to dla niego ostrzeżenie przed szybko atakującym napastnikiem. Harry szybko przeturlał się na bok, gdy zobaczył błysk, który przesunął się łukowato przez ciemność i zakreślił tor w zaćmionym świetle księżycowym. Kilka kroków dalej podniósł się znów na nogi, ale jasność już się ku niemu zbliżyła. Przeciwnik był

szybszy niż Braga podejrzewał. Błysk pozostawił ciepłą palącą ranę wzdłuż przedramienia Harry'ego.

Ten mężczyzna z pewnością nie był głupcem. Nie wydał żadnego odgłosu, nawet dźwięku triumfu, ani nawet nie sapnął. Harry w żaden sposób nie mógł ustalić jego pozycji, kiedy wycofał się w cień. Szybkość i milczenie napastnika były wręcz porażające.

Harry skulił się przy samej podłodze i zaczął się przesuwając w kierunku ściany, przy której stała biblioteczka. Zdawał sobie sprawę z tego, że zaczyna coraz głośniejsz odychać, dusiło go w gardle, dudniło w uszach, mimo że ze wszystkich sił starał się nad sobą zapanować. Chłopiec, którego pokonał, na pewno miał przy sobie nóż, sztylet, swego rodzaju „cienkie ostrze”, ale Harry wiedział, że nie może zaryzykować podejścia i odebrania mu broni. Stałby się widoczny w świetle księżyca. Ponuro pomacał w mroku, szukając drewnianej szafki, a gdy ją znalazł, odetchnął z ulgą, mimo że w palce wbiły mu się drzazgi.

Mężczyzna znowu zaatakował: ruszył do przodu i zamachnął się z precyzją, celując tym razem w nogę Harry'ego; szybki ruch cięcia wzdłuż uda i znowu zniknął w mroku nocy niczym błędny ogień. Harry dalej macał drewniany mebel za sobą. Dotykając palcami biblioteczki, szukał po omacku pewnego przedmiotu. Zatrzymał się na chwilę, a potem znowu ruszył powoli wzdłuż szafki. Wiedział, że zanim zdoła dotrzeć do przeciwległej ściany, napastnik znowu zaatakuje. Tak też się stało. Tym razem rozbłysk światła był wyraźniejszy; coś zimnego i jednocześnie gorącego, a przede wszystkim niezwykle ostrego zagłębiło się w ciele „ofiary”, wchodząc w nogę jak w masło. Harry miał świadomość, że nie może ryzykować poważniejszych ran, ponieważ później nie odważy się szukać opieki medycznej. Musiał zabić mężczyznę szybko.

Nie przyszło mu do głowy, że on sam mógłby umrzeć. Wcześniej może nad tym myślał, kiedy w ogóle miał czas myśleć, tak, wcześniej może wyobrażał sobie taki los, ale nie teraz, nie w samym środku szturm. Teraz myślał już tylko, jak zabić, a nie o tym, czy bać się śmierci.

Kiedy mężczyzna znowu zaczął się zbliżać, Harry zagarnął lewym ramieniem leżące na półce biblioteczki rzeczy i zepchnął je gwałtownie w kierunku napastnika. Mężczyzna poruszył się szybko, na chwilę jak gdyby się potknął, po czym ponownie zniknął. I znowu nie było słyhać najmniejszego dźwięku. Harry musiał przyznać, że wyznaczono mu naprawdę świetnego przeciwnika.

Ale na szczęście dotarł już do końca biblioteczki i zacisnął palce na małym plastikowym przedmiociku. Czekał przez moment, a następnie podniósł przedmiot w górę. Pokój przecięło oślepiające światło, kiedy ostrze zbliżyło się jeszcze raz. Harry podniósł prawe ramię i nacisnął dwa razy wskazujący palec. Rozległy się dwa przytłumione wystrzały, po których napastnik zatrzymał się, zawirował wokół własnej osi i łagodnie osunął się na ziemię. Harry uśmiechnął się.

- Przyjemna broń, co? - spytał towarzysko, ale nogi zaczęły mu się trząść i widział wszystko jak przez mgłę. Podeszedł do przodu i ukląkł obok mężczyzny, wycelował mu w twarz i posłał kolejny pocisk. Potem minął go i ruszył do łazienki, gdzie zdjął z poręczy ręcznik i owinał nim sobie udo.

Nikt nie mógł słyszeć strzałów, pomyślał; użył przecież tłumika. Wziął drugi ręcznik i pokuśtykał z powrotem do salonu, a następnie pochylił się nad ciałem mężczyzny. Szybko obłożył materiałem głowę i wytarł krew. Szczęśliwym trafem miał na podłodze linoleum, po którym łatwo było przeciągnąć ciało, a po jego pozbyciu się jeszcze prościej było usunąć z tej śliskiej powierzchni krew. Odsunął drzwi na balkon i pociągnął ciało aż do końca. Spojrzał w dół na cichą i ciemną aleję. Mruknął z wysiłku, gdy udało mu się podnieść trupa do pozycji pionowej. Przytrzymał go blisko przy sobie, jak gdyby w jakimś makabrycznym tańcu, potem odwinął ręcznik i wreszcie przepchnął martwego mężczyznę przez brzeg balkonu. Ciało poleciało w dół i z głośnym, głośnym uderzeniem wylądowało dziesięć pięter niżej. Jakiś pies, który biegał w pobliżu, zaskowyczał, kiedy upadło.

Gdy Harry wrócił do salonu, okazało się, że chłopiec zniknął. Najwyraźniej wziął nogi za pas. Zapewne będzie próbował się niemądrze tłumaczyć temu, który nigdy nie przyjmował żadnych wyjaśnień. A może po prostu ucieknie. No dobra, pomyślał Harry. Przynajmniej kolejny problem mam z głowy. Zaryglował drzwi, po czym oparł się o nie na chwilę. Przez moment ciężko łapał oddech. Potem wytarł linoleum, zaniósł ręczniki z powrotem do łazienki i szybko wepchnął je wraz ze zdjętym ubraniem do pralki i nastawił pranie na zimną wodę. Trzeba będzie gdzieś później to wszystko wyrzucić, ale bez plam z krwi. Takie zakrwawione strzępy z pewnością przyciągnęłyby czyjąś uwagę.

Przez chwilę stał nagi na zimnych kafelkach łazienki, później nadstawił zranione ramię pod strumień wody. Bolało, ale widział, że cięcie nie jest głębokie. Wysuszył rękę papierowymi chusteczkami, obwiązał ją gazą i oblepił plastrem. Noga była w gorszym stanie, z uda zwisał mu okropny strzęp ciała. Rana wymagała szycia. Jutro będzie musiał znaleźć kogoś, kto się

tym zajmie. Harry umył udo, wytarł, zabandażował je, potem połknął dwie tabletki ibuprofenu, wrzucił papierowe chusteczki do ustępu i spuścił wodę. Następnie wrócił po swoich śladach i bacznie zlustrował pokój. Nie było już żadnych kompromitujących śladów. Z wyjątkiem, oczywiście, martwego ciała w alei. A ono mogło przecież pochodzić skądkolwiek.

Rozłożył pistolet, wytarł wszystkie kawałki do czysta i niektóre wyrzucił z balkonu, inne wepchnął w odpływ. Miał schowaną w mieszkaniu jeszcze jedną broń, zupełnie innego kształtu i rodzaju. Przy odrobinie szczęścia nikt nie powinien jej znaleźć. Chyba że przeszukają to miejsce gruntownie, chyba że wszystko odsuną i pozrywają, a wtedy znajdą każdy ukryty drobiazg. Westchnąwszy z wielkiego wyczerpania, Harry zatarasował drzwi balkonowe żelazną kratą, wyłączył światła i położył się do łóżka.

Spał w najlepsze, gdy policjanci zastukali do drzwi.

Pościel była zimna, ale Klaudia miotła się jak w gorączce i rozkopywała białe przykrycie. Wreszcie odrzuciła je na bok i usiadła gwałtownie. W małym pokoiku było duszno. Jaskrawe światło księżyca przedzierało się przez szczeliny w żaluzjach. Klaudia wstała, podeszła do okna i spojrzała przez nie na ciemne aleje i widoczną za nimi wodę zatoki. Jej nagie ciało na tle cienia i światła wyglądało jak prądkowane.

Siedzący w ciemnościach Tony dostrzegł ją przez częściowo otwarte drzwi. Zaciągnął się głęboko papierosem. Nie musiał patrzeć na zegar ścienny, wiedział, że było po trzeciej. Wrócił prawie godzinę temu i od tej pory tkwił nieruchomo w milczeniu; palił i myślał. Rozmyślał nad Klaudią. Z pewnością niczego nie wiedziała; a przynajmniej on sam był o tym przekonany. W każdym razie, na pewno sobie z niczego nie zdawała sprawy. Uśmiechnął się do siebie w ciemnościach, do swoich skłębionych myśli. Stawał się powoli nawet bardziej chiński niż sami Chińczycy.

- Napijesz się czegoś? - zawołał, żałując swego impulsu natychmiast, gdy zniknęła z pola widzenia. Wstał, podszedł i stanął przy drzwiach do jej pokoju. - Klaudio?

- Jak długo tu jesteś? - Jej głos był spokojny. Tony wzruszył ramionami.

- Około godziny. Co się dzieje? Nie możesz spać? - Wszedł do pokoju i usiadł obok niej na łóżku. Owinęła się szczelniej prześcieradłem.

- Jest gorąco. Nie mogłam oddychać. Ale zobaczyłam, że okna są już otwarte.

- Tutaj. - Pochylił się obok niej i wdusił przełącznik. Wentylator na suficie zaczął się powoli obracać. Klaudia zadrżała w jego podmuchu.

- Gdzie byłeś? Jest tak późno.

- Och, prowadziłem przesłuchania, wypełniałem raporty... Martwi dostarczają wiele pracy.

- Chciałeś powiedzieć: „zamordowani”. Czy widziałeś Harry'ego? - Prawie natychmiast uświadomiła sobie, że zadała niewłaściwe pytanie. Tony przez chwilę jeszcze palił bez słowa i szybko, ale w jego gestach pojawiło się jakieś napięcie, którego Klaudia nie dostrzegła wcześniej.

- Tak. Mówi, że nic nie wie i że nie ma pojęcia, dlaczego Mark był taki przerażony. - Ale Tony sobie przypomniał, że na jego spodniach od piżamy były czerwone plamy krwi, a Harry w ogóle nie wyglądał na kogoś, kto sypia w piżamie. No, i w pewnej odległości od jego domu znaleziono martwe ciało. Dwa trupy w jedną noc. Gasząc niedopałek Tony zagryzł usta.

- A Ryba?

- Zapija się u Scottiego. Był tam przez cały wieczór, również w tym czasie, gdy Mark został zabity. Ma wielu świadków. O niczym nie wiedział, a gdy mu powiedziałem, był tak pijany, że w ogóle się tą informacją nie przejął.

- Och. - To był tylko jeden, króciutki dźwięk, ale Tony usłyszał w głosie Klaudii pogardę.

- Zdecydowałaś już, co zrobisz? Zostaniesz tutaj, czy wrócisz do Ameryki?

- Spojrzała wtedy na niego. Jej oczy były ogromne i nieprzeniknione. Żałował, że nie umie lepiej czytać w jej myślach, ale przypomniał sobie, że zawsze była skryta, nawet jako dziecko.

- Jeszcze nie wiem. Na razie nie chcę wracać. Sądzę, że poszukam jakiegoś mieszkania, gdzie mogłabym się zatrzymać. Sylwia chce się wyprowadzić z mieszkania rodziców. Może mogłybyśmy zamieszkać gdzieś razem.

- Sylwia? Nie sądzę, aby rodzice pozwolili jej na to. Tu możesz zostać tak długo jak chcesz. - Wcale nie czuł się dziwnie, mimo że proponował to dziewczynie, którą ledwie znał. Po prostu gdzieś w głębi czuł się tak, jak gdyby znał ją zawsze.

A jednak się zarumienił, gdy spojrzała na niego uważnie z dziwnie nieruchomą twarzą.

- Mogę? To bardzo uprzejmie z twojej strony. Ale postaram się wyprowadzić szybko... jak tylko coś znajdę. Myślę, że mieszkasz samotnie z jakiegoś określonego powodu. - Jej ramiona były szczupłe, obojczyki żłobiły cienie. Miał ochotę się pochylić i dotknąć tej gołej skóry, przesunąć po niej palcami. Ale nic nie zrobił. Zamiast tego położył się na boku na łóżku, jedną ręką podpierając głowę.

- Godziny mojej pracy nie sprzyjają kontaktom towarzyskim. A rozdzielanie nie działa zbyt dobrze. Nie na dłuższą metę.

- Z nikim? To znaczy, nie masz żadnej dziewczyny? Nigdy nie chciałeś się ożenić? A może i to nie pasuje do pracy policjanta? - Leżeli przyjacielsko obok siebie i Tony zamknął oczy, znowu widząc oczyma wyobraźni jej nagie, pasiaste niczym u tygrysa ciało, przypominając sobie wypukłości jej ud i piersi. Pomyślał z zaskoczeniem, jak wiele minęło czasu od ostatniego spotkania z kobietą, a jeszcze bardziej zdziwiło go pożądanie, które nagle poczuł do leżącej obok niego dziewczyny. Szybko potrząsnął głową, aby oddalić od siebie myśli.

- Pewnego dnia, może. Ale nie spotkałem jeszcze takiej kobiety - odparł po chwili milczenia. Leżąca obok niego Klaudia poczuła dziwaczne ukłucie rozczarowania, a potem uśmiechnęła się do siebie, drwiąc ze swojej głupoty. Ale przyjemnie jest mieć obok siebie te uspokajające ramiona, pomyślała z bólem.

- Czy twoje siostry wyszły za mąż? - Obie były mniej więcej w wieku Tony'ego, przypomniała sobie Klaudia. Plum i Hattie, nieskończenie pewne siebie, żwawe, ruchliwe, pełne życia, wiecznie roześmiane, czasami zachowujące się dość głupio, ale zawsze niezwykle czarująco. Bez wysiłku pociągały wtedy za sobą rówieśników, pomyślała dziewczyna.

- Tak, oczywiście. Zawsze tego pragnęły. I mój ojciec zawsze tego dla nich chciał...

- A twoja matka?

- Hm... odeszła z pewnym mężczyzną, nie mogę sobie przypomnieć, kim był. Naprawdę, zupełnie szczerze. Opuściła go zresztą dość szybko i zaczęła romansować z innym, który teraz jest jej mężem. Hamish Sheridan. Miły facet, w gruncie rzeczy. Widujemy ich oboje z okazji różnych ślubów i pogrzebów. A poza tym dość rzadko.

Powiedział to wszystkim zimnym, niedbałym tonem, który Klaudii zupełnie nie przekonał. Kiedyś musiał bardzo cierpieć z powodu odejścia matki. Może nadal cierpiał.

- Tak jak mój ojciec. Również powtórnie się ożenił. Ona ma na imię Joyce. Mieszkają teraz w Singapurze.

- Chinka?

- Tak. Lubił... lubi... Chinki, tak mi się zdaje. Ich staranny wygląd, schludność, uprzejmość, hm... potulność, godzenie się na wszystko... wiesz o

co mi chodzi... - przerwała na chwilę, zastanawiając się. - Mark zresztą również je lubił.

- A co z twoją siostrą... Peggy? Do tej pory już chyba też wyszła za mąż?

- Tak - powiedziała to cierpkim, suchym tonem, który sugerował, że uważa rozmowę na ten temat za niepożądaną i niestosowną. Przekręciła się na bok, aby na niego spojrzeć i w tym momencie zagłębienie między jej małymi piersiami pogłębiło się. Tony zmusił się, aby na nie nie patrzeć. Nie wynikało to bynajmniej z taktu, po prostu wiedział, że nielojalnie jest wykorzystywać jej smutek.

- A ty nie. De masz lat? Dwadzieścia pięć?

- Dwadzieścia siedem. Ale mnie się nie spieszy. Z tego, co widziałam w życiu, małżeństwo to wcale nie taka wspaniała sprawa.

- Hm. - Odchrząknął. - A co piszesz? Artykuły, chyba, prawda? Dla gazety, czasopisma?

- Tak, piszę artykuły dla kwartalnika ekonomicznego. Dzięki temu mogłam tu przyjechać. Obecnie wszyscy chcą znać sytuację w Hongkongu zanim nadejdzie rok dziewięćdziesiąty siódmy.

- Nic więcej? Nie masz za sobą wielu powieści zapowiadających rychłą sławę? - zażartował trochę złośliwie, ale ona miała się na baczności, co sprawiło, że poczuł się jakoś niezręcznie. Może dotknął jakiejś jej czulej struny? Uświadomił sobie, że jej zupełnie nie zna i że nie dowie się, co Klaudia czuje, póki sama nie zdecyduje mu się powiedzieć.

- Tak, rzeczywiście napisałam kilka. Ale jeszcze żadnego bestselleru. Może uda mi się to dopiero wtedy, gdy się zestarzeję i będę ze złośliwym rozbawieniem patrzeć na słabostki innych ludzi. - Uśmiechnęła się.

- Zabawniejsze jest życie z nimi... - powiedział spokojnie, ale Klaudia dostrzegła jednak, jak lekko skrzywił usta, co zresztą bardzo jej się spodobało. Zresztą, ogólnie mówiąc, Tony podobał jej się coraz bardziej, mimo nagle, i na szczęście jedynie przelotnie, ogarniającego go ponurego nastroju lub smutku, jak gdyby pędząca chmura przesłaniała mu na moment słońce. Myśl o smutku przypomniawszy Klaudii podstawowy powód, dla którego znalazła się w jego mieszkaniu, i jej głos natychmiast załamał się, a ostry ból szarpnął ją w środku.

- Oczywiście. Jak inaczej można pisać o kimś z pełnym zrozumieniem? Uważam, że to cudowne: żyć całkiem zwyczajnie przez całe życie, a potem na starość wzbudzać lęk i szacunek u przedstawicieli następnego pokolenia.

- Nie następnego, ale tego, które urodzi się jeszcze później. Następne po nas za bardzo będzie zajęte potępieniem i krytyką.

- To prawda. Nie pomyślałam o tym.

- Czy dlatego właśnie sama potępiasz Peggy? - Tony ponieważ zastanowił się, czy pytanie nie zdenerwuje jego nowej przyjaciółki. Opuścił rękę i obserwował przez chwilę, jak Klaudia znowu się w sobie zamyka.

- Peggy? Ależ ja jej nie potępiam. Ja tylko... - umilkła i zaczęła się zastanawiać, jak Tony przyjmie prawdę - szczerze mówiąc, po prostu jej nie lubię. Jest głupia. Ona... nie przeżyła szalonego romansu z jedynym, wspaniałym mężczyzną, nie, ona po prostu bierze sobie byle kogo, każdego mężczyznę, jednego po drugim... przez jej życie przewija się nie kończąca się ich liczba... Nie waha się, nie przebiera. - Klaudia wykrzywiła usta. - Zdaje mi się, że ona nic na to nie może poradzić. Tak chyba właśnie jest. Ale to niczego nie tłumaczy i niczego nie zmienia... Musiałeś to w niej wyczuć, mimo że przed wyjazdem miała tylko jedenaście lat. Inni chłopcy to wyczuwali.

Tony wzruszył ramionami, ale zgadzał się z Klaudią. Wiedział, że tak właśnie było. Peggy miała w sobie bardzo dużo uroku, a jeszcze więcej swego rodzaju wabika i rodzącej się kobiecości, z której zresztą nawet wtedy zdawała już sobie sprawę, mimo że jeszcze niewiele rozumiała. Nic dziwnego, że matka trzymała mnie od niej z daleka, pomyślał inspektor.

- Ty masz to w sobie również. Nie, nie myślę, że jesteś seksowna poprawił się od razu, gdy dostrzegł, jak Klaudia się wzdryga. - Ale jest w tobie coś nęcącego, coś przyciągającego. Bardzo stonowane, ale jest. Musisz chyba o tym wiedzieć.

- Uhm, może i tak, tylko że nie jestem taka jak moja siostra. Nie zamierzam rodzić nieślubnych dzieci, zanim zacznę żyć własnym życiem. Nie znaczy to, że ktoś taki jak Todd nie jest tego wart. To naprawdę świetny dzieciak. I zasłużył sobie na lepszą matkę niż Peggy. - Mówili ściszymi głosami, szeptali słowa, których z pewnością nie wypowiedzieliby głośniej i w świetle dziennym.

- A Mark? Jaki, twoim zdaniem, był? Podobny do Peggy, czy taki jak ty?

- Bardziej jak Peggy, tak sądzę, ale on jest... był... mężczyzną, więc nikt go za to nie potępi. Wiesz, czasem chyba nawet zapominał, że jestem jego siostrą. Widziałam, jak na mnie patrzył, a potem pojawiała mu się na twarzy takie zakłopotanie, takie poczucie winy... wtedy ze skruszoną miną odwracał się... Trudno mu było myśleć o mnie jak o siostrze, skoro mnie nie widział, odkąd skończyłam siedem lat.

Przez chwilę Tony czuł oślepiającą falę gniewu i oburzenia na martwego Marka. Ale Klaudia powiedziała to bez zbytnej emocji, zmusił się więc, aby zachować zimną krew i spojrzeć na to z dystansu, starając się wczuć w jej sytuację.

- A ty? To znaczy... czy również trudno ci było myśleć o Marku jako o swoim bracie? - Dojrzał, czy też raczej domyślił się, że Klaudia potrząsa głową. Była rozbawiona.

- Nie. Nie był w moim typie. Podobają mi się mężczyźni bardziej... Jacy, zastanowiła się. Tacy, na których można polegać, godni zaufania,

mający w sobie więcej czułości? Nigdy nie znalazła nikogo, kto posiadałby te wszystkie cechy, więc skąd mogła wiedzieć? Tony zauważył, że nie dokończyła zdania, ale nie naciskał.

- Ale ty byłaś w jego typie. Wiesz, staranny wygląd, schludność, tego typu sprawy...

- W każdym razie na pewno nie byłam uprzejma i ustępliwa. - Roześmiała się dziwnie, a Tony nie mógł się powstrzymać i pocałował ją w policzek. Poczuł na nim sól.

- Jesteś smutna? - spytał łagodnie.

Skinęła głową i pozwoliła mu się otoczyć ramionami. Trzymał ją blisko siebie tak długo, aż niemożliwe byłoby dalsze ukrywanie tego, co czuł. Powoli, łagodnie, uwolnił się od jej ciała.

Klaudia westchnęła z żalem, że Tony nadal nie leży przy niej i nie przytula jej do siebie. Ale nie potrafiła poprosić o więcej. Zobaczyła, że młody mężczyzna się waha i zastanowiła się, czy Tony jednak nie spróbuje się do niej zbliżyć. Ale był na to zbyt mądry. Potrząsnął głową, uśmiechnął się, pocałował ją w policzek i odsunął się.

Nie teraz, to nie byłoby w porządku, powiedział sobie. Może później, jeśli nic się nie zmieni. Teraz jednak to nie byłoby fair.

Wstał, pochylił się nad nią lekko, dotknął ustami jej ust. Pachniał atramentem, spalinami samochodowymi, potem i swoim własnym, męskim zapachem. To była przyjemna mieszanka i Klaudia wciągnęła ją głęboko w płuca. Podobała jej się jego rezerwa i opanowanie. Był... z pewnością był godzien zaufania. Tak, na pewno taki był. A dziewczyna wiedziała, jak rzadka to jest cecha i jak bardzo godna szacunku.

- Śpij dobrze, Liddie - odezwał się jeszcze, zanim wyszedł boso z pokoju. Klaudia obróciła się na bok, jej biodro poczuło sprężyny. Przesunęła dłonią po

własnym ciele, które wydało jej się smukłe, płaskie i bardzo dziewicze. Zrobiła to jeszcze raz.

- Dobranoc, Tony, słodkich snów - zawołała do niego, a ciało Tony'ego, który stał nagi przy łóżku, w jednej chwili zaprotestowało. Zaklął w myślach.

RS

Rozdział dwudziesty trzeci

Niedzielny poranek

Klaudia obudziła się z tak intensywnym uczuciem ulgi, że od razu wstała, włożyła przez głowę koszulę i poszła do drzwi Tony'ego, krzycząc radośnie:

- Wszystko dobrze. To była zwykła pomyłka, Tony, źle całą tę sprawę zrozumiałeś. Markowi nic nie jest... - Ale gdy tylko te słowa wypowiedziała, rzeczywistość stanęła jej przed oczyma, a Klaudia uświadomiła sobie, że to, co mówi, jest nieprawdą, że był to po prostu sen. Zachwiała się. Ale czy to wszystko na pewno się zdarzyło? Śniło jej się, że trzymała Marka w ramionach, czuła pod swoimi dłońmi jego miękkie włosy, ciepłe i ciężkie ciało, a pielęgniarka - kimkolwiek była - uśmiechnęła się i powiedziała: „Ależ nie, on wcale nie jest martwy. To była tylko głupia pomyłka, to tylko nieporozumienie, on z pewnością nie powinien się tu znaleźć”. I stąd wzięła się pewność Klaudii, że brat jest żywy.

Ale teraz pogrążyła się w jakiejś głębszej, przerażającej ciemności, stwierdzając własną pomyłkę. Marka zabito i nie można było go przywrócić do życia; nie można było nic zrobić, aby cofnąć czas o wiele godzin i zmienić fakty. Klaudia stała przez chwilę przy drzwiach do pokoju Tony'ego; kurczowo obciągała poły koszuli i gładziła bawełniany materiał na biodrach. Jęknęła w duszy z bólu.

Tony nie obudził się jeszcze. Leżał na plecach, z lekko otwartymi ustami. Oddychał powoli i ciężko, ale ręka nerwowo szarpała kołdrę, owijając materiał wokół palców. Klaudia przyglądała mu się przez długi czas. Miała ochotę uwolnić te palce z pościeli i wygładzić zmarszczki, które żłobiły zmęczoną twarz młodego inspektora. Ale nic nie zrobiła, zmusiła się tylko do odejścia.

Zauważyła, że mieszkanie jest mniejsze niż jej się wydawało poprzedniego wieczoru. Wszędzie na gładkich, pomalowanych na białe, ceglanych ścianach wisiały obrazy i fotografie roześmianych, często błaznujących ludzi w eleganckich miejscach. Klaudia chodziła od jednego do drugiego zdjęcia, przyglądając się im, wchłaniając przeszłość Tony'ego, jego prywatne „ja”. Próbowwała w ten sposób zapomnieć o odczuwanej rozpacz, która wydawała się o wiele gorsza od chwilowej, sztucznie wywołanej ulgi. Potem dziewczyna odwróciła się i zaczęła oglądać sam pokój. Bacznie przyjrzała się ładnej sofie pokrytej zwisającym, prostym, ciemnym płótnem, poduszkom oraz staremu dywanikowi na drewnianych deskach. Wszystko to, podobnie jak przedtem

niektóre fotografie i znajdujący się na nich eleganccy ludzie spowodowało, że Klaudia uśmiechała się z lekką ironią. Resztę pokoju umeblowano funkcjonalnie: szklany stolik, kilka krzeseł, książki. Nic, za czym można by tęsknić, gdyby zniknęło.

Żadnego balastu emocjonalnego - to właśnie próbowała powiedzieć Markowi, aby się wytłumaczyć, kiedy ją oskarżał o to, że chce odnaleźć dawnego Harry'ego. Nie zamierzała wlec za sobą żadnego balastu emocjonalnego - ani ludzkiego, ani materialnego. Ale to już nie była prawda i Klaudia czuła teraz silniej niż kiedykolwiek potrzebę kontaktu z kimś, kto potrafiłby wszystko zrobić dobrze, kimś, kto umiałby zachować zdrowy rozsądek w obliczu całego tego bólu i ponurej rozpacz. Potrzebowała też jakiegoś miejsca, które mogłaby nazwać domem, w którym mogłaby zapomnieć o zaszłych wydarzeniach, na przykład spędzając całe godziny na sprzątaniu, upiększaniu, układaniu; potrzebowała kryjówki, aby się w niej schować. Pomyślała, że skoro nie ma nikogo takiego, kto mógłby jej to zapewnić, mogłaby chociaż poszukać miejsca, które spełniałoby jej wymagania.

Tak, to powinnam zrobić, powiedziała sobie. Rozejrzała się wokół siebie, poczuła nagle mocne przekonanie, że właśnie w ten sposób potrafi sobie poradzić ze swym smutkiem - musi znaleźć sobie jakieś własne miejsce, i to właśnie teraz, dzisiaj... Przypomniało jej się, że Fran Clements, stara przyjaciółka jej rodziców, która była niemal matką dla Marka, gdy jego własna wyjechała, zaproponowała jej kiedyś wynajęcie ich „domku na łódzie”. Powiedziała o tym Klaudii tuż po jej przyjeździe, gdy dziewczyna nie była pewna, czy brat zechce bez końca ją gościć. Był to małeńki domek, właściwie rodzaj służbówki, znajdujący się nad wodą blisko domu Clementsów, od którego dzielił go tylko przepiękny ogród z cennymi okazami roślin (wiele osób zapłaciłoby za taki ogród naprawdę sporo pieniędzy). Clementsowie kupili dom z ogrodem, gdy tu przyjechali, ponad dwadzieścia lat temu. Wtedy Stanley nie było jeszcze ani tak eleganckie, ani tak popularne. Teraz tkwili tam na swoich wspaniałościach i patrzyli z dobrotliwym uśmiechem na ludzi, którzy nie wykazali się taką przezornością i obecnie musieli się zmagać z wiecznymi podwyżkami czynszu i stale się przeprowadzali, targając ze sobą swoje emigranckie bagaże.

Fran uprzedziła Klaudię, że domek jest stary i wymaga remontu, ale czynsz był śmiesznie niski, a jego położenie nie miało sobie równych. Tego właśnie pragnę, pomyślała dziewczyna i postanowiła, że jeszcze tego dnia zadzwoni

do Fran. Właściwie może zadzwonić do niej już teraz, tak, dlaczego nie? Klaudia w swojej zbyt obszernej koszuli i bosy pospieszyła do telefonu, podniosła słuchawkę, zanim mogłaby zmienić zamiar. Ciągłe się poruszać, ciągle działać, nie myśleć. To było lekarstwo na jej smutki.

Gdy Tony się obudził i wyszedł z pokoju, przyglądając sterczące na głowie włosy, Klaudia była już ubrana i gotowa do wyjścia. Rozejrzała się wokół siebie, przestraszona i lekko zmieszana, jak gdyby uciekała z miejsca wypadku.

- Już wychodzisz? - Tony zastygł w miejscu. Opuścił ręce, w oczach miał zaskoczenie, zakłopotanie, żal i ulgę. Dostrzegając błysk tego ostatniego uczucia, Klaudia poczuła dziwne ukłucie w sercu, ale tylko się uśmiechnęła i powiedziała sobie, że to nie ma znaczenia, że Tony to tylko jakiś mężczyzna, wprawdzie bardzo uprzejmy, ale też obcy, zajęty jedynie własnym życiem i własną pracą. Taka właśnie powinna być też Klaudia. Lubiła go, ale nic więcej. I, pomyślała, nie powinnam pozwolić sobie na więcej.

- Tak, znalazłam mieszkanie. Zostawiłam ci tam adres i numer telefonu. Mam nadzieję, że kiedy się dowiesz czegoś o Marku, zawiadomisz mnie. Dobrze? To znaczy, o jego ciele - musimy coś zrobić, prawda? Skremować je, jak mi się zdaje... Powiedział mi kiedyś, że grób zajmuje tylko niepotrzebnie miejsce, wymaga stałych nakładów pieniężnych i zwłoki raczej powinno się palić. - Umilkła, założyła kosmyki włosów za uszy, spojrzała w górę i dodała, próbując ukryć drżenie głosu: - Cóż, jak sądzę, tak właśnie postąpimy. Skłonię mojego ojca do przyjazdu. Tak chyba będzie najlepiej, nie uważasz?

- Zadzwonię do niego, jeśli chcesz. Bez trudu mogę zdobyć jego numer. - Tony usłyszał drżenie w głosie Klaudii, chciał do niej podejść, wziąć ją w ramiona i pocieszyć. Ale znał już tę dziewczynę na tyle, aby wiedzieć, że nie zaakceptowałyby jego współczucia.

- Och, nie, dziękuję. Zdaje mi się, że powinna to zrobić mama. Sama to załatwię, nie martw się. Ale dzięki... w ogóle dziękuję ci za wszystko. - Uśmiechnęła się lekko zakłopotana widokiem szlafroka Tony'ego. Przypomniała sobie ostatnią noc, kiedy mogło między nimi do czegoś dojść, gdyby na to pozwolili, gdyby byli trochę inni... Byli wtedy bardzo sobie bliscy, rozmawiali tak serdecznie o najbardziej intymnych uczuciach, teraz jednak Tony to już tylko ktoś obcy, nieznajomy, może trochę jej znany nieznajomy, ale nikt więcej. Ta świadomość wytrąciła Klaudię z równowagi i rozkojarzyła.

- Muszę iść. Umówiłam się na dziewiątą. Fran musi później wyjść, a chce mi przedtem pokazać mieszkanie i dać klucze... - mówiła szybko.

- Fran? Fran Clements? Och, tak, była przyjaciółką twojej matki wiele lat temu, prawda? Pamiętam, że akurat przyjechała do miasta i zachowywała się dość nerwowo. My, dzieciaki, nabijaliśmy się z niej trochę.

Tony uśmiechnął się na to wspomnienie. W jego oczach Klaudia dostrzegła samą dobroć.

- To naprawdę miła kobieta. No, dobrze, cieszę się, że sobie radzisz. Będziemy w kontakcie.

To była krótka i bezosobowa odprawa, po której Klaudia uśmiechnęła się także i pospiesznie wyszła. Nacisnęła guzik windy i czekała nieskończenie długą chwilę, podczas gdy Tony stał uprzejmie w progu. Wreszcie winda przyjechała i dziewczyna, pokiwawszy chłopcu, zniknęła w środku; drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie.

Tony obrócił się z powrotem w stronę mieszkania i chwilę stał boso na pasie drewnianej podłogi, gdzie padało słoneczne światło, rozświetlając wielką kwadratową płytę. Była ciepła i gładka. Młody mężczyzna przez jakiś czas stał bezmyślnie w miejscu.

Klaudia wsiadła w autobus ze Star Feny do Stanley i ruszyła w drogę. Po pewnym czasie wysiadła na przystanku i poszła drogą, która biegła równoległe do osady, chociaż wznosiła się w górę, póki nie doszła do plaży. Tam, mimo wczesnej pory, korzystając z wolnego dnia, młodzi ludzie już uprawiali windsurfing, radośni i odprężeni po tygodniu pracy. Przez chwilę dziewczyna obserwowała jakiegoś nastolatka, który wykonał z wielką precyzją szybki obrót i płynął coraz prędzej oddalając się od brzegu. Poranek był senny i ciepły, taki, w którym człowiek, nie robiąc nic specjalnego, wiecznie czuje się zmęczony, jak gdyby przez dłuższy czas biegał. Dobry dzień, pomyślała Klaudia, aby się nad niczym nie zastanawiać, aby przełączyć działanie umysłu na niższy bieg, aby pozwolić myślom dryfować...

Dom Clementsów znajdował się tuż przy plaży, na porośniętej obficie liściastymi drzewami uliczce osiedla willowego, odgradzony wysokim murem i zamkniętą na klucz żelazną bramą. Klaudia zadzwoniła i do furki podbiegła służąca. Intensywnie próbowała sobie przypomnieć jej imię, co na szczęście jej się udało, zanim z uśmiechem zaproszono ją do środka.

- Dzień dobry, Dorotheo, jak się miewasz?

Poczuła z ulgą, że imię jakby samo spłynęło z jej ust. Filipinka nieśmiało pochyliła głowę; była bardzo zadowolona, że Klaudia odezwała się do niej w tak uprzejmy sposób.

- Dobrze, dziękuję pani. Pani Clements jest na dole w „domku na łodzie”. Zaprowadzę tam panią.

Akcent miała nieco amerykański i osobliwie śpiewny. Klaudia zeszła za służącą boczną ścieżką, która ciągnęła się wśród drzew figowych i hibiskusu. Była to pokryta obficie roślinnością alejka, na której wycięto całą trawę, zamieniając w ten sposób dróżkę w nierówny gliniany szlak. Przed małą ceglana budowlą, do której się zbliżała, rosły krzewy zadbanej bugenwilli. Klaudia poczuła cierpki zapach pokrytych kurzem wiklinowych mebli, które stały na porośniętych zielskim kocich łbach.

- Klaudio! - Z domku wyłoniła się Fran Clements. Nie myśląc, otrzepała ręce o białe spodenki tenisowe i zostawiła brudny ślad. -Przyłapałaś mnie na gorącym uczynku. Nie mogę sobie wyobrazić, jak mogliśmy ci zaproponować zamieszkanie tutaj. Ten budynek to w tej chwili zupełna ruderka. Będiesz musiała, kochanie, pobyć jeszcze trochę z Markiem, zanim doprowadzimy ten dom do jakiego takiego stanu. -Jej włosy sięgały podbródka i były teraz barwy siwostalowej, twarz wysuszona wiatrem i słońcem pomarszczyła się jak garbowana skóra. Jak dawniej mówiła z wyraźnym bostońskim akcentem. Uśmiechnęła się niepewnie, kiedy Klaudia zbladła i potrzęsnęła głową.

- Dlaczego, czy coś się stało, kochanie? Czy Mark cię może wyrzucił?

- Sądziłam, że pani wie. Byłam pewna... no cóż, w takim plotkarskim światku jak Hongkong... - Krótki chrypliwy śmiech, który wyrwał jej się z gardła, sprawił, że Klaudia umilkła nagle i podniosła dłoń do ust, jak gdyby chciała wyłapać każdy następny wychodzący z nich dźwięk.

- Co powinnam wiedzieć? O co chodzi, Klaudio? Czy chodzi o Marka? Czy coś się stało? - Obie podniosły oczy na męża Fran, który pospiesznie schodził po spadzistym trawniku. Zwolnił, gdy dostrzegł Klaudię. Dziewczyna pamiętała, że Jack zawsze miał na twarzy lekko rozbawioną minę; tym razem jednak był smutny i zaniepokojony.

- Klaudio, kochanie. Właśnie się dowiedziałem. Zadzwoił Tony Ingram i powiedział mi. Mój Boże, tak mi przykro.

Minęło trochę czasu, zanim małżonkowie zrozumieli i oswoili się z tą straszną nowiną. Przez długą chwilę jeszcze użalali się nad Klaudią, ale w końcu uznali za słuszne, aby dziewczyna przeprowadziła się natychmiast. Było im bardzo przykro i byli najwyraźniej zupełnie wytrąceni z równowagi.

Klaudia uświadomiła sobie wtedy, że znali Marka o wiele lepiej niż ona sama. Fran Clements opiekowała się Markiem i pomagała ich ojcu, Frankowi, po odejściu Lucille, a potem wspierała Marka po wyjeździe Franka. Jest bardziej roztrzęsiona od męża, pomyślała Klaudia, sama bardziej wymaga opieki niż może ją teraz ofiarować.

- Zostawcie to mnie, proszę. Tego właśnie pragnę. Pomaluję domek i uczynię z niego przyjemne miejsce. To jest jedyne odpowiednie rozwiązanie, skoro czynsz jest tak minimalny... - protestowała Klaudia i łagodnie im sugerowała, aby odeszli, a oni, oszołomieni i zasmuceni, zostawili ją ostatecznie samą w jej gniazdku. Tak bowiem myślała o tym miejscu. Jej gniazdko.

Powitały ją w nim zimne, przejmująco wilgotne, pokryte linoleum podłogi, ciemne ściany oraz mroczne, posepne, zarośnięte bugenwillą i innymi pnąciami okna. Dwa pokoje zagracone były połamanymi lub starymi meblami, nie potrzebnymi już dłużej w dużym domu, oraz walającymi się wszędzie narzędziami ogrodniczymi, śmieciami i liśćmi. Klaudia rozglądała się po maleńkich pomieszczeniach z ponurym zadowoleniem.

Pootwierala na oścież okna i odłupała uszkodzone fragmenty drewnianych ram za pomocą dłuta, które znalazła wśród narzędzi, potem przycinała rośliny tak długo, aż do pokoiw wpłynęło słoneczne światło. Wreszcie zaczęła wyrzucać śmieci i suche liście przed dom, układając je w staranne sterty. W czasach, kiedy Clementsowie zatrudniali chłopców, którzy się zajmowali łodzią, w domku mieszkał jeden z nich, toteż Klaudia znalazła wszystkie potrzebne sobie meble. Było tu metalowe łóżko, na którym należało wymienić materac, jakieś stare, przykryte pokrowcami krzesła, stół z jedną nogą krótszą od pozostałych i kredens.

Nad łazienką trzeba by sporo popracować, ale Jack obiecał dziewczynie, że za jakiś czas się nią zajmie. Clementsowie zamierzali odnowić domek na powrót córki ze szkoły w Ameryce. Ale była na drugim roku, miała więc wrócić za kilka lat.

Klaudia zabrała się za zdrapywanie i mycie, zamiatanie i czyszczenie, pracując ze wściekłą energią, póki dom nie stał się maksymalnie czysty, a ręce dziewczyny nie zaczęły się trząść ze zmęczenia. Jej szorty były tak brudne, że nie można by ich już w żaden sposób doprać, ale Klaudia nie miała już ochoty ich kiedykolwiek wkładać. Wiązały się za bardzo ze wspomnieniami, które chciała wyrzucić z pamięci tak samo jak brud z kuchni. Mark nie żył. Jakaś jej część była pogrążona w ogromnym smutku i bólu, ale z drugiej strony jej

nowy dom stanowił pewną pociechę i dawał radość. Wstydziła się tego i miała wyrzuty sumienia, że takie uczucie jest możliwe, skoro Mark umarł dopiero wczoraj w nocy. Gdy sobie to uświadomiła, wzdrygnęła się na samą myśl.

Jack przyszedł do niej w porze obiadowej z tacą pełną jedzenia i dzbankiem lemoniady, które postawił na kamiennym murku, prowadzącym do zatoki. Obejrzał wyniki jej pracy, natychmiast obiecał farby i nowy materac, po czym pospieszył z powrotem na górę do głównego domu. Na jego twarzy widniała ulga i radość, że w końcu może zrobić coś pożytecznego. I, tak jak obiecał, mimo że tego dnia była niedziela, farby i materac pojawiły się zaledwie po dwóch godzinach. Hongkong prezentujący się od swej najlepszej strony, pomyślała Klaudia.

Szybko zagruntowała ściany i niedbale starła papierem ściernym stare ramy, po czym hojnie rozpryskała ciepłą, kremową ciecz na ścianach. Nieco farby rozlało się na linoleum, więc dziewczyna starła ją pospiesznie. Jej głównym celem było jak najszybsze rozjaśnienie i ożywienie domku. Dorothea przyniosła pastę do podłóg i obiecała wypastować linoleum, kiedy Klaudia skończy malować.

Zapadał już mrok, kiedy dziewczyna rozejrzała się wokół siebie. Po podłodze skradały się cienie, a przez okna, które - jak nowe - błyszcząły teraz wyczyszczonymi szybami, wpadał głęboki oranż nieba, mieszając się z ciemniejszą barwą morza. Klaudia włączyła światła i z satysfakcją oglądała efekty własnej działalności ostatnich kilku godzin.

- Czy dzwoniłaś już do rodziców? - odezwał się nagle z progu domku Tony. Jego jasne włosy połyskiwały w świetle. Zmarszczył brwi i pochylił się w progu. Najwyraźniej nie rozumiał jej zachwytu, mało tego, twarz młodzieńca mówiła, że jawnie potępia zachowanie swej przyjaciółki. Klaudia wzdrygnęła się na jego widok.

- Och, Boże, nie, nie dzwoniłam. Lepiej zapytam Fran, czy mogę skorzystać z ich telefonu w domu. Miałam zamiar zadzwonić, ale potem oni tak bardzo przeżywali śmierć Marka, a mnie bez pamięci pochłonęło odnawianie domu. Chciałam sprawić, by dało się tu mieszkać... - Spojrzała na niego i zobaczyła, że w jego oczach ponownie pojawiła się rezerwa i lekkie potępienie.

- Nie musisz się tłumaczyć.

Mimo wszystko mną pogardzasz za moje zachowanie, drogi Tony, pomyślała Klaudia ze smutkiem.

- Nie tłumaczyłam się - odparła szorstko. - W każdym razie na pewno nie tobie. Może co najwyżej samej sobie... Co cię tu sprowadza, Tony?

- To - odrzekł bez uśmiechu.

W rękach trzymał walizkę Klaudii i jej podręczną torbę. Dziewczyna była przekonana, że odpowiedział tak, ponieważ dosłyszał uszczypliwość w jej tonie. Co naprawdę go tu sprowadza, zastanowiła się. Z bagażami mógł przecież przysłać policjanta.

- Przyniosłem z mieszkania wszystko, co wyglądało na twoje... - Umilkł na chwilę i skupił się, by mówić urzędowym, praktycznym tonem. Zachowywał się tak, jak gdyby łączyły go z Klaudią tylko sprawy zawodowe, nic więcej. Albo jakby po prostu pomagał starej przyjaciółce. - Co z samochodem? Zamierzasz go zatrzymać?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy Mark zostawił testament... Wszystko pewnie trafi do mojego ojca, albo do jakiegoś przyjaciela... - Tony usłyszał w głosie dziewczyny dziwne wzburzenie i zastanawiał się nad jego przyczyną. Nagle zdenerwowało go własne postępowanie wobec niej. Klaudia miała przecież prawo być wzburzona. Jego widok musiał w niej budzić same nieprzyjemne wspomnienia.

- Nie zostawił testamentu. Sprawdzalem. W każdym razie nie spisał niczego tutaj, w Hongkongu. Może za granicą, chociaż to mało prawdopodobne... Tak czy owak, zgodnie z prawem możesz wziąć, co chcesz. - Uniósł brwi, w jego głosie pojawił się pytający ton. - Jestem pewien, że reszta rodziny nie będzie się sprzeciwiać?

- Nie, prawdopodobnie nie. - Popatrzyła na Tony'ego, później odwróciła wzrok. - No, cóż, tak naprawdę niczego nie chcę. Nie po tym, co się tam zdarzyło. Samochód, może, tak, sądzę, że może się przydać. Ale reszta... - Wzdrygnęła się na myśl o krwi rozpryskanej na ścianach i meblach. Tony zobaczył, że drży, i udawał, że tego nie widzi.

- Załatwię więc, aby wszystko zostało sprzedane. - Tak powiedział. Obojętny ton, typowy dla profesjonalisty. Ingram mocno przełknął ślinę. - Powinnaś wziąć pieniądze. Prawdopodobnie bardziej ci się przydadzą niż przedmioty.

Jest szorstki, zachowuje się wobec mnie zupełnie inaczej niż przedtem, zupełnie odmiennie aniżeli ubiegłej nocy, pomyślała z konsternacją Klaudia. Poczula się niezręcznie, a szczególnie przykro zrobiło jej się, gdy chłopak westchnął i powiedział:

- Słuchaj, Klaudio, nie możesz ciągle tego wszystkiego odkładać. Mark nie żyje i niektórzy ludzie muszą się o tym dowiedzieć. Dlaczego nie dzwonisz do ojca? Minęła już ponad doba od śmierci jego syna i trzeba załatwić pewne sprawy. Wiem, że nie chcesz mieć z tym nic do czynienia, więc pozwól, że ja się tym zajmę, dobrze? - Utkwił w niej wzrok, jego szare oczy dziwnie pociemniały. Malowała się w nich powaga i roztropność.

Skinęła głową.

- Tak, dobrze... Masz rację, powinnam była to wszystko załatwić. - Ale skoro nikogo o tym nie zawiadomiła, mogła sobie - co było zresztą zupełnie irracjonalne - wmawiać, że morderstwo na jej bracie wcale nie zostało dokonane. Pojawiły się wyrzuty sumienia, ale Klaudia szybko się ich pozbyła. - Zajmiesz się tym, dobrze, Tony?

Odwróciła się i ponownie rozejrzała po swoim nowym domu. Żałowała, że nie może od nowa zacząć go sprzątać, co pozwoliłoby jej zapomnieć o okrucieństwie otaczającego ją świata. Nie chciała rozmawiać ze swoją matką, żeby nie usłyszeć w jej głosie bólu i stwierdzenia, że jednak miała syna, nie miała też ochoty rozmawiać z ojcem, który przez dwadzieścia lat nie widział potrzeby, by skontaktować się ze swą własną córką. Okropna była dla niej myśl o śmierci Marka i o tym, że trzeba go pochować. Pragnęła jedynie zapomnieć. Gdyby tylko Tony z tym swoim oskarżeniem w oczach, choć może tylko jej się to wydawało, już sobie poszedł.

- No to cześć. Będziemy w kontakcie. - Odczytał jej myśli, postawił torby w pokoju i obrócił się na pięcie, zanim zdążyła mu podziękować albo odpowiedzieć na jego pożegnanie. Oddalał się szybkim krokiem, bez najmniejszego wahania.

A Klaudia stała nieruchomo, zła na siebie i zła na niego za to, że wzbudził w niej takie uczucia. Czowała się naprawdę nędznie. Wzięła więc znowu w rękę wałek do malowania i zabrała się do pracy.

Tony natomiast dalej szedł pewnym krokiem przez ciemną płataninę ogrodu. Przechodząc, co pewien czas nerwowo zrywał jakiś liść lub zwiędły kwiat i zgniatał je w dłoni z głośnym trzaskiem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Niedzielną noc

Była już zupełnie ciemna noc, kiedy Klaudia skończyła malowanie i włożyła wałek w kubek z terpentyną przy drzwiach. Wytarła ręce w szmatę i rozejrzała się wokół siebie. Wnętrze połyskiwało ciepłą jasnością padającą z dwóch lamp. Ich plecione abażury rzucały pasiaste cienie. Oświetlały czerwień gałązek bugenwilli, które dziewczyna zerwała i ustawiła na tle białych ścian. Przez chwilę płomienny kolor kwiatów wyglądał jak krew rozpryskana na ścianach mieszkania Marka. Gdy Klaudia dostrzegła to podobieństwo, aż się wzdrygnęła i nieomal krzyknęła. Zdenerwowała i przeraziła ją nagle ciemność za oknami oraz coraz gwałtowniejszy wiatr; zrobiło jej się żal, że pozwoliła odejść Tony'emu.

Tam, na zewnątrz, pomyślała, tam za murami mojego domku spokojnie chodzi sobie ktoś, kto jest wystarczająco twardy, nieczuły, występny, niebezpieczny i, szczerze mówiąc, po prostu wystarczająco zły, aby zasztyletować Marka, aby bez mgnienia oka patrzeć na jego strach i ból, aby ze stoickim spokojem słuchać jego krzyku... to wszystko nie przeszkadzało mu ciąć i ciąć to młode ciało, aż jego ofiara umarła... Klaudia nie miała pojęcia, dlaczego i czy w ogóle ten ktoś mógłby jej teraz szukać. Wpatrywała się w mrok, ledwie dostrzegając drzewa miotane wichurą w nocnym wilgotnym powietrzu i nie potrafiła opanować drżenia, które wstrząsało jej ciałem.

Potrząsnęła głową i odwróciła się od okna. Zaczęła rozkładać na łóżku pościel, którą przyniosła jej Dorothea. Dziwiła się, że nie odwiedziła jej dotychczas Fran, ale pomyślała, że może pojawi się rano.

Kiedy Klaudia przygotowała posłanie, umyła, wytarła i starannie pochowała naczynia po kolacji, weszła do łazienki i tytułem próby odkręciła kurek prysznic. Początkowo pociekł niechętnie skąpy strumyczek zimnej cieczy, ale później, po kilku kasznięciach i chrząknięciach, urósł w mocny strumień gorącej wody. Dziewczyna zrzuciła ubranie i weszła pod natrysk.

Zaczesała do tyłu mokre włosy i pozwoliła, by gorąca woda spływała po jej twarzy. Usiłowała się oderwać od wszystkiego, od tych dręczących pytań, które jej się nasuwały i budziły w niej niepokój. W jej głowie kłębiły się różne przypuszczenia. Klaudia sama sobie zaprzeczała i odrzucała podejrzenia. Zabójstwo Marka nie mogło mieć przecież nic wspólnego z Harrym, prawda? A może mogło? Jednak, myślała dziewczyna, jeśli Harry'ego coś wiązało ze

śmiercią jej brata, dlaczego nie zrobił czegoś, czegokolwiek, aby jej zapobiec? Tony nie lubił Harry'ego... Ta myśl pojawiła się w głowie Klaudii, myśl całkowicie ukształtowana. Dziewczyna stała przez chwilę zupełnie nieruchomo. Nie lubił go i nie ufał mu. A jeśli tak było, czy ona powinna ufać swojemu chińskiemu przyjacielowi?

Nagle rozległo się mocne pukanie do zewnętrznych drzwi. Klaudia, zamyślona, początkowo w ogóle go nie słyszała, ale w końcu dotarło do niej mimo szumu cieknącej wody. Niechętnie wyszła spod prysznic, otuliła się szlafrokiem i ruszyła otworzyć drzwi.

- Fran, czy to pani? - Sama słyszała, że jej głos brzmi dziwnie cienko i piskliwie. Była bardzo spięta.

- To ja, Harry. Wpuść mnie, Klaudio, na litość boską! - Na moment dziewczyna zamknęła oczy, walcząc z impulsem, aby powiedzieć Chińczykowi, że ma się wynosić. Nie chciała, żeby był tutaj, nie chciała zadawać mu tych wszystkich pytań, które tak bardzo ją przerażały. A już na pewno nie chciała poznać jego odpowiedzi. Bała się ich.

Pukanie jednak nie ustawało, więc Klaudia westchnęła i zaczęła gmerać nerwowo palcami przy zamku u drzwi. Nie, nie, powiedziała sobie surowo, to jest przecież Harry, nie mogę mu tego zrobić. Już raz go opuściła, chociaż wtedy, będąc dzieckiem, nie miała wyboru... Nie mogła jednak pozwolić, aby to się zdarzyło znowu teraz, kiedy sama mogła już podejmować decyzje.

- Poczekaj, Harry. - Manipulowała chwilę przy zamku, potem przekręciła go z trudem, wreszcie pchnęła drzwi na zewnątrz. Chłopak prześlizgnął się obok niej i, ciągnąc za sobą drzwi, szybko je zamknął.

- Co cię tu sprowadza? I skąd się dowiedziałeś, gdzie mnie szukać? - Próbowała pokryć własną niechęć szybkimi pytaniami.

- Czekaj, pozwól mi wejść. Chryste, nie masz zasłon? Wyłącz to cholerne światło, dobrze? - Ostрым tonem wydawał polecenia, a Klaudia wykonywała je bez protestu. Pokój utonął nagle w błękitnym świetle księżyca. Wszystkie przedmioty rzucały cienie w nocnych ciemnościach. Harry stał przez chwilę nieruchomo, jego sylwetka rysowała się na tle mroku, a potem ciężko i z głębokim westchnieniem usiadł na stojącej za nim sofie.

- Siadaj, Liddie, i powiedz mi, co się dzieje. Dlaczego, do diabła, nie zadzwoniłaś do mnie? Dlaczego nie powiadomiłaś mnie, gdzie jesteś? Obdzwoń mi chyba pół Hongkongu, usiłując cię znaleźć. - Był rozdrażniony, zagniewany i... z pewnością zraniony.

- Więc jak mnie znalazłeś? - Klaudia usadowiła się na niskim stołku, otoczyła rękoma kolana i przycisnęła je mocno do piersi.

- Sylwia zupełnie się załamała - kontynuował, nie zważając na jej pytanie. - Po prostu leży na tapczanie w swoim pokoju. Cały czas jęczy i szlocha. Jej rodzice zupełnie nie wiedzą, co robić. Zadzwonili w końcu po lekarza i sądzą, że znowu ją wyślą do kliniki. Rozmawiałaś już z nią?

- Nie. Nie rozmawiałam jeszcze z nikim. Jak mnie znalazłeś? -powtórzyła.

- Z pewnością nie przez Ingrama... oświadczył mi, że może ci przekazać wiadomość, jeśli sobie życzę, ale adresu mi podać nie chciał. Mówił, że potrzebujesz czasu dla siebie i takie tam bzdury. Co za drań! -Harry wypluł to słowo pogardliwie, a Klaudia przymknęła powieki, czując napływ wielu uczuć naraz. - Powiedziała mi Porcja. Jej matka dowiedziała się od Sally Freeman, która z kolei uzyskała tę informację od Frań. Byłoby łatwiej, gdybyś sama mnie powiadomiła. - Wyciągnął się na plecach na sofie. Chrząkał nerwowo, aby się uspokoić.

Nienawidził ciemności i nienawidził być na zewnątrz, kiedy wiedział, że są tam również inni ludzie. Źli ludzie. Miał w sobie coś z kota, który lubił się włóczyć tak długo, dopóki noc była piękna i cicha, ale gdy zaczynała się zła pogoda, miał ochotę tylko się zwinąć w kłębek i ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu. A teraz „pogoda” nie była dla niego najlepsza. Harry obserwował uważnie Klaudię.

- Przepraszam - szepnęła, po czym wstała i poszła do kuchni, aby nastawić wodę na herbatę. Uderzyła się gołymi palcami stóp o butlę z gazem i rzuciła pod nosem niecenzuralne słowo. Przez chwilę panowało milczenie.

- Nic ci nie grozi, Klaudio. Oni nie przyjdą tu za tobą - odezwał się w końcu Harry. Jego głos był jakiś bezbarwny. Dziewczyna opanowała się i odpowiedziała:

- Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że ktoś mógłby mi zagrażać -skłamała. Starła się, by zabrzmiało to naturalnie i obojętnie. - A, swoją drogą, skąd wiesz? - Wróciła i stanęła przed nim.

- Ponieważ chcą dopaść tylko mnie. - Zauważył, że dziewczyna nagle się poruszyła. Harry miał wrażenie, że Klaudia nie chce przyjąć do wiadomości tego, co jej mówił.

- A kim są właściwie ci „oni”?

- Ludzie Yee. - Obserwował ją uważnie, widział, że patrzyła na niego obojętnie i ten widok uspokoił go. Łagodniejszym tonem dodał: - To on chce mnie... staje się coraz bardziej ambitny i żądny władzy. A pozostali, no cóż, to

tylko członkowie małego odłamu triady. Wykonują jedynie rozkazy Yee. A on rośnie w siłę...

- Dlaczego? O co tu właściwie chodzi? Co ty masz wspólnego z triadami? - Jej głos zabrzmiał dziwnie. Była w nim duża doza ostrożności. Jak gdyby w ogóle nie chciała słyszeć jego odpowiedzi.

Harry wzruszył ramionami.

- Wplątałem się w to wszystko dawno temu. Kiedy byłem bardzo młody i przerażony. Po prostu wydawało mi się, że nie mam innego wyjścia. Ale przez ostatnie lata byłem czysty, Liddie, zapewniam cię...

- Więc dlaczego zabili Marka? - spytała szorstko niskim głosem. Chłopak wziął ją za rękę i pociągnął, by usiadła przy nim. Potem otoczył ją ramieniem. Nie chciał, aby patrzyła mu w twarz, ponieważ wiedział, że jak zawsze bez trudu odczyta jego najgłębsze myśli. Na szczęście dla niego i dla niej samej Klaudia pragnęła z całego serca wierzyć w to, co jej mówił. Chciała wierzyć w tę właśnie wersję prawdy, w jego wersję.

- Ponieważ próbował ich wykorzystać i oszukać. Używali go jako kuriera. Jeździł dla nich na Filipiny i do Tajlandii. Jak sądzisz, skąd miał pieniądze na takie życie, jakie prowadził? I na te wszystkie narkotyki? - Klaudia potrząsnęła głową, a Harry posłał jej kpiący uśmiešek. - Wiesz o tym dobrze. Musiałaś to przecież zauważyć. Nie potrząsaj tak głową, Liddie. Nie jesteś przecież głupia.

- Wyjechał tam tylko raz od mojego przyjazdu tutaj, więc nie wydało mi się to niezwykle. Przed wyjazdem nie zachowywał się, jakby jechał wypełniać jakieś zadanie. Był zdenerwowany i podniecony, ale sądziłam, że czuje się tak, ponieważ nie wyjeżdżał w tamte strony od lat... od któregoś Bożego Narodzenia, które spędził tam z ojcem.

- Cóż, zapewniam cię, że jeździł tam o wiele częściej. - Harry zaprzeczył jej z przekonaniem. - Wiele razy. Stąd miał pieniądze. I oszukiwał Yee. Za każdym razem podbierał kilka gramów tego czy owego, aby zaspokoić własne nałogi.

- Ależ... Mark tylko palił „trawę”. Nie był przecież narkomanem. Nie miał żadnych śladów na rękach. Widziałam. Nie brał heroiny. - Klaudia popatrzyła na Harry'ego skonsternowana. Jej zaprzeczenia nawet dla niej samej brzmiały sztucznie. Przecież sama się nad tym zastanawiała, przypominała sobie.

- Słyszałaś kiedykolwiek o „polowaniu na smoka”, Liddie? Bierzesz kawałek folii aluminiowej i podgrzewasz na nim narkotyk w postaci proszku, po czym wdychasz go przez rurkę albo przez zrolowany kawałek papieru. Ten

sposób nie jest tak samo skuteczny jak wstrzykiwanie, ale nie pozostawia śladów. To teraz najnowszy wynalazek. - Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, jak gdyby demonstrując jej metodę brata. - Istnieją również inne sposoby. Mark tkwił w szponach nałogu i nie potrafił się z nich wyrwać. Ciągle zaprzeczał, jakoby był nałogowcem, ale w głębi duszy wiedział, że taka właśnie jest prawda.

- A ty sam? Czy też próbowałeś się od czegoś uwolnić, ale ci się nie udało? Czy tak? - Nie miała zamiaru go oskarżać, ale wymówiła to zdanie takim tonem, że Harry długą chwilę milczał.

- Może. Ale ja żyję. - Odwrócił wzrok, spojrzawszy przez okno na zatokę połyskującą w świetle księżyca, zimną i niewzruszoną, obojętną wobec małych problemów małych ludzi.

- Tylko że cię ścigają. Dlaczego? Czy ty również przewozisz narkotyki? - Klaudia przekrzywiła głowę lekko na bok i obserwowała go uważnie. Próbowwała nie okazywać mu, jak bardzo rani ją sam fakt, że musi o to pytać.

- Nie! - gwałtownie zaprzeczył. - Już nie. Nie miałem wyboru wtedy, kiedy pracowałem dla Yee, ale udało mi się z tego wyrwać. Było mi trudno. Jednak przez lata ciężko pracowałem w Commercial Radio, Liddie, i samemu udało mi się dojść do tego, kim jestem teraz. Nie miałem żadnego poparcia ze strony triady, żadnej protekcji, nic. Postępowałem tak jak każdy inny człowiek... - Szybko wciągnął powietrze i zastanowił się, czy to prawda. Może Yee pozwolił mu na to, ponieważ wiedział, jak cenny może się stać dla niego stary przyjaciel, gdy stanie się kimś „nowym” i „czystym”. Gdy tylko Harry'emu przyszła do głowy ta myśl, natychmiast usiłował się jej pozbyć, zanim zagości w jego umyśle na stałe.

- Cóż, w pewnej chwili, gdy zdawało mi się, że nie mam już z nimi nic wspólnego, przyszli do mnie znowu i zażądali przysługi. Odmówiłem.

Czy to właśnie przypieczętowało los Marka, zapytał siebie po raz kolejny Harry. A może chodziło o coś więcej? Gdy Yee z wściekłością mówił im obu, że muszą zapłacić za to, co zrobili, Harry był tak przerażony, że nie zastanawiał się nad całą sprawą. A może Yee bał się czegoś? Ale czego mógłby się bać wielki Yee Fong Lo? Harry odchylił głowę do tyłu na oparcie sofy i zamknął oczy.

- Jakiego rodzaju przysługi? Usług kurierskich? - spytała dziewczyna i Harry roześmiał się, patrząc na nią. Chociaż na jego ustach malowało się rozbawienie, oczy pozostały ponure.

- Nie, kurierem byłem, gdy miałem szesnaście lat, Klaudio. Teraz chcieli ode mnie czegoś innego, czegoś ważniejszego. Nie mogę ci powiedzieć, co to było. Nie sądzę jednak, aby zabili Marka tylko dlatego, że „kosztował” ich trochę towaru. Był dla nich użyteczny, więc może jego śmierć miała być ostrzeżeniem dla mnie.

- Użyteczny! Dobry Boże, Harry! Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć? Mark nie żyje. Nie widziałeś, co mu zrobili, ale ja tak. I teraz chcesz mi powiedzieć, że go zabili, ponieważ przestał być dla nich „użyteczny” i postanowili się nim posłużyć, aby ostrzec ciebie? Myślisz, że tylko tyle był wart? - Jej głos smagnął go mocno i boleśnie niczym bicz i Harry poczuł na całym ciele dreszcz.

- Nie chciałem, aby tak to zabrzmiało, Liddie. Nie powiedziałem, że twój brat był tak niewiele wart. Na pewno nie dla mnie, w każdym razie. Ale triada działa właśnie w ten sposób.

Harry przycisnął Klaudię mocno do siebie i poczuł, że dziewczyna drży. Powoli oboje się uspokoiłi. Klaudia przełknęła ślinę i spytała zchrypniętym głosem, który wywołał u Harry'ego kolejną falę wyrzutów sumienia.

- No więc otrzymałeś ostrzeżenie. Czy teraz nadal będą cię próbowali zabić, czy też dadzą ci kolejną szansę?

Jego przyjaciółka potrafiła myśleć bardzo szybko, Harry musiał to przyznać. Łatwo kojarzyła fakty i umiała wysnuwać odpowiednie wnioski.

A teraz twierdziła najwyraźniej, że zabijanie go nie miało sensu, skoro chcieli, aby wyświadczył im przysługę. Przysługę? Chodziło o propagandę na terenie Chin. Czy oni zdawali sobie sprawę z tego, o co proszą? Przecież po roku 1997 czekałby go za to wyrok śmierci, jeśli oczywiście do tego czasu nie zamordowałby go Yee.

Ale może Yee po prostu zemścił się za coś na Marku. Może miał powody do złości lub strachu. Może wcale nie chodziło o to, o czym myślał Harry. Może Mark zrobił coś złego i Yee się o tym dowiedział? Może, może, może... Chryste, pomyślał Harry, mam nadzieję, że tak właśnie jest. Mam nadzieję, że Yee wie, że nie ma sensu zabijać mnie, chyba że chciałbym pójść na policję. Ale Harry przecież niczego nie wiedział. Boże, po co pojawił się ten cholerny Ingram ostatniej nocy, to jest jak machanie czerwoną płachtą z okrzykiem: „Tutaj jestem, chodźcie i weźcie mnie sobie”. Ale Ingram również nie był głupcem. Wiedział, że „wystawia” w ten sposób Harry'ego i najwyraźniej zupełnie o to nie dbał. A jeśli zrobił to, aby sprawdzić, jakie mrówki wypełzną z pewnej szczególnej dziury, kiedy wsadzi kij w mrowisko?

- Nie wiem - odparł Harry zupełnie szczerze. - Mam nadzieję, że dadzą mi jeszcze jedną szansę. W Chinach coś wisi w powietrzu i Yee chce, abym to zbadał.

Klaudia nie była pewna, co znaczą słowa Harry'ego, tak bardzo były tajemnicze. Czyżby miał w pracy przekazywać jakieś wiadomości? Czy takiej właśnie przysługi od niego żądali?

- Myślałam, że triady to organizacje przestępcze. Nie sądziłam, że mieszają się także w politykę. - Widziała, jak Chińczyk się uśmiecha.

W ciemnościach zaledwie na chwilę pojawił się szybki błysk białych zębów.

- Bystra dziewczynka. Ale czasem istnieją powody, aby się zająć polityką. Pomyśl o zamieszkach w pięćdziesiątym szóstym. Wśród nacjonalistów i komunistów znajdowali się ludzie popierani przez triady, więc mogli łupić i szaleć, a gliniarze nie mogli nic na to poradzić. Wszyscy się boją, że tak samo będzie teraz.

- A będzie? - Klaudia przełknęła z trudem ślinę.

- Coś z pewnością wisi w powietrzu. Wiesz? Mark nie miał racji. Wtedy, w nocy, na antenie. Oni nie zamierzają pozwolić na demokratyzację. Dlatego tam będą rozruchy, które mogą doprowadzić nawet do anarchii tuż przez końcem... - Harry powiedział te zdania cicho, ale w jego głosie Klaudia dosłyszała przekonanie. Poczowała, jak robi jej się zimno.

- Gdzie będą zamieszki? Kto nie pozwoli? Czy choć raz mógłbyś mówić trochę jaśniej, Harry? Zawsze mówisz „oni”, i to takim tonem, jak gdyby za tym słowem kryły się miliony grzeszników.

- No cóż, tak właśnie jest. - Chłopak wzruszył ramionami.

- I nie zamierzasz mi powiedzieć nic więcej?

- Ach, ciągle zapominam, że jesteś dziennikarką. Chcesz faktów, prawda? Pragniesz zrobić z morderstwa twojego brata sensację, co? Wprowadzić bałagan, ubarwić krwią, wywlec na wierzch wszystkie brudy, a może i mnie wepchnąć w ten śmietnik... To mi na pewno pomoże wszystko uporządkować... - Mówił coraz bardziej bolesnym i sarkastycznym tonem. Klaudia odsunęła się od niego, wstała i ruszyła w kierunku gwizdzącego w kuchni czajnika.

- Po co tu przyszedłeś, Harry? - spytała w końcu, kiedy udało się jej zapanować nad drżeniem rąk. - Chcesz czegoś? Czy o to chodzi?

Mężczyzna wstał i podszedł do niej. Pochylił się nad stołem i zgasił na spodku papierosa. Patrzył na nią z uwagą, a ona śmiało wytrzymywała jego

wzrok. Mierzyli się przez jakiś czas oczyma i każde z nich próbowało sobie przypomnieć uczucia, jakie ich łączyły, gdy byli dziećmi, gdy potrafili lgnąć do siebie i pocieszać się w smutku.

- Przyszedłem zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku - odparł głucho.

- Jest w porządku. Czy to wszystko? - zmusiła się, by jej głos brzmiał spokojnie.

- Potrafisz czasami być taka zimna, Liddie. Taka twarda. - Harry wypowiedział te słowa jak niedbałą, zrobioną mimochodem uwagę, ale dostrzegł w jej spojrzeniu konsternację i gniew.

- A ty jesteś taki dobry, co? Ostatni nieodgadniony. Próbujesz być dzisiaj Chińczykiem?

- Jestem Chińczykiem.

- W połowie - zadrwiła, usiłując go w ten sposób zranić tak samo jak on ją zranił swoją niedbałą krytyką. Zimna i twarda. Czy rzeczywiście taka była?

- Zgadza się. - Chwycił ją pod pachy i potrząsnął. - Pół tego, pół tamtego, a za każdą z tych cech stale mnie ktoś przeklina. Nie premiują za to, że się jest Euroazjata. To w niczym nie pomaga. I nie możesz sobie tego wybrać. - Przestał potrząsać dziewczyną, widząc przez moment strach w jej oczach, a potem wydało mu się, że coś nagle zrozumiała.

- I co byś wybrał, gdybyś mógł? - spytała łagodnie.

Puścił ją i odsunął się, potem mocno i ze złością tupnął nogą.

- Nie pytaj mnie o takie rzeczy. I tak nie mam wyboru. - Usiadł ciężko na sofie.

- Przepraszam, Harry. Nie powinnam na ciebie naskakiwać. - Podeszła blisko niego, otoczyła go ramionami i przytuliła się do piersi. Policzek oparła o jego policzek. Jej ciągle jeszcze wilgotne włosy zetknęły się z jego skórą. - Zraniłeś mnie tym, co powiedziałaś...o dziennikarstwie. Chciałam, żeby również tobie było przykro. Przepraszam. - Pocałowała go w policzek i odsunęła się, ale Harry pociągnął ją ku sobie. Usiadła mu na nogach okrakiem i przytuliła się do niego bardzo mocno. Po chwili Harry westchnął.

- To jest czasami takie trudne. Każde z nas pochodzi z innego miejsca i dlatego, jak myślę, widzimy niektóre sprawy inaczej. Weź na przykład Porcję. Widzisz, znała Marka bardzo dobrze, tak dobrze jak Sylwia i o wiele lepiej niż ty sama. Nie uświadomiła sobie jeszcze do końca faktu, że on nie żyje, wydaje jej się, że wszyscy bierzemy tylko udział w jakiejś podniecającej, choć i trochę przerażającej grze. Tak ją wychowano. Rodzice wiecznie ją przed

wszystkim chronili, gdy była dzieckiem i teraz nie potrafi rozpoznać rzeczywistości... brzydkiej, brudnej rzeczywistości. - Harry umilkł na chwilę, po czym kontynuował: - Ale ty umiesz. Ty ją rozpoznajesz, ale nic z nią nie chcesz zrobić, prawda? Uciekasz od niej tak szybko jak umiesz. Przeżyłaś się śmiercią Marka, ale nie jesteś pewna, czy masz ochotę spróbować się dowiedzieć, kto go zabił. Nie zamierzasz się w nic mieszać. Czy nie jest tak, Liddie? - Ponieważ mu nie odpowiedziała, ciągnął dalej: - Dlaczego uciekasz od wszystkiego, co nieprzyjemne, dlaczego odmawiasz konfrontacji z niemiłą rzeczywistością i udajesz, że jej nie ma? Co sprawia, że jesteś taka? Chociaż właściwie oboje jesteśmy trochę tacy. Ja nauczyłem się tego po ciężkich doświadczeniach? A ty?

Poczuł, jak Klaudia gwałtownie uwalnia się z jego ramion i pozwolił jej odejść.

- A Sylwia? - zapytał Harry. - Jak oceniasz jej reakcję na morderstwo Marka? Czy zachowuje się, twoim zdaniem, zbyt emocjonalnie? Czy jest normalna? - Jego głos stawał się coraz bardziej chrapliwy. - Osobiście uważam, że jako jedyna spośród nas reaguje w odpowiedni sposób. Smuci się i boleje. Po prostu płacze, że Marka zabito, i tyle. Że odszedł i że wraz z nim odeszło wszystko, wszystkie te lata, wszystkie wysiłki, aby go zdobyć. Tak po prostu odeszły - strzelił palcami. - Ot tak. Podoba mi się ta gwałtowna reakcja szalonej Sylwii. Żałuję, że sam tak nie umiem odczuwać.

Po tym stwierdzeniu milczeli przez chwilę. Klaudia poszła zrobić herbatę, a potem przyniosła dzbanek i wraz z dwiema filiżankami postawiła go na stole. Harry obserwował ją z zaciśniętymi ustami. Bardzo chciał jej powiedzieć, że również przejął się śmiercią Marka, ale nie był w stanie tego zrobić.

- Czy to ty przedstawiłaś Marka „im”... to znaczy triadom i Yee? Czy to ty go w to wciągnęłaś, Harry? - Klaudia zadała zupełnie spokojnie to pytanie, ale Harry wiedział, że jej równowaga jest pozorna. Spodziewał się tego pytania i przygotował sobie najlepsze, jego zdaniem, kłamstwo. Potrząsnął głową.

- Nie. Sami do niego dotarli. Pojechał gdzieś, teraz już nie pamiętam dokąd, a gdy wrócił, w sypialni czekała na niego notatka. Potrafią być bardzo formalni, postępują, jak gdyby cię przyjmowali do organizacji, mówią: „Podpisz tu na wy kropkowanej linii, podaj swój numer paszportu”... Zrób to, zrób tamto. Nawet cię ostrzegają, uprzejmie i oficjalnie, co się zdarzy, jeśli zrobisz coś przeciwko nim... A kiedy już podpiszesz, jesteś z nimi na zawsze.

Chwilę milczał, po czym kontynuował:

- Mark powiedział mi o tym zaledwie kilka miesięcy temu. Wtedy poszedłem do Yee i próbowałem to załatwić... powstrzymać to jakoś. Ale w ten sposób tylko przypominałem Yee o swoim istnieniu, co natychmiast wykorzystał. Ironia losu, nie sądzisz? Może Mark żyłby, gdybym nie próbował mu pomóc. Cóż, to jest w jakimś sensie śmieszne - dodał z goryczą, kiedy Klaudia się nie roześmiała. Obserwował ją bacznie i zastanawiał się, czy ją przekonał, ale nie potrafił niczego wyczytać z jej spojrzenia.

A co innego miałem jej powiedzieć, z gniewem zapytał siebie w myślach. Tak, to ja wciągnąłem Marka, ale wtedy miałem do wyboru: albo on, albo ja. Poza tym nigdy nie sądziłem, że tak się to może skończyć. Mark już wtedy się narkotyzował, no i nie przypuszczałem, że zostaniemy przyjaciółmi, że polubię go tak bardzo... Tak mi przykro, Liddie... Nie, tego nie mógłby jej powiedzieć. Nie zrozumiałaby. Na pewno by nie zrozumiała.

- Czy możemy coś zrobić?

- W sprawie Marka? Nie, nic. - Westchnął. - Obiecuj mi to, Liddie. Trzymaj się od całej tej sprawy z daleka. Niech życie toczy się dalej jak dotąd. Spróbuję uporządkować swoje sprawy... ale żadne z nas nie jest w stanie niczego zrobić... No, może tylko Ingram. Ale nie możemy mu tego powiedzieć, prawda? Yee nie należy do ludzi, którzy przymykają oczy, gdy ktoś świadczy przeciwko nim.

W głosie Harry'ego był jakiś dziwny smutek, kiedy więc chłopak się uśmiechnął, Klaudii zachciało się płakać. Odchrząknęła nerwowo.

- Byłam u Tony'ego ubiegłej nocy. Przyznał mi się, że cię odwiedził... ale potem nie chciał już o tym rozmawiać. Był bardzo spięty. Czy coś między wami zaszło? - Nie dostrzegła, że Harry nieoczekiwanie poruszył głową, nie widziała też gniewu w jego oczach.

- Obudził mnie w środku nocy, więc nie byłem dla niego zbyt miły. Nic więcej się nie zdarzyło.

Przez dwa długie uderzenia serca Klaudii trwało milczenie.

- Rozumiem. Cóż, jest późno, Harry, a ja jestem bardzo zmęczona. Czy chcesz zostać na noc? - Pamiętała, że gdy wchodził do jej domu, na jego twarzy gościł strach i zauważyła, że potem często z lękiem wypatrywał przez okno. Nie mogła go wyrzucić.

- Dobrze, zostaną. Może nie ogłosili jeszcze wyroku, ale wolałbym wrócić do domu w świetle dziennym. - Posłał jej półuśmiezek.

- Co takiego? - spytała ostro Klaudia.

- Wyrok triady. Rozgłasza się go po mieście. Nie słyszałem nic jeszcze o ich decyzji. - Z wyjątkiem pewnego zabójcy albo dwóch, którzy czekali w moim mieszkaniu w ciemnościach, pomyślał ponuro. Ale przeżył tę napaść i teraz powinni dać mu trochę spokoju. Potem pewnie skontaktują się z nim ponownie i przedstawią mu propozycję. Są przekonani, że ją przyjmie. Będzie musiał.

Zobaczył, że Klaudia poczuła się źle. Zbladła i wyglądała prawie brzydko - usta zbyt duże, rozwarte niczym rana na białej skórze, oczy ciemniejsze niż kiedykolwiek i ocienione sińcami. Pociągnął ją do siebie, przytulił i znowu poczuł, jak jej ciało się trzęsie. Drżenie było zaledwie lekko uchwytnie, prawie nad nim panowała, a jednak Harry je wyczuł.

- Czy wydano taki wyrok na Marka? - Jej głos był tylko trochę wyraźniejszy niż szept.

- Nie. - Harry potrząsnął głową. - Gweilos nie otrzymują ostrzeżeń, ponieważ nigdy naprawdę nie należą do triady. Zawsze pozostają obcymi, niezależnie od tego, co robią.

Klaudia westchnęła głęboko na te słowa i Harry wiedział, że jego przyjaciółka zastanawia się, co tu właściwie robi, w tym miejscu, które nigdy prawdziwie jej nie zaakceptuje, w miejscu, które pod niefrasobliwą, wesołą fasadą skrywa warstwy fałszu i okrucieństwa. Powinna jak najszybciej wracać do domu, pomyślał Harry. Jak najszybciej. Szczęśliwa dziewczyna, która ma dokąd pójść.

- Czy mogliby tu za tobą przyjść?

Spojrzała na niego, w jej oczach był strach. Strach o niego i o siebie samą. Harry potrząsnął głową.

- Nie, nikt mnie nie śledził, zapewniam cię. I nie wierzę, żeby Yee przez jakiś czas mi zagrażał. On długo myśli i powoli planuje każde swoje posunięcie. Nie martw się, jesteś bezpieczna. - Pocałował ją w czoło, głęboko westchnął i przez chwilę się nad czymś zastanawiał.

- Ile masz lat, Liddie? Dwadzieścia siedem? - Raczej poczuł niż zobaczył, że Klaudia kiwa głową. - A może... może chodźmy do łóżka i udawajmy, że znowu jesteśmy mali. Będziemy sobie chichotać w nocy pod kołdrą. - Uśmiechnął się do niej i dziewczyna poczuła w oczach łzy. Patrzyła na niego wilgotnymi oczyma, a jego obraz zamazywał się i zniekształcał. Bardzo żałowała, że nie mogą wrócić do tamtych beztroskich dni. Ale miała wrażenie, że od dawna już są dorośli, że oboje dojrzeli pewnego dnia, w Zatoce Repulse.

Ona miała wtedy siedem lat, on dziewięć. I teraz nie mogli już cofnąć tych wszystkich lat, które nastąpiły po tym nieszczęsnym wydarzeniu.

- W porządku. Nie rozmawiajmy już więcej, Harry. Nie przerażaj mnie więcej.

Pocałował ją wtedy, łagodnie i szybko, jak gdyby chciał, dotykając jej ust, w ten sposób uciszyć ją.

- Twoja matka nie zaaprobowałaby tego, prawda? Ona nigdy mnie za bardzo nie lubiła. Nie wiem, dlaczego - wymruczał jej w ucho, żartując sobie tak samo z siebie jak z niej.

Klaudia pogłaskała go po twarzy i uśmiechnęła się.

- Ale moja matka nigdy nie miała za grosz gustu. Tak twierdzi większość ludzi.

Roześmiali się. Był to zduszony, serdeczny chichot, który pamiętał z czasów, gdy byli dziećmi i przebywali stale razem. Wówczas Harry nocami wykradał się z pokoju matki i przychodził do łóżka Klaudii. Tam szeptali i bawili się. Jego ręka przesunęła się teraz po jej ramieniu i wślizgnęła pod szlafrok. Zaczął dotykać delikatnych kości jej ramienia i pieścić jej skórę długimi, pewnymi palcami.

Ich śmiech zamarł nagle, zapadła dotkliwa, świadoma cisza. Było w niej słyhać jedynie ich oddechy. Badali się i pieścili, a ich ciała to stykały się, to odsuwały od siebie.

- Śniłem o tobie przez te lata... że wracasz i że zostajemy kochankami. Ale nigdy nie przypuszczałem, że to się nam naprawdę przydarzy. To było tylko takie marzenie - powiedział szybko Harry i zobaczył, jak jej lekko otwarte usta drżą. Patrzył przez chwilę na miękką linię czerwonych warg z oszołomieniem, potem nachylił się, dotykając językiem jej ust, obrysowując ich kontury i wypukłości. Ciepłe wargi Klaudii pachniały mydłem i specyficznym jej własnym aromatem. Wciągnął ten zapach głęboko w płuca.

Jego palce ześlizgnęły się z ramienia Klaudii na jej plecy. Głaskał i łagodnie ugniatał kark, potem przejechał dłonią w dół, po łopatkach, a następnie jego ręka znowu wróciła ku szyi. Zaczaj całować tę szyję. Ciepły, miękki dotyk sprawił, że Klaudia zareagowała podnieceniem. Jej głowa opadła w tył na jego ramię, usta rozchyliły się, a ręce, które dotykały jego piersi, opadły na boki, prześlizgnęły się pod pachami młodzieńca i otoczyły jego ciało.

Kiedy Harry rozsunął szlafrok Klaudii, jego ruch mógł się wydawać zupełnie przypadkowy, tak bardzo był łagodny i naturalny. Dziewczyna zaczęła drżeć i lekko dyszeć. Chłopak dotknął lekko jej piersi.

Do tej pory Klaudia nie potrafiła dostrzec w dorosłym Harrym chłopca, którego niegdyś znała tak dobrze, ale teraz, nagle - niczym w kalejdoskopie, którym dopiero co potrząsnęto - wpadła z powrotem w świat ich starej przyjaźni, świat dzielonych sekretów i szeptów, śmiechów i dziecięcych czułości, które towarzyszyły im przez kilka lat dzieciństwa. To niesamowite, pomyślała Klaudia, że ten dorosły akt, o którego istnieniu jako dzieci nawet nie mieli pojęcia, teraz przywracał na nowo ich dawną więź. Później porwały ją ramiona Harry'ego, który niósł ją do łóżka, i przestała rozmyślać, zupełnie skupiona na przyjmowaniu czułości i dawaniu miłości.

Harry zdjął jej łagodnie szlafrok. Całował najpierw jedną, potem drugą jej rękę, gdy wyplątywał je z materiału. Klaudia leżała na łóżku, lekko przekrzywiona na bok, i bez skrepowania obserwowała, jak jej partner zdejmuje przez głowę koszulę, zsuwa dżinsy z ud i kopnięciem odrzuca espadryle. Nie miał na sobie bielizny. Patrzyła chwilę na grę światła i cienia na naprężonym, umięśnionym ciele, aż dostrzegła biały bandaż na nodze i widok ten ją zastanowił.

Odwrócił się od niej na moment, a wtedy dostrzegła zwarte, wysoko umieszczone pośladki. Harry podszedł na chwilę do okien i szybko przez niewyrzał w mrok. Cokolwiek zobaczył, widok ten najwyraźniej go uspokoił, a wówczas wrócił do Klaudii, wszedł na łóżko, przygarnął dziewczynę do siebie i mocno ją objął.

- Bywają chwile, takie jak teraz, kiedy nie muszę wybierać, kim jestem. I wtedy nie jestem Chińczykiem - wyszeptał jej w ucho, a Klaudia próbowała panować nad ciałem, które dziwnie się szarpnęło z zaskoczenia. - Naprawdę nie. Wewnątrz jestem Europejczykiem. Jak mój ojciec. Jestem, Liddie, prawda? - Trzymał ją tak mocno, że nie mogła się odsunąć i spojrzeć mu w twarz. Wszystko, co słyszała, było prośbą o ukojenie, więc również przycisnęła go do siebie mocno.

Na dworze deszcz stukał głośno o szyby, a wiatr stawał się coraz silniejszy.

Rozdział dwudziesty piąty

Niedzielną noc

Tony Ingram poprowadził swoich ludzi stromym zboczem w dół. Ślizgali się i zjeżdżali po błocie i śmieciach, przeklinając cicho smród kanalizacji, gnijącej roślinności i błotnistych równin. Sampany i pontony kuliły się pod nimi w mroku, ich kładki były gotowe do podniesienia w każdym momencie. Ale grupie Tony'ego pogoda była przychylna, wiatr wiał, a deszcz mocno zacinał, miotając wszystkim, co było na zewnątrz. Niewielu gapiów obserwowało ich przejście, a jeszcze mniej tkwiło w dole na błotnistych równinach. Grupa w prawie całkowitym milczeniu parła do przodu.

Poza deszczem na twarzy, wyciem wiatru w uszach i zgniłym zapachem w nozdrzach, Tony czuł jeszcze coś niewyraźnego, czego nie znał od lat. Miał wrażenie, że coś utracił. Był z jakiegoś powodu, nie miał pojęcia, z jakiego, smutny. I ten ciężar w piersi sprawił, że zastanowił się nagle, po co właściwie robi to wszystko i jaka nagroda czeka go za całą tę brudną i paskudną pracę? Gniewnie otrząsnął się z tych myśli i skupił na zadaniu, które miał wykonać. Jego pluton przecież na nim polegał, liczył na jego dowodzenie, szukał pociechy i rady. Ich sytuacja w każdej chwili mogła się stać trudna i niebezpieczna, pomyślał, a ja sobie bujam w obłokach. Zaklął po cichu, gdy wszedł w głębokie błoto i but nieomal zsunął mu się ze stopy.

- Zmienił pan zdanie, szefie? - spytał łagodnie sierżant Chu, a Tony wyszarpnął but i dał znak swoim ludziom.

- Rozstawcie ich, Chu, dokoła po obu stronach, tak jak zaplanowaliśmy i nie utrudniajcie wszystkiego. Jak inaczej, waszym zdaniem, moglibyśmy podejść tak blisko? - Gdyby noc była cicha, nie ośmieliliby się w ogóle do siebie odzywać, ale w takim wietrze i deszczu nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Ja nie mam zdania, sir. To pan jest tu od myślenia, nie ja. - Sierżant Chu zaśmiał się i Tony również nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Tak, co oznacza, że się ośmieszę, jeśli niczego tam nie znajdziemy, zgadza się?

- Ma pan absolutną rację, sir. Spotkamy się wewnątrz. - Sierżant odszedł i zaczął każdemu policjantowi po kolei szeptem wskazywać jego pozycję. Ich ruchy w błocie były niezdarne i ociężałe. Gdy wszyscy się rozeszli, Tony wziął swoich dwóch ludzi i spokojnie przesunął się obok stojącego na brzegu pontonu. Tam czekał na pozostałych.

Miał szczerą nadzieję, że jego informacje są prawdziwe, nie zamierzał bowiem stać się obiektem żartów na cały następny tydzień. Jednak ponieważ niezwykle rzadko mieli sposobność obejrzenia ceremonii inicjacyjnej do triady, Tony pomyślał, że warto spróbować, ryzykując nawet upokorzenie, które czekało go, jeśli wiadomość okaże się nieprawdziwa. Leżał teraz i czekał cierpliwie, aż jego ludzie do niego dotrą, a potem wszyscy zaczęli się czołgać do przodu przez drewniany pomost. Usiłowali przy tym nie straszyć setek kurcząt, znajdujących się w kojcach ani w żaden inny sposób nie zdradzać swej obecności.

Noc była szczególnie ponura i ciemna, sampany przykryto na wypadek niepogody, z żadnego progu czy okna nie padała nawet smuga światła. Policjanci ruszyli, aby zająć pozycje, i wkrótce otoczyli sampan z namalowanym na dziobie złotym smokiem. Potem czekali, spoglądając na zegarki, a deszcz spływał im po twarzach. W końcu Tony głęboko odetchnął, wyciągnął spod kurtki pistolet i sprawdził, czy jest odbezpieczony. Skinął szybko głową do swoich dwóch towarzyszy i pomacał zatrzask głównych drzwi. Następnie podniósł go lekko palcem i odsunął.

Zrobił krok do tyłu, dał ostateczny znak głową i kopnął drzwi nogą, rozkołysał się i natychmiast wskoczył. Mężczyzna, który znajdował się poniżej, zupełnie zaskoczony nagłą napaścią podskoczył, i z pewnością uciekłby przez któryś z iluminatorów lub drzwi, gdyby ludzie Tony'ego nie wpadli właśnie wszelkimi możliwymi otworami. Sam Tony wylądował ciężko, przy czym uderzył w czyjeś ciało, zahaczył je i pociągnął za sobą na drewniane dno statku. Zapach przeciwnika uderzył go nieprzyjemnie w nozdrza, kiedy tamten starał się wyślizgnąć z jego uścisku.

Wokół niego panowało dzikie zamieszanie. Wielu mężczyzn krzychało, biegało bezładnie, wpadało na Tony'ego, przechodziło nad nim, toczyło się i walczyło niczym kanalizacyjne szczury; co chwila kogoś chwytaly wilgotne, spocone ręce, a co jakiś czas kogoś innego dosięgała wystrzelona kula. Ze wszystkich stron docierały do Ingrama głośnie jęki wraz z odgłosami przypadkowo zdzieranego nożami drewna. Tony zanurkował w dół i dalej mocno trzymał schwytanego przez siebie mężczyznę. W pewnej chwili jego mięśnie napięły się, kiedy zdawało mu się, że ktoś do niego wypalił z pistoletu. Potem usłyszał obok siebie krzyk bólu i rzucił przekleństwo.

Mężczyzna pod nim ciągle jeszcze walczył. Był żyłasty, niezmordowany, śliski i chytry. Szarpał się na boki, ale w końcu Tony zdołał utrzymać go w

dole i założyć kajdanki na nadgarstki. Jednak zanim udało mu się to zrobić, poczuł ostry ból na policzku, kiedy przeciwnik uderzył go z całej siły łokciem.

Ktoś kopnął naftową lampkę i mały ognek zaczął przymierać w mroku. Tony jedną ręką przytrzymał więźnia, drugą wyciągnął po omacku w kierunku płomienia. Jego rękaw zapalił się i płonął, póki jeden z policjantów nie podbiegł i nie zgasił lecących iskier i płomieni, zalewając je śmierdzącą wodą z zęzy. Ciemna, brudna, stara woda zgasiła je natychmiast, a Ingram poczuł, że ognek przypalił mu włosy na grzbiecie dłoni. Skóra w tym miejscu zaczęła piec i rwać. Z niejakim wysiłkiem posadził mężczyznę i rozejrzał się dokoła.

Jego ludzie znali się na swojej pracy, a poza tym bardzo długo przygotowywano ich do tego akurat szczególnego zadania. Udało im się teraz zebrać w jednym miejscu skutych członków triady i zmusić, by siedzieli nieruchomo i nie odzywali się. W ciemnym kącie toczyły się jeszcze ostatnie potyczki, ale stopniowo policja wyłapywała kolejnych przestępców, którzy syczeli i pomrukiwali z wściekłości. Krąg aresztowanych w samym środku statku rósł. Tony stał pot z twarzy. Gdy się wyprostował i dotknął głową niskiego sufitu, na chwilę musiał się uchylić.

Trzymał broń wycelowaną w starszego z dwóch mężczyzn, którzy siedzieli wyprostowani przy ołtarzu. Odczuwał dumę i niespodziewanie dużą satysfakcję, kiedy rozglądał się dokoła. Widok obrządku inicjacji był sprawą naprawdę niezwyklej rzadkości. Skierował swoją uwagę z powrotem na więźniów, ponieważ nagle wyczuł wśród nich jakieś poruszenie.

W większości byli to bardzo młodzi mężczyźni, tuż po dwudziestce, ciemnoocy i nieokrziesani. Ich czoła zdobiły rzemienne przepaski, torsy mieli obnażone. Tony przyglądał się im uważnie. Po szatach, nakryciu głowy i plecionym sandale na lewej stopie rozpoznał „mistrza ceremonii”. Człowiek ten znajdował się blisko niego, był niski, mocno zbudowany. Z uwagą obserwował swe otoczenie i Tony'ego spod na wpół przymkniętych powiek. To, na dziewięćdziesiąt procent, jest przywódca tego odłamu triady, Shan Chu, Wielki Brat, pomyślał Tony, również bacznie przyglądając się mężczyźnie.

Ołtarz był bardzo prosty. Stała na nim mała, rozświetlona płomyczkiem kadzidła misa, w której znajdowały się różne transparenty i chorągwie. Obok niej leżały cztery starannie ułożone pomarańcze, stały trzy papierowe wizerunki, kilka woskowych świec i parę pucharków z płynem, który przypominał Ingramowi herbatę. Tony dostrzegł także kawałki czerwonego

papieru, zapisane jakimiś' symbolami. Całość stanowiła żalosny widok, który w żaden sposób nie licował z powagą, jaka malowała się na twarzach wszystkich wtajemniczanych.

Dla nich bowiem cały ten wystrój symbolizował ich własną śmierć i zmartwychwstanie. Wydawało im się, że zostaną wskrzeszeni jako bohaterowie. Ceremonia stanowiła wydarzenie, które miało ich związać z sobą na zawsze i zapewnić wspaniałą dyskrecję i lojalność wobec siebie, nawet w obliczu śmierci. Tony dał znak sierżantowi, aby zrobił zdjęcia.

- Czy ktoś jest ranny? - spytał Tony i usłyszał kilka chrząknięć z ciemności.

- To Ng, sir, dostał w ramię. Musimy go odstawić jak najszybciej do szpitala. Żadnych innych poważnych ran, szefie - dodał po sekundzie sierżant Chu i Tony wydał z siebie westchnienie ulgi.

- To dobrze. Zadzwońcie po posiłki, kapralu Ch'en. I kaźcie Fu, aby zabrał Ng na ląd. Resztę zatrzymamy tutaj. - Tony mówił szybko po kantońsku, w dialekcie, który rozumieli wszyscy jego ludzie, choćby nawet między sobą mówili innymi językami. Wtedy dostrzegł, że przywódca triady nadal go obserwuje. Miał prawie zamknięte oczy i siedział milcząco w cieniu. Ale w tym jego pozornym spokoju Ingram wyczuł groźbę.

- Ty tam. Jak się nazywasz? - fuknął cicho w kierunku cienia niemal obojętnym głosem.

- Sierżancie, czy sprawdziliście już tego mężczyznę? - Tony wskazał na przywódcę i sierżant skinął głową. - Czy odczytaliście już wszystkim ich prawa? - Sierżant ponownie skinął głową i uśmiechnął się.

- We wszystkich możliwych chińskich dialektach, szefie. Zrozumieli na pewno.

- Dobrze. Ty tam! Wstawaj. - Tony wskazał na przywódcę, ale mężczyzna się nie poruszył. Nadal siedział otępiąły i skulony w sobie niczym żółw w skorupie. Ingram, zirytowany, zrobił krok do przodu i pochylił się nad mężczyzną. Wówczas przed oczyma pojawił mu się nagły błysk, a twarz zapłonęła. Zatoczył się w tył, zaciskając oczy. Ból dotknął twarzy i zaczął mu się wżerać w skórę. Tony nic nie widział, ale czuł, że wokół niego mężczyźni poszturchują się i popychają, słyszał głośne krzyki i pochrząkiwania walczących ciał, a potem poczuł pod sobą twarde drewno pokładu łodzi. Ból stał się nie do zniesienia; dosłownie w nim płonął. Nawet nie zauważył, kiedy stracił świadomość i pogrążył się w zupełnej ciemności

[Poniedziałkowy poranek](#)

- Sam jesteś sobie winien, prawda? - powiedziała Klaudia, stojąca obok łóżka Ingrama. Słowa nie ujawniały uczucia ulgi, które gościło na jej twarzy teraz, kiedy już wiedziała, że Tony wyzdrowieje. Jego zabandażowana twarz obróciła się ku niej pod ostrym kątem.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że zrobiłem to celowo - wymamrotał tajemniczo. Klaudia położyła mu rękę na dłoni i trzymała ją, zaskoczona mocnym uściskiem. Przyszło jej do głowy, że jego palce zacisnęły się wokół jej palców w taki sposób, jak gdyby Tony gwałtownie potrzebował uspokojenia. Na jednej ręce miał bandaż, spod którego wystawała osmalona i spalona do żywego ciała skóra, a kość policzkową młodzieńca zdobił potężny, zaogniony siniak. Palce Klaudii zatrzymały się nad policzkiem Tony'ego, jak gdyby chciała głaskaniem zniwelować jego ból, ale po sekundzie cofnęły się, nie dotykając twarzy.

- Dość sponiewierany bohater - zadrwiła lekko. - Nieźle się przestraszyłam w pierwszej chwili, kiedy tu weszłam i zobaczyłam cię zabandażowanego jak mumia. Oddziałowa prawie musiała mi podać sole trzeźwiące. - Oboje uśmiechnęli się, po czym na moment zapanowała nieprzyjemna cisza, w czasie której każde z nich szukało odpowiednich słów.

- Kto cię zawiadomił? - wyszeptał w końcu Tony.

- Zadzwoiłam do ciebie dziś rano... aby porozmawiać... aby przeprosić, jak sądzę, za moje wczorajsze zachowanie... i powiedział mi sierżant dyżurny. Zdaje mi się, że nie powinnam była tego robić, ale musiałam go trochę sterroryzować, aby mi wszystko wyjaśnił. Czy dobrze się czujesz? - Klaudia zadrżała nagle przypominając sobie, jak się przeraziła, kiedy sierżant zapierał się i uchylał przed jej pytaniem. Zażenowana odrzuciła te myśli.

- Dokładnie mówiąc, czuję się jak głupiec... Wiedziałem, że ten facet to przywódca i powinienem był być z nim ostrożniejszy. Ale przypuszczałem... głupia rzecz, takie przypuszczenia... Powodują tylko kłopoty. - Tony uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Rzucił mi w twarz jakiś proszek, który wybuchł. Jak twierdzą lekarze, miałem szczęście, że nie straciłem wzroku. Nie zdejmują mi jeszcze bandaży, ale podobno udało mi się zamknąć oczy na czas i nie zostały za bardzo przypalone... Tak mówią lekarze, w każdym razie... - Ciągle trzymał mocno jej rękę w swojej i Klaudia czuła, jak - bardzo lekko, ale jednak - drży. Dziewczyna zastanawiała się, czy gdyby znajdowała się na jego miejscu, potrafiłaby zachować taki spokój. Dla kogoś tak aktywnego jak Tony sama myśl o ślepcie musiała być przecież nie do zniesienia.

- Nic ci nie będzie. Lekarze wiedzą, co robią i co mówią. - Umilkła, próbując rozpaczliwie wymyślić coś, aby Tony przestał myśleć o swoich ranach. - Czy on uciekł? Ten przywódca? - Jej ton był przepełniony współczuciem i Tony westchnął.

- Tak. Wraz z połową tych cholernych nowicjuszy... Moi ludzie tak bardzo się zajmowali mną, że pozwolili po prostu uciec tym wszystkim draniom. To moja wina.

Może powinna powiedzieć teraz coś uspokajającego, coś, co złagodziłoby jego poczucie straty, ale podejrzewała, że Tony obarczał siebie winą częściej niż na to zasługiwał i nie słuchałby słodkich frazesów.

- Cóż, nie znam szczegółów - powiedziała niezdarnie. - Ale nikt się z ciebie nie śmieje. A to już coś, prawda? Połowa aresztowanych to lepiej niż nic. Słyszałam, że było paskudnie... - Zobaczyła, jak Tony przekręca głowę, jak gdyby próbował ją dostrzec przez bandaż.

- Ci, których schwytaliśmy, nic nie powiedzą. Liczy się to, co straciliśmy. Miałem Yee, Klaudio - powiedział cicho i Klaudia zmartwiała, a jej ręka mimowolnie ścisnęła jego dłoń aż do bólu. O, widzę, że wiesz, kim jest Yee. Skąd o nim wiesz? - Chociaż jego głos był spokojny, Klaudia wyczuwała w nim jakieś rozczarowanie. Wydała z siebie odgłos rozdrażnienia.

- Harry mi powiedział. Przyszedł do mnie wczoraj wieczorem i mówił mi o Yee. O przywódcy „Cienkich Ostrzy”. I że używał Marka jako kuriera. Powiedział mi też, że sam był kiedyś zamieszany w sprawy triady. Nie muszę ci chyba tego wszystkiego mówić, ponieważ bardzo dobrze sam o tym wiesz. Masz jeszcze jakieś pytania?

Tony usłyszał w jej szorstkim głosie cierpienie i dodał łagodniejszym tonem:

- Czy po to dzwoniłaś do mnie dziś rano? Żeby mi o tym opowiedzieć? - W jego głosie zabrzmiały przeprosiny.

- Tak. - Westchnęła głęboko, zamknęła oczy i strząsnęła włosy z twarzy w tył. - Wszyscy ciągle mi mówią, że należę do osób, które nie chcą się w nic mieszać, które o nic naprawdę nie dbają, póki coś samo ich nie wciągnie. Ja też ciągle to sobie powtarzam... Ale zdaje mi się, że już i tak zostałam w to wszystko wmieszana. Mark był przecież moim bratem. - W jej głosie zadźwięczała niepewność. - Więc może jednak naprawdę powinnam się dowiedzieć, kto go zabił i dlaczego.

- A Harry? Co czuje Harry?

- Jest przerażony.

Usiadła obok Tony'ego i nie puszczać jego ręki, przekazała mu wszystko, co Harry powiedział jej ubiegłej nocy. No, może prawie wszystko... Tony chrząkał od czasu do czasu, chłonąc wszystkie szczegóły.

- Czy to cię zaskakuje? - Klaudia spytała, kiedy skończyła. - Że Harry należał do triady?

- Nie. Wiedziałem o tym od jakiegoś czasu.

Leżał na plecach i przez chwilę rozmyślał o tych wszystkich kwestiach, o których Klaudia nie wspomniała. Przez chwilę zastanawiał się, czy Harry został u dziewczyny na noc, ale natychmiast obruszył się na siebie za te myśli. Przecież to nie twoja sprawa, powiedział sobie.

- Czy to ci jakoś pomoże? Czy dodałam jakieś szczegóły do twojego śledztwa? - spytała i odsunęła rękę, na co Tony pozwolił bardzo niechętnie. - Oczywiście mam nadzieję, że tak, bo przecież ryzykuję życie, mówiąc ci o tym. - Wybuchła nieco sztucznym śmiechem, który zamarł nagle, kiedy jej przyjaciel nie zaśmiał się razem z nią.

- Może i tak. Nie da to żadnych imponujących i natychmiastowych efektów, ale ciągle próbujemy... Harry z pewnością nie przyjdzie, aby złożyć zeznanie, a nie mamy żadnych innych dowodów na twoje słowa. - Jego głos stał się zdecydowany. - Słuchaj, Klaudio, chcę, żebyś się trzymała z dala od tego wszystkiego. Jeśli Harry powie ci coś jeszcze, co uznasz za ważne, przekaż mi to. Ale dzwoń, nie przychodź sama. Tyle że... szczerze mówiąc, wolałbym, abyś nie kontaktowała się również z Harrym, jeśli możesz. To nie jest dla ciebie bezpieczne towarzystwo.

- Ależ, Tony... On jest taki samotny, odniósł ranę i może się znajdować w niebezpieczeństwie. - I raz już go opuściłam, dawno temu, nie mogę mu tego zrobić jeszcze raz, dodała w myślach. - Nie powinnam się do niego po prostu odwracać plecami.

Słowa zostały wypowiedziane tak cicho, że Ingram ledwie je dosłyszała. A co ze mną, pomyślał. Czy on sam nie również był samotny? Czy jego też nie skaleczono? Ale po chwili opanował się i wyrzucił te myśli z głowy.

- W takim razie bądź ostrożna, Klaudio. Dobrze? Jeśli chodzą za nim, możesz im przypadkiem wejść w drogę.

- Harry mówi, że nikt go nie szuka, ale nie martw się. Będę ostrożna. - W tym momencie nie mogła się powstrzymać, więc pochyliła się nad nim i pocałowała go w policzek, w miejsce, gdzie znajdował się siniak. Jak gdyby ta czułość mogła coś pomóc. - Ty też bądź ostrożny. Dość już tych nocnych czynów bohaterskich, dobrze? Nie będę się czuła lepiej, gdy złapiesz

mordercę Marka, jeśli sam przy tym zginiesz. - Zmusiła się, by powiedzieć to lekkim tonem i zanim wstała, chcąc odejść, nacisnęła lekko jego ramię. - Jak długo jeszcze tu będziesz?

- Jakieś dwa dni, tak mi się zdaje. Niezbyt długo. Dziękuję, że przyszedłś mnie odwiedzić.

Znowu mnie odprawia, pomyślała Klaudia, po czym ugryzła się w język i nie wypowiedziała słów, które cisnęły jej się na usta. Tony najwyraźniej nie potrzebował niczego, przynajmniej nie od niej. Pożegnała się i poszła do wyjścia.

Wtedy jednak uwagę jej odwrócił jakiś hałas przy drzwiach. Elegancka kobieta mniej więcej po pięćdziesiątce odsunęła na bok pielęgniarkę i wpadła szybko między nich oboje. Klaudia rozpoznała ją bez trudu.

- Tony! Mój biedny, biedny, mały chłopczyku! Co ci zrobili? Mój Boże, zawsze wiedziałam, że nie powinienes być wstępować... ostrzegałam tyle razy twojego ojca, ale czy on mnie słuchał? Jak się czujesz, kochanie? - Kobieta runęła z impetem na Tony'ego, musnęła wargami jego policzek. Nie przestawała mówić, póki syn jej nie przerwał.

- Nic mi nie jest, mamó! - Tony spał wszystkie mięśnie, a zmarszczki wokół jego ust pogłębiły się.

Czyżby to właśnie była ta szczelina w pancerzu Tony'ego, jego czułe miejsce, zastanowiła się Klaudia. Czyżby to właśnie był powód, dla którego Ingram zachowywał się tak bardzo ostrożnie i obojętnie w stosunku do innych? Patrząc na niego, dziewczyna wiedziała, że taka jest prawda. Czekwała speszona w milczeniu, które zapadło. Matka wyglądała, jak gdyby syn potężnie ją zranił.

- Co tu robisz, mamó? Czy Hamish jest z tobą? - Tony zmusił się, aby jego głos brzmiał naturalnie. Joanna spojrzała uważnie na Klaudię i jej oczy na moment zwęziły się w zaskoczeniu.

- Został w hotelu, Tony. Przylecieliśmy natychmiast, gdy tylko usłyszałam. Jesteś pewien, że będziesz widział? Powinnam była wziąć z sobą specjalistę, aby cię obejrzał. Wiesz... przyjechaliśmy tylko na parę dni, ale zmienię rezerwację...

- Nie! - krzyknął Tony, po czym powtórzył ciszej: - Nie. - Klaudia zobaczyła, że jego kłykcie zbieleły, ponieważ ręka przez cały czas wbijała się w pościel. - Nic mi nie jest, mamó. Nie musisz dla mnie zmieniać swoich planów. Wyjdę stąd jutro albo może pojutrze. Nie ma powodu robić

zamieszania. Klaudio? Czy ciągle tu jesteś? - Usłyszała w jego głosie błaganie, mimo że próbował je stłumić.

- Tak, jestem tutaj, Tony. Witam, pani Ingram, czy raczej pani... hm, jak się pani miewa? Minęło wiele czasu od naszego ostatniego spotkania. - Klaudia zobaczyła nagle zaskoczenie w oczach kobiety, które szybko zastąpiła ostrożność.

- Klaudia? Nie... mała Klaudia? Córka Lucilie Babcock? O Boże! Tak też mi się wydawało, że cię skądś znam. Co cię tu sprowadza? - Ostro wykrzyczane zdania i podniesione z lekką wyniosłością brwi sprawiły, że Klaudia zacisnęła usta.

- No, Tony, oczywiście. Dokładnie tak samo jak panią - odpowiedziała dziewczyna złośliwie i prowokacyjnie. Zauważyła ponury błysk gniewu na twarzy matki Tony'ego.

- Och, nie wiedziałam, że jesteście przyjaciółmi? - A po chwili przerwy, gdy żadne z dwojga młodych ludzi nie zareagowało na jej pytanie, Joanna dodała: - W gruncie rzeczy nawet nie wiedziałam, że w ogóle tutaj jesteś. Myślałam, że twoja matka zniknęła w jakimś małym miasteczku na głębokim Południu, zabierając z sobą obie dziewczynki?

Czyżbyś uciekła przez kurzem i sianem dobrego starego Teksasu? - Jej śmiech nie był szczery.

- Już jakiś czas temu, pani... przepraszam, ale nie wiem, jak pani się teraz nazywa.

- Sheridan, moja droga. Mówiłaś...

- Że już jakiś czas temu opuściłam kurz i siano Teksasu. Przez ostatnie dziewięć lat mieszkałam w Nowym Jorku i San Francisco. - Wymieniła też nazwę finansowego kwartalnika, dla którego pisała, i poczuła satysfakcję, gdy zobaczyła, jak matka Tony'ego otwiera oczy o ułamek szerzej.

- Na Boga! Intelktualistka. Nie wyobrażam sobie, co cię może łączyć z Tonym. Prawdopodobnie przerażasz go swoim rozumem, jak sądzę. - Poklepała Tony'ego po ramieniu i Klaudia dostrzegła, jak chłopak sztywnieje.

- Dziękuję za twą wiarę we mnie, mamó. Ale jak dotąd moje kiepskie, małe szare komórki, z wysiłkiem, bo z wysiłkiem, ale jednak rozumieją, co mówi Klaudia. - Tony powiedział to z rozbawieniem i uznaniem dla dziewczyny, ale jego przyjaciółka miała ochotę uderzyć Joannę w twarz. Może Tony był wystarczająco dojrzały, aby sobie radzić z nieprzyjemnymi insynuacjami swej matki, ale Klaudia nie była przekonana, czy ona sama potrafi je znieść.

- Co? Mimo takiego akcentu? - Joanna wymówiła te słowa z naciskiem i Klaudia uśmiechnęła się do niej.

- Mimo. Taki akcent wskazuje na determinację osoby mówiącej, nieprawdaż? - Klaudia wzięła w swą dłoń rękę Tony'ego i ścisnęła ją mocno, czując jak ciepłe palce oddają jej uścisk. - No to pa, kochanie - powiedziała, przesadnie cedząc sylaby. - Do zobaczenia później. - Uśmiechnęła się słodko do matki Tony'ego. - Muszę lecieć. - Po czym, z wściekłością w piersi i z uśmiechem przyklejonym do ust, wyszła, machając torebką. Gdy trzasnęła drzwiami, dosłyszała jeszcze słowa skonsternowanej matki Tony'ego:

- Tony! To chyba nie jest nic poważnego?! A Tony śmiał się z niej długo i radośnie.

Porcja Hsu kiwała do Klaudii z samochodu. Jadąc swoim ładnym małym kabrioletem, zwolniła na chwilę na Ice House Lane i, mimo ryków klaksonów i okrzyków oburzenia kierowców, wymusiła pierwszeństwo i dojechała do krawężnika. Gdy Amerykanka ją dostrzegła, Porcja natychmiast zatrzymała samochód. Klaudia dobiegła do niego, otworzyła drzwiczki i z ulgą usiadła obok Chinki.

- Boże, Porcjo, jak to dobrze, że się tu zjawiłaś! Od pół godziny próbuję złapać taksówkę. Czy w Hongkongu nikt nie ma zwyczaju czekać w kolejkach? - Szybko pocałowała córkę Reginalda Hsu w policzek. Porcja znowu niedbale i żywiołowo wymusiła pierwszeństwo, dzięki czemu wróciła z powrotem na ruchliwy pas. Spojrzała na Klaudię i dostrzegła bladość jej cery i ciemne, podkrążone oczy. Wpatrzyła się na sekundę w tę twarz o ładnych rysach, którą Harry wydawał się tak bardzo uwielbiać, po czym zacisnęła usta.

- Musisz się nauczyć trochę bardziej rozpychać, Klaudio, albo nic ci się tu nigdy nie uda. A w ogóle co u ciebie? Próbowałam się z tobą skontaktować. - Chinka przejechała przez Queens Road i wpadła prosto w Pedder Street. Gnała szybko, omijając i wyprzedzając inne pojazdy, jak gdyby jej samochód był starą poobijaną ciężarówką, a nie najnowszym kosztownym prezentem urodzinowym - kabrioletem BMW. Przejazdźka tłoczonymi ulicami najwyraźniej sprawiała jej wielką przyjemność. Potrząsała ciemnymi i gęstymi lokami długimi do ramion, a jej ładną twarz i szerokie czoło podkreślała czarna przepaska na włosach. Dziewczyna miała delikatne, wąskie brwi i podmalowane ciemne oczy, które patrzyły teraz uważnie na Klaudię i oceniały w jakim jest nastroju. Klaudia rozmyślnie odwróciła wzrok i wpatrzyła się w uliczny ruch.

- Tony jest w szpitalu, Harry się ukrywa, a Mark nie żyje - odparła monotonna. - Jak więc mam się czuć? - Kącikiem oka dostrzegła, że Porcja prostuje się na siedzeniu i bardziej koncentruje na jeździe.

- A jak się czuje Tony? Czy jest poważnie ranny?

- To tylko oparzenie. - Klaudia zmusiła się, by jej słowa zabrzmiały obojętnie. Tak, Tony czuł się dobrze i będzie się czuł jeszcze lepiej. Była tego pewna. I w jego życiu nie było miejsca ani dla jej niepokoju, ani niepokoju jego matki.

- Dobrze się więc czuje?

- Tak, tak sądzę. W każdym razie, chyba lepiej niż Harry...

- Harry'emu nic nie będzie. Nie martw się za bardzo o niego. On wie, co robi - przerwała jej Porcja chłodno, prawie szorstko i Klaudia zastanowiła się, czy jej towarzyszka wie coś, czego ona sama nie wiedziała. Ale w jakiś sposób czuła, że Porcja ma rację. Harry mógł -i umiał - o siebie zadbać. Już wiele razy to przecież udowodnił.

- Widziałaś może Rybę? Albo Sylwię? - spytała Klaudia.

- Ryba gdzieś hula, a Sylwia wyjeżdża do kliniki w Makau. Jej rodzice uważają, że tak będzie najlepiej. Powinnaś pojechać do niej dzisiaj, w przeciwnym razie nie zdołasz się z nią zobaczyć przed wyjazdem. Możemy pojechać teraz, jeśli chcesz... - Porcja wyczuła, że Klaudia nie chce, że zupełnie nie ma na to ochoty, ale, tak czy owak, czekała niecierpliwie na jej odpowiedź.

- Dobrze, przypuszczam, że możemy. - Klaudia wyjrzała przez okienko kierowcy na Ogrody Chater, na tysiące ciemnych głów, które poruszały się w górę i w dół, podczas gdy ich właściciele jedli obiad i rozmawiali. Wyglądali jak stadko szczęśliwych krów. Klaudia lękała się bólu Sylwii, bała się, że jawne cierpienie tamtej przełamie jej własną barierę, którą obudowała swoje uczucia. Zgiełk panujący w południe na ulicy Central uderzył w nią jak obuchem. Spytała niechętnie: - Nic jej nie będzie?

Porcja potrząsnęła głową, znowu rozsypując swoje gęste włosy.

- Nie wiem. Sylwia zawsze była dość wrażliwa, a poza tym bardzo kochała Marka. Tobie jest łatwiej. Ty ledwie go znałaś. - Zdanie to zostało wypowiedziane mimowolnie i bez złośliwości, ale Klaudia wzdrygnęła się na swoim siedzeniu i zacisnęła usta.

- Tak, ledwie go znałam.

Sylwia mieszkała w wysoko położonej dzielnicy Branksome, przy Trengunter Path. Droga wiodła obok mieszkania Marka. Obie dziewczyny,

przejeżdżając, celowo odwróciły głowy, nie chciały bowiem patrzeć na tłumy, które kręciły się po dziedzińcu przed domem. Policja, dziennikarze i żądni sensacji gapie. Porcja przycisnęła mocniej pedał gazu i samochód zaczął się pewnie wspinać po Magazine Gap Road.

- Jest tu matka Tony'ego. Przyjechała. Wpadła do szpitala, jak gdyby do niej należał, próbowała swoją czułością zagłaskać syna na śmierć i przez cały czas robiła dość nieprzyjemne przytyki. Jak się domyślasz, było to dokładnie to, czego Tony nie potrzebował. Czy twoi rodzice ciągle utrzymują z nią stosunki? - spytała Klaudia, trajkocząc niedbale, tylko po to, aby w ogóle coś mówić. Porcja roześmiała się ostrym, dziwnym śmiechem.

- Och, tak, tato nadal szaleje za Joanną. Mama udaje, że nigdy nic między nimi nie zaszło, że cała trójka jest tylko paczką starych przyjaciół, ale wszyscy wiedzą, jaka jest Joanna. Poznałaś już jej nowego męża, Hamisha? Jest bardzo miły. - Porcja zrobiła grymas, a Klaudia chrząknęła z rozbawieniem i potrząsnęła głową.

- Nie. Nie sędzę. A z Tonym dobrze się rozumieją? - Była ciekawa i nie potrafiła tego ukryć. Porcja spojrzała na nią z uwagą.

- Tony udaje, że tak. Może nawet lubiłby Hamisha, gdyby tamten był kimś innym, ale ciężko pracuje, by panować nad sobą w ich towarzystwie. Ale może chodzi o Joannę. A dlaczego pytasz?

- Próbuję tylko zrozumieć, dlaczego Tony jest taki... hm, powiedziałabym, obojętny. Czy on się w ogóle spotyka z dziewczynami? Powiedział mi, że nie ma na to czasu...

- Naprawdę nie ma czasu, a poza tym już taki jest. Próbowałam z nim kiedyś. - Porcja uśmiechnęła się lekko na widok zaskoczenia, które pojawiło się na twarzy Klaudii. - Dlaczego cię to tak szokuje?

- Szokuje? Nie. Po prostu zaskoczyło mnie, że mi się do tego przyznajesz. - Klaudia wzruszyła ramionami. - Dziwi mnie również, że ci się nie udało, szczerze mówiąc. Przypuszczam, że to ci się nie zdarza zbyt często.

- Nie, rzeczywiście mi się nie zdarza! - Porcja roześmiała się. - Ale Tony ma zasady. Poza tym nie mógł zapomnieć, że mój ojciec i Joanna mieli romans. - W głosie Porcji pojawiła się smutna nuta, co Klaudia natychmiast zauważyła. W jej umyśle na krótką chwilę pojawiło się wspomnienie Reginalda Hsu, który stał pogrążony w rozmowie z Joanną Ingram w Zatoce Repulse, i skinęła z roztargnieniem głową.

- Ach, rozumiem. Tak, to musiało stanowić dla niego prawdziwą przeszkodę, prawda? - Klaudia pomyślała, że dla Porcji na pewno przeszkodą to nie było. - Więc Tony w ogóle nie miewa przyjaciółek?

- Zdaje się, że jesteś naprawdę zainteresowana, co? - Porcja zaśmiała się, gdy dostrzegła, jak jej towarzyszka szybko potrząsa głową i zaprzecza marszcząc brwi. Nie, pomyślała Klaudia, wcale mnie to nie interesuje w taki sposób. Po prostu była ciekawa. Ale Porcja nie czekała na jej odpowiedź.

- No cóż, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, słyszałam, że miewa dziewczyny, ale to nigdy nie jest nic poważnego, ot tak, na jeden wieczór. Żadna z nich nie zostaje na tyle długo, aby mogła rozsiewać plotki na jego temat, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

- Jakie plotki?

- Och, o Ingramach zawsze były plotki. Ludzi interesuje, co naprawdę robi jego ojciec, ile pieniędzy ma nowy mąż Joanny, czy Tony dopadnie kolejnego narkotykowego barona albo czy pójdzie w ślady ojca. No i jak się wiedzie dziewczętom. Ludzie zawsze chcą wszystko o nich wiedzieć. Taka interesująca rodzinka...

- A co się mówi na temat Billa Ingrama? - Klaudię bardziej ciekawił ten temat, mimo że nie lubiła wyciągać od Porcji takich informacji. Zauważyła nagle, jak Porcja sygnalizuje skręt, po czym, ledwie hamując, wpada w prawo w May Road. Bez wahania wsunęła się w grupki pędzących z trzech stron aut i zaczęła się prześlizgiwać między kolejnymi samochodami. Klaudia odetchnęła z pewną ulgą i dopiero w tym momencie stwierdziła, że przez dłuższą chwilę wstrzymywała powietrze w płucach.

- Wywiad - oznajmiła zwięźle Porcja i wjechała w stromą aleję Tregunter Path. - Mówi się, że pracuje w wywiadzie.

Klaudia siedziała nieruchomo i w milczeniu rozważała te słowa.

- Czy zostaną tutaj na długo? - spytała Chinę, zupełnie nie na temat. Czowała, że jej myśli pędzą w beładzie.

- Kto? Joanna i Hamish? - Porcja zobaczyła, jak Klaudia kiwa głową. - Tylko wtedy, jeśli zmienią plany i zostaną z powodu Tony'ego. W przeciwnym razie powinni wkrótce wyjechać do Singapuru, dokąd zaprosili ich pewni starzy przyjaciele. No, a twój ojciec też pewnie niedługo przyjedzie, jak sądzę. Zgadza się? - Porcja wjechała na podwórze Branksome i zaparkowała dokładnie między białym rollsem a złotym mercedesem. Klaudia drgnęła.

- Nie jestem pewna. Miałam zapytać o to Tony'ego, ale zupełnie zapomniałam... Ale chyba tak. Zechce na pewno być na pogrzebie. - Otworzyła drzwiczki, wysiadła, wygładziła długą, cienką, jedwabną koszulę na plecach i ułożyła spódniczkę w staranne fałdy. Chinka natomiast była ubrana w obcisłe różowe dżinsy i białą koszulkę z krótkim rękawem, w jej uszach migotały małe brylanciki. Klaudia patrzyła na nią i nagle przypomniała sobie, co mówiła na jej temat Sylwia tego wieczoru, gdy został zabity Mark.

- Czy wiesz coś o śmierci Marka, Porcjo? Podobno miałaś tamtej nocy coś pilnego do powiedzenia Hany'emu czy też Markowi. O co chodziło? - Klaudia obróciła się, aby spojrzeć Porcji prosto w twarz i na ułamek sekundy dostrzegła na niej gniew, a natychmiast później usta dziewczyny rozciągnęły się w uśmiechu.

- Och, chciałam ich tylko zaprosić na przyjęcie, które organizowała moja mama, to wszystko. Nic ważnego. Dlaczego pytasz?

- Sylwia mówiła, że byłaś podenerwowana i poruszona.

- Och, ta Sylwia! - Śmiech Porcji miał rozproszyć wszelkie wątpliwości Amerykanki. - Ona zawsze wszystko źle interpretuje. Nie, to naprawdę nie było nic ważnego. - Uśmiech znikł i ciemne oczy szybko zmierzyły Klaudię. Chinka wyglądała, jak gdyby gotowa była przytaknąć lub się obrazić, zależnie od reakcji Klaudii.

- Skoro tak mówisz, Porcjo - mruknęła niedbale Klaudia, ale zadrżała, kiedy weszły do klimatyzowanego holu budynku. Porcja kiwnęła ręką znajomemu portierowi.

Kiedy weszły do mieszkania, Sylwia siedziała na balkonie. Obok niej, opierając się o poręcz, stała ze skrzyżowanymi, szczupłymi nogami w tenisowych szortach jakaś jasnowłosa, bardzo zgrabna dziewczyna. Obie podniosły oczy, kiedy służąca wskazała na Porcję i Klaudię. Sylwia obróciła się i Klaudia doznała prawdziwego wstrząsu na jej widok. Po raz pierwszy widziała, aby ktoś tak bardzo się zmienił w ciągu dwudziestu czterech godzin. Młoda, ładna dziewczyna, która śmiała się i flirtowała zaledwie dwa dni temu, teraz wyglądała jak stara kobieta, której zaciśnięte z rozgoryczenia wargi wykrzywiały głębokie zmarszczki bólu. Spojrzała na przybyłe z nienawiścią.

- Czego chcesz?! - warknęła i Klaudia w tym momencie zawahała się i znieruchomiała. Przez chwilę stała w milczeniu. Bez słowa otwierała i zamykała usta, szukając odpowiednich słów. Wówczas Sylwia zrobiła ku niej gest.

- Nie, nie ciebie pytam, Klaudio. Mówię do niej. Nie chcę jej tu widzieć. Zabierzcie ją stąd! - Patrzyła ponad plecami służącej na Porcję. - Wynoś się stąd, Porcjo! Wynoś się! - Jej głos podnosił się coraz bardziej, aż wreszcie przeszedł w prawdziwy krzyk, przepełniony wściekłością i bólem, i Porcja odwróciła się, wzburzona, kiwając na Klaudię, aby z nią wyszła.

- Nie, Liddie, ty zostań. Chciałabym z tobą porozmawiać. Ale ją stąd zabierzcie. - Klaudia, speszona i zakłopotana, odprowadziła Porcję do drzwi i przeprosiła.

- Sylwia nie jest sobą. Zostanę i porozmawiam z nią. Może umówimy się na wieczór, jeśli chcesz. Na kolację. - Kolejny raz zauważyła tę samą gniewną minę na twarzy Porcji. Trwało to jednak krótko i po chwili Chinka patrzyła na Klaudię już tylko z niepokojem.

- Uważaj na Sylwię. Najwyraźniej niemal odchodzi od zmysłów. Nie wierz w to, co ci naopowiada. Ona nie pierwszy raz zaczęła szaleć. Nie sprzeciwiaj jej się w niczym, tylko ją uspokajaj...

- Dobrze, tak zrobię. Zobaczymy się później. - Gdy Chinka wyszła, zupełnie dezorientowana Klaudia wróciła do dwóch dziewcząt na balkon. Postanowiła być bardzo ostrożna.

- Sylwio? O co chodzi? Dlaczego nie chciałaś, aby Porcja została? Przyszła tylko zobaczyć, jak się czujesz. - Klaudia usiadła obok niej i wzięła ją za rękę. Zauważyła, że z twarzy dziewczyny znika wściekłość i pojawia się ulga. Sylwia wzruszyła ramionami.

- Mogła uratować Marka. Tak uważa Sylwia - odpowiedziała za Francuzkę blondynka. Obserwowała przy tym Klaudię intensywnie. Sylwia skinęła lekko głową.

- Porcja wiedziała. Ona zawsze wie więcej niż powinna. Nie wiem skąd, ale wie. Ale zależało jej tylko na uratowaniu Harry'ego. Mark się dla niej nie liczył.

- Wie o czym? O triadzie? - Klaudia przez moment przenosiła spojrzenie od jednej dziewczyny do drugiej, nie ufając im.

- Będą to ukrywać. To już zaszło za daleko, a teraz nikt nie chce kołysać łódki, na której siedzi - odparła tajemniczo blondynka. - Zabicie Marka to był wielki błąd i sądzę, że ktoś musi za niego zapłacić. Prawie nigdy dotąd nie zabijali białych. Taka śmierć powoduje zbyt wiele zamieszania - dodała powoli, ale Klaudia dostrzegła, że nieznajoma jest rozgniewana i pod jej pozornym spokojem kipi prawdziwa wściekłość.

- Hm, a kim ty jesteś? I skąd to wiesz?

- Och, przepraszam cię, Liddie - wtrąciła się Sylwia. Jej humor zmieniał się niczym przełączany pilotem kanał w telewizji. - To jest Phil.

To znaczy Philippa Purdey. Jest moją starą przyjaciółką... a także Marka - dopowiedziała po chwili, przelękając z trudem ślinę, jakby musiała się zmuszać, by wymówić imię brata Klaudii. - Phil była przez ostatni miesiąc w Auckland, dlatego nie poznałyście się wcześniej.

Blondynka pochyliła się ku Klaudii i wyciągnęła rękę. Na szczupłej twarzy malował się posępny wyraz.

- Wróciłam wczoraj. Przykro mi z powodu Marka. Wszystkim nam przykro.

Klaudia skinęła głową i uściśnęła dziewczynie dłoń, po czym powiedziała z trudem:

- Żałuję, że nie znałam go lepiej. - Umilkła na sekundę. - Ale co chciałaś przez to powiedzieć, gdy mówiłaś, że „to zaszło za daleko” i że zabicie Marka było błędem? Myślałam, że został zamordowany z powodu narkotyków. Jak coś takiego może zająć „za daleko”? - Zobaczyła, że twarze obu dziewcząt znieruchomiały.

Phil wzruszyła ramionami.

- Och, no cóż, cały Hongkong praktycznie jest związany z triadą. Rzecz jasna, nie wszystkie firmy, ale sporo chińskich hongów i dużych domów handlowych powstaje dzięki poparciu mafii, a potem nie jest łatwo zerwać kontakt ze swoim „dobroczyńcą”. Musisz wiedzieć, że wiele europejskich przedsiębiorstw również utrzymuje stosunki z triadą. Chodzi przede wszystkim o handel opium, ale również i heroiną... Narkotyki to wielki przemysł tu na Wschodzie... Tylko tyle chciałam ci powiedzieć. - Wycofała się w ten sposób z tego, co powiedziała wcześniej, i było widać, że jest na siebie zła, że przed chwilą „wyrwały” jej się takie niedyskrecje.

- Jesteś stąd? Z Hongkongu? Czy dlatego wiesz o tym wszystkim? - sondowała dziewczynę Klaudia. Rozparła się wygodniej na krześle, czując na gołych nogach słońce, ale i chłód.

- Jestem tutaj dopiero od jakichś pięciu lat. Mój ojciec tu pracuje, a ja przyjechałam, aby otworzyć swój własny interes. Można się dowiedzieć wiele o jakimś miejscu, kiedy zaczyna się w nim pracować. Hongkong jest w tej chwili jakby na krawędzi i nikt nie wie, jak to długo potrwa. Z tego powodu ludzie stają się nerwowi, chcą szybko osiągać zyski i wyjechać, zanim będzie za późno.

- Jak Mark, chcesz powiedzieć? - Klaudia rzuciła to pytanie na ślepo, aby zrozumieć sens tego, co usłyszała.

- Nie. Mark chciał zostać. Mówię o innych. O osobach dobrze tu ustawionych, które chciałyby stąd uciec przed wkroczeniem komunistów, ale nie mogą wydostać swoich pieniędzy. Mówię na przykład o ludziach, którzy posiadają duże nieruchomości albo firmy i nikt nie chce ich od nich kupić - powiedziała Phil, wykrzywiając usta. Mina ta przywiodła Klaudii na myśl Porcję. Na to skojarzenie poczuła się nieswojo.

- Jadę jutro do Makau. Wiedziałaś? - spytała Sylwia, przerywając milczenie, i Klaudia skinęła głową.

- Tak, słyszałam. Czy długo tam zostaniesz? - Niezręczne pytanie, uświadomiła sobie poniewczasie, żałując, że nie ugryzła się na czas w język.

- Tak długo, jak będzie trzeba. Jest mi to zupełnie obojętne... To moi rodzice chcą, abym tam pojechała. Boją się, że się zadreczę albo coś sobie zrobię! - odparła Francuzka. Jej słowom towarzyszył dziwny, wysoki, huczący śmiech. - Ale ja sobie nic nie zrobię. Na pewno nie, póki nie dowiem się, kto się przyczynił do śmierci Marka. Porcja coś wie i jest przerażona... Ja ją przerażam. - Jej głos stał się osobliwie kąśliwy. Klaudia i Phil poruszyły się niespokojnie. Phil położyła przyjaciółce dłoń na ramieniu, chcąc ją uspokoić. Sylwia spuściła oczy na długą chwilę, zanim nagle podniosła głowę i spojrzała z furią na Klaudię.

- Harry również zna prawdę, co? Wie, co się za tym wszystkim kryje. Lepiej na niego uważaj, Liddie, mogą go także zaszlachtować... -A potem zaczęła długo i spazmatycznie łkać. Philippa otoczyła ją ramieniem i wprowadziła łagodnie do pokoju. Klaudia siedziała jeszcze przez chwilę i niemo wpatrywała się w swoje ręce w jaskrawym słonecznym świetle.

Rozdział dwudziesty szósty

Kiedy Klaudia dotarła do domu, wyczerpana emocjonalnie i fizycznie z powodu hałasu, gorąca, tłumów i przeżyć tego dnia, znalazła pod drzwiami domku karteczkę. Podniosła ją z roztargnieniem, po czym weszła do swojej siedziby i rzuciła torbę na krzesło. W domku było chłodno. Pokryta linoleum podłoga lśniła wypastowana przez Dorotheę. Roślinność przysłaniała umyte świeżo okna, przez które wpadało nieco słonecznych promieni. Słysząc było wodę chlupoczącą o łódź. Dziewczyna stała przez moment zupełnie nieruchomo, jak gdyby chciała, aby ten uspokajający dźwięk omiół ją i ukoił. W końcu opuściła wzrok na list, który trzymała w rękach, obracając go, zanim starannie rozcięła kopertę i wyjęła jej zawartość.

Droga Klaudio!

Przyjechałem dziś rano i mieszkam w hotelu „Mandaryn”, pokój 515. Tony Ingram jest w szpitalu, a Ciebie nie zastałem. Proszę zadzwoń niezwłocznie. Muszę wiedzieć, co się stało z Markiem.

Pozdrawiam Tatuś

Klaudia miała już własny telefon, który Frań zainstalowała dla niej zaledwie przed kilkoma godzinami, więc zmięła notatkę w palcach i poszukała w książce numeru do hotelu „Mandaryn”. Wykręciła numer, a potem czekała niecierpliwie na połączenie z pokojem ojca.

- Halo, tato, czy to ty?

- Klaudia! Nareszcie. Gdzie byłaś przez ten cały czas? Czekam tutaj od kilku godzin, na litość boską! - Nastąpiła krótka przerwa, w czasie której Frank Babcock układał zapewne myśli i przypominał sobie, że Klaudia jest jego córką. - Słuchaj, kochanie, przepraszam, że na ciebie krzyknąłem, ale po prostu nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Czy Mark naprawdę nie żyje? - W jego głosie było tak wiele bólu, że Klaudia musiała zacisnąć oczy i walczyć z napływającymi łzami.

- Tak, tato, naprawdę. O Boże! - I w tej właśnie chwili całe to opanowanie, które narzucała sobie surowo przez ostatnie dwa dni, ulotniło się i dziewczyna rozplakała się bezradnie w słuchawkę.

Frank Babcock wyglądał niemal dokładnie tak samo, jak go zapamiętała. Ciągłe był ogromnym, prostodusznym z pozom mężczyzną; włosy krótko podstrzyżone podkreślały mocną linię podbródka i szeroki kark. Umówił się z Klaudią w holu hotelu „Mandaryn”. Stał teraz nieruchomo i oglądał się za każdą młodą kobietą, która przechodziła obok, za każdym razem przekonany,

że to właśnie ona musi być jego córką. Klaudia dotknęła go w ramię, a wtedy się odwrócił, zaskoczony i speszony, że jej nie poznaje.

- Byłam tą twoją córką, która miała ciemne włosy, tato. A może w ogóle nas nie pamiętasz? - powiedziała ostro, widząc jak patrzy niezdecydowanie na jakąś rudowłosą dziewczynę.

- Klaudio! Nie byłem pewien, czy uda mi się wyobrazić sobie, jak może teraz wyglądać siedmiolatka. Co u ciebie? Wyglądasz na zupełnie wycieńzoną. - Sam też tak wyglądał, co Klaudia stwierdziła, podchodząc bliżej. Jego oczy były przekrwione i podpuchnięte, skóra wokół podbródka obwisła. Miała wrażenie, że jest chory. Pokiwała głową.

- Jestem zmęczona i trochę rozdygotana. Pójdziemy na górę, czy gdzieś indziej?

- A taak, oczywiście, wejdźmy do pokoju. Nie wiedziałem, czy nie będziemy musieli pójść go zobaczyć, czy coś w tym rodzaju... - Zachwiał się nagle, potem podniósł oczy na córkę i zamilkł. Głośno pociągnął nosem, rozejrzał się wokół siebie i jego wzrok zatrzymał się przez chwilę na żyrandolach.

- Nie, nie, nie trzeba, tato. Nie musisz tego robić. Chodź, wyjaśnię ci wszystko na górze. - Poprowadziła go łagodnie ku krawędzi schodów, zła na siebie za to, że zrobiło jej się tak przykro, gdy ojciec jej nie rozpoznał. W jaki sposób miałby ją rozpoznać? Zresztą miał dosyć problemów na głowie.

Rozmawiali przez wiele godzin w chłodnej sypialni wyglądającej jak pudło. Od czasu do czasu patrzyli na wody portu przez przydymione szyby. Pili kawę, ale żadne nie ruszyło kanapek, na zamówienie których nalegał ojciec Klaudii. Siedział przed nią zupełnie nieruchomo, oszołomiony, i nie chciał, a może nie potrafił uwierzyć, że Mark nie żyje. Ale przecież nie widział jego ciała, przypomniawszy sobie dziewczyna, kiedy z bólem musiała przechodzić przez to wszystko od nowa, i zobaczyła, jak jej ojciec z godziny na godzinę garbił się coraz bardziej, kulił i zamykał w sobie, aż w końcu wydał jej się jakby mniejszy. Obserwowała go ze smutkiem, ale nie zamierzała mu pomóc.

- Twoja żona nie przyjechała z tobą? - spytała w końcu, kiedy była pewna, że wreszcie oswoił się z faktami i zrozumiał sytuację. Jego oczy były stare i bez życia.

- Nie, chciała zostać z dziećmi. Jej i Markowi nie układało się najlepiej w ostatnich latach. Pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli przyjadę sam.

- Najlepiej dla kogo? - spytała ostro Klaudia, a potem westchnęła i pohamowała gniew, który czuła do Joyce. Podniosła dzbanek z kawą i zrobiła gest w kierunku ojca, ale mężczyzna potrząsnął głową.

- A co z twoją matką, Klaudio? - spytał po chwili. - Zadzwoiłem do niej natychmiast, kiedy usłyszałem o całej sprawie i okazało się, że ona nic nie wie. Dlaczego jej nie powiedziałaś? - Wpatrywał się w córkę, która odstawiła dzbanek na tacę. Jej twarz była napięta z rozpaczy.

Klaudia podniosła ręce, jak gdyby próbowała coś wyjaśnić, ale potem zrezygnowała i ręce jej opadły bezwładnie na kolana. Była taka zmęczona, tak rozpaczliwie, tak strasznie znużona, że ledwie panowała nad głosem.

- Nie wiedziałam, co jej powiedzieć. Nie chciałam usłyszeć, że już dawno przecież wyparła się Marka, a z drugiej strony nie chciałam usłyszeć bólu i wyrzutu sumienia w jej głosie. Przepraszam, po prostu straszny ze mnie tchórz. - Podniosła oczy na ojca, ale nie dostrzegła w nich zrozumienia.

- Sądzę, że powinnaś teraz do niej zadzwonić. Ona czeka, aby usłyszeć to od ciebie. - Frank podniósł słuchawkę telefonu i podał ją córce, a ona niechętnie wykręciła numer. Telefon dzwonił przez długi czas, zanim matka odebrała.

- Halo? - odezwała się Lucille dalekim i nieśmiałym głosem, jak gdyby czekała i zarazem lękała się tego, co usłyszy. Klaudia zawahała się, otworzyła usta, ale żadne słowa nie popłynęły z nich.

- Halo? - powtórzyła ostrzejszym tonem kobieta.

- Mama? - Słowo wyszło dziewczynie z gardła dziwnie zduszone i dotarło do niej, że minęła długa chwila milczenia, zanim matka odpowiedziała.

- Klaudia? Czy to ty, Klaudio? - Głos stał się bardziej stłumiony, jak gdyby położyła dłoń na słuchawce. - To ona! - powiedziała do kogoś obok siebie. Dziewczyna zmarszczyła brwi i starała się opanować drżenie w głosie.

- To ja, mamó. Przepraszam, że nie zadzwoniłam do ciebie wcześniej.

- Jak się czujesz, Klaudio? Czy wszystko w porządku? Twój głos nie brzmi najlepiej. Czy twój ojciec jest już z tobą?

- Tak, mamó. Właśnie przyjechał. Przykro mi z powodu Marka, mamó...

- Cii, Klaudio, nie ma powodu, żeby było ci przykro. To mnie jest przykro. Przecież w ogóle nie chciałam, abyś pojechała... nie sądziłam, że zdarzy się tam tyle zła. Cieszę się, że jest z tobą twój ojciec. Nie powinnaś przechodzić przez to wszystko sama. - Matka przez moment wahała się, po czym zmusiła się do pytania: - Jak umarł?

Pytanie sprawiło Klaudii bolesną niespodziankę i przez sekundę milczała, niepewna jak odpowiedzieć.

- Został zakłuty nożem, mamó. Zamordowany. Był wmieszany w handel narkotykami i w inne sprawy... Dokładnie jeszcze niczego nie wiem.

- O Boże, Klaudio, wiedziałam, że coś jest nie w porządku, kiedy powiedziałaś, że Mark jak oszalały prosi cię o przyjazd. Wiedziałam, że coś jest nie tak! Nie wiem, co ci teraz powiedzieć... Nie rozłączaj się. Co mówisz?

- Słuchała kogoś, kto mówił do niej w tle, i Klaudia zamknęła oczy, aby gorące łzy, które je wypełniły, nie spłynęły jej na policzki. Usta dygotały, wstrząsane krótkimi szlochami. Z całych sił, desperacko, starała się nad sobą zapanować.

- Halo, Liddie? To ja, Todd. Czy dobrze się czujesz? Co się dzieje? - Nowy głos, który pojawił się w słuchawce, przestraszył Klaudię i wydała z siebie przyprawiający o dreszcz krzyk:

- Todd? Todd, dlaczego nie śpisz o tak późnej godzinie?

Ale ma już przecież dwanaście lat, przypomniła sobie, i jest wystarczająco dorosły, aby próbować jej pomóc.

- Usłyszałem, że zadzwonił telefon. Od dawna czekaliśmy, aż zadzwonisz. Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Hm, tak, tak, wszystko będzie dobrze. - Głos Klaudii stał się wyższy i bardziej piskliwy. Dziewczyna powstrzymywała łzy. Odchrząknęła i obniżyła o oktawę ton. - Jest tu mój ojciec i usiłujemy wszystko uporządkować i załatwić. Nic nam nie będzie, nie martw się. Czy babcia czuje się dobrze?

- Tak. Jest teraz trochę zdenerwowana, ale bardziej martwi się o ciebie. Ja też. Nie zostałaś ranna? Nie było cię tam?

- Nie, nie - odparła, chociaż miała ochotę powiedzieć: „Ale słyszałam, słyszałam, jak umierał w strasliwym bólu”; wiedziała jednak, że nie ma sensu mówić czegoś takiego, mało tego, że nie wolno obciążać umysłu dziecka takimi słowami. - Słuchaj, muszę już kończyć, Todd. Opiekuj się babcią. Pozdrów ją. Ściskam cię... i zadzwonię za parę dni, dobrze?

- Tak, dobrze. Czekał... babcia mówi, że musisz zadzwonić do Joaney. To jest podobno bardzo pilne.

- Do Joaney? Uch, dobrze, zadzwonię.

- Dbaj o siebie, Liddie. Oboje cię pozdrawiamy. Wiesz, że cię kochamy, prawda?

Uśmiechnęła się boleśnie, słysząc dorosły ton w jego głosie. Mały Todd, który za całą rodzinę załatwia wszystkie sprawy. Cóż, prawda była taka, że dorastał. Nie był już małym dzieckiem.

- Tak, dzięki. Cześć! - Przycisnęła widełki, kiedy chłopiec wypowiedział słowa pożegnania i powoli odłożyła słuchawkę. Ojciec stał przed oknem i spoglądał na widoczny pod hotelem port. Klaudia zauważyła, że mężczyzna płacze.

- Mama prosiła, aby cię pozdrowić - powiedziała speszona. Dostrzegła, jak lekko skinął głową.

Środa

Pogrzeb odbył się dwa dni po tym spotkaniu. Frank Babcock wynajął wielką dżonkę, wystarczająco dużą, aby mogła pomieścić mniej więcej trzydzieści osób, które się zjawiły. Wypłynęli powoli z portu i przez otwartą cieśninę przedostali się na wyspę Lantau. Tam rozrzučili prochy Marka i, słuchając niewyraźnego głosu księdza, patrzyli, jak unoszone przez wiatr czarne okruchy spalonego ciała podlatują w górę, a potem opadają na ciemnozieloną wodę. Klaudia z ciężkim i smutnym sercem obserwowała te szare cętki, które chwilę latały w powietrzu, a następnie znikwały w wodzie.

Rozejrzała się wokół siebie i wpatrzyła w sylwetki ludzi, którzy przyszli wziąć udział w ostatnim pożegnaniu.

Niektórzy, jak Harry, Ryba, Philippa Purdey, Porcja Hsu, Fran i Jack Clementsowie, byli jej znani. Przybył również Tony, który wyglądał na zmęczonego i chorego, ponieważ dopiero co wyszedł ze szpitala, oraz jego ojciec, Bill Ingram. Innych nie знаła, ale za to jej ojciec znał ich wszystkich i próbował się uśmiechać i dziękować im za przyjście. Brakuje jedynie Sylwii, pomyślała Klaudia. Ale Mark z pewnością i tak wiedział, jak bardzo go kochała.

Oficjalnymi świadectwami, nekrologami i innymi koniecznymi sprawami zajął się ojciec dziewczyny, a ona sama robiła, co mogła, aby mu pomóc. Ale on chciał wszystko mieć jak najszybciej za sobą, aby wyjechać i wrócić do żony i swojej nowej rodziny. Klaudia wiedziała, że prawie nie myśli o niej, a kiedy sobie o niej przypomina, czuje jedynie wyrzuty sumienia. Wyrzuty sumienia, przed którymi pragnął uciec tak samo prędko jak przed swoim smutkiem. Wzruszała więc tylko ramionami i próbowała być wyrozumiała.

W dniu pogrzebu było chłodno i wietrznie, toteż dżonka pruła fale przez głębokie wodne rowy i chwiała się niezdarnie na płyciznach. Klaudia, blada i spryskana solą, obserwowała uważnie Harry'ego. Zastanawiała się, czy myśli

o niej i o tym, co zaszło między nimi. Ale Chińczyk wpatrywał się jedynie bez końca w zielone wzgórza Lantau, jak gdyby był tu tylko ciałem, a jego duch błędził gdzieś indziej. Była zaskoczona, że w ogóle zaryzykował przyjscie tutaj, ale pomyślała, że może zdążył już uporządkować swoje sprawy z Yee. Będzie musiała go o to spytać później, kiedy zostaną sami. Jeżeli do niej przyjdzie... Biedny Harry, powiedziała sobie, wygląda na tak zranionego i chyba... czuje się winny. Jak gdyby mógł coś pomóc. Westchnęła.

Nie zauważyła, że obserwuje ją Tony. Zacisnął usta, gdy zobaczył, jak mizernie wygląda jego przyjaciółka. Nie widziała też Ryby, który debatował o czymś cicho w dalszym końcu pokładu. Nie dostrzegała również Phil ani Porcji, rzucających sobie zagniewane spojrzenia. Nie patrzyła na nikogo ani na nic; widziała tylko Harry'ego.

Poczuła ulgę, gdy dżonka wróciła do portu. Wraz z ojcem pożegnała chłodno i oficjalnie wszystkich, którzy zadali sobie trud i przyszli na pogrzeb. Harry ledwie spojrzał na Klaudię, po czym pospiesznie odszedł, Tony natomiast długo ścisnął jej rękę w swojej ciepłej dłoni, jak gdyby próbował wlać w nią trochę swojej siły. Uśmiechnęła się do niego z zakłopotaniem. Bardzo jej się podobało, że jest taki taktowny, dyskretny, ale nie potrafiła przestać myśleć o Harrym. Toteż Tony wymamrotał pożegnanie i odszedł, zostawiając ją smutniejszą niż kiedykolwiek.

Jeszcze większą ulgę poczuła, gdy wreszcie pożegnała się z ojcem. Wówczas wróciła do swego małego domku i zamknęła za sobą drzwi.

Ledwie, z westchnieniem satysfakcji, usiadła na sofie i położyła wysoko nogi, przypomniała sobie o Joaney. Podniosła więc słuchawkę telefonu i szybko wykręciła numer, próbując obliczyć w pamięci, jaka różnica czasowa dzieli ich miasta.

Boże, jak bardzo tęskniła za Joaney... i za Michaelem także. W gruncie rzeczy tęskniła za wszystkimi... Może powinnam pomyśleć o powrocie, zastanowiła się. Co ją tutaj właściwie trzymało? Harry? Nie, on jej nie potrzebował, zupełnie jej nie potrzebował, i sama czuła, że żadne z nich nie znalazło w ramionach drugiego tego, czego szukało. Wspomnienie siebie z dzieciństwa było jedynie fantazją, którą każde z nich sobie zbudowało przez lata tęsknoty. Teraz, gdy się spotkali, okazało się, że nic ich nie łączy. To była pomyłka, przyznała się przed sobą dziewczyna, boleśnie potrząsając głową, to tylko głupia, mimowolna pomyłka. Nie kocham cię, Harry, pomyślała z żalem. Zmarnowałam tak wiele czasu po to, by teraz się dowiedzieć, że cię nie kocham. I że ty nie kochasz mnie.

Czy dlatego nie dzwoniłeś, dlatego nie przychodziłeś, Harry? Czy nie potrafisz po tym wszystkim stanąć ze mną twarzą w twarz? Czy o to chodzi?

Telefon dzwonił bez końca, aż wreszcie Joaney podniosła słuchawkę.

- Joaney?

- Klaudia? Czy to naprawdę ty? - wychrypiała jej przyjaciółka i Klaudia uśmiechnęła się do siebie, myśląc, że Joaney jak zwykle kiepsko się czuje przed południem.

- Tak, to ja. Co się stało? Dowiedziałam się, że chcesz mi powiedzieć coś bardzo pilnego, ale nie mogłam wcześniej zadzwonić. Tu wszystko okazało się takie... trudne. - Długo panowało milczenie. - Joaney?

- Myślałam, że powinnaś wiedzieć. O Jasonie. Został zabity. - W słuchawce znowu zapanowała straszliwie długa chwila ciszy, podczas której Klaudia starała się pojąć i przyswoić sobie nowinę. To nie może być prawda. Jason także zamordowany? To niemożliwe!

- Kiedy? - zapytała ochryplym głosem.

- W zeszłym tygodniu. Lecą właśnie z ciałem do domu. Wiesz, moi rodzice...

- A co mu się właściwie stało?

- Został, hm... chyba zakłuty nożem czy coś takiego. Nikt naprawdę nie wie, dlaczego ani jak to się stało. - Klaudia usłyszała w głosie Joaney drzenie, przypominając sobie ich ostatnie spotkanie z jej bratem, tę brzydką, przepełnioną nienawiścią scenę. Ale tego nie można już było odwrócić.

- Och, Joaney, tak mi przykro. Nie mogę uwierzyć, to mi się wydaje zupełnie nieprawdopodobne... czy to był napad rabunkowy albo coś w tym rodzaju?

- Tak pomyślała policja w pierwszej chwili, ponieważ jego pokój hotelowy był splądrowany. Ale niczego wartościowego nie zabrano. To zupełnie nie ma sensu! - zawodziła Joaney, a Klaudia zamknęła oczy. Uświadomiła sobie, że nie potrafi już więcej znieść, nie teraz.

- Cztery dni temu został zabity mój brat Mark - powiedziała w końcu i usłyszała w słuchawce, jak Joaney z trudem łapie oddech. Szybko opowiedziała o całej sprawie. Jak sobie poradzić z tym tak niewiarygodnym, takim okropnym zbiegiem okoliczności? To było już dla Klaudii zbyt wiele. Pożegnała się szybko z Joaney i odłożyła słuchawkę. Przez wiele minut wpatrywała się milcząco w swoje ręce.

Potem zadzwoniła do Tony'ego Ingrama.

- Chcesz mi powiedzieć, co się dzieje, tato? - Tony siedział na twardym stołku przed oknem. Garbił się, łokcie trzymał na kolanach, dłońmi podpierał brodę. W oczach czuł ból z powodu wiatru i zdjęcia niedawno bandażu. Był spokojny. Pamiętał głos Klaudii, która relacjonowała mu przez telefon kolejne wydarzenia bardziej nieszczęśliwym tonem, niż kiedykolwiek słyszał. Obserwował, jak jego ojciec napełnia fajkę, ugniata tytoń za pomocą kciuka, a potem zapala.

- W jakiej kwestii?

- Chodzi o śmierć Marka Babcocka. I jeszcze o jedną śmierć, dzień czy dwa wcześniej, w Tokio. Niejaki Jason Hewitt, czy znasz to nazwisko? Zginął w ten sam sposób.

Tony wiedział, że jego ojciec celowo udaje niedomyślność, pytając syna:

- W jaki sposób?

- Nie żartuj sobie ze mnie, tato. Po prostu powiedz mi, o co tu chodzi.

- Dlaczego sądzisz, że wiem coś o tym Jasonie, jak mu tam? - Bill Ingram podniósł wzrok na szare oczy syna i dostrzegł w nich gniew.

- Ponieważ istnieje związek między nimi. Mark Babcock przysłał Klaudii na przechowanie jakieś pudełko. Nazwał je swoją polisą ubezpieczeniową. Pudełko zniknęło bez śladu z mieszkania dziewczyny, a ostatnią, jak twierdzi Klaudia, osobą, która go dotykała, był Jason Hewitt. Dziewczyna nigdy już potem nie zobaczyła przesyłki. A ten Jason Hewitt zamieszkał w Japonii. Pamiętasz Japonię, prawda, tato? - Odchrząknął, ponieważ nie lubił aromatu tytoniu, który palił ojciec. Miał kwaśny, zatęchły zapach.

- Nie mieszam się w sprawy policji, Tony...

- Ależ tak, jeśli mają związek ze sprawami, którymi się zajmujesz. To ty mnie w końcu skierowałeś na trop Harry'ego Bragi i Marka Babcocka. I było to dokładnie tego samego wieczoru, kiedy Mark został zamordowany... Babcock był zamieszany w sprawki Yee Fong Lo. Sądzę, że to nazwisko z czymś ci się kojarzy, prawda? Bóg mi świadkiem, że miałem w przeszłości wystarczająco dużo problemów z twoim biurem. Zawsze blokowaliście moje śledztwo, gdy chodziło o Yee.

- Może. Ale nie wiem, do czego ma to, twoim zdaniem, doprowadzić, Tony.

W głosie ojca była dezaprobata. Tony zacisnął usta. Bill Ingram mówił zawsze tylko to, co uważał za stosowne, pomyślał z gniewem.

- Do ustalenia związku między tymi sprawami, tato. Nie oszukuj mnie. Myślę, że dobrze wiesz, co się dzieje, a przynajmniej na pewno masz jakie

takie pojęcie. A co z Aidanem? To przecież on zawiózł to pudełko Klaudii. Czy wiedział, co w nim było?

- Aidan Lockhart już dla mnie nie pracuje - odrzekł spokojnie Bill.

- Och, daj spokój! To jest nieoficjalna rozmowa, przynajmniej jak dotąd. Gdyby Aidan wiedział, jak otworzyć pudełko, z pewnością dowiedziałby się, jaka jest jego zawartość. Klaudia powiedziała mi, że jej zdaniem niczego nie wiedział, ponieważ wyglądał na rozczarowanego i znudzonego, gdy od niej wychodził. Ale ty musisz mieć swoje podejrzenia, tato. Czy w środku znajdował się jakiś dowód obciążający Yee? Coś, co wiązało go z którymś z twoich ulubionych polityków? Powiedz mi, tato.

- Wydajesz się przeceniać moją pracę, Tony. - Bill uśmiechnął się niepewnie. - Naprawdę nie mogę ci nic powiedzieć, obawiam się...

- Nie możesz? Czy nie chcesz? - Tony wstał nagle i popatrzył chłodno na ojca. - Nigdy przedtem o nic cię nie prosiłem, ale ta sprawa dotyczy kogoś, kto... - Przerwał, niepewny tego, co zamierza powiedzieć. Nie chciał się przyznać do swoich uczuć, nawet przed samym sobą. Bill Ingram uśmiechnął się ironicznie.

- Tak, synu?

- Nie dręcz mnie, tato. Daj mi coś, nad czym mógłbym pracować. Proszę cię!

- Wiem tylko tyle, ile przeczytałem w gazetach albo usłyszałem z plotek, które krążą po mieście. Ale jeśli chcesz się dowiedzieć, co się dzieje, myślę, że powinieneś porozmawiać z Harrym Bragą. Na twoim miejscu zapytałbym właśnie jego. A potem możesz mi powiedzieć, co wiesz - dodał cicho Bill, po czym znowu wyjął zapalniczkę i zapalił fajkę, pykając głośno, aż tytoń się rozjarzył. Tony przyglądał mu się w milczeniu, a potem zapytał:

- Czy o niego tu chodzi?

- Tak, ja tak sądzę. A ty? - Ale Tony wyszedł i nie udzielił ojcu żadnej odpowiedzi.

Rozdział dwudziesty siódmy

Koniec maja 1989 roku

- Spróbuj bardziej cieszyć się życiem, Klaudio. - Fran zagłębiła się w jednym z wiklinowych foteli na tarasie i patrzyła z niepokojem na młodą dziewczynę siedzącą obok. Minęły już ponad dwa tygodnie od śmierci Marka, w tym czasie przyjechał Frank i odbył się pogrzeb; teraz ojciec dziewczyny opuścił Hongkong, a jego córka nadal trwała w swego rodzaju letargu.

- Pojedź z nami dżonką na sobotę. Jedziemy do „3aru na Mokradłach” na Lammie. Będzie niezła zabawa. Odstaw na jakiś czas tego swojego straszliwego laptopa. Spójrz na siebie! Jesteś taka blada i wymęczona. Wyglądasz jak maszynistka z biura! Powinnaś się wstydzić, że tkwisz przed komputerem w taką wspaniałą pogodę. - Zamilkła, kiedy Klaudia posłała jej blady uśmiech.

- A co u Tony'ego? Spotykasz się z nim? - sondowała znowu Fran. Klaudia potrząsnęła głową.

- Nie, od dnia pogrzebu go nie widziałam. Rozmawiałam z nim tylko parę razy przez telefon. Jest stale zajęty.

- Miał nie lada szczęście, że nie stracił wzroku. Czy zostały mu jakieś blizny?

Klaudia próbowała sobie przypomnieć, jak wygląda Tony, ale obraz zamigotał i rozmył się. Pamiętała jedynie, że minę miał nietęgą.

- Sądzę, że złuszczyło mu się trochę skóry na twarzy, ale nie powinien mieć blizn. Nic mu nie będzie. Zresztą, Tony Ingram nie lubi, aby się nim przejmować.

- W każdym razie na pewno nie lubi, aby zajmowała się nim Joanna... - odcięła się Fran, prawie czytając myśli Klaudii. - Za każdym razem, kiedy jego matka się tu zjawia, Tony wraca do swojej skorupy. To miły chłopak, ale Joanna niemal zniszczyła mu charakter. Trudno mi sobie wyobrazić, jakiej dziewczynie uda się przebić przez ten jego pancerz. Może takiej, która będzie go potrzebowała... która będzie potrzebowała jego opieki. - Rzuciła na dziewczynę ukośne spojrzenie, ale nie dostrzegła żadnej reakcji. - Nie ufa kobietom. A to taki miły chłopiec.

- Ten chłopiec ma trzydzieści jeden lat - odparła Klaudia łagodnie, ale w duchu zgadzała się z oceną Fran. Joanna go niemal zniszczyła? Niemal czy całkowicie? Dziewczyna zmarszczyła policzek i pomyślała gniewnie, że gdyby mogła, na pewno zemściłaby się na matce Tony'ego. Jak można

wykoślawić charakter kogoś tak sympatycznego jak ten chłopak. Ale tak się czasami działo w życiu. A im ktoś był miłszy i bardziej życzliwy dla ludzi, tym był zapewne podatniejszy na zranienie.

- Każdy osobnik poniżej czterdziestki jest dla mnie chłopaczkiem, Klaudio!

- roześmiała się Fran. Przesunęła okulary słoneczne w górę na czoło i łypnęła okiem w kierunku wody. - Wyływamy w sobotę o dziewiątej. Weź z sobą strój kąpielowy.

- Och, ale ja naprawdę...

- O dziewiątej. I nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu. To ci naprawdę dobrze zrobi.

Z tymi słowy Fran podniosła się lekko z krzesła i odeszła w górę ogrodową ścieżką. Co jakiś czas wyrwała jakiś chwast lub odcinała różę. Jak przez mgłę Klaudia dosłyszała dzwonek telefonu, wobec czego wróciła do domku. Zastanawiała się, czy nie dzwoni do niej przypadkiem wydawca z San Francisco. Już tydzień temu obiecała mu kopię tekstu, a przefaksowała ją dopiero wczoraj. Jest zapewne wściekły.

- Klaudia? Tu Phil Purdey. Jak się masz?

- Phil? Ach, to ty! Przepraszam, ale spodziewałam się, że dzwoni ktoś inny, kto na mnie nakrzyczy. U mnie wszystko w porządku. A co u ciebie?

- Wspaniale. Zastanawiamy się, jak sobie radzisz. Nikt cię nie widział ani z tobą nie rozmawiał od dnia pogrzebu. Czy możemy coś dla ciebie zrobić? - My...? pomyślała Klaudia. Kto się kryje za tym „my“?

- Och! Och, Boże, zupełnie bym zapomniała. Tego wieczoru, kiedy przyjechał mój ojciec, poszłam się z nim zobaczyć do hotelu, a miałam zadzwonić do Porcji...

- Tak, to prawda. Musisz to zrobić koniecznie. Bo wiesz? Ona myśli, że Sylwia ci coś naopowiadała i może dlatego się z nią nie kontaktujesz. Trochę się dąsa. - W głosie Phil była jakaś rezerwa, a może nawet ostrzeżenie. Klaudia zastanowiła się, dlaczego? - No, to kiedy cię zobaczymy? Wiesz? Ryba też się trochę dopytywał o ciebie.

Klaudia uśmiechnęła się lekko.

- Ryba? Naprawdę? Och, no cóż, powiedz mu, że będę w „Barze na Mokradłach” w sobotę. Fran nalega, abym tam z nią poszła.

- Na błotne zapasy? To wspaniale, zobaczysz niezłą zabawę. Będziemy tam wszyscy. Tylko nie ubieraj się za ładnie, bo możesz sobie zniszczyć strój. Potem mamy zamiar jeść kolację na Cheung Chau. Chciałybyś tam pojechać z nami?

Klaudia pomyślała, że Phil zawsze jest taka opanowana i trzeźwa. Zawsze tak logicznie myśli. Może rzeczywiście dobrze mi to zrobi, zastanowiła się.

- Kto to jest „my”? Czy znam wszystkich?

- No, jest nas cała paczka, ale, jak sędzę, znasz chyba tylko mnie, Rybę i Porcję. Może też przyjdzie Harry. Nie odpowiedział jeszcze na zaproszenie. - Na moment zapadła cisza. - I może będzie też Tony Ingram. Znasz go, prawda? Będzie pewnie walczył w grupie policyjnej. No, a poza tym, oczywiście, zwykły tłumek uczestników. Popłyniemy sampanami na Cheung Chau, a do domu wrócimy jedną z dżonek. Tak będzie chyba najprościej.

Głos Philippy rozbrzmiewał takim entuzjazmem, że Klaudii zaczął się udzielać jej zapał. Pomyślała sobie, że skoro wszyscy się bawią, dlaczego ona jako jedyna ma ciągle opłakiwać zmarłego brata? Potem poczuła wyrzuty sumienia i zaczęła w duchu przepraszać Marka. Phil westchnęła z irytacją.

- Zrozum, Klaudio, gdyby odwrócić sytuację... gdybyś to ty została zabita, a Mark pozostał przy życiu, mogę się założyć, że poszedłby z nami. Nikt przecież nie przestał żałować twojego brata, ale nie można się przecież zamknąć w domu i przestać widywać z ludźmi. To jest chore. Przyjedź, bardzo cię proszę! - nalegała i Klaudia przeraziła się, że tak łatwo można odczytać jej myśli. Wiedziała jednak, że Phil ma rację. Mark na pewno nie rozpaczałby w samotności.

- Dobrze. Ale muszę to jeszcze uzgodnić z Fran. Byłoby nieuprzejme zostawić ją i Jacka w połowie zabawy...

- Dobrze, więc uzgodnij, a potem zadzwoń do mnie. Ale, tak czy owak, zarezerwuję dodatkowe miejsce na kolację. W takim wielkim tłumie jedno miejsce więcej nigdy nie zaszkodzi. No, to do zobaczenia. Och, tak przy okazji - chwilę trwało milczenie i Klaudia doznała nagle dziwnego uczucia, że Phil zadzwoniła do niej tylko dlatego, aby jej przekazać tę właśnie informację, że cała reszta to był tylko kamuflaż. - Wiesz, że Porcja chodzi z Harrym, prawda?

To było tylko przelotne spostrzeżenie, ale Klaudia poczuła się dziwnie.

- Nie, szczerze mówiąc, nie wiedziałam. A dlaczego mi to mówisz? - Klaudia próbowała mówić z rozbawieniem i obojętnością. Dosłyszała w słuchawce zainteresowanie rozmówczyni.

- Nie widziałas się z nim ostatnio?

- Nie.

- Ach tak, po prostu wydawało mi się, że chciałabyś o tym wiedzieć. Ojcu Porcji, oczywiście, z różnych powodów nie podoba się ten kandydat... -

ponownie zapadła cisza na długie sekundy, w czasie których Phil zapewne zastanawiała się, czy nie wyjaśnić Klaudii szczegółowo tych wszystkich przyczyn, ale prawdopodobnie uznała, że nie należy tego robić, więc tylko dodała: - ...ale ona ma jakieś swoje sposoby i dzięki nim zawsze dostaje to, czego chce.

- O Boże, a czy Harry o tym wie? - Klaudia roześmiała się z goryczą i pożałowała nagle, że życie nie jest takie proste, jak wydawało się Porcji Hsu.

- Tak. Harry wie wszystko. - Głos Phil był suchy.

- Tak samo jak ty, chciałaś powiedzieć - odcięła się Klaudia dość złośliwie i po drugiej stronie znowu zapanowała cisza.

- Nie, ja nie wiem wszystkiego. Wcale nie wiem dostatecznie dużo. Do zobaczenia w sobotę, Klaudio - zakończyła rozmowę i przerwała połączenie.

W dzielnicy Hongkongu North Point przypada więcej osób na kilometr kwadratowy niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Aż się tam roi od ludzkich ciał. Wiele rodzin zajmuje wspólnie małe pomieszczenia, zastawiając je niezliczonymi miejscami do spania, wobec czego jadają i gotują na korytarzach lub balkonach ogromnych, strzelających w niebo mieszkalnych wysokościowców.

Yee Fong Lo siedział przy oknie restauracji „Ziała Perła” i powoli, ze smakiem, przeżuwał małe, połyskujące od tłuszczu pierożki dim sum. Jednocześnie słuchał siedzącego obok niego mężczyzny, który opowiadał mu o studenckiej rewolcie w Chinach. Kiedy dotarło do niego, że Li Peng i Zhao Ziyang odwiedzili niedawno osoby prowadzące strajk głodowy i wysłuchali ich roszczeń, uniósł brwi w zadumie. Przez cały czas rozmowy zresztą kręcił nosem i mrużył oczy, chytrze się uśmiechając.

Harry informował go właśnie o tym, że personel Nowochińskiej Agencji Informacyjnej przyłączył się do People's Daily, domagając się wolności prasy. Rozgrzebał pałeczkami jedzenie na swoim talerzu, ale nic nie zjadł. Odechciało mu się, gdy Yee mlasnął i wymamrotał:

- Dzieje się całkiem dobrze. Na pewno lepiej, niż się spodziewaliśmy.

Obok ich stolika przejechał znowu wagonik z bambusowymi koszyczkami pełnymi smakołyków. Harry przerwał swoją opowieść, a Yee wybrał kolejny przysmak.

- W następny wtorek odbędzie się tutaj demonstracja - kontynuował Harry po chwili. - Początek weźmie gdzieś w okolicach Queensway...nie jestem jeszcze pewien, skąd dokładnie ruszy. Będzie to około południa, aby porwać z sobą również wychodzących na lunch robotników. Opowiem o niej ludziom w

moim poniedziałkowym programie nocnym. Natomiast przy torze wyścigowym Happy Valley 27 maja odbędzie się „Koncert na rzecz demokratyzacji w Chinach”. Relację z niego przekażę także. To chyba wszystko, co mogę zrobić. - Młody człowiek wypowiedział to stanowczym tonem, ale Yee znowu się uśmiechnął i potrząsnął głową.

- Nie, nie, nie mów tak, Harry. W Hongkongu odbędzie się wiec protestacyjny przeciwko przyłączeniu kolonii do Chin oraz koncert na rzecz demokracji, a ty twierdzisz, że możesz jedynie wspomnieć o tych wydarzeniach? - Głos Yee podnosił się i opadał w rytmie pytań i odpowiedzi. Zacisnął usta, a po chwili dodał: - Nie, Harry. Możesz przecież pomaszerować z nimi w pochodzie, możesz znaleźć się na koncercie i możesz uprzedzić wcześniej ludzi, że zamierzasz wziąć w tych wydarzeniach udział. Twojego programu słucha wiele osób i sporo z nich cię poważa. Jeśli dowiedzą się, że będziesz osobiście uczestniczył w wiecu i w koncercie, oni również tam pójda. Rozumiesz?

Yee wsunął właśnie do ust kąsek kałamarnicy pieczonej w liściach winorośli i chrupał go hałaśliwie.

- Ależ, jeśli to uczynię, moje nazwisko i twarz znajdą się w aktach, wobec czego w roku dziewięćdziesiątym siódmym będę człowiekiem naznaczonym. Nie mogę tego zrobić, jeżeli chciałbym pozostać później w Hongkongu. A dokąd mógłbym pojechać bez kwalifikacji i bez pieniędzy? - Harry spytał z uporem.

Yee wzruszył ramionami.

- Jeśli wszyscy będziemy właściwie wykonywać naszą pracę, w dziewięćdziesiątym siódmym nie będzie żadnej zmiany. Nie widzisz i nie słyszysz o tym, co robią w Chinach studenci od dwóch miesięcy. Zaczynają się sprzeciwiać, więc może uda im się zmienić stary porządek, może zyskają nieco więcej politycznych swobód. Zhao miał łzy w oczach, Harry! Wyobrażasz sobie, jakie to ma znaczenie?

Yee uśmiechnął się wesoło i przesunął zatłuszczonym palcem po obrusie, jak gdyby rozbawił go jakiś jego własny prywatny mały dowcip.

- Zapelniają w ten sposób lukę między starymi Chinami a nowym Hongkongiem - dodał po chwili. - I kto wie, może czeka nas zmiana rządu prędzej, niż się spodziewamy. Nie będziesz więc miał problemów, prawda? Ani w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku, ani teraz, ani kiedykolwiek. Jeśli popracujesz nad tą sprawą wystarczająco solidnie... Wiesz, jaki masz wybór, prawda, Harry?

Zapadło bolesne milczenie. W tym czasie Harry rozmyślał, a Yee Fong Lo głośno i ze smakiem jadł.

- Kto stoi za tym wszystkim, Yee? Skąd pochodzą na to pieniądze?

Z któregoś z dużych hongów? Pierze się w ten sposób brudne pieniądze z narkotyków? Przeznacza się je na wspieranie rewolucji? Czy tak właśnie jest? I dlaczego ty się w to mieszasz? - Harry zarzucił swego towarzysza pytaniami, ale bynajmniej nie zaskoczyło go, kiedy Yee tylko się uśmiechnął i nic nie odpowiedział. Zresztą, Harry sam już podejrzewał, kto i dlaczego popiera te kwestie. Nie trudno było się tego domyślić, kiedy się pamiętało, że triady, obawiając się srogich prześladowań ze strony komunistów, uciekły z Chin wraz z nacjonalistami Chang Kaiszeka. Ostatnią rzeczą, na którą mieli ochotę, było znaleźć się z powrotem pod rządami tych samych komunistów. Nikt w Hongkongu tego nie chciał. Ale tak się musi stać, pomyślał Harry, nie ma innej możliwości.

- A co do kwestii pewnej ceremonii inicjacyjnej, parę tygodni temu... - powiedział Yee, chociaż Harry nie zadał mu żadnych pytań. - Ktoś musiał zdradzić. Nie wiesz nic o tym, prawda, Harry?

Jego głos był niski i cichy, ale Braga czuł, jak jeżą mu się wszystkie włoski na karku, a na całym ciele pojawia gęsia skórka. Obserwował Yee uważnie.

- Na pewno nie ja, Yee. Skąd mógłbym wiedzieć, kiedy i gdzie coś takiego się odbędzie? Nie mam już przecież żadnych kontaktów z triadą. Nie docierają do mnie tego rodzaju informacje.

- Nie, ale wiem, że mógłbyś się dowiedzieć, gdybyś chciał... Nie mógłbyś tego zrobić? Czy nie uważasz za osobliwy zbieg okoliczności, że to Ingram prowadził obławę? - spytał Yee, po czym skoncentrował całą uwagę na ścieraniu ze swego krawata plamki sosu śliwkowego. Nagle podniósł wzrok na Harry'ego i dostrzegł w jego oczach zaskoczenie. - Sądziłeś, że nie znam Ingrama? I chodzi mi o syna, nie o ojca. - Uśmiechnął się. - Zresztą obaj bardzo mi przeszkadzają w ostatnich kilku latach. Jak mógłbym ich nie znać? - W odpowiedzi na milczenie Harry'ego Yee potrząsnął głową i uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. - To niesamowite. Żółtodziób, który znalazł się tak blisko mnie, tak blisko... niemal mnie aresztował i wziął połowę moich ludzi... Gdybym nie był szybszy... ale, no cóż, wiem jedno. Ingram stanowi problem, a ja potrafię sobie radzić z takimi kłopotami, nieprawdaż, Harry? - Yee wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je. Braga wpatrywał się w niego uważnie. W żaden sposób nie odpowiedział na pytanie, nawet nie mrugnął okiem.

- Wiem, że go dobrze znasz, Harry. Wiem, że złożył ci wizytę którejs nocy. Pewny jesteś, że nie opowiedziałeś jakiejś małej historyjki naszemu drogiemu inspektorkowi? - Mówił to cicho, spokojnie i z pewnym rozbawieniem, ale Harry z trudem przełknął ślinę.

- Dlaczego miałbym coś takiego zrobić? Przecież raz mnie już ostrzegłeś. Nie ryzykowałbym.

- Tak... to prawda. Zresztą dobrze wiesz, co się przydarza ludziom, którzy mnie zdradzają. Mark był głupcem i mam szczerą nadzieję, że ty jesteś mądrzejszy. - Yee przerwał. Wydawał się przekonany, ale Harry nie był pewien, czy nie jest to tylko gra. Strużka potu zaczęła mu spływać między łopatkami i pociekła po plecach.

- Pamiętasz, jak przyszedłeś do mnie po raz pierwszy? Byłeś gniewnym szesnastolatkiem i chciałeś, abym pomógł ci się wyrwać z twojej wsi. I chciałeś dobrze zarobić... Pamiętasz? - Yee rozmarzył się, Harry mu nie dowierzał. Ścisnął mocno w palcach palczki. Yee obserwował, jak kłykcie młodzieńca bieleją.

- Tak, oczywiście, że pamiętam. Wprowadziłeś mnie... - odparł drętwo chłopak.

- Właśnie... Wprowadziłem cię, a ty mi przysięgłeś, że zawsze zrobisz to, o co cię poproszę, że zawsze będziesz całkowicie lojalny. To ja zrobiłem z ciebie mężczyznę, to ja nauczyłem cię wszystkiego, czego potrzebowałeś, aby przeżyć, nauczyłem cię myśleć...

O Boże, teraz to się stanie, pomyślał Harry.

- A ty odpłaciłeś mi się w ten sposób, że odepchnąłeś mnie, odrzuciłeś swoją nową rodzinę, swoich braci. Zapomniałeś o swoich obowiązkach i długach. Ale, ponieważ cię kochałem, pozwoliłem ci odejść. - Yee spojrział ze smutkiem na Harry'ego, a tamten opuścił oczy i wpatrzył się we wzorek na obrusie, w biały haft na białym adamaszku, w plamy po sosach i jedzeniu.

- Widzisz, dla mnie też byli dobrzy pewni ludzie... i teraz muszę się im odwdzięczyć za ich dobroć - kontynuował Yee tonem sympatycznego gawędziarza. - I kiedy zażądają ode mnie przysługi, ja nie odmawiam. Tak samo teraz. - Strzelił ostro palcami. - Odmowa mogłaby się dla mnie źle skończyć. Twoja sytuacja jest, niestety, podobna. Kiedy żądam czegoś, musisz to dla mnie zrobić. W przeciwnym razie moja cierpliwość w końcu się wyczerpie. Od dziś nie zadajesz więc żadnych pytań i nie ryzykujesz głupawych oświadczeń. Po prostu wyświadczasz mi przysługę, ponieważ masz wobec mnie zobowiązania. - Na jego twarzy pojawił się wyraz uporu.

Yee dał znak palcami i zakończył rozmowę. - Teraz wynoś się stąd - powiedział.

Harry gniewnym ruchem odepchnął na bok stojące przed nim miseczki i wstał powoli, po czym westchnął ze zmęczeniem i oświadczył posepnie:

- Wcale nie pozwoliłeś mi odejść, Yee, ani wtedy, ani nigdy. Więc nie opowiadaj mi bzdur, bo się tylko ośmieszasz. - Głos Harry'ego sugerował, że młody mężczyzna znajduje się o krok od wybuchu. Potem gwałtownym ruchem złożył serwetkę, rzucił ją na stół i odszedł.

Yee obserwował go z powagą, jego ciemne oczy świdrowały plecy tamtego, jak gdyby próbując przejrzeć swego przyjaciela z dzieciństwa. Wreszcie potrząsnął głową i zapalił papierosa.

A Harry z opuszczoną głową przepychał się przez tłumy na ulicach. Kierował się ku stacji metra North Point i nagle uświadomił sobie, że pozostała mu naprawdę tylko jedna droga. Nie miał innego wyboru. Westchnął ciężko.

Klaudia leżała w słońcu na górnym pokładzie dżonki. Włosy związała z tyłu i dobrze natłuściła całe ciało olejkiem do opalania. Nudziła się i myślała, że zna wiele lepszych sposobów na spędzenie soboty. Morze było spokojne i cudownie połyskiwało w blasku słońca. Na dżonce płynęły trzy osoby. Klaudia powoli sączyła gin z tonikiem i dziwiła się, jak to się dzieje, że w jednym miejscu może być tyle spokojnego piękna, a tuż obok panuje przemoc i zbrodnia, z którą niedawno miała do czynienia.

Zadawała też sobie pytanie, dlaczego nadal tkwi w Hongkongu. Jej wydawca z magazynu finansowego podziękował jej za artykuł i powiedział, że jeśli Klaudia chce, może już wracać do kraju. Co więc ją tu trzymało? Czy została z powodu Harry'ego? A może chciała się po prostu dowiedzieć, kto zabił Marka? Ciagle prześladowała ją myśl o jego śmierci. A może, dodała w myślach, po raz pierwszy od dawna uczciwie, nie miała do czego wracać?

- Och, spójrz! - Fran usiadła nagle i czujnie podniosła głowę pod wielkim słomkowym kapeluszem. - To chyba dżonka Hsów, prawda? - Wskazała na zgrabną białą łódź, która pędziła przed nimi szybko. Jej pokłady przepelnione były młodymi ludźmi. Ktoś machał ręką i Fran mu odpowiedziała tym samym ruchem. Jak przez mgłę Klaudia dostrzegła Porcję, która siedziała na górnym pokładzie. Jej ciało pięknie i bardzo ponętnie lśniło w promieniach słońca. Chinka rozmawiała z jakimś mężczyzną. Klaudia nie musiała się długo wpatrywać; od razu sobie uświadomiła, że jest to Harry. Porcja uśmiechnęła się promiennie i pomachała im chustką. Jej towarzysz odwrócił się i przez

chwilę obserwował ich dżonkę, od której coraz bardziej się oddalali. Nie podniósł ręki.

- Czy to był Harry Braga, ten chłopiec z Porcją? Przystojny młody człowiek, nie sądzisz? Słyszałam, że podobno ci dwoje mają się ku sobie, ale zawsze myślałam, że Hsowie są zbyt nadęci, aby utrzymywać kontakty z kimś takim. Dziwne, że go w ogóle zaprosili, prawda? -skomentowała niewinnie Fran i Klaudia poczuła, jak rumieniec oblewa jej policzki.

- Dlaczego? Czy Harry nie jest dla nich wystarczająco dobry? Ma przecież w sobie sporo azjatyckiej krwi... - powiedziała sucho.

Fran podniosła oczy i popatrzyła na dziewczynę z uwagą.

- Nie dla Hsów... Wiesz przecież, że przyjechali tu z Szanghaju. No i mają naprawdę sporo pieniędzy. Zawsze sądziłam, że szukają dla Porcji kogoś wysoko postawionego i bogatego...

- Cóż, może się w ten sposób asekurują - odparowała Klaudia. — Może uważają, że przydałoby się im poparcie słynnego radiowca, gdyby po 1997 roku sytuacja stała się naprawdę zła... A może chcieliby również wyjechać...

Fran jednak natychmiast jej zaprzeczyła.

- Hsowie? Nie mogę sobie tego wyobrazić. Większą część ich fortuny stanowią fabryki włókiennicze. Nie sądzę, aby udało im się wyciągnąć wsadzone w nie pieniądze... Spodziewam się raczej, że tacy ludzie jak oni będą się próbowali dogadać z komunistami.

Fran sączyła swój gin z tonikiem. Była w świetnym nastroju i co jakiś czas rzuciła spojrzenia na swoją młodą towarzyszkę, która nagle stała się osobliwie milcząca. Czy aby na pewno Klaudia nie podkochuje się w Harrym Bradze, zastanowiła się Fran i jej czoło zmarszczyło się ze zmartwienia. Nie, chyba nie, odpowiedziała sobie w myślach. Klaudia jest na to z pewnością zbyt rozsądna.

A Klaudia pamiętała, co Philippa Purdey powiedziała tak pogardliwym tonem tamtego dnia u Sylwii. Coś o osobach dobrze tu ustawionych, które nie mogą zabrać stąd swoich pieniędzy...

Dżonka wpłynęła do Pienie Bay i na silniku podpłynęła do długiego mola. Zatoka była już gęsto upstrzona dżonkami i żaglówkami, a na brzegu tłumy ludzi kierowały się w górę plaży, ku pubowi. „Bar na Mokradłach” znajdował się za wydmami, tuż przy polach ryżowych. Prowadziła do niego tylko wąska ścieżka przez wysokie trawy i niewielki zagajnik. Dach pubu był natomiast świetnie widoczny nawet z bardzo daleka. Na wietrze, ponad wysoką trawą, trzepotała leniwie brezentowa osłonka.

Na polu z prawej strony pubu widać był tłumy hałaśliwych i wiwatujących ludzi. Kiedy Klaudia wraz z Clementsami podeszła bliżej stromą ścieżką, zauważyła, że pole to wypełnione jest błotem. Po jego przeciwnej stronie, w zagajniku, znajdowała się mała trybuna, która lekko się chwiała pod ciężarem zajmujących ją statecznych matron i ruchliwych dzieci. Na dachu pubu siedzieli nieco lepiej ubrani i zapewne ostrożniejsi kibice. Krzykiem zachęcali drużyny walczące pod nimi. A gdy Klaudia spojrzała na pole i przyjrzała się usmarowanym błotem mężczyznom i kobietom, nagle stwierdziła, że zna bardzo wielu spośród nich. Jakiś mężczyzna podniósł rękę i wyszczerzył zęby. Oprócz nich na jego obliczu widać było tylko jasne oczy. Reszta twarzy, a także włosy i całe ciało zapaćkane były grubą warstwą błota. Klaudia uśmiechnęła się szeroko i pomachała ręką mężczyźnie. Był to Tony Ingram.

Zespół policyjny zajmował drugą pozycję, jak wskazywała tablica z wynikami. Lepsze od nich były jedynie „Żarłoczne Gardła”, drużyna „zawodowców”, w której znajdowali się maklerzy, sportowcy i przedstawiciele wielu innych profesji. Klaudia ostrożnie zbliżyła się do pola walki. Blisko niej tłoczyli się obryzgni błotem przedstawiciele innych ekip.

Fran i Jack zatrzymali się przezornie o wiele dalej od błotnistej areny. Rozmawiali teraz z przyjaciółmi i Klaudia przez chwilę stała samotnie w tłumie. Czuła jego podniecenie i niefrasobliwość. Pomyślała, że przyjemnie jest przebywać z ludźmi, którzy nic o niej nie wiedzą, którzy nie patrzą na nią z niepokojem ani ze współczuciem. Uśmiechnęła się ponownie, kiedy Tony przewiózł na taczkach przez błoto jakąś smukłą policjantkę.

- Nie mówiłaś, że tu będziesz - odezwał się z urazą w głosie Harry, który nagle znalazł się blisko Klaudii. Dziewczyna podniosła na niego oczy i dostrzegła w nich głębokie zatroskanie. Chłopak stale się rozglądał bacznie wokół siebie. Na jego twarzy nie było śladu uśmiechu. Najwyraźniej nie bawiły go rozgrywające się przed jego oczyma błazeńskie popisy. - Ciągłe starasz się bliżej poznać naszego drogiego Tony'ego?

- Ty mi również nie powiedziałaś, że tu będziesz - odparła spokojnie dziewczyna.

Ale jego ostatnie, szydercze zdanie wywołało rumieniec na jej twarzy. Kto mu powiedział? Czyżby Porcja? Kogo mogło obchodzić, czy Klaudia lubi młodego Ingrama. Zresztą, pomyślała, Tony jest tego wart, jest wart by go lubić, nawet jeśli nie odwzajemnia tego uczucia. Na pewno jest więcej wart niż Harry.

- Ale stało się tak zapewne dlatego, że dawno już z sobą nie rozmawialiśmy, jak sądzę. - W jej słowach był lekki żal i jawna pretensja.

- Słuchaj, mam kłopoty. Nie chcę cię wciągać w moje sprawy. - Nie próbował wyjaśniać, jakie to kłopoty, toteż Klaudia jedynie lekko się uśmiechnęła i potrząsnęła głową, po czym ostentacyjnie odwróciła się z powrotem w kierunku błotnistej areny.

- I dlatego się wiesznie kręcisz koło Hsów, prawda? Rozwiązujesz w ten sposób swoje problemy? - Nie chciała, aby jej słowa zabrzmiały tak gorzko, ale niestety nie potrafiła nad sobą zapanować.

- Liddie, zrozum, muszę się jakoś stąd wydostać! Jeśli ty mi nie pomożesz, to będę musiał pójść gdzieś indziej! - krzyknął tak głośno, że sporo osób w tłumie zaczęło się obracać ku temu wysokiemu mężczyźnie. Wielu go rozpoznało i rzucali sobie teraz zaskoczone spojrzenia.

- Chodź ze mną na plażę. Muszę z tobą porozmawiać. - Wziął ją za ramię i Klaudia niechętnie prześlizgnęła się przez tłum i wyszła ponownie na ścieżkę wiodącą ku brzegowi. Fran uśmiechnęła się niepewnie, kiedy zobaczyła Klaudię z Harrym.

- Idziemy popływać. Jest strasznie gorąco - szepnęła Klaudia słabo i zobaczyła, jak Fran kiwa głową i się uśmiecha. Po jej spojrzeniu widać było, że jest zmartwiona. Szybko odwróciła się z powrotem do przyjaciół.

Klaudia i Harry z trudem brnęli przez piasek, a gdy zniknęli między piaszczystymi wydymami, Harry odciągnął ją z dróżki i poprowadził między karłowate drzewa. Uklękli na gorącym piasku. Klaudia podniosła dłoń i starła pot z twarzy.

- Sprawy nie przedstawiają się najlepiej, Liddie - zaczął w końcu Harry. - Yee wysuwa ciągle jakieś żądania, które coraz trudniej przychodzi mi spełniać. Jeśli będę robił to, czego wymaga, nie będę mógł tu pozostać po dziewięćdziesiątym siódmym roku. Nie mogę też mu odmówić. Sytuacja bez wyjścia. - Przerwał i Klaudia dostrzegła strach w jego oczach, a kiedy zapalał papierosa, drżały mu ręce. Nagle zakaszła i dziewczyna dotknęła jego dłoni.

- Chciałbyś, abym coś dla ciebie zrobiła? - spytała i równocześnie zastanowiła się, czy Tony nie mógłby tu jakoś pomóc. Ale następne słowa Harry'ego sprawiły, że lśniące wydmy przed jej oczyma nagle zbladły. Zasnuła je dziwna mgiełka słonecznego światła i gorąca.

- Możesz mnie poślubić. - Spojrzał na nią z dzikim wyrazem oczu, odrzucając ledwie zapalonego papierosa w piasek. - Dzięki tobie uzyskam amerykańskie obywatelstwo i wtedy będę wolny. Proszę cię, Liddie! To nie

jest chyba wiele, prawda? - Na jego twarzy pojawiło się błaganie i Klaudia znowu zobaczyła w nim małego chłopca, który prosił ją, aby nie odjeżdżała. W jego oczach był znowu ten sam strach i cierpienie. Dziewczyna przełknęła ślinę.

- Co potem?

- Potem wyjedziemy do Ameryki. Tam będę bezpieczny. Mogę podjąć pracę w radiu, mogę zacząć życie od nowa. Po prostu nie mogę zrobić tego sam.

- Nie, nie o to pytałam. Zastanawiałam się, jak widzisz nasze... hm, małżeństwo. Jak ono ma wyglądać. Gdy dostaniesz zieloną kartę... Czy chciałbyś, abyśmy pozostali razem? - Poczowała jakąś dziwną grudę w gardle, jak gdyby cierpiała na paskudną grypę. Harry spojrzał na nią.

- A co byś wolała? - Nadal stał zupełnie nieruchomo, ale uważnie wpatrywał się gdzieś ponad jej głową, w linię przybrzeżnych fal. Lekka bryza trzepotała połami jego koszuli. Klaudia roześmiała się z bólem.

- Lubimy się, Harry, i jesteśmy starymi przyjaciółmi, dlatego mogę się nad tym zastanowić... Chcę ci pomóc. Ale mnie nie kochasz, prawda?

Znowu utkwił w niej wzrok i jego zmęczona twarz odprężyła się w uśmiech, oczy promieniowały ciepłem i radością.

- Nie, Liddie. Nie bardziej niż ty mnie. Tęskniliśmy za sobą przez te lata, ale nic więcej.

Skinęła głową i znowu się uśmiechnęła. Była speszona; poczuła ból, ale i nagłą ulgę. Podejrzewała już tę prawdę, w gruncie rzeczy oboje znali ją od pewnego czasu. Wiedzieli, że się pomylili. Nie kochali się. Nie łączyła ich miłość. Było to proste. Nic jej więc nie powinno powstrzymać przed przyjściem z pomocą Harry'emu... no, może z wyjątkiem jednej małej sprawy związanej z pewnym młodym inspektorem. Ale nie, to było tylko głupie marzenie, tak samo głupie jak tamto przed wieloma laty, które dotyczyło Bo. A Tony z pewnością nawet nie podejrzewał, że Klaudia mogłaby myśleć o nim w ten sposób. Nie musiała więc niczego poświęcać, aby pomóc Harry'emu.

- Dobrze, skoro to jedyny sposób, w takim razie... Moja odpowiedź brzmi „tak”, Harry. Co innego mogłabym ci powiedzieć? - Poczowała ulgę, że nie próbował jej pocałować ani przytulić do siebie. Byli przyjaciółmi, nie łączyło ich nic więcej. Zaledwie chwilę zajęło im uświadomienie sobie tego faktu. Zrozumieli, że to, co było kiedyś między nimi, było tylko dziecięcym zauroczeniem. Chłopak westchnął, powoli pokiwał głową i lekko się uśmiechnął, wpatrzony we własne dłonie.

- Dziękuję, Liddie - powiedział tylko. Dziewczyna odchrząknęła i obróciła się w kierunku ścieżki, skąd dotarły do niej głosy zbliżających się ludzi. Najgłośniejszym słychać było piszczący głos Porcji.

- Uhm, a kiedy chcesz to zrobić, Harry? - Spojrzała na niego ponownie. Młodzieniec zmarszczył brwi.

- Wkrótce. Yee każe mi teraz jechać do Pekinu. Mam wziąć udział w zamieszkach studenckich, poprzez je i sprawić, aby media ustosunkowały się do nich życzliwie... Więc jak tylko wrócę, dobrze? - Uśmiechnął się, uspokojony, i Klaudia zmusiła się, aby odpowiedzieć mu również uśmiechem.

- Powiedz mi, co byś zrobił, gdybym ci odmówiła? - Wstała i zaczęła ocierać stopy z piasku.

- Mam jeszcze drugą możliwość. Porcja zaproponowałaby, żebym z nią wyjechał. Dokądkolwiek, wszędzie, to bez znaczenia... Jest zmęczona tą ciągłą kontrolą ze strony ojca. - Harry wstał również. - A poza tym ona naprawdę mnie kocha...

- Rozumiem. A czy Porcja posiada jakieś obywatelstwo, o którym nie wiem? - Klaudia czuła, jak uśmiech na jej twarzy gaśnie. W tłumie na plaży oboje z Harrym wpatrzyli się w Chinę, która wdzięcznie wbiegała do wody i wybiegała z niej ze śmiechem.

- Stara się o kanadyjskie - odrzekł Harry krótko.

- Ach tak... A co z pieniędzmi? Z czego będzie się utrzymywać, gdy zostanie pozbawiona milionów Hsów?

- Odłożyła nieco oszczędności przez lata. Wystarczy jej na życie. -Harry nie chciał o tym dyskutować, ale Klaudia była ciekawa i nie mogła się opanować, aby nie zadawać kolejnych pytań.

- Powiedz mi... Czy Porcja przyszła do ciebie tej nocy, kiedy Mark został zamordowany? Czy cię ostrzegła? - Widziała, jak Harry się wzdrygnął. Jego oczy pociemniały. Nie była w stanie odgadnąć, o czym jej towarzysz myśli. Potrząsnął głową, odwrócił się i wpatrzył w niebo.

- Proszę cię, Liddie, nie pytaj mnie o takie rzeczy. Nie grzeb się w moim życiu niczym jakiś dyletancki detektyw. Niczego nie pojmujesz, a pewnych spraw nigdy nie zrozumiesz - odparł.

Klaudia poczuła, jak rośnie w niej gniew. Zapytała go jednak o jeszcze jedną kwestię, mimo że zobaczyła, jak jego usta się zaciskają.

- Skąd o tym wiedziała, Harry? Skąd?

Ale Harry nic nie powiedział. Odszedł bez słowa.

Rozdział dwudziesty ósmy

Tłum na plaży dostrzegł Harry'ego. Wszyscy zaczęli mu machać i pozdrawiać go. Klaudia obserwowała go przez chwilę. Idąc w ich kierunku, śmiał się radośnie, głowę odrzucił do tyłu i wyglądał, jak gdyby nie trapiły go żadne troski. Starła pot z czoła i wróciła na ścieżkę do pubu. Upał nieruchomości wisiał nad piaskiem i wysokimi trawami; w powietrzu unosiły się małe muszki, szeleszcząc cicho niczym papier. Na polu ryżowym, po lewej stronie, dziewczyna dostrzegła samotnego bawołu, który przypatrywał jej się ponuro, gdy przechodziła.

Nagle dróżka opadła w dół, do kotlinki, i Klaudia wyobraziła sobie, że znajduje się wiele, wiele mil od innych ludzi, że otaczają ją jedynie trawa, wydmy i zwrotnikowe gorąco.

Klaudia lubiła samotność i puste przestrzenie, toteż przystanąła na moment w tej kotlinie, rozejrzała wokół siebie i napawała się widokiem. Zauważyła złamane drzewo, leżące na boku w pobliżu ścieżki w zagajniku. Jego drewno było wyblakłe od zmian pogody i wyglądzone. Dziewczyna usiadła na nim, aby choć przez sekundę cieszyć się ciszą, lekkim wietrzykiem i słońcem na ramionach. A także aby pomyśleć o Harrym i rozważyć jego prośbę.

Jednak jeszcze na długo, zanim samotność zaczęła jej ciążyć, zaszeleściła trawa i dziwnie zaszeptały suche liście na kilku karłowatych drzewach. Te tajemnicze dźwięki sprawiły, że Klaudia zerwała się gwałtownie z pnia i obejrzała za siebie. Zaniepokojona, stała nieruchomo i z uwagą obserwowała piaszczystą krainę wokół siebie. Nic się nie poruszało, ale czuła osobliwie nieprzyjemną martwość. Co jakiś czas zupełną ciszę wiszącą w powietrzu przerywał monotonny, chrapliwy krzyk samotnego ptaka. Dziewczyna była przekonana, że jeśli natychmiast stąd nie odejdzie, może jej się przytrafić coś złego. Zawahała się jeszcze chwilę, następnie odwróciła się pospiesznie i mszyła ku ścieżce.

Nagle za nią, na skraju kotlinki, pojawiła się czyjaś sylwetka. Klaudia wydała z siebie stłumiony krzyk i strach poderwał ją do biegu. Odwróciła się, aby spojrzeć za siebie i zobaczyła, że mężczyzna zatrzymuje się nagle, a potem jeszcze ktoś inny przerwał jej bieg na oślep. Czyjeś ciało przycisnęło się nagle do jej ciała i ktoś zatarasował jej drogę. Mimo zaciśniętego gardła udało jej się krzyknąć. Walczyła szaleńczo, usiłując się uwolnić od dłoni, które mocno ją trzymały.

- Klaudio?! Klaudio, to ja, Tony! - Poprzez zalewające ją fale strachu, słabo dotarł do niej męski głos. Dźwięk wydał jej się zastanawiająco przytłumiony, więc na chwilę się zawahała, zanim podniosła oczy. Tony spojrzał na nią z ukosa, łypiąc jednocześnie na stojącą za dziewczyną postać. Ale nieznany osobnik zdążył się już odwrócić i nie rozpoznany schodził właśnie ku plaży. Tony stał przez moment nieruchomo i w milczeniu wpatrywał się w malejącą sylwetkę. Jego zimne ramiona otaczały Klaudię, przyciskając ją mocno do siebie. Na moment dziewczyna zamknęła oczy, zadowolona, że może trwać w tych kojących ramionach, póki mężczyzna jej na to pozwoli. Ale po sekundzie wyczuła, że Tony się powoli odsuwa, i zrobiła krok do tyłu.

- Och, Tony, przepraszam cię. - Próbowwała się roześmiać, ale gardło miała ściśnięte i odgłos, który z siebie wydała, brzmiał jak zduszony kaszel. - Chyba się po prostu wystraszyłam. Ta ścieżka wydawała mi się taka pusta... - Umilkła nagle, gdy zauważyła, że mężczyzna w ogóle jej nie słucha. - Tony?

- Hm? Tak? - Nagle spojrzał na nią ponownie i dostrzegł, że się boi. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie swymi pięknymi, szarymi oczyma, które teraz pociemniały z niepokoju.

- O co chodzi? - spytała powoli Klaudia.

- Kto to był? Czy szedł za tobą? - W jego głosie słychać było duże napięcie.

- Nie wiem. Po prostu się nagle przeraziłam z jakiegoś powodu. Poczułam szalony impuls, że muszę stąd uciec, no i mu uległam... zaczęłam biec... - Nadal była zakłopotana, ale o wiele mniej niż przedtem, ponieważ widziała, że Tony sam się czegoś obawia. Jej strach zaczął wracać. - Czy to był ktoś, kogo, jak sądzisz, rozpoznałeś?

- Tak, tak mi się zdaje. - W głowie inspektora nieprzerwanie kotłowały się myśli i Tony mimowolnie ścisnął dłoń Klaudii i pociągnął dziewczynę w kierunku pubu.

- Chodź, najlepiej chyba będzie, jeśli dołączymy do reszty. Nic ci nie jest, prawda?

Kiedy skinęła głową, przejęta jego troską, uśmiechnął się nagle do niej prawie czule i Klaudia poczuła osobliwy ciężar na sercu.

Tony wprawdzie nie biegł, ale szedł bardzo szybkim krokiem, a Klaudia podążała obok niego bez słowa protestu. Dostrzegła, że mężczyzna jest bardzo spięty i zaniepokojony. Przez długie minuty jedynym dźwiękiem był stukot ich nóg po twardej ziemi. Szli bez słowa, skupieni.

I nagle, niespodziewanie, na ścieżce pojawił się Ryba. Również wyglądał na bardzo spiętego i rozglądał się bacznie wokół siebie. Odprężył się niemal natychmiast, gdy zobaczył zmierzającą ku niemu parę.

- Aidan! - Tony odetchnął i uśmiechnął się w taki sposób, że Klaudia zrozumiała, że panuje nad sobą bardziej niż sądziła. Poczuła, jak ucisk jego palców na jej ramieniu słabnie. Później Tony otoczył ją ramieniem i popychał łagodnie przed siebie, jak gdyby znajdowali się na zwykłej przechadzce. Ryba nagle się uśmiechnął. Był to niedbały, otwarty uśmiech, który pasowałby świetnie do popijawy w barze, ale wydawał się niezbyt stosowny u kogoś, kto jeszcze przed chwilą tak pospiesznie i nerwowo podążał ku dwojgu młodych ludzi.

- Dobrze, że jesteś, Tony - odezwał się. - Twój sierżant Chu prosił mnie, abym cię odszukał. Chciałby z tobą o czymś porozmawiać... Dzieje się podobno coś niepokojącego.

Po tych słowach Ryba spojrział na Klaudię i lekko pokręcił głową. Tony wzruszył ramionami.

- Chyba lepiej pójde sprawdzic, o co chodzi. Dzięki. - Wypowiedział te zdania dość niedbale, ale Klaudia pomyślała, że najwyraźniej ukrywa coś przed Aidanem. Jak gdyby odczytując jej myśli, Tony znowu chwycił ją za ramię. - Chodź, Klaudio. Nie oddalaj się przez jakiś czas. Nie chcemy, abyś się nam zgubiła w tłumie. ,

Tłum ten bowiem, co zauważyli natychmiast oboje, gdy zbliżyli się na odpowiednią odległość, zachowywał się teraz w sposób o wiele bardziej chuligański i hałaśliwy z powodu wypitego piwa i upału. Niektóre osoby bez pytania wyłapywały inne i mimo protestów wpychały je w błoto z wesołymi, spontanicznymi okrzykami. Tony ponownie się uśmiechnął do swej towarzyszki i ogarnęło go gwałtownie rozbawienie, które następuje zawsze wtedy, gdy mija nerwowe napięcie.

- W takim towarzystwie powinnaś się chyba trzymać blisko mnie. Mam tę przewagę, że mogę ich aresztować, gdy zaczną za bardzo rozrabiać.

- To mi zupełnie odpowiada - wymamrotała Klaudia, ale Tony najwyraźniej wcale jej nie słyszał. Przepychał się przez tłum wiwatujących, prowadząc za sobą Klaudię, która z powodu ścisku znajdowała się bardzo blisko niego. Ich ciała stykały się; przez głowę dziewczyny przemknęło szybko pragnienie, aby nie dotrzymać przyrzeczenia złożonemu Harry'emu. Niech popróbuje z Porcją, pomyślała, ale wiedziała, że nie może mu tego powiedzieć, skoro już wcześniej obiecała.

Przeciskali się dalej, aż dotarli do stolików, gęsto otoczonych przez małe grupki, minęli je, i wreszcie znaleźli Chu i kilku innych policjantów, którzy zgromadzili się w tylnej części pubu. Przycupnęli na surowym betonie, grali w kości, śmiali się i strzelali do siebie palcami. W zaciśniętych dłoniach trzymali butelki z piwem. Chu podniósł oczy, po czym wstał i podszedł do Tony'ego.

- Cześć, szefie, zastanawiałem się właśnie, gdzie pan się podziewa - wymruczał w dialekcie kantońskim, rzucając niepewne spojrzenia na Klaudię. Tony uśmiechnął się.

- Możecie mówić. Ona nie rozumie. Co się dzieje?

Tony nadal czuł przyspieszone bicie serca i zalewający go pot. Z tego powodu koszula lepiła mu się do ciała, mimo że zaledwie kilka minut temu się kąpał. Obejrzał się za siebie i dostrzegł znikającego w dumie Aidana. Klaudia przyglądała im się uważnie, ponieważ próbowała zrozumieć, o czym toczy się rozmowa w niezrozumiałym dla niej języku. Nie zauważyła jednak, że Ingram z całych sił zwalczał w sobie chęć, by przytulić ją do siebie i uspokoić.

- Krąży plotka, że Yee uznał pana za przeszkodę na swojej drodze. Podobno zamierza się panem odpowiednio zająć. - Chu błyskawicznie obrócił ciemne oczy ku Klaudii, potem z powrotem do Tony'ego, i dodał znacząco: - W każdy możliwy sposób.

Tony zacisnął usta.

- Jest tu jego „ochroniarz”. Widziałem go na ścieżce przy plaży. W pierwszej chwili, gdy go zobaczyłem, sądziłem, że się mylę. Miałem nadzieję, że się mylę...

- Nad wodą jest także Harry Braga. Tak sędzę. Schodził tam z tą młodą panią. Widziałem ich, jak odchodzili. Wyglądali, jak gdyby byli pogrążeni w bardzo ważnej rozmowie, jeśli rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć. - Twarz Chu była bardzo uprzejma, ale Klaudia usłyszała nazwisko Harry'ego i spojrzała bystro na Tony'ego. Boże, wygląda na... zranionego, pomyślała. Chu zignorował spojrzenie dziewczyny i spytał: - Braga rozpoznałby człowieka Yee, prawda szefie?

- Jasne, ale wątpię, czy przyjdzie mi o tym powiedzieć. Nie ma dla mnie zbyt wiele szacunku, Chu, dobrze o tym wiecie. - Tony uśmiechnął się z przymusem, kiedy jego sierżant się roześmiał.

- Nie lubi, gdy się go budzi w środku nocy, to pan chce powiedzieć?

- A czy ktoś z nas to lubi? W porządku, Chu, trzymajcie oczy otwarte i każcie także uważać swoim ludziom. Będę w pobliżu, na widoku.

I, pomyślał, będę stanowił niemal tak łatwy cel jak owca w stadzie, którą upatrzył sobie wilk. Chu pomachał szybko ręką i wrócił z powrotem do gry w kości.

- O co chodzi, Tony? Nie myliłam się tam, na plaży, prawda? Rzeczywiście dzieje się coś złego? - Klaudia szarpnęła swego towarzysza za ramię, a on odwrócił się i spojrzał na nią z roztargnieniem.

- Poszłaś na plażę z Harrym? - Pytał tak obojętnie, jak gdyby próbował tylko ustalić fakty, pomyślała Klaudia. Czemu, w takim razie, mam wrażenie, że muszę mu się wytłumaczyć?

- Tak, rozmawialiśmy, ale potem przyłączył się do Porcji i reszty, więc wracałam sama.

- Dlaczego zaczęłaś biec, gdy zobaczyłaś tego mężczyznę na ścieżce? Co cię tak przeraziło? - spytał nagle. Skupił wzrok na jej twarzy i wpatrywał się w nią tak intensywnie, że Klaudii nagle się wydało, że Tony dokładnie wie, o co Harry ją poprosił i co mu odpowiedziała.

- Nie wiem, chyba po prostu wpadłam... w panikę, tak mi się zdaje. Byłam nieprzytomna ze strachu. Poczułam się tak, jak gdyby coś mnie obserwowało, coś złego... - Wzruszyła ramionami, chcąc ukryć zakłopotanie. - A potem go dostrzegłam... tego mężczyznę.

Zobaczyła, jak Tony lekko wzdycha.

- To był „ochroniarz” Yee... to znaczy zabójca, jeśli wolisz. - Wypowiedział to słowo uważnie i zastanowił się, czy dziewczyna wie, kim był kiedyś Harry. I w ogóle, ile o nim wie. Nagle miał ochotę jej powiedzieć prawdę, aby ją uchronić, aby ją ostrzec. Ale w tym momencie jakiś wewnętrzny głos zadzwonił z niego, pytając: czy nie masz przypadkiem innych powodów, czy w tym twoim pragnieniu nie ma przypadkiem czegoś więcej?

- Czy to on zabił Marka? - Jej głos stał się naraz wysoki i cienki, jak gdyby potrzebowała powietrza. Tony otoczył ją ramieniem, nie mogąc się tym razem powstrzymać, i mocno przytulił.

- Nie wiem na pewno, ale... może.

- Czy on mnie śledził? Och, mój Boże! Przecież Harry został na plaży. - Strach w jej głosie sprawiał Tony'emu ból. Powoli wypuścił z płuc powietrze, aby się uspokoić.

- Wszystko w porządku, wszystko dobrze. On nie szuka Harry'ego. Zapewniam cię. Poza tym - jego głos stał się nagle surowy - Harry potrafi o siebie dbać.

Klaudia uwolniła się z objęć Tony'ego.

- Dlaczego wszyscy w kółko to powtarzają i to takim właśnie tonem? Jak gdyby... - umilkła i Tony czekał cierpliwie długą chwilę, aż dziewczyna przełknie ślinę i spojrzy znowu na niego. Na jej twarzy malował się gniew. - Chcesz mi powiedzieć, że taka była właśnie funkcja Harry'ego w triadzie? Że był „gorylem” Yee. Że był... zabójcą?

Oblizwała suche wargi. Nie, na pewno nie, pomyślała. Harry nie mógłby nikogo zabić, nie mógłby nikogo pociąć nożem, zasiekać żywcem na śmierć. Nie umiałby nikogo zamordować w taki sposób, w jaki zginął

Mark... Nie byłby do tego zdolny. Była tego pewna. - Nie wierzę. - Posłała Tony'emu buntownicze spojrzenie, on jednak odwrócił wzrok. Na chwilę przymrużył oczy od słońca, zanim ponownie spojrzał na dziewczynę.

- Klaudio, posłuchaj. - Tony przeczesał palcami krótkie włosy. Obserwował tłum. - Byłoby lepiej, gdybyś poszukała Jacka i Fran, i została z nimi do końca dnia. Trzymaj się blisko nich. - Mówiąc to, położył nacisk na słowo „blisko” i Klaudia gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Za kim szedł ten mężczyzna? Powiedziałeś, że nie za Harrym. Więc... za mną? A może za tobą? - Zobaczyła, jak jego oczy się rozszerzają i odczytała z nich prawdę, zanim jej towarzysz zdołał ukryć myśli. - Och - powiedziała i poczuła się dziwnie. Jak gdyby wcześniej jej serce postanowiło bić trzy razy szybciej, a potem zrezygnowało z któregoś uderzenia, wobec czego pozostawiło ją bez tchu i nagle osłabłą. - Z tego powodu, że aresztowałeś Yee? On uważa, że stanowisz zagrożenie? - Dostrzegła, jak Tony szybko kiwa głową i zaciska usta.

- W takim razie, dlaczego ten „ochroniarz” nie podszedł do ciebie wtedy na ścieżce? Było to wystarczająco odludne miejsce.

- Spodziewam się, że woli działać z zaskoczenia. Nie chciał stanąć ze mną twarzą w twarz. Konfrontacja po prostu nie pasowała do jego planu.

- Rozumiem. - Klaudia podniosła wzrok i spojrzała mężczyźnie w oczy. Próbowwała opanować uczucie strachu o niego. - Tony? Co zamierzasz teraz zrobić?

- Postaram się nie panikować. - Uśmiechnął się. - Nie pierwszy raz ktoś usiłuje mnie zastraszyć. A, jak widzisz, nadal żyję. - Starał się ją uspokoić, ale mógł wyczytać z jej twarzy, że jego usiłowania nie skutkują. - Takie jest moje życie, Klaudio. Ale nie jestem przecież zupełnie sam. - Zrobił gest w kierunku policjantów. - Chu będzie uważał. Nie martw się.

- A dziś wieczorem, jutro, następnego dnia? Co wtedy? - spytała, po czym uderzyła ją kolejna myśl. - Czy ten człowiek Yee zechce mnie użyć jako

przynęty? Jak sądzisz? - Pochwyciła spojrzenie Aidana, który coś sygnalizował i lekko zmarszczyła brwi. Zastanawiała się, czy...

- Zna cię, z pewnością widział cię z Markiem. Jesteś łatwym celem i dlatego właśnie wolałbym, żebyś poszła do Fran. Zostań z nią. Tak będzie bezpieczniej dla nas obojga. Nie chcę, aby cię wykorzystano przeciwko mnie.

- Tony ponownie wskazał w tamtym kierunku, gdzie, na dachu pubu, widać było Fran i Jacka. Klaudia westchnęła.

- Kiedy to się skończy, Tony? - Zobaczyła w jego oczach zatroskanie i powagę. Tony najwyraźniej mocno się trzymał w ryzach, nie wpadał w popłoch, a nawet się do niej uśmiechnął. Widząc to, Klaudia nagle sobie uświadomiła, że ten młody policjant jest więcej wart niż dziesięciu Harrych czy innych mężczyzn, których znała. Z powodu swojej uprzejmości, dobroci i życzliwości, z powodu swojej prawości i uczciwości... Z wielu powodów. Ale nie wiedział o tym i z pewnością nie chciałby jej słuchać, gdyby zdecydowała się mu to powiedzieć.

- Nie wiem, Klaudio. Mam nadzieję, że wkrótce. Ale przez jakiś czas musisz się trzymać z dala ode mnie i z dala od Harry'ego. Najlepiej wyjedź gdzieś na jakiś czas... Póki to wszystko się nie skończy.

Mówiąc to, popychał ją lekko w kierunku schodów. Klaudia ruszyła w górę, nie protestując, wiedziała bowiem, że i on będzie bezpieczniejszy z dala od niej. „Wyjedź gdzieś na jakiś czas”, powiedział jej. „Trzymaj się z dala ode mnie, wyjedź”. Ale dokąd? I wtedy nagle pewna myśl przyszła jej do głowy. Odetchnęła głęboko, czując z jednej strony ożywienie i podniecenie tym pomysłem, a jednocześnie strach.

[Pekin](#)

[Czwartek, 1 czerwca 1989 roku](#)

Radio Klaudii było włączone na fale krótkie, a dziewczyna klęczała na małym balkonie i wpatrywała się w mglisty dzień. Pod nią, na ulicy, tłoczył się spory tłum ludzi. Poruszali się szybko i w napięciu. W głosie komentatora słychać było wzruszenie. Opowiadał o strachu, który z każdą chwilą narastał w Pekinie, ponieważ na rogatkach pojawiły się czołgi Dwudziestej Siódmej Armii. Po mieście krążyły plotki, że Li Peng postanowił położyć kres studenckiej rewolcie. Klaudia odgarnęła włosy z gorącej i zarumienionej twarzy i przykucnęła na stopach. Wsłuchując się w wiadomości, robiła notatki i zapisywała własne wrażenia na przenośnym komputerze.

Nagle poczuła, jak jej żołądek kurczy się na myśl o tym, czy pozostanie jej tutaj nie jest równoznaczne z głupotą. Co się z nią stanie, jeśli sytuacja okaże

się naprawdę poważna? Czy przypadkiem nie pakuję się na własną prośbę w niebezpieczeństwo, zadała sobie pytanie. Czy nie powinnam wyjechać, póki jeszcze mogę?

Jednakże coś ją wstrzymywało. Wydawcy bardzo się spodobał pomysł jej przyjazdu tutaj, a ponieważ przebywała w Hongkongu na koszt gazety, która wyrozumiale podeszła do faktu, że Klaudia przesłała zaledwie jeden jedyny artykuł, naprawdę czuła, że nie powinna jeszcze stąd wyjeżdżać. Poza tym większość korespondentów zagranicznej prasy nadal przebywała w Pekinie. Był tu również Harry. Słuchała jego radiowych raportów co wieczór przez ostatnie cztery dni. Wiedziała, że w każdej chwili może nastąpić odwet, że wojsko może zacząć strzelać i używać gazów łzawiących. Nastąpi zapewne wiele aresztowań, zagraniczne media zostaną usunięte, ale nie ma powodu do strachu, pocieszała się.

A jednak była przerażona. Podniecenie, które czuła przez ostatnie kilka dni, zaczynało ją opuszczać coraz bardziej w miarę pogarszania się sytuacji. Przedtem chodziła po ulicach, obserwując demonstrantów i wiecujących, teraz postanowiła być ostrożna, a o tym, co się dzieje, wołała się dowiadywać z radia. Nagle westchnęła, wniosła radio do środka i postawiła na stoliku.

Nic jej właściwie nie powstrzymywało przed wyjściem na ulicę. Nic, z wyjątkiem moich własnych nerwów, pomyślała i nagle uświadomiła sobie, przez co przechodzi Harry i przez co będzie musiał nadal przechodzić, jeśli ona mu odmówi pomocy. Ta myśl sprawiła, że Klaudia podjęła ostateczną decyzję. Przestała rozważać wszystkie niepokojące za i przeciw, przestała się zadreć myśla, jakim człowiekiem jest naprawdę jej chiński przyjaciel z dzieciństwa. Postanowiła. I teraz nic już nie ma znaczenia, pomyślała i rozejrzała się wokół. On musi stąd uciec, więc poślubię go, pomogę mu się wydostać z tego gówna, pomyślała. Tylko tyle mogę dla niego zrobić.

A potem, jak często jej się to zdarzało w ciągu ostatnich dni, przypomniała sobie o Tonym. Martwiła się o niego, drżała o jego bezpieczeństwo. To było jak spirala, jej strach narastał coraz bardziej, kiedy uświadamiała sobie kolejne problemy: sytuacja w Pekinie, Harry, Tony... kiedy to wszystko się skończy?

Poszła do łazienki i umyła ręce w umywalce, czyszcząc szczoteczką brud, który osadził jej się pod paznokciami. Polityczne wahania powodują wahania ekonomiczne, powiedziała sobie stanowczo, patrząc w lustrze na własną twarz, na blade, podkrążone oczy. To właśnie była jej praca, pisanie

artykułów na tematy gospodarcze. Musi zapomnieć o wszystkim innym. Nic innego nie może zrobić, poza skoncentrowaniem się na pracy.

Z ulicy dotarł do niej odgłos zapalającego silnika i Klaudia zmusiła się, aby nie podskoczyć. Nie ma się czego bać, pomyślała, jeszcze nie. I musiała wyjść na zewnątrz, aby zobaczyć to sama.

Dlaczego więc jej przewodnik nie pojawił się tego ranka, tak jak zaplanowali? Dlaczego poprzedniego dnia spojrział na nią tak niepewnie, gdy go spytała, co ludzie mówią o czołgach i o wojsku? Otarła twarz rącznikiem i rzuciła go. - Daj spokój, Klaudio, zadrwiła z siebie, wpatrując się w swoją twarz w lustrze. Co się dzieje z tą nieustraszoną dziennikarką, którą, jak ci się zdawało, jesteś. Miałam się przecież zawsze znajdować w centrum wydarzeń i przekazywać swoje obserwacje, mówiła sobie szyderczo. Ale te wydarzenia po prostu cię przerastają, zaprotestował jakiś słabutki głosik w środku. I przecież, dodawał, wiesz tak niewiele albo zgoła zupełnie nic o pracy korespondenta w czasie wojny. Bo czym innym stała się aktualna sytuacja, jak nie wojną!

Więc teraz nadszedł czas, aby się nauczyć tej pracy, powiedziała sobie i na nowo poczuła zapal. Odrzuciła włosy z twarzy. Przestań tchórzyc, powiedziała, patrząc na siebie w lustrze, przestań tchórzyc i wyjdź na ulicę. Raz dla odmiany stań z czymś twarzą w twarz, a nie tylko wiecznie uciekaj. Skrzywiła się na widok swojego odbicia. Och, tak, do diabła, dlaczego nie?

[Hongkong Piątek, 2 czerwca](#)

Tony był już zmęczony tym trybem życia. Stale oglądał się za siebie, reagując nerwowo na każdy cień lub nagły hałas. Jeśli Yee próbował go przestraszyć, wyczerpać i doprowadzić niemal do załamania nerwowego, nieźle mu się to udawało. Minał tydzień od ostrzeżenia i nic się nie zdarzyło. Mimo czujności ani sam Ingram, ani jego ludzie niczego nie zauważyli. Nie zdobędą też żadnych dowodów przeciwko Yee, póki ten nie zrobi jakiegoś następnego ruchu. Tony westchnął, sfrustrowany, i gwałtownie zatrzasnął szufladę w biurku.

Było późno. Pracował tego dnia na dziennej zmianie i dawno powinien już pójść do domu i trochę się przespać. Ostatnio jednak trapiła go bezsenność, wpatrywał się w ciemne kąty pokoju i czekał na kroki, których i tak by zapewne nie usłyszał. Yee miał na to zbyt dobrych ludzi.

Powiedział dobranoc sierżantowi dyżurnemu i sam się roześmiał z tego, że dreszczem przejęła do myśli o samotnym powrocie do domu. Wyszedł na zewnątrz w gorącą upalną noc. Jeśli Yee będzie chciał go dopaść, sam

wyberze czas i miejsce, i Tony wiedział, że nic go od tego nie powstrzyma. Wiedział o tym dobrze. Zimny pot spłynął mu po plecach, gdy schylił się, aby otworzyć drzwiczki swojego samochodu. Poczłł też ucisk w żołądku i przyspieszone tętno, usłyszawszy szelest i hałas spowodowany przez jakiegoś kota, który, przebiegając wśród kubłów na śmieci, potrącił i zrzucił metalową pokrywę. Harry szarpnął drzwiczki, otworzył i usiadł na siedzeniu, po czym je zatrzasnął za sobą.

Jechał szybko, jak najprędzej bowiem pragnął się znaleźć w domu i zakończyć wreszcie ten dzień. Chryste, ależ był zmęczony. Ćmiło mu się w oczach z przemęczenia, tak że światła Wanchai stopiły się przed nim w wiele długich srebrnych, zielonych i czerwonych wstążek. Na Boga, zapaliło się czerwone! Ingram gwałtownie nacisnął nogą na hamulec, aż rozległ się donośny pisk opon na asfalcie. Jakiś stary człowiek, śpiący w progu, podniósł głowę, spojrzął na niego podejrzliwie i Tony zmusił się, aby oddychać normalnie. Zamrugał oczyma, broniąc się przed ogarniającą sennością. Na ulicy nie było nikogo, tylko ten starzec. Tony zwalczył pokusę, aby przejechać skrzyżowanie na czerwonym świetle. Tak bardzo chciał uciec od tych badawczo wpatrzonych w niego oczu.

Wystukiwał melodyjkę palcami na kierownicy i patrzył na światła Szybciej, szybciej! Normalnie w takiej sytuacji okazywał dużo cierpliwości i teraz trudno mu było zrozumieć zdenerwowanie, które zdawało się w nim niemal pulsować. Spojrzął w tylne lusterko i zobaczył, że jakiś samochód podjechał blisko niego, wyminął go i zatrzymał się na zewnętrznym pasie tuż obok. Była to toyota. Jej okna były otwarte i przez przednie okno Ingram dostrzegł, że koło lusterka zwisa kawałek futerka. Z samochodowego radia grzmiał w nocnej ciszy włączony na cały regulator kanał chiński.

Tony odwrócił się, uliczne światło rzuciło błysk na jego jasne włosy. Kiedy ponownie spojrzął z uwagą na prawo, na samochód, jego szare oczy rozszerzyły się z przerażenia. Dostrzegł podnoszące się ramię. Mężczyzna w aucie najwyraźniej ustawiał broń i celował!

Nagle pękła nad Ingramem szyba i Tony nachylił się. Nad głową rozpryskiwały się pociski trajkoczącego pistoletu maszynowego. Jechać, jechać! Trzeba jechać! Gwałtownie przycisnął pedał gazu, szarpiąc samochód do przodu. W jednej sekundzie auto pognało przed siebie; Tony zaryzykował, podniósł głowę i spojrzął za siebie. Oddychał szybko ze strachu i gniewu.

Za jego plecami rozległ się kolejny wybuch i tylna szyba pękła w kawałki. Ingram usiłował zapanować nad kierownicą i ostro skręcił w lewo. Zbyt

szybko jednak wziął zakręt i wjechał na chodnik, zanim udało mu się odpowiednio ustawić samochód. Przyhamował na wilgotnej, śliskiej drodze i ponownie się odwrócił, aby spojrzeć za siebie.

Podążająca za nim toyota ominęła zakręt i pojechała dalej prosto. Nagle, tak samo prędko jak się to wszystko zaczęło, tak się i skończyło. Tony był sam na ulicy, oddychał ciężko, prowadząc zbyt szybko samochód. Gdy sobie to uświadomił i gdy zobaczył na drodze śliskie kałuże wody wylanej wieczorem z zamykanych na noc ulicznych straganów, nacisnął lekko na hamulce, aby nie wpaść w poślizg. Ogarnęła go cisza. Nikt za nim nie jechał. Wszędzie wokół było zupełnie pusto.

Samochód toczył się bardzo powoli. Tony oddychał nierówno, chrypliwie i wypatrywał przed siebie, szukając końca alejki. Otaczała go nadal pustka. Wiatr wdzierał się przez potrzaskane okna auta, a Ingram poczuł mokrą strużkę spływającą wzdłuż policzka. Delikatnie przejechał po niej dłonią i dostrzegł na palcach krew. Rozcięcie musiały spowodować okruchy rozbitej szyby, pomyślał, i starł resztki szkła z siedzenia na podłogę samochodu.

Czy tak Yee Fong Lo wyobrażał sobie nocne rozrywki? Zastraszanie, terror... Tony wpatrywał się w cichą uliczkę. Siedział nieruchomo tak długo, aż poczuł, że znowu całkowicie nad sobą panuje. Teraz rozumiał ten strach, teraz pojmował, czego się bali ludzie, którzy „zadarli” z Yee i wiedział, jakich metod używał przywódca triady, aby osłabić psychiczne siły człowieka i poniżyć go. Zrobiło mu się głupio, że pozwolił mu na to, że czekał bezradnie, aż Yee pierwszy wykona ruch. Rozzłościł się na siebie, że tak łatwo udało się przeciwnikowi zabawić jego kosztem.

Po kilku chwilach ruszył znowu, ale nie w kierunku swojego mieszkania, jak miał zamiar. Zamiast tego pojechał w stronę Old Peak Road. Czas, abym przejął inicjatywę w tej rozgrywce z Yee, pomyślał gwałtownie. A któż mógł lepiej wiedzieć, co się dzieje, niż dobry stary Bill Ingram? Tym razem jednak drogi tatuś, powiedział sobie rozwścieczony Tony, będzie musiał mi udzielić nieco więcej wyjaśnień.

Sobota, 3 czerwca

Czerwone sztandary zwijały się i rozwijały, łopocząc na wietrze. Na chwilę migały ich złocone napisy - rozpaczliwe krzyki o wolność, demokrację i opór przeciwko władzy. Na placu przed Wielkim Pałacem Ludowym w rzędzie stały czołgi. Studenci przemaszerowali przez plac i wspięli się na pomnik ku czci bohaterów rewolucji, aby kamery reporterskie programów informacyjnych mogły ich lepiej widzieć.

Harry zatrzymał się zaskoczony na Changan Avenue, obok hotelu Jianguo. Podobnie jak wszyscy otaczający go ludzie, dostrzegł samotnego mężczyznę w białej koszuli, który stał przed kolumną czołgów. Zamachał jakimś materiałem, a potem stał zupełnie nieruchomo. Czołgi zatrzymały się.

Ty głupcze, pomyślał Harry. O Boże, ależ z ciebie głupiec, człowieku. Ale mężczyzna ciągle stał w miejscu, aż Harry nie mógł już dłużej znieść jego widoku i musiał odwrócić wzrok. Powiedział coś do miniaturowego dyktafonu, z zastanowieniem rozejrzał się po otaczającym go tłumie, a potem zaczął schodzić niespokojnie i szybko aleją w kierunku Placu Tiananmen.

Było już późno, gdy znalazł rower przyczepiony łańcuchem do balustrady. Uwolnił go spośród szeregu co najmniej pięćdziesięciu innych, które w cudowny sposób pojawiły się dookoła niego. Braga był głodny, zmęczony i nie miał już pustych kaset. Jeśli teraz wróci do hotelu, zostanie mu mniej więcej godzina do wieczornego programu.

Noc była parna i duszna, w powietrzu wisiało osłabiające gorąco. Wietrzyk zamarł niemal całkowicie. Chmury nie poruszały się, tylko złowieszczo wisiały nad miastem. Harry pedałowal po Nanchizi Road. Przesuwał się wśród coraz rzadszych tu pojazdów. Przez cały czas czuł wokół siebie napięcie i po raz kolejny pożałował, że nie znajduje się tysiące mil od Pekinu, dziesięć tysięcy od niego, daleko od strachu i gniewu, który widział w twarzach starych ludzi, i daleko od radości i nadziei, którą dostrzegał na twarzach przedstawicieli młodego pokolenia. Wiedział, że dokładnie taka atmosfera go otacza. Czuł ją.

Około dziewiątej dotarł do hotelu i z rowerem na ramieniu - ponieważ obawiał się, że nie zdoła go odnaleźć później, kiedy będzie potrzebował szybkiego środka transportu - wszedł do holu i podszedł do recepcji. Kątem oka dostrzegł, jak z fotela podnosi się niepewnie dziewczyna w czarnych dżinsach i białej bluzce. Wyglądała na tak samo zmęczoną i spiętą jak on sam. Była to Klaudia.

- Na litość boską, co tu robisz? - krzyknął gniewnie i dziewczyna aż cofnęła się, słysząc jego ton. Czuła, że jeszcze chwila i Harry wpadnie w szal.

- Jestem tutaj od wtorku, Harry. - Spojrzała na niego spokojnie. - Mój wydawca życzył sobie pewnych materiałów dziennikarskich z pierwszej ręki. Byłam tam - wskazała ręką pochmurną ulicę - cały dzień. Myślałam, że wieczorem mogłabym się do ciebie przyłączyć... - Gdy zobaczyła, jak ręce mężczyzny zaciskały się na ramie roweru, straciła odwagę i nie dodała nic więcej.

- Nie - odpowiedział gniewnie. Tylko tyle. Bez słowa komentarza. Klaudia zamknęła na chwilę oczy, wciągnęła głęboko w płuca powietrze, po czym spojrzała na niego ponownie.

- Wiem, że w Pekinie jest niebezpiecznie, Harry, ale skoro już tutaj przyjechałam, muszę opisać to, co widzę. Postanowiłam wyjść na ulicę dziś wieczorem i wolałabym nie robić tego zupełnie sama. Wybór należy do ciebie.

- A ja wolałabym, abyś wcale nie wychodziła. Uważam, że powinnaś zostać w hotelu i czekać na to, co robi Dwudziesta Siódma Armia. Zrozum, Klaudio, ja również nie mam ochoty tam iść, ale ja muszę. Ty nie. - Podniósł rower na ramię i ruszył w kierunku wind, lekceważąc wściekle gestykulacje hotelowego portiera. Ustawił rower pionowo, pchnął go do środka windy i poczekał, aż Klaudia do niego dołączy.

- Muszę sama zobaczyć, co się zdarzy, Harry. Nie chcę za dwadzieścia lat żałować, że nie widziałam punktu zwrotnego tych wydarzeń, mimo iż byłam w tym czasie w Pekinie... że niczego nie widziałam, ponieważ byłam zbyt przestraszona, aby wyjść na ulicę i rozejrzeć się wokół siebie.

Gdy drzwi windy się zamknęły, stojący za Klaudią Harry wydał z siebie odgłos zniecierpliwienia.

- Nie bądź takim małym głuptasem. Nie pora teraz na heroiczne gesty. To wszystko to zupełna głupota... - Dostrzegł, jak dziewczyna obraca się ku niemu i mierzy go wzrokiem, powoli, od stóp do głów. Prawie się zarumienił, a następnie dodał zimniejszym i spokojniejszym głosem: - Nie chcę, aby ci się stała krzywda. Jesteś w końcu moim biletym wyjazdowym stąd, Liddie, i nie mogę sobie pozwolić na to, by ci się coś przydarzyło. - Zauważyła, że się uśmiechnął, ale nie było rozbawienia ani w jego słowach, ani w oczach. Klaudia miała głębokie poczucie straty. Gdzie zniknął jej dawny Harry, co mu się przytrafiło w życiu, co go tak zmieniło? Nie miała pojęcia.

- W takim razie lepiej by było, abyś na mnie uważał, gdy znajdę się na ulicy, prawda, Harry? - Zmusiła się także do uśmiechu. - Ponieważ nie uda ci się mnie powstrzymać.

Doszli ponownie na plac około godziny dwudziestej trzeciej i w jednej chwili dostrzegli, że sprawy się nieco skomplikowały. W rzędach, ręka w rękę, siedzieli studenci i niemo wpatrywali się w żołnierzy. Ci natomiast stali i leniwie bębniąc palcami na karabinach, spoglądali na przeciwników twardymi, budzącymi obawy twarzami. Całą drogę Harry pouczał Klaudię, co ma robić. Mówił jej, że nigdy nie powinna się zatrzymywać w miejscu, z

którego nie mogłaby później uciec, radził, by nie wchodziła w tłum i żeby trzymała się blisko niego. Ale i tak bardzo się o nią bał. Bał się o nich oboje.

Szli wzdłuż wschodniego boku placu, w pobliżu Changan Avenue i hotelu Pekin. Harry wskazał go Klaudii i powiedział, aby się tam udała w razie kłopotów. Potem dalej zadawał pytania uczestnikom zamieszek, aby zrozumieć, co się dzieje. Niektórzy ludzie sugerowali, że czołgi mają ich chronić przed Li Pengiem, inni mówili, że część wojska nadchodzi, aby im pomóc w walce przeciwko Dwudziestej Siódmej Armii, jeszcze inni twierdzili, że wojsko i policja rozdają narkotyki albo snuli nieprawdopodobne opowieści o zdradach i spiskach, które nastąpią tej nocy. I wszyscy zgodnie, bez wahania twierdzili, że studenci na pewno zwyciężą.

Kiedy jednak nadeszła śmierć, kiedy ruszyło wojsko, stało się to tak nagle i nieoczekiwanie, że ani Harry, ani Klaudia nie zdołali zareagować wystarczająco szybko. Po prostu nagle powietrze rozerwały odgłosy terkotu broni maszynowej i Klaudię odsunął na bok tłum napierający do przodu, aby zobaczyć, co się dzieje. W jednej chwili dziewczyna straciła z oczu Harry'ego.

Przed sobą, poprzez falujący tłum głów, dostrzegła rząd studentów ustawiający się przed żołnierzami. Potem rozległy się następne strzały, studenci padli, a na ich miejscu pojawił się kolejny szereg demonstrantów. Klaudia już nie słyszała terkotu broni, zagłuszały go głośnie krzyki rannych. Przerażające wrzaski wypełniły plac.

Dziewczyna rozejrzała się wokół siebie z rozpaczą. W morzu biegnących ludzi szukała twarzy Harry'ego. Wykrzykiwała jego imię. Kiedy czołgi ruszyły naprzód, tak jak wszyscy inni przestraszyła się i zaczęła uciekać. Wpadła głębiej w tłum, który napierał na nią i popychał do nieprzerwanego biegu. Słysząc było tylko ludzkie krzyki. Wszędzie w powietrzu wisiał dym.

Ze wszystkich kierunków słysząc teraz było dźwięki wystrzałów i Klaudia nie wiedziała, w którą stronę biec. Kręciła się w kółko. Nagle jakiś mężczyzna z lornetką pociągnął ją w dół. Upadła płasko i w tym samym momencie przetoczył się nad nimi karabinowy ogień. Próbowwała się podnieść, ale mężczyzna nie pozwalał jej wstać, ciągnąc mocno za rękę. Krzyczał coś głośno, a potem jego usta wykrzywiły się i wypełniły się śliną. Pod Klaudią było mokro, a gdy podniosła dłoń, znalazła na niej czerwień. Ręka była śliska od krwi.

Nigdzie nie dostrzegła Harry'ego. Ten sam mężczyzna nagle pociągnął ją w górę. Stała na równe nogi, ale nieznajomy ciągnął ją dalej za sobą. Co jakiś czas patrzył z przerażeniem przez ramię. Klaudia spojrzała za siebie i

zobaczyła czołg, przejeżdżający po ciele jakiejś kobiety. Z chrzęstem zmiądzzył gąsienicami jej kości; odgłos gniecionej głowy rozległ się jak głuche uderzenie dzwonu. Na ten widok dziewczyna zakreśliła się wokół siebie i pobiegła na oślep, tracąc z oczu mężczyznę, który wcześniej jej pomógł. Zauważyła róg placu. Znajdowały się tam setki, a może i tysiące policjantów i żołnierzy, którzy popychali pędzących ludzi, uderzali ich pałkami i pięściami, w ten sposób odsuwając z drogi.

Wokół padali ludzie o pokrwawionych twarzach i koszulach. Następni biegnący deptali ich ciała, a żołnierze nie zważali na nic, jedynie popędzali tłum bagnetami. Klaudia, tak przerażona, że niezdolna myśleć, biegła wraz z resztą przed siebie.

Nagle, poprzez grad rzucanych kamieni i gałęzi, zauważyła kilku demonstrantów, którzy dopadli młodego żołnierza. Zdarli z niego mundur, ciągnęli go za włosy, kopali i opluwali. Po chwili nadeszła jakaś grupa policyjna i uratowała młodzieńca. Tłum pędził dalej, rozwścieczony i rozkrzyczany. Ci, którzy mieli rowery, znajdowali się na przedzie. Pędzili ulicą, krzycząc do spotykanych przechodniów i gapiów, nieświadomych jeszcze niczego. Chociaż Amerykanka nie знаła chińskiego, dobrze wiedziała, co mówią. Ostrzegali. Krzyczeli, że nadchodzi wojsko.

Zobaczyła przed sobą skrzyżowanie i stwierdziła, że znowu się znalazła na Changan Avenue. Wiedziała, że Hotel Pekin musi być blisko. Jednakże wzdłuż ulicy stała w rzędach policja, popychając biegnących ludzi do dalszego pędu przed siebie, nie pozwalając nikomu wejść na chodnik. Klaudia gnała więc dalej. Wraz z tłumem wpadła w jakieś boczne alejki, które wybierali ci na czele pochodu, chcąc uciec od głównych ulic, a zwłaszcza od dymu, ognia karabinowego i śmierci Placu Tiananmen.

W końcu, wyczerpana i oszołomiona, zatrzymała się przy jakimś budynku. Rozejrzała się dokoła siebie i dostrzegła nieznaną ulicę. Cichsze i ciemniejsze. Utykając na bosych, pokaleczonych, krwawiących stopach (gdzieś zgubiła buty), szła przed siebie, aż dotarła do jakiejś wartowni. Przed nią stał amerykański żołnierz o twarzy, która w świetle lampy wydawała się bardzo blada i ponura. W powietrzu słychać było jeszcze słabe terkotanie karabinów maszynowych.

- Gdzie jestem? Gdzie mogłabym się schronić? - zawołała, a wartownik zawahał się na chwilę, po czym ruszył do przodu, spojrzał na nią, wziął ją pod ramię i pomógł jej przejść pod barierką.

- To jest dystrykt Jianguomenwai. - Mówił z akcentem Południowca, który wydał się Klaudii nieskończenie kojący po niezrozumiałych krzykach i terrorze tej nocy. - Tutaj jest pani bezpieczna. Tu mieszkają dyplomaci i inni cudzoziemcy. Chińczycy tu nie wejda. - Słowa uspokoiły strach dziewczyny. Wyprostowała się i rozejrzała wokół siebie, jak gdyby w oszołomieniu.

- Jest pani nową pracownicą? - spytał, a Klaudia potrząsnęła głową. Żołnierz obserwował ją w milczeniu, patrząc na krew na jej bluzce, na jej ręce, obserwował przerażenie widoczne na jej twarzy. Następnie szybko odezwał się w walkie-talkie.

- Zgubiłam Harry'ego - powiedziała spokojnie. Obróciła się, aby na niego spojrzeć. - Został w tłumie. Nie może pan czegoś zrobić? Proszę.

Ale żołnierz odsunął ją nagle łagodnie na bok, usunął z drogi, a potem ruszył prędko do przodu i zaczął podnosić barierkę. Wreszcie stanął nieruchomo i starannie zaszalutował. Oczy skierował prosto przed siebie. Nie słyszał jej, nie słyszał tego, co mówiła o Harrym.

Klaudia obróciła się i zobaczyła, że pod barierką przesuwa się jakiś samochód, gładki, połyskujący w światłach elegancką, lśniąca czernią. Przed oczyma mignął jej pasażer tego auta - niestary ciemnowłosy mężczyzna w garniturze, o szarej, zmęczonej cerze. Jego twarz była gładka i dobrze ogolona. Ciemne oczy mężczyzny zlustrowały Klaudię, po czym spojrzały niedbale w bok. Patrzyła za nim przez moment niemo, aż zdołała otworzyć usta i wykrzyknąć:

- Ryba! Ryyybaaa! - Jej głos załamał się i potrafiła już tylko szeptać do siebie: - Ryba, ty draniu! - Powtarzała te słowa bez końca, a ciemna noc przed nią osobliwie drżała. Reflektory pojazdu zniknęły wśród świateł migających gwiazd i samochód zapadł się w czerń późnego pekińskiego wieczoru.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Hongkong 7 czerwca

Klaudia przeczytała ponownie to, co napisała na przenośnym komputerze. Kiedy siedziała, opierając się na rękę, poczuła, że bolą ją kości policzkowe.

- Czyżby nadszedł koniec epoki chińskich reform lat osiemdziesiątych? W ciągu ostatniej dekady handel z zagranicznymi korporacjami wyniósł dwadzieścia pięć miliardów dolarów w przedsiębiorstwach typu joint venture. Wygląda na to, że teraz wraz z bezkompromisową reakcją na proponowane reformy demokratyczne zostanie zniweczony liberalizm ekonomiczny. A może, mimo krwawego stłumienia zamieszek na Placu Tiananmen, mimo że dopiero co opadły chmury dymu, mimo że ciągle jeszcze słychać krzyki bólu, chińskie władze - jak gdyby nic się nie stało - dalej będą poszukiwać zagranicznych inwestorów skłonnych zainwestować w ich kraju? - Klaudia westchnęła, wymazała całą stronę i zapatrzyła się w monotonie połyskujące wody zatoki.

- Przeszkadzam ci? Chcesz, żebym wyszedł? - Tony podniósł oczy znad gazety. Miał wolny dzień i czuł, że dziewczyna nie chce być sama, czuł w niej tę potrzebę od chwili, gdy spotkali się na lotnisku po powrocie Klaudii z Pekinu. Była osłabiona i posiniaczona zarówno duchowo, jak i fizycznie, i Tony wiedział, że potrzebuje czyjejś opieki. Chciał być przy niej tak długo, jak mu na to pozwoli.

- Nie, nie, nie o to chodzi. - Gdy spojrzała na jego twarz i dostrzegła na niej niepokój i wielką, milczącą chęć pomocy, posłała mu blady uśmiech. Czuła ogromny spokój, mając Tony'ego przy sobie. Był niczym ciepły koc na chłód. Mogłabym się łatwo przyzwyczaić do tego uczucia, pomyślała, a potem gwałtownie wyrzuciła z głowy tę myśl.

- Po prostu nie wiem, jak pisać o problemach ekonomicznych i szkodach, jakie wyrządzi Chinom rosnąca inflacja, skoro wszystko, co pamiętam, to ludzkie krzyki i padające wszędzie wokół mnie ciała. - Potrząsnęła głową. - Nie mogę zrozumieć, jak Harry'emu mogłoby się udać to przeżyć. Nawet nie wiem, jak mnie samej się udało. To już trzeci dzień, Tony, a ja nie napisałam jeszcze ani słowa.

Zobaczył cierpienie na jej twarzy.

- Wiem. Ale tam panuje jeszcze spore zamieszanie. Masz szczęście, że tak szybko trafiłaś do domu. - Mógłby jej opowiedzieć o tym, że rannych wywlekano ze szpitali, ładowano do pociągów i gdzieś wywożono. Może

nawet zabijano. Wiedział o tym z gazet i telewizji, ale uważał, że jeszcze jest zbyt wcześnie, aby Klaudię o tym informować. Nie była jeszcze przygotowana. A poza tym był przekonany, że Harry żyje.

Oboje milczeli, rozmyślając o przerażających wydarzeniach w Chinach, w które naprawdę trudno było uwierzyć. Na ulicach Hongkongu na wszystkich twarzach widać było smutek i strach. Do anten samochodowych przywieszano czarne wstążeczki. Z budynku Bank of China zwisały czarne chorągwie, jawnie żądające: „Krew za krew”.

W poniedziałek po masakrze akcje na giełdzie papierów wartościowych spadły na wartości o dwadzieścia dwa procent. W chińskich bankach na kontynencie panowała panika. Przewidywano, że w ciągu następnych kilku miesięcy ceny nieruchomości spadną o dziesięć do dwudziestu procent. I nic nie można było na to poradzić.

- Tony, co tam właściwie robił Ryba? Co tam robił naprawdę? Nie mówię o tych bzdurach, że niby wydaje jakąś gazetę... Chodzi mi o prawdę. - Położyła nacisk na ostatnie słowo i przyjemny nastrój między dziewczyną a młodym człowiekiem zniknął. Tony spojrzał na Klaudię. Na jego twarzy pojawiło się napięcie. Dostrzegła, że dotknął palcem plastra przyklepionego na policzku.

- Był tam? - spytał, nieco marszcząc czoło. - Jesteś pewna? - Ale wiedział, nawet zanim potwierdziła, że Aidan tam był. Więc jego ojciec znowu go okłamał. Wcale go to nie zaskoczyło. Wszyscy kłamali w tej kwestii, a jego ojciec potrafił to robić po mistrzowsku.

- Och, tak, jestem całkowicie pewna.

- Cóż, może to samo co ty albo Harry? Może zbierał informacje.

- Chyba raczej głowy. Jechał w służbowym samochodzie dyplomatycznym. Nie chodził po ulicy, gdzie tworzyła się historia...

- Cóż, Aidan ma swoje własne źródła. Wiesz, że pracował kiedyś w administracji państwowej? - W głosie Tony'ego zabrzmiało wahanie, ponieważ nienawidził wykrętów, zwłaszcza w stosunku do Klaudii.

- Urzędnik państwowy? Czy to nie jest teraz poręczny eufemizm na określenie zupełnie innego rodzaju „sekretnej” działalności? - Spojrzała na Tony'ego stanowczo. Przez długi moment panowało między nimi milczenie, aż Klaudia zaczęła się zastanawiać, czy Tony w ogóle jej odpowie.

- Istnieją takie sprawy, w które lepiej się nie zagłębiać zbyt dokładnie - powiedział nieoczekiwanie i Klaudia posłała mu zaskoczone spojrzenie.

- Naprawdę w to wierzysz, Tony? Nigdy bym się tego nie spodziewała. Takie słowa bardziej pasują do Harry'ego albo do twojego ojca... -Rzuciła mu spojrzenie, w którym było zmęczenie i rozczarowanie, i Tony wiedział, co jego towarzyszka czuje. Te same pytania, pytania dotyczące Aidana i spraw z nim związanych sam zadawał od tak dawna, że już prawie stracił wszelką nadzieję, że kiedykolwiek pozna prawdę. A jednak podczas ostatniej rozmowy z ojcem wyczytał między wierszami o wiele więcej, niż do tego dnia chociażby podejrzewał.

- A gdybym ci powiedział, co sędzę, napisałabyś o tym? - Kiwnął głową ku jej laptopowi. - Czy przedyskutowałabyś to z innymi ludźmi? Czy powiedziałabyś im o tym, co, moim zdaniem, się zdarzyło? -W jego głosie zabrzmiała jakaś ostrzegawcza nuta i Klaudia zastanowiła się nad nią w milczeniu.

- Nie. Po prostu chciałabym wiedzieć. Chyba rozumiesz... - odezwała się w końcu. Tony wciągnął powietrze głęboko w płuca, spojrzał na własne złożone ręce i jeszcze bardziej się nad nimi zgarbił.

- To wszystko jest... tylko hipoteza... no, wiesz. Żadnych faktów, żadnych nazwisk. Tylko teoria... Jedynie możliwość.

Kiedy dziewczyna skinęła głową, patrzył na nią przez chwilę, walcząc z chęcią, aby się przed nią otworzyć. Odczytała to z jego oczu.

- Dobrze, więc było to tak. Jakies piętnaście lat temu, kiedy stało się dla wszystkich oczywiste, co tu się będzie działo po dziewięćdziesiątym siódmym roku, doszedł do władzy pewien szczególnie ambitny przestępca. Wraz z całkiem sporą grupką innych osób uświadomił sobie, że kiedy Hongkong wróci pod panowanie Chin, wiele rzeczy się w nim z pewnością zmieni. Po pierwsze, sama przestępczość. Wiedział, że triady nie będą już tu mile widziane.

- To pierwszy bohater naszej opowieści... Przywódca triady... Kolejna postać to bardzo bogaty posiadacz ziemski i właściciel fabryk włókienniczych. Nazwijmy go dla ułatwienia tai-panem. On z kolei doszedł do wniosku, że nie zdoła na czas spieniężyć swego majątku, a potem z pewnością już nie uda mu się go odzyskać. Obu tym mężczyznom przyszło do głowy, że najlepiej by się stało, gdyby Chińczycy nigdy nie przejęli wyspy Hongkong i Nowych Terytoriów. Bogaty tai-pan spotkał się więc z przywódcą triady i zawarli układ. Dzięki ich kontaktom wzrosły wpływy z handlu narkotykami, a pieniądze uzyskiwane z tego źródła „prano” i wszyscy byli zadowoleni.

Nadażasz za tym, co mówię? - spytał Tony i Klaudia w milczeniu skinęła głową, obserwując go cierpliwie.

- To dobrze. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Hm, tai-pan miał również znajomości na głównym lądzie. W Chinach... Znał tam między innymi pewnego człowieka, polityka, którego także rozpieęła ambicja. Ten człowiek przewidywał wielkie zmiany w swoim kraju, a siebie widział na czele tego wszystkiego. A więc pewien procent „pranych” pieniędzy z narkotyków zaczął trafiać do kieszeni tego polityka, który, korzystając z nich, przystąpił do przygotowywania rewolucji. Jak najbardziej demokratycznej, jeśli to możliwe...

- I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie znalazł się jeszcze jeden bohater. Pewna nic nie znacząca postać, młody narkoman, który wykonywał maleńkie zadania kurierskie dla przywódcy triady. Kiedyś znalazł się przypadkiem na jednym z ich spotkań i sfotografował całą trójkę.

Tony przerwał, kiedy zobaczył jak Klaudia szeroko otwiera oczy i usta. Była najwyraźniej zaszokowana.

- Tak, to prawda. - Tony pokiwał głową na potwierdzenie. - A kiedy ten kurier wywołał zdjęcia i uświadomił sobie, kim są sfotografowani mężczyźni, przeraził się i wysłał je swojej siostrze, która mieszkała bardzo daleko od Hongkongu. Na nieszczęście, inna pozornie mało ważna postać, młodzieniec bez skrupułów, ukradł zdjęcie siostrze kuriera i zabrał je z sobą do Japonii. Po pewnym czasie również on poznał tożsamość trzech mężczyzn i próbował szantażować przywódcę triady, tai-pana... i, jak sądzę, brytyjski rząd.

- Dlaczego rząd? - przerwała Klaudia.

- Ponieważ przyszło mu do głowy, że jego przedstawiciele również zapłacą, aby się dowiedzieć, o co w tej sprawie chodzi. - Tony powoli zatarł ręce i dodał cicho: - Albo zapłacą, aby go uciszyć, ponieważ sami już wiedzą, co się dzieje.

- Ponieważ sami... och, drogi Boże. Tak myślisz? Szantażysta? -Klaudia usiadła prosto. Była bardzo blada. Zauważyła, że Tony wpatruje się bacznie w jej twarz, próbując odczytać myśli dziewczyny, i przełknęła głośno ślinę w gardle. - Mów dalej.

- No, właściwie to, co zdarzyło się następnie, nie jest do końca jasne. Najbardziej prawdopodobne jest, że przywódca triady wysłał kogoś, kto zabił szantażystę i odebrał fotografię.

Chciałbym wierzyć, że na pewno zrobił to Yee, pomyślał Tony. Nie był jednak co do tego całkowicie przekonany, ale nie powiedział o tym Klaudii. -

Gdy przywódca się zastanowił, doszedł do wniosku, że fotografię musiał wykonać albo ten właśnie kurier, albo pewien dawny przyjaciel i praktycznie zastępca jego samego... - Tony mówił łagodnym tonem, ale dziewczyna przymknęła powieki, usiłując powstrzymać łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. Ingram przerwał, ale Klaudia potrząsnęła głową.

- Nic mi nie jest. Mów.

- Kuriera zabito, natomiast były członek triady przeżył napaść. -Nagle Klaudia przypomniała sobie o bandażu na nodze Harry'ego.

- A potem do akcji wkroczył tai-pan i nakazał, aby go oszczędzono. Był użyteczny, ponieważ z racji wykonywanej pracy w mediach mógł pomóc w promowaniu rewolucji, w uzyskiwaniu szerokiego poparcia dla sprawy, a poza tym... był ukochanym córki tai-pana. A dziewczyna miała wielki wpływ na swojego ojca...

Klaudia podniosła głowę i spojrzała na Tony'ego gniewnymi, zaczerwienionymi oczyma. On wytrzymał jej spojrzenie, a Klaudia z trudem wypuściła powietrze i przyjęła do wiadomości prawdę.

- Co dalej?

- Podejrzewam, że rząd brytyjski wiedział również, co się dzieje, ponieważ od lat otrzymywał informacje od tego samego byłego członka odłamu triady. I mimo że nie bardzo podobały mu się sposoby, którymi przywódca mafii i tai-pan wspierali rewolucję... i nie lubił również ich samych... niemniej jednak, ogólnie mówiąc, był zachwycony obrotem spraw. Zablokowano więc śledztwo pewnego policjanta - dodał Tony ponuro - i po cichutku, w sekrecie wspomagano finansowanie ambicji owego szczególnego chińskiego polityka. Nawet z zadowoleniem rząd powitał pomysł stłamszenia demokratycznej rewolucji, wierząc, mylnie zresztą, że rzeź spowoduje taki gniew ludności chińskiej, że komunistyczny rząd zostanie zupełnie obalony. Takie rzeczy zdarzały się w Europie. Dlaczego nie miałyby się zdarzyć w Chinach, pytali.

- Jednakże przecenili możliwości Chińczyków, toteż ambitny polityk nagle zniknął z pola widzenia, a niedemokratyczny rząd utrzymał się u władzy, równie silny jak przedtem. Oznacza to, że przywódca triady nie jest im już potrzebny, podobnie jak tai-pan. Zostaną więc rzuceni na pożarcie wilkom. - Młody policjant uśmiechnął się lekko na tę myśl.

- A Ryba? To znaczy, pewien były urzędnik państwowy?

- Jak sądzę, rząd zawsze go zatrudniał, ponieważ był i jest użyteczny w zbieraniu informacji. I szerzeniu ich.

- W Chinach? - spytała Klaudia i Tony posłał jej smutny uśmieszek.

- Tam, gdzie to jest konieczne, jak mi się zdaje.

- A pewien byłby członek triady? Co by się stało z nim, gdyby wrócił? - Zobaczyła, jak Tony szybko wzrusza ramionami.

- Nic. Jeśli zanikniemy przywódcę triady, to już mu nic nie grozi. W innym przypadku nie dałbym mu zbyt wielkiej szansy. Ale może zechcesz się dowiedzieć, że Porcja Hsu wyjechała, jak mówi jej matka, aby spędzić trochę czasu w Vancouverze. Od linii lotniczych natomiast wiem, że panna Hsu zarezerwowała do Kanady dwa bilety... Nie wiem nic więcej, ale to interesujące, nie sądzisz? - Zobaczył, jak twarz dziewczyny napina się, a usta szybko się zaciskają.

- Zamkniesz Yee, Tony? Możesz to zrobić? Masz wystarczające dowody, aby otrzymać nakaz aresztowania?

Zauważył, że Klaudia zaczęła nazywać rzeczy po imieniu, ale jej nie poprawił. Sam także był już zmęczony udawaniem i głupimi gierkami.

- Tak, w końcu tak. Wiele informacji, które usiłowałem zdobyć, kiedyś blokowano przede mną. Teraz są już dostępne. Myślę, że aresztowanie to kwestia tylko kilku dni. - I Tony pomyślał o teczce z informacjami na temat Yee, którą ojciec w końcu mu wręczył. Informacje te przekazywał Harry Aidanowi. To była jedyna szansa dla Bragi, aby pozostać przy życiu, powiedział Tony'emu Bill, i dokonał tego wyboru tuż po tym, jak Yee posunął się w kontaktach z nim za daleko. I kiedy Yee posunął się za daleko w kontaktach z Tonym.

Wzruszył ramionami.

- Jedynym zadaniem, które nas jeszcze czeka, jest ustalenie powiązań przywódcy triady z tai-panem. I, mam jakieś dziwne przekonanie, że to nie będzie proste. Nasz tai-pan nie jest głupcem.

Tony wstał, podszedł do okna i zatrzymał się przed nim. Wpatrzył się w leżącą przed nim wyspę i obszar ciemnej wody między jednym brzegiem a drugim. Próbował się nie zastanawiać, dlaczego w pokoju panuje milczenie. Nie mógł nic na to poradzić. Czy Klaudia podejmowała teraz jakąś decyzję? Czy zdecydowała, dokąd zamierza pojechać i kiedy? Zmusił się, aby zachować się obojętnie, nie okazywać po sobie, że odczuje jej brak, gdy wyjedzie, przygotować się na pustkę, która pojawi się nieuchronnie za jakiś czas. Chciałby poznać tę dziewczynę lepiej. O wiele, o wiele lepiej.

Usłyszał raczej, niż zobaczył, że podeszła do niego i stanęła tuż przy nim. Oddychał szybko i płytko.

- A co z tobą, Tony? Czy jesteś już bezpieczny?

- Niedługo będę zupełnie bezpieczny. Yee jest zbyt pochłonięty myślą, jak wyjść cało z opresji. Nie ma czasu zajmować się mną. Dostanę go pierwszy. - Spojrzał na dziewczynę, uśmiechną) się dziwnie, a Klaudia skinęła głową, prawie ze smutkiem.

- Lubisz swoją pracę, prawda? Nie istnieje dla ciebie nic poza nią, zgadza się? I nie masz czasu ani miejsca na nic ani nikogo innego... - Zobaczyła, jak zmieszany mężczyzna nieruchomieje.

- Mógłbym zawsze spróbować znaleźć trochę miejsca, jeśli... - przerwał, niezdolny do wypowiedzenia własnych myśli. Klaudia zmarszczyła brwi.

- Jeśli co?

- Przede wszystkim, najpierw ty mi odpowiedz na pytanie. Czy ciągle jesteś zakochana w Harrym? - Dostrzegł, jak gwałtownie podnosi oczy. Była zaskoczona, ale po chwili otworzyła usta i roześmiała się. Prawie natychmiast jednak znowu zmarszczyła brwi.

- Nie, nie sędzę, abym kiedykolwiek była w nim zakochana. To była tylko dziecinna fantazja nas obojga, którą stworzyliśmy sobie przez te lata tęsknoty. Gdy się spotkaliśmy, okazało się, że nic nas nie łączy. Że miłość nie jest dla nas. - Starła się uporządkować swoje myśli i znaleźć odpowiednie słowa. - Ciągle jestem przywiązana do Harry'ego, ale mu nie ufam, nie czuję się z nim bezpieczna i naprawdę nie chcę, aby znowu pojawił się w moim życiu. Mam nadzieję, że jest z Porcją. Byłoby miło gdyby w końcu zaczął wieść trochę spokojniejsze życie. Myślę, że pò tym wszystkim należy mu się wytchnienie. - Powiedziała to wszystko zadumanym głosem i chciała wyjść przez balkonowe drzwi na taras ale Tony położył jej dłoń na ramieniu i obrócił dziewczynę ku sobie.

Nie mógł ukryć ulgi i szeroko się uśmiechnął. Klaudia zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Wiem, że może nie jest to odpowiedni moment, ale nie chcę, żebyś znowu gdzieś wyjechała, zanim się dowiesz, że istnieje jakieś inne rozwiązanie. - Przerwał, po czym dodał ciszej: - Więc po prostu zastanawiam się, czy mogłabyś mnie nieco bardziej polubić... w swoim czasie? - Nie naciskał więcej, był tak spokojny i łagodny jak zawsze w jej towarzystwie i Klaudia poczuła, że jej podziw dla niego jeszcze bardziej rośnie. Zapytała siebie, dlaczego nigdy nie budził w niej takich uczuć żaden mężczyzna, mimo że czasem jej się zdawało, że jest zakochana? Nie wiedziała, ale taka właśnie była prawda. Nigdy nie czuła się z nikim taka spokojna i bezpieczna, a

jednocześnie podniecona i kochana. Nigdy nie czuła, by ją tak szanowano... takie staroświeckie, niemodne pojęcie, które dla niej było bardzo ważne.

- Och, Tony, ależ ja już cię bardzo lubię! Więcej niż lubię! Nie wiesz o tym? Tylko że to... to mnie przeraża - brnęła w kolejne wyjaśnienia, rozpaczliwie pragnąc, aby ją zrozumiał. - Mam dość przerażające doświadczenia, jeśli chodzi o mężczyzn w moim dotychczasowym życiu i nie chcę się nawet zastanawiać, czy to tylko pech, czy moja wina. Może nie nadaję się do takich związków, nie wiem. - Uśmiechnęła się zakłopotana. - Po prostu nie chcę ci składać żadnych obietnic, ponieważ nie chciałabym cię zranić... albo siebie.

Spojrzała na niego uważnie. Jego ciemne, osobliwie nakrapiane oczy przypominały świeżo wymyty granit. Nie chcę cię stracić, Tony, pomyślała, nie chcę. Ale zamiast tego powiedziała głośno:

- Jednakże chciałabym spróbować. Jeśli wystarczy ci taka odpowiedź... Na dziś. - Dotknął delikatnie palcem jej policzka i lekko pogładził go.

Kiedy pochylił się do przodu i delikatnie dotknął wargami jej warg, przypomniała jej się ta pierwsza noc po śmierci Marka, kiedy Tony leżał na łóżku obok niej i tak wiele mogło się zdarzyć między nimi, gdyby sobie na to pozwolili. Smakował teraz jej ciepłe i świeże usta, a ona mocno się do niego przytulała. Potem odsunęli się od siebie, nieśmiało uśmiechnęli, aż wreszcie głośno roześmieli.

- W porządku, Klaudio. Wiem, jak się czujesz i sędzę, że oboje musimy postępować powoli i ostrożnie. Żadne z nas nie miało zbyt wiele szczęścia w przeszłości. - Jego oczy były jasne i czułe. Wzruszył ramionami. - Teraz chyba mi to wystarczy... - Może dzięki własnej cierpliwości dostanę wszystko pewnego dnia, dodał w myśli. Czuł ciepło jej ręki, kiedy złożyła ją w miseczkę, przykrywając jego rękę dotykającą jej policzka.

- Och, Tony... nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie. - Zobaczyła, że szare cętki w jego oczach przedziwnie ciemnieją, a małe zmarszczki dokoła oczu pogłębiają się. Zastanowiła się, jak mogła nie zauważyć tak wspaniałego mężczyzny, zapatrzona w mroczną urodę Harry'ego. Byłam głupia, pomyślała sobie.

- Możesz przekonać swojego wydawcę, aby pozwolił ci zostać tu trochę dłużej?

- Tak, jak sędzę, jeśli uda mi się skończyć dla niego ten diabelny artykuł. Wydaje mi się też, że mogłabym spróbować napisać coś, co mogłoby się stać

bestsellerem... Może za jakiś czas. Tym razem czuję, że naprawdę mam coś do powiedzenia.

- O Chinach?

- O Chinach też. - Uśmiechnęła się, westchnęła i oparła głowę o jego pierś.

Kiedy Tony wrócił do domu, wciągnął głęboko powietrze i poczuł kwaśny, stęchły aromat tytoniowego dymu z fajki. Zmarszczył brwi i zmrużył oczy. W mieszkaniu nie było nikogo, ale pod czarno-białą fotografią trojga dzieci wisiało przymocowane pinezką jeszcze jedno zdjęcie. Tony wyciągnął rękę i palcami zerwał je ostrożnie ze ściany. Potem stał przez długi czas i wpatrywał się w nie. Do fotografii przyczepiono karteczkę, zapisaną charakterem pisma jego ojca.

„Puszka Pandory - mówił napis - pełna niespodzianek”.

Fotografia ukazywała trzech mężczyzn pograżonych w rozmowie.

Pierwszym był Yee Fong Lo, drugim chiński polityk, którego rysy Tony dobrze znał, a obok nich obu stał bardzo przystojny milioner - Reginald Hsu.

Tony łagodnie się do siebie uśmiechnął i pokiwał głową.

RS